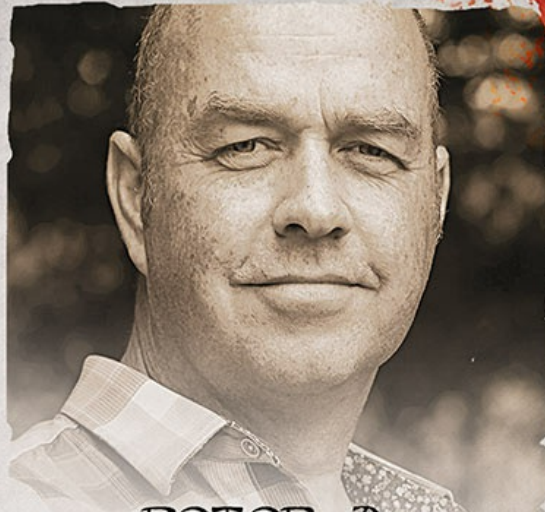


MAJĄ SMOKI, BĘDZIE CIĘŻKO.

PETER A.
FLANNERY

MAG
BITEWNY

I
Księga



PETER A. FLANNERY

Peter przeszedł długą drogę, nim odnalazł swoje prawdziwe powołanie.

Studiował sztukę i projektowanie, ale opuścił collage, by pracować w leśnictwie. Po wypadku, w którym poważnie uszkodził kręgi szyjne, postanowił zostać ogrodnikiem. Następnie zaczął pracować jako rzeźbiarz w przemyśle zabawkarskim.

W czasie gdy pracował dla studia projektowego w Edynburgu, pojawiła się możliwość zmiany profesji – z rzeźbienia na pisanie. Peter odważył się wykorzystać tę szansę i stał się czołowym pisarzem w firmie Target Games UK, gdzie pracował nad pomysłami, nowelami i opowiadaniem do gier planszowych, takich jak „Warzone” i „Chronopia”.

Gdy w 2017 roku ukazał się jego „Mag bitewny”, z miejsca zakasował amerykańskie i brytyjskie rankingi książek fantasy. Powieść od razu przetłumaczono na 7 języków.

Peter, gdy nie pisze, z zamiłowaniem zajmuje się łucznictwem i astronomią. Stara się też być zawsze o krok przed swoimi dwoma synami, zarówno podczas gry w szachy, jak i w uwielbianych przez nich grach strategicznych.

Mieszka z rodziną w małym miasteczku w Szkocji.

Spis treści

Karta tytułowa

Siedem Królestw Furii

Prolog

Część I. Bitwa

1. Syn szaleńca
2. Równowaga w przyjaźni
3. Próby
4. Mamidełko
5. Wyzwanie
6. Sługa czy szlachcic
7. Magowie
8. Przywołanie
9. Smoczy Kamień
10. Ani jedna dusza
11. Poczucie winy
12. Góry
13. Mroczny anioł
14. Tylna straż
15. Ofiara
16. Tchórzostwo, odwaga i spryt
17. Wiadomość w sitowiu
18. Opętani
19. Symeon
20. Wielka Dusza
21. Marchio Dolor

Część II. Furia

22. Toulwar
23. Spotkanie umysłów
24. Wielkie Opętanie
25. Koniec podróży
26. Królowa Furii
27. Orzeł i sokół
28. Pustelnik, uzdrowiciel i rybak
29. Powitanie
30. Nadchodzący cień
31. Akademia Sztuki Wojennej
32. Dziedziny wiedzy
33. Początek szkolenia
34. Przeciwnik
35. Moździerz
36. W całym stworzeniu
37. Urwipołcie, „druga skóra” i épreuve du force
38. Archiwa
39. Narodziny
40. Dobra rada
41. Cień na powierzchni ziemi
42. Paddy Feck
43. Z dawna zapomniany sen
44. Komnata Rady
45. Blokada umysłu
46. Szacunek
47. Jedno dotknięcie
48. Postępy

49. Ostatni żyjący świadek

50. Zbroja maga bitewnego

51. Trawersowanie

52. Słabość stali

Podziękowania

Karta redakcyjna

PETER A.
FLANNERY
MAG
BITEWNY

I
Księga

TŁUMACZYŁ
MACIEJ PAWLAK

fabryka słów®
LUBLIN – WARSZAWA



*Dla mojego brata Anthony'ego, który skrzesał iskrę.
Dla Tolkiena, który rozniecił płomień.
Dla wszystkich utalentowanych osób, które go podtrzymują.
I dla wszystkich, którzy kochają powieści fantasy.
Ta jest moja.
Mam nadzieję, że wam się spodoba.*



Siedem Królestw Furii



NIEKONCZONE
MORZE

ZATOKA
BARINTUSA



KRWIOZERCZE
MORZE

Nie ma uczucia silniejszego
od smoczego smutku.

Chyba tylko smocza wściekłość.

Prolog



Rycerz zamrugał, by pozbyć się spod powiek krwi i łez kłęski. Okręcił konia, uniósł przyłbicę i rozejrzał się po polu bitwy. Widział, jak w całej dolinie illicyjskie wojska szły w rozsypkę, próbując ratować się przed doszczętnym rozgromieniem.

Zostali pokonani.

Rycerz czuł na języku słony smak łez. Powinni byli poradzić sobie z armią Opętanych. Powinni byli zwyciężyć – i może by zwyciężyli, gdyby nie pojawił się demon. Ukrył się przed ich oczami, a kryjówkę opuścił dopiero w ostatniej chwili, gdy było już zbyt późno, by przywołać maga bitewnego.

Nie. To była ich bitwa. I przegrali ją.

Nie czuł wstydu, bo tylko nieliczni mogli oprzeć się mocy takiego przeciwnika. A jednak stawili mu czoła. Przez niemal godzinę żołnierze Illicji trzymali szyk. Lecz teraz zbliżał się koniec.

Spojrzał na wroga z wysokości wzgórz. Demon górował nad Opętanymi, wojownikami, którzy byli kiedyś ludźmi. Moc nie z tego świata. Piekielna siła. Rycerz wiedział, że nie zdoła go zabić. Mógł tylko żywić nadzieję, że umrze, zanim pochłonie go strach. Ostatnim wysiłkiem woli popędził wierzchowca naprzód, mając nadzieję, że odwaga nie opuści go, nim przyjdzie koniec. A jednak gdy jechał na spotkanie śmierci, nie myślał o sobie, ale o wszystkich, których zawiódł. Armia Opętanych przebiła się przez illicyjski szyk. Zaraz ruszy w góry, a tam trudno będzie za nią podążyć. Wymknie się spod miecza wojskom Clemoncé i weźmie na cel królestwo Valencji, słynące niegdyś z odwagi i wprawy swoich wojowników, lecz którego siła na przestrzeni ostatnich pokoleń stopniała. Popędzając konia do szarży, zaczął się zastanawiać, czy w ogóle coś jeszcze ostało się

z niegdysiejszej chwały królestwa.

Miał nadzieję, że tak.

Przez wzgląd na dusze ich wszystkich.



1
część

BITWA

1

Syn szaleńca



Słońce dźwigało się zza horyzontu, opromieniając leżące daleko na północy Valencji górskie miasteczko Caer Dour. Chłodne, rześkie powietrze wypełniało otwartą przestrzeń, a ponad basowym pomrukiem była i beczaniem kóz niosło się rytmiczne dzwonienie kowalskiego młota. Woń nawozu dobiegająca od stajni mieszała się z aromatem świeżo upieczonego chleba i dymu, który bił w niebo z tysiąca palenisk.

Ten poranek niczym nie różnił się od innych. Nie nosił skazy strachu i nie sposób było doszukać się niczego, co mogłoby sugerować śmiertelne niebezpieczeństwo. W powietrzu dźwięczała raczej ekscytacja, oto bowiem nastał dzień prób, ważny i uroczysty, kiedy mieszkańcy Caer Dour mogli popisać się przed emisariuszem królowej sprawnością wojowników.

Choć było jeszcze wcześnie, mieszczanie już tłoczyli się na brukowanych ulicach, zmierzając ku zachodniemu skrajowi miasteczka, gdzie na skaliste wzgórze wspinał się szlak do Clemoncé. To właśnie tą drogą nadjedzie emisariusz z Furii.

Co dwa lata królewski wysłannik wyruszał ze stolicy Clemoncé, by zbadać bitewną sprawność wojowników Caer Dour. Ci, którzy wykażą się siłą i sprytem, wrócą z nim do Akademii Sztuki Wojennej w Furii. Ten wyczekiwany przez wszystkich dzień zawsze budził wielkie emocje, lecz nigdy tak wielkie jak dziś. Emisariusz przybywał bowiem do Caer Dour z uczniem, który ukończył trening. I nie był to pierwszy lepszy rycerz czy fechtmistrz, ale mag bitewny, pierwszy od ponad czterdziestu lat, który

narodził się z łona Caer Dour. Jego powrót nie mógł przypaść na lepszą godzinę.

Zaledwie dwa tygodnie temu patrole graniczne doniosły, że ferocka armia przedarła się przez illicyjskie szyki i zapuściła na teren Valencji. Już zdążyła puścić z dymem parę wiosek, a teraz zaledwie kilka dni drogi dzieliło ją od Caer Dour. Na czele armii Opętanych kroczył demon, a na jego pokonanie bez maga bitewnego w swoich szeregach armia Caer Dour nie mogła liczyć. Lecz oto właśnie dzisiaj wracał w rodzinne strony czempion, w którym całe Caer Dour pokładało wiarę, mieszkańcy nie obawiali się więc Opętanych i ich diabelskiego wodza, choć może mimo wszystko powinni. Zamiast trząść się ze strachu lub pakować dobytek, wstali z samego rana, by przygotować się na mający rozegrać się dziś na ich oczach spektakl. Ludzie kłębili się na wzgórzu i wisieli w oknach, żywiąc nadzieję, że uda im się choćby tylko przelotnie zobaczyć królewskiego wysłannika.

Dwaj młodzieńcy posunęli się nawet o krok dalej – wspięli się na pokryty czerwoną dachówką dach willi na obrzeżach miasta. Jeden z nich, Malaki de Vane, był synem kowala – wysokim i muskularnym młodzieńcem o gęstych brązowych włosach i z charakterystycznym czerwonym znamieniem po lewej stronie twarzy. Drugi niemal dorównywał mu wzrostem, lecz był znacznie szczuplejszy, wręcz wątły w porównaniu z towarzyszem. Jego włosy były proste i ciemne, a cera chorobliwie blada. Rysy twarzy potrafiły ucieszyć oko, choć policzki miał zapadnięte, jakby nie dojadał. Nazywał się Falko Danté i o jego sile mówiło jedynie spojrzenie soczyście zielonych oczu.

– Uważaj, Falko, bo spadniesz!

– Kiedy nie widzę... – odparł Falko, przesuwając się na skraj dachu.

– Cierpliwości, wszystko zobaczymy. Tylko zejdź do mnie, tu jest bezpieczniej. – Malaki rozpaczał w duchu nad skłonnością do ryzykanctwa, którą przejawiał jego przyjaciel. – Ja cię nie będę łapał, jak zlecisz!

– Będiesz, będziesz. – Falko się uśmiechnął. Wiedział, że Malaki za nic nie pozwoli mu spaść.

Kowal postanowił zmienić taktykę.

– Połamiesz dachówki – rzucił. – A wtedy Symeon złoi ci skórę.

Symeon le Roy był właścicielem willi, na której dach się wdrapali. Falko

służył mu, odkąd czternaście lat temu śmierć zabrała mu ojca.

– Solidne są, nic im nie będzie – rzucił Falko. – Nie jestem półtonowym wołem jak ty.

– Jak sobie chcesz, tylko nie przychodź do mnie z płaczem, jak już Symeon spierze cię na kwaśne jabłko.

– Symeon nigdy ręki na mnie nie podniósł – syknął Falko, przerzuciwszy nogę przez szczyt dwuspadowego dachu. Jego ramiona drżały już z wysiłku, a wątła pierś unosiła się w chrapliwym oddechu.

– Może powinien – zaripostował Malaki. – Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby sługa miał w życiu tak łatwo.

To ostatnie stwierdzenie było dalekie od prawdy, bo życie Falka Dantého nigdy nie należało do łatwych. Był słabeuszem w świecie rządzonym przez wojowników, a co gorsza – był synem szaleńca.

– No i? – spytał Malaki niecierpliwie.

– No i co?

– Widzisz coś?

Rzęzenie Falka zaczynało budzić niepokój. Rześkie poranne powietrze źle mu robiło na płuca. Mimo to się uśmiechnął.

– Wszyściutko, aż do rozszczepionej skały.

– Czekał – powiedział Malaki. – Idę.

Pomimo swoich rozmiarów chłopak wspiął się na górę zadziwiająco sprawnie. Nie minęła chwila, a już siedział okrakiem na szczycie za plecami przyjaciela. Razem sięgali wzrokiem w kierunku wielkiego rozplatanego kamienia, gdzie brukowana droga chowała się za wzgórzem.

– Myślisz, że wraz z nim przyjadą jacyś magowie? – spytał Malaki, mając na myśli emisariusza.

– Zawsze ma przy sobie przynajmniej jednego – odparł nonszalancko Falko. – Żeby sprawdził umiejętności uczniów.

– Wiem przecież! – zaperzył się Malaki. – Ale czy myślisz, że tym razem przyjedzie ich więcej? A może nawet odprawią rytuał przywołania?

– Nie wiem – skłamał Falko. Próbował brzmieć nonszalancko, ale tak naprawdę wiedział, że do miasteczka zmierza cały oddział magów. Skąd w nim ta pewność, że dziś odbędzie się przywołanie?

– Mam nadzieję, że odprawią – wydyszał Malaki. – Wyobraź to sobie... Nie dość, że mag bitewny, to jeszcze wraz ze smokiem. Prawie mi żal tych

biednych Ferocjan.

– Niepotrzebny nam smok, żeby rozprawić się z Opętanymi – odrzekł Falko. – Dariusz sobie z nimi poradzi.

Każdy wiedział, jak jest. Dobrze wyszkolona armia miała spore szanse na pokonanie wojsk Opętanych o podobnej liczebności, lecz jeśli Opętanymi dowodził demon, żadne normalne wojsko nie mogło liczyć na zwycięstwo. Żołnierzy ogarniał wówczas paralizujący strach. Tylko mag bitewny był zdolny przeważać szalę na ich stronę.

Nie chodziło jedynie o to, że mag bitewny był biegły zarówno w sztuce wojennej, jak i w wiedzy tajemnej – sama obecność jego duszy i płomienia wiary rozpraszała mroki przerażenia i była fundamentem odwagi zwykłych śmiertelników, garnących się pod jego skrzydła. Już sam mag bitewny był uważany za potężnego sprzymierzeńca, a kiedy jeszcze dosiadał swojego smoka, stawał się niszczycielskim żywiołem, zdolnym oprzeć się każdemu przeciwnikowi.

– Ale powiedz, nie chciałbyś zobaczyć smoka? – naciskał Malaki. – Choć raz?

– Nie – skłamał ponownie Falko. Więzy przyjaźni łączyły go z Malakim od dzieciństwa, ale nie chciał, by ktokolwiek dowiedział się, jak bardzo pragnie ujrzeć smoka na własne oczy. Bo nie chciał, by ktoś domyślił się, co zamierza zrobić.

Malaki przeszywał wzrokiem wąskie plecy przyjaciela, jego przygarbione ramiona i pochyloną głowę.

– Chodzi o twojego ojca, tak? – powiedział cicho.

Falko milczał, ale potwierdził skinieniem. Udawał brak zainteresowania, ale wstyd, jaki odzywał się w jego sercu na wspomnienie ojca, był najzupełniej prawdziwy.

Dwaj chłopcy siedzieli w ciszy. Słońce złoćło dachy Caer Dour.

– Gdzie oni są, u licha? – zrzędził Malaki. – Słońce już dawno na niebie. Powinni już tu być.

Falko milczał. Czuł, jak powoli spływa z niego całe zdenerwowanie.

– Pojęcia nie mam, czemu jestem taki podekscytowany – podjął Malaki. – Przecież nie będę się starał o przyjęcie do akademii.

– Weźmiesz udział w eliminacjach – rzucił Falko przez ramię. – W dodatku jesteś faworytem. Może pozwolą ci się zaprezentować.

– Jasne – prychnął Malaki. – Zaraz po tym, jak stado świń wyfrunie mi z tyłka.

Falko nagroził skromność przyjaciela wybuchem śmiechu. Wiedział, że w całym regionie nie ma kadeta, który mógłby pokonać Malakiego w walce na miecze.

– Wyobraź sobie, że bierzesz udział w próbach – dodał Malaki poważniej. – Że przedstawiają cię królowej Catherine na dworze Furii.

Falko dziękował losowi za to, że Malaki nie widział teraz jego twarzy. Usta wykrzywił mu uśmiech człowieka, który podjął decyzję, a w jego oczach pełgał zielony ogień. Niech diabli porwą magów i prawa szlacheckiej krwi; jeśli sprawy ułożą się po jego myśli, Malaki otrzyma szansę, by zaimponować królewskiemu emisariuszowi. Ale nie chciał mu jeszcze o tym mówić. Już miał skierować rozmowę na inne tory, gdy ich uwagę zwrócił dochodzący z domu pod nimi krzyk.

– Co to było, do diaska? – spytał Malaki.

Falko nie odpowiedział. Nasłuchiwał.

Z willi dał się słyszeć kolejny krzyk: wrzask przerażenia, który zaraz ustąpił niepokojącemu jękowi. Malaki wciąż siedział osłupiały na dachu, ale Falko już przerzucił nogę przez szczyt i zaczął złazić na dół.

– Kto tak krzyczy? – spytał Malaki, dołączywszy do niego w niższej partii dachu.

– To Symeon – odrzekł Falko. Wsparł nogę na rynnie i bokiem przeszedł w kierunku werandy po drugiej stronie budynku.

– A ty dokąd?

– Chcę zobaczyć, czy nic mu nie jest.

– Ale przegapimy przyjazd emisariusza.

– Chcę tylko sprawdzić.

Malaki wywrócił oczami, a potem ruszył za przyjacielem. Jęki zmieniły się w powarkiwanie, a potem rozległy się szepty. Dwaj młodzieńcy zeskoczyli na werandę i zajrzeli do środka przez uchylone okiennice.

– Co mu jest? – spytał Malaki.

Falko spojrzał w dół, na ciemny zarys opiekuna.

Symeon le Roy leżał w łóżku w skołtunionej pościeli. Drżał i trząsał się, samymi ustami wymawiał słowa, których nie rozumieli. Jęki i szlochy przerywały gwałtowne powarkiwania, jakby starzec z kimś się siłował.

– Coś mu się śni – orzekł Falko.

– Wszechmatko... – zaklął Malaki. – Ale co?

– Może piekło.

Malakiemu przebiegł po plecach dreszcz przerażenia, ale Falko ledwie zmrużył oczy na widok rzucającego się w pościeli Symeona, którego cierpienie zbudziło upiora jego własnych nocnych strachów.

„Nigdy byś się nie odważył. Nigdy nie znalazłbyś w sobie siły”.

Szyderczy głos odbijał się echem w jego umyśle. Świat wokół pociemniał, jakby burzowa chmura przyćmiła słońce.

– Może go obudźmy? – spytał Malaki, wyrywając przyjaciela ze snu na jawie.

– Nie – odpowiedział Falko. – Poczekam, aż sam to zrobi. To zwykle mija.

Malaki łypnął na niego kątem oka. Dosłyszał w jego głosie tę znajomą nutę, dojrzałość, zdecydowany ton, który budził w nim niepokojącą myśl, że może wcale nie zna swojego przyjaciela tak dobrze, jak mu się wydaje.

– Czy często nawiedzają go koszmary?

– Nie. Ale niektóre noce są gorsze od innych.

– Czy można coś na to poradzić?

Falko pokręcił głową.

– To klątwa, która spada na magów bitewnych – odparł – ale zarazem ich siła. Gdy na polu bitwy stają twarzą w twarz z demonem, przestają się go bać.

– Jak to? – wydyszał Malaki.

– Bo ten strach nie jest już dla nich niczym nowym. Śnią o nim od dziecka.

Malaki chciał dowiedzieć się więcej, lecz wiedział, że nie warto zanadto ciągnąć Falka za język. Symeon był magiem bitewnym przez wiele lat. Walczył z Opętanymi w czasach, gdy wróg był jeszcze dalekim i mglistym zagrożeniem. Ale jego wieloletnia służba królestwom Furii dobiegła raptownie końca jakieś czternaście lat temu, gdy ojciec Falka zwariował i zabił połowę wszystkich magów w mieście.

Malaki zawiesił wzrok na przyjacielu, a potem wrócił spojrzeniem do widocznego przez okiennice Symeona, który brał się za bary ze wszystkimi diabłami piekieł.

Raptem rześkie ranne powietrze rozdarł dźwięk dzwonu. Obaj chłopcy aż podskoczyli.

– Już tu jest! – zawołał Malaki, przełaząc przez barierkę i szukając stopą rynny. Potężny młodzieniec błyskawicznie wspiał się na dach. – Widzę go! I Dariusa też!

Falko poderwał wzrok na przyjaciela i uśmiechnął się, ale gdy raz jeszcze zerknął do wnętrza domu, zobaczył, że Symeon już nie wije się przez sen, ale siedzi na skopanej pościeli ze wzrokiem utkwionym prosto w twarz Falka. Snop światła padł na jego oblicze, wydobył z mroku straszną, pokrzywioną maskę. Skóra jego twarzy była poznaczona bliznami i oparzelinami, jasne słońce wypełniło cieniem puste oczodoły.

Symeon le Roy był ślepy.

– Chłodne powietrze poranka przywiedzie cię do zguby, Falko Danté. – Chłopak uśmiechnął się na tę taktowną reprimendę pana. – Lepiej zmaż ten uśmieszek z twarzy, chłystku jeden.

Ale uśmiech tylko się poszerzył. Symeon może i stracił wzrok, ale wciąż widział więcej niż inni. Ostatnie pozostałości strachu i zaaferowania zniknęły, gdy były mag bitewny dźwignął się z łóżka i narzucił szlafrok na szerokie ramiona. Odgarnął z czoła długie siwe włosy i związał je jedwabnym sznurkiem. Był już starcem, co najmniej sześćdziesięcioletnim, ale choć wyraźnie utykał, a pewna sztywność nie chciała opuścić jego rąk i nóg, wciąż miał postawę wojownika. Podeszedł do okna i otworzył okiennice.

– Ilu magów, panie de Vane? – zawołał głosem donośnym jak huk walącego się dębu.

Ani Falka, ani Malakiego nie zdumiało jego rozeznanie w sytuacji. Nie wszystkie moce maga bitewnego wiązały się z darem wzroku.

– Chwileczkę! – zawołał Malaki ze swojego stanowiska na dachu. – Nie widzę przez mgłę.

– Czterech – wyszeptał Falko tak cicho, że był pewien, iż jego głos utonął we wrzawie. Nie widział, jak twarz Symeona obraca się ku niemu i jak marszczy się w namyśle poorane bliznami czoło.

Na chwilę zaległa cisza, Malaki czekał, aż przerzedzi się mgła. A potem...

– Czterech – orzekł. – Czterech magów.

W głosie przyjaciela Falko dosłyszał rozczarowanie, ale Symeon tylko skinął głową.

– Hmmm – mruknął z głębi gardła, jakby to budził się ze snu niedźwiedź w gawrze. – Wliczając trzech z Caer Dour, siedmiu. A więc jednak doczekamy się przywołania.

Falko próbował nie zdradzić się z własną reakcją na słowa opiekuna. Z zewnątrz wydawał się znudzony, wręcz zblazowany, ale w duchu drżał z podniecenia. Dzisiaj, gdy już skończą się próby, Darius Voltario podejmie próbę przywołania smoka, a on, Falko, ujrzy to na własne oczy.

2

Równowaga w przyjaźni



Tylko czterech magów! – wykrzyknął Malaki, dołączywszy do Falka i Symeona na werandzie.

– Dzień dobry, Malaki – przywitał się Symeon.

– Dzień dobry, panie le Roy – odparł potulnie Malaki.

Raptem uświadomił sobie z całą dosadnością, że włożenie skoro świt na dach domu szlachcica nie jest czymś, za co matki chwalą swoje dzieci, lecz wiedział przecież, że Symeon różni się od innych szlachciców w mieście. Był bardziej przystępnym, prawie normalnym człowiekiem. Zwykle Malaki wykazałby się większą powściągliwością, ale dzień był tak ekscytujący, że nie zdołał się powstrzymać. – Dlaczego tylko czterech? – zapytał z zapalem. – Myślałem, że przybędzie przynajmniej siedmiu, żeby razem z naszymi dobić do pełnej dziesiątki.

Symeon odwrócił się do Falka, zapraszając go do udzielenia odpowiedzi, lecz ten nie chciał na niego spojrzeć.

– Jeśli odpowiednio się przygotowują, siedmiu w zupełności wystarczy, żeby obłaskawić smoka – wyjaśnił Symeon.

– Obłaskawić? – indagował Malaki. – Ale ja myślałem, że smoki są po naszej stronie. Dlaczego mielibyśmy je obłaskawiać?

Symeon raz jeszcze łypnął na Falka, ale ten ani myślał włączyć się do rozmowy.

– Większość smoków gotowa jest oddać życie za maga bitewnego i za wolne ludy Furii.

– Więc w czym problem?

– Problem polega na tym, że zawsze istnieje możliwość, że na wezwanie odpowie czarny smok.

– A co jest takiego nadzwyczajnego w czarnych smokach? – Malaki patrzył na niego jak urzeczony. Pierwszy raz słyszał, by ktoś tak swobodnie opowiadał o tych tajemniczych stworzeniach.

– Niezależnie od ich początkowego koloru wszystkie z czasem stają się czarne. I te właśnie są najstarszymi i najpotężniejszymi przedstawicielami swojego rodzaju.

– A więc to chyba dobrze, jeśli czarny smok stawia się na wezwanie magów, prawda?

– Byłoby tak – ciągnął Symeon – gdyby nie jeden szczegół.

– A jaki?

– Czarne smoki są obłąkane. Prędzej zwrócą się przeciw człowiekowi, niż staną w jego obronie. Wpadają w szal i niszczą wszystko na swojej drodze, dopóki ktoś ich nie zabije lub nie przepędzi za Nieskończone Morze.

Malaki rozdziawił usta i obrzucił spojrzeniem Falka, jakby chciał powiedzieć: „I ty o tym wszystkim wiedziałeś?”.

Falko udawał, że nie dostrzegł pytania w oczach przyjaciela. Oparł się o barierkę werandy i potoczył wzrokiem ponad dachami miasta. W odróżnieniu od Malakiego nie miał ochoty na wykład o naturze smoków.

– Jest tak od czasów Wielkiego Opętania – mówił dalej Symeon – gdy smoczy ród ugiął się pod naporem zła. Wygląda na to, że jakaś część tego zła przetrwała i odżywa w sercu czerniejącego smoka.

Malaki stał osłupiały.

– A jakie smoki pojawiały się na twoje wezwanie? – wypalił.

– Nie wszystkim magom bitewnym jest przeznaczone ruszyć do boju ze smokiem u boku – prychnął starzec.

Chłopak był wyraźnie zawiedziony. Zamilkł na krótką chwilę, jakby próbował poukładać sobie w głowie wszystko, czego się właśnie dowiedział. A potem znowu wziął na cel Falka.

– Czy to właśnie to przydarzyło się twojemu ojcu? – zaczął. – Ludzie gadali, że jego smok był czarny jak smoła.

Gdy tylko słowa opuściły jego usta, młody kowal zorientował się, że przeholował. Falko odepchnął się od barierki i wszedł do pokoju Symeona. Ledwie przekroczył próg, za jego plecami rozległ się głos pryncypała:

– Falko!

Chłopak zatrzymał się, ale się nie odwrócił.

– Te komnaty należą do mnie, Falko Danté. – Symeon również nie zwrócił się ku rozmówcy. Malaki wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

– Możesz zejść na dół tą samą drogą, którą wlałeś na górę. I zważaj baczej, na co pozwalasz sobie w murach mojego domu.

Falko nie odpowiedział, ale wrócił zgarbiony na werandę i przerzucił nogę przez barierkę, by zejść na ziemię.

– Dziś mam chęć zakąsić wino chlebem i owocami – polecił Symeon tym samym władczy tonem.

Falko już osadzał stopę w rynnie, by ruszyć bokiem do okna, przez które wyszedł z Malakim na dach. Ale wtedy się zatrzymał.

– Tak, panie – powiedział cicho.

Symeon skinął wspaniałomyślnie głową, a Falko ruszył przed siebie.

– Ach, Falko – dodał po chwili starzec pobłażliwszym tonem. – Gdy już o to zadbasz, dopilnuj, żeby Fossetta przygotowała ci inhalację. Dyszysz jak spracowany muł. Nikomu się nie przysłużysz podczas prób, jeśli w międzyczasie wycharchasz własne płuca.

Na te słowa Malaki obrzucił Symeona przerażonym spojrzeniem, a potem zgromił przyjaciela oskarżycielskim wzrokiem. Wybełkotał pożegnanie, po czym ruszył w ślad za Falkiem. Dogonił go, gdy ten wszedł do budynku drugim oknem.

– Co on miał na myśli, mówiąc o twoim przysługiwaniu się w czasie prób? – rzucił wyzywająco Malaki. Przesadziwszy parapet okna, złapał przyjaciela za ramię, nim ten zdołał opuścić półpiętro.

Przesycone poczuciem winy spojrzenie Falka powiedziało mu wszystko.

– Zapłaciłem fortunę, aby się upewnić, że nie będziesz służył na próbach!

– Zwrócę ci – odparł Falko. Strącił z siebie rękę Malakiego i zszedł po schodach do pokoi służby.

– Nie rozumiem – powiedział Malaki, idąc za nim. – Bellius będzie w swoim żywiole. Na pewno będzie próbował upokorzyć cię dla przykładu.

– Wiem. – Falko pchnął drzwi do kuchni.

Bellius Snidesson miał koneksje w rodzinie królewskiej, zarówno w Caer Laison, jak i w Furii. Był nie tylko najpotężniejszym szlachcicem w regionie, ale też największym draniem, jakiego nosiła ziemia. Pomijając

uprzykrzanie życia wszystkim naokoło, Bellius troszczył się tylko o trzy rzeczy: bogactwo, władzę i swojego syna Jarega, okrutnego i zepsutego młodzieńca, który na plecach ojca piął się w górę szlacheckiej hierarchii i znęcał nad Falkiem przy byle okazji. Chłopak nie pamiętał już, ile razy został przez niego pobity. Nawet przybycie ferockiej armii było w oczach młodego szlachcica okazją do umocnienia swej władzy i Malaki nie miał wątpliwości, że dzisiaj, akurat dzisiaj Bellius przywdzieje najohydniejszą ze wszystkich swoich masek. Zdumienie i irytacja popchnęły Malakiego do pójścia za przyjacielem.

Gdy weszli obaj do wielkiego, wyłożonego kamieniami pomieszczenia, otuliła ich chmura ciepłego powietrza pachnącego pieczonym mięsiwem, czosnkiem i ziołami. Woń sprawiła, że ślina napłynęła im do ust. W jednej ze ścian ziała otwarta jama kominka, na jego gzymsie i na kołkach wokoło wisiały gliniane garnki i rozmaite kuchenne utensylia. Obok stał piec z czarnego żelaza, a przy nim uwijała się krągła kobieta o skrytych pod białą chustą, związanych na potylicy siwych włosach.

– No i jak? – spytała Fossetta. – Widzieliście ich?

Gospodyni Symeona nie odrywała wzroku od dwóch patelni na palnikach.

– Dzień dobry, pani Pieroni – przywitał się Malaki. – Ma się rozumieć, że widzieliśmy.

Było jasne, że chłopcy myśleli teraz o czymś innym, lecz gdy Falko nie odpowiedział słowem na jej pytanie, Fossetta przeniosła na niego wzrok i odprowadziła go spojrzeniem do spiżarni.

– Dzień dobry, Malaki – odpowiedziała kowalowi, przypatrując się, jak służący piętrzy na cynowym talerzu owoce i chleb. – To ilu tych magów przyprowadził ze sobą emisariusz?

– Czterech – odparł Malaki. Olbrzymi młodzian zajął miejsce za dębowym stołem na środku pomieszczenia i wpatrzył się rozmarzonym wzrokiem w stojący na blacie talerz ze świeżym chlebem i kiełbasą.

Fossetta zdjęła patelnie z ognia. Podchodząc do stołu, wytarła ręce o fartuch i podsunęła Malakiemu talerz i nóż.

– A więc – podjęła, gdy chłopak opromienił ją uśmiechem wdzięczności – przywołanie się odbędzie.

Malaki prychnął, odrywając z bochenka solidny kawał chleba i krojąc

kielbasę.

– Czy tylko ja w tym mieście nic nie wiem o smokach?

Fossetta postawiła przed kowalem cynowy kubek i wypełniła go po brzegi wodą z dzbana.

– Nauczysz się tego i owego, jeśli będziesz kiedyś przez dwie dekady prowadził dom maga bitewnego.

Falko z powodzeniem oddalił się poza zasięg rozmowy, ale Fossetta kątem oka patrzyła, jak na tacy obok talerza z jedzeniem stawia karafkę z winem, po czym napełnia dzbanek wodą, która gotowała się w garnku nad ogniem.

– Dzień dobry, Falko – powiedziała.

– Dzień dobry, Fossetto.

Falko może i miał parszywy humor, ale nie mógł być otwarcie nieuprzejmy. Fossetta była najbardziej zbliżoną do matki osobą, jaką miał na świecie. Przyniósł dzban z gorącą wodą i postawił go na stole. Ciche rżenie wydobywające się z jego ust nie umknęło czujnemu słuchowi gospodyni. Kobieta podeszła, przyłożyła mu jedną dłoń do czoła, a drugą do miejsca między łopatkami.

– Oddychaj – rozkazała.

Falko wywrócił oczami, ale zrobił głęboki wdech. Fossetta mruknęła pod nosem, widocznie niezadowolona z tego, co wyczuła.

– Siadaj mi tu.

– Ale pan...

– Panem się nie przejmuj.

Lekko pchnęła Falka na krzesło i wypełniła miskę gorącą wodą, a potem dodała do niej kilka łyżek jakiejś nieznanej Malakiemu substancji. Pokój zaraz wypełnił się ostrą wonią lawendy, eukaliptusa i rumianku. Gospodyni wzięła ręcznik suszący się na stojaku przy palenisku, dłonią pochyliła Falka nad misą i zarzuciła mu materiał na głowę.

– Pilnuj, żeby nie wylazł. – Pogroziła palcem Malakiemu. – Zaraz wracam.

Kowal skinął jej głową, z trudem żując chleb i kielbasę wypełniające mu policzki. Kobieta wzięła wodę, wino i śniadanie, po czym opuściła kuchnię.

Zapadła cisza. Słyszeć było tylko przeżuwanie Malakiego i powolne rżenie Falka.

– Wybacz mi, że byłem taki drażliwy – dobiegł spod ręcznika przytłumiony głos.

Malaki w odpowiedzi nałożył jedzenie na talerz i wsunął go przyjacielowi pod złożoną na blacie rękę. Prawie się roześmiał, widząc, jak ten maca za kawałkiem chleba, który zaraz zniknął pod kurtyną ręcznika.

– Wciąż nie łapię, dlaczego chcesz służyć na próbach – nawiązał do tematu kowal. – Przecież w pawilonie będzie się roić od szlachty.

– Mam swoje powody – wybełkotał Falko, zajadając się chlebem.

– Czasem ni w ząb nie rozumiem, co się dzieje u ciebie pod kopułą.

Falko wyjrzał spod ręcznika i łypnął na przyjaciela.

– Wiem. – Uśmiechnął się.

Malaki potrząsnął głową i odwzajemnił uśmiech, a potem gestem nakazał Falkowi wrócić pod ręcznik. Dwaj młodzieńcy siedzieli w ciszy, którą w końcu przerwał chudzielec.

– Czerwony. Smok, który odpowiedział na wezwanie ojca, był czerwony.

Malaki przełknął i zaczął słuchać.

– Mówią, że był ciemny, już gdy się pojawił. Karmazynowy, jak krew żylna.

Falko wyprostował się i zdjął ręcznik z głowy. Malaki wstrzymał oddech. Rozmawiali już w życiu o wszystkim, ale nigdy o tym.

– Z biegiem lat kolor ciemniał, a magowie go obserwowali. Symeon mówi, że mój ojciec znał prawdę. Wiedział, że jeśli jego bestia zrobi się czarna, nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko ją zabić. Powiedział mi, że smok też ma świadomość tego, co musi się wydarzyć, i że poddaje się śmierci bez walki.

– Więc co się właściwie stało? – spytał cicho Malaki.

– Tego nikt nie wie – odparł Falko. – Mówią, że w miarę jak łuski smoka robiły się coraz ciemniejsze, ojciec stawał się coraz bardziej skryty. Coraz więcej czasu spędzał na samotnych polowaniach na Opętanych w Utraconych Ziemiach. Bez pomocy, bez wsparcia wojska, tylko Aquila Danté i jego smok.

Malaki czekał, aż przyjaciel wznowi opowieść. Słyszał już wcześniej fragmenty tej historii, ale ponieważ nikt nie chciał o tym rozmawiać, nie potrafił poskładać ich w całość. Był to rozdział w historii Caer Dour, o którym mieszkańcy najchętniej by chyba zapomnieli.

– Złościł się też coraz bardziej i w końcu jego gniew doprowadził do konfrontacji.

– Konfrontacji? Z kim?

– Z magami – odparł Falko. – Mój ojciec stawał się coraz bardziej nierozsądny, wręcz niezrównoważony. – Wypowiedział te ostatnie słowa, jakby kogoś cytował. – A potem jego smok stał się czarny.

– A czarne smoki są szalone – uzupełnił Malaki, Falko zaś potwierdził skinieniem.

– Magowie zdołali obłaskawić smoka. Ale mój ojciec, zamiast pomóc im go zabić, opowiedział się po jego stronie.

Malaki wwiercał się w niego jasnozielonymi oczami.

– Zabił sześciu magów i czterech najlepszych rycerzy Caer Dour – ponowił Falko. – Ostatecznie to Symeon go powalił.

– Myślałem, że byli przyjaciółmi.

– Bo byli. – Falko nie patrzył już na Malakiego. Spoglądał w przeszłość, której nie mógł pamiętać, przeszłość, o której mu tylko opowiadano. – Smok, zanim został zabity, zdołał jeszcze ostatni raz splunąć ogniem.

– To dlatego twarz Symeona... – wyszeptał Malaki, a Falko kiwnął głową.

– Ocalali magowie uratowali mu życie, ale smok zdążył jeszcze przed śmiercią odebrać mu wzrok.

Malaki zapatrzył się w przestrzeń, wyobrażając sobie tę straszną scenę. A potem raz jeszcze osadził wzrok na Falku.

– Ty zaś zostałeś oddany w służbę jako wynagrodzenie za grzechy ojca.

– Coś w ten deseń – odpowiedział chudzielec, ścierając z twarzy kropelki naparu.

W tym momencie do kuchni wróciła Fossetta.

– Przecież kazałam ci siedzieć pod ręcznikiem – skrzyczała chłopaka.

Podeszła do kredensu po drugiej stronie pomieszczenia, wyjęła białe ceramiczne naczynie i podstawiła je Falkowi.

– Splunąć, a zdrowo! – nakazała.

Falko westchnął, ale Fossetta była nieugięta. Chłopak, ku obrzydzeniu przyjaciela, charknął i splunął do miski. Gospodyni przyjrzała się plwocinie i pokręciła głową.

– Pod ręcznik! – zaordynowała.

Falko wiedział, że spieranie się nie ma sensu. Posłał Malakiemu przelotny uśmiech, by potwierdzić, że wszystko między nimi w porządku, a potem nakrył głowę.

– A ty nie powinieneś czasem pomagać ojcu? – powiedziała Fossetta, metodycznie oklepując Falkowi plecy. – Wojsko się mobilizuje, pewnie ma pełne ręce roboty.

– Pozwolił mi zobaczyć emisariusza – uspokoił ją Malaki.

– No to chyba już widziałeś. Dam głowę, że ojcu przyda się dodatkowa para rąk.

– Ale chcemy zobaczyć go w mieście – wymówił Falko rozedrganym od uderzeń głosem.

– Kto wie, może uda się nawet z nim porozmawiać? – dorzucił Malaki.

– Jesteście już dość duzi, żeby wiedzieć, jak to zwykle wygląda – powiedziała Fossetta. – Zje śniadanie ze szlachtą i magami, a potem pójdzie prosto na próby. Do samego miasta zapanuje dopiero po południu. A jeśli odbędzie się przywołanie, to cóż, może w ogóle tego nie zrobi.

– Chyba masz rację – zrejterował Malaki. Zebrał z talerza pozostałości jedzenia i wstał od stołu. – A co się tyczy ciebie, kaszlak – podjął, pstrykając kawałkiem skórki chleba w skrytą pod ręcznikiem głowę Falka – znajdę cię w pawilonie!

Falko wzdrygnął się i ułożył palce dłoni w obelżywy gest. Malaki prychnął śmiechem, a Fossetta zdzieliła rekonwalescenta w potylicę.

– No już, sio mi stąd! – pogoniła Malakiego.

Kowal ruszył do drzwi, ale zaraz osadził go w miejscu głos Fossetty:

– Połamania nóg na próbach.

– Dziękuję, pani Pieroni – odpowiedział Malaki, raz jeszcze wyszczerzył się promiennie i już go nie było.

Fossetta zawiesiła wzrok na pustej framudze drzwi. Przestała okładać plecy Falka.

– To dobry chłopak – powiedziała, zdejmując pacjentowi ręcznik i pozwalając mu się wyprostować.

– To prawda. – Falko otarł twarz rogiem tkaniny.

– I sprawny wojownik.

Chłopak potwierdził skinieniem. Napięcie, które czuł w głowie, zelżało i oddychanie nie sprawiało mu już takiego bólu.

– Szkoda, że nie może wziąć udziału w próbach – westchnęła Fossetta.
– Każdy zna zasady. Tylko szlachcie przysługuje ten przywilej.
– Niejednemu panicykowi złołby skórę. Gdyby pokonał jakiegoś szlachcica, zdobyłby prawo do walki.

– Ach, tyle że najpierw potrzebowałyby dwóch wotów zaufania – przypomniał Falko. – Jednego od szlachciców, drugiego od wojowników. A w całym regionie nie ma wysoko urodzonego, który wbrew Belliusowi przyjąłby wyzwanie od nisko urodzonego.

– No cóż, w każdym razie powinien się taki znaleźć! – Fossetta rzuciła ręcznik na blat i przyłożyła ucho do pleców Falka. – Demon z całą armią puka do naszych drzwi, a my się zastanawiamy, komu wolno, a komu nie wolno walczyć. Beznadzieja.

– Póki życia, póty nadziei – powiedział cicho Falko.

Gospodyni wyprostowała się i palcami ujęła chłopaka za podbródek. Uniosła mu twarz i zajrzała głęboko w oczy.

– Już ja znam ten ton, Falko Danté. Mam nadzieję, że nie zamierzasz zrobić jakiejś głupoty.

„Kto, ja?” – mówił wyraz jego twarzy.

Fossetta podejrzliwie uniosła brew, a potem puściła głowę Falka.

– Co za okropne chłopaczydła. Jeden wart drugiego, jak pragnę zdrowia.

Gospodyni wróciła do paleniska, a Falko odsunął na bok misę z parującą wodą.

– Nie jestem taki pewien, czy jestem go wart – zadumał się. – Jego życie byłoby o wiele prostsze, gdybym nigdy nie stanął mu na drodze.

Falko wcale nie uważał się nad sobą. W jego głosie brzmiała pewność, z jaką stwierdza się fakt.

– Nie zawsze był barczystym dryblasem, jakim jest teraz – rzekła Fossetta, pochylona nad patelniami, które znów wróciły na piec. – Wciąż pamiętam tego zasmarkanego chłopczyka, zalewającego się łzami, ilekroć ktoś go przezwał. – Zanurzyła palec w jednej z patelni i uniosła go do ust, a potem wsypała czubatą łyżkę cukru.

Falko napełnił dwa kubki wodą i nakrył do stołu. On też pamiętał, jak inne dzieci znęcały się nad Malakim z powodu znamienia na jego twarzy.

Czasem wołali na niego „Rumiany”. Innym razem „Czerwony Diabeł”. Ale szczególnie rozstrajało go inne przezwisko – „Truskawka”. Bo podawali

wtedy w wątpliwość jego męskość.

Fossetta wróciła do stołu i wypełniła miski owsianką.

– I pamiętam kogoś jeszcze: chuderlawego mikrusa, który się za nim wstawiał. – Potrząsnęła głową, uśmiechając się do wspomnień. – Nigdy nie pojmem, skąd ty brałeś te wszystkie przezwiska, którymi obrzucałeś jego ciemiężycieli.

Falko sam się uśmiechnął.

– Duszone morele – powiedziała, nakładając do każdej miski solidną porcję.

Usiadła obok chłopaka i złapała za łyżkę.

– Nie raz i nie dwa zebrałeś solidne lanie za Malakiego de Vane’a – powiedziała. – Pamiętam, i on też to pamięta.

Falko utkwił wzrok w śniadaniu. Bez względu na to, ile zrobił dla przyjaciela, gdy byli dziećmi, w następnych latach Malaki odwzajemnił mu się po tysiącokroć. Czasem Falko wątpił, czy w ogóle dożyłby do chwili obecnej, gdyby nie imponujące rozmiary przyjaciela. Tak jest, szale tej przyjaźni były mocno przechylone na korzyść Malakiego. Lecz oto nadszedł dzień prób, a Falko postanowił, że zrobi wszystko, by je wyrównać.

3

Próby



Pawilon znajdował się na południowym skraju pola turniejowego, gdzie z podwyższonej platformy rozciągał się najlepszy widok na mające się wkrótce rozpocząć walki. Białe płótno oślepiało odbitym światłem porannego słońca, a wysoko w górze powiewał na chłodnym jesiennym wietrze smoczy proporzec Caer Dour. Dzień prób miał być dniem świątecznym, lecz radość tłumił strach, każdy wiedział bowiem, że do miasteczka zbliża się ferocka armia.

Wyglądający z pawilonu Falko powiódł wzrokiem po tłumie zgromadzonym na obrzeżach pola. Rzucił mu się w oczy brak mężczyzn w przedziale wiekowym, który znamionował największą wartość bojową. Szranki mogli podziwiać tylko ci obywatele, których członkowie rodzin brali udział w próbach. Armia została już zmobilizowana i większość mieszkańców płci męskiej obozowała teraz w głębi doliny, gotowa ruszyć do boju z Opętanymi, nim ci zanadto zbliżą się do miasta. Droga, którą obrał wróg, wiodła tylko w jednym kierunku. Jeśli nie liczyć odbiegających od szlaku pasterskich ścieżek, nie było którędy zawrócić, Opętani ciągnęli więc prosto na Caer Dour.

Uchodźcy z wiosek i gospodarstw w głębi kotliny zaczęli już napływać do miasteczka w obawie przed zbliżającym się wielkimi krokami niebezpieczeństwem. Ich przybycie uświadomiło niektórym realność zagrożenia, lecz Valencjanie byli narodem wojowników. Licząc na wsparcie ościennych regionów, Caer Dour mogło w mgnieniu oka wystawić armię w sile dwóch tysięcy żołnierzy, nawet jeśli niewielu z nich miało jakieś

doświadczenie w walce z Opętanymi, nie wspominając już o dowodzącym nimi demonie.

Nie, mieszkańcy Caer Dour nie zdradzali się ze swoimi obawami, lecz powrót Dariusa wzbudził w nich niemal namacalną ulgę. Ich mag bitewny zjawiał się w samą porę, by uratować ich przed diabelskimi szponami, mogli więc oddać się uciechom prób, zanim ostatni z wojowników ruszy do bitwy.

Wróciwszy myślami do dręczących Symeona koszmarów, Falko sam odetchnął z ulgą. Uporczywość tych snów budziła w nim ostatnio coraz większe przerażenie, choć nie był pewien, czy to przez jego własną wybujałą wyobraźnię, czy może w związku z niepokojącą bliskością Opętanych. W każdym razie był pewien, że kamień spadnie mu z serca, gdy już Dariusz powali demona. Postanowił więc skupić się na teraźniejszości. Próby rozpoczną się lada moment.

Pole turniejowe rozścielało się na płaskowyżu, gdzie skalisty krajobraz ustępował miejsca równinie zasypanej białym żwirem. Góry północnej Valencji rozrastały się z tego punktu we wszystkich kierunkach, lecz jeden szczyt wzbijał się ponad poszarpany krajobraz.

Czarna Góra – Mont Noir.

Górujący nad miasteczkiem masyw ciemnej skały był niczym milczący strażnik trzymający pieczę nad Caer Dour. To tam stały tajemne wieże magów i to właśnie tam magowie bitewni próbowali w przeszłości przywoływać smoki. A dziś w nocy, gdy wszyscy będą jeść i pić, ponownie przeżywając wydarzenia turnieju, Falko wespnie się na jej szczyt, by ujrzeć przywołanie na własne oczy. Szansa na to, by przyjrzeć się smokowi z bliska, może się już nigdy nie nadarzyć, postanowił więc wykorzystać ją za wszelką cenę. Wspinaczka na Mont Noir nie należała jednak do łatwych, zwłaszcza jeśli wspinał się ktoś taki jak Falko.

Musi wyruszyć wcześniej.

I musi to zrobić niepostrzeżenie.

– Pssst!

Wyrwany z zamyślenia chłopak prawie upuścił tacę z serowym pieczywem. Cofnął się od stołów i przeszedł na prawą stronę pawilonu, zakrytą płóciennymi płachtami.

– Podajesz ten chleb czy muchy karmisz?

Ramię Malakiego prześlizgnęło się przez szczelinę między nimi

i zręcznie porwało z tacy opasłą kromkę.

– Nie zwymiotujesz z nerwów? – spytał Falko.

– Bzdura, jestem spokojny jak tafla jeziora – odparł Malaki z pełnymi ustami.

Chudzielec uniósł brew z powątpiewaniem. Kowal zawsze zajadał zdenerwowanie.

– No dobra, może trochę się denerwuję – przyznał. – Ten cholerny Jareg. Rozsiewa wokoło uśmiechy, bryluje dobrymi manierami.

Falko rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

– No właśnie – pochwycił myśl przyjaciela Malaki. – Każdy, kto go zna, zacząłby się denerwować. Skurczybyk coś knuje.

– Może, ale ty poradzisz sobie z Jaregiem.

– Wiem, wiem. Ale co jak co, dobry jest. Zawsze trzeba liczyć się z możliwością, że będzie miał szczęście i akurat trafi, gdzie trzeba. Po prostu nie chcę wyjść na głupka.

– Nie wyjdiesz, spokojna głowa.

Malaki błysnął uśmiechem i wskazał głową tłum szykownie ubranych gości, szczelnie wypełniający pawilon.

– A tobie jak idzie?

– Dobrze – skłamał Falko.

Bellius był tak wredny, jak się spodziewali. Wykorzystał nawet obecność Falka, by mieszać z błotem Symeona. Chłopak doskonale zdawał sobie sprawę, że nawet innym służącym jest nie w smak jego obecność. Falko wykonywał polecenia wolniej i z trudem dźwigał zapełnione jedzeniem tace, ale nie skarżył się na swój los. Jeśli tą drogą znajdzie się w dogodnym miejscu o dogodnym czasie – zniesie wszystko.

– Podałeś mu już coś? Odzywał się do ciebie?

Falko pokręcił głową, podążając wzrokiem za spojrzeniem Malakiego. Pośród tłumu dostrzegli postać emisariusza.

Nazywał się sir William Chevalier i bardziej niż na dworskiego ambasadora wyglądał na zaprawionego w bojach weterana. Był wysokim mężczyzną, szerokim w barach i o ogorzałej skórze pokreślonej bliznami. Jego długie włosy przeplecione były pasmami siwizny, zuchwę pokrywał cień zarostu, a choć jego twarzy nie dało się nazwać przystojną, to swobodne usposobienie i ciepły uśmiech nadawały topornym rysom swoisty

urok i czar. Uśmiechał się teraz, tocząc rozmowę z grupą szlachciców.

– Przyszedł wcześniej do kuźni – powiedział Malaki.

– Nie! – zdumiał się Falko.

– A właśnie że tak. Dał zlecenie ojcu. Zostawił pewien przedmiot do odlania.

– Co to za przedmiot?

– Myślę, że klamra pasa. Coś podobnego do wisiora, który nosi na szyi. Tata mówi, że to nie moja sprawa, ale natychmiast zabrał się do pracy.

Falko przypomniał sobie, że rzeczywiście dostrzegł wiszący na szyi emisariusza srebrny wisior na skórzanym rzemieniu. Miał kształt małej końskiej głowy. Od czasu do czasu dłoń emisariusza unosiła się, a jego palce dotykały jej, jakby czerpał z niej otuchę. Mężczyzna wciąż się uśmiechał, ale nawet Malaki potrafił dostrzec skazę w tym uśmiechu, jakby coś nie było do końca w porządku.

– Nie wydaje się przesadnie uradowany.

– Bo nie jest – powiedział Falko.

– Mówisz?

– Uważa, że szlachcice są zbyt pewni siebie.

– Co? Czyli wątpi w to, że Darius może pokonać Opętanych?

– Nie o to chodzi. Wygląda na to, że Illicja rozesłała wici po kilku miasteczkach w okolicy. Ostrzegła je, że ferocka armia przełamała ich linie obrony.

– Naprawdę? Zrobili to? – Malaki przysunął się bliżej.

Falko potwierdził skinieniem.

– Najwyraźniej poradzono wysoko urodzonym, żeby zwrócili się do Caer Laison z prośbą o przysłanie maga bitewnego.

Malaki prychnął.

– Bellius prędzej zeżre własną nogę, niż poprosi Caer Laison o pomoc.

– Dokładnie – potwierdził Falko, a wzrok obu chłopców skupił się na wyelegantowanej postaci Belliusa Snidessona: wysokiego i przystojnego mężczyzny o lśniących czarnych włosach i nieskazitelnie przystrzyżonej brodzie. Ubrany był bogato, lecz gustownie, nawet siwizna widoczna na jego skroniach miała srebrzysty poblask. Stał teraz między Dariuszem po swojej lewej i emisariuszem po prawej stronie, niczym wyprężony na postumencie pomnik ku chwale arogancji. – No cóż, przynajmniej na

emisariuszu nie zrobił wrażenia – pociągnął Falko. – Uważa, że szlachcice wykazali się lekkomyślnością, licząc na to, że Darius przybędzie na czas.

– No ale przecież przybył – odparł Malaki, a Falko obrzucił go takim spojrzeniem, jakby przyjaciel wbił mu nóż w plecy, stając po stronie szlachty.

– Ale założmy, że by nie przybył. A gdyby coś go zatrzymało? Wówczas wysoko urodzeni podaliby Opętanym miasto na srebrnej tacy.

Malaki rozważał jego słowa, lecz cóż to miało teraz za znaczenie? Darius dotarł do Caer Dour, prawda?

– A więc to dlatego chciałeś służyć na próbach – wygłosił oskarżycielskim tonem. – Żeby podsłuchać wszystkie najnowsze plotki.

Uniesiona brew Falka nie zdradzała absolutnie nic.

– Darius wygląda zupełnie inaczej – powiedział Malaki, spoglądając na młodego, ale wywierającego niezwykle wrażenie człowieka, który znalazł się teraz w centrum uwagi.

– W pewnym sensie – odparł Falko rozkojarzonym głosem. Prawda, wydawał się dojrzały, bardziej pewny siebie, ale jego esencja, duch, ukryty w nim ogień, z którego obecności Falko zdawał sobie sprawę w sposób tak oczywisty, jak gdyby widział jego gorejący płomień, nie zmieniły się ani na jotę.

– W pewnym sensie? – zakpił Malaki. – Spójrz tylko na niego!

Trudno było nie zgodzić się z kowalem. Darius ledwie skończył dwadzieścia lat, ale miał postawę człowieka o wiele starszego. Właściwie spośród wszystkich zgromadzonych w pawilonie szlacheckich rycerzy tylko dwóch roztaczało podobnie silną aurę. Jednym był emisariusz królowej, a drugim Symeon le Roy.

Symeona posadzono tak daleko od miejsc honorowych, jak tylko pozwalał protokół, lecz Darius, gdy wszedł, zaraz odnalazł go wzrokiem i podszedł do niego. Kiedy dwaj magowie bitewni uścisnęli sobie dłonie, coś niewypowiedzianego przepłynęło między nimi, coś, czego nikt inny w namiocie nie mógłby pojąć. Lecz ten ich moment nie trwał wiecznie, ponieważ zaraz wdarł się między nich Bellius, zaznaczając swoją obecność zmyślnym komentarzem o tym, że „idzie nowe, a stare odchodzi”. Szlachcic od razu wciągnął Dariusza do kręgów, którym chciał zaimponować.

Nowy mag bitewny Caer Dour był mężczyzną średniego wzrostu

i budowy, ciemnowłosym, o twarzy jakby wykutej z marmuru, ozdobionej wydatnym, orlim nosem. Miał na sobie opończę z zielono-złotego materiału i tylko miecz oraz naramiennik zdradzały, że gotował się do bitwy. Jeśli on sam wyczuwał w powietrzu jakieś napięcie, nie dawał tego po sobie poznać. Jego błękitne oczy uśmiechały się do podekscytowanych szlachciców, on sam zaś znosił ich natarczywą uwagę z niewymuszonym spokojem.

Raptem pawilon rozbrzmiał dzikim, radosnym okrzykiem, a niezręczna atmosfera natychmiast gdzieś uleciała, gdy spojrzenia tłumu zwróciły się w kierunku pola turniejowego.

– Idą – powiedział Malaki.

Falko podszedł, by lepiej widzieć wychodzące na ubitą ziemię oddziały kadetów, każdy w towarzystwie żołnierzy nadzorujących przebieg rywalizacji.

Pierwszym oddziałem była kawaleria, sunąca naprzód w obstawie pięciu okutych w pełne zbroje rycerzy Zakonu Smoka. Jutro ci żołnierze wyjadą na spotkanie wroga, lecz dzisiaj wiedli na środek pola dziesięciu najbardziej obiecujących młodzieńców. Kadeci ustawili konie w równiutkim szyku, już na wstępie popisując się umiejętnościami, podczas gdy rycerze opuścili lance, by zaszalutować reprezentantowi królowej.

– Masz faworyta? – spytał przyjaciela Falko.

– Phi! – prychnął Malaki. – Żaden z nich nie miałby dość ikry, żeby odważyć się na *épreuve du force*.

Falko spojrzał na przyjaciela z uśmiechem. *Épreuve du force*, czyli próba sił, to wyczerpujący sprawdzian umiejętności, który pozwalał nisko urodzonym mężczyznom starać się o rycerskie ostrogi. Ci młodzieńcy byli szlachcicami, nie musieli więc przechodzić podobnej próby. Otrzymają tytuł rycerski, gdy tylko skończą dwadzieścia jeden lat.

– Będą szkolić się na oficerów, nie szeregowych rycerzy – dodał Falko. – A teraz powiedz, panie marudo, na kogo stawiasz?

Malaki popatrzył na młodych, przepełnionych nadzieją kadetów i wydał usta. Falko wiedział, że dryblas wiele by dał, by stać teraz wśród nich. Pieszko czy na końskim grzbiecie, w niczym nie ustępował żadnemu z tych uprzywilejowanych szlachciców.

– Owen jest najbardziej wszechstronny – powiedział w końcu – ale Jareg jest najlepszym jeźdźcem.

– A Gwilhem?

– Silny jak górski niedźwiedź – pokiwał głową kowal. – I podobnie bystry – dorzucił z krzywym uśmiechem.

Następnie na pole wyszli fechtmistrzowie. Z tego stylu walki słynęła Valencja: jeden na jeden z mieczem i tarczą.

Fechtistrzowie nosili na głowach barbuty z charakterystycznymi szczelinami na oczy w kształcie litery T. Ich torsy chroniły kolczugi, prawe rękawy i nogawki wzmocniono dodatkowo metalowymi płytami. Dwaj przyjaciele obserwowali ich bacznie, wiedząc, że większość z nich stanie naprzeciwko Malakiego w bitwie. Ta konkurencja była otwarta dla wszystkich, którzy ośmielili się wziąć w niej udział. Była też ostatnim i najpopularniejszym wydarzeniem dnia.

Następnie przyszła kolej na włóczników i pikinierów, którzy zostaną ocenieni pod kątem siły, stopnia opanowania technik walki bronią oraz umiejętności płynnego przechodzenia z jednej formacji do drugiej, lecz każdy wiedział, że emisariusz szuka ludzi odważnych i nieustępliwych, którzy zdołają utrzymać szyk pod naporem wroga, gdy inni na ich miejscu poszliby w rozsypkę. I choć próby nie były prawdziwą bitwą, sir William Chevalier słynął jako nieomylny sędzia charakteru.

Wreszcie na pole walki weszli łucznicy, a okrzyki z jakiegoś powodu jeszcze się wzmogły. Ze swojego miejsca Falko dostrzegł już przyczynę tego poruszenia. Z uśmiechem skinął głową na przedostatniego kadeta w linii.

– Mówiłem, że dopnie swego – powiedział.

Malaki rozpaczliwie wodził wzrokiem po tłumie kandydatów, dłonią osłaniając oczy od słońca. Większość z dwudziestu łuczników stanowili barczyści młodzieńcy, którzy wyglądali raczej jak synowie rolników niż wypacykowani szlachcice. To właśnie ich siła pozwalała im napinać potężne łuki, te zaś gwarantowały większą dokładność i zasięg. Ale kadetem, którego wskazał Falko, nie był żaden z muskularnych byczków, tylko drobniejsza postać na końcu szeregu – kobieta.

Nazywała się Bryna Godwin i była jedyną córką sir Gerallta Godwina. Jej czarną tunikę i bryczesy skrojono z wysokiej jakości skóry i obszyto czerwonymi i złotymi nićmi, tworzącymi skomplikowany, przeplatany wzór. Długie rude włosy związała rzemieniem, a rumieniec na jej policzkach kontrastował z nerwową bladością cery. Postronny obserwator

powiedziałyby pewnie, że zupełnie tu nie pasuje, ale Bryna Godwin była łuczniczką i to właśnie wśród łuczników czuła się jak u siebie.

– Odbiło jej – orzekł Malaki.

– Prawda – przystał Falko. – Ale musisz przyznać, że ma dziewczyna ikrę.

Bryna nie była pierwszą dziewczyną, która wzięła udział w turnieju, ale wedle powszechnej opinii pole bitwy nie było dobrym miejscem dla kobiety, zwłaszcza wysoko urodzonej. Sądząc po zaciętej linii żuchwy Bryny, doskonale zdawała sobie z tych opinii sprawę.

Falko sięgnął wzrokiem na drugi koniec pawilonu, szukając jej ojca.

Sir Gerallt Godwin robił wrażenie człowieka wykutego z marmuru, lecz uważny obserwator dostrzegłby na jego twarzy bruzdy będące zapisem tragicznej historii życia. Był to rycerz cieszący się dobrą sławą, który stracił dwóch synów i żonę w epidemii pewnej choroby, jaka przetoczyła się przez miasteczko kilka lat temu. Był też jednym z niewielu szlachciców, którzy mieli odwagę postawić się Belliusowi Snidessonowi.

Odnalazłszy pochmurnego mężczyznę w przeciwnym kącie pawilonu, Falko dostrzegł, że jego dłonią potrząsał, najwyraźniej czegoś mu gratulując, Julius Merryweather, szlachcic o policzkach rumianych jak dojrzałe jabłka, ubrany w przesadnie kolorowe szaty. Merryweather wydawał się szczerze uradowany tym, że Bryna przystąpiła do prób, ale wyraz twarzy sir Gerallta mówił aż nadto dosadnie, że nie pochwała decyzji córki.

Zwieńczywszy rozmowę ostatnim klepnięciem w ramię, Merryweather zostawił Gerallta i wrócił do swojego syna Tobiasa, który siedział na wózku przy jednym ze stołów. Falko uwiesił się wzrokiem na zażywnym mężczyźnie, pałającym nieposkromionym entuzjazmem, który schylił się właśnie, by otrzeć ślinę z obwisłych ust syna. Nie słyszał słów Juliusa, ale jego sparaliżowany syn poruszył się wesoło na wózku i pomachał małymi drewnianymi rycerzykami, które miał przywiązane do nadgarstków.

Szlachta nie pochwalała bezczelności Bryny Godwin, która ośmieliła się postąpić wbrew obyczajowi, ale decyzja Merryweathera, by wychować niepełnosprawnego syna, spotkała się z nieskrywaną wrogością. Nie żeby Merryweather się tym przejmował. Wszelkie docinki czy zaczepki zbywał żartami i dowcipkowaniem, choć nie sposób było ocenić, czy reagował

szczerze, czy też była to tylko dopracowana w najdrobniejszych szczegółach, nieprzepuszczalna fasada.

Merryweather powiódł wzrokiem po tłumie przed pawilonem, a potem popchnął wózek w kierunku Falka, który stał w mniej zatłoczonej części.

– Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli zostawię tu syna, mój drogi Danté? – spytał, jakby rozmawiał z kimś dorównującym mu stanem, a nie ze zwykłym służącym. – Stamtąd lasu nie widać, bo drzewa zasłaniają – dodał ze śmiechem, jakby to był żart.

– Ależ skąd – odparł Falko, odsuwając ławę, by zrobić miejsce dla nieporęcznego pojazdu. Skłamałby, mówiąc, że czuje się komfortowo w towarzystwie Tobiasa, ale nie żywił też odrazy i nie potępiał nieszczęśnika jak inni.

– Ooo, chyba się nie oprę! – wykrzyknął Merryweather, nakładając sobie smakołyków z tacy Falka, a potem spoczął na ławie obok syna.

Falko i Malaki wymienili rozbawione spojrzenia, a potem na powrót skupili wzrok na polu turniejowym.

Oflankowani przez eskortę kadeci formowali właśnie szereg przed pawilonem. Kapitanowie poszczególnych oddziałów zbliżyli się do namiotu i wyciągnęli zwoje, które natychmiast podano emisariuszowi. Badawczy wzrok sir Williama przesunął się po szyku, w miarę jak odczytywał kolejne nazwiska. Gdy skończył, zaszalował kandydatom, przykładając prawą pięść do piersi, a następnie wyciągając ją w ich kierunku. Kadeci odwzajemnili salut, a emisariusz zajął miejsce obok Belliusa Snidessona i Dariusa Voltaria.

Próby mogły się wreszcie rozpocząć.

Malaki i Falko patrzyli, jak kadeci zeszli z pola. Wzrok Falka skakał od jednego do drugiego, ale spojrzenie Malakiego skupione było na rudowłosej dziewczynie w czarnym uniformie łucznika.

– Jak myślisz, czemu to zrobiła? – spytał.

– Strzelam, że chce trenować w Furii – padła odpowiedź Falka.

– A nie po to, żeby rozzłościć ojca? – podsunął Malaki, a Falko wyjął usta.

– Niewykluczone – przyznał. – Wiesz, jaka ona jest. Zawsze lubiła stawać okoniem.

– Ale przecież nie ma szans z mężczyznami – powiedział Malaki.

– Na krótki dystans radzi sobie co najmniej tak samo dobrze jak każdy z nich – spierał się Falko. – A nawet lepiej.

– Wiem. Ale o jej wyniku zadecyduje strzelanie na czas w odległości bitewnej – upierał się Malaki. – Jej łuk jest zbyt lekki. Nie niesie dostatecznie daleko.

Falko nie miał innego wyjścia, jak tylko się zgodzić. Spojrzał na łuk, który miała przy sobie Bryna. Był dość krótki w porównaniu z bronią pozostałych kadetów, a obydwa skrzydła gryfu zaraz przy rękojeści były wyraźnie wybrzuszony w kierunku łucznika. Dzięki temu łuk niósł dalej i szybciej, wydobywając ile tylko się da ze słabszego naciągu Bryny, ale Malaki miał rację – ta broń nie mogła się równać z cięższymi łukami pozostałych łuczników. Bryna była w stanie posłać strzałę na taką samą odległość, ale po ostrzejszym zakolu, a więc ze znaczną stratą dla celności. Może uda jej się zaimponować widzom płynnością strzałów z krótkiego i średniego dystansu, ale gdy dojdzie do strzelania pod presją czasu i w odległości bitewnej, Bryna Godwin zostanie daleko w tyle za pozostałymi kandydatami.

– Tak czy inaczej – dodał Malaki smutno – ma ikrę dziewczyna.

Falko roześmiał się, usłyszawszy, że przyjaciel powtórzył jego słowa. Był to beznadziejny przypadek źle ulokowanych uczuć. Malaki był zakochany w Brynie od chwili, gdy jako mała dziewczynka weszła do kuźni jego ojca.

– Słyszałam, że robisz najlepsze groty w mieście – powiedziała wtedy tonem zupełnie niepasującym do jej młodego wieku.

Ojciec Malakiego skromnie skłonił głowę.

– Wezmę dwa tuziny – podjęła. – Przyjdę po nie jutro rano.

Ojciec Malakiego wytarł ręce w fartuch, walcząc z cisnącym się na usta uśmiechem.

– Dostaniesz dwa tuziny, panienko – odparł. – Ale gotowe będą dopiero pod koniec tygodnia.

Wyraz jej twarzy powiedział mu, że dziesięcioletnia Bryna była zaskoczona sprzeciwem mężczyzny, ale nie chciała dać tego po sobie poznać. Wyprostowała się i skinęła sztywno głową.

– A więc dobrze – rzekł ojciec Malakiego, splunął w dłoń i wyciągnął ją do klientki.

Bryna wlepiła wzrok w wielką łapę kowala i nie chcąc zdradzić się

z obrzydzeniem, napluła w swoją i przypieczętowała umowę uściskiem dłoni. A potem zarzuciła kasztanowymi lokami i znikła.

Ojciec Malakiego zwrócił się do syna. Uniósł brwi w rozbawieniu, a potem wybuchnął śmiechem, widząc malującą się na jego twarzy fascynację.

– Nie jest zbyt ładna – podjudzał przyjaciela Falko.

Kowal zapłonął rumieńcem i dał mu sójkę w bok.

– A poza tym to szlachcianka – ciągnął chudzielec, odskakując poza zasięg muskularnych ramion. – Nie wspominając już, że nie wie w ogóle o twoim istnieniu.

– Danté!

Ostry krzyk zapowiedział pojawienie się wysokiego i chudego sługi, ostrzyżonego na miseczkę i obdarzonego przez naturę małymi ustami o wąskich, gadzich wargach. Był to Ambrose, osobisty służący Belliusa Snidessona. Chłopak pełnił dziś funkcję głównego służącego, a Falka, któremu dotąd udawało się go unikać, właśnie opuściło szczęście.

– Czy ty się w ogóle nadajesz do jakiejś roboty, Danté? – wysyczał Ambrose złowróbnym szeptem. Pryszał jadowitym wzrokiem w kierunku Malakiego, ale miał pełną świadomość, że dzisiaj w pawilonie to właśnie on jest panem i władcą. Nie da się wystraszyć temu wyrosniętemu osiłkowi. – Ogarnij ten bajzel, ale już!

W tym momencie złapał chłopaka za rękaw tuniki i szarpnął go w kierunku podłogi. Może odważyłby się na więcej, ale Malaki zasunął poły namiotu, dając mu do zrozumienia, że może nawet służyć pod samą królową, ale i tak nie powstrzyma to kowala przed złożeniem mu skóry. Ambrose pojał, co się święci, i odsunął się od Falka.

– Jak tu skończysz, sprawdź na tyłach, ile mamy wina, mięs na zimno i sera – rzucił. – Jeśli już musisz się tu pałętać, przynajmniej przydaj się do czegoś.

Z tymi słowy Ambrose wtopił się w tłum i za chwilę zobaczyli, jak uśmiechnięty od ucha do ucha przypochlebia się komuś obrzydliwie służalczym tonem.

– Fuj – prychnął zde gustowany Malaki. – Chyba zwymiotuję.

Falko roześmiał się, zbierając na tacę rozrzucone jedzenie. Gdy jednak dźwignął się na nogi, poczuł na sobie ciężar czyjś spojrzenia.

Obróciwszy się, zobaczył odchylonego na krześle Symeona. Trudno było doszukać się śladu zadowolenia na jego twarzy, wykrzywionej w grymasie dezaprobaty.

– Muszę lecieć – powiedział Falko, zdjęty nagłym poczuciem winy na myśl o tym, że mógł zawieść swojego pana.

Malaki pokiwał głową.

– Widzimy się po ostatniej walce – rzekł.

Falko przez krótką chwilę tylko na niego patrzył.

– Powodzenia – powiedział w końcu. – A jeśli nadarzy się okazja, nie wahaj się walczyć z całego serca.

Malaki skrzywił się na tę nieoczekiwaną radę. A potem jego usta rozciągnął uśmiech.

– Zawsze walczę całym sercem. Dlatego jestem tak niesamowicie dobry.

Falko pstryknął w niego kawałkiem chlebowej skórki, a potem poły namiotu zamknęły się za kowalem.

4

Mamidelko



Przez następne kilka godzin Falko był tak zajęty, że prawie nie widział prób. Wczesnym popołudniem jednak większość gości skończyła już jeść, opuściła namiot i zajęła miejsca na trybunach, by podziwiać emocjonujący pokaz sprawności bojowej. To był dobry dzień dla Caer Dour – już czterech włóczyków zostało zaproszonych do Akademii Sztuki Wojennej. Wraz z nimi rozpocząć naukę miało trzech fechtmistrzów oraz nie jeden, lecz dwóch kadetów kawalerii, którzy dopiero co ukończyli szczególnie porywającą potyczkę.

Falko stał po drugiej stronie pawilonu, usiłując nie rozlać napitku w kubkach na swojej tacy. Bolały go plecy, czuł ucisk w piersi i padał z nóg, ale Ambrose krążył nad nim jak sęp i nie pozwalał choćby na moment odpoczynku. Falko zacisnął zęby, widząc, jak służący po raz piąty nalewa swojemu panu wina. Bellius był irytujący już wcześniej, ale dopiero teraz wzbił się na wyżyny nieznomości. Jego syn był jednym z dwóch kawalerzystów, których wybrano, by udali się do Furii wraz z emisariuszem.

Ta część prób zakończyła się walką pomiędzy Jaregiem i Owenem. Pojedynek ciągnął się w nieskończoność, a ciosy przeciwników chybiały celu lub rozbijały się o gardę. Nagle koń Jarega poślizgnął się i gdy wydawało się już, że walka dobiegła końca, kawalerzysta, zamiast upaść, dźwignął się w siodle i kiedy jego koń odzyskał równowagę, sparował potężne uderzenie Owena. Potyczka trwała więc dalej, ale po krótkiej chwili emisariusz wstał ze swojego miejsca i zakończył ją uniesieniem ręki.

Przywołał do siebie zmordowanych kadetów i zadał im pytanie, które pragnęli usłyszeć:

– Królowa Furii potrzebuje w swoich szeregach takich wojowników jak wy. Czy odrzucicie bogactwo i przywileje, żeby powrócić ze mną do stolicy?

Twarze obu młodzieńców jaśniały dumą i szczęściem.

– Tak – odpowiedzieli jednym głosem.

Po tłumie wciąż niósł się pomruk ekscytacji, gdy pole oczyszczono na potrzeby kolejnej konkurencji. Falko raptem poczuł, że ktoś za nim stoi.

– Jareg dobrze walczył.

Chłopak nie musiał się odwracać, rozpoznał głos swojego pana. Symeon mówił tak, jak gdyby bacznie przyglądał się walce. Przy całej swojej antypatii dla syna Belliusa Falko musiał przyznać, że Jareg ciężko zapracował na swój sukces.

– To prawda.

– A co z tobą? – spytał Symeon. – Wciąż chcesz zrobić to, co zamierzasz?

Serce Falka zamarło. Chciał zrealizować tego dnia dwa uknute w głowie plany. Symeon wiedział o pierwszym. O drugim nie wiedział nikt.

– Tak – odrzekł szeptem.

– A więc przyda ci się odpoczynek – powiedział jego pan. – Wyglądasz, jakbyś miał się zaraz przewrócić.

Symeon przywołał innego służącego, ale Falko ociągał się z przekazaniem mu tacy.

– Ambrose wypatroszy mnie żywcem.

– To nie Ambrose jest twoim panem – odrzekł Symeon. – A teraz usiądź na chwilę.

Falko poddał się Symeonowi, który obiema dłońmi osadził go na krześle. Następnie stary mag bitewny położył dłoń między jego łopatkami, a Falko poczuł znajome drżenie, jakby moc czarodzieja wypełniła jego ciało ciepłem.

– Dziękuję – powiedział, gdy ustąpił ucisk w piersi.

– Pamiętaj tylko, żeby wybrać dobry moment – poradził mu Symeon. – Gdy ostatnia konkurencja dobiegnie końca, będziesz miał tylko chwilę, żeby przystąpić do akcji. Musisz rzucić wyzwanie, zanim nastąpi oficjalne zakończenie prób.

Falko kiwnął głową ze zrozumieniem, a Symeon wrócił na swoje miejsce.

Zaczerpnąwszy kilka głębokich haustów powietrza, Falko rozejrzał się

po polu turniejowym. Ustawiono już tarcze dla łuczników i sproszkowaną kredą wyrysowano linie. Patrzył, jak dowódcy każą zawodnikom zająć pozycje. Ludzie, którzy w czasie przerwy posilali się przy stołach, przenosili się już z powrotem na trybuny. Falko uświadomił sobie, że bezwiednie zatrzymał wzrok na Tobiasie, kalekim synu Merryweathera.

Byli w podobnym wieku. Niepełnosprawność Tobiasa wprawiała ludzi w konsternację, ale Falko zawsze lubił chłopaka. Choć tkwił uwięziony w tym ciele, które odbierało mu godność, zawsze wydawał się wesoły i radosny. Nawet teraz, gdy łucznicy zajęli pozycje, dawał upust emocjom: kołysał się w przód i w tył z wymalowanym na ustach uśmiechem, machał lalkami, jakby toczyły bój, przyczepione do jego nadgarstków, dopóki jedna z nich nie odczepiła się i nie wylądowała pod stołem.

Falko poderwał wzrok, by zobaczyć, czy zauważył to ojciec chłopaka, ale Merryweather toczył właśnie ożywioną dyskusję z grupą szlachciców. Falko podniósł się więc z miejsca i zanurkował pod stół, by wydobyć drewnianego rycerzyka. Gdy wstał, Tobias utkwiał w nim spojrzenie. Strużka śliny ciekła mu po brodzie. Uśmiechał się i chichotał, gdy Falko usiłował zawiązać mu zabawkę na nadgarstku.

– Dzięuję, Mamidełko – wymamrotał Tobias, a Falko nie mógł się nie uśmiechnąć.

„Mamidełko” to przezwisko, które nadał Falkowi młody Merryweather, gdy pierwszy raz spotkali się jako dzieci. Wszyscy próbowali go poprawiać, ale Tobias był nieugięty. No i cóż to takiego – pozwolić małemu nieszczęśnikowi nazywać się innym imieniem?

– Och, Falko, to bardzo miłe z twojej strony. – Głęboki głos Merryweathera był pełen ciepła. Przejął zabawkę i kilkoma wprawnymi ruchami zawiązał ją synowi na drgającym nadgarstku.

– Mamidełko – powiedział chłopak, podnosząc rycerzyka.

– Tak – odpowiedział ojciec, raz jeszcze ocierając synowi twarz. – Ty i to twoje „Mamidełko”. – Szlachcic posłał spojrzenie Falkowi. – Ciągłe o tobie mówi. Nawet nieźle udaje twoje rzeźwienie.

Falko roześmiał się, ale bez przesadnej wesołości.

– Oczywiście nie robi tego złośliwie – buchnął śmiechem Merryweather. – Po prostu cię lubi, i tyle.

Falko uśmiechnął się i wrócił na miejsce.

– A teraz – powiedział szlachcic, siadając przy synu – zobaczmy, co też ma do zaoferowania Furii nasza panienska Godwin.

Było jasne, że Merryweather popiera decyzję Bryny, by przystąpić do próby, ale Falko rozumiał też zawstydzienie, które musiał czuć jej ojciec. Podziwiał odwagę dziewczyny, ale nie chciał, by wygłupiła się na oczach tłumu. Zwrócił wzrok w kierunku pola turniejowego, w momencie gdy łucznicy stanęli już na swoich miejscach i sprawdzali sprzęt, by ukryć zdenerwowanie.

Faworytem tej konkurencji był Allyster Mollé, młody szlachcic mierzący przynajmniej sześć stóp wzrostu. W szranki z nim stanęło kilku innych łuczników, z których najlepszym mógł być Brachus de Goyne, czarnowłosy młodzian o niemile dla oka zaciętej, porośniętej brodą zuchwie. Zawodnicy po obu stronach skinęli Brynie głowami, ale uprzejmy gest psuły protekcyjne uśmieški.

Wreszcie ustalono odległość na pięćdziesiąt jardów i dowódcy zeszli z pola. Łucznicy mieli wystrzelić po sześćdziesiąt strzał, nim ich wyniki zostaną ze sobą porównane. Strzelano seriami po sześć strzał, każdy wybrał więc wiązkę najbardziej podobnych do siebie pocisków. Następnie konkurenci podeszli do wysypanej kredą cienkiej linii.



Twarz Bryny świeciła od potu, ale gdy nakładała pierwszą strzałę na cięgiwę, jej mina wyrażała spokój i skupienie. Na końcu kredowej linii stał marszałek z uniesioną czarną flagą, czekający, aż zawodnicy przygotują się do strzału.

– Łucznicy! Strzelajcie wedle uznania! Zaczynać!

Czarna flaga zafurkotała w dół, a zawodnicy skupili uwagę na małych złotych kółkach w środku tarcz.

Tak jak wszyscy w Caer Dour, Falko zdawał sobie sprawę, jak wielkiej dyscypliny, umiejętności, koncentracji i konsekwencji wymaga łucznictwo. Bryna Godwin brylowała we wszystkich tych dziedzinach. Gdy jej strzały zaczęły wrzynać się w tarczę, stało się jasne dla wszystkich, że jej uczestnictwo w tej próbie to nie kaprys niedoroślej dziewczynki.

Wypuszczała z łuku strzałę za strzałą i choć nie każda z nich trafiała w złote pole, żaden z dwudziestu łuczników w szyku nie wraził swoich tak blisko celu, jak zrobiła to Bryna.

Falko obserwował ją, gdy nakładała kolejną strzałę i uniosła łuk. Miała rozluźnione plecy i ramiona, prawy łokieć trzymała wysoko, odciągając cięciwę tak mocno, aż jeden palec dotknął kącika jej ust. Zastygła tak na sekundę, a potem, w momencie gdy wypuszczała strzałę, zamknęła powieki – jakby w tym ostatnim, kluczowym momencie chciała odciąć się od wszystkiego, co mogłoby ją rozproszyć.

Szepty w pawilonie zdradziły Falkowi, że nie on jeden to zauważył. Szybko też przerodziły się w wiwaty, gdy ta część konkurencji dobiegła końca i Bryna otrzymała złotą szarfę za zdobycie największej liczby punktów. Falko odchylił się, ciekawy reakcji sir Gerallta na sukces córki. Dojrawszy go w tłumie, stwierdził, że choć wyraz zażenowania nie opuścił jego twarzy, oczy lśniły czymś, co mogło być tylko dumą.

Chłopak uśmiechnął się i wrócił wzrokiem do łuczników. Marszałkowie odsunęli tarcze na odległość stu jardów. Czarna flaga raz jeszcze pofrunęła w dół, w powietrzu zaświszczwały strzały, lecz gdy wystrzelono ich już pięć tuzinów i zaległa cisza, wyniki punktowe pokazały, że przy strzelaniu na większe odległości mała broń Bryny nie dorównuje masywnym łukom mężczyzn. Z pierwszego spadła na czwarte miejsce. To za mało, by zapewnić sobie naukę w akademii, a najtrudniejsza część konkurencji miała dopiero nadejść.

W pomruku tłumu dało się słyszeć zawód i niezadowolenie, tymczasem cele odsunięto jeszcze bardziej. Nieopuszczający swoich miejsc przy linii łuczniczy kręcili się niecierpliwie, czekając, aż tarcze znajdą się na ziemi, a czarna flaga po raz kolejny da znak do strzału. Nikt nie wiedział, ile wyniesie ostatnia odległość w konkurencji. Będą musieli oszacować dystans na oko. Był to jeden z elementów czyniących ostatnią fazę prób łuczniczych tak interesującą. Kolejnym była presja czasu, pod jaką zawodnicy musieli oddawać strzały.

Zasady były proste. Należało wystrzelić dwadzieścia pocisków tak szybko, jak to tylko możliwe. Konkurencja kończyła się w momencie, gdy pierwszy zawodnik dokonał tej sztuki, a zwycięzcę wyłaniano na podstawie sumy zdobytych punktów. To prawda, zasady były proste, ale zadanie – już

nie do końca. Jeśli łucznik będzie strzelał zbyt szybko, odbije się to na celności, a jeśli zbyt wolno, to nie zdąży wystrzelić wszystkich pocisków, nim uprzedzą go rywale.

Rosnące napięcie odznaczało się na twarzach zawodników. Wypełnili kołczany dwudziestoma strzałami, a potem z trwogą obserwowali coraz bardziej niknące w oddali tarcze.

– Jak myślisz, mój Danté? – zaczepił go Merryweather, nachylając się konspiracyjnie. – Chyba jest już ze dwieście jardów, co?

Falko pokiwał głową.

Łucznicy czekali, aż marszałkowie niosący tarcze znikną z linii strzału. Niektórzy zawodnicy zrobili kilka kroków do przodu, inni do tyłu, starając się oszacować odległość. Ale Bryna nie ruszała się z miejsca. Wpatrywała się intensywnie w swój cel, mocno trzymając łuk w lewej ręce. A potem jej wzrok spoczął na stojącym przy skraju kredowej linii marszałku, który uniósł swoją flagę.

Falkowi udzieliło się napięcie tłumu, gdy tak patrzył na powiewający kawałek czarnego materiału.

Po prostu daj z siebie wszystko, myślał. Ludzie rozumieją, jeśli ci się nie uda...

– Ta część konkurencji odbędzie się przy nieoznaczonym dystansie bitewnym – zawołał jeden z marszałków. – Pierwszy zawodnik, który odda dwadzieścia strzałów, zakończy próbę. Strzały wypuszczone po uniesieniu białych flag nie będą brane pod uwagę.

Zrobił pauzę, by wszyscy łucznicy przygotowali się do konkurencji, a Falko wstrzymał oddech. Zawodnicy stanęli w pozycjach z rękami na pierwszej strzale.

– Łucznicy – padła komenda – strzelać wedle uznania! – Umilkł na sekundę. A potem krzyknął: – Zaczynać!

Flaga pomknęła w dół, a trybuny wybuchnęły wiewatami. Z dwudziestu łuczników tylko dziewiętnastu sięgnęło po strzały, jedna osoba spośród nich zrobiła coś innego.

Gdy opadła flaga, Bryna odjęła rękę od kołczanu i puściła się sprintem w kierunku tarczy. To posunięcie skonfundowało pozostałych zawodników. Pierwsza strzała przeleciała nad jej głową, gdy dziewczynę od tarczy dzieliło najwyżej trzydzieści kroków. Tłum wył.

Czy tak wolno? Czy wolno jej to zrobić?

Marszałkowie milczeli. Jeden z nich wspomniał o „nieoznaczonym dystansie”, a więc nie obowiązywała linia, z której łucznicy musieli strzelać w poprzednich etapach. Bryna nie złamała więc zasad. Pędziła przed siebie, a druga salwa przeleciała nad jej głową. Musiała skrócić odległość na tyle, by zniwelować zasięg długich łuków jej konkurentów. Wówczas wynik będzie już zależał tylko od dwóch czynników: szybkości i precyzji. Większość kadetów zdążyła już wypuścić trzecią strzałę, gdy Bryna zatrzymała się z wślizgiem. Opadła na jedno kolano i poświęciła moment, by odzyskać kontenans. Potem sięgnęła za ramię, wzięła pierwszą strzałę i zaczęła strzelać. Tłum wstał z miejsc.

Jej ręce poruszały się tak szybko, że niemal rozmazywały się w powietrzu. Napinała i zwalniała cięciwę z oszałamiającą prędkością.

Falko nigdy jeszcze nie widział, by ktoś tak szybko strzelał z łuku. Zdawało mu się, że minęło najwyżej kilka sekund, nim dziewczyna zerwała się na nogi, a jej ręka wystrzeliła w powietrze. Siedem strzał przefrunęło nad jej głową, ale marszałkowie podnieśli białe flagi i wpili się wzrokiem w łuczników. Żadna z nich nie zostanie zaliczona. Bryna wypuściła wszystkie: dwadzieścia. Próba dobiegła końca.

Widzowie osłupieli. Jeszcze nie widzieli, by ktoś podszedł do tej konkurencji w taki sposób, ale nie dało się też powiedzieć, że dziewczyna złamała zasady. Po prostu nikt wcześniej na to nie wpadł. Falko dawał głowę, że Bellius był wściekły, a wielu innych szlachciców zareaguje wyniosłym oburzeniem, ale ich liczbę równoważyli ci, którzy odpowiedzieli rozbawieniem oraz którym samotna łuczniczka wyrywająca przed szereg po prostu zaimponowała. Przynajmniej jeden szlachcic wpadł w zachwyt na widok niekonwencjonalnej taktyki Bryny.

– Brawo! – darł się podekscytowany Merryweather. – Brawo! – Wesoły tłuścioszek poderwał się na nogi i klaskał, jakby jutra miało nie być.

Falko potrząsnął głową, patrząc na skupiających się w grupie marszałków. Podliczono punkty. Remis. Po długiej dyskusji, która wzbudziła fale szeptów i pomruków na trybunach, wybrano dwóch łuczników i postawiono ich przed pawilonem. Jednym był faworyt, Allyster Mollé. Drugim – Bryna Godwin.

Mamrotanie przerodziło się w gromkie okrzyki, gdy zwycięzcy zbliżyli się

do namiotu, a emisariusz wstał, by ich przyjąć. Spojrzał na Allystera i skinieniem głowy pogratulował mu świetnego wyniku. Potem skupił całą uwagę na Brynie, a w jego oczach zajaśniała jakaś nieokreślona surowość.

– Znalazłabyś się w nie lada tarapatach, gdybyś w bitwie pozwoliła wrogowi zbliżyć się na tak małą odległość, pani Godwin – powiedział.

Bryna przełknęła ślinę, a jej rumiana twarz przybrała głębszy odcień czerwieni.

– Lecz gdyby udało im się podejść tak blisko – podjął emisariusz – słono by za to zapłacili.

– Na pewno, panie – odparła Bryna drżącym głosem.

Wreszcie mina emisariusza złagodniała. Uśmiech złamał nieruchome bruzdy jego twarzy, ale gdy ponownie zwrócił się do dwojga łuczników, jego głos tchnął śmiertelną powagą.

– Królowa Furii potrzebuje w swoich szeregach takich wojowników jak wy. Czy odrzucicie bogactwo i przywileje, żeby powrócić ze mną do stolicy?

– Tak – odpowiedzieli unisono.

Allyster nie posiadał się z radości, ale Bryna, zamiast wiwatować, szukała kogoś w tłumie. Człowieka, którego uznanie wyceniała jeszcze wyżej niż pochwałę emisariusza.

Falko odchylił się na krześle, by znaleźć wzrokiem jej ojca. A potem patrzył, jak zetknęły się spojrzenia tej dwójki i jak dzielą ze sobą cichą, intymną chwilę porozumienia. Ponury grymas nie schodził z twarzy sir Gerallta, ale gdy szlachcic spojrział na córkę, kącik jego ust ledwie dostrzegalnie przemieścił się ku górze, a potem ojciec obdarzył córkę nieznacznym skinieniem. Butna postawa Bryny niemal rozsypała się w drobny mak, gdy dziewczynie zadrgała dolna warga, ale łuczniczka ani myślała zawstydzić ojca łzami. Mimo to pozwoliła sobie na uśmiech, który rozjaśnił jej twarz jak wschód słońca.

– No dobra, niech ci będzie – odetchnął Falko, jakby Malaki siedział obok niego. – Jest całkiem ładna.

5

Wyzwanie



Po raz pierwszy tego dnia Falko udał się na poszukiwanie zajęcia – lecz nie byle jakiego. Chciał wziąć się do czegoś, co będzie wymagało trzymania się blisko pawilonu, w momencie gdy próby będą dobiegać końca. A więc gdy tylko wyłoniono zwycięzców konkurencji łuczniczej i usunięto tarcze, znalazł się raptem dziesięć stóp na lewo od emisariusza, z tacą słodczy i rozmaitych alkoholi o uderzającym do głowy aromacie.

Dzień turniejowy miał się ku końcowi. Pozostała już tylko jedna konkurencja: chaotyczna i nieprzewidywalna bitwa. Dla zwycięzcy nie przewidziano co prawda pewnego miejsca w akademii, ale bitwa stanowiła ulubione zmagania tłumów. Nietrudno się zresztą domyślić, z jakiego powodu. Mogli wziąć w niej udział wszyscy, zarówno wysoko, jak i nisko urodzeni; każdy, kto uznał, że ma szansę na zwycięstwo. Była to próba przeznaczona dla wszystkich mieszkańców Caer Dour, więc nikogo nie dziwił tłum młodych ludzi, ciągnących na pole ze wszystkich stron.

Każdy z nich był uzbrojony w okrągłą tarczę i długi miecz, wykuty ze stopu białego metalu, o przytępionym i zaokrąglonym ostrzu. Choć nie wrzynał się w ciało jak prawdziwa klinga, wciąż potrafił łamać kości i zostawiać sińce na odsłoniętym ciele. Błady stop miał też tę cechę, że z czymkolwiek się zetknął, zostawiał srebrny ślad, nieocenioną pomoc dla marszałków, którzy musieli zidentyfikować „rannych” i „zabitych”.

Falko wodził wzrokiem po śmiałkach, szukając należącej do Malakiego charakterystycznej zbroi z błękitnej stali. Pancierz przyjaciela nie był

wypolerowany na błysk, tak by przypominał lustro, nie pokrywały go grawerunki ani nie był inkrustowany srebrem czy złotem. Nie licząc lekkiego połysku od oliwy, wyglądał tak samo jak tego dnia, w którym został wykuty. Specyficzny błękitny poblask informował zbrojmistrza o tym, że metal osiągnął właściwą temperaturę, zachowując przy tym elastyczność, ale i twardość, która ocali noszącego przed ciosami przeciwnika, nie licząc może tych najbardziej morderczych.

Malaki wykuł swoją zbroję własnoręcznie i nikt nie miał wątpliwości, w jakim fachu czeka go świetlana przyszłość.

Otóż to, pomyślał Falko, lustrując tłum. Malaki byłby dobrym kowalem, ale jeszcze lepszym wojownikiem. Aby to osiągnąć, musi zrobić tylko jedno – zwyciężyć w bitwie. A resztą zajmie się Falko.

Gdy wreszcie wypatrzył przyjaciela na polu turniejowym, odetchnął z ulgą.

Nadejścia Malakiego nie sposób było nie zauważyć. Niektórzy posyłali mu przyjacielskie, choć zarazem zdradzające obawę uśmiechy, inni z grzeczności odwzajemniali skinienia, a wielu szlachciców udawało jak umiało najlepiej, że w ogóle go nie widzi. Syn Belliusa, Jareg, gapił się na Malakiego z nieskrywaną pogardą. Był odosobniony w swoim przekonaniu, że dorównuje Malakiemu. Mylił się oczywiście, ale był zbyt zarozumiały, by zdawać sobie z tego sprawę.

Młodzi mężczyźni wciąż wodzili dookoła zaciekawionym wzrokiem, by ocenić sprawność i stopień zagrożenia ze strony przeciwników, gdy przed pawilon marszałkowie wytoczyli wielkie kowadło. Uderzenia młotem rozpoczynały poszczególne etapy bitwy. Była to wieloletnia tradycja, honorowana w Caer Dour od pokoleń. Gdy kowadło znalazło się na miejscu, marszałkowie przywołali do siebie wojowników, ci zaś zgromadzili się wokoło, by wysłuchać słów ich rzecznika.

– Mieszkańcy Caer Dour – zaczął – wszyscy znacie reguły bitwy.

– Nie ma żadnych! – zawył tłum jak na komendę. Był to powtarzany rokrocznie żart, na stałe zrośnięty z tradycją.

Marszałek uśmiechnął się pobłaźliwie, a potem podjął:

– To otwarty turniej, w którym każdy walczy za siebie.

Z tłumy dobieły się okrzyki i wiwaty, jakby mężczyźni chcieli ukrócić nudną przemowę rzecznika.

– Bitwa jest podzielona na cztery rundy. Każda z nich rozpoczyna się uderzeniem w kowadło.

Wszyscy spojrzeli na potężną bryłę żelaza i na krzepkiego mężczyznę, który stał przy niej z młotem w rękach.

– Każdy, kto spędzi na ziemi więcej niż pięć sekund, zostanie wyeliminowany.

– Uuu! – zawołał z trybun niezadowolony tłum.

– Wyeliminowany zostanie także każdy, kto odniesie poważne rany.

– Uuu! – rozległo się wołanie po raz wtóry i nawet uczestnicy potyczki uśmiechnęli się, słysząc, jak bardzo widzowie zlaknieni są krwi.

– I... – pociągnął marszałek, upewniając się, że ściągnie na siebie baczność uwagi wszystkich. – Każdy, kto po zakończeniu rundy będzie nosił srebrny ślad w okolicy żywotnych punktów ciała, również zostanie wyeliminowany.

– Uuu! – zahuczeli zebrani, lecz tym razem ucichły chichoty, a uśmiechy spełzły z ust uczestników. Marszałkowie zajęli pozycje na obrzeżach pola bitwy, gotowi obserwować potyczkę pod wszystkimi możliwymi kątami.

Falko poczuł przy sobie znajomą obecność.

– Teraz wszystko w rękach Malakiego – rzekł Symeon.

Falko pokiwał głową. Jego żołądek skręcał się z nerwów.

– Wygra – odpowiedział. – Nikt nie może się z nim równać.

Symeon potwierdził skinieniem. Nie tylko Falko wierzył w bojowe zdolności Malakiego.

Wreszcie bitwa miała się zacząć. Uczestnicy rozproszyli się w równych kilkujardowych odstępach po wyznaczonym obszarze. Ich pozycje były najzupełniej losowe i Falko nie bez ukłucia satysfakcji zauważył, że Jareg uplasował się po przeciwnej stronie pola względem Malakiego.

Nałożono hełmy, założono tarcze i uniesiono miecze, ale gdy ostatni wojownicy wybierali pozycje, Falka naszło przemożne uczucie, że coś jest nie tak. Kilku uczestników bitwy skupiło się zbyt ciasno wokół kowala. On sam najwidoczniej wybrał sobie jednego lub dwóch, których planował zaatakować, lecz inni, którzy tylko udawali, że wzięli na cel kogoś innego, zdecydowanie za często łypali w jego stronę. Falko skrzywił się, a szkło na jego tacy zadrżało złowroźnie.

– Co się dzieje? – spytał Symeon.

– Odstępy – powiedział Falko, wskazując je ręką. – Nie tak to powinno

wyglądać. Przysięgnęłbym, że oni zamierzają...

Słowa chłopaka zagłuszyło dzwonienie kowadła. Zaczęło się.

Na oczach Falka Malaki rzucił się naprzód, zablokował mieczem wyprowadzone od dołu uderzenie, a potem z impetem natarł tarczą na swój pierwszy cel. Zaatakowany biedak stracił równowagę, a Malaki kopnięciem wygarnął spod niego nogi, a potem „dobił” powalonego przeciwnika.

Wszystko to stało się niesamowicie szybko; Malaki już zwracał się ku drugiemu mężczyźnie, gdy raptem wybił go z rytmu niespodziewany atak. Zareagował jednak płynnie i prędko, sparował cios tarczą, okręcając się, by błyskawicznie wyprowadzić kontratak. Lecz gdy usiłował to zrobić, trzech pozostałych wojowników rzuciło się na niego jednocześnie. Odbił pierwszą klingę własnym mieczem, ale dwie pozostałe dosięgły celu. Jedna chlasnęła go mocno w tył uda, druga cięła nisko, bezbłędnie odnajdując szczelinę pancerza. Malaki odskoczył i zawirował, szukając okazji do uderzenia, ale „ranę” już odniósł. W dwóch krytycznych miejscach na jego ciele widniały srebrne ślady. Przeciwnicy wycofali się, szukając innych wojowników – tych, którzy wciąż jeszcze mieli szansę na zwycięstwo.

Malaki został wyeliminowany.

– Obskoczyli go jak wściekłe psy! – Falko nie wierzył własnym oczom. – Wszyscy czterej rzucili się na niego jednocześnie!

Chłopak poczuł, że ktoś bierze od niego tace, której zawartość już dawno znalazła się na podłodze. Wlepiął wzrok w Malakiego – ten stał w osłupieniu pośród chaosu bitwy i przez chwilę jakby nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. A potem dotarł do niego jeden z marszałków i wyprowadził go spomiędzy walczących ludzi. Oszołomiony Malaki pozwolił zaprowadzić się na bok, gdzie czekał na niego jego ojciec, Balthazak de Vane.

Serce podskoczyło Falkowi w piersi, gdy patrzył, jak stary kowal zdejmuje synowi hełm i zamyka chłopaka w niedźwiedzim uścisku. Gdzieś z oddali dobiegło go metaliczne dzwonienie. Był to sygnał obwieszczający zakończenie pierwszej rundy. Młot jeszcze trzy razy uderzał o kowadło, a Falko wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Jego wielki plan, jego wielki gest przyjaźni – wszystko spaliło na panewce. Malaki miał wygrać. Jak to się stało, że wszystko tak się popsuło?

– Przykro mi, Falko.

Chłopak poczuł na ramieniu dłoń Symeona. Z wolna zaczął otrząsać się

z odrętwienia. Patrzył, jak marszałkowie prowadzą przed pawilon zwycięzcę bitwy.

Jarega.

Bellius wyszedł przed szereg i zaczął oklaskiwać syna, otoczonego stadkiem przyjaciół. Wszyscy celebrowali jego wygraną, ale i ryczeli ze śmiechu. Cóż takiego wydarzyło się na polu bitwy, co tak im się spodobało?

Jareg wyszedł z grupy przyjaciół, podniósł wzrok na ojca i wyciągnął palec, jakby karmił niesforne dziecko. Bellius przyłożył dłoń do piersi i uniósł niewinnie brwi, jakby mówił: „Kto, ja?”.

Falko zrozumiał, co się święci.

Bellius planował to od początku. Jakimś sposobem skłonił kilku zawodników, by „wybrali” Malakiego jako swój pierwszy cel w bitwie. Zanim stało się jasne, co się dzieje, było już za późno – Malaki został pokonany.

Chude dłonie Falka zacisnęły się w pięści, lecz gdy zwrócił się w kierunku Belliusa, poczuł, jak palce Symeona zaciskają się na jego ramieniu.

– Nie, Falko – zabronił mu stary mag bitewny. – Nikomu się w ten sposób nie przysłużysz.

Falko usiłował się wyrwać, lecz nawet stary Symeon bez trudu osadził w miejscu wątlego sługę. Chłopak zagryzł swoją frustrację i odwrócił się plecami do wiwatujących. Nie widział ani złości na twarzy Dariusa, ani obrzydzenia na twarzy sir Williama. Czuł tylko przemożne rozczarowanie, swoje i swojego przyjaciela. Nawet widzowie nie wiwatowali z takim entuzjazmem jak zwykle po zakończeniu ich ulubionej konkurencji.

Wreszcie Bellius wyszedł naprzód, by zwrócić się do tłumu. Był tak namiętny, że Falko mógłby przysiąc, że zaraz pęknie.

– Ludu Caer Dour – zaczął – oto nastał wielki dzień. Nie tylko jedenastu spośród naszych najlepszych wojowników zostało przyjętych do Akademii Sztuki Wojennej, lecz także wrócił ten, który opuścił nas, żeby odbyć szkolenie w jej szacownych murach.

Tłum zawył, gdy Darius podniósł się z miejsca.

– Minęło wiele lat, odkąd cień szaleństwa zszargał reputację naszego miasteczka.

Więcej niż tylko kilka osób spojrzało w tym momencie na Falka.

– Lecz dzisiaj ta hańba została zmaszana. Dzisiaj witamy w domu naszego czempiona, najlepszego maga bitewnego, jakiego znało Caer Dour. Dariusa Voltaria!

Wyraz twarzy maga świadczył o tym, że czuje się zażenowany przesadzonymi pochwałami Belliusa, ale uniósł dłoń, by pozdrowić wyjącego tłum.

– I nie mógł wybrać lepszej chwili, żeby do nas powrócić – ciągnął Bellius poważnym tonem, kiwając smętnie głową. – Nie sposób wątpić w to, że ręka losu pokierowała wydarzeniami. Albowiem w tej właśnie chwili ferocka armia ciągnie na nasze miasto, a wojskom Opętanych przewodzi demon.

Radosny entuzjazm tłumu wyparował, gdy szlachcic przypomniał ludziom o niebezpieczeństwie, które nieprzerwanie zbliżało się do ich domów.

– Tak, dobrzy ludzie, to wszystko prawda, lecz nie lękajcie się, oto bowiem los się do nas uśmiechnął. W toku prób wyłoniony został wojownik zdolny stawić czoła demonowi, który z wielką ochotą zawładnąłby naszymi duszami.

Bellius dopiero się rozkręcał, ale Falko nie słyszał ani słowa. Nie czuł nic poza gorzkim bólem rozczarowania i narastającą nienawiścią.

– Ferocka armia przełamała illicyjską linię obrony – piał dalej Bellius. – Ale nie złamie ducha Valencjan. I dziś przekonaliśmy się na własne oczy dlaczego. Wojownicy Valencji są najlepsi w całych Siedmiu Królestwach. Dziś walczyliśmy w duchu przyjaźni i zdrowego współzawodnictwa. Lecz jutro wielu z was ruszy do walki, w której stawką będzie nasze przetrwanie. Przeto ogłaszam ten dzień dniem szczególnie radosnym, świętem pośród wszystkich świąt, dniem tryumfu. Próby zaś uważam za oficjalnie zakończ...

– Stop!

To jedno słowo zabrzmiało głośno niczym grom i ludzie zaczęli rozglądać się za tym, kto je wykrzyczał. Obrzucili spojrzeniem sir Williama Chevaliera, potem Dariusa i Symeona. Ale nikt nie patrzył w kierunku Falka Dantégo.

Rozeźlony tym, że ktoś śmiał mu przerwać, Bellius otworzył usta, by podjąć tam, gdzie skończył.

– Stop! – powtórzył Falko i tym razem nikt już nie miał wątpliwości, kto się odezwał.

Ludzie gapili się na niego, nie dowierzając, ale Falko o nic już nie dbał.

– Próby jeszcze się nie zakończyły – wycedził, świdrując Belliusa wzrokiem. – Zgłaszam ostatnią konkurencję.

– Ty? – powiedział Bellius głosem nasyconym pogardą. – Ty zgłaszasz konkurencję?

– Tak.

Szlachcic był wściekły. Najwyraźniej uznał propozycję za absurdalną, ale każdy wiedział, że Falko – sługa czy nie – miał święte prawo zgłosić ostatnią próbę.

– Słuchamy więc. – Bellius uśmiechnął się szyderczo. – Kogo chcesz wyzwąć na pojedynek?

– To nie ja wyzwę kogoś na pojedynek – skorygował Falko. – Zgłaszam w tym celu inną osobę.

– Kogo? – warknął Bellius, a jego ton nie pozostawiał wątpliwości, że jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Malakiego de Vane’a.

– Syna kowala? – prychnął Bellius, lecz teraz jego wredny uśmiezek zdawał się nieco mniej szczery. – Tego samego, który odpadł w pierwszych sekundach bitwy?

– Zgadza się.

– Cóż mogę rzec? – Bellius rozejrzał się po zebranych, jakby spodziewał się, że każdy z podobnym lekceważeniem odniesie się do roszczeń sieroty. – Żeby zgłosić próbę – podjął, gdy jednak nikt się nie odezwał – potrzebujesz dwóch wotów zaufania, jednego od wojownika, drugiego od szlachcica.

Jego uśmiech znowu się poszerzył. Był pewien, że nikt nie poprze chłopaka, i już miał odrzucić wniosek, gdy Symeon wyłuskał się z tłumu i stanął u boku swojego sługi.

– Głosuję za wyzwaniem dla Malakiego de Vane’a.

Pawilon wypełniły szepty i stłumione okrzyki zdumienia. Przyciszone mamrotanie rozlało się także po widowni, gdy dotarła do niej wieść o dodatkowej konkurencji.

Kątem oka Falko zobaczył, jak ojciec Malakiego prowadzi syna przed pawilon. Młodzieniec wciąż wyglądał na skrajnie przygnębionego.

Spojrzenie, jakim obrzucił Falka, zdawało się sugerować, że nie ma ochoty zrobić z siebie durnia dwukrotnie w ciągu jednego dnia. Falko zignorował jego niewypowiedzianą prośbę.

– Dobrze, już dobrze! – warknął Bellius, który nie mógł uwierzyć, że ta farsa zaszła tak daleko. – Mamy jeden głos od wysoko urodzonego, teraz potrzebujesz...

– Nie zrozumiałeś mnie! – przerwał mu Symeon. – Nie udzielam swojego głosu jako szlachcic, lecz jako członek kasty wojowników.

– Ale twoja posiadłość? – sprzeciwił się Bellius. – Twoje bogactwo i ziemie?

– Podarunki – wyjaśnił Symeon. – Podarunki od dawno zmarłego przyjaciela.

Bellius roześmiał się, udając wesołość, której przeczyły zmrużone wrednie oczy.

– A więc dobrze, potrzeba nam teraz głosu szlachcica. – Rozejrzał się po wysoko urodzonych, a w jego oczach jaśniała cicha groźba. – Kto poprze to wyzwanie?

– Ja! – powiedział Falko.

Niedowierzanie odbiło się echem po pawilonie. Wszystkie spojrzenia ponownie skupiły się na wychudzonym chłopaku.

– Co? – zapowietrzył się Bellius. – Jesteś sługą!

Kilku szlachciców prychnęło z pogardą, jakby cała sprawa była tylko niesmacznym żartem, lecz wówczas głos zabrał Symeon.

– Znowu jesteś w błędzie, Belliusie – spokojny głos maga poniósł się po pawilonie. – Falko Danté nie jest sługą, lecz synem lorda. Służy mi z wyboru, nie z musu.

Ludzie rozdziawili usta w osłupieniu. Ustały nawet szepty, ale Bellius gotował się ze złości.

– Nałożono na niego obowiązek usługiwania Symeonowi w ramach zadośćuczynienia za zbrodnię jego ojca!

– Nie, Belliusie – zaprzeczył ze spokojem Symeon. – Wcale nie. Trafił pod moją opiekę na mocy porozumienia między mną a jego ojcem.

– Ależ to niedorzeczne! – zapowietrzył się Bellius. – Każdy wie, że służy ci od lat.

– Zgadza się, lecz z wyboru, a nie dlatego, że ktoś mu kazał. Falko

wywodzi się ze szlacheckiego rodu i jego głos się liczy.

Bellius wodził ciemnymi oczami od Symeona do Falka. Wyglądał jak zapędzone w kozi róg zwierzę i przez krótką chwilę zdawało się, że straci głowę. Lecz wówczas przywołał na twarz swój zmijowy uśmiech.

– Niech tak będzie. Wyzwanie wejdzie w porządek prób. Niech wyzywający się zbliży.

Falko odwrócił się od Belliusa, gdy Balthazak lekko popchnął syna w kierunku pawilonu. Stary kowal był tak samo zadziwiony jak wszyscy na wieść, że Falko zachował swoje szlachectwo, ale nie miał zamiaru zmarnować szansy na polepszenie sytuacji syna.

Malaki stanął przed pawilonem z wyrazem zdumienia na twarzy. Chyba nie uświadamiał sobie, że znalazł się w absolutnym centrum uwagi. Wlepiął wzrok w osobę, o której myślał, że ją znał. Która była jego przyjacielem, odkąd pamiętał. Jego ściągnięte brwi nie wróżyły dobrze Falkowi, a w ciemnobrązowych oczach płonęło niebezpieczne światło. Lecz raptem Malaki ujrzał w twarzy przyjaciela coś, co wygładziło zmarszczone czoło i przytłumiło to światło.

Zobaczył w niej strach. Nie przed reperkusjami ze strony szlachty, ale przed tym, że Falko nie przemyślał tego jak należało i że dokonał złego wyboru. Że właśnie stracił przyjaciela.

Falko oddychał z trudem, czując na sobie wzrok Malakiego, ale po chwili rysy twarzy przyjaciela również się wygładziły i coś na kształt uśmiechu błysnęło mu w oczach. Ten uśmiech mówił: „Aleś ty durny, Falko Danté. Jak już będzie po wszystkim, łeb ci urwę!”.

– A więc, panie de Vane... – Bellius nieprzyjemnie przeciągał sylaby. – Czy wybierzesz rycerza, który stanie z tobą do walki, czy też ma to zrobić za ciebie twój schorowany paniczyk?

Malaki przesunął wzrokiem po możliwych. Byli wśród nich znakomici wojownicy, ale nie sądził, by któryś podjął wyzwanie wbrew Belliusowi. Mógłby poważnie się na to sir Gerallt Godwin, ale Malaki nie chciał stawiać ojca Bryny w kłopotliwym położeniu.

Raz jeszcze ciszę przerwał Falko:

– Ja wybiorę mu przeciwnika.

Bellius uśmiechnął się i machnął ręką, jakby nie robiło mu to różnicy. Przecież to on, Bellius Snidesson, miał w garści szlachtę Caer Dour.

Zapadła niezręczna cisza. Wszyscy wiercili Falka wzrokiem. On zaś rzucił Malakiemu ostatnie zdecydowane spojrzenie, a potem utkwiał wzrok w Belliusie, lecz szlachcic milczał i czekał. Cisza ciągnęła się jak smoła i gdy Bellius uniósł niecierpliwie brwi, Falkowi nagle zaschło w ustach. A potem oblizał wargi i przemówił:

– Wybieram sir Williama Chevaliera. Wybieram królewskiego emisariusza.

6

Sługa czy szlachcic



Jeśli wcześniej zebranych zdziwiło to, co wydarzyło się do tej pory, to teraz, gdy usłyszeli, kogo Falko wyznaczył do konkurencji, ogarnęło ich całkowite i absolutne zdumienie. Oto bowiem królewski wysłannik z Furii miał stanąć do pojedynku z synem prowincjonalnego kowala. Nawet Belliusowi zaparło dech.

– Ale... co to... przecież... – bełkotał bez ładu i składu.

Z jego ust wydobył się krótki, nerwowy śmiech, lecz ostatni ślad rozbawienia dawno już opuścił jego twarz. Kiedy wydawało się, że zebrał się w sobie, i otworzył usta, by coś powiedzieć, za jego plecami zamajaczyła wysoka postać. Spojrzenia wszystkich skupiły się na sir Williamie Chevalierze.

Emisariusz minął Belliusa i stanął dwa kroki przed Falkiem, który dopiero teraz uprzytomnił sobie, jak wielkim mężczyzną jest Chevalier. Mimo to nie cofnął się, podniósł wzrok i spojrzał prosto w surowe szare oczy.

– Jak ci na imię, chłopcze?

– Falko, panie. – Nigdy jeszcze nie czuł takiej grozy. – Falko Danté.

– Danté? – powtórzył emisariusz, jakby słyszał już wcześniej to imię.

– Tak – powiedział Bellius z za jego pleców. – To syn Aquili Dantégo, człowieka, który zhańbił to miasto.

Żrenice emisariusza drgnęły, ale poza tym drobnym gestem irytacji kompletnie zignorował uwagę Belliusa.

– Dlaczego ty sam nie bierzesz udziału w próbach? – spytał.

– Ha! – prychnął Bellius, a po tłumie możliwych przebiegły szydercze śmiechy, jakby sama ta myśl była czymś absurdalnym.

– Falko posiada wiele talentów – wstawił się za chłopakiem Symeon.

– Oczywiście – powiedział Bellius. – Jeśli zamiast miecza dać mu wierzbową witkę, może wytrzyma kilka sekund pojedynku, zanim zakasze się na śmierć. – Szlachcice podchwycili kpinę, a Falko spuścił głowę. – Pan Danté jest słabego zdrowia – wyjaśnił Bellius. – Jego choroba ma nazwę, ale najprościej byłoby ją określić jako ciężki przypadek zniewieściałości.

Kolejne śmiechy wyrwały się z tłumu, lecz wielu widzów pochyliło głowy, usłyszawszy okrutne docinki Belliusa.

– Falko choruje na szkarłatnicę – powiedział Symeon, a wyraz jego twarzy wyklarował Belliusowi, że najlepiej zrobi, jeśli przestanie znęcać się nad chłopakiem. – Nieustępliwe schorzenie dręczy go od dziecka.

Usłyszawszy to, emisariusz przesunął wzrok nieco wyżej, na czoło chłopca, gdzie pod linią włosów dostrzegł czerwonawą wysypkę. Kąciki jego ust opadły w dół, zmrużył podejrzliwie oczy, jakby miał powody, by wątpić w tę diagnozę.

I ta wątpliwość, którą Falko wyczytał w jego oczach, zaboląła go bardziej niż poniżenie, jakiego zaznał od Belliusa, ale chłopak dawno już pogodził się z niedostatkami swojego ciała. Powątpiewanie i drwiny nie były dla niego niczym nowym, uniósł więc głowę i raz jeszcze spojrzął emisariuszowi prosto w oczy.

– Co chcesz osiągnąć tym wyzwaniem, panie Danté? – zapytał królewski wysłannik.

– Nie chcę niczego, a przynajmniej nie dla siebie.

– A co chcesz w ten sposób dać swojemu przyjacielowi?

– Chcę jedynie, żebyś ocenił go sprawiedliwie, tak jak oceniłbyś każdego innego człowieka, który przystąpiłby dzisiaj do prób. I jeśli wygra, żebyś rozważył zabranie go ze sobą do Furii.

Zewsząd rozbrzmiały odgłosy niedowierzania, ktoś stłumił okrzyk, ktoś inny zakrztusił się powietrzem. Emisariusz tylko się uśmiechnął.

– Jeśli wygra? – spytał, szczerze rozbawiony.

Oburzony jego wesołością Falko pokiwał głową.

– Straci miecz w minutę – powiedział Chevalier ze stalowym błyskiem w oku.

– W dwie minuty ten miecz znajdzie się przy twoim gardle – powiedział Falko, zdumiony tym nagłym przyływem własnej odwagi.

Emisariusz namyślił się chwilę nad tą przechwałką, a uśmiech wrócił na jego usta.

– A skąd pewność, że wysłannik królowej podejmie twoje wyzwanie?

Przynajmniej jedno pytanie, na które Falko był przygotowany. W odróżnieniu od Valencji, gdzie wciąż obowiązywało prawo szlacheckie, Illicja była merytokracją. Oznaczało to, że wysiłki i osiągnięcia były tam cenione bardziej niż ród, do którego się należy.

– Jesteś Illicjaninem – odparł chłopak. – Nie zlekceważyłbyś wyzwania, choćby rzucił ci je najlichszy z chłopów.

Emisariusz przez dłuższą chwilę patrzył Falkowi w oczy. A potem uśmiech spełził z jego ust.

– Dostaniesz swoje dwie minuty – powiedział. – Jeśli po ich upłynięciu twój przyjaciel wciąż będzie trzymał miecz, zastanowię się, czy zasługuje na miejsce w akademii.

Falko czuł się tak, jakby jego serce miało zaraz dostać skrzydeł i wyfrunąć mu z piersi.

– Ale – zaznaczył emisariusz – będziemy walczyć prawdziwymi mieczami. To żadne osiągnięcie zachować miecz w starciu, które nie może skończyć się śmiercią. Taki jest mój warunek.

Falko nie spodziewał się takiego obrotu spraw, ale było już za późno, by się wycofać. Nawet nie patrząc na Malakiego, pokiwał zdecydowanie głową.

– Niech więc tak będzie – powiedział emisariusz, odpinając płaszcz. Następnie zwrócił się do Belliusa, jakby decyzja została już przypieczętowana: – Dwie minuty.

– Ale... ale... – zająknął się Bellius, lecz miał świadomość, że nie zdoła już odwieść emisariusza od pojedynku.

Wysłannik przeszedł na skraj pawilonu. Mieszkańcy Caer Dour zgromadzili się naokoło, formując okrągłą arenę dla dwóch walczących.

– Kto użyczy kowalowi miecza? – rzucił emisariusz w tłum, gdy odpinał swój pas.

– Może wziąć mój – zaoferował Symeon, podając miecz Falkowi.

Falko uśmiechnął się do niego. Miecz w jego ręku zdawał się dźwięczeć wysoką, czystą nutą, jakby z czymś rezonował. Chłopak zawahał się,

a Symeon obrzucił go badawczym spojrzeniem.

Falko przywołał się do porządku i wróciwszy myślami do powierzonego mu zadania, spojrzął na przyjaciela z wysokości pawilonu i rzucił mu miecz, ale ciężki kawał stali wylądował w połowie drogi. Widzowie śmiali się, gdy Malaki schylił się, by podnieść go z ziemi. Gdy się wyprostował, skierował wzrok na Symeona i podziękował mu dyskretnym skinieniem. A później spojrzął na Falka.

„Jeśli nadarzy się okazja, nie wahaj się walczyć z całego serca”.

Więc to o to ci chodziło...

Brązowe oczy Malakiego lśniły; było oczywiste, że nie zamierza zmarnować okazji, by odzyskać nieco nadszarpniętej w czasie bitwy dumy. Z uczuciem graniczącym z nabożną czcią zawiesił pas z pochwą na rogu pawilonu, a potem ruszył, by zająć pozycję na arenie.

Emisariusz znalazł się na środku platformy, z której dwa szerokie stopnie prowadziły na pole turniejowe. Gdy przerzucił miecz z jednej ręki do drugiej, Falko zauważył coś – i ten widok sprawił, że oddech uwiązł mu w piersi. Małe insygnia wytrawione w mieczu pod rękojeścią. Nikt inny chyba nie zwrócił na to uwagi, a jeśli zwrócił, najwidoczniej nie wiedział, co one oznaczają. Był to stylizowany rysunek trzech górskich szczytów, emblemat zakonu rycerskiego o legendarnej reputacji.

Znak Nieugiętych.

William Chevalier należał do jednej z najpotężniejszych formacji wojskowych, jakie znał ten świat.

O cholera! – rzuciło się Falkowi na myśl. Co ja zrobiłem?

Krew odpłynęła mu z twarzy, gdy patrzył na wysłannika idącego w kierunku Malakiego. Przyjaciel wydawał się osobliwie spokojny, a Falko musiał z całych sił zdusić potrzebę, by ostrzec go krzykiem. Może to lepiej, że nie wie, z kim zaraz przyjdzie mu skrzyżować miecze.

Dwaj marszałkowie zbliżyli się do wojowników, niosąc elementy pancerza, ale emisariusz odpędził ich gestem. Chce więc walczyć, polegając tylko na tej ochronie, jaką zapewnia jego codzienne ubranie. W odpowiedzi Malaki zrezygnował z hełmu, który wyciągnął w jego stronę ojciec. Reakcja tłumu wskazywała, że widzowie uznali to za głupotę.

Wreszcie dwaj mężczyźni stanęli naprzeciwko siebie. Emisariusz rzucił wzrokiem w kierunku pawilonu. Dwaj kolejni marszałkowie stali tam

z dwiema świecami: jedną zwykłą, zapaloną, i drugą cieńszą, zatknietą na pięknie wykonanej metalowej tacy. Ta cieńsza stopi się dokładnie w ciągu dwóch minut, czekali tylko na znak, by odpalić ją od tej pierwszej.

– Jestem gotowy – zasygnalizował Chevalier, a potem skupił wzrok na przeciwniku.

– Panie i panowie, przed nami wolny pojedynek pomiędzy Malakim de Vane'em i sir Williamem Chevalierem z Eltz – ogłosił ten spośród marszałków, który wcześniej objaśniał zasady bitwy. – Pojedynek obłożony jest limitem czasowym. Jeśli po dwóch minutach pan de Vane wciąż będzie dzierżył swój miecz, zostanie ogłoszony zwycięzcą.

Lud Caer Dour wstrzymał oddech.

– Czy jesteście gotowi?

Dwa skinienia głowami.

Do cienkiej świecy przyłożono grubą, płomień przeskoczył z knota na knot.

– Do ataku! – krzyknął rzecznik i dwaj mężczyźni rzucili się na siebie z taką szybkością, jakiej chyba nikt się po nich nie spodziewał.

Pierwsze zetknięcie dwóch kling było tak prędkie i brutalne, iż Falko był pewien, że jest już po Malakim. Syn kowala był potężnym mężczyzną, lecz wciąż jeszcze bardzo młodym, ale w błędzie był ten, kto myślał, że może spodziewać się od emisariusza taryfy ulgowej.

Sir William naparł naprzód, wyprowadzając serię potężnych ciosów. Malaki cofał się przed nimi tak szybko, że zebrany wokoło tłum musiał się przed nim rozstąpić, lecz nagle między jednym a drugim ciosem rozpędzonej klingi przeciwnika Malaki sam złożył się do ciosu. Zdawało się, że celuje w szyję Chevaliera, ale w ostatniej chwili jednym ruchem nadgarstka zmienił tor lotu ostrza, tak jakby chciał odrąbać mu nogę w kolanie.

Każdy cios rozbijał się o pewny i niewzruszony blok, lecz mimo to surowa siła Malakiego zmusiła teraz emisariusza do cofnięcia się przed naporem. Krok za krokiem posuwał się w tył, a tłum otwierał się przed nim.

Falko uśmiechnął się, tknięty nagłym przyływem satysfakcji. Malaki był w swoim żywiole i przez chwilę wyglądało na to, że zdobędzie przewagę. A potem emisariusz nagle zrobił krok w przód i wyszedł naprzeciw

kolejnemu uderzeniu. Prysnęły iskry, gdy przyjął na miecz klingę młodszego mężczyzny. A potem, zanim Malaki zdołał rozplątać ostrza, emisariusz przekręcił swoją głównię na bok i z sykiem, jaki wydaje atakująca żmija, ześlizgnął się nią po głównej przeciwnika.

Tłum zachłysnął się, widząc, jak Malaki chwieje się na nogach, walcząc o zachowanie równowagi, ale pierwsza próba rozbrowienia go, jaką podjął Chevalier, zawiodła. Malaki, wykorzystując swoją zaburzoną równowagę, naparł naprzód i wyprowadził cios, lecz emisariusz najwidoczniej tylko na to czekał. Gdy klingi zetknęły się ponownie, raz jeszcze wykonał skomplikowany ruch nadgarstkiem, chcąc wybić kowalowi miecz z dłoni.

Falko wzdrygnął się, pewny, że tym razem broń przyjaciela wyląduje na piasku, ale tak się nie stało – palce wciąż pewnie obejmowały rękojeść. Malakiemu udało się zamarkować zwód, a to zaskoczyło emisariusza, który musiał odchylić się w tył. Ale robiąc to, zdołał zacisnąć dłoń na wielkiej ręce przeciwnika.

Malaki znieruchomiał, gdy ostra stal spoczęła na pulsujących żyłach jego nadgarstka.

Z tłumu podniósł się krzyk zaskoczenia, gdy dwaj wirujący po arenie wojownicy raptem zastygli w bezruchu. Wówczas emisariusz, który wciąż trzymał brzeszczot przy uwydatnionych wysiłkiem żyłach chłopaka, przyciągnął go do siebie i powiedział mu na ucho:

– Nieźle walczyłeś, jak na kowala. – Znacząco poklepał jego nadgarstek ostrzem. – Ale to już koniec. Rzuć miecz!

Falko zacisnął pięści i zawarł szczęki. Mógł tylko patrzeć, jak ostrze Malakiego opada w kierunku ziemi, tak samo jak jego pochylona w geście rezygnacji głowa. Prawie zamknął oczy, zawiedziony jak nigdy w życiu, gdy tymczasem Malaki raptem zacisnął mocniej palce na rękojeści i przyładował emisariuszowi z byka prosto w twarz.

Tłum zawył w zdumieniu, gdy krew zbryzgała oblicze emisariusza, który zatoczył się w tył po potężnym ciosie. Miał złamany nos. Malaki zawirował, wykręcił się z uścisku przeciwnika i dał nura naprzód, gotowy do wznowienia walki. Jego niespodziewany atak głową wyraźnie wybił starszego mężczyznę z rytmu, a jednak gdy klinga Malakiego runęła z góry na spotkanie jego odsłoniętej głowy, jakimś cudem zdołał się zasłonić. Wciąż oddając kowalowi kolejne jarady areny, sparował następny atak,

usiłując mruganiem pozbyć się spod powiek krwi i jaśniejących po uderzeniu gwiazd.

Malaki parł naprzód, zdecydowany, by wykorzystać przewagę, ale emisariusz nagle stanął w miejscu i płynnie przeszedł do ofensywy. Przyskoczył do kowala, ciął z góry, ostrza zakleszczyły się i dwaj mężczyźni zaczęli się siłować, stojąc pewnie na rozstawionych nogach. Gwałtownym ruchem Chevalier zaburzył równowagę Malakiego, a potem z rozpędu przygrzmocił mu łokciem w usta. Chłopak odtoczył się w tył na miękkich nogach, plując krwią. Ciosy emisariusza spadły na niego jak stalowy grad.

Falko nigdy jeszcze nie widział, by ktoś walczył tak szybko i tak nieustępliwie. Malaki zwiądnął pod naporem uderzeń Chevaliera, ugiął się pod nimi jak pod niemożliwym do udźwignięcia ciężarem. Rozpaczliwie blokował uderzenia mocą samej chyba tylko desperacji. Pierwszy raz wydał się Falkowi słaby i przerażony. Emisariusz szedł za ciosem i nie przestał siec i rąbać, aż Malaki padł na kolana. Wreszcie Chevalier zatoczył mieczem szerokie koło i gdy zetknął go z klingą kowala, ta wyfrunęła z jego dłoni. Królewski wysłannik z zabójczą gracją sprowadził swoje ostrze w kierunku ziemi i zatrzymał jego czubek cal od szyi Malakiego.

Młodzieniec nie mógł zrobić nic, jak tylko uklęknąć w obliczu porażki. To koniec. Przegrał.

Falko wpatrywał się w niego wybałuszonymi oczami. Walka dobiegła końca, a tłum milczał. Żadnych wiwatów, żadnego aplauzu. Nikt nie wiedział, jak zareagować. Po prostu wszyscy chłonęli wzrokiem stojącego nad Malakim emisariusza, którego ostrze unosiło się nad ramieniem chłopaka, prawie dotykając jego szyi.

W tym momencie marszałek odchrząknął taktownie, ściągając na siebie wszystkie spojrzenia.

– Wybacz, panie – powiedział – ale... hm...

– Co? – spytał sir William, nie odejmując spojrzenia od Malakiego.

– Świczka... Dwie minuty...

Klinga wysłannika ani drgnęła, lecz jego spojrzenie przeniosło się na marszałka.

– Rozbrojenie nastąpiło po czasie – wyjaśnił marszałek przeproszającym tonem. – Pojedynek zakończył się wygraną pana de Vane'a.

Tłum zamarł w dzwoniącej w uszach, pełnej wyczekiwania ciszy, jakimś

sposobem jeszcze cichszej niż ta, która zapadła przed chwilą. Widzowie czekali na to, co teraz robi emisariusz. Może spodziewali się pokazu oburzenia, może wstydu. Z pewnością jednak nie byli gotowi na śmiech, miękki, głęboki i serdeczny.

Powoli sir William wyszedł z pozycji bojowej. Odjął miecz od szyi kowala i otarł rękawem zakrwawiony nos. A potem spojrzał na swojego przeciwnika i wyciągnął do niego rękę. Wciąż otumaniony pojedynkiem i trzęsący się z wysiłku Malaki przyjął uścisk, a emisariusz pomógł mu dźwignąć się na nogi. A później, ku wielkiej radości tłumu, ujął nadgarstek Malakiego i unióśł jego rękę wysoko w niebo.

Teraz widzowie mogli wreszcie wiwatować – i skwapliwie skorzystali z tego prawa.

Malaki rozglądał się wokoło cielecym wzrokiem, lecz emisariusz okręcił go dookoła, tak by mógł przyjrzeć się wiwatującym na jego cześć tłumom. Wrzask długo nie ustawał, lecz gdy wreszcie ucichł, Chevalier wypuścił z palców nadgarstek chłopaka i cofnął się o krok, by na niego spojrzeć.

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć, Malaki de Vane – wyrzekł. – Ale jak na kogoś tak młodego, walczysz dobrze. Bardzo dobrze – powtórzył, unosząc rękę do złamanego nosa.

Malaki wpatrywał się w jego zakrwawioną twarz, przerażony tym, co zrobił, lecz również głęboko rozradowany pochwałą królewskiego wysłannika. Tłum najwidoczniej był zadowolony z takiego finału prób, lecz wyraz twarzy emisariusza świadczył o tym, że sir William zamierza coś jeszcze powiedzieć. Spoglądał na kurczącego się pod naporem pochwał i podziwu Malakiego, a potem złowił wzrokiem jego spojrzenie i przytrzymał je w miejscu.

– Królowa potrzebuje w swoich szeregach takich wojowników jak ty – zaczął.

Gula urosła Malakiemu w gardle, łzy pociekły mu z oczu. Wszyscy wiedzieli, jakie teraz padną słowa.

– Czy odrzucisz bogactwo i przywileje, żeby powrócić ze mną do stolicy?

Malaki przez kilka sekund nie mógł wydobyć słowa. Ani nie miał bogactw, ani nie cieszył się żadnymi przywilejami, lecz każdy wiedział przecieź, że te słowa to formalność.

– Tak – wyskrzeczwał, a widownia wybuchnęła gromkimi okrzykami.

Emisariusz skinął głową i wrócił do pawilonu, a tymczasem tłuszcza zacisnęła się wokół młodego kowala, bohatera, którego rzeczywiście mogli nazwać swoim. Malaki zachwiał się, gdy uderzyła w niego fala rozentuzjasmowanego tłumu. Śmiał się, gdy ojciec otoczył go niedźwiedzim uściskiem i podniósł jak małe dziecko. A potem, gdy już jego stopy na powrót zetknęły się z ziemią, sięgnął wzrokiem ponad roześmianymi głowami do zacienionego miejsca pod dachem pawilonu, skąd patrzyły na niego oczy przyjaciela.

Gwar jakby przycichł, gdy dwaj chłopcy odnaleźli się wzrokiem. Obaj wiedzieli, że wszystko się zmieni, że po tym dniu nic już nie będzie takie jak dawniej. Marzenia Malakiego właśnie się spełniły, co się zaś tyczy Falka – tracił jedyne prawdziwego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miał. Wiedzieli to obaj i obaj na to przystali. I choć nie padły między nimi żadne słowa, Falko zrozumiał to, co mówił mu wzrok Malakiego.

Jestem twoim przyjacielem, Falko Danté. Sługa czy szlachcic, zawsze będę twoim przyjacielem.

Odpowiedzią było lśnienie zielonych oczu Dantégo, które patrzyły, jak wiwatująca gromada unosi Malakiego i niesie go tam, gdzie czekali pozostali zwycięscy kadeci.

7

Magowie



Próby dobiegły więc końca, ale nie wszyscy byli zadowoleni z finału. Wielu szlachciców dzieliło pogląd Belliusa Snidessona, że reguły zostały nie tyle nagięte, ile złamane. Myśl, że przedstawiciel wysoko urodzonych, Jareg, miał dzielić chwałę z synem kowala, była im wstrętna jak woda w winie.

Bellius stał po lewej stronie pawilonu z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości, a miejsce, w którym utkwiał wzrok, nie pozostawiało wątpliwości co do tego, kogo obarczał winą za niepomysłne dla niego wydarzenia dzisiejszego dnia.

Falko usiłował ignorować omywającą go falę gniewu. Chciał teraz tylko zejść na pole turniejowe i pogratulować Malakiemu, później zaś, tak cicho, jak to tylko możliwe, wrócić do domu. Wziął miecz Symeona od jednego z marszałków i wsunął go do pochwy, którą Malaki zawiesił na pawilonie przed pojedyńkiem. A potem skierował się do miejsca w końcu stołu, gdzie siedział jego pan.

– Gratuluję, Falko – powiedział stary mag bitewny, zapinając pas. – Twój postrzelony plan się powiódł.

– Dziękuję, panie – odpowiedział Falko z niepewnym uśmiechem.

– Panie? – zapytał Symeon z powątpiewaniem. – Po rewelacjach dzisiejszego dnia?

– Jeśli tylko nie masz nic przeciwko.

– Czy wstyd, który cię trawi, jest aż tak wielki? – spytał dyskretnie starszy mężczyzna.

– Czuję się pewniej. Przynajmniej na razie.

– A więc: na razie – przystał mag. – Ale coś ci powiem, Falko. Nie możesz wiecznie chować się w swojej służbie.

Falko pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Idź, pogratuluj przyjacielowi.

Chłopak odwrócił się w kierunku schodów, ale zanim po nich zbiegł, napotkał wspinającego się po nich emisariusza, przyciskającego do nosa ręcznik. Falko miał nadzieję, że mężczyzna minie go, nie zatrzymując się, ale królewski wysłannik odjął zakrwawiony materiał od twarzy i spojrzał na Falka.

– Wyświadczyłeś dziś swojemu przyjacielowi nie lada przysługę – rzekł cicho, by tylko on słyszał.

Falko odwrócił wzrok, gdy emisariusz rozglądał się po pawilonie, przyjmując ze spokojem niemal namacalną wrogość, jaką emanowali siedzący szlachcice.

– Mam nadzieję – podjął – że było to warte swojej ceny.

– Było – rzekł Falko, podnosząc wzrok i błyskając zielonymi oczami. Sir William pokiwał głową i zrobił ruch, jakby chciał zejść chłopakowi z drogi, lecz najwyraźniej zmienił zdanie.

– Nigdy nie poznałem twojego ojca. Słyszałem tylko o tym, co zrobił.

Falko oblał się rumieńcem, radość ze zwycięstwa Malakiego przyćmiło uczucie upokorzenia.

– Powiem tylko tyle, Falko Danté: twój ojciec był magiem bitewnym, który w ciągu całego swojego życia ocalił tysiące ludzi. – Emisariusz odczekał, aż chłopak podniesie zawstydzony wzrok. – Masz prawo być dumny z tego, jak żył, nawet jeśli nie przejmujesz dumą to, jak umarł.

Falko z wysiłkiem przełknął ślinę i skłonił się niezręcznie, lecz szczerze.

Emisariusz nie przejął się jego zakłopotaniem. Osadził wzrok na Symeonie, który stał za plecami swojego sługi.

– Szkarłatnica, zgadza się?

– Zachorował w wieku pięciu lat – odparł mag bitewny.

Emisariusz wydał wargi, jakby wciąż nie czuł się przekonany.

– Czy wiesz coś o tej chorobie? – spytał Symeon, jakby mógł dostrzec wyraz jego twarzy.

– Wiem to i owo. Powiedz mi, Symeonie – powiedział, przenosząc wzrok

na Falka – ta wysypka nasila się zimą czy latem?

Falko przestąpił niepewnie z nogi na nogę, zmuszony do słuchania, jak obaj mężczyźni bez skrepowania rozmawiają o jego chorobie.

– Zimno pogarsza stan jego płuc – odparł Symeon. – Ale najgorzej jest w czasie letnich upałów.

Emisariusz pokiwał głową, jakby to potwierdziło jakieś jego skrywane przed rozmówcą podejrzenia.

– Czy chłopak znalazł się kiedyś w płonąącym budynku?

– Właściwie to tak.

Emisariusz raz jeszcze pokiwał głową.

– Moja siostra cierpiała na coś, co zostało pomyłone ze szkarłatnicą. Zanim dowiedzieliśmy się, na co tak naprawdę chorowała, była już zbyt słaba, żeby przeżyć leczenie. Gdyby została swego czasu poprawnie zdiagnozowana, może nie umarłaby w tak młodym wieku. – Spuścił wzrok na Falka, jakby jego widok przywołał bolesne wspomnienie. – Radzę, żebyś porozmawiał z jego lekarzem. Zapytaj o zarodniki, które wyrzuca w powietrze płonąca srebrna brzoza.

Symeon z szacunkiem przechylił głowę.

– Dziękuję, panie – powiedział. – Posłucham twojej rady.

Emisariusz wzrokiem poszukał jeszcze czegoś na twarzy Falka, a potem znów przyłożył ręcznik do nosa i udał się w swoją stronę.

Chłopak zwrócił się do swojego pana, a stary mag bitewny wyczuł pytanie, które chciał zadać. Przestrzegł go uniesioną dłonią.

– Pójdziemy rano do Heçamedes. A teraz idź.

Falko potknął się na stopniach, czując się tak, jakby od nadmiaru emocji ogarnęło go jakieś otępienie. Heçamedes Asclepios była jedną z miejskich uzdrowicielek. Leczyła Falka od dziecka.

Nie choruje na szkarłatnicę.

Może być dumny z ojca.

Czy to w ogóle możliwe? Obie te rzeczy naraz?

Pomimo ran, które odniósł w czasie ich ostatniego spotkania, Symeon zawsze bronił ojca Falka, ale usłyszeć słowo pochwały z ust kogoś zupełnie obcego, nie wspominając już o tym, że był to emisariusz królowej, to zupełnie co innego. To coś, w co mógł uwierzyć.

– Falko!

Chłopak podniósł wzrok i zobaczył ojca Malakiego, sunącego w jego stronę zamaszystym krokiem.

– Malaki! – zawołał przez ramię Balthazak. – Tutaj jest! Tutaj jest mały wariat, przez którego o mało nie zginąłeś!

Chudzielec skrzywił się, a potem zmarszczył z bólu, gdy potężny kowal uściskał go i zasadził na jego policzku szorstkiego całusa.

– Niech mnie kule, synu, zawsze byłeś wolnym duchem – powiedział Balthazak, osadzając wyprostowane ręce na jego ramionach. – Zupełnie jak twój ojciec.

Falko spuścił wzrok, a potem podniósł go na Malakiego, który pojawił się u boku ojca. Rozochocony tłum wciąż klaskał i wiwatował, ludzie klepali młodego kowala po plecach i mierzwili mu włosy, ale pierwsza fala radości już minęła. Cizba powoli zaczynała rzednąć.

– Jak twoje usta? – zatroskał się Falko.

– Obolałe – odparł Malaki, odejmując szmatkę od opuchniętych warg.

– Tak to się kończy, jak ktoś wyzywa na pojedynek Nieugiętego – zarechotał Balthazak.

– Jasne – prychnął Malaki, a potem zauważył uniesione brwi ojca.

– Jak to? Nie wiedziałeś?

Malaki wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć.

– Nie! – wykrzyknął, oplątując Falka oskarżycielskim spojrzeniem. – Nie wiedziałem!

– Nie patrz tak na mnie! – bronił się Falko. – Ja też nie wiedziałem. No, przynajmniej dopóki nie było już za późno – dodał skruszony.

– Ha! – zagrzemiał Balthazak, jakby uznał całą tę sprawę za niezwykle zabawną. Ujął obu chłopców za karki i przycisnął ich do siebie czołami, aż stuknęło. – Wspaniałe! – zawołał. – Po prostu niesamowite!

A potem ucałował obydwu i zaniósłszy się śmiechem, ruszył tam, gdzie płynął swobodny korowód ludzi opuszczających pole turniejowe.

Gdy przyjaciele znaleźli się sami, zapadła między nimi osobliwa cisza.

– Czyli jedziesz do Furii – odezwał się Falko, usiłując zachować w głosie coś z uroczystej wesołości.

– A ty jesteś szlachcicem!

Przez kilka sekund gapili się na siebie, a potem szerokie uśmiechy rozpogodziły ich twarze i padli sobie w ramiona.

– Nigdy nie zapomnę tego, co dzisiaj zrobiłeś – wydyszał Malaki w kark przyjaciela.

Falko zignorował miazdzący uścisk, nawet jeśli poważnie obawiał się o swoje zebra. Znalazł jakąś satysfakcję w potwornej sile przyjaciela, coś głęboko krzepiącego. Czuł, że będzie mu tego brakować.

– Szkoda tylko, że walczyłeś jak noga – powiedział Falko, gdy już się rozłączyli.

– Jakbyś potrafił to ocenić, chłopczyku od ciepłych bułeczek! – Malaki zasunął przyjacielowi sójkę, która prawie skończyła się nokautem.

– Mów, co chcesz, skopał ci dupsko, aż się echo niosło. – Falko roztarł miejsce, gdzie boleśnie wylądował łokieć kowala.

– No nie? – roześmiał się Malaki, jakby nic nie sprawiało mu większej radości niż solidny łomot. – A widziałeś, jak on walczył? I nawet się specjalnie nie starał. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby naprawdę chciał mnie wykończyć?

Zamiast odpowiedzieć, Falko uniósł brwi i wskazał na coś za plecami Malakiego. Ktoś jeszcze podszedł pogratulować młodemu kowalowi. Ktoś, czyich gratulacji ten na pewno nie chciałby przegapić.

– Co... O rety – powiedział Malaki, zauważywszy, że stoi za nim Bryna Godwin.

Dziewczyna zdjęła z włosów rzemień. Rude loki rozsypały się wokół jej twarzy i spłynęły na ramiona i plecy. Falko zerknął na przyjaciela i nie zdziwił się, widząc malujący się na jego twarzy wyraz przerażenia.

Typowe! – rzuciło mu się na myśl. Facet bez wahania staje do walki z Nieugiętym, a potem kuli się pod spojrzeniem dziewczyny, która sięga mu do ramienia.

– Gratulacje, Malaki – powiedziała Bryna, wyciągając do niego smukłą dłoń.

– To ty... – zająknął się przyjaciel, a Falko wiedział, po prostu wiedział, że Malaki chciał powiedzieć: „To ty znasz moje imię?”. Ale na szczęście urwał i zamiast tego wykrztusił: – Ja również gratuluję.

Falko uśmiechnął się, widząc najbardziej niezręczne potrząśnięcie dłoni w historii, a potem coś przykuło jego uwagę. Ludzie w pawilonie nie patrzyli już na pole turniejowe. Zamiast tego wzrok wszystkich utkwiony był gdzie indziej – tam, gdzie pojawiły się właśnie trzy postacie

w budzących respekt szatach.

Przybyli magowie.

A zatem przygotowania musiały się już zakończyć. Nadszedł czas, by Darius zaczął szykować się do przywołania.

Ogarnięty nerwową ekscytacją, Falko spojrział chyłkiem na przyjaciela. Malaki i Bryna robili, co mogli, by normalnie ze sobą porozmawiać. To idealny moment, by Falko wymknął się niepostrzeżenie. Przemknął między ludźmi i szybko wrócił do pawilonu. Wspiął się po schodach i zbliżył na tyle, by słyszeć wszystko, co zostanie powiedziane, bez wzbudzania niczyich podejrzeń. Magowie posiadali moc, której maluczcy nie potrafili sobie nawet wyobrazić, i Falko był pewien, że jeśli zanadto się zbliży, jakimś sposobem go wyczują.

Nie było na świecie osób bardziej uczonych i tajemniczych niż magowie. Znajomość wiedzy tajemnej czyniła ich prawdziwie potężnymi i nawet królowa Catherine nie mogła uchronić się przed ich wpływami. Wzbudzali zarówno szacunek, jak i strach, i większość ludzi odnosiła się do nich nieufnie, niektórzy nawet winili ich za Wielkie Opętanie, gdy wszyscy magowie bitewni na świecie nagle zginęli, a ich ogarnięte szaleństwem smoki zwróciły się przeciw nim.

To wydarzenie miało miejsce w zamierzchłej przeszłości. Do tamtych czasów wierzono, że smoki są odporne na opętanie. Gdy okazało się to nieprawdą, spotkało się to z niedowierzaniem i zdumieniem. Byli tacy, którzy twierdzili, że magowie doskonale zdawali sobie z tego sprawę, ale postanowili nie dzielić się tą wiedzą ze światem. Od zarania dziejów zazdrozczono im zdolności i ludzie zastanawiali się, czy czasem rozmyślnie nie doprowadzili do Wielkiego Opętania i nie przekonali się o swojej pomyłce dopiero wtedy, gdy wszyscy magowie bitewni i ich smoki padli trupem.

Niektórzy przebąkiwali o tym, że kiedyś prawda wyjdzie na jaw, lecz nikt nie chciał ryzykować ściągnięcia na siebie ich gniewu, bo magowie grali kluczową rolę w szkoleniu tych, którzy doskonalili się w czarach wojennych – a bez magów bitewnych ludzkość nie miała szans na przetrwanie, gdy po świecie chodzili Opętani i demony.

Falko z ostrożnością podchodził coraz bliżej, wpijając się wzrokiem w trzy okutane w obszerne szaty postacie idące środkiem pawilonu. Na

przedzie kroczył Morgan Saker, starszy mag Caer Dour. Za nim szedł jeden z czarodziejów z Furii, ostatni zaś był wciąż nowicjuszem, początkującym magiem, który nie ukończył jeszcze szkolenia. Zwał się Meredith Saker i był synem Morgana.

Falko wlepił w nich łakomy wzrok, gdy zatrzymali się, by porozmawiać z Belliusem Snidessonem. Falka, jak zwykle zresztą, onieśmiała obecność starszego maga.

To właśnie Morgan Saker zabił smoka jego ojca. I to również on wyciągnął małego Falka z płomieni, gdy jakaś mściwa dusza podpaliła jego dom rodzinny. Widok maga biegnącego po niego przez płomienie i chmury dymu na zawsze wyrył się w pamięci chłopca.

Powinien czuć wdzięczność, ale zarówno wtedy, jak i przez wszystkie lata, które minęły od pożaru, czuł tylko strach.

Pomimo upływu czasu włosy Morgana Sakera wciąż były czarne jak węgiel. Miał bladą skórę, tak jak Falko, lecz jego karnacji nie dało się określić jako chorobliwej, kto zaś patrzył w jego ciemne oczy, miał wrażenie, że zagląda do bezdennych głębi całej pochłoniętej przez niego wiedzy. Budził respekt w każdym tego słowa znaczeniu, a mieszkańcy Caer Dour, choć odnosili się do niego z lękiem i bojaźnią, cieszyli się, że mają go po swojej stronie i że to on będzie pełnił straż nad przywołującym smoka Dariusem.

Kątem oka Falko obserwował trzy tajemnicze postacie, które pożegnały się już z Belliusem i przeszły przed pawilon, gdzie czekali na nich Darius z emisariuszem.

– Czy wszystko gotowe? – spytał Chevalier.

– Tak – odpowiedział Morgan Saker.

Falko widział, jak Darius wypełnia płuca powietrzem. Był to pierwszy ślad zdenerwowania, z jakim się zdradził.

– Ile mamy czasu?

– Nieco ponad trzy godziny do zachodu słońca.

Emisariusz skinął głową.

– Ile zajmie nam droga?

– Może półtorej godziny – odrzekł Morgan. – Mamy więc spory zapas. – Przeniósł taksujący wzrok na Dariusa, jakby chciał ocenić, czy młodzieniec podoła zadaniu. – Czy jesteś gotów?

- Jestem.
- A jeśli odpowie czarny?
- To go zabijemy.

Badawczy wzrok Morgana błędził po twarzy młodego maga bitewnego, szukając najdrobniejszych oznak słabości czy niepewności. Wreszcie kiwnął głową zadowolony.

- Idźmy więc.

Na pole turniejowe spłynął ponury spokój. Wszyscy już dowiedzieli się o przybyciu magów. Wiedzieli też, po co tu przyszli, ale ostatni smok, który znalazł się w pobliżu Caer Dour, sprowadził na miasto śmierć i zniszczenie. Ekscytacja wywołana turniejem rozpuściła się w chłodnym powietrzu wieczoru. Za kilka dni ich armia zewrze się w boju z Opętanymi. Z Dariusem na czele mogli pokonać demona i jego wojska, ale obecność smoka zapewni przetrwanie większej liczbie ludzi, którzy w innym wypadku byłiby praktycznie skazani na śmierć. Tak więc pomimo lęku i pewnej rezerwy wobec magów obywatele trzymali kciuki za Dariusa i powodzenie misji. Modlili się o to, by udało mu się wspiąć na strome stoki Mont Noir i wywołać smoka z za Nieskończonego Morza.

Patrzyli na młodego maga bitewnego, który pozwolił przybyłym magom wyprowadzić się z pawilonu. Patrzyli, jak sir William rusza w drogę u jego boku, a potężna postać emisariusza koi jego serce otuchą i nadzieją. Patrzyli, jak mała grupka mężczyzn idzie wąską serpentyną w kierunku czarnego masywu i znika za zakrętem. Ale nie widzieli smukłej postaci, która wyslizgnęła się z pawilonu i ruszyła w ślad za nimi, czy też raczej skrótem prowadzącym do tego samego miejsca – wąziutką ścieżyną odbijającą w lewo od głównego traktu.

Jeśli Dariusowi Voltariowi dotarcie do Smoczego Kamienia zajmie półtorej godziny, to Falko potrzebuje dwa razy tyle. Ale nawet gdyby miał trzy godziny na wspinaczkę, trzy godziny do zachodu słońca, nigdy by tego nie dokonał, gdyby szedł normalną drogą. Zamiast niej wybrał więc Nitkę, wąską grań, która skracała drogę o blisko dwie mile.

Będzie musiał iść powoli i oszczędzać siły, ale Falko skupił całą swoją wolę na tym zadaniu – a w odróżnieniu od ciała jego wola była silna.

8

Przywołanie



Pokonanie szlaku wiodącego przez wąską jak krawędź noża, zawieszoną sześćset stóp nad stromym urwiskiem grań, którą musiał trawersować wtulony w skalną ścianę, zajęło mu ponad godzinę. Falko nie zważał na oszałamiającą wysokość, poruszał się ostrożnie i pewnie, często zatrzymywał się na odpoczynek i złapanie oddechu.

Co rusz spoglądał na dolinę, pilnując, czy czasem nie wystawił się na widok Dariusa i magów.

Nagły poryw wiatru owionął go z mocą, musiał więc mocniej zacisnąć palce na skalnych występkach. W powietrzu czuło się coraz większy chłód, światło dnia zaczynało już rzednąć, ale Falko nie dbał o to. Chmury nie groziły deszczem, zapowiadały jednak zmianę pogody. Z północy napływały masy mroźnego powietrza. Jesień zegnała już ostatni ciepły, letni wiatr. Teraz na horyzoncie zalegało ostre, śnieżne zimno.

Ale dziś jeszcze nie spadnie mroźny deszcz, pomyślał Falko.

Przekonany, że pogoda nie załamie się jeszcze przez dzień lub dwa, chłopiec ruszył w dalszą drogę wzdłuż krawędzi. Gdy pozwolił myślom odpłynąć, te samoistnie skupiły się wokół tego, co emisariusz powiedział o jego chorobie i o ojcu. Falko nigdy nie był dumny z ojca, wręcz wstydził się miłości, jaką wciąż go darzył. Co się zaś tyczy jego choroby... No cóż, od zawsze zakładano, że Falko nie dożyje wieku męskiego. Tylko nieliczni spośród tych, którzy cierpieli na szkarłatnicę, przekraczali trzydziestkę.

Czy Heçamedes się myliła?

Czy istnieje lekarstwo na jego chorobę?

Falko znał uzdrowicielkę przez całe życie, i to dosłownie, bo była przy jego porodzie – trudnym, który powinien był skończyć się śmiercią nie tylko jego matki, ale i samego Falka. Jednakże Heçamedes udało się uratować chłopca, nawet jeśli jego matki nie zdołała już wyswobodzić z łapczywych szponów śmierci. Eleanora Danté zmarła zaledwie dwie godziny po wydaniu na świat syna.

Falko zatrzymał się u szczytu, przez który wiódł szlak. Myśl o matce zawsze budziła w nim skomplikowaną mieszankę uczuć. Było w niej osobliwe poczucie oddzielenia, jakby ta historia dotyczyła kogoś innego. Potem do głosu dochodził przypływ żałobnego smutku, a w końcu narastało w nim dojmujące poczucie winy, które potrafiło schłodzić jedynie przytłaczające uczucie niepowetowanej straty.

Jakie to dziwne, pomyślał. Tak tęsknić za kimś, kogo się nie pamięta.

Kolejne uderzenie zimnego wiatru wycisnęło mu łzy z oczu, a gdy mruganiem pozbył się ich spod powiek, zauważył jakiś ruch na stoku przed nim. Przypadł do ziemi i wyjrzał ostrożnie zza krawędzi wzniesienia. Zobaczył trzy okutane w szaty postacie, a za nimi Dariusza i emisariusza. Szli gęsiego, nie tracąc szybkości pomimo stromizny, na szczyt góry, gdzie czekali już pewnie na nich pozostali czterej magowie.

Falko idealnie oszacował czas.

Mieli jeszcze przed sobą dobre pół godziny wspinaczki, a więc Falko musiał przeznaczyć dla siebie jeszcze około godziny, ale czasu wciąż miał dość. Dotrze do Smoczego Kamienia, nim słońce zacznie zachodzić. Wzrokiem odprowadził pochód do miejsca, gdzie magów i emisariusza zasłonił żleb. Wejście do niego znajdowało się ćwierć mili dalej, a jednak Falko postanowił odczekać jeszcze chwilę, nim wyjdzie z kryjówki. Grań ciągnęła się jeszcze jakiś czas, by następnie złączyć się z cielskiem góry. Falko pilnował, by się zanadto nie pospieszyć. Lepiej dotrzeć na główny szlak późno niż wcale.

Zwolnił, zbliżając się do paszczy żlebu. Okolona stromiznami dolina wiodła na przeciwległy skraj góry, gdzie łagodniejsze stoki ustępowały miejsca raptownym przepaściom i budzącym przerażenie klifom zachodniej ściany Mont Noir.

Mijały minuty i bynajmniej nie tylko wycieńczenie wspinaczką sprawiło, że serce Dantégo biło jak oszalałe. Zbliżał się do Smoczego Kamienia,

opasłej granitowej płyty, z której magowie bitewni Caer Dour od zawsze przywoływali swoje smoki.

Wzmógł czujność. Przed nim droga wciniała się w krajobraz otrzaskanych głazów i osypisk skruszałej skały. Beładna hałda kamiennych brył znaczyła najwyższy punkt wspinaczki, a przekroczywszy go, mógł już spojrzeć z wysokości na Wichrową Twierdzę, naturalny amfiteatr spēkanych klifów otaczających Smoczy Kamień.

Falko usiłował uspokoić oddech, kiedy zdążał ścieżką wijącą się między zwalistymi monolitami. Powietrze pachniało jaskinią, a najcichsze dźwięki odbijały się od kamiennych ścian. Szuranie kroków brzmiało w jego uszach jak wycie wichury. Jeszcze kilka jardów i jego oczom ukaże się miejsce przywołania. Okrążał właśnie wielki stos potrzaskanej skały, gdy poczuł na gardle stalowe ostrze.

– Ani kroku!

Falko zamarł. Jedyłą poruszającą się częścią jego ciała było łomocące bez opamiętania serce.

Ostre słowa ktoś wyrzekł mu prosto do ucha. Ten ktoś był tak blisko, że Falko czuł jego oddech na szyi.

– Po co tu przyszedłeś?

Falko z początku nie wiedział, co powiedzieć. Grał na czas, by ochłonać z zaskoczenia. Nie słyszał owego kogoś, kto się do niego podkradł. Mężczyzna pojawił się znikąd.

– No?

Chłopak poczuł, że sztylet mocniej naparł na jego skórę.

– Ja tylko chciałem zobaczyć – wydusił.

– Nikomu nie wolno wspinać się na górę w godzinę przywołania – powiedział mężczyzna, a Falko rozpoznał po głosie emisariusza. – Ty ze wszystkich ludzi powinieneś wiedzieć to najlepiej, Falko Danté.

Chłopak wydał z siebie westchnienie ulgi, gdy wysłannik odjął nóż od jego ciała i przycisnął Falka do skały.

– Czyś ty zwariował?

– Ja tylko chciałem zobaczyć – powtórzył Falko ciszej. Nie potrafił spojrzeć Chevalierowi w oczy.

Zaległa cisza. Chłopak zdobył się w końcu na odwagę i uniósł lęklíwie wzrok. Dłoń mężczyzny wciąż spoczywała na jego piersi, ale emisariusz

spoglądał na niebo, chcąc ocenić, ile czasu zostało do zachodu słońca. Obok niego nagle pojawiła się zakapturzona postać i Falko uprzytomnił sobie, że patrzy prosto w oczy Mereditha Sakera.

Meredith był obiecującym magiem, który z powodzeniem szedł tą samą drogą, co jego ojciec. Lub może podążałby nią chętniej, gdyby był do niej bardziej przekonany. Dysponował nie mniejszą inteligencją i takim samym darem do nauki. Miał takie same twarde rysy twarzy i lśniące czarne włosy, ale od Sakera seniora odróżniały go oczy, które lśniły, jakby jego myśli odzwierciedlały wszystko to, co ujrzał w życiu, nie zaś wciągały cały świat w mroczne głębie jego umysłu. A mimo to, choć cechował go większy spokój niż jego zapalczywego rodziciela, Meredith odziedziczył również umiejętność wyrażania pogardy samym tylko spojrzeniem.

– Nie ma czasu, żeby sprowadzić go na dół – rzekł. – A nie ufam mu na tyle, żeby puścić go samego.

– Nie wolno nam zakłócić przywołania – powiedział emisariusz.

– To prawda – przystał Meredith, gromiąc Falka takim spojrzeniem, jakby był tylko głupim małym dzieckiem.

– Nie możemy też zostawić go na otwartym terenie. – Mag zamyślił się.

– Więc zabierzemy go ze sobą.

– Pewny jesteś? – spytał emisariusz. – Będziesz musiał ukryć całą naszą trójkę.

Falko nie miał pojęcia, o czym mówi Chevalier, ale mag po prostu pokiwał głową.

– Chodźmy – rzucił. – Nie mamy wiele czasu.

Dłoń emisariusza odkleiła się od piersi chłopca.

– Masz stać tam, gdzie każemy ci stanąć – powiedział, a wyraz jego twarzy wskazywał, że najlepiej będzie, jeśli Falko grzecznie wypełni polecenie. – Nic nie mów, nie piśnij nawet. Najlepiej w ogóle się nie ruszaj.

Należycie zastraszony Falko nie uznał za celowe się kłócić. Skinął głową na znak, że rozumie.

Zgromiwszy go ostatnim nieprzychylnym spojrzeniem, Meredith odwrócił się i ruszył drogą, podczas gdy emisariusz gestem kazał Falkowi zająć miejsce między nimi.

Niepokojące echa odbijały się od ścian, gdy wstąpili do Wichrowej Twierdzy. Wznoszące się wokół nich klify formowały wielkie półkole,

naturalne audytorium, które otwierało się na zachód, gdzie pod sklepieniem wiszących nisko na niebie chmur, ciągnących się niemal nad całą linią horyzontu, chowała się okrągła twarz słońca.

W środku olbrzymiej areny znajdowała się okrągła kamienna płyta o średnicy czterdziestu stóp, wyglądająca jak pojedyncza sztaba wypolerowanej skały – ołtarz lub może scena, gdyby przypisać jej powstanie człowiekowi, choć była ona dziełem sił natury, którymi nie sterował żaden umysł, lecz ślepy los. A jednak nawet najznamienitsi architekci Furii nie stworzyliby bardziej odpowiedniego miejsca na przywołanie smoka.

Falko trafił do Wichrowej Twierdzy nie po raz pierwszy. Wspomnienie odezwało się w jego pamięci, gdy znowu oczarowało go surowe piękno tego miejsca.

– Tam – popędził go Meredith, gdy Falko zwolnił kroku, by nacieszyć oczy.

– Usiądź na tamtej półce skalnej – wskazał emisariusz nad jego ramieniem. – O tam, w miejscu osłoniętym od wiatru przez klif.

Falko pokiwał głową i ruszył wzdłuż kamiennego kanału, by wspiąć się na górę po zwałisku ciemnych granitowych bloków.

Występ skalny, na którym stali, był jednym z wielu okalających koncentrycznie arenę „amfiteatru”. Ten jednak był lekko cofnięty i stanowił idealne miejsce do obserwacji wydarzeń, w których nie bierze się udziału.

Falko patrzył na stojącego w środku kamiennego koła Dariusa, który miał teraz na sobie ciemny czarodziejski pancerz maga bitewnego. Stał z mieczem i tarczą w gotowości, ale głowę miał pochyloną, jakby nasłuchiwał.

Falko przeszedł wzrokiem od Dariusa w górę, po linii otaczających scenę klifów. Tam byli. Siedmiu magów rozstawionych w równych odległościach na kamiennych trybunach. Ich głowy również były pochylone w koncentracji. Ramiona opadały prosto wzdłuż ciała, ale mięśnie dłoni były napięte, a palce rozcapierzone, jakby zmagali się z jakimś mentalnym ciężarem.

– Wyglądają dziwnie – skomentował Falko, wodząc wzrokiem po skupionych czarodziejach.

– Kto taki? – zapytał emisariusz, stając obok niego.

– Magowie. Wydają się... ukryci. Jakby padał na nich cień w środku słonecznego dnia.

– Widzisz ich? – spytał emisariusz, gdy Meredith zbliżył się i stanął obok nich.

– A ty nie, panie? – zdziwił się Falko.

Chevalier zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– A ty? – zwrócił się chłopak do Mereditha.

– Gdy się skupię – odparł czarodziej, lustrując Falka z namysłem. – A mojego ojca też widzisz?

– Cień, który go spowija, wydaje się jeszcze mroczniejszy – odparł Falko, obracając głowę ku wyższej partii skał. – Ale tak, owszem, stoi tam w środku, dokładnie nad Dariusem.

Wskazał palcem miejsce, ale żaden z mężczyzn nie odrywał od niego wzroku. Emisariusz wydawał się zmartwiony, a Meredith miał taką minę, jakby usiłował zrozumieć, co to może oznaczać. Gdy nagle omyło ich światło zachodzącego słońca, emisariusz przerwał zagadkową ciszę:

– Szybko. Już czas.

Falko rzucił okiem na zachód, gdzie słońce przebiło się już przez pokrywę chmur. Miało barwę głębokiej żółci, a czarne skały Twierdzy zdawały się pozłacane u szczycie.

– Odsuń się od krawędzi – polecił Meredith. Falko znowu usłyszał w jego głosie tę karcącą nutę, lecz zabrzmiała nieco łagodniej niż poprzednio.

Wszyscy trzej weszli za skałę, która wyrastała z klifu za ich plecami i formowała niski mur. Patrzyli teraz znad niego na zachód. Z każdą chwilą, gdy słońce chowało się za horyzontem, jego barwa przybierała coraz głębszy odcień. Blask zakreślił na pomarańczowo skalisty kontur góry i skłębioną fakturę wiszącego brzuszyska chmur.

Meredith zamknął oczy w skupieniu, a Falko wyczuł subtelną zmianę w barwie światła.

– Rzuca płaszcz ukrycia – odpowiedział emisariusz na niezadane przez chłopaka pytanie. – Jeśli pojawi się smok, nie zobaczy nas.

Falko wrócił wzrokiem do Mereditha. Zdziwiła go szybkość, z jaką adept utkał swój czar.

– Myślałem, że czarowanie trwa o wiele dłużej – wyszeptał do Chevaliera.

Każdy wiedział, że jedną z podstawowych różnic między magiem bitewnym a zwykłym jest szybkość, z jaką rzucają zaklęcia. Zwykli magowie władali potężną magią, ale przygotowania potrafiły zająć kilka godzin, dni czy tygodni. Taki tryb tkania czarów nie sprawdzał się w pędzie bitwy. Z kolei magowie bitewni potrafili wyzwolić swoją moc błyskawicznie. Ich czary budziły się do życia tak prędko jak myśl.

Emisariusz zmarszczył groźnie brwi, zdumiony, jak szybko Falko zapomniał o tym, że ma milczeć. Lecz wyraz jego twarzy złagodniał.

– Zaczął przygotowywać zaklęcie o wschodzie słońca – wyjaśnił.

– Rozumiem... – wydyszał Falko, niemalże przepraszając.

– To niełatwa rzecz ukryć się przed smokiem – powiedział emisariusz. – A co dopiero ukryć trzy osoby.

Meredith nagle otworzył oczy i zwrócił się do nich:

– Już czas.

Pomarańczowy dysk zaczął znikać za poszarpaną linią odległych gór. Darius przeszedł na skraj Smoczego Kamienia. U jego stóp rozciągała się przepaść głęboka na tysiąc stóp. Było tak, jakby stał na skraju świata. Falko chłonał ten widok wzrokiem, oszołomiony i zadziwiony.

Wtedy Darius opuścił ręce, tak że miecz i tarcza zawisły u jego boków, a potem pochylił głowę.

Bum!

Falko poczuł, że powietrze gwałtownie gęstnieje w punkcie nad areną, a potem rozległ się ogłuszający huk, jakby w niebie nad ich głowami załomotał grom.

Raz... dwa... trzy razy poddźwiękowa eksplozja przetoczyła się po Wichrowej Twierdzy, nim rozeszła się po świecie. Darius czekał, aż umrą echa dwóch ostatnich wybuchów, a potem zadarł głowę i wrócił na środek Smoczego Kamienia.

– Skąd one wiedzą? – zaciekawiał się Falko, ledwie uświadamiając sobie, że wypowiedział tę myśl na głos.

– Kto taki? – odszepnął emisariusz.

– Smoki. Skąd wiedzą, że mają stawić się dokładnie w momencie przywołania?

Emisariusz zmierzył go wzrokiem.

– Żyją za Nieskończonym Morzem – szeptał Falko. – Jakim cudem są

w stanie zjawić się tak szybko?

Odpowiedział mu Meredith.

– Nikt tego nie wie. Niektórzy twierdzą, że wołanie rozlega się na długo przed samym aktem przywołania, w momencie narodzin maga bitewnego lub w chwili, gdy rozpoznają prawdziwą naturę swojego powołania. – Kiedy natrafił wzrokiem na widocznego w dole Dariusa, umilkł. – Ale nikt nie wie, jakim sposobem stawiają się tutaj dokładnie w godzinie przywołania.

Falko skupił wzrok na Meredicie. Domyślił się, że nie po raz pierwszy rozważa tę kwestię.

– A jak ty sądzisz?

Meredith zniechęca obrzucił go spojrzeniem, jakby Falko próbował podstępem skłonić go do podzielenia się myślami. Zanim odpowiedział, zahaczył wzrokiem emisariusza.

– Sądzę... – powiedział, jakby chciał zaznaczyć, że to tylko jego zdanie – że ma to coś wspólnego z pamięcią smoka.

Falko skrzywił się, nie rozumiejąc.

– Jak miałyby pamiętać coś, co się jeszcze nie wydarzyło?

Meredith utkwiał wzrok w ziemi.

– Tego nie wiem – odparł zmienionym głosem.

Emisariusz łypnął na czarodzieja, nim zwrócił się do chłopaka.

– Tylko najstarsi magowie otrzymują pozwolenie na studiowanie smokoznawstwa. Czy nie tak, lordzie Saker?

Falko zauważył, że wysłannik zwrócił się do czarodzieja tytułem zarezerwowanym dla pełnych magów.

– Łatwo dać się uwieść – rzekł Meredith, jakby powtarzał tylko coś, czego go nauczono, ale było oczywiste, że fascynowały go te tajemnicze stworzenia zza Nieskończonego Morza.

– Potrzebujemy smoków – powiedział cicho emisariusz. – Ale magowie uważają, że wytworzenie zbyt głębokiej więzi jest niebezpieczne. Ich zdaniem musimy wiedzieć tylko, jak najlepiej je wykorzystać. I jak je zabić, gdy zwrócą się przeciw nam.

Ton Chevaliera zdradził Falkowi, że uważa takie podejście za haniebne, lecz chłopak już go nie słuchał. Stał zapatrzony w pustkę. Na jego twarzy malowało się napięcie, a w spojrzeniu – ewidentny strach. Był zwrócony na zachód, w jego oczach odbijała się pomarańczowa kula słońca.

– Coś się zbliża! – powiedział.

Meredith i emisariusz podążyli za jego spojrzeniem do świetlistego pasa nad linią horyzontu, ale niczego nie zobaczyli. Słońca nie było już widać, a zwieszające się nisko chmury przybrały barwę różu.

Chevalier spojrzał w dół, na Dariusa, i wówczas również coś poczuł. Napięcie w Wichrowej Twierdzy sięgało zenitu i wszyscy mogli wyobrazić sobie potężniejącą energię, którą trzymali kurczowo w ryzach rozstawieni na trybunach magowie. Nadeszła chwila, na którą czekali i której się lękali. Emisariusz raz jeszcze spojrzał na Falka, a potem wpatrzył się w płonące jak piec niebo. Z początku nie widział niczego, lecz po chwili w oddali zarysowała się widoczna na tle pomarańczowej pożogi drobinka piasku.

Stojący obok Falko stał jak wryty. Lada moment miał stanąć twarzą w twarz ze stworzeniem, które sprowadziło śmierć na jego ojca. Mag bitewny z Caer Dour wykonał powierzone mu zadanie. Darius Voltario przywołał smoka, a smok stawiał się na wezwanie.

9

Smoczy Kamień



Wszyscy wpili się wzrokiem w wiszący nad horyzontem punkt. Był zupełnie nieruchomy. Nie mógł to być orzeł ani kruk. Był to smok, który leciał prosto na nich. Pozostawało tylko pytanie: jakiego jest koloru?

Czy będzie niebieski, niczym pancerz Malakiego, czy może pokryty łuskami w kolorze szmaragdowej zieleni? Może lśnić jak złoto lub polerowany brąz, może migotać bielą jak śnieg w promieniach słońca. Może być czerwony jak krew tętnicza. Byle tylko nie czarny; jakikolwiek, byle nie czarny.

– To jakiś ciemny kolor – wydyszał Meredith.

– Zawsze są czarne na tle nieba – szepnął emisariusz. – Przecież widzimy tylko zarys.

Meredith łypnął z przestrachem w kierunku Wichrowej Twierdzy. Chciał poszukać na twarzy Dariusa i reszty magów jakichś oznak zmartwienia, ale wszyscy czarodzieje stali spokojnie, czekając na to, co właśnie się do nich zbliżało.

Potwornie długo wydawało się, że punkcik na niebie wcale się nie powiększa, po czym nagle zaczął rosnać w oczach. Po kilku chwilach dało się już prawie wyszczególnić części ciała, odróżnić potężne, trzepoczące skrzydła od powiewającego z tyłu ogona.

– Wydaje się ciemny – powtórzył Meredith.

– Poczekajmy – nalegał emisariusz, ale nawet jego głos niósł ze sobą nutę niepewności, której przed chwilą jeszcze w nim nie było.

Falko stał obok nich, nieruchomy jak w transie. Nie potrafił oderwać

wzroku od majaczącego w oddali kształtu. Wwiercając się spojrzeniem w nadciągającą bestię, zaczął sobie wyobrażać, że potrafi wyczuć jakiś aspekt jej obecności. Wiedział, że to niemożliwe, ale jednocześnie nie potrafił otrząsnąć się z wrażenia, że lada moment spadnie na nich wcielona furia.

Kształt puchł z każdą chwilą, ale na tle lśniących chmur wciąż wydawał się złowroźnie ciemny.

– Naprawdę wydaje się... – zaczął po raz trzeci Chevalier, ale Meredith zagłuszył go okrzykiem:

– Czerwony! – Zachłysnął się powietrzem, zdjęty obezwładniającym uczuciem ulgi. – Jest czerwony!

Emisariusz zerknął na towarzysza, a potem wpił się spojrzeniem w nadlatującego smoka. Był teraz tak wielki, że jego zamazana bryła wyostrzyła się przed oczami rycerza. Dokładnie widział potężne skrzydła młócące powietrze, długą szyję i równie długi ogon oraz masywne cielsko. Emisariusz osłonił oczy dłonią i wbił wzrok w bestię.

– Czerwony... – powtórzył uśmiechnięty.

Teraz wszyscy mogli zobaczyć, że ciemny na tle nieba kształt smoka lśnił w ostatnich promieniach jaskrawą czerwienią tętniczej krwi.

Meredith raz jeszcze zbadał wzrokiem sytuację na dole. Choć od Dariusa i pozostałych magów dzieliła go znaczna odległość, był prawie pewien, że sam poczuł ogarniającą ich ulgę. Oni także przekonali się już, że łuski bestii są czerwone jak młode wino. Rozluźnili ramiona i niemal czuło się uwalnianą przez nich energię, którą zgromadzili, przygotowując się na najgorsze.

Uśmiech rzadko gościł na twarzy Mereditha, lecz teraz mag wyszczerzył się radośnie. Odwrócił się do Chevaliera, który w zamian pokrzepił towarzysza siarczystym klepnięciem w ramię.

– Czarny – odezwał się stojący obok Falko.

– Ależ skąd – zachnął się Meredith. – Przecież widać jak na dłoni, że czerwony.

Adept podniósł wzrok na będący już całkiem blisko kształt.

– Czarny – powtórzył Falko raz jeszcze, a pewność dźwięcząca w jego głosie mroziła krew w żyłach.

Emisariusz zmarszczył brwi, uśmiech na twarzy Mereditha zaczął

rzednąć. Posłał prędkie spojrzenie swojemu ojcu i raptem zauważył, że ciemne skały Mont Noir lśniły teraz czerwienią zachodzącego słońca. Błyskawicznie wrócił do smoka i przekonał się, że otulający go czerwony poblask z wolna cofał się przed czernią głębokiej nocy.

Meredith spuścił wzrok i zamknął oczy, a głowy wszystkich magów natychmiast zwróciły się w jego stronę.

– Czarny – wyszeptał, a jego szept poniósł się w dół schodkowych trybun.
– Smok jest czarny!

Darius i magowie ujrzeli to już na własne oczy. Z rozpaczliwą gracją ujęli przeciekające im przez palce zaklęcia. Meredith na powrót otoczył siebie, rycerza i chłopaka płaszczem ukrycia. Nie sposób było ocenić, czy jest już za późno i czy smok domyślił się, że przy kamieniu czeka na niego pułapka. Mogli tylko wziąć się mocno w garść i mieć nadzieję.

Gdy bestia opadła w kierunku ziemi, rozszalałe serce Falka jakby zwolniło i zrównało się z rytmem potężnych skrzydeł. Smok zawisł w powietrzu nad areną, najwidoczniej zwlekając z lądowaniem w półkolistej, zacienionej zatoce skał. Po czarnych łuskach pełzały perłowoczarne, lśniące pasma, wydobywając z półmroku zarys mięśni grających pod pancerzem. Bestia potoczyła po Wichrowej Twierdzy oczami koloru stopionego złota, czarne szczeliny źrenic wodziły dookoła, jakby stwór wiedział, że coś tu jest, choć nie mógł tego dostrzec. Czary maskujące odniosły zamierzony skutek.

Falko wstrzymał oddech, gdy smok podpłynął bliżej do czarnego kamienia, a potem z zapierającą dech w piersi gracją rozpostarł skrzydła i wylądował. Przez całe swoje dotychczasowe życie Falko nie wyobrażał sobie czegoś tak pięknego i strasznego jednocześnie.

Bestia była nieco mniejsza, niż się spodziewał, nie większa od smukłego wierzchowca. Jej szyja miała cztery stopy długości, a wijący się ogon zakończony był ostrym grotem. Członki potwora były silnie umięśnione, jego płynne ruchy tchnęły potęgą. Całe cielsko pokrywały łuski, które na piersi, ramionach i po zewnętrznej stronie łap zrosły się w jednolite płyty. Czaszka ozdobiona była dwoma rogami, wyrastającymi z szerokiego, rozumnego czoła. Ale w jego oczach pełgała obietnica okrucieństwa.

To nie było stworzenie z mitów i legend, żadna fantastyczna bestia zrodzona z wybujałej wyobraźni człowieka. To było żywe, oddychające

zwierzę – i właśnie dzięki temu tak imponujące.

Smok odmierzył kilka kroków w kierunku środka czarnego kamienia. I tam się zatrzymał. Potężne szpony drapnęły skałę, wpijając się w granit niczym kolce z hartowanej stali. Smok rozciągnął wargi i błysnął ostrymi zębami, robiąc solidny wdech.

Tak... czuł, że jest tu coś dziwnego. Nie wiedział tylko co.

W czasie gdy Falko oswajał się z aparycją smoka, coraz bardziej uświadamiał sobie wpływ, jaki bestia wywierała na jego myśli. Uczucia i emocje mąciły nieruchomą taflę świadomości Falka, odsłaniając przed nim migawki z wnętrza potężnego umysłu.

Chłopak znalazł tam podejrzliwość i zmieszanie, jakby smok nie był pewien, co sprawiło, że znalazł się w tym miejscu. Spodziewał się kogoś tu spotkać, może innego przedstawiciela swojego rodzaju. Ale skalna misa była pusta. A przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

Falko skupił wzrok na punkcie kilka jardów przed smokiem, gdzie okryta cieniem figura Dariusa zbierała się do ataku. Jeszcze tylko kilka kroków i smok znajdzie się w zasięgu jego klingi. Falko odczuł wszystkimi zmysłami, jak miecz maga bojowego zaczyna wibrować od magicznej energii, którą wypełniał go Darius, jakby sama naga stal nie zdołała przebić pancerza łusek. Darius nie zdradzał onieśmienia nawet w obliczu tak niesamowitej istoty. Falko nagle zrozumiał, co to znaczy być magiem bitewnym.

Darius stał z uniesioną tarczą, przeniósłszy ciężar ciała na wysuniętą do przodu nogę. Jego prawe ramię było uniesione i odgięte w tył, miecz zastygł pod kątem prostym względem przedramienia, gotowy zadać śmiertelny cios.

Tymczasem smok stał nieruchomo tam, gdzie się zatrzymał, jakby wyczuł, że kolejny krok może się dla niego źle skończyć. Jeśli Darius miał uderzyć pierwszy, musiał jakoś skrócić dystans dzielący go od wroga.

Falko poczuł, jak pomruk wydobywający się z miecza maga bitewnego przechodzi w rozdzierający jęk. Poczuł też połączone moce magów skupiające się wokół smoka. Czekali, aż Darius rzuci się do ataku, lecz razem byli niemal gotowi, by zgładzić czarną bestię.

Gdy prawda o tym, co się za chwilę wydarzy, dotarła do Falka, chłopak nagle uprzytomnił sobie, jaką tragedią będzie uśmiercenie tak wspaniałego

zwierzęcia i jak niegodne jest uderzenie zza magicznej zasłony jak jakiś skrytobójca. Obce, smocze myśli po raz kolejny wdarły się do jego umysłu. Stwór nie był tam, gdzie chciał teraz być. Przybył tu z powodów, których nie rozumiał. To miejsce zionęło rozpaczą i śmiercią.

I należało do ludzi.

Smok raz jeszcze pociągnął nosem, jakby potrafił wyczuć to, czego nie mógł zobaczyć.

Trafił do krainy ludzi.

Falko czuł, jak napiera na niego fala smoczej nienawiści, gorącej i czarnej jak jego obsydianowe serce. Jej napór przepędził z umysłu Falka wszystkie inne myśli. Jak żywe stworzenie mogło żyć przepełnione tak wielką odrazą i nie oszaleć?

Raptem chłopak pojął, że to prawda.

Że czarne smoki są szalone.

Odkrył, że marzy już tylko o tym, by Darius uderzył. Żeby uśmiercił członka smoczego rodu, nim ten zabije ich wszystkich. Lecz wówczas, kiedy sądził, że zgłębił już wszystkie zakamarki smoczej nienawiści, wyczuł na dnie jego serca tłącą się iskrę smutku. Smutku tak przeraźliwego, że łzy natychmiast napłynęły Falkowi do oczu – i już nie pragnął śmierci tego stworzenia. Gdy zmagał się z wszechogarniającym uczuciem opuszczenia, gdzieś z jego pamięci wypłynęło nieproszone stare przysłowie.

„Nie ma uczucia silniejszego od smoczego smutku. Chyba tylko smocza wściekłość”.

Przez łzy Falko zobaczył, jak Darius zbliża się do smoka powolnymi, przemyślanymi krokami. Chciał znaleźć się dość blisko stwora, by móc dosięgnąć go swoim pulsującym ostrzem. Stojący na swoich pozycjach magowie utrzymywali rozpostartą nad amfiteatrem sieć energii. Tak długo, jak smok nie będzie świadom ich obecności, nie zdoła się z niej uwolnić, ale było jasne, że coś wyczuwa. Próbował się cofnąć, ale powstrzymała go niewidzialna magiczna bariera. Usiłował rozpostrzeć skrzydła, ale magia krępowała mu ruchy. W jego umyśle zapaliły się niezrozumienie i strach, gdy Darius złożył się do ciosu. Jeszcze jeden krok i smoczy łeb zostanie odrąbany od ciała.

Nie! – pomyślał Falko. Nie wolno!

Darius już miał uderzyć, lecz Falko, zanim sam się zorientował, co

właściwie robi, rzucił się naprzód.

– NIE! – wrzasnął. Zanim jeszcze słowo opuściło jego usta, wiedział już, że popełnił straszny błąd.

Smok poderwał łeb i odnalazł go wzrokiem, a furia płonąca w jego oczach była jak uderzenie pięści.

– Coś ty zrobił? – zawołał za nim Meredith. – Rozproszyłeś zaklęcie maskujące! Coś ty zrobił, na księżyc i gwiazdy?!

Falko nie mógł odpowiedzieć. Nie mógł się poruszyć. Nie potrafił oderwać oczu od bijącej w niego wzrokiem czarnej kreatury. Na obrzeżach swojego pola widzenia zarejestrował ruch – to Darius rzucił się naprzód, by zaatakować potwora, lecz ostrzeżenie Falka złamało czar, który czynił ludzi niewidocznymi dla smoczych ślepi.

Tutaj są ludzie.

Teraz mógł ich zobaczyć.

Smok cofnął się z zatrważającą szybkością. Miecz maga bojowego zarysował łuski u nasady szyi, ale cięcie było płytkie i smok odniósł tylko powierzchowną ranę. Darius zamachnął się po raz wtóry, ale stwór zadał cios ogonem. Jego ostry szpikulec z potworną prędkością pomknął w stronę maga.

Darius sparował uderzenie tarczą i odskoczył poza zasięg szczęk, ale bestia dopiero wtedy zaatakowała z całą zaciekłością. Falko nie wierzył, że ktoś mógłby przeżyć tak morderczy cios. Potwór rzucił się na maga bitewnego z furią dzikiej pantery, szpony jego przednich łap cięży powietrze z taką zapalczywością, że każdy z ciosów zabiłby na miejscu dorosłego mężczyznę. Darius cofnął się jednak, pozwalając bestii zagarnąć kilka jardów przestrzeni, wirował między rozsmiganymi szponami, aż nadeszła jego kolej na atak.

Odtrąciwszy smoczy pysk tarczą, raz jeszcze spróbował rozorać mu gardło. Potwór zwinął się, by uniknąć morderczego ostrza, po czym niespodziewanym ciosem pazurzastej łapy wybił magowi miecz z ręki.

Rozdziawiona, najeżona zębami paszcza znów pomknęła mu na spotkanie, lecz wtedy z wyciągniętej ręki Dariusza wystrzelił gorejący pocisk magicznej energii. Smok odskoczył do tyłu, rycząc z bólu, gdy uderzenie zerwało mu łuski i rozszarpało skryte pod nimi ciało u nasady zuchwy, tymczasem Darius puścił się naprzód, wznosząc miecz do

ostatecznego ciosu. Już miał zanurzyć go w smoczym ciele, gdy bestia trafiła go druzgoczącym cięciem szponiastej łapy.

Mag przyjął uderzenie na tarczę, ale jego siła posłała go na skraj Smoczego Kamienia. Złapał leżący tam miecz i dźwignął się na kolano, a szyja smoka zwinęła się w powietrzu niczym atakująca kobra i z zakrwawionego pyska bestii chlusnęły płomienie. Darius zasłonił się tarczą, huczący ogień omył go i spełził z niewidocznej bańki energii, która uformowała się wokół maga.

Odpędziwszy od siebie przeciwnika, smok chciał ponownie wzlecieć w powietrze, lecz powstrzymała go ochronna bariera roztoczona przez pozostałych magów. Bestia odbiła się od niej jak od niewidzialnego sklepienia i runęła ciężko na płytę czarnego granitu.

Przez krótką chwilę stwór wydawał się pokonany, przyciśnięty do skały własnym ciężarem, lecz smoki nieprędko się poddają, a siła zaklęcia magów była mocno nadwątlona wybrykiem Falka. Smok z wielkim wysiłkiem podniósł się na nogi i wbił wzrok w cieniste zręby wznoszące się wokół kamienia. Teraz, zebrawszy całą siłę woli, dojrzał skryte na nich postacie – stojących siedmiu magów z twarzami wykrzywionymi strachem i wysiłkiem.

Smok rozejrzał się, jakby chciał zdecydować, kogo rozszarpać w pierwszej kolejności. Może wybrał tego po swojej prawej, bo wyczuł w nim słabość, uznał za najsłabsze ogniwo otaczającego go energetycznego łańcucha. Piers bestii rozděła się i z rozwartej paszczy wystrzeliła w kierunku maga pozioma kolumna ognia. Ten przerażony uniósł ręce, nieudolnie próbując zasłonić się przed płomieniem, ale zrobił to niepotrzebnie – Darius w porę przyskoczył do niego i otoczył go kopułą ochronnego światła. Ogień uderzył o nią, a potem rozproszył się w chłodnym wieczornym powietrzu. Mag odetchnął z ulgą, ale smokowi udało się zaburzyć jego koncentrację. Nie wspierał już swoimi siłami magicznej bariery, utrzymywanej jeszcze przez pozostałą szóstkę.

Smoczy łeb skierował się na Dariusza, smok przez krótką chwilę wiercił go wzrokiem. Na trybunie powyżej poruszały się prędko usta Morgana Sakera, który usiłował zgromadzić dość energii, by zabić smoka. Wiedział, że nie ma wystarczająco dużo czasu. Ostatnim razem dwa tygodnie przygotowywał czar, którym zabił podobną bestię.

Ale musiał spróbować.

Darius ruszył bokiem po obrzeżu kamienia, a smoczy łeb podążył za nim niczym wskazówka zegara. Bestia nagle skoczyła w powietrze i tym razem magiczna bariera okazała się za słaba, by przydusić zwierzę do ziemi. Smok zawisł nad Dariusem i już miał spalić go swoim płomieniem, gdy nagle mag bitewny przyłożył miecz do tarczy, zamknął skryte w cieniu hełmu oczy i zmarszczył czoło w koncentracji. Jego tarcza błysnęła osłepiająco i Darius posłał świetlisty rozbłysk w kierunku zbierającego się do ataku potwora. Smok rzucił się w lewo, ale świetlista klinga naznaczyła łuski na jego piersi i wypaliła długą na stopę dziurę w błonie prawego skrzydła.

Darius rzucił się naprzód w momencie, gdy smok zwalił się na ziemię, ale zanim zbliżył się na tyle, by sięgnąć go mieczem, ogon potwora odnalazł szczelinę w pancerzu osłaniającym okolice kolana. Mag poleciał naprzód, ale w porę przekoziółkował i lądując na drugim kolanie, zamachnął się i chlasnął smoka głęboko przez ramię. Bestia zawyła i cofnęła się, unikając drugiego ciosu.

Wstając, Darius nieopatrznie oparł ciężar ciała na rannym kolanie i zachwiał się, a wówczas potężny cios smoczej łapy trafił go prosto w pierś. Mag poleciał w powietrze, uderzył ciężko o skały na obrzeżu Smoczego Kamienia i przetoczył się twarzą do ziemi. Krew skropiła czarny granit i mag bitewny zastygł w bezruchu.

Strzepnąwszy skrzydłami tylko raz, smok runął na nieprzytomną ofiarę. Uszkodzone skrzydło wykrzywiło tor jego lotu, ale przecież przeciwnik donikąd się nie wybierał. Wydawało się, że nic nie uchroni Dariusa Voltaria od śmierci w smoczych szponach, lecz właśnie w tym momencie emisariusz zaatakował potwora od tyłu.

Wkładając w cios całą swoją siłę, Nieugięty wbił miecz w tylną nogę stwora. Smok ryknął przeraźliwie i okręcił się, by stawić czoła nowemu przeciwnikowi.

Wcześniej, stojąc za Falkiem i Meredithem, emisariusz obserwował przebieg starcia, lecz gdy stało się jasne, że szala przechyla się na korzyść smoka, zeskoczył z trybun i czym prędzej pobiegł po okręgu, by zająć bestię od ogona. Na upatrzonej pozycji znalazł się za późno, by zapobiec uderzeniu, które powaliło Dariusa, lecz teraz gotował się do walki, czując

na sobie nienawistny smoczy wzrok. Jako rycerz w służbie Illicji, emisariusz walczył już z demonami, lecz ze smokiem mierzył się po raz pierwszy i choć potwór nie emanował taką miazdzącą aurą zła, wcale nie był przez to mniej przerażający.

Emisariusz złapał miecz oburącz. Nie miał zbroi ani żadnej mistycznej mocy, na którą mógłby się powołać. Jeśli smok postanowi zaatakować ogniem, nic nie uchroni go przed spłonieniem. Smoczy ogon wystrzelił naprzód, emisariusz uchylił się, a kolec syknął w powietrzu nad jego głową. Gdy smok zamachnął się przednią łapą, rycerz odskoczył w tył. Pazury bestii dwa razy przeorały powietrze wokół niego, ale gdy złożyła się do trzeciego ciosu, Chevalier sam zaatakował mieczem – jego klinga wżarła się w skórę między palcami smoczej łapy i potwór zasyczał z bólu. Jego pierś już nadymała się, gromadząc płomienie, lecz wówczas w zębra trafiła go kula błękitnego ognia, która wybuchła z oślepiającym rozbłyskiem, gdy tymczasem druga trafiła go prosto w głowę.



Magowie porzucili daremne próby uwięzienia smoka w polu energii i zebrali już dość mocy, by przejść do ataku. Ponieważ jednak nie byli magami bitewnymi, zadane przez nich obrażenia okazały się żałośnie małe i tylko dodatkowo rozzłościły smoka. Odwrócił się tyłem do emisariusza, zrobił trzy wielkie kroki i wzleciał w powietrze, by opaść z oszałamiającą prędkością ku najbliższemu magowi. Mężczyzna próbował utkać kolejny czar, ale smok machnął skrzydłami i już był przy nim. Wielkimi szczękami zerwał mu głowę z ramion – okaleczone ciało opadło na Smoczy Kamień.

Kolejne płomieniste pociski spadły na skałę wokół smoka, ale ten jakby zorientował się, że nie mogą wyrządzić mu krzywdy. Bestia zeskoczyła z półki i pomknęła ku kolejnemu magowi. Mężczyzna rzucił się do ucieczki, ale potwór rozwarł paszczę i spuścił na niego deszcz płomieni. Wichrowa

Twierdza rozbrzmiała agonialnym wrzaskiem, gdy mag zatonął w ognistej połodze. Teraz smok wziął na cel nieruchomą postać Morgana Sakera, ale nim zdążył się do niego zbliżyć, znacznie większy niż dotychczasowe grom energii wbił się w jego bok.

Potwór obrócił się w kierunku, z którego nastąpił niespodziewany atak. Wylądował na skalnym pinaklu i skupił rozjarzone spojrzenie na dwóch młodych mężczyznach stojących na trybunie. Jeden miał na sobie szaty maga, drugi wydawał się blady i żałośnie słaby.

Obaj umrą.

Falko patrzył na okręcającą się w jego kierunku olbrzymią głowę. Obok niego stał zdyszany, wykończony Meredith, tak samo zdumiony jak pozostali potężną wiązką energii, którą udało mu się wytworzyć. Obaj obserwowali przebieg bitwy, jakby byli niechętną przedstawieniu publicznością, lecz teraz smok patrzył prosto na nich, a oni wiedzieli, że zaraz rzuci się do ataku.

– UCIEKAJCIE! – ryknął emisariusz, gdy smok wystrzelił w ich kierunku. – FALKO... UCIEKAJ!

Chłopiec oderwał wzrok od wcielonej śmierci mknącej w jego kierunku. W skale za nimi znajdowały się głębokie szczeliny. Gdyby udało im się do nich dotrzeć, zanim dopadnie ich potwór, może uniknęliby płomieni. Falko puścił się biegiem naprzód, a potem wrył pięty w podłoże. Meredith stał nieruchomo, jakby przymarzył do skały. Był zbyt przerażony, by się poruszyć.

Siłą zrodzoną z desperacji Falko złapał towarzysza i pociągnął go za sobą ku głębokim szczelinom. Mag zatoczył się na nogach, gdy Falko pchnął go w kierunku kryjówki. Ledwie zdołał odepchnąć go na bok, gdy usłyszał nad głową młócenie potężnych skrzydeł.

Słyszając szum powietrza wciąganego do smoczycich płuc, Falko wskoczył do rozpadliny, wlaź za skalny węgiel i wcisnął się tak głęboko, jak tylko zdołał. Przez kilka sekund w jego świadomości istniał tylko rozszlochany oddech Mereditha, a potem świat wybuchł pośród wycia płomieni. Falko wrzasnął, gdy ogień zdarł mu skórę z odsłoniętego ramienia i wpełził na szyję i twarz.

Emisariusz strwożył się, patrząc na smoka wypełniającego jaskinię ogniem, lecz płomień zaraz zgasł, a jakaś siła przywlokła smoka

z powrotem na Smoczy Kamień. To ojciec usiłował bronić syna.

Czarne oczy Morgana Saker skupiły się na smoku z taką mocą, jakby mag mógł zabić go samą siłą woli. Ale niestety, nie potrafił tego dokonać. Wiedział o tym, tak jak wiedziała o tym kreatura, której nikt nie zdoła już teraz powstrzymać i która zabije ich wszystkich.

Falko osunął się na ziemię, gdy jasność ognia została nagle zduszona, jakby ktoś przeciął mieczem kolumnę płomieni, która buchnęła ze smoczej paszczy. Wiedział, że powinni być z Meredithem martwi, ale jakimś cudem żyli.

Jego umysł zalewał ból. Falko nie potrafił powstrzymać drżenia, które ogarnęło jego ciało, ale mimo to musiał, po prostu musiał to zobaczyć. To on zaprzepścił szansę na schwytanie i zabicie potwora. Nie ma prawa kryć się w ciemności, gdy inni stoją twarzą w twarz ze śmiercią, którą on na nich sprowadził. Zbyt słaby i dręczony mdłościami, by wstać, przeczołgał się wolno do wlotu rozpadliny i spojrzął na Smoczy Kamień.

Po jednej jego stronie bezgłowy trup maga leżał przy urwisku nad sięgającą tysiąca stóp przepaścią. Kawałek dalej, wciąż nieprzytomny, leżał w kałuży krwi okuty w zbroję Darius. Trzydzieści stóp nad martwym magiem stał na skalnej trybunie Morgan Saker, gromiący potwora wzrokiem, w którym płonęła nienawiść dorównująca tej jaśniejszej w ślepiach czarnej bestii.

Stwór szedł w jego stronę z niespiesznym zdecydowaniem. Łypnął na emisariusza, który zastąpił mu drogę, a Falko zadumał się nad tym, jak bardzo trzeba być odważnym, by stanąć twarzą w twarz z pewną śmiercią.

Nawet pomimo bólu, który zawładnął jego ciałem, Falko czuł, co dzieje się w smoczym umyśle. Bestia chciała zabić emisariusza, ale przede wszystkim zależało jej na tym, by dorwać maga stojącego na skałach. Morgan Saker ucieleśniał wszystko, czego nienawidził smok, wszystko, co doprowadzało go do szaleństwa. Bestia będzie pławiła się w śmierci maga, ale teraz na jej drodze stanął emisariusz.

Falko patrzył, jak Chevalier unosi srebrny wisior na swojej szyi. Przyłożył go do ust, a potem ucałował lekko, nim pozwolił mu opaść. Następnie złapał mocniej miecz i zebrał się w sobie w obliczu końca. Smok runął naprzód z rozwartą paszczą i rozcapierzonymi pazurami, gotowy zmasakrować przeciwnika, a sir William ruszył mu na spotkanie. Zanim

wrogowie zwarli się w boju, iskrzący grom energii strzelił nad ramieniem emisariusza i trafił smoka w pierś. Potwór ryknął z bólu, gdy moc zerwała mu ciało z żeber, zostawiając po sobie dymiącą, krwawą wyrwę.

To nie była wąta magia czarodziejów, ale czar rzucony przez kogoś o wiele potężniejszego. Maga bitewnego.

Czując, że zaraz zemdleje, Falko sięgnął wzrokiem ponad głowę emisariusza, by zobaczyć, skąd nadszedł atak. Za Smoczym Kamieniem podnosił się Darius. Młody mag bitewny porzucił hełm, gdzieś przepadły jego tarcza i miecz, ale nigdy jeszcze nie wyglądał groźniej. Bok jego twarzy ociekał krwią i widać było, że dają mu się we znaki pogruchotane żebra, ale utykając przez poobijane kolano, parł niestrudzenie naprzód.

Oprzytomniawszy po ataku, smok wrócił wzrokiem do przeciwnika, którego, jak sądził, już pokonał. Jego szal wzbił się na nowy poziom. Bestia otworzyła paszczę, by spalić Dariusza na wiór, lecz mag bitewny wyprostował obie ręce i wypuścił z palców kolejny potężny pocisk. Smok zachwiał się i odszedł w tył, zbliżając się coraz bardziej do urwiska, a Darius parł dalej naprzód. Uchylił się przed ciosem ogona, który otworzył nową ranę na jego policzku.

Bestia była ciężko ranna, ale wciąż śmiertelnie groźna. Minąwszy emisariusza, Darius usiłował porazić wroga kolejnym atakiem, lecz potwór uskoczył przed pociskiem, a potem nabrał raptownie tchu i rzygnął płomieniem.

Emisariusz rzucił się na bok, a Darius ponownie otoczył się tarczą, ale nie było trudno dostrzec, że mag bitewny słabnie. Otulił go obłok pary, gdy krew na jego twarzy zaczęła się gotować.

Ale wciąż szedł naprzód.

Gdy ogień zelżał, smok cofnął się jeszcze o krok, aż w końcu stanął na samym skraju Smoczego Kamienia. Darius znalazł się teraz na wprost przed nim. Bestia odwinęła się i zadała cios łapą, ale mag bitewny odbił uderzenie otwartą dłonią. Błysnęło światło i smok zawył, gdy trzasnęły kości w jego przedniej kończynie. Druga łapa wystrzeliła znikąd i smok pochwycił maga bitewnego, po czym zatopił pazury w jego szyi i ramieniu. Potwór usiłował go ukąsić, ale Darius złapał jego wielką głowę i utrzymał ją z dala od siebie na odległość ramienia. Ponieważ ranna bestia nie mogła dosięgnąć przeciwnika zębami, raz jeszcze rozwarła szczęki, by zionąć

ogniem.

Płomień otoczył Dariusa, ale ten nie przestawał szamotać się ze smokiem na skraju otchłani, z czasem jednak siły zaczęły go zawodzić. Płomień zaprószyl się w jego włosach, skóra na twarzy pokryła się pęcherzami i zaczynała pękać. Mag bitewny płonął żywcem, jednak nawet na skraju śmierci zdołał jeszcze przyłożyć otwartą dłoń do smoczej piersi i ostatnim nadludzkim zrywem przebił mu serce wiązką energii.

Płomienie rozproszyły się na wietrze jak spłoszone ptaki i na moment świat utonął w bezruchu, gdy dwaj śmiertelni wrogowie gapili się na siebie, niepewni dalszego toku pojedynku. Gdyby smok był innego koloru, walczyliby ramię w ramię, każdy gotów oddać życie za drugiego. Ale smok przywołany przez Dariusa Voltaria był czarny, a czarne smoki były wrogami rodzaju ludzkiego.

Czarne smoki są szalone.

Jeszcze przez sekundę bestia stała wyprostowana z pazurami wrytymi w skraj Smoczego Kamienia, a potem światło w jej oczach zgasło. Gdy się zachwiała, jej potężne skrzydła przesunęły się w przód i otoczyły Dariusa, zamykając go w ostatnim uścisku. A potem smok i mag bitewny runęli w przepaść i wkrótce zniknęli Falkowi z oczu.

10

Ani jedna dusza



Falko ledwie zdołał pokonać milę, nim zmógł go ból i przygięła do ziemi nieznośna płytkość oddechu. Osunął się na trakt. Idący za nim emisariusz schylił się, by dźwignąć go na nogi. Wziąwszy go w ramiona, sir William zdumiał się, jak niewiele waży ten wychudzony chłopak, choć ma prawie sześć stóp wzrostu. No cóż, tym lepiej, bo od miasteczka wciąż dzieliło ich kilka mil, a Morgan Saker narzucił bezlitosne tempo.

Mag kipiał ze złości. Nie zauważył nawet, że Falko upadł. Gdyby to zależało tylko od niego, zostawiłby szlochającego i majaczącego chłopaka w Wichrowej Twierdzy. Albo nawet własnoręcznie zrzuciłby Falka z urwiska.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś? – ryknął Morgan, trzymając chłopaka za ubranie nad skrajem Smoczego Kamienia, tak że jego pięty nie podierało nic poza powietrzem. – Nie po to ocaliłem cię przed płomieniami, żebyś teraz zgubił nas wszystkich!

Tylko Falko wiedział, że mag mówi o jego dzieciństwie, a nie o smoczym ogniu, który zagrażał mu tej nocy. Morgan wpił palce w jego tunikę, jakby ostatkiem sił powstrzymywał się przed posłaniem chłopaka w ślad za Dariusem. Falkiem targało tak druzgocące poczucie winy, że nie dbał o to, czy Saker to zrobi, czy też nie.

– Ojczy! – zawołał Meredith. To było pierwsze słowo, jakie wypowiedział. – Ojczy – powtórzył, a żalobna nuta w jego głosie przebiła się do świadomości ogarniętego wściekłością Morgana.

Mag warknął coś w odpowiedzi, szarpnął Falkiem i rzucił go na skałę. Następnie, nie zaszczyciwszy go już ani słowem, ruszył przed siebie, kierując się ku wyjściu z Wichrowej Twierdzy.

– A co z nimi? – spytał jeden z magów.

– Nie mamy czasu na umarłych. – Morgan nawet się nie odwrócił.

Czarodzieje spojrzeli na emisariusza, ale wyraz jego twarzy był nie mniej zacięty i ponury.

– Nie zdołamy im już pomóc – powiedział Chevalier. – Ale możemy jeszcze pomóc mieszkańcom Caer Dour.

Z tymi słowami postawił Falka na nogi.

– Możesz iść? – spytał i uznał, że tak, skoro chłopak utrzymywał się na nogach. Poprowadził go w kierunku stopni wiodących z amfiteatru na szlak, a inni nie mieli innego wyjścia, jak tylko podążyć za nimi.

Szli teraz na złamanie karku stokiem Mont Noir. Było ciemno, w dole migotały tylko światła Caer Dour. Na przedmieściach czekał już na nich tłum mieszkańców, ale w miarę gdy wędrowcy się do nich zbliżali, wyczekiwanie widoczne na twarzach przechodziło w obawę, wręcz panikę. Ktoś dostrzegł wątlą postać w ramionach emisariusza, ktoś inny zauważył nieobecność Dariusa i dwóch innych magów. Było jasne, że coś poszło bardzo nie tak.

– A gdzie Darius? – pytali.

– Czy przywołał smoka?

– Co się stało chłopcu?

– Gdzie jest Darius?

Morgan Saker ignorował pytania, a ludzie rozstąpili się, by przepuścić pochód. Dostrzegł kogoś w tłumie. Machnął ręką na żylastego mężczyznę.

– Gdzie jest Bellius? – spytał, nawet nie zwalniając kroku.

– W ogrodach – poinformował go zapytany. – Wyprawił przyjęcie na cześć Jarega.

– Znajdź go – polecił mag. – Każ mu natychmiast spotkać się ze mną na placu. I powiedz, żeby przyprowadził ze sobą tylu szlachciców, ilu tylko znajdzie.

Mężczyzna skrzywił się, słysząc śmiertelną powagę w głosie czarodzieja.

– Szybko, człowieku! – warknął Morgan. – Biegnij, jakby cię demon gonił!

Mężczyzna bez słowa pognał brukowaną ulicą. Tłum ciągnął się za magami na plac w centrum miasta. Minęli po drodze posiadłość Symeona, który zjawił się na progu, słysząc narastającą wrzawę tłumu. Za jego plecami pojawili się Malaki i Fossetta.

– Falko! – zawołał Malaki, pochwyciwszy wzrokiem przyjaciela niesionego przez emisariusza.

Wyrwał naprzód, ale Symeon wyciągnął rękę i osadził go w miejscu.

– Co jest?

– To drużyna przywoływacza – poinformował go Malaki. – Coś poszło nie tak. Falko jest chyba ranny.

Fossetta również chciała pobiec do Falka, ale czekała, co powie pan domu. Mięśnie na szczęce Symeona drgnęły, pochylił głowę, jakby nie potrzebował pytać Morgana Sakera o to, jak potoczyły się sprawy na szczycie góry. Ale zaraz nabrał tchu i się wyprostował.

– Fossetto – rzekł do gospodyni – znajdź Heçamedes. Powiedz jej, że potrzebujemy jej usług.

– Chyba idą na plac – wydyszała Fossetta.

Symeon potwierdził skinieniem.

– Poproś, żeby nas tam znalazła, jeśli może.

Gospodyni nie traciła nawet czasu, by zdjąć fartuch. Pomknęła po schodach i ruszyła brukowaną aleją, aż pochłonął ją cień zalegający między budynkami.

Symeon położył rękę na ramieniu Malakiego.

– Idziemy.

Dogonili emisariusza dopiero na placu.

– Ja go wezmę – powiedział Malaki, wyciągając rękę do Falka.

– Potrzebny mu uzdrowiciel – odparł Chevalier.

– Już tu idzie – uspokoił go Symeon.

Malaki wziął przyjaciela w ramiona. Niekończący się potok ludzi szczerlnie wypełniał plac.

– Jest rozpalony – zmartwił się Malaki, gdy pokryte potem czoło przyjaciela zetknęło się z jego szyją. – Co się stało?

Emisariusz nie odpowiedział, ale jego wymowne spojrzenie sprawiło, że Malaki zaczął się bardzo bać.

Och, Falko, pomyślał. Coś ty zrobił?

Blade policzki chudzielca były lepkie od potu i miały barwę popiołu. Karmazynowa wysypka, która zwykle kryła się za linią włosów, uwidoczniła się na jego czole i skroniach. Oddychał płytkimi zrywami, a skóra wokół ust miała sinoniebieską barwę. Malaki widział już przyjaciela w złym stanie, ale tak wycieńczonego jeszcze nigdy.

Szybko, Heçamedes, błagał w duchu. Pospiesz się.

Morgan Saker przemaszerował przez plac i wspiał się schodami na kamienne podwyższenie z fontannami w każdym kącie, będące pomnikiem poległych wojowników Caer Dour. Ludzie napierali ze wszystkich stron, domagając się wieści o wydarzeniach na górze, ale mag zbył ich machnięciem ręki. Saker nie powie nic, dopóki nie przyjdą Bellius i wysoko urodzeni.

– Połóżcie go tutaj. – Emisariusz wskazał Malakiemu szerokie schody za jedną z fontann. Oderwał pas materiału z własnej koszuli i zamoczył go w zimnej wodzie, a potem otarł Falkowi czoło i szyję. – Musimy obniżyć temperaturę jego ciała.

Malaki podniósł Falka do pozycji półleżącej, a wysłannik królowej zmoczył mu tunikę i zwilżył czoło.

– Chevalier – odezwał się głęboki głos i pojawił się przy nich Symeon.

Emisariusz podniósł wzrok i zrobił mu miejsce, a stary mag bitewny uklęknął przy swoim słudze. Położył jedną rękę na piersi chłopaka, a drugą przystawił mu do czoła. Pochylił głowę w koncentracji. Przez kilka chwil nic się nie działo, Falko wciąż drżał, walcząc o choćby najwątleszy oddech. A potem nagle wygiął się w łuk i zaczerpnął chrapliwie powietrza. Wywrzeszczał jedno słowo:

– DARIUS!

Nerwowe szemranie tłumu ustało jak ucięte nożem, gdy wszyscy zwrócili głowę tam, skąd dobiegł krzyk. Ludzie odstąpili od małej grupki skupionej przy fontannie. Wyczuwalne w powietrzu zdenerwowanie zgęstniało i przerodziło się w strach.

Co tam się wydarzyło, do diaska?

Gdy podniosły się szepty i coraz więcej spojrzeń zwracało się ku drżącemu chłopakowi, z ciżby wyłoniła się, rozpychając się łokciami, Fossetta, ciągnąca za sobą Heçamedes, jedną z najbardziej uzdolnionych uzdrowicielek w mieście. Heçamedes była wysoką kobietą o ciemnej skórze,

zdradzającej thraeckie pochodzenie. Razem precyzyjnie się do fontanny, a gdy gospodyni zobaczyła, w jakim stanie jest Falko, przyłożyła dłonie do ust i zdusiła szloch. Uzdrowicielka położyła Symeonowi rękę na ramieniu i stary mag wstał.

– Co się stało? – spytała, przykładając szczupłą dłoń do rozpalonego czoła chłopaka i mierząc mu puls.

Emisariusz przemknął wzrokiem po tłumie i nachylił się do ucha kobiety.

– Smoczy ogień – szepnął cicho.

Heçamedes zmarszczyła brwi i odjęła rękę, by przyjrzeć się wysypce na czole pacjenta. A potem rozpięła mu koszulę. Czerwone krosty rozsypały się po całej piersi. Jakimś sposobem smocze płomienie zaogniły chorobę. Moce Symeona dały mu kilka ratujących życie oddechów, lecz teraz gardło Falka znowu się zacisnęło. Jeśli ktoś mu nie pomoże, chłopak się udusi.

Heçamedes prędko otworzyła jedną ze skórzanych sakw, które zwisały na rzemieniach z jej ramion. Wydobyła z niej dziwną, zakończoną ustnikiem srebrną rurkę z czymś na kształt niewielkiej, zakrytej pokrywką miseczki umieszczonej w połowie długości. Potem wyłowiła z kieszeni buteleczkę z białawym proszkiem i wsypała odrobinę do miseczki.

– Co to? – zaciekawiała się Fossetta.

– Proszek z przęśli – odparła uzdrowicielka. – Zmniejszy opuchliznę w jego drogach oddechowych.

Kobieta przyłożyła przyrząd do lewego nozdrza chłopaka, a ustnik – do własnych warg. Zatkawszy Falkowi drugą dziurkę nosa, dmuchnęła rytmicznie raz po razie, zgrywając się z oddechem pacjenta. Z każdym dmuchnięciem Falko kaszlał niemrawo, a z czasem rozkaszał się na dobre, ale jego oddech się poprawił. Niebieskawa siność opuściła jego usta i na policzki wypłynął cień rumieńca.

Uzdrowicielka odłożyła przyrząd i raz jeszcze zbadała puls. Drżenie ustało i oddech pacjenta z wolna się wyrównywał. Heçamedes westchnęła z ulgą i już miała zająć się oparzeniem na ramieniu, gdy po przeciwnej stronie placu wybuchło jakieś zamieszanie. Bellius Snidesson wyłuskał się z tłumy, a za nim tuzin wysoko urodzonych. Ruszył prosto w kierunku pomnika poległych, a ludzie umykali mu z drogi. Wszyscy patrzyli, jak wchodzi po schodach i pogrąża się w cichej rozmowie z Morganem

Sakerem.

– Pomóżcie mi go obrócić – powiedziała Heçamedes, na powrót poświęcając całą uwagę Falkowi.

Malaki oderwał wzrok od ponurej grupy zgromadzonej na podwyższeniu i schylił się, by pomóc kobiecie. Ułożył przyjaciela na boku i rozerwał nadpalony materiał tuniki, by odsłonić ranę dla Heçamedes.

– Źle jest? – spytał Symeon. Tylko on znał nieopisany ból, jaki ogarnia człowieka spalonego smoczym płomieniem.

Uzdrowicielka uniosła brew.

– Miał szczęście. Smok uszkodził tylko zewnętrzne warstwy skóry. Ogień musiał ledwo go musnąć.

Malaki ogarnął wzrokiem czerwoną, sączącą się ranę i żadną miarą nie mógł określić Falka mianem szczęśliwca. Ogień zdarł mu skórę z ramienia, a płomienie liznęły też bok jego szyi i twarzy. Ciało może i się zagoi, ale będzie naznaczony bliznami do końca życia.

Heçamedes wyjęła z sakwy mały rozpylacz, który wypełniła ziołowym naparem. Spryskała ranę zielonkawą mgiełką, a potem nakryła ją jedwabiem nasączonym leczniczym olejkiem. Następnie przewiązała ramię Falka czystym bandażem, a potem nasmarowała lżejsze poparzenia srebrzystą maścią.

Wreszcie ułożyła pacjenta w ramionach kowala i podała mu coś na ból. Falko przełknął pachnącą słodko substancję i gdy jego ciało cofało się znad skraju śmierci, mógł w pełni ogarnąć umysłem całą biedę, jaką na siebie sprowadził. Otworzył niepewnie oczy, przez chwilę wodził nimi po ścianie gromiących go wzrokiem ludzi, a potem zatopił twarz w ramieniu Malakiego i się rozplakał.

Heçamedes zwróciła się do Fossetty i Symeona.

– Opatrunek trzeba codziennie zmieniać – zaleciła, a stary mag bitewny skinął żałośnie głową. – Mógłbyś też zaradzić bólowi, Symeonie... Twoja moc przyspieszyłaby również proces zaleczania się ran.

– Oczywiście – potwierdził starzec.

– A co z dusznościami? – spytała Fossetta. – Nigdy jeszcze nie było tak źle.

– Niestety, to prawda. – Heçamedes raz jeszcze przyjrzała się wysypce na piersi Falka. – Właściwie nie jestem nawet pewna, czy to rzeczywiście

suchoty. Szkarłatnica nie reaguje w ten sposób na gorąco. To jakaś inna choroba.

Stojący za jej plecami emisariusz potwierdził skinieniem. Miał powiedzieć coś jeszcze, gdy gdzieś nad nimi wybuchnął rozsierdzony głos.

– Gdzie on jest? – krzyczał Bellius, podchodząc na skraj podwyższenia. – Gdzie jest szczeniak tego zatraconego szaleńca?

Na placu zapadła cisza. Tłum podążył za wzrokiem szlachcica, ale Falko był zbyt roztrzęsiony, by usłyszeć jego jadowite słowa. Nawet Bellius nie mógł sprawić, by Falko poczuł się jeszcze gorzej. Przy szlachcicu stał Morgan Saker i czterech ocalałych z walki magów, a za nimi grupa najpotężniejszych szlachciców w mieście. Na ich twarzach jaśniało niedowierzenie.

– Co jest? – zawołał ktoś z cizby. – Ktoś powie w końcu, co tam się wydarzyło?

Tłum momentalnie podchwycił jego słowa, wybuchła wrzawa. Mieszkańcy Caer Dour domagali się prawdy.

Morgan uspokoił ich uniesieniem ramion. Czekając, aż ucichnie ostatni szept, wodził po nich czarnymi oczami, a potem wyjął:

– Darius nie żyje.

Ludzie wstrzymali oddech. Cisza aż dzwoniła w uszach. Niedowierzenie wypłynęło na zdeorientowane twarze.

– Smok, którego przywołał, był czarny – ciągnął mag. – Nie zdołaliśmy go obłaskawić. – Przeniósł wzrok na Falka. – Bestia zabiła dwóch magów. Zabiłaby również i nas, gdyby Darius go nie powalił. – Pauza. – Walczył dzielnie i ostatkiem sił rozgromił potwora, ale ostatecznie pochłonęły go płomienie. Razem spadli z urwiska. Nasz mag bitewny padł na polu bitwy.

Zebrany wydawało się, że się przesłyszeli. Przywołania nie miały kończyć się w ten sposób. Każdy wiedział, że mogą wydarzyć się tylko trzy rzeczy: albo żaden smok nie odpowie na wołanie maga, który wówczas wróci do miasta samotnie, albo smok odpowie i wróci do miasta wraz z przywoływaczem, albo...

Albo właśnie... Przywołany zostanie czarny smok. Zdarzało się to rzadko i zwykle kończyło się śmiercią potwora. Przecież to w tym celu magowi bitewnemu towarzyszyli zwykli czarodzieje, i to aż siedmiu – by spętać szaloną bestię i pozwolić mu ją zabić. Tak właśnie miało być. Smok ginął

i przywołanie kończyło się fiaskiem, ale wówczas mag wracał do miasta, by walczyć z Opętanymi.

Tym razem stało się inaczej.

A nie miało się stać.

Ten dzień zaczął się świętowaniem, a teraz kończył się żałobą. Przez długą chwilę nikt nie zdołał dobyć słowa. Plac stale zapełniał się ludźmi, stopniowo trwożliwa cisza zaczęła pękać pod naporem szeptów i przyciszonych w niedowierzaniu głosów. Ci, którzy usłyszeli już straszne nowiny, przekazywali je nowo przybyłym.

– Symeonie! – rozległ się znajomy głos. – Co się stało?

Stary mag obrócił się, gdy Julius Merryweather położył mu rękę na ramieniu. Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie przedramiona, a rubaszny szlachcic o niezwykle, jak na niego, poważnej twarzy strzelał wokoło nerwowym wzrokiem.

– Darius zginął – rzekł Symeon.

– Wielkie nieba! – zapowietrzył się Merryweather. – A co z twoim chłopcem? – szepnął, zauważywszy Falka.

Symeon zacisnął usta.

– Smok go poparzył – dodał cicho. – Heçamedes opatrzyła mu rany, ale jego pierś... jego płuca... – Symeon potrząsnął głową.

Stojący na podwyższeniu Morgan Saker odpowiadał na padające z tłumu pytania.

– Jak to możliwe?

– Dlaczego magowie nie byli w stanie powstrzymać smoka?

– Czy było ich zbyt mało? Czy byli zbyt słabi?

– Słabi! – warknął Morgan groźnym głosem. – Nie byliśmy słabi! – Miał powiedzieć coś jeszcze, ale do przodu przepchnął się Bellius.

– Jak śmiecie obwiniać magów?! – oburzył się. – Przecież sprawca tej tragedii leży tutaj przed wami!

Spojrzenia zwróciły się tam, gdzie skierował je oskarżycielski palec szlachcica. Ludzie cofnęli się od Falka i stojących nad nim przyjaciół.

– To on sprowadził na nas zgubę! – syknął Bellius. – On! Nieodrodny syn Aquili Dantégo! Ostrzegł smoka przed atakiem Dariusa. Stał po stronie bestii.

– To nieprawda – powiedział Meredith Saker, ale ojciec uciszył go

spojrzeniem.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – wycharczał Bellius i raptem niedowierzanie tłumu ustąpiło miejsca czemuś innemu. Spojrzenia wwiercające się w Falka stały się nieżyczliwe i surowe. W powietrzu cuchnęło złością. Wściekłością skoncentrowaną na jednym człowieku.

– Ale co z Opętanymi? – ryknął ktoś inny.

Złość wyparowała, gdy nagle przypomniano mieszczanom o straszliwym zagrożeniu, które nadciągało od strony doliny. Oszłamiająco gładko przenieśli uwagę z powrotem na Belliusa i Morgana Sakerę.

– I co z demonem?

– Co z Opętanymi?

– Kto będzie z nimi walczył?

Bellius uniósł ręce, by stłumić tę nową falę paniki, ale sam wydawał się nerwowy i niepewny.

– Powinniśmy wysłać posłańca do Caer Laison – podsunął któryś z wysoko urodzonych. – Poprosić o pomoc.

– Już na to za późno – wypluł Morgan. Nawet wielki mag wydawał się rozstrojony.

– Ale przecież... Opętani... demon... Co my zrobimy bez Dariusa?

– Umrzemy bez Dariusa! – krzyknął Meredith Saker.

Morgan strzelił wzrokiem w syna, ale było już za późno. Meredith powiedział prawdę. Bez Dariusa ich armia nie miała szans na pokonanie Opętanych.

– Powinniśmy kazać wojsku zawrócić do miasta – rzucił któryś z możnych. – Obsadzić mury u wlotu doliny. Z pewnością uda się ich tam zatrzymać.

Bellius pokiwał głową.

– Tak, nie ma potrzeby stawać przeciw nim na polu bitwy. Możemy spróbować zatrzymać ich w dolinie, dopóki nie sprowadzimy pomocy.

– Nam już nic nie pomoże! – powiedział Morgan pogardliwym głosem. – Nic.

– Ale wciąż możemy walczyć – zauważył inny szlachcic. – Wspomogą nas magowie.

– Magowie na nic się nie zdadzą na polu bitwy – warknął Morgan. – Gdyby tak było, po cóż byliby nam magowie bitewni? Tylko oni mogą

otoczyć armię tarczą, przez którą nie zdoła się przebić się diabelski strach roztaczany przez demona. A nie mamy już maga bitewnego.

Podążył wzrokiem do zmaltretowanej postaci w ramionach Malakiego. Czekał, aż Falko otworzy oczy, by zwrócić się do niego.

– A nie mamy go przez ciebie – dodał, jakby byli jedynymi ludźmi na placu.

Mieszkańcy Caer Dour raz jeszcze spojrzeli na wątłą postać Falka Dantégo. W ich oczach próżno było szukać śladów litości i współczucia dla jego cierpienia. Zamiast tego narastało w nich przerażenie i zrodzona z niego nienawiść. Z ich ust dobyła się plątanina głosów, zmagali się z narastającą paniką, gorączkowo szukali wyjścia z sytuacji, obwiniali chłopaka za niepowodzenie rytuału.

– Można by ściągnąć do miasta żołnierzy z ościennych regionów – zasugerował któryś mieszczanin.

– Moglibyśmy rozdać broń ludziom – powiedział kolejny. – Walczyć w obronie naszych rodzin.

– A gdybyśmy zaatakowali ich z klifów, zanim dotrą do miasteczka?

Rumor przybrał entuzjastyczny ton, gdy mieszkańcy Caer Dour zaczęli prześcigać się w wymyślaniu sposobów na pokonanie ferockiej armii. Wciąż stojący na pomniku Bellius widocznie nabrał pewności siebie, rozmawiał teraz z możnymi, którzy przerzucali się pomysłami. Wydawał się tak napuszczony i zadowolony z siebie, jakby nabrał przekonania, że on i jego szlachetni znajomkowie zdołają uchronić Caer Dour od zguby. Lecz mieszczanie nie słuchali go, sami napędzeni nadzieją, przeskakujący od pomysłu do sugestii. Wówczas nowa postać wstąpiła na pomnik.

– Obywatele Caer Dour – zwrócił się do tłumu sir William Chevalier.

Cizba ucichła, ciekawa, co ma do powiedzenia królewski wysłannik, lecz jeśli spodziewali się pocieszenia i zagrzenia do boju, zawiedli się. Emisariusz potoczył wzrokiem po zwróconych w jego stronę twarzach, a mieszczanie dostrzegli obecny w nich smutek.

– Nie możecie z nimi walczyć – powiedział po długiej chwili.

Niektórzy zjeżyli się, jakby rycerz podawał w wątpliwość ich umiejętności lub odwagę.

– Nie możecie walczyć z armią demona – powtórzył Chevalier. – Nie bez maga bitewnego.

– Możemy wystawić dwa tysiące żołnierzy – odparł Bellius. – O wiele więcej, jeśli rozdamy broń wszystkim mężczyznom, którzy mogą walczyć.

Emisariusz westchnął z wysiłkiem.

– A ilu z nich stawiało już czoła demonowi? – spytał. – Ilu walczyło z Opętanymi?

Bellius prychnął i się odwrócił. W całym mieście zebrałyby się może garstka ludzi, którzy mieli jakieś doświadczenie w walce z Opętanymi. Samo wspomnienie o nich brzmiało jak zamierzchła historia, fragment opowieści zapisanej w jakiejś zmurszałej księdze, rozbudzone na nowo zagrożenie, które kiedyś przetoczyło się przez Beltane i Illicję – budzące przerażenie, lecz odległe i niezbyt realne, problem kogoś innego, nie nasz, mieszkańców Caer Dour. Valencja dopiero w ostatnich latach odczuła na własnej skórze efekty toczącej się gdzieś daleko wojny – gdy wyszczerbiła się tarcza, którą otoczyły ją inne królestwa.

Emisariusz wolno pokiwał głową. Nie wydał osądu, nie było w nim lekceważenia ani pogardy, nie winił tych ludzi za ich niewinność.

– Nie dotrzymacie im pola – powtórzył. – I jest za późno, żeby sprowadzić pomoc.

– A więc co mamy robić? – spytał ktoś w tłumie.

– Musicie uciekać. Uciekać i trzymać się nadziei, że uda wam się skryć w bezpiecznym miejscu.

– Mamy więc zostawić miasto na pastwę Opętanych? – zaśmiał się Bellius, jakby sama ta myśl była absurdem. – Naprawdę wydaje ci się, że mężowie Caer Dour porzucą swój dom i pierzchną, żywiąc nadzieję, że armia demona zostawi ich rodziny w spokoju?

Sir William spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie zrozumiałeś mnie, panie. To nie armia ma uciec.

Bellius skrzywił brwi.

– Armia Opętanych przemierzy dolinę, a potem wejdzie do miasta, żeby zabić lub zagrabić wszystko, co znajdzie na swojej drodze. A znajdzie każdego, kto okaże się na tyle głupi, żeby zostać.

Przez tłum znów przetoczyły się szeptem, jakby ludzie zaczęli rozumieć, co chce im powiedzieć Chevalier. Emisariusz zrobił pauzę, by jego słowa do nich dotarły.

– Pozwólcie dzieciom przespać tę noc – podjął – ale o wschodzie słońca

każdy: mężczyzna, kobieta czy dziecko, musi być gotowy do ucieczki w góry.

– Ale dokąd mielibyśmy pójść? – spytała kobieta skryta gdzieś w tłumie po przeciwnej stronie placu.

Emisariusz jakiś czas szukał jej wzrokiem, ale bezskutecznie.

– Ruszemy w kierunku Clemoncé – wygłosił. – Obyśmy dotarli tam, zanim dogonią nas Opętani.

– Ależ to szaleństwo! – zawołał Bellius. – Nie możemy wyrwać miasta z korzeniami i rano przesadzić go do jakiegoś miejsca w górach.

– Szaleństwem będzie w nim zostać.

– Ale co z naszymi domami? Z naszą ziemią?

– Domy można odbudować. Ziemię można odbić.

Zirytowany Bellius wyrzucił ramiona w górę. Szukał wsparcia na twarzy Morgana, ale mag gromił go bezlitosnym wzrokiem. Emisariusz ponownie zwrócił się do tłumu.

– Ludu Caer Dour. Co się stało, to się nie odstanie. Nie czas teraz na opłakiwanie Dariusa. – Ludzie mierzyli go ponurym wzrokiem. – Wróćcie do domów i przygotujcie się do podróży. Spakujcie tylko to, co potrzebne. Nie bierzcie nic, co zanadto was spowolni.

Tłum otrzeźwiał, zaczął powoli mierzyć się z rzeczywistością, która zarysowała się teraz jasno i wyraźnie. Perspektywa zabrania bliskich w góry nie była miła, lecz mieszkańcy Caer Dour byli przecież rodowitymi Valencjanami. Nie ugną się pod naporem trudów, stawią czoła wyzwaniu.

– Prędkość, żywność, schronienie – wyliczył na palcach emisariusz. – O tym myślcie, gotując się do drogi. Przede wszystkim o szybkości.

Odczekał chwilę, by się upewnić, że zrozumieli.

– Jest w górach niedaleko stąd skalny płaskowyż – dodał – przy drodze wiodącej do Clemoncé. Powiedzcie o nim waszym przyjaciółom i rodzinie. Powiedzcie każdemu, kogo znacie, że spotkamy się tam jutro rano.

Raz jeszcze potoczył wzrokiem po wpatrzonych w niego twarzach.

– Nie wolno nam nikogo zostawić – powiedział. – Jeśli jest wśród was ktoś, kto potrzebuje pomocy, pomóżcie. Jeśli jest ktoś, kogo trzeba przekonać, bądźcie przekonujący. Niech jutro o wschodzie słońca nie zostanie w Caer Dour ani jedna dusza.

11

Poczucie winy



Tłum rozpraszał się powoli. Włodarze Caer Dour odeszli, by omówić trudne położenie swojego ludu. Symeon dołączył do nich, nikt bowiem nie wiedział tyle o Opętanych, ile właśnie on. Rozmowa ciągnęła się w nieskończoność i było grubo po północy, gdy stary mag w końcu wrócił do domu.

Malaki zaniósł Falka do willi i ułożył go tak wygodnie, jak tylko potrafił, podczas gdy Fossetta zaczęła przygotowywać się do podróży w góry. Kiedy już wszystkiego dopilnowała, przyszła zmienić Malakiego.

– Powinieneś już iść – powiedziała. – To będzie pracowita noc i twojemu ojcu z pewnością przyda się pomoc.

– Ale przecież... – zaczął Malaki, lecz Fossetta zaraz mu przerwała:

– Będę mieć oko na Falka. Sen to najlepsze lekarstwo.

Młody kowal kiwnął głową, choć wcale nie kwapił się opuścić przyjaciela. Gdy wstał z krzesła, Fossetta położyła mu rękę na ramieniu, po czym wspięła się na palce, by ucałować go w policzek.

– Świetnie dzisiaj walczyłeś – powiedziała ze łzami w oczach.

Malaki się uśmiechnął.

– Dziękuję – odparł, choć doniosłe wydarzenia dzisiejszego dnia nagle wydały mu się odległe i błahe.

Gospodyni odprowadziła go wzrokiem do drzwi, a potem zajęła zwolnione przez niego krzesło. Pokój oświetlał płomień jedynej lampy, pomieszczenie wypełniało migotliwe pomarańczowe światło, ale twarz Falka wciąż wydawała się bladoszara jak skała. Jęczał przez sen, czasem

jego ciałem wstrząsały dreszcze, oddychał chrapliwie.

– Ciemność – wybełkotał w malignie. – Ciemność w głębinach. Ciemność na wysokościach.

Na Fossettę padł blady strach. Minęły lata, odkąd Falko ostatni raz mówił przez sen o owej tajemniczej ciemności. Musi być w naprawdę złym stanie, skoro sny wciągnęły go znowu w ciemną otchłań w jego umyśle. Często, gdy mówił o ciemności, wspominał też o innych rzeczach. Fossetta i Symeon nie potrafili orzec, czy było to miejsce, gdzie znajdowały się trzy wzgórza, czy może jacyś trzej wymyśleni przyjaciele, którzy podnosili go na duchu.

– To nieważne – powiedział kiedyś Symeon. – Jeśli pomaga mu to w walce z koszmarami, to nie może być złe.

Fossetta żywiła nadzieję, że Falko poczuje się lepiej rano. Odgarnęła z jego twarzy kosmyk ciemnych włosów. Zmierzyła mu gorączkę i pochyliła się, by ucałować go w czoło. Usiadła w fotelu po drugiej stronie pomieszczenia i prawie przysnęła, kiedy usłyszała odgłos otwieranych drzwi.

– Jak z nim?

Gospodyni wstała, gdy do pokoju wszedł Symeon.

– Niedobrze – odparła.

Stary mag bitewny dosłyszał zdenerwowanie w jej głosie.

– Jest silniejszy, niż się wydaje – powiedział. – Czy nie tak sama zawsze mówiłaś?

Fossetta odpowiedziała uśmiechem na tę uprzejmość starego maga.

– Czy wszystko ustalone? – spytała.

– Tak, na ile to możliwe. Udamy się do Toulwaru. To najbliższe bezpieczne miejsce.

– Czy jest tam jakiś mag bitewny?

– Będzie – skorygował Symeon. – To punkt zborny dla wojsk zmierzających do Illicji. Mag bitewny ma dołączyć do ostatnich oddziałów opuszczających miasto pod koniec miesiąca.

– Ale to już za dziewięć dni!

Symeon nie odpowiedział. Uczestnicy spotkania wyrażali tę samą troskę. Miasto Toulwar leżało w odległości stu mil od Caer Dour i wiodła do niego trudna ścieżka przez góry. Symeon zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe,

by wszyscy uciekinierzy przemierzili taką odległość w dziewięć dni.

– Wyślemy jeźdźców – powiedział. – Poinformują Toulwar o naszej sytuacji. Armia wyjedzie nam na spotkanie.

– A co z tymi, którym nie uda się uciec? – spytała Fossetta.

Symeon tylko pochylił głowę.

– Otrzymają szansę na to, żeby zdecydować o swoim losie.

Gospodyni zakryła usta dłońmi.

– Niebiosa, dopomóżcie – wydyszała.

Ręka Symeona spoczęła na jej ramieniu.

– Czy wszystko gotowe? – spytał, chcąc skupić jej uwagę na przyziemnych sprawach. Na rzeczach, które były w zasięgu jej możliwości.

Fossetta pokiwała głową, ale Symeon widział, że łzy zebrały się w jej oczach. Znała przynajmniej kilka osób, które były zbyt chore lub zbyt stare na wyprawę w góry.

– Kazałam Davisowi przygotować juki dla koni – powiedziała, ocierając oczy skrajem rękawa. – Na pewno wiele ludzi nie sięga myślą dalej niż do pierwszego dnia wędrówki. Musimy być przygotowani na to, żeby dzielić się zapasami.

Mężczyzna kiwnął głową i się uśmiechnął.

– Prześpij się, Fossetto. Ja przy nim posiedzę.

Kobieta spojrzała na Falka. Na jej twarzy troska zmagala się ze współczuciem.

– Niebiosa, dopomóżcie – powtórzyła i opuściła pokój.

Symeon rozsiadł się na krześle.

Minęła godzina. Płomyk lampy ledwie już trzymał się knota.

Falko otworzył oczy.

Po drugiej stronie pomieszczenia zobaczył siedzącego Symeona. Zdawało się, że śpi. Falko odetchnął z ulgą. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Bolała go pierś, a ramię płonęło bólem. Gdy usiłował zmienić pozycję na wygodniejszą, niespodziewanie usłyszał głos gospodarza:

– Dlaczego?

W przyćmionym świetle dostrzegł poznaną bliznami twarz opiekuna.

– Musiałem się dowiedzieć... – wymówił cicho. – Musiałem się przekonać.

– O czym?

– Za co umarł – odpowiedział Falko. – Co go do tego popchnęło.
– Czy znalazłeś odpowiedź?
– Nie. Smok był szalony. I mój ojciec też był szaleńcem, że się z nim sprzymierzył.

Symeon wziął głęboki wdech i wyrzucił powietrze z płuc. Wydawał się niemal rozczarowany. Może sam liczył na to, że znajdzie się jakieś wytłumaczenie dla czynów Aquili Dantégo.

Zapadła cisza.

Falko wlepił wzrok w sufit, a z jego oczu polały się łzy syna opłakującego śmierć ojca. Ostatnia nadzieja na odkupienie jego ojca spłonęła w ślepej furii smoczego płomienia.

– Przepraszam.

Symeon pochylił głowę, słysząc żal w głosie podopiecznego. Nie winił go za to, co się wydarzyło, nawet jeśli całe miasto potępiało jego czyn. Stary mag rozumiał, że to rozpaczliwe pragnienie serca popchnęło Falka do niebezpiecznej podróży do Smoczego Kamienia. Nie było w tym jego winy, po prostu nie mógł postąpić inaczej.

– Spróbuj jeszcze pospać – powiedział. – Zbierz siły na nadchodzące dni.

– Pospać – powtórzył chłopak, czując, że nawet we śnie nie znajdzie spokoju.

A jeśli chodzi o siły... Prawie się roześmiał.

Siła potrzebna była żyjącym. On jej nie potrzebował.

12

Góry



Następnego dnia sześć tysięcy ludzi zebrało się na rozległym skalistym płaskowyzu na zachód od miasteczka. Jesienny chłód dodatkowo pogłębiał ponurą aurę tego smętnego, odkrytego pustkowia, gdzie nic nie chroniło przed kąśliwym północnym wiatrem. Słońce ledwie wyrzało zza horyzontu, a zanim jego pierwsze promienie dotknęły Caer Dour, prawie nie było w nim już żywej duszy.

Ludzie wzięli sobie do serca słowa emisariusza i zaledwie garstka pozostała w mieście. Większość zdoła ruszyć za głównym pochodem, nim będzie za późno, lecz byli także i tacy, którzy „potrzebowali pomocy w dokonaniu właściwego wyboru”. Na twarzach uciekinierów malowały się ponure barwy; stali skupieni w grupkach, garnąc się do siebie w przenikliwym chłodzie, ściskając w zgrabiałych dłoniach sakwy z jedzeniem i osobistymi drobiazgami, zbyt cennymi, by je porzucić. Wielu miało konie i osły objuczone zapasami lub niosące tych, którzy byli zbyt młodzi, zbyt starzy lub zbyt chorzy, by wędrować o własnych siłach. Uchodźcy robili wrażenie wynędzniałych i zagubionych, lecz gdy na krawędzi płaskowyzu dostrzegli zmierzającą ku nim postać emisariusza, ponury nastrój rozpląnął się niczym podnosząca się z dolin poranna mgła.

Sir William jechał na pięknym perszeronie, siwym jak dym z suchego drewna. Był to rumak bitewny z gatunku tych, jakie ukochali sobie wojownicy Illicji. Wysłannik nie rozsyłał wokoło krzepiących uśmiechów, lecz coś w jego hardej postawie dodało zebrany skrzydeł. Nie była to może niezachwiana pewność siebie, ale swoisty spokój, jakby Chevalier nie

pierwszy raz znalazł się w podobnej sytuacji i stanowił teraz żywy dowód na to, że nie jest ona beznadziejna. Obok niego na czarnym koniu podobnych rozmiarów jechał Symeon le Roy. Pomimo podeszłego wieku i ślepoty stary mag bitewny emanował tą samą pokrzepiającą energią co emisariusz, a lud Caer Dour zaczął oswajać się z nadzieją.

Lecz za ich plecami na o wiele mniejszym wierzchowcu jechała drobniejsza, przygarbiona, kołysząca się w siodle postać, w obszytym futrem płaszczu ze skalistoburego materiału. Nie trzeba było zaglądać pod kaptur, by domyślić się, kto to.

Falko Danté, syn Aquili Dantégo, szalonego maga bitewnego, zdrajcy, który okrył się hańbą. To wszystko jego wina. To przez niego musieli opuścić swoje domy. To przez niego marzli na tym przeklętym wietrze, niepewni jutra i strwożeni przed Opętanymi.

Falko miał wrażenie, że przedziera się przez koszmar. Pobratymcy, którzy jeszcze wczoraj witali go na ulicy z uśmiechem, dziś gromili go twardymi, bezlitosnymi spojrzeniami. Ledwie wytrzymywał ból, który ogarniał jego zmaltretowane ciało. Nie miał siły na zmaganie się z całą tą wrogością, która ziębiła go bardziej niż ostry północny wiatr. Pochylił głowę, gdy kątem oka zobaczył podjeżdżających z obu stron jeźdźców.

– W ogóle na nich nie patrz – powiedział jeden z nich gardłowym głosem.

Falko rzucił na niego okiem. To był Balthazak de Vane, ojciec Malakiego.

– Skup spojrzenie na Symeonie – dodał.

Stary kowal nie patrzył na Falka. Utkwił wzrok w przestrzeni przed sobą.

Falko obejrzał się na Malakiego po swojej prawej ręce. Zarówno ojciec, jak i syn nosili błękitne pancerze, a na ramiona narzucili ciepłe płaszcze. Robili wrażenie silnych i szlachetnych, wyglądali raczej jak rycerze niż małomiasteczkowi kowale. Falko poczuł raptowny przypływ braterskiej miłości do obu mężczyzn, lecz chwilę później przyćmiła ją czarna fala wyrzutów sumienia. Nie czuł się godny życzliwości, jaką go obdarzyli. Nie mógł się zebrać, by odpowiedzieć uśmiechem na ukradkowy wyszczerz Malakiego.

Mocna eskorta zniechęcała ludzi do otwartego gapienia się na chłopca, ale Falko czuł, że ludzie łowią go nieprzychylnymi spojrzeniami. Słyszał

utrzymujące się w powietrzu dookoła niego szepty, gdy jechali ku grupie szlachciców, którzy zatrzymali się na środku płaskowyżu.

– Świetnie. – Malaki wskazał grupę głową. – Jest wśród nich Heçamedes.

Podniósłszy wzrok, Falko ujrzał przyglądającą im się uzdrowicielkę. Nie mógł powiedzieć, by cieszył się na jej widok.

Malaki z ojcem pozostali w tyle, a chłopak, Chevalier i Symeon zbliżyli się do wysoko urodzonych. Emisariusz zsiadł z konia, by porozmawiać z Belliusem i Morganem. Symeon został w siodle, a klacz Falka zwolniła do stępa i zatrzymała się. Za jego plecami zsiadła ze swojego jucznego konia Fossetta. Obserwowała go nerwowo, gdy jego wierzchowiec wspinał się górskim traktem. Najwidoczniej uważała, że to nie przytomność samego Falka, ale rozsądek i pewne nogi jego konia trzymają go w siodle. Podeszła do Heçamedes, która znalazła się przy strzemieniu pacjenta.

– Jak się miewa? – spytała uzdrowicielka.

– Tak samo jak wczoraj – odpowiedziała gospodyni. – Wydzielina utrzymuje się w płucach, wysypka się pogarsza.

Heçamedes pokiwała głową i sięgnęła do kaptura chłopca.

– Emisariusz ma rację – orzekła. – To nie szkarłatnica.

– To dobrze czy źle? – spytała Fossetta.

– Tylko czas pokaże. – Uzdrowicielka wykręciła się od odpowiedzi.

Emisariusz odszukał ją minionej nocy. Choroba, o której jej opowiedział, była niezmiernie rzadka w tych stronach, ale objawy właśnie na nią wskazywały. Pomówi z nim jeszcze przy okazji. Teraz Chevalier grzązał w kordonie przekrzykujących się szlachciców. Wysoko urodzeni mówili wszyscy naraz, dopóki nie powstrzymał ich uniesieniem ręki.

– Jakie wieści o armii? – spytał.

– Pierwsi jeźdźcy dotarli do nas godzinę temu – odparł Morgan.

– Dwie godziny – poprawił go cierpkim głosem Bellius.

Morgan posłał mu wymowne spojrzenie, ale szlachcic tylko wywrócił oczami i przyłożył rękę do czoła. Jak wielu ludzi naokoło, wyglądał, jakby minionej nocy nie zmrużył oka.

– Armia już idzie – powiedział, biorąc butelkę wina od swojego służącego Ambrose'a. – Spotkamy się z nią jeszcze dzisiaj.

– Doskonale – powiedział emisariusz. – A Opętani?

– Za ledwie dwa dni dzielą ich od miasta – odpowiedział Bellius.

Wysłannik odbiegł wzrokiem i zacisnął szczęki.

– Lepiej więc ruszajmy – wychrypiał ponuro, zwracając się do Morgana.

– Czy jeźdźcy są gotowi?

Mag wskazał dłonią czterech mężczyzn stojących przy koniach. Każdy posłaniec miał przerzucony przez ramię skórzany tubus na zwoje. Emisariusz przepchnął się do nich. Trzej pierwsi jeźdźcy byli szczupłymi mężczyznami o ogorzałych twarzach, trzecim była dziewczyna.

Emisariusz przystanął.

– Jest w odpowiednim wieku – uprzedził pytanie stojący obok mężczyzna, który otaczał ramieniem kobietę o identycznie ciemnych oczach jak dziewczyny.

– Jest też szybka – podchwyciła kobieta. – I odważna.

Emisariusz skinął głową.

– Jak cię zwą? – spytał dziewczynę.

– Anwyn.

Wysłannik osadził jej rękę na ramieniu i objął gońców spojrzeniem.

– Jedźcie prędko – rzekł, gdy wszyscy płynnie dosiedli koni. – I za wszelką cenę dostarczcie wiadomości. Od tego zależy nasz los.

Posłańcy pożegnali się skinieniami i piętami popędzili wierzchowce do galopu.

– Czy im się uda? – sir Gerallt Godwin powiedział na głos to, co myśleli wszyscy.

Emisariusz patrzył, jak jeźdźcy znikają za krawędzią płaskowyżu.

– Tak – rzekł w końcu. – Uda im się. – Sam dosiadł konia i omiół wzrokiem morze zadartych twarzy. Cóż więcej mógłby im powiedzieć? Czas ruszać w drogę. Westchnął, wyprowadził konia na szlak i ruszył w kierunku Clemoncé.

Symeon popędził swojego wierzchowca, kary rumak bojowy natychmiast dołączył do siwka emisariusza. Koń Falka również nie potrzebował polecenia jeźdźcy i sam ustawił się za nimi.

Gdy Falko wyjechał na drogę, u jego boku zaraz pojawił się Malaki. Za nimi jechała na jednym z jucznych koni Fossetta. Wzięła na siodło małego chłopca, który otulony jej ramionami, zawzięcie jej o czymś opowiadał. W dalszej kolejności jechał Balthazak z sir Geralltem i Bryną Godwin.

Dalej Merryweather z synem Tobiasem, przywiązany bezpiecznie do siodła. Energiczny wielmoża deklarował właśnie synowi, że choć rzeczywiście jest trochę chłodno, to wyruszają właśnie na największą przygodę w życiu. Jadący równo z ojcem Tobias wyciągnął palec i przesunął nim po kolumnie uciekinierów, aż odnalazł Falka.

– Mamidełko...

– Nic mu nie będzie – zapewnił syna Merryweather, klepiąc go po zwiędniętej nodze.

Chłopiec obrócił kołyszącą się na ramionach głowę, by spojrzeć na ojca. Na jego nieregularnie ukształtowanej twarzy zarysowało się powątpiewanie.

– Możesz mi wierzyć, wkrótce wyzdrowieje – nalegał Merryweather, uśmiechając się czule do syna. Jego wrodzony optymizm nie pozwalał mu na rozważenie innej ewentualności.

Tak oto wysłannik królowej Furii poprowadził lud Caer Dour w góry. Mieli zaskakująco dobry czas: do południa przebyli prawie siedem mil. Wiszące od rana nad ich głowami złowróżbne chmury rozwiały się już, a choć przelotny deszcz zrosił kryjących się pod płaszcami uchodźców, promienne słońce szybko zepchnęło go w niepamięć. Chłód nie odpuszczał, ale błękitne niebo tchnęło nowego ducha w lud Caer Dour, góry północnej Valencji zaś rysowały się na jego tle wyrazistym światłocieniem. Gdy rozciągnięta karawana zatrzymała się na odpoczynek, dopędził ją posłaniec. Powiadomił uciekinierów, że armia jest coraz bliżej i że spotkają się z nią niedługo po zmierzchu.

– Dobrze – powiedział emisariusz. – Powiedz lordowi Cadellowi, że oczekujemy go z niecierpliwością i liczymy na jego radę.

Goniec nie tracił czasu na posiłek; natychmiast okręcił konia i pomknął wzdłuż stłoczonej kolumny, by zaraz zniknąć Chevalierowi z oczu. Emisariusz odprowadził go wzrokiem za załomek szlaku, a potem wrócił do rozmowy o doraźnych sprawach, którą toczył z Belliusem i Morganem. Dyskusja pochłonęła ich bez reszty i dopiero gromki głos Symeona przykuł uwagę wysłannika.

– Chevalier!

Stary mag bitewny przybiegł do niego na własnych nogach. Przystanął i zwrócił pokiereszowaną twarz w kierunku nieba.

– Co jest? – spytał emisariusz, podchodząc do niego.

– Coś nas obserwuje.

Po plecach Falka przebiegł zimny dreszcz. On również to wyczuł. Jakąś wrogą obecność wiszącą w powietrzu nad ich głowami. Z początku uznał, że to poczucie winy i zrodzona z powszechnej wrogości mania prześladowcza przyćmiły jego umysł. Lecz teraz, gdy zwrócił wzrok w niebo, poczuł kłębiące się tam odległe mroczne myśli, nasycone złem.

Ośloniwszy oczy, emisariusz wbił wzrok w nieboskłon. Obserwujący go ludzie również zaczęli niepewnie zerkać w górę.



– Tam! – krzyknęła nagle Bryna. – Przy tamtej linii chmur.

Rzeczywiście, na rozpromienionym niebie rysował się jakiś ciemny

punkt.

– To ma skrzydła – zauważyła Bryna.

– Ptak? – zasugerował z nadzieją w głosie Merryweather.

– Żaden ptak – zaprzeczył Symeon.

– Schwarzenegel – powiedział emisariusz po illicyjsku. – Mroczny anioł. Pomniejszy demon Opętanych.

– Zaatakuj nas? – spytał sir Gerallt.

– Nie – odpowiedział Chevalier, wspinając się na hałdę kamieni. – Są silne, ale nie słyną z odwagi. – Raz jeszcze wpatrzył się w niebo, a potem przesunął wzrokiem po trakcie, którym ruszyli posłańcy. – Anioły raczej nie atakują dużych grup ludzi, ale interesują się tymi, którzy się od nich oddzielają. – Zacisnął zęby. – Demon musi rosnąć w siłę, skoro otacza się również pomniejszymi sługusami.

– Myślisz, że podąży za jeźdźcami? – zaniepokoił się sir Gerallt.

– Najpierw wróci do swojego pana, żeby donieść mu o naszej ucieczce. Ale gdy już to zrobi... – Niedokończone zdanie zawisło w powietrzu, nie pozostawiając wątpliwości.

– A więc musimy ich ostrzec! – zawołał Bellius, bardziej ożywiony niż przez cały dzień.

– Już za późno – orzekł Morgan. – To nasi najszybsi jeźdźcy i mają nad nami kilka godzin przewagi.

– Musimy żywić nadzieję, że demon ich przeoczy... Że nie znajdzie ich na szlaku...

– A jeśli znajdzie? – spytał Bellius.

– Wówczas powinni skryć się wśród drzew lub kamieni. Jeśli to zrobią, będą mieć szansę na przeżycie.

Ludzie wokoło skakali wzrokiem od czarnego anioła do drogi za ich plecami. Dotąd armia demona była w ich mniemaniu jakąś pozbawioną twarzy abstrakcją, lecz teraz widzieli na niebie pomiot ciemności, który mierzył ich łakomym wzrokiem. Raptem zagrożenie ze strony Opętanych wydało im się potwornie rzeczywiste.

– Jedźmy – zarządził emisariusz tonem rozkazu.

Ludzie schowali jedzenie i w ciągu kilku minut ruszyli w dalszą drogę, bacznie rozglądając się naokoło i częściej niż dotychczas wodząc wzrokiem po niebie. Trakt wiódł ich naprzód; od czasu do czasu zwiężał się tak

bardzo, że okazywał się za ciasny dla dwóch koni idących obok siebie, innym razem rozlewał się szeroko niczym rzeka na gładkiej płyciźnie. Popołudniowe słońce nie rodziło już ciepła, gdy Malaki podjechał do Falka.

– Widziałeś? – spytał konfidencjonalnym tonem, tak by nie usłyszał go nikt poza przyjacielem.

Falko milczał.

– Moim zdaniem wyglądał jak ptak – podjął Malaki po chwili ciszy. – Ale wzrok Bryny jest bystrzejszy od innych. Stwierdziła, że ten kształt na niebie żadną miarą nie przypominał ptaka. Raczej człowieka ze skrzydłami.

Falko spojrzał na niego z ukosa.

– Czyli mam rozumieć, że uczynisz sobie teraz pogawędkę z Bryną? – wyrzucił.

Malaki uśmiechnął się, najwyraźniej dumny z siebie, ale Falko dostrzegł też ulgę w jego oczach. To były pierwsze słowa, jakie przyjaciel wypowiedział tego dnia. To dobry znak, no nie?

– Od czasu do czasu – przyznał Malaki. – Rozmawiamy o różnych rzeczach, na przykład o grotach strzał.

– O grotach – powtórzył Falko, jakby był to zupełnie dobry temat do rozmowy.

Posłał przyjacielowi ukośne spojrzenie. Rumieniec na twarzy Malakiego uwydatnił jego znamię.

Kąciki ust Falka powędrowały ku górze i wkrótce obaj chłopcy wybuchnęli śmiechem.

Jechali dalej w ciszy. Słońce znowu schowało się za chmurami. Grunt wokoło był skalisty i pokreślony pęknięciami, z których wyrastały wrzosa, janowce i karłowate, powykręcane górskie sosny. Gdzieś porwały się z ziemi spłoszone ptaki i wypełniły nieruchome powietrze szelestem piór. Szlak meandrował między skalnymi wybrzuszeniami. Minąwszy zakręt, zobaczyli, że ścieżka prowadzi ich do przedzielonej rzeką doliny, szerokiej i osłoniętej od wiatru. To idealne miejsce na obozowisko.

Było już szaro, gdy zjechali na dno doliny. Malaki pomógł Falkowi zejść z konia. Ułożył go w piaszczystym zagłębieniu i wziął się do rozpalania ogniska. Ciemność otuliła uciekinierów spokojem, pomarańczowe kręgi poświaty bijące od jaśniejących w półmroku ognisk zamknęły ich

w ochronnych, ciepłych kokonach. Strach i szok wciąż wisiały w powietrzu, ale przecież przebyli dzisiaj szmat drogi i znajdowali się teraz o dzień bliżej Toulwaru, a z każdym krokiem byli coraz bezpieczniejsi. Noc wciąż jeszcze była młoda, ale wielu podróżnych, zmęczonych nieustannym napięciem i długą drogą, ułożyło się już na posłaniach.

Falko pragnął już tylko zasnąć, ale przedtem Fossetta musiała zmienić mu opatrunek. Pochylił się więc, a na ciało wystąpił mu pot, tymczasem gospodyni wprawnymi ruchami odwijala jedwabny bandaż z oparzonego ramienia.

– Dobrze – orzekła klęcząca przy kobiecie Heçamedes. – Nie ma śladu infekcji. A teraz oczyść brzegi rany i spryskaj ją rozpylaczem.

Podala Fossetcie czysty wacik, a Falko zdusił płacz, gdy gospodyni wykonała polecenie uzdrowicielki. Nawet delikatna mgiełka z wystudzonego ziołowego naparu podrażniała ranę, która zdawała się płonąć żywym ogniem. Falko skupił wzrok w punkcie przed sobą, usiłując wyrzucić z głowy ból, Fossetta zaś owijała ranę świeżym, nasączonym olejkiem bandażem. Po wszystkim Falko mógł wreszcie zmienić niewygodną pozycję, lecz gdy tylko zmrużył oczy, by odciąć się od świata naokoło, przy Heçamedes pojawił się emisariusz.

– I co z nim? – spytał, ukucnąwszy.

– Myślę, że masz rację – odparła kobieta. Falko odwrócił wzrok, gdy rozgarnęła koszulę, by odsłonić jego pierś. – Widzisz, jak rozprzestrzenia się wysypka? W dodatku nie blednie pod wpływem nacisku.

– Tak. To coraz bardziej wygląda mi na chorobę, na którą zapadła moja siostra.

– Jeśli to nie szkarłatnica, to co? – zmartwiła się Fossetta. – I czy da się to wyleczyć?

– To rodzaj infekcji spowodowany przez zarodniki pewnego grzyba – wyjaśniła Heçamedes. – Uwalniają się one, gdy płonie pewien szczególnie rodzaj drewna. Czasem, choć rzadko, zdarza się, że grzyb przenosi się do żywego organizmu.

– W Illicji leczymy to żywicą srebrnej sosny, ale z tego, co wiem, to drzewo nie rośnie w Valencji – powiedział emisariusz.

– Moglibyśmy użyć żywicy sosny corrosowej – podsunęła Heçamedes.

– Ależ to substancja żrąca! – wykrzyknęła Fossetta. – Już sam sok

powoduje oparzenia.

– Nie mamy wyboru – odparła Heçamedes. – Zakażenie się rozszerza. Wkrótce nastąpi rozkład tkanek.

Fossetta zbladła. Rozumiała, co chciała tak naprawdę powiedzieć uzdrowicielka: infekcja nie dotknęła tylko skóry Falka, ale weszła również do płuc. Jeśli nie zatrzymają rozwoju choroby, ta zeżre Falka od środka. Gospodyni zacisnęła szczęki, łzy zebrały się w jej oczach. Zaczęła rozglądać się po drzewach, szukając corrosowej sosny. Ostatecznie zwróciła się do Malakiego:

– Chodź! Pomóż mi szukać.

Kowal pierwszy raz słyszał u Fossetty taki ton.

– Już się robi – powiedział, wstając. Przypassał miecz, bo choć mroczny anioł zniknął, nocna wędrówka po lesie bez broni nie wydała mu się dobrym pomysłem.

– Zaczniemy od północnych stoków – zarządziła Fossetta. – Corrosy lubią cień.

Ruszyła przodem, a Malaki za nią.

Opadłszy na posłanie, Falko odwrócił się tyłem do ognia. Po co to całe zamieszanie? Dlaczego im tak zależy? Przecież to wszystko jego wina. Chciał już tylko zasnąć. Jeśli już nigdy się nie obudzi – trudno.

13

Mroczny anioł



Armia odnalazła ich wkrótce po zmroku. Lord Cadell natychmiast zasiadł do rozmów z Chevalierem i włodarzami Caer Dour. Falko, dryfując na granicy snu, słyszał pomruk ich przyciszonych rozmów. Było już późno, gdy przez półprzymknięte powieki dojrzał, jak emisariusz i Symeon wracają do swoich posłań. Gdy usiedli, Malaki podał każdemu po misce zupy i kromce chleba.

Przysypiając, Falko patrzył, jak w ciszy spożywali kolację. Jego wzrok prześlizgnął się po skalistej ziemi i wyłuskał z rozświetlonego ogniskami półmroku rozmazane kształty ludzi. Bryna Godwin leżała niedaleko od niego i Falko patrzył, jak sir Gerallt kładzie się obok córki. Nieopodal rozłożył się na swoim posłaniu okrągły Merryweather. Na twarzy śpiącego w jego ramionach syna malował się absolutny spokój.

Posłanie Heçamedes znajdowało się w obrębie bijącego od ogniska światła, lecz ona sama pomagała teraz ludziom w obozowisku, tymczasem Fossetta przygotowała corrosowe igły, które zebrała wraz z Malakim. Choć Falko leżał kawałek dalej, zapach miazdzonego igliwia, który niósł się przez obóz, wyciskał mu łzy z oczu.

Gdy Symeon i emisariusz skończyli późną kolację, Balthazak wyjął coś z sakwy przy siodle i podszedł do Chevaliera, po czym ukucnął i podał mu niewielkie zawiniątko.

Emisariusz podniósł na niego zaskoczony wzrok.

– Wierzyć się nie chce, że znalazłeś na to czas – rzekł.

Balthazak przekrzywił głowę, jakby to nie było nic takiego.

– Trzeba ją jeszcze oczyścić, a skórę wypolerować i zapleść. Jeśli chcesz, mam tu gdzieś skończony pas.

Emisariusz zbył propozycję ruchem ręki.

– Chciałbym zrobić to własnoręcznie.

Balthazak kiwnął głową na znak, że rozumie.

– Daj znać, gdy będziesz chciał osadzić nity.

– Dziękuję – powiedział emisariusz. Odwinął biały len, w którym znajdował się pilnik igiełkowy, zwój czarnego rzemienia i srebrna klamra pasa w kształcie końskiego łba.

– Całkiem niezłe ci to wyszło – pochwalił go Balthazak.

Emisariusz prychnął.

– To moja czwarta próba.

– Mam nadzieję, że jest tego warta.

– Jest.

Z uśmiechem na ustach Balthazak powrócił na swoje posłanie. Dopił resztkę wina, a potem nakrył się płaszczem i zasnął. Zaczął chrapać donośnie w ciągu kilku sekund. Ludzie zgromadzeni wokół ogniska popatrzyli po sobie, jakby z lekka zakłopotani. Malaki pokręcił rozpaczliwie głową.

– Co noc to samo – powiedział, a ludzie zaczęli się śmiać.

Wkrótce inni poszli w ślady starego kowala i obóz zaczął pogrążyć się we śnie.

Falko przebudził się jakiś czas później. Heçamedes wreszcie wróciła do swojego posłania i Falko pomyślał, że wszyscy już pewnie smacznie chrapią, lecz zaraz złapał spojrzeniem jakiś ruch po drugiej stronie ogniska.

Emisariusz uniósł sprzączkę pasa i zdmuchnął z niej opiłowane drobinki metalu. W mętnym blasku ognia Falko dostrzegł, że srebro zaczęło lśnić. Jakby czując, że ktoś go obserwuje, emisariusz podniósł wzrok. Jego szare oczy tonęły w cieniu. Przez chwilę Chevalier trzymał Falka w jarzmie swojego badawczego spojrzenia, a potem skinął lekko głową. Chłopak utkwiał wzrok w żarze, a po chwili znowu zapadł w sen.

Obudził go deszcz.

Ledwie świtało, ale lud Caer Dour już wziął się do zwijania obozu. Jedni siodłali konie, drudzy kończyli śniadanie, tu i ówdzie płakały dzieci

i nawoływali się dorośli. Sucha noc zmieniła się w wilgotny i zimny poranek, para unosiła się nad uwijającymi się przy pracy ludźmi.

Falko próbował się podnieść, lecz nawet ten niewielki wysiłek zbudził nieznośny ból w piersi, a zimne powietrze dodatkowo utrudniało mu oddychanie. Fossetta kucnęła przy nim z miską owsianki.

– Jeszcze nie – wstrzymała ją Heçamedes, pochylona nad zawieszoną nad ogniem miedzianą patelnią. – Zaraz wszystko zwróci.

Fossetta kiwnęła głową i patrzyła, jak uzdrowicielka sięga po gliniany słój, którego zawartość sama przygotowała. Gdy woda w postawionym przy ogniu garnku zaczęła bulgotać, Heçamedes nałożyła na patelnię łyżkę brązowej, podobnej do smoły substancji. Natychmiast dało się odczuć efekty. Heçamedes zmarszczyła nos i odsunęła się na długość ręki od dymiącej patelni.

Falka naszło złe przeczucie, gdy Fossetta odstawiła owsiankę i przytuliła go do piersi. Heçamedes tymczasem wstała od ogniska i podeszła do chłopaka z wciąż odsuniętą byle dalej patelnią oraz kocem, który zapewne zamierzała narzucić Falkowi na głowę. Zdenerwowanie na jej twarzy tylko podsyciło obawy Falka, lecz nie opierał się, gdy uzdrowicielka postawiła patelnię na kamieniu i kazała mu się nad nią nachylić. Heçamedes skryła jego głowę pod kocem i Falka otuliła cuchnąca ciemność. Dym z patelni wyciskał mu łzy z oczu, skóra zaczęła go swędzieć i parzyć. Gdy zaczerpnął tchu, jego płuca wybuchnęły bólem, jakby ktoś wlewał do nich roztopione żelazo.

Pomimo swojej choroby i wrodzonej słabości odchylił się tak raptownie, że uderzył Fossettę głową w twarz i rozlał zawartość patelni. Ludzie wokoło zaklęli, gdy owionęły ich gryzące wyziewy, a Falko upadł na bok i zaczął szaleńczo kasłać i dławić się, rozpaczliwie walcząc o oddech.

Heçamedes przypadła do Fossetty, by się upewnić, że nic jej nie jest, ale gospodyni bardziej przejmowała się Falkiem. To w końcu ona zebrała igliwie, które doprowadziło go do takiego stanu. Malaki zerwał przyjacielowi koc z głowy i obrócił go do wygodniejszej pozycji. Popatrzył na wysypkę, która sięgała poniżej linii włosów.

– Heçamedes! – zawołał.

Gdy uzdrowicielka upewniła się już, że gospodyni nic nie jest, podniosła wzrok, by zobaczyć, skąd ten alarmujący ton w głosie Malakiego. Młody

kował wskazał na czoło przyjaciela. Obrzeża wysypki zmieniły kolor z czerwonego na czarny.

– To działa – wydyszała kobieta. – Wyziwy zabijają grzyb. To może go uleczyć.

– O ile go wcześniej nie zabije – skorygował Malaki.

– On już umiera – odpowiedziała uzdrowicielka. – Dopiero teraz pojawiło się światło w tunelu.

Dostrzegłszy prawdę w słowach kobiety, Malaki powściągnął język i pomógł przyjacielowi dosiąść konia. Podał mu butelkę wody, którą Falko opróżnił dwoma łykami, jakby chciał ugasić płonący ból w piersi i gardle.

– Nie spadniesz z siodła, nie?

Przyjaciel pokręcił głową. Wziął wodze do jednej ręki, a drugą sięgnął do kuli siodła.

Gdy pochód zaczął wygrzebywać się z doliny, napotkał schodzącą do niej armię. Żołnierze poruszali się pewnie i szybko, jakby stanowili jeden organizm. Uformowali równy szyk w korycie wyschniętej rzeki i stanęli na baczność, czekając na rozkazy.

Lord Cadell stał w gromadce wysoko urodzonych wraz z Belliusem, Morganem i Symeonem, ale to emisariusz wyszedł naprzód i wdrapał się na skalne osypisko, by przemówić do żołnierzy.

– Ludu Caer Dour! Lord Cadell poinformował nas dzisiaj, że armia demona jest bliżej, niż przypuszczaliśmy. – Zrobił pauzę. – Jeśli Opętani będą dalej posuwać się naprzód w takim tempie, to nie uda nam się przed nimi uciec. Dogonią nas.

Naznaczone ponurym cieniem twarze jeszcze pociemniały. W powietrzu zawisła niewypowiedziana na razie prośba emisariusza.

– Musimy znaleźć sposób na to, żeby spowolnić ich przemarsz – ciągnął Chevalier. – Należy uformować małe konne oddziały tylnej straży, które będą kolejno odłączać się od kolumny, żeby nękać wroga, lecz nie stawać z nim do otwartej walki – dodał prędko. – Szybki, niespodziewany atak, a potem błyskawiczny odwrót. Gra na czas, która pozwoli nam dotrzeć do celu, zanim dogoni nas wróg.

Wzrok wszystkich pomknął do konnych żołnierzy. Tylko oni byli na tyle mobilni, by wykonać taką operację i żywić nadzieję na to, że obejdzie się bez ofiar.

– Oddziały będą liczyć po stu żołnierzy – tłumaczył dalej wysłannik. – Do tego potrzeba nam oficerów, którzy będą nimi dowodzić.

Wszyscy bez wyjątku dowódcy wyjechali naprzód. Żołnierze stali na baczność za ich plecami w karnym, nieruchomym ordynku. Kawaleria liczyła prawie trzysta koni i wyglądało na to, że wszyscy jak jeden mąż zgłosili się do tego niebezpiecznego zadania. Emisariusz uśmiechnął się posępnie, lecz uczucie satysfakcji zaraz przygasiła ostrożność. Ilu z nich zgłosiłoby się z równą ochotą, gdyby zajrzeli uprzednio w białe jak kość oczy wroga?

Falko pomknął wzrokiem do Malakiego, który rozmawiał z ojcem. Po krótkiej wymianie zdań przyjaciel pochylił głowę, a Balthazak wyciągnął ramiona, by go objąć. Po tym krótkim pożegnaniu stary kowal dołączył do ochotników.

Gdy już wybrano pierwszą setkę żołnierzy, emisariusz ponownie zabrał głos:

– Doradzam daleko posuniętą ostrożność. Nie próbujcie otwartej walki. Tylko napad i wypad. Gdy poczujecie, że strach rośnie ponad miarę, wycofajcie się natychmiast, zanim ogarnie was całkowicie. Każda godzina, którą dla nas wywalczycie, będzie na wagę złota. Każda przybliży nas do bezpieczeństwa. – Ostatni raz ogarnął ich wzrokiem. – Nie traćcie wiary. Wracajcie bezpiecznie.

Po tych słowach konna brygada ruszyła wzdłuż traktu na spotkanie demona i dwóch tysięcy jego sługusów. Falko patrzył, jak odjeżdżają, i cząstka jego samego pojechała z nimi. Nie potrzebował nowych oskarżeń ze strony szlachty ani wymownych spojrzeń pobratymców, wiedział bowiem, że to on posłał ich właśnie na spotkanie śmierci.

Po wyodrębnieniu straży tylnej pozostali żołnierze powlekli się szlakiem za kolumną uchodźców, która wznowiła marsz w przeciwnym kierunku. Koń Falka przyczepił się do zadu wierzchowca Symeona i rozpoczął się kolejny dzień zmuszonej wędrówki. Deszcz nie odstępował ich na krok i do południa uchodźcy byli przemoczeni do suchej nitki, a ich nastroje bardziej niż podłe. Gdy dzień toczył się smętnie, Falko zauważył pewną lekkość w swoim oddechu. Nie był pewien, czy może tylko mu się wydawało, ale miał wrażenie, że duszności nieco zelżały.

Gdy droga się poszerzyła, do Falka podjechał Malaki. Jego ojca nie

wybrano do pierwszego oddziału, postanowił więc zaczekać z żołnierzami na uformowanie drugiej brygady.

– Jak się czujesz? – spytał, zauważywszy, że Falko jakby pewniej ściska w dłoniach wodze i nie czepia się już kurczowo kuli siodła.

– Jestem obolały – stwierdził przyjaciel. – I mokry.

Malaki się uśmiechnął. Falko wciąż wydawał się osłabiony, lecz nawet narzekanie było lepsze niż brak jakiejkolwiek odpowiedzi. Jechali jakiś czas w ciszy. Wokoło opadały niespiesznie kropelki drobnego deszczu. Malaki okręcił się w siodle i spojrzał na pokonaną część szlaku za ich plecami.

– Zastanawiam się, ile czasu minie, zanim zetkną się z Opętanymi. – Zrobił pauzę, a Falko wyczuł jego zdenerwowanie i dręczące go wątpliwości. – Jak myślisz, znalazłbyś w sobie dość odwagi?

Falko zajrzał przyjacielowi w oczy.

– Mam na myśli ten strach – dodał Malaki, wskazując głową Symeona i emisariusza. – Oni mówią o nim, jakby był jakąś fizyczną siłą, jakby nie brał się z wnętrza człowieka, ale sięgał po niego z zewnątrz, żeby go pochłonąć.

– Bo to prawda – potwierdził Falko. – Tym właśnie jest.

Malaki wlepił w niego wzrok, ale przyjaciel nic już nie powiedział, nasunął tylko kaptur na oczy i pochylił się w siodle. Wiatr wzmógł się i deszcz zaczął nieprzyjemnie zacinać. Zapowiadało się długie, uciążliwe popołudnie.



Trzydzieści mil przed nimi czterej jeźdźcy zsuwali się po stromym skalistym stoku. Odkąd opuścili grupę uchodźców, gońcy zdążyli zbliżyć się do siebie. Jechali razem w równym szyku, a kopyta wierzchowców odmierzały mknącą pod ich stopami ziemię. Spieszyli się. Ciężła na nich wielka odpowiedzialność, a jednak odnajdywali jakąś przyjemność w stawianiu czoła wyzwaniu, jakie przedstawiała rozpościerająca się u ich stóp górską drogą.

Uśmiechali się, kiedy opuścili skaliste zbocza i gnali teraz po płaskiej przestrzeni rzecznej doliny, bo nadarzyła się nieczęsta okazja na to, by

konie pokazały, na co je stać.

Anwyn obejrzała się za siebie, gdy jej klacz Deneb przecięła z pluskiem połyskliwy strumyk. Pierwsza dotarła do doliny i miała mocne postanowienie, by wygrać również wyścig do jej skraju. Serce podskoczyło jej do gardła, gdy ujrzała zaraz za sobą galopującego na złamanie karku Godfreya. Altair, jego wspaniały czarny wierzchowiec, był o dobrą dłoń wyższy w kłębie od Deneb i nigdy się nie męczył. Ani się obejrzała, kiedy przemknęli obok niej krzyczący tryumfalnie Godfrey i rozochocony galopem Altair.

No dobra, pomyślała, zagryzając zęby. Wy może tak, ale nie inni.

Lekko trąciła klacz piętami, a Deneb wystrzeliła naprzód, wzbijając się na zupełnie nowy poziom szybkości.

Z ustami rozciągniętymi w uśmiechu Anwyn obejrzała się raz jeszcze. Gareth i Dylan byli daleko w tyle. Nie dopędzą jej, choćby pękli. Już miała obrócić się z powrotem, gdy raptem spostrzegła za plecami Dylana jakiś czarny kształt.

Deneb wizgnęła niezadowolona, gdy Anwyn mocno ściągnęła cugle i osadziła ją w miejscu. Gdy okręcała konia, jej serce wypełniało się przerażeniem. Czarny kształt spadał z nieba prosto na Dylana. Anwyn pochwyciła wzrokiem ciemne skrzydła i ciało, niczym u wyniszczonego człowieka, obciążone ciemną, poplamioną skórą. Błysnęły zęby, zalśniły szpony, kreatura zapikowała w dół i wpadła z impetem na jeźdźca i konia, obalając ich na ziemię w pełnym pędzie.

Leżący na boku koń zarzucił kopytami w płytkiej rzece, potem z jego gardła dobył się mrozący krew w żyłach wizg i zwierzę znieruchomiało. Uwieszony pod nim Dylan miotał się w zimnej wodzie, a pochylony nad nim stwór wczepił się pazurami w jego pierś. Na moment zasłonił go ciałem, a gdy się wyprostował, jego zęby ociekały krwią.

Ostatni oddech, jakiego zaczerpnęła Anwyn, tkwił uwieszony w jej płucach i bezskutecznie walczył o wolność. Nie mogła zrobić nic więcej, niż tylko patrzeć, jak potwór mierzy ją czarnymi oczami, lśnącymi jak kule polerowanego marmuru. Jego twarz była prawie ludzka, ale nos przypominał zadarty pysk jakiegoś piekielnego nietoperza, a usta najeżone były ostrymi zębami, jakby wykutymi z ciemnej stali.

Chlusnęła woda, gdy Gareth wrył konia u jej boku. Sięgnął do niej ręką

i złapał za ramię.

– Jedziemy! – zawołał. – Anwyn! – wrzasnął głośniej, gdy nie zareagowała. – Nic nie możemy dla niego zrobić, uciekajmy!

Ostatni raz spojrzała na zastygłe ciało Dylana, a potem z wysiłkiem oderwała wzrok od mrocznego anioła i popędziła klacz do galopu, kierując się tam, gdzie na obrzeżach doliny czekał na nich Godfrey z twarzą wykrzywioną przerażeniem.

– Co się stało?

– Coś dopadło Dylana – rzucił Gareth. – Musimy uciekać.

Mężczyzna robił wrażenie spokojnego, ale drżenie jego głosu zdradziło Anwyn, że opanowanie przychodzi mu z wielkim trudem. Bez słowa skierował konia na kamienisty stok i zaczął wyjeżdżać z doliny. Roztrzęsieni Godfrey i Anwyn pomknęli za nim, ale nie ujechali daleko, gdy po dolinie poniósł się echem nieludzki krzyk.

Obejrząwszy się, zobaczyli, że kreatura wznosi się nad powaloną ofiarą, młóćąc skrzydłami powietrze. Nie miała zamiaru atakować, gdy byli w gotowości i spodziewali się uderzenia. Zamiast tego uleciała w niebo i zniknęła, chowając się w chmurach.

Trójka jeźdźców sprawdziła tubusy ze zwojami na swoich plecach, a potem pognęła konie w górę, po stoku. Przed nimi leżał najwyżej położony odcinek trasy i wiedzieli, że gdy go pokonają, grunt zacznie opadać miarowo w dół.

Anwyn wyrosła w Caer Dour i zawsze kojarzyła góry z bezpieczeństwem, teraz jednak czuła się wystawiona na atak i bezbronna. Towarzysze najwyraźniej podzielali jej obawy, bo wyciskali z koni siódme poty, by jak najszybciej opuścić odsłonięte wierzchołki i szlaki i skryć się pod koronami drzew, topiącymi w cieniu trakt wiodący do Clemoncé.

14

Tylna straż



Wstał trzeci dzień od opuszczenia Caer Dour i znowu padał deszcz. Wciąż było wcześnie, ale wędrowali już od kilku godzin i przyszedł czas na pierwszy tego dnia postój. Falko opierał się o wielki kamień, a Fossetta i Heçamedes badały jego plwocinę w małej ceramicznej misce. Flegma była wyraźnie zabarwiona czerwienią, a na twarzach kobiet malował się ponury wyraz. Wcześniej krwi nie było, pojawiła się z chwilą rozpoczęcia kuracji corrosowym igliwem.

– Nie jest tak gęsta jak zwykle – zauważyła Fossetta z nadzieją w głosie.
– I nie tak ciemna.

Heçamedes pokiwała głową, ale brwi wciąż miała ściągnięte.

– Ale inhalacja uszkadza tkankę, a to czyni Falka bardziej podatnym na działanie zakażenia.

– To co teraz?

– Zobaczymy, co okaże się silniejsze – skonkludowała uzdrowicielka. – Zakażenie czy syn Aquili Dantégo.

Heçamedes położyła Falkowi dłoń na czole. Minę wciąż miała napiętą, ale jej rysy zaczęły się z wolna wypogadzać. Pogłaskała go po policzku, nim odjęła dłoń.

Fossetta sięgnęła do Falka, by pomóc mu przejść do pozycji siedzącej, ale on odpędził ją ruchem dłoni.

– Spróbuj coś zjeść – powiedziała, a chłopak pokiwał głową, choć bez przekonania.

Nie chciał się do tego przyznać, ale czuł się lepiej. Wprawdzie oparzenia

na szyi i ramieniu wciąż bardzo bolały i miał wrażenie, że jego płuca wypełnia żwir, ale za to oddychało mu się o wiele łatwiej. Popatrzył na Malakiego, pojącego konie przy stawie. Dalej na trakcie widział już sposobiących się do dalszej drogi maruderów, ale prędkość kolumny znacznie spadła. Ludziom było zimno i źle, a sprężysty marsz dwóch pierwszych dni wytopił się, zostawiając po sobie ślamazarną włóczęgę.

Falko odplłynął wzrokiem w kierunku armii. W powietrzu czuło się napięcie, wszyscy jak na szpilkach czekali na powrót pierwszego oddziału partyzantów. Przepadli gdzieś na cały dzień, a ludzie bardzo pragnęli dowiedzieć się, jak im poszło. Falko dostrzegł troskę na twarzach żołnierzy, którzy rozmawiali między sobą przyciszonymi głosami. Zamknął oczy i oparł się o kamień. Wyprostował się po raz pierwszy od trzech dni. Miał wrażenie, że wyrośnie mu garb, jeśli w końcu tego nie zrobi. Usiłował rozprostować kręgosłup, wystawiając przy tym twarz na deszcz i krzywiąc się z bólu, gdy płuca wypełniało zimne powietrze.

– Słowo daję, jesteś jakby o cal wyższy. – Malaki wrócił od koni. – Nie, ale poważnie – pociągnął. – I kolory ci wróciły. Chyba że po prostu znowu użyłeś różu Fossetty.

Falko odwrócił się, by ukryć uśmiech.

– Fossetta się nie maluje – odparł.

– Maluje, gdy odwiedza Kopyta i Rogi. – Malaki uniósł znacząco brwi.

Śmiech wreszcie wyskoczył z ust Falka. Kopyta i Rogi to był lokal o bardzo wątpliwej reputacji i sama myśl, jakoby Fossetta miała różowić policzki, by bardziej podobać się złaknionym sprośności bywalcom tej mordowni, była właściwie paradna. Próbując zmienić pozycję, Falko poślizgnął się na mokrych kamieniach i upadł na ziemię. Zmełł w ustach przekleństwo, gdy otarł się poparzonym ramieniem o kamień.

– Uważaj – powiedział Malaki, pomagając mu wygodniej się ułożyć.

Falko odepchnął go, a przyjaciel zrozumiał, że ten woli radzić sobie sam. Przysiadł więc na pośladkach i raz jeszcze przyjrzał się Falkowi.

– Ale naprawdę wyglądasz lepiej. Dym działa. Musisz tylko dłużej wytrzymać pod kocem. Jest tak, jak mówi Heçamedes: musi wnikać głęboko w ciało, bo w przeciwnym wypadku zakażenie tylko zyska na sile.

Falko odwrócił wzrok. Wdychanie tego okropieństwa było niemal ponad jego siły. Już trzy razy wypełniał płuca żrącym wyziewem i za każdym

razem efekt był taki sam – paroksyzm i bolesne wymioty.

Malaki pewnie gładziłby dalej, lecz nagle ich uwagę zwróciło jakieś zamieszanie, pełzące po kolumnie w ich kierunku.

– To tylna straż – domyślił się Falko.

– Dzięki wam, gwiazdy na niebie – wymamrotał Malaki.

Patrzyli na przejazd konnych żołnierzy, kierujących się ku dowódcom na czele armii. Gdy ich minęli, Malaki spostrzegł człowieka, który przyjaźnił się z Balthazakiem – wielkiego mężczyznę na jeszcze większym rumaku bojowym.

– Marcus! – zawołał.

Jeździec dostrzegł chłopaka i podjechał do niego. Jego twarz była wilgotna od deszczu, lecz nawet pomimo tego młody kowal uprzytomnił sobie, że mężczyzna płacze. I to rozstroiło Malakiego bardziej niż cokolwiek innego.

– Gdzie twój ojciec? – spytał Marcus.

– Na tyłach. Z głównym oddziałem żołnierzy.

Marcus pokiwał głową. Wydawał się zagubiony i zmieszany.

– To już wszyscy? – spytał chłopak, ogarnąwszy wzrokiem mocno przetrzebiony oddział.

– Straciliśmy tylko siedmiu – odparł Marcus. – Resztą zajmują się lekarze.

– Są ciężko ranni...? – spytał chłopak, ale Marcus wszedł mu w zdanie:

– Nie ranni. Zniszczeni.

Malaki gapił się na niego, nie rozumiejąc. Marcus powoli przesunął wzrok na Falka.

– To ty byłeś przy Smoczym Kamieniu – powiedział. – To ty zakłóciłeś przywołanie.

Falko zwiądnął pod ciężkim spojrzeniem mężczyzny.

– Wyrządziłeś nam wielką krzywdę – rzekł Marcus takim tonem, że Malaki aż zrobił krok naprzód, by zasłonić przyjaciela.

Mężczyzna chwilę wwiercał się wzrokiem w chudzielca.

– Muszę iść – rzekł. – Muszę ostrzec resztę.

Popędził konia i na powrót wtopił się w kolumnę żołnierzy.

Malaki odetchnął z ulgą. Zaskoczyło go to nagłe napięcie, a słowa Marcusa namieszały mu w głowie.

– Zniszczeni – powtórzył, zwracając się do Falka. – W jakim sensie zniszczeni?

Falko milczał. Zrozumiał ciemność sączącą się z oczu Marcusa. Wiedział, co to znaczy, gdy kogoś zniszczy przerażenie.

Malaki zawiesił wzrok w przestrzeni i zatopił się w myślach. Zwątpienie kwitło w jego sercu jak jadowity kwiat. Jak większość Valencjan, Malakiego wychowano na wojownika, oswojono ze strachem przed bitwą, raną i śmiercią, ale to było coś zupełnie innego. Ten strach wypływał z wiecznej ciemności i niezmierzonej rozpacz, która czekała tego, kto mu się poddał. Było to przerażenie spowodowane czymś, czemu nie da się stawić czoła. Falko żył z tym strachem, odkąd pamiętał, a teraz przenikał on do świata rzeczywistego. Serce go bolało, gdy musiał patrzeć na to, jak wpływa na jego najbliższego przyjaciela.

Przełknęli kilka kęsów strawy, gdy dowódcy składali raport, a potem nadszedł czas na uformowanie drugiego oddziału. Dwaj młodzieńcy wspięli się na konie i patrzyli, jak z tłumu występują powołani do niego mężczyźni i kobiety.

– To ojciec Bryny – powiedział Malaki, gdy grupę zasilił sir Gerallt Godwin.

Mężczyzna o królewskim wejrzeniu podjechał do nowego oddziału tylnej straży i stanął wśród zwykłych żołnierzy. Zostanie mianowany jednym z dowódców. Falko obejrzał się, by sprawdzić, czy dostrzeże w tłumie jego córkę. Szła gdzieś z uzdrowicielami i... Tak, była tam. Stała z Heçamedes na niskim wzniesieniu. Jakby zbladła, widząc, że jej ojciec zajmuje miejsce na czele niewielkiej grupy. W tym właśnie momencie zeszytniał stojący obok Malaki, zobaczył bowiem, kto zajmuje miejsce obok sir Gerallta.

Balthazak.

Falko rzucił okiem na przyjaciela, ale jego spojrzenie skupione było na ojcu. Obaj starsi mężczyźni utkwili nieruchomy wzrok w przestrzeni, jakby mogli myśleć wyłącznie o czekającym ich zadaniu.

Gdy tylko oddział został utworzony, dowódcy dali znak do wymarszu i wkrótce wojownicy zniknęli za zakrętem szlaku. Jeśli będą jechać prędko, zetkną się z Opętanymi w ciągu sześciu godzin.

Wróg się zbliżał, i to szybko.

Na twarzach pozostałych żołnierzy malowało się zmieszanie. Niechętnie

zbierali się do drogi w przeciwnym kierunku, wiedząc, że zostawiają towarzyszy na pastwę armii demona. Falkowi mocniej dawało się we znaki poczucie winy, bo teraz wśród tych, którzy najdobitniej odczują na swojej skórze rezultaty jego czynów, był ojciec Malakiego. Rozejrzał się wokoło udręczonym wzrokiem, napotykając tylko ciężkie spojrzenia ludzi. Patrzyli na niego tak samo, jak przed chwilą robił to zapłakany Marcus.

To ten. To on sprzymierzył się ze smokiem.

Chłopak zgarbił się w siodle. Posłał zmartwione spojrzenie w kierunku Malakiego, bojąc się tego, co wyczyta w jego oczach, ale przyjaciel pogrążony był we własnych myślach. Spuścił wzrok, a na jego twarzy malowała się troska. Wznowili wędrówkę w ciszy. Uzdrowiciele ruszyli już szlakiem. Zwlekający z wymarszem żołnierze zebrali się w sobie i poszli w ich ślady, wiedząc, że powinni jak najlepiej wykorzystać czas kupiony przez towarzyszy.

Kilku oddelegowano do przodu, by nadzorowali i przyspieszyli pochód kolumny. Nie mogli pozwolić na to, by apatia i zmęczenie doprowadziły do zwolnienia tempa. Obiad zjedli w drodze. Ludzie wlekli się w ciszy, a wczesnym popołudniem dotarli do doliny o płaskim dnie, przez które torowała sobie drogę rzeka. Szlak przed nimi wspinał się zakolami na przeciwległy stok, ku najwyższej wysklepionej części drogi wiodącej do Clemoncé.

Gdy znaleźli się na płaskiej przestrzeni, uprzytomnili sobie, że ludzie zatrzymują się wokół czegoś, co leżało w rzece, tuż przy trakcie. Malaki stanął w strzemionach, ale nie mógł dostrzec, jaki jest powód tego przestoju.

– Coś jest nie tak – powiedział.

Ludzie skupieni wokół owego czegoś zaczęli obracać się i strzelać spojrzeniami do Falka. Malaki łypnął na niego, nagle zmartwiony tym nagłym nasileniem się wrogości wobec przyjaciela. Jednak samego Falka bardziej interesowało to, co leżało w rzece. Dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy wyobraźnia podsunęła kilka możliwości, ale gdy dowódcy poszli sprawdzić, co się dzieje, Falko ruszył za nimi.

– To jeden z jeźdźców – powiedział Malaki, zatrzymując się za przyjacielem.

Falko prawie go nie słyszał. Czuł, jakby spoglądał z wielkiej wysokości

na ciało zanurzone w rzece. Jeździec był uwięziony pod truchłem swojego konia. Coś rozerwało mu gardło. Prąd rzeki poruszał płatami ciała, między którymi ziała czerwona dziura. Żyły w jego ciele zarysowały się czarno pod skórą, jakby dotknęła go martwica. Wpatrzone w nicość, rozwarte szeroko oczy były pozbawione koloru i pokryte kataraktami niby warstwą szronu. Wykrzywiona twarz zastygła w grymasie przerażenia.

– A co z innymi? – powiedział Bellius Snidesson. – Co, jeśli wszyscy nie żyją?

– Nic na to nie wskazuje – powiedział emisariusz, klękając przy mężczyźnie. – Musimy żywić nadzieję, że udało im się przeżyć.

– A jeśli nie?

Emisariusz uciszył go pogardliwym spojrzeniem, ale słowa szlachcica odbiły się echem w głowie Falka.

A jeśli nie?

Jeśli posłańcy nie dotarli do celu, nikt nie przyjdzie im z pomocą. Demon dogoni ich w górach i wszystkich pozabija. Falko powiódł wzrokiem po kolumnie ludzi wspinających się po zboczu – mężczyzn, kobiet i dzieci.

O gwiazdy na niebie... – pomyślał. Co ja najlepszego zrobiłem?



Anwyn skupiła wzrok na Garecie, gdy troje pozostałych przy życiu jeźdźców zjeżdżało wąską, ciągnącą się pod gołym niebem ścieżyną. Po ich lewej ręce góry opadały ostro w dół stromym, wznoszącym się na kilkaset stóp urwiskiem, aż do przeciskającej się między skałami rzeki. Wciąż byli wysoko, ale z każdą chwilą schodzili coraz niżej. Śmierć Dylana nie pozwalała im zwolnić i utrzymywali dobre tempo. Najwyższe góry dawno mieli już za plecami, przed nimi zaś malowały się zielone doliny i porastające rozległą przestrzeń lasy Clemoncé. Anwyn oglądała się przez ramię na Godfreyę. Jego widok dodawał jej otuchy. Szczupła twarz towarzysza naznaczona była wprawdzie piętnem strachu, ale obdarzył ją pokrzepiającym skinieniem i poklepał nerwowego Altaira po szyi. Wielki czarny ogier źle się czuł w tyle – zdecydowanie wołał przewodzić.

Wróciła wzrokiem do drogi przed sobą. Kilka długości dalej spostrzegła, że Gareth łypnął na nią przez ramię. Sprawdzał, czy wszystko z nią

w porządku. Odwracał się właśnie, gdy nagle z nieba runął na niego potwór. Tak szybko, że prawie go nie zobaczyła. Jedno machnięcie ciemnych skrzydeł i Gareth już nie było. Stwór dosłownie zmiotł go ze szlaku. Koń gońca zachwiał się, stracił równowagę i spadł z urwiska.

Anwyn sama nieomal wypadła z siodła, gdy Deneb zahamowała ze wślizgiem. Przerażone zwierzę zawisło nad krawędzią przepaści i runęłoby w dół, gdyby nie wpadł na nie popędzony przez Godfreya Altair i nie odepchnął konia znad urwiska.

Deneb uspokoiła się nieco, a Anwyn rozejrzała się i spostrzegła potwora wznoszącego się w niebo. Gareth zwisał w jego szponach niczym strach na wróble wyrwany z ziemi. Nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, ale widziała, jak próbuje szarpać pazury zanurzone w jego szyi i ramionach. Mroczny anioł, spoglądając z góry na pozostałych jeźdźców, unosił ofiarę wysoko w niebo, a potem raptownym ruchem wydobył szpony z ciała i Gareth spadł w kierunku płynącej w dole rzeki. Kreatura rozprostowała szponiaste nogi i z jej gardła dobył się przenikający duszę skrzek. A potem rzuciła się na pozostałą dwójkę.

Prawie ich dopadła, lecz w tym momencie Godfrey spał Altaira i koń stanął na tylnych nogach, przednimi zaś łomotał w powietrzu, aż trafił stworza okutym kopytem. Kreatura wrzasnęła z bólu i odskoczyła na bok, po czym zanim zdążyła odzyskać kontenans, spadła z urwiska i zniknęła w głębi przepaści.

Jeszcze przez chwilę jeźdźcy nie mogli się poruszyć. Konie drżały ze strachu, położyły uszy po sobie, a ich nozdrza rozdymały się w nerwowym rytmie. Godfrey pierwszy doszedł do siebie, sięgnął do Anwyn i położył jej rękę na ramieniu.

– Nie uda nam się dotrzeć do celu – powiedziała dziewczyna głosem zduszonym strachem i z oczami nabiegłymi łzami.

– Ależ uda się, uda – zaprzeczył Godfrey. – Dokonamy tego razem.

Anwyn powoli skinęła głową, a Godfrey się uśmiechnął.

– A teraz jazda! – krzyknął i pognął Altaira drogą.

Bez chwili wahania Anwyn ruszyła w ślad za nim. Mknęli razem, jakby gonił ich sam demon. Gdy zjechali ze stoku, spękane skały ustąpiły przed trawiastymi wzgórzami. Jutro skryją się w lasach Clemoncé i w mieście Toulwar.

15

Ofiara



Lud Caer Dour nie przerwał marszu, nawet gdy zaszło słońce. Opętani byli już tak blisko, że uciekinierzy nie mogli pozwolić sobie na zbyt długi postój. Dawno minęła już północ, nim wreszcie zatrzymali się na skalistej równinie otoczonej klifami, które niknęły w mroku nocy.

Skulony na twardym pościeliu Falko patrzył, jak emisariusz pograża się w rozmowie z Symeonem i włodarzami. Wszyscy byli wykończeni, ale każdy miał zadanie do wykonania. Malaki oporządzał konia, który zgubił podkowę, Heçamedes uwijała się przy pacjentach, Fossetta przygotowywała kolejną inhalację z corrosowej sosny.

Sytuacja malowała się w ponurych barwach; do chłopaka docierały szczątki dyskusji o tym, czy armia nie powinna stawić oporu pogoni. Nie mieli szans na wygraną, ale przy dobrych wiatrach udałoby się wytrwać do czasu, aż przybędzie odsiecz. Falko usłyszał głęboki głos swego pana:

– Chyba uda mi się na chwilę opóźnić atak demona – powiedział Symeon. – Choć nie jestem już tak silny jak kiedyś.

– A więc musimy wycisnąć z tej chwili, ile się tylko da – rzekł emisariusz. Zwrócił się do dowódców wojskowych: – Symeon jest kluczem do powodzenia misji. Jeśli on umrze, umrzemy wszyscy. Musimy go chronić. A on osłoni nas przed najgorszym uderzeniem strachu.

Następnie zwrócił się do Morgana i pytał, czy mogą liczyć na jakąś pomoc ze strony magów, ale Falko nie chciał już tego słuchać. Otulił się szczelniej płaszczem. Fossetta prawie już skończyła warzyć napar. Niebawem czeka go codzienna porcja wymiotów. Już zamykał oczy, by

złapać nieco snu, gdy raptem jego uszu dobiegło jakieś poruszenie w szeregach armii.

Sycząc z bólu, podniósł się do siadu i sięgnął wzrokiem ponad skupionymi wokół ognisk ludźmi. Grupa jeźdźców przecinała środek obozu, kierując się do dowódców. Malaki niespodziewanie pojawił się obok Falka. Wycierał ręce w brudną szmatę.

– Co jest? – spytał młody kowal.

– Wróciła tylna straż – odparł Falko.

Malaki pomógł mu wstać. Coś było nie tak. Gdy przejeżdżali obok, Falko dostrzegł kilka kształtów przewieszonych przez siodła... Trupy.

Gdy skupił wzrok na jednym z nich, opadło go szaleńcze przerażenie. Malaki też go zobaczył. Zrobił dwa kroki naprzód, coraz wolniej wycierając ręce. Od strony żołnierzy poniósł się szmer. Mężczyźni i kobiety obracali się wolno, kierując wzrok na syna starego kowala.

Malaki ruszył naprzód, jego kroki stawały się coraz szybsze. Dostrzegł światło księżyca odbijające się w niebieskim pancerzu.

Nie! – pomyślał Falko, nie słysząc chóru szeptów, który przesycił nieruchome nocne powietrze. Nie!

– De Vane.

Na fali przytłumionych głosów dotarło do nich nazwisko Balthazaka.

Raptem Falko rozpoznał postać stojącą przy ciele w błękitnej zbroi. To był sir Gerallt Godwin, ojciec Bryny. Przecięto rzemienie i szlachcic opuścił na ziemię martwego kowala. Oczy wszystkich szły za Malakim, gdy ten przedzierał się przez tłum.

Sir Gerallt ruszył w jego stronę, lecz Malaki odepchnął go na bok, potykając się na nierównym gruncie i wpatrując w martwe ciało swojego ojca. Pancerz Balthazaka był wgnieciony i podziurawiony, jego twarz pokryta krwią. Malaki nie widział ran. Owładnęła nim rozpacz. Osunął się na kolana, przygarnął do piersi ciało ojca. Mięśnie jego ramion napięły się, jakby mógł z powrotem wcisnąć w niego życie.

Sir Gerallt uklęknął przy nim.

– Nigdy nie poddał się strachowi – powiedział, jakby to miało jakieś znaczenie. – Opętani zapędzili kilku naszych do wąwozu. Twój ojciec dowodził grupą, która miała ich odbić. Jego koń odniósł rany i Balthazak zginął, ale nie poddał się strachowi. – Dłoń sir Gerallta spoczęła na

szerokich plecach Malakiego. – Opętani nigdy nie zdobędą jego duszy. Twój ojciec spoczywa w pokoju.

Wreszcie napięcie opuściło ciało Malakiego i jego ramionami wstrząsnął gwałtowny, bezgłówny płacz.

– Nie zniosę tego.

Falko patrzył z góry na przyjaciela, tulącego do piersi zmasakrowane ciało ojca. Malaki kochał Balthazaka bezgranicznie, lecz Falko również. Tak jak Symeon, stary kowal zawsze był dla niego dobry, nigdy go nie osądzał, nie sugerował synowi, że powinien dać sobie spokój z tym dziwnym, schorowanym chłopcem. Falko zawsze był w kuźni mile widziany, pokrzepiał go żar paleniska i dzwonięcie młota. Dobrze kojarzył mu się świst miechów i zapach rozżarzonej stali. Żal rozdarła mu duszę na strzępy. A jeśli on tak się czuł, to co musi przeżywać teraz Malaki!

– Nie, nie zniosę tego.

Mruganiem wstrzymując łzy, Falko ruszył chwiejnie przez obóz. Próbował uciec od żalu, który wziął we władanie jego umysł. Słyszał szyderczy głos ze swoich koszmarów.

„Nigdy byś się nie odważył. Nigdy nie znalazłbyś w sobie siły”.

Ludzie klęli, gdy ich mijał, ale on nie dbał o to. Ledwie ich widział, ledwie słyszał ich głosy. Nieważne, co mówili, on nigdy nie odważyłby się położyć kresu temu cierpieniu.

– Mamidełko!

Gdzieś z oddali przebił się do jego świadomości głos kalekiego chłopca. A potem pełen troski głos Merryweathera:

– Falko... Falko, wszystko dobrze?

Chłopak zignorował te ulotne słowa, te cienie ludzkich głosów. Nie niosły ze sobą żadnego znaczenia. Znał tylko ból i żal.

– Fossetto! Tutaj jest – zawołał Merryweather.

Falko słał się na nogach, dochodząc do skraju obozu, ale nie zatrzymał się, tylko ruszył dalej w noc. Grunt ciągnął się jeszcze przez parę kroków, a potem pogrążone w cieniu skały ustępowały miejsca ziejącej przepaści. To właśnie tu musi teraz być. Może w ciemności znajdzie choć trochę spokoju.

Czując, że nie tyle idzie, ile płynie przed siebie, Falko zbliżał się do krawędzi urwiska. Prawie do niej dotarł, gdy raptem jakaś siła szarpnęła

go w tył i powaliła na ziemię. Jego ramię wrzasnęło bólem, ale ten miał się nijak do frustracji, jaką wywołał ten ktoś, kto pozbawił go zbawczej ciemności. Z rozpaczliwą siłą zaczął okładać pięściami osobę, która go trzymała. Ciosy dosięgły ciała i kości, a po chwili przez szum w uszach dotarł do niego czyjś krzyk.

– Falko, przestań! – Głos należał do kobiety. – Przestań, proszę!
Fossetta.

Nagle odeszły go wszystkie siły. Opadł na ziemię, wciąż opasany ramionami gospodyni, która skulona chowała głowę, chroniąc się przed kolejnymi ciosami. Wokoło zajaśniało światło, gdy nad urwisko zaczęli napływać ludzie z pochodniami. Wciąż oszołomiony, Falko poczuł, jakby jakaś siła unosiła go w powietrze. Dwa kroki od niego, tak blisko, ziała czarna paszcza przepaści. Rzucił się naprzód, ostatkiem sił pragnąc zatopić się w dającej wytchnienie ciemności, lecz powstrzymały go silne ramiona.

– Nie – rozległ się nad nim głos emisariusza. – Nie znajdziesz tam odkupienia.

Mężczyzna zaniósł Falka do jego pośłania i tam ułożył go na płaszczu. Ktoś podał mu wodę, ale chłopak odwrócił głowę. Gdy podsunęto mu miszkę z corrosowym naparem, przewrócił ją. Nie spał, lawirował na granicy jawy i koszmaru, w którym Malaki stał nad ciałem ojca wraz z Dariusem i martwym jeźdźcem znalezionym w rzece. W tym śnie był jeszcze ogień i ulepiona z cienia postać, która mogła być jego ojcem lub demonem zjawiającym się po jego duszę.

Falko nie umiał ich od siebie odróżnić.

Poranek wstał mokry i szary, ale nic się nie zmieniło. Falko wciąż marzył o zapomnieniu, które niczym balsam ukoji wreszcie jego zbolałą duszę. Próbowali zmusić go do jedzenia, ale odmówił. A potem znowu podstawili mu pod nos cuchnące opary.

– Umrzesz, jeśli nie będziesz ich wdychał – przekonywała Fossetta, klęcząc przy nim z błagalnym wyrazem twarzy.

– I dobrze, niech zdycha – powiedział ktoś, przechodząc obok, a gospodyni zwiesiła głowę.

– Co się dzieje?

Falko stęzał, słysząc głos Malakiego.

– Nie chce przyjąć lekarstwa – odparła Fossetta. – Wcześniej wywrócił

patelnię.

Falko powoli podniósł wzrok. Malaki stał przygarbiony, z pustym wyrazem twarzy. Jego brązowe oczy były otoczone czerwoną obwódką, a karmazynowe znamię na twarzy kontrastowało silnie z bladością skóry.

– Nie chce? – powtórzył groźnie.

– I dobrze! – powiedział jakiś bezimienny głos.

– To przecież wszystko przez niego! – przyszedł mu w sukurs inny. – Niech on już umrze!

Malaki zacisnął zęby, gdy usłyszał, że inni życzą Falkowi śmierci. A potem nagle dał nura naprzód. Falko cofnął się wystraszony, ale Malaki już sięgnął w dół, złapał go, zwłókł z posłania i zatargał tam, gdzie dymiła nad ogniem porcja corrosowego naparu. Rzucił Falka na ziemię, a potem kucnął za nim i oplótł jego wątłą pierś masywnym ramieniem. Wreszcie drugą ręką złapał go za włosy i przytrzymał mu głowę.

– No, dalej! – warknął.

Heçamedes zawahała się, Fossetta zaś wstała, trzymając koc w rękach. Nigdy jeszcze nie widziały, by Malaki zachowywał się tak brutalnie. Uzdrowicielka wolno pokiwała głową i sięgnęła po patelnię.

Falko zaszamotał się w uścisku, ale Malaki trzymał go mocno. Heçamedes postawiła naczynie, a Falko na pewno by je wywrócił, gdyby tylko Malaki nie przyszpilił mu ramion do ciała, a nóg nie złapał w kleszcze masywnych ud. Kowal kiwnął głową na Fossettę, a ona zarzuciła Falkowi koc na głowę. Tymczasem Heçamedes zdjęła pokrywkę z patelni.

Falko zwiotczał Malakiemu w rękach, gdy owionęły go śmierdzące opary, ale zaraz zaczął się z wolna wiercić. Gdy już nie mógł dłużej wstrzymać oddechu, zaczął się szamotać, ale nie zdołał wyrwać się z rąk kowalowi. Kaszlał i krztusił się, ale Malaki nie puszczał. Fossetta i Heçamedes wymienili nerwowe spojrzenia. Falko nigdy nie był tak długo wystawiony na działanie dymu.

– Malaki – upomniała go wreszcie Fossetta, ale kowal nie puszczał.

– Malaki, już dość – poparła ją Heçamedes. Już sięgała do niego ręką, gdy Malaki zwolnił uścisk i odrzucił Falka na bok. Chłopak dusił się i rzeził, zawzięcie walczył o oddech, wybałuszając przekrwione oczy.

Wszyscy gapili się na nich, a zwłaszcza na żalostną postać wijącą się na ziemi. Fossetta płakała, ale Malaki zdawał się tym nie przejmować. Po

prostu stał nieruchomo, wlepiając wzrok w umęczonego Falka. A potem przemówił ochrypłym, gardłowym głosem.

– Oni może zyczą ci śmierci. – Pokazał palcem stojących dookoła ludzi. – Ale nie ja. – Zacięta mina rozmyła się na jego twarzy, ustępując przed łzami. – Nie ja.

Fossetta podeszła, by go pocieszyć, ale zabronił jej gestem, po czym ruszył samotnie przez obóz. Gospodyni kucnęła przy Falku, który płakał jak dziecko. Nawet jego łzy były czerwone od krwi.



Anwyn i Godfrey puścili konie w cwał. Po tak długim kluczeniu przez góry dobrze było wreszcie rozwinąć porządną prędkość. Anwyn zaczynała wierzyć, że rzeczywiście mogą ocaleć z tej eskapady, gdy nad jej głową przemknął cień.

– Po prostu jedź – zawołał Godfrey, jadący z nią łeb w łeb.

Razem przemierzyli trawiastą łąkę. Przed nimi, zaledwie milę dalej, ciemniała ściana lasu.

Gdyby tylko udało się dotrzeć do drzew...

– Nie uda nam się – krzyknęła Anwyn, rozglądając się po niebie, aż strzyknęło jej w szyi. Nie widziała potwora, ale wiedziała, że gdzieś tam jest. Czowała jego obecność. Łypnęła na Godfreya i poznała po wyrazie jego twarzy, że on też to czuje. Wiedzieli, że stwór zaraz uderzy ponownie. Godfrey spuścił wzrok, jakby dał za wygraną. A potem kazał Altairowi podjechać bliżej do Deneb.

– Jedź w kierunku lasu – zawołał nagle. – Anwyn! – dodał głośniejszym głosem, by ściągnąć na siebie jej wzrok. – Schowaj się w lesie, rozumiesz?

Kiwnęła głową skołowana. Przecież już jechali w stronę drzew. Lecz wtedy Godfrey krzykiem wydał Altairowi polecenie i wielki czarny ogier wyrwał z kopyta naprzód, zostawiając Deneb za sobą. Przez krótką chwilę Anwyn czuła się zdradzona i opuszczona, ale kiedy ujrzała cień potwora mknący po trawie, wówczas dotarło do niej, co robi Godfrey.

– Nie! – wrzasnęła. – Godfrey, nie!

Mężczyzna odłączył się od niej, zmierzając ku ścianie lasu. Wiedział, że kreatura będzie próbowała powstrzymać ich, nim do niego dotrą. I wiedział

też, że najpierw zaatakuje szybszego z dwojga jeźdźców. Postanowił przynajmniej dać Anwyn nieco czasu, by zdołała skryć się pod sklepieniem drzew. Stwór z zatrważającą prędkością leciał w kierunku jeźdźca, zamierzając uderzyć z prawej strony.

Szponiastymi stopami złapał głowę Altaira, a siła uderzenia zdruzgotała koniowi kark. Głowa zwierzęcia odgięła się pod nienaturalnym kątem. Stwór okręcił się w powietrzu, bijąc szaleńczo skrzydłami, gdy spod Altaira uciekły zwiotczałe kończyny i koń zarył o ziemię. Godfrey wypadł z siodła, wyrznięt z mocą o grunt i już się nie podniósł.

Anwyn nie mogła oddychać, zupełnie jakby przerażenie zacisnęło się szponiastą łapą również na jej szyi. Na moment zamknęła oczy, gorączkowo usiłując skupić się tylko na jeździe, tylko na tym, by utrzymać Deneb w prostej linii. Za jej plecami rozbrzmiał przeraźliwy skrzek. Obejrzawszy się, spostrzegła, że kreatura ponownie wznosi się do lotu, młócąc skrzydłami, i skupia na niej przerażające ślepie. Serce waliło jej w piersi, z oczu lały się łzy. Drzewa widoczne w oddali wydawały się zamazane, pozbawione konturów. Nie potrafiła powiedzieć, jak blisko czy daleko się znajdowały.

– Szybciej, Deneb! Szybciej, kochana! – słowa opuściły jej usta pod postacią dyszącego szlochu. Kasztanka wyczuła rozpacz w jej głosie i jakimś sposobem jeszcze zwiększyła prędkość.

Nagle postrzępiona korona drzew zaczęła rosnać w oczach, jakby zechciała wyjść jej na spotkanie. Serce podeszło Anwyn do gardła, a potem usłyszała gwizd czegoś, co rozcinało powietrze, zbliżając się z niemożliwą do ogarnięcia szybkością. Rozpacz przydała siły jej mięśniom i dziewczyna szarpnęła cugłami w prawo. Deneb prychnęła z wyrzutem, usiłując wykonać niewykonalne polecenie. Uratowało je tylko idealne zgranie wierzchowca i jeźdźca.

Mroczny anioł zaryczał ze złości, gdy klacz umknęła w prawo, a jego szpony złapały tylko powietrze. Ale potwór ciemności był nadzwyczaj zwinny. Okręcił się w locie i wznowił pogoń.

Anwyn łypnęła przez ramię i zobaczyła, że znowu jest tuż za nią. Drugi raz ten zwód się nie uda. Przygotowała się na uderzenie wroga, a potem zamrugła oczami, gdy coś chlasnęło ją przez twarz. Ogarnął ją głęboki cień, gałęzie biły po jej udach i ramionach, gdy zatopiła się w lesie.

Schroniła się pod sklepieniem drzew, a przepełnione frustracją wrzaski potwora nagle wydały jej się przytłumione narastającą odległością.

Z wolna zaczęło opuszczać ją przerażenie. Popędziła konia naprzód.

– Dziękuję – zapłakała, przyciskając z wdzięcznością policzek do spotniałego końskiego karku. – Moja dzielna, najukochańsza. Dziękuję ci.

Deneb zarżała nerwowo w odpowiedzi.

– Uda nam się – rzekła Anwyn, wzrokiem wyluskując z natarczywych zarośli meandrujący ślad traktu. Sięgnęła na plecy, by poprawić tubus ze zwojem, i popędziła klacz naprzód. Obie były wykończone, ale czas na odpoczynek przyjdzie dopiero wtedy, gdy dotrą do Toulwaru.

Skrywały się pod spletanym sklepieniem lasu.

Nic nie mogło ich już zatrzymać.



Mroczny anioł wzniósł się wysoko ponad zieloną pokrywę drzew. Nienawiść płonęła w jego czarnym sercu, odmówiono mu bowiem ofiary. Ale zło jest cierpliwe. Anioł poczeka. Czuł kobietę skrytą pod drzewami. Czuł jej strach i żalną nadzieję, która tliła się w jej wątlej, nijakiej duszy. Anioł leciał ponad drzewami, wypatrując poszarpanej linii traktu. W oddali widział już szary cień miasta, ale jego ofiarę dzielił jeszcze od niego szmat drogi.

Niebawem nadarzy się okazja, by złowić tę ludzką duszę, która ledwie na kilka chwil wymknęła się z jego pazurów.

Tchórzostwo, odwaga i spryt



Falko jechał sam po raz pierwszy od rozpoczęcia podróży. Przed nim znajdowali się chorzy i ranni, za nim – włodarze i dowódcy armii. Malaki gdzieś przepadł. Wydarzenia minionej nocy wydawały się teraz mętne i odległe, jak na wpół zapomniany koszmar. Mimo to czuł wyraźnie, że jakieś mroczne ziarno wysiało się z jego głowy i zostawiło po sobie rodzaj odrętwienia. Falko przemierzył już głębiny rozpacz, a teraz po prostu czuł się zagubiony.

Z wolna zaczął uprzytamniać sobie, że ktoś jedzie obok niego. Rzucił okiem na emisariusza.

– Przykro mi z powodu Balthazaka.

Falko spuścił głowę, a po chwili ciszy emisariusz dodał:

– Nie możemy zmienić przeszłości. Możemy tylko patrzeć w przyszłość.

Chłopak utkwiał w nim wzrok. Nie rozumiał, dlaczego Chevalier poświęca mu tyle uwagi.

– Ale nie jest to proste – ciągnął starszy mężczyzna. – Wymaga odwagi. – Na krótką chwilę pochwycił wzrok Falka. – Cokolwiek tu zaszło, czekają nas dni spowite ciemnością. Możemy tylko zdecydować, jak stawimy im czoła. Czy będziemy walczyć? Czy postaramy się zrobić coś dobrego? Czy też odrzucimy nadzieję na rzecz rozpacz. – Zamilkł. – Oto wybór, jaki przed tobą stoi, Falko Danté. Sprawa, jak widzisz, jest całkiem prosta.

Wymierzył w Falka ostatnie, znaczące spojrzenie. A potem skinął mu na pożegnanie i popędził naprzód swojego bojowego rumaka.

Falko podążył za nim wzrokiem wzdłuż kolumny. Emisariusz

zatrzymywał się to tu, to tam, rzucając ludziom pokrzepiające uśmiechy lub dobre słowo. Miał wiele cech, za które młody mężczyzna, taki jak Falko, mógł go podziwiać. Chłopak uprzytomnił sobie, że zastanawia się nad tym, czy może jego ojciec również krzewił w ten sposób nadzieję wśród ludzi, którym przewodził, kiedy nikt jeszcze nie mógł przewidzieć nadchodzącej katastrofy. W głębi serca czuł, że tak właśnie było.

Zaczął się rozglądać. Widział krążącą po wozie szpitalnym Heçamedes oraz pomagające jak potrafiły Fossettę i Brynę. To była robota, na którą warto było poświęcić czas. Coś, co również i on sam mógłby chyba robić.

Nagły atak kaszlu sprawił, że złożył się wpół. Ból był intensywny – ale był to ból świeżej rany, a nie mdlące pulsowanie ciała dotkniętego chorobą. Gdy otarł usta, zobaczył na dłoni krew, ale świeżą i jasną. Falko patrzył na nią w zdumieniu. Prawie nie znalazł śladów śluzu, który odkrztuszał przez całe życie. Jego oczy wypełniły się łzami; były niczym deszcz obmywający duszę ze znoju.



Gdy oślepiający strach przestał już mącić jej umysł, Anwyn zaczęła rozglądać się po okolicy. Ledwie zarysowana w ściółce ścieżyna umożliwiała jednak dość szybką jazdę. Anwyn czuła, że Deneb zaczyna powoli wracać do siebie. Napięte mięśnie rozluźniły się, gdy klacz przeszła w swobodny kłus, by odpocząć po szaleńczym biegu do lasu. Anwyn chciała się zatrzymać, by nieco odsapnąć, ale usilnie próbowała nie myśleć o Godfreyu, a wodze w dłoni pomagały jej skupić się na jeździe. A poza tym z czasem droga nosiła coraz wyraźniejsze ślady użytkowania, co oznaczało, że do miasta było już niedaleko.

Kawałek dalej drzewa zaczęły rzednąć. Las się rozstąpił i droga wylała się z gęstwiny na szeroką polanę. Wówczas ścieżka pobiegła wzdłuż brzegu jeziora obrośniętego sitowiem. Taflę pstrzyły rozsiane z rzadka punkciki wodnego ptactwa. Anwyn widziała, że dalej ścieżka odbija w lewo i po przecięciu złotej łąki na powrót kryje się wśród drzew.

Gdy cwałująca Deneb wyłoniła się na polanę, Anwyn zamknęła oczy, czując na twarzy promienie słońca. Klacz bez polecenia obiegła łukiem jezioro i prawie już trąciła pęciami suchą trawę, gdy nagle z tafl

poderwała się spłoszona czymś chmara kaczek i gęsi. Anwyn zaczęła zastanawiać się nad tym, co też je wystraszyło, gdy padł na nią cień błoniastych skrzydeł. Nim stwór uderzył, przerażenie zdążyło wzbudzić się w jej sercu.

Ból zapłonął w żebrach po obu stronach jej ciała. Nieludzka siła podniosła ją z siodła i porwała w niebo. Szpony wbijały się w nią niczym gorące żelazne kolce. Obróciła głowę i napotkała wzrokiem wyszczerzoną twarz potwora. Anioł trzymał głowę nad jej ramieniem, jego oddech parzył jej szyję, a w czarnych oczach wyczytała tryumf. Struzka srebrzystej śliny skapnęła spomiędzy jego zębów na szyję Anwyn. Substancja zaskwierczała w kontakcie z ciałem, jakby ktoś skropił dziewczynę zrączy kwasem. Nie wrzasnęła. Była już w połowie drogi między tym światem a kolejnym.

Ledwie świadoma tego, co robi, sięgnęła po tubus, który zwisał teraz u jej boku. Pasek uwiązał między szponami bestii, ale zdołała przeciągnąć go przez sprzączkę i zdjąć pojemnik. Jej oddech przyspieszył, zrobił się płytki, rozpaczliwy. Płuca wypełniały się krwią, ale Anwyn mocno trzymała tubus, gdy demon niósł ją coraz wyżej. Spojrzała w dół i zobaczyła Deneb znikającą między drzewami. Uśmiechnęła się, widząc, że jej ukochana klacz jest bezpieczna, a potem skupiła uwagę na pojemniku i łzy napłynęły jej do oczu.

– Przepraszam – wyszeptała, myśląc o rodzicach i o wszystkich ludziach, których zawiodła. Gdy jej umysł zaczęła zagarniać ciemność, Anwyn pozwoliła tubusowi wyślizgnąć się z jej palców.

Tylko tyle mogła zrobić, by wiadomość nie przepadła.

Kreatura poniosła dziewczynę nad wodę, a potem, wydając z siebie zwycięski krzyk, wypuściła ją z łap. Anwyn była martwa, nim przebiła tafłę jeziora. Odgłos upadku stłumiło gęsto rosnące sitowie. Przez chwilę stwór wisiał w powietrzu, sycąc oczy swoją ofiarą, a potem, zanosząc się skrzekiem, wzbił się w niebo i poleciał na wschód, do swojego pana.



Tego dnia wędrówka również nie zakończyła się o zachodzie słońca. Wędrowali tak długo, aż opadli z sił, i dopiero wtedy zatrzymali się na kilka godzin. Ludzie siadali tam, gdzie stanęli, wykończeni wielomilową

tułaczką, coraz bardziej czując na barkach ciężar narastającego strachu. A mimo to w tłumie dało się odczuć pewną ekscytację. Jeźdźcy, mówiono, powinni już dotrzeć do Toulwaru. Niektórzy wspominali o mrocznej istocie, którą widzieli na niebie, ale większość była przekonana, że do rana posiłki powinny opuścić miasto i ruszyć im z odsieczą.

Falko wcale nie był taki pewien, ale nawet ta wątła nadzieja była lepsza niż żadna. Podprowadził konia do miejsca, gdzie Fossetta i Davis rozpalali ognisko. Malaki nie przyszedł, by pomóc mu zejść z konia. Falko wypatrzył go kawałek dalej. Sprawdzał zwierzętom kopyta. Falko złapał kulę siodła, zszedł z konia i opadł na nogi. Czuł się słaby i drżał z wyczerpania, ale zbyt długo już polegał na innych. Czas, by zaczął sam troszczyć się o siebie.

Fossetta podniosła się i podeszła do niego, by przyłożyć mu dłoń do czoła.

– Zjesz trochę zupy?

Potwierdził skinieniem.

– Dziękuję – odparł.

Na twarzy Fossetty odznaczyło się przejęcie. Kobieta zsunęła dłoń z czoła na policzek. Nie dostrzegła w oczach Falka czarnej rozpacz, jaka nie opuszczała ich przez ostatnie dni. Chłopiec, którego kochała, jakimś sposobem wrócił do nich. Podeszła do ogniska, by wstawić zupę. Falko przeniósł wzrok z Fossetty na Heçamedes, która przygotowywała kolejną inhalację.

Uzdrowicielka nie spojrzała na niego. Wciąż była zła za to, że odmawiał przyjęcia lekarstwa. Żołądek Falka skręcił się rażony trwogą, gdy pomyślał o wdychaniu cuchnących wyziewów. Heçamedes zacisnęła usta, gdy odwrócił się plecami do jedynej rzeczy na świecie, która mogła mu pomóc. Kuracja działała, ale do całkowitego zwalczania infekcji brakowało mu jeszcze ładnych kilka patelni. Jeśli nie wyleczą jej teraz, może powrócić ze zdwojoną siłą.

Odwróciwszy się od Heçamedes, Falko poszedł tam, gdzie Malaki wciąż oporządzał konie. Stał blisko, ale kowal najwyraźniej nie miał zamiaru na niego patrzeć. Falko zrobił kilka kroków naprzód, gdy przyjaciel podchodził do kolejnego zwierzęcia, i wtedy kowal nie miał już wyboru: musiał oderwać się od pracy. Wyprostował się, nadal na niego nie patrząc.

– Wciąż bardzo boli, gdy próbuję robić to sam – powiedział Falko, przełykając nagły ucisk w gardle. – Gdybyś mógł mi pomóc...

Słowa zawisły w przestrzeni, a po chwili niezręcznej ciszy Falko kiwnął głową i wrócił do ogniska. Wciąż chwiejąc się na nogach, wziął koc, którego używali do inhalacji, podszedł do ognia i uklęknął przy Heçamedes.

Oczy Fossetty lśniły, gdy wodziła nimi od Falka do Malakiego. Przez jakiś czas wielki młodzieniec uparcie stał sztywno, ale po chwili opuścił głowę i odwrócił się przodem do reszty. Bez słowa podszedł do Falka i kucnął za nim.

Pacjent oddał Fossetcie koc, a potem, tak jak wcześniej, Malaki otoczył go ramieniem i wpił pięść we włosy. Heçamedes umieściła patelnię przed Falkiem, a on, walcząc z odruchem nakazującym ucieczkę, pochylił się nad naczyniem. Gospodyni nakryła go kocem, a uzdrowicielka zdjęła pokrywkę. Efekt był taki jak zwykle, ale choć Falko rzucał się i szamotał, nieubłagany Malaki trzymał mocno.

Po jakimś czasie, który zdał się Falkowi wiecznością, Heçamedes kiwnęła głową, a Fossetta zdjęła koc z jego głowy. Charczący, zdyszany Falko wyprostował się, ale Malaki nie puścił go od razu. Trzymał przyjaciela, wciskając twarz w jego ramię. Wreszcie zwolnił uścisk, wstał i wrócił do koni.

Wciąż kaszłąc, Falko wyciągnął do niego rękę, ale Fossetta pokręciła głową.

– Daj mu trochę czasu – powiedziała, ocierając jego twarz.

Falko opuścił rękę i patrzył, jak Malaki odchodzi w noc. Ciemność, która wypełniła jego umysł, zaczęła już z niego uchodzić, ale ból i żal nie opuszczą go tak szybko. Pozwolił, by dwie kobiety pomogły mu ułożyć się w wygodnej pozycji, i robił, co mógł, by nie krzyczeć, gdy przewijały mu ranę. Wreszcie wieczorny rytuał dobiegł końca i Heçamedes zaczęła pakować utensylia i specyfiki z powrotem do swojej uzdrowicielskiej torby.

– Dziękuję ci – powiedział Falko.

– Proszę – odpowiedziała z uprzejmością, która wydała mu się wymuszona.

Falko zaczął się zastanawiać, czy czymś jej nie obraził. A potem, gdy Heçamedes już wstała, zdążyła odejść, zanim Falko dostrzegł łzy w jej ciemnych thraeckich oczach.

Nie do końca rozumiejąc, co się dzieje, chłopak patrzył, jak uzdrowicielka rozplywa się w ciemności.

– Falko, chodź – zawołała uśmiechnięta Fossetta. Wręczyła mu miszkę zupy i kromkę chleba. – Jak się czujesz?

– Umieram z głodu. – Przez ostatnie kilka dni ledwie skubnął strawy.

– To dobrze – powiedziała Fossetta. – Ale uważaj, nie przejedz się – dodała. – Minie jakiś czas, zanim wrócisz do sił. – Wyprostowała się i odwróciła do ognia.

– Przepraszam, Fossetto – rzekł cicho, a gospodyni obrzuciła go spojrzeniem.

– Rozumiem, mój kochany. Wszystko rozumiem.

Falko pochłonął zupę i dokończył chleb. A później, ogarnawszy wzrokiem obóz naokoło, zamknął oczy, by zasnąć. Drzemał przez blisko dwie godziny. Obudziło go znajome uczucie ciepła ogarniające jego ciało. Klęczał nad nim Symeon, jego dłonie wisiały nad piersią chłopaka.

– Leż spokojnie – polecił stary mag bitewny, a Falko opadł na posłanie. – Wysypka prawie już zniknęła.

– Czuję się jakoś inaczej – wyznał Falko, zastanawiając się jak zwykle, skąd Symeon wie o rzeczach, których nie mógł przecież zobaczyć. – Obolały, ale nie chory, jeśli ma to jakiś sens.

Symeon pokiwał głową i poruszył się, by sięść na kamieniu.

– Ma, nawet bardzo wiele.

Falko złapał wzrokiem emisariusza, stojącego po drugiej stronie ogniska obok Malakiego. Rozmawiali pochyleni nad jakąś robotą. Chłopak posłyszał metaliczne stukanie małego kowalskiego młota.

– Skończył już? – zapytał Falko, mając na myśli pas, nad którym pracował emisariusz.

– Prawie. Malaki pomaga mu osadzić nity.

– To dla jego żony?

Symeon wydał usta.

– Nie jestem pewien, czy jest żonaty. Ja przynajmniej nic o tym nie wiem.

Falko wolno pokiwał głową, spoglądając na człowieka, który przybył do nich w czarnej godzinie. Milczał chwilę, nim znowu się odezwał:

– Jak myślisz, Symeonie, czy on rzeczywiście potrafi zajrzeć człowiekowi w serce?

– Myślę, że na pewno widzi więcej niż inni – uśmiechnął się Symeon. –

Zapewne królowa nie bez powodu uczyniła go swoim emisariuszem.

Falko długo nie odrywał wzroku od Chevaliera, a potem jego spojrzenie przesunęło się na Malakiego.

– Śmierć nieustannie wisi nad człowiekiem – rzekł Symeon, jakby wyczuł myśli Falka. – Nawet gdyby Darius wrócił z gór, wielu ludzi i tak straciłoby życie w walce z Opętanymi.

– Wiem. Ale Balthazak... – Falko nie zdołał dokończyć zdania.

– Nie wolno ci torturować się takimi myślami – przekonywał Symeon. – To nie ty sprowadziłeś na nas demona.

Milczeli. Falko wpatrywał się w grę świateł na pooranej twarzy starego maga. Odczuwszy na własnej skórze dotyk smoczego ognia, mógł sobie tylko wyobrazić, ile wycierpiał Symeon.

– Czy nam się uda? – spytał.

Starzec nie odpowiedział. Prychnął tylko, a na jego usta wypłynął mroczny uśmiech. Opętani zbliżali się szybko i nikt nie wiedział, czy gońcy dotarli do Toulwaru, czy nie.

– A jak się uda? – Symeon uniknął odpowiedzi. – Co wtedy zrobisz?

– Nie wiem – odparł Falko. – Chyba wrócę do domu.

– Do domu, powiadasz. – Symeon zaśmiał się pusto. – Obawiam się, że nie będzie do czego wracać.

Falko pokiwał smętnie głową.

– Więc chyba zostanę w Toulwarze – powiedział. – Może z czasem uda się odbudować Caer Dour.

– Mógłbyś pojechać z Malakim do Furii. Może to tam znajdziesz odpowiedzi na swoje pytania.

Falko spojrzał na niego, czekając na ciąg dalszy.

– Znałem twojego ojca. Nie sposób zaprzeczyć, że drzemała w nim ciemność. Ale nie był szalony. Jest powód, dla którego zwrócił się przeciw nam. – Falko wwiercał się wzrokiem w opiekuna. – Sądzę, że śmierć Aquili niosła ze sobą jakieś znaczenie. Może w Furii sam doszukasz się swojego własnego znaczenia.

Falko nie mógł wykrztusić słowa. W ciągu ostatnich kilku dni cały jego świat legł w gruzach, a nad tymi gruzami zawisły zbite, ciemne chmury rozpacz. Dopiero teraz Symeon przebił się przez nie, a na Falka spłynął promień zbawczego światła nadziei.

Może w Furii znajdzie odpowiedzi na dręczące go pytania.

Może w Furii znajdzie jakiś cel w życiu.

Opiekun odszedł, a Falko – choć w jego głowie był mętlik i niezliczone myśli przepychały się do jego świadomości – jakoś zdołał zasnąć. Niedługo jednak cieszył się odpoczynkiem.

Uciekinierzy wznowili wędrówkę jeszcze przed świtem. Nie było to zbyt bezpieczne, ale nie mieli już czasu do stracenia, Opętanych dzieliło od nich bowiem najwyżej kilka godzin. Falko zjadł na śniadanie nieco chleba i owoców. Chwiejąc się w siodle, poczuł wreszcie, że zaczynają mu wracać siły. Przed sobą zobaczył stojącą na poboczu kobietę, która usiłowała zbudzić jedno ze swoich dzieci, chłopca, najwyżej sześciolatniego.

– Mówię ci przecież, Tarran, że musimy iść dalej. – Przejęta matka gorączkowo szarpała dziecko za rękaw.

– Może jechać ze mną – zaproponował Falko, zatrzymując się przy niej.

Kobieta podniosła wzrok, bijąc się z myślami. Potrzebowała pomocy, ale nie chciała przyjmować jej od kogoś, kto sprowadził na nich nieszczęście.

Wreszcie przeważyła konieczność. Kobieta wybąkała podziękowanie i wsadziła syna na siodło. Falko owinął splakane dziecko płaszczem.

– Nie martw się – powiedział. – Jeźdźcy na pewno dawno już podnieśli alarm w Toulwarze. Rycerze już jadą nam na spotkanie.

Chłopiec obrócił się, by na niego spojrzeć. Poważne niebieskie oczy szukały fałszu na jego twarzy. Coś mówiło Falkowi, że jeźdźcy wcale nie dotarli do celu. A jednak w jego słowach nie dało się wyczuć kłamstwa. Twarz chłopca wypogodziła się, odwrócił się do przodu i oparł potylicą o kościstą pierś chudzielca.



Kapitan Reynald de Roche z Toulwarskich Szaserów Królewskich zsiadł z konia i podszedł do błakającej się po lesie klaczy. Kasztanka była wystraszona i wycieńczona. Wyciągnął do niej rękę i przemawiając spokojnym, niskim tonem, zaczął podchodzić bliżej. Gdy wreszcie złapał za uzdę, klacz przycisnęła mu głowę do ramienia i poruszała uszami w przód i w tył.

– Spokojnie, spokojnie – mruczał kapitan de Roche, głaszcząc zwierzę po

mokrej od potu szyi. Nietrudno było się domyślić, że jest po forsownym biegu. Tylko jeździec gdzieś przepadł. Kapitan powoli wrócił z kłaczą do swoich ludzi. Patrol opuścił Toulwar cztery dni temu i akurat wracał do domu, gdy przypadkiem natknął się w lesie na skubiące trawę zwierzę.

– Przyszła stamtąd – powiedział jeden z żołnierzy. – Od strony Valencji.

Kapitan obrócił głowę we wskazanym kierunku. Czy to nie tam pojechał dwa tygodnie temu królewski emisariusz?

Oddał wodze podwładnemu i dosiadł własnego wierzchowca, którego zostawił w gromadzie lekkobrojnych szaserów.

– Ruszemy traktem w kierunku lasu.

Umilkł i popędził konia. Do wszystkich dotarły wieści, że wroga armia przełamała obronę Illicji. Nie dalej jak kilka dni temu sami słyszeli, jak jeden drwal opowiadał o jakimś latającym ponad lasem potworze. Uznali po prostu, że mu się przywidziało – to nie był żaden latający potwór, tylko wracający z łowów orzeł aksamitnik – lecz teraz kapitan nie był taki pewien.

– Miejcie się na baczności – polecił podkomendnym. – Obawiam się, że w okolicy czai się jakieś zło.

Ruszyli naprzód. Ich własne konie również były już mocno zmęczone patrolem, ale kapitan wiedział, że w okolicy znajduje się jezioro. Tam napoją wierzchowce.



Uchodźcy przyspieszyli. Co rusz jednak potykali się na trakcie i przeklinali dowódców, którzy narzucili nieludzkie tempo.

– Szybciej... Ruszać się... Szybciej...

Falko obrzucił spojrzeniem mężczyznę, któremu ewidentnie nie podobało się wyznaczone mu zadanie. Mimo to wciąż popędzał ludzi, oglądając się często za siebie i czekając na powrót tylnej straży. Coś było nie tak. Opętani byli już tak blisko, że kolejne oddziały partyzantów wracały krótko po wyruszeniu. Poza tym ostatnim, który się spóźniał.

Świt przyniósł zimne deszcze, smagające zapamiętałe skaliste zbocza, lecz teraz chmury na niebie rzedły, odsłaniając miłe oczom Falka błękitne łąty. Lecz właśnie wtedy, gdy sycił się ich widokiem, ktoś krzyknął, celując

palcem w niebo, a chłopaka obleciał zimny strach. Zwróciwszy się we wskazanym kierunku, dostrzegł przyczynę paniki – wysoko nad kolumną płynął w powietrzu mroczny anioł, rzucając na wszystkich cień przerażenia.

Zbliżył się tylko, pomyślał Falko. Znam kogoś, kto zestrzelił cię z nieba.

Jakby słysząc wypowiedziane w myślach słowa, potwór wzbił się wyżej. Wypuścił się w góry na zwiad, zapewne na rozkaz swego pana.

Wciąż siedzący przed nim w siodle chłopiec wtulił się w Falka, a idąca obok matka przyłgnęła do ziemi, przygarniając do siebie pozostałą dwójkę dzieci. Falko zatrzymał konia. Pogłaskał chłopca po głowie i spojrzał na jego matkę.

– Nie bójcie się – powiedział. Kobieta wolno uniosła głowę, a Falko dostrzegł strach w jej oczach. – Wróg wie, że je kochasz. – Popatrzył na jej dzieci. – Uważa to za słabość, sposób na to, żeby złamać twoją wiarę. – Wrócił wzrokiem do kobiety, a w jego oczach zapłonął zielony płomień. – Niech będzie twoją siłą.

Kobieta zmarszczyła się, jakby ten władczy ton zbił ją z tropu, ale zaraz wyprostowała się powoli. Kiwnęła głową, a potem otarła oczy i gestem kazała dzieciom iść dalej.

– Zaczynasz przemawiać jak ja – powiedział głos i przy Falku pojawił się Symeon.

– Po prostu podsłuchiwałem, jak mówisz takie rzeczy – rzekł Falko, którego raptem ogarnęło zakłopotanie.

– Mówię, bo to prawda – rzekł Symeon z uśmiechem.

Jakiś czas jechali w ciszy. Mały Tarran zeskoczył z siodła, by wędrować razem z matką i rodzeństwem. Falko co chwila oglądał się za siebie, również wypatrując tylnej straży.

– Coś musiało się stać – powiedział. – Dawno już powinni wrócić.

Mag bitewny pokiwał głową, a potem zwrócił twarz w kierunku dowódców jadących od czoła kolumny.

– Co jest? – zapytał, gdy wryli konie obok niego.

– Niektórzy ze szlachciców uciekli – powiedział emisariusz. – Wśród nich Bellius Snidesson.

Falko rozdziawił usta, ale Symeon tylko pochylił głowę.

– Siedemnastu rycerzy i czterdziestu ich ludzi – dodał Morgan Saker.

Chłopak chciał coś powiedzieć, ale mag bitewny powstrzymał go gestem.

– Nie osądzajcie ich zbyt surowo. Inni zrobiliby to samo, gdyby mieli po koniu dla każdego swojego bliskiego.

Morgan Saker już miał zaproponować, gdy kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

Przede wszystkim w zasięgu wzroku pojawili się jeźdźcy z tylnej straży. Przedzierali się na przód kolumny, by rozmówić się z dowódcami.

– Demon depcze nam po piętach – wydyszał kapitan głosem przesyconym paniką. – Wróg zatrzymał się na chwilę i coś się wydarzyło, nie wiemy co, a potem ruszył naprzód szybciej niż kiedykolwiek.

Lord Cadell zaciął twarz, próbując zgłębić, co to może oznaczać, i wtedy zauważył, że kolumna się zatrzymała. Ludzie na drodze zaczęli oglądać się do tyłu. Jeden ze zwiadowców patrolujących szlak przybiegł do miejsca, w którym stali dowódcy z Symeonem.

– Co tam się wyrabia? – warknął lord Cadell, gdy zdyszany mężczyzna usiłował dobyć tchu.

– Wróg przed nami, panie. Droga zablokowana!

Falko przeskakiwał wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. Najwyraźniej Bellius dał nogę w idealnym momencie. Wróg nie tylko ich dogonił, ale też dokonał czegoś niespodziewanego – wyprzedził ich. Byli odcięci od miejsca, z którego miał przyjść ratunek.

Wiadomość w sitowiu



Jakim cudem nas wyprzedzili? – wykrzyknął lord Cadell. – Demon otworzył dla nich bramę – powiedział emisariusz, który miał już wcześniej styczność z tym zjawiskiem. – Jeśli jest dostatecznie potężny, może rozedrzeć tkaninę rzeczywistości i wysłać mały oddział żołnierzy z jednego miejsca do drugiego. Widocznie demon,

który nas goni, z biegiem czasu przybiera na sile.

Mieszkańcy Caer Dour wpatrywali się w niego w osłupieniu.

– Ilu ich jest? – spytał Symeon.

– Wystarczająco wielu, żeby nas zatrzymać – odparł emisariusz, wodząc wzrokiem po dalszej części traktu, gdzie kłębili się złąknieni ludzie.

– Ile mamy czasu, zanim dogodni nas demon?

– Trzy godziny, może mniej.

Zagrały mięśnie na szczęce Symeona.

– Czy damy radę się przebić? – zapytał niespodziewanie Falko.

– Być może – odpowiedział mu emisariusz. – Ale zanim tego dokonamy, wróg nas dogoni. A nie wolno nam dopuścić do tego, żeby Opętani dopadli nas na szlaku. – Pokręcił głową. – Nie. Mamy szansę na przetrwanie tylko wówczas, jeśli znajdziemy dogodne miejsce do obrony. Musimy żywić nadzieję, że utrzymamy się do przybycia pomocy.

Słowa emisariusza zmroziły krew w żyłach Falka. Tkwili uwięzieni w górach, wciąż nie wiedząc, czy jeźdźcy dostarczyli wiadomość do Toulwaru.

– Po drodze minęliśmy pewną dolinkę – przypomniał sobie jeden ze

zwiadowców. – Strome stoki, niski mur klifów, który byłoby stosunkowo łatwo obronić.

– Doskonale – rzekł emisariusz. – To będzie nasza twierdza.



Kapitan Reynald de Roche wodził wzrokiem po śladach na ziemi. Jakkolwiek by się im przyglądał, nie miały sensu.

– Tutaj koń się spłoszył – orzekł jeden z jego ludzi, mężczyzna imieniem Francois, jeden z najlepszych tropicieli w Toulwarze. Zastygł przychylny do ziemi, wskazując palcem rysunek kopyt na szlaku. – Tutaj szedł równo, widać, że niósł jakiegoś jeźdźca. – Podszedł kawałek dalej na zgiętych nogach. – Tutaj ziemia jest skopana, jakby doszło do upadku lub zderzenia. – Wyprostował się i pokręcił głową. – Z tym że jest tylko jeden trop i nic, co wskazywałoby na upadek. Od tego momentu ślad wygląda tak, jakby konia nikt nie dosiadał. Jakby zwierzę samo pobiegło w kierunku drzew. To nie ma sensu.

Kapitan wpatrywał się w skotłowaną ziemię. Potoczył wzrokiem po szlaku i utkwiał spojrzenie w ścianie lasu. Było tak, jakby jeździec rozpląnął się w powietrzu.

– Panie dowódco!

Obrócił się i zobaczył jednego ze swoich żołnierzy, zmierzającego w jego kierunku z brązowym skórzanym tubusem na zwoje.

– To leżało w trawie przy jeziorze – poinformował go mężczyzna, wręczając mu przedmiot.

Kapitan de Roche spojrział na nieruchomą taflę jeziora, po której pływały leniwie wodne ptaki. Następnie otworzył pojemnik i wyjął znajdujący się w środku zwój. Podał tubę żołnierzowi i zaczął czytać. W miarę gdy przemykał wzrokiem po kolejnych liniijkach pisma, jego brwi marszczyły się coraz bardziej, a twarz bladła.

– Kapitanie, co się stało? – domagał się odpowiedzi któryś z szaserów.

– Mieszkańcy Caer Dour – zaczął kapitan de Roche, zwijając wiadomość i wkładając ją do sakwy przy pasie – zostali zmuszeni do ucieczki w góry. Depcze im po piętach demon na czele armii Opętanych.

Mężczyźni obrzucili go niedowierzającym spojrzeniem. W ich rozumieniu

Opętani byli zagrożeniem tak odległym, że wręcz abstrakcyjnym, jakimś koszmarem, który dręczył dalekie krainy.

– Na koń! – warknął kapitan. – Ich los jest w naszych rękach.

Ostry ton dowódcy przełamał osłupienie żołnierzy, którzy natychmiast wykonali polecenie. Nie minęło kilka sekund, a już cwałowali szlakiem w kierunku Toulwaru. Ale nie ujechali zbyt daleko, gdy kapitan de Roche skręcił w mniejszy trakt, który powiodł oddział na południe.

– Kapitanie! – zawołał Francois, gdy gałązki zaczęły chlastać konie po nogach. – To nie jest najszybsza droga do miasta.

– Wiem – odkrzyknął de Roche.

Wcale nie jechał do miasta. Kierował się w stronę pewnego skalnego wzniesienia, na którym zatrzymywali się pewni „wizytujący wojownicy” i ich magiczne zwierzęta. Armia toulwarska nawet przy błyskawicznej mobilizacji z pewnością nie dotrze na czas do uciekinierów z Caer Dour. Potrzebowali pomocy – i potrzebowali jej natychmiast, a kapitan de Roche mógł tylko mieć nadzieję, że ten jego gambit się opłaci. Że osobę, o którą mu chodziło, znajdzie tam, gdzie właśnie podąża.

Tymczasem gdzieś za jego plecami w mrocznych wodach leśnego jeziora leżało twarzą do ziemi ciało młodej kobiety. Jej doczesne szczątki nigdy nie zostaną pochowane z należnymi honorami, lecz może jej dusza znajdzie pocieszenie, wiedząc, że wiadomość, za którą oddała życie, dotarła wreszcie do adresata.



Uchodźcy spływali wartkim strumieniem do okolonej stromymi stokami kotliny. Nie prowadziły z niej żadne ścieżki i tylko najzręczniejsi mogli liczyć na to, że uda im się pokonać przeszkodę, jaką przedstawiały niemalże pionowe urwiska. To będzie ich twierdza, jak powiedział emisariusz. Oby nie stała się grobem.

Przy wlocie dolina była dość równa, ale dalej zwężała się i lawirowała między seria niskich klifów. Było to dobre miejsce, by się okopać – pozwalało armii na zabarykadowanie wejścia do doliny i zapewniało ludziom względne bezpieczeństwo aż do ostatniej desperackiej chwili.

Blisko godzinę trwało przemieszczanie się ludzi do doliny. Falko patrzył,

jak za przerywanym murem klifów kryją się ostatnie rodziny z ogonka kolumny. Robił, co tylko mógł, by jakoś pomóc i przyspieszyć ten żmudny proces, choć zadanie szybko drenowało go z sił. Heçamedes dała mu mały słoiczek maści dla Tobiasa. Chłopiec całymi dniami był przywiązany do siodła i nabawił się bolesnych odleżyn. Specyfik uzdrowicielki miał złagodzić ból i wspomóc gojenie.

– Przynajmniej nie pada – rzucił Julius Merryweather, przyjmując od Falka pojemnik z maścią. Rubaszny szlachcic już oczyścił rany syna, a teraz, nie marnując czasu, zaczął wmasowywać w nie wonną maź.

Tobias podniósł wzrok, a Falko oblał się rumieńcem. Wcale nie chciał się gapić, tak jakoś wyszło. Chłopiec przyglądał mu się jakiś czas wodnistymi, ale dziwnie przenikliwymi oczami, a po chwili jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Mamidełko, ty się już lepiej czujesz.

Falko prychnął dyskretnie i odwzajemnił uśmiech.

– A ty jak się miewasz, Tobiasie? – spytał.

– Boli jak cholela – poinformował go chłopak, a potem wzdrygnął się, gdy ojciec trzepnął go w czoło.

– Co ja ci mówiłem o brzydkich wyrazach, synek? – zaśmiał się Merryweather, widocznie uradowany hartem ducha potomka.

Falko uśmiechnął się, widząc więź łączącą ojca z synem, lecz ten uśmiech nosił piętno smutku. Pomimo najlepszych chęci ojca Falko widział, że w niektóre rany wdało się zakażenie. Łypnął na Merryweathera, a wyraz twarzy szlachcica mówił wszystko.

Gdybyśmy tylko przeżyli dostatecznie długo, by Tobias mógł umrzeć w wyniku infekcji, rzuciło się Falkowi na myśl.

Dzień miał się ku końcowi. Pomimo wyteżonych starań wróg złapał ich w kleszcze. Byli uwięzieni w samym środku nieprzyjaznych gór; znikąd pomocy, znikąd ratunku. Musieli wytrzymać jak najdłużej, a w tym celu – za wszelką cenę utrzymać przy życiu Symeona. Dowódcy wyłożyli to swoim podkomendnym dobitnie i klarownie. Siedząc przy swoim panu, Falko przysłuchiwał się emisariuszowi, który rozmawiał teraz z rodzicami i starszymi osobami z Caer Dour.

Chevalier przykucnął w skupisku ludzi, chrzescząc kolczugą i skrzypiąc skórzanymi butami kawalerzysty. Ludzie zgromadzili się wokół niego,

z dala od tłumu, by dzieci nie słyszały, o czym rozmawiają dorośli.

– Armia będzie w stanie walczyć tak długo, jak żyje Symeon – poinformował ich emisariusz. – Jego obecność odpędzi strach. – Zrobił pauzę. – Ale Symeon nie jest już tak potężny jak dawniej. Zrobimy, co w naszej mocy, żeby go wesprzeć. Lecz jeśli polegnie...

Słowa zawisły w powietrzu, a ludzie spuścili wzrok na naostrzone noże, które im rozdano. Noże, którymi można zakończyć życie szybko i prawie bezboleśnie.

Emisariusz mówił dalej twardym, bezlitosnym tonem.

– Jeśli Symeon upadnie, koniec przyjdzie szybko. – Patrzył po kolei w każdą parę oczu. – Choćby nie wiadomo co się działo, nie wolno wam dopuścić do tego, żeby Opętani zabrali wasze dzieci. – Odczekał, by sens jego słów dotarł do słuchaczy. – Wróg będzie próbował wam w tym przeszkodzić. Wypełni wasze umysły obietnicami, będzie judził prośbą i groźbą. Nie wiercie w te kłamstwa. Jeśli Symeon zginie, zróbcie to szybko, zanim zawiedzie was odwaga.

Twarze rodziców były blade i ponure, lecz malowały się na nich także spokój i zdecydowanie. Zrobią, co będzie trzeba.

Nagle zahuczał róg i wszyscy poderwali głowy. Jeden z obserwatorów na skałach podniósł alarm. Wróg był w zasięgu wzroku.

Rodzice odszukali swoje dzieci, a Falko ruszył za Symeonem i emisariuszem do stojących w ordynku żołnierzy. Słońce chyliło się ku zachodowi. Ludzie wpili się wzrokiem w zachodnie niebo, gdzie gasło ostatnie światło dnia. W dali góry zarysowały się czarnym konturem na tle ciemniejszego błękitu, lecz poszarpana linia stoku drgała jak w skwarny letni dzień. Falko miał wrażenie, że rzeczywiście czuje gorąco na twarzy.

– To Opętani – rzekł Symeon, odgadując jego myśli. – Niosą ze sobą żar Hadesu.

W niebo za nimi dźwigał się nabrzmiały dysk księżyca. Jego blade światło lśniło w ciemnej stali, której nie wykuły ręce człowieka. Nawet wojownicy Caer Dour cofnęli się nieco na ten widok, ale nie stary ślepiec Symeon le Roy. Mag bitewny zrobił krok naprzód, a wraz z nim sir William Chevalier, emisariusz królowej Furii. Falko stanął u boku Symeona. Wiedział, że nie umie walczyć tak dobrze jak Malaki czy emisariusz, ale nie miał też zamiaru uciekać. Strach się go nie imał. Falko opanował go już

dawno.

Lord Cadell wystąpił naprzód, a wraz z nim sir Gerallt Godwin i inni. Obroncy zaczęli wolno zbliżać się do skraju niskich klifów. Falko nie opuszczał Symeona, gdy ten zajął pozycję pięćdziesiąt jardów za linią frontu. To stąd będzie walczył. Stąd będzie mógł otoczyć mentalną tarczą całą armię.

Gdy weteran znalazł się na ustalonej pozycji, emisariusz dosiadł konia.

– Bez nerwów, Tapfer – powiedział uspokajająco, gdy koń poruszył się pod nim.

Przysposobiony do wojny siwy perszeron wyczuł napięcie zapowiadające bitwę i dumna krew bojowego rumaka zawrzała w jego żyłach. Boki konia okrywała skórzana osłona, a jego głowę i kark – nagłówek i segmentowy kołnierz.

Plan był prosty – pozwolić Opętanym podejść, a potem zatrzymać ich na linii klifów. Nie były one zbyt wysokie. W niektórych miejscach ledwie odrastały od ziemi, lecz mimo to stanowiły dogodną pozycję obronną i lord Cadell miał zamiar wykorzystać jej możliwości w stu procentach. Lwią część sił skupił na najniższym opadającym odcinku i oflankował go oddziałami łuczników. Za nimi stała kawaleria podzielona na dwie grupy, które miały za zadanie błyskawicznie zareagować w razie przerwania szyku. Pozostali żołnierze zajęli pozycje wzdłuż linii wysokich klifów – cienka linia mieczy, tarcz i włócznie.

Obserwując rozstawienie armii, Falko zauważył Brynę Godwin, która dołączyła do brygady łuczników po prawej stronie. Wśród potężnych mężczyzn stojących na środku linii wypatrzył zaś opancerzoną postać Malakiego. Kował już miał nałożyć hełm, gdy raptem jakby wyczuł na sobie spojrzenie Falka. Obrócił głowę i napotkał wzrok przyjaciela. Dwaj młodzieńcy dzielili krótki, naznaczony rozpaczą moment, a potem Malaki skinął wolno głową i skrył twarz pod hełmem.

Falko nigdy jeszcze nie czuł się bardziej samotny i bezużyteczny. Spuścił głowę i popatrzył na swoje słabe, kościste ręce.

– Walczyć można na wiele sposobów – usłyszał.

Falko podniósł wzrok na Symeona.

– Idź do Fossetty – polecił mag bitewny. – Pokaż ludziom, że się nie boisz. To pomoże im bardziej, niż sądzisz.

Zdeprymowany Falko odwrócił się, ale Symeon wyciągnął rękę, by go powstrzymać. Jego zgrubiałe dłonie powiodły po rysach twarzy chłopaka, jakby mężczyzna chciał ją zapamiętać.

– Kocham cię, Falko Danté – wychrypiał starzec. – Tak jak twojego ojca. Kocham jak rodzzonego syna.

Falko spojrzał na zmasakrowaną twarz człowieka, który go wychował. Emocje ścisnęły mu gardło.

– Obiecuj mi, że pojedziesz do Furii – wyrzekł Symeon. – Obiecuj, że zrobisz to, jeśli dożyjesz świtu. Znajdź swoje miejsce na świecie, Falko. I dowiedz się, dlaczego musiałem zabić najlepszego człowieka, jakiego znałem.

Falko kiwnął głową i Symeon przygarnął go do serca.

– Nie trać wiary – wydyszał starzec. – Cokolwiek by się działo, nie trać wiary.

Falko mógł tylko trwać zatopiony w objęciach Symeona, a gdy starzec go wypuścił, odwrócił się od armii i ruszył do miejsca, w którym stali cywile. Znalazł Fossettę przy chorych i rannych na zachodnim skraju doliny, gdzie strzeliste klify wrastały w cielsko góry. Otarłszy oczy, siadł i słuchał, jak Julius Merryweather usiłuje odwrócić uwagę grupki dzieci od mającej się zaraz rozpocząć bitwy – opowiadał rozmaite zabawne historyjki, lecz Falko widział, że tym razem nawet wesoły szlachcic miał duszę na ramieniu i dzieci nie wydawały się przekonane.

Raptem zauważył, że w jego stronę idzie mały Tarran.

– Starsi chłopcy mówią, że nie przeżyjemy nocy – wyznał.

Falko podniósł wzrok i spostrzegł grupkę ludzi, którzy najwyraźniej czekali na to, co powie.

Przyciągnął do siebie malca.

– Bzdury opowiadają – rzekł. – Tak się składa, że Fossetta ma w plecaku gęsie jajo, trzy plastry boczku i soczystą brzoskwinę. Prawda, Fossetto?

Gospodyni uniosła cztery palce.

– Właściwie to cztery plastry – odrzekła uśmiechnięta.

– O, proszę! – podjął Falko. – Nie przegapiłbym takiego śniadania za żadne skarby świata.

Tarran rozchmurzył się, a ludzie wokoło poczuli się nieco lepiej. Falko potoczył wzrokiem po ciżbie i zatrzymał się na wpatrzony w niego

Heçamedes. Lśnienie jej ciemnych oczu wyrażało aprobatę.

Przez cały dzień próbowali uśmierzyć strach ludzi i cały dzień ten strach tylko się pogłębiał. Dopóki on, Falko, nie usiadł wśród nich. Był blady, chudy i słaby, wciąż nie było wiadomo, czy przeżyje infekcję płuc. Lecz przynajmniej teraz miał jakąś szansę.

Jest silny, pomyślała Heçamedes. Ma to po ojcu.

Przypomniała sobie, jak przybyła do Caer Dour z garstką uciekinierów ocalałych z wojny w Illicji. Była jeszcze wówczas dziewczynką, młodą uzdrowicielką, która napatrzyła się na najgorsze wojenne okropieństwa. Lud Caer Dour powitał przybyszów z otwartymi ramionami. Zaproszono ich, by zamieszkali tymczasowo w domu Eleanory Danté, żony szlachcica, który sprawiał wrażenie maga bitewnego. Jej cierpliwość i niewyczerpane współczucie pozwoliło Heçamedes pogodzić się z koszmarami, które mąciły jej sen. Wciąż pamiętała intensywne spojrzenie jasnozielonych oczu tej kobiety.

I łagodny, dodała w myślach, przypominając sobie tragiczne wydarzenia tej nocy, kiedy narodził się Falko. Jak jego matka.

Z wysokości pobliskiego klifu rozbrzmiały rogi. Ostatnie wezwanie do broni.

Falko wstał i ogarnął wzrokiem dolinę. Blask księżyca wydobył z mroku awangardę Opętanych, zbliżającą się gromadę mrocznych kształtów, sunących przez zapadającą noc i połyskujących czarną stalą. Niemal widział, jak rodzice za jego plecami przygarniają do siebie dzieci. Pomyślał o wszystkich nożach, które skrywali w kieszeniach i rękawach.

Rodzice zmuszeni do zamordowania swoich dzieci?

Falko zagryzł zęby. Nie mógł znieść tej myśli. A potem, zasłaniając Tarrana ciałem, wpatrzył się w pierwszą linię krocących naprzód Opętanych. W półmroku jego oczy zaśniły zielenią.

18

Opętani



Opętani szli naprzód z niespieszną nieuchronnością koszmaru, ale ci na przedzie stanowili jedynie przednią straż o wiele liczniejszej armii. Demon, który musiał już osiągnąć pełnię sił, jeszcze nie zstąpił do doliny.

Stojący wśród innych wojowników Malaki obserwował wyłaniającego się z mroku przeciwnika. Opętani robili wrażenie istot ludzkich, lecz on wiedział, że byli czymś więcej i zarazem czymś mniej niż ludzie. Zgubionymi duszami, osobami wyrwanymi z łona człowieczeństwa, ochrzczonymi na nowo w piekielnym ogniu.

Nosili pancerze Ferocji: napierśniki, okrągłe tarcze i odsłaniające twarze hoplickie hełmy, wszystko wykute z ciemnej stali z brązowym połyskiem. Sam wygląd ich zbroi intensywnie kojarzył się z okrucieństwem – jaśniały przytłumionym blaskiem, niby metal rozgrzany w kowalskim palenisku. Malaki czuł ten żar na twarzy. Rozejrzał się i poznał po niewyraźnych minach towarzyszy, że oni również.

Usiłował przełknąć ślinę, lecz raptem zaschło mu w ustach. Czuł, jak w jego trzewiach narasta strach, ale zdusił go, zaciskając z mocą szczęki. Jego ojciec nie poddał się przerażeniu i on też mu się nie podda. Drżącą ręką dobył miecza i poprawił uchwyt na tarczy, wielkiej i okrągłej, kryjącej go od ramienia do kolana. Niemalże podświadomie stanął w pozycji bojowej i zauważył, że wielu mężczyzn robi to samo.

Lord Cadell umieścił swoich najlepszych wojowników w środku szyku i Malaki do nich dołączył. Jeśli wróg zetknie się z pierwszą linią, skupią się przy Symeonie, formując wokół maga bitewnego żywą tarczę. Ich misją

było chronić go za wszelką cenę i Malaki był gotów poświęcić życie, byle tego dokonać.

Opętani byli coraz bliżej. W zimnym świetle księżyca kowal widział popielny odcień ich skóry poznaczonej czarnosinymi plamami. Po chwili dostrzegł ich oczy, przypominające kule utoczone z mokrej kości, polśniewające w półmroku złym blaskiem. Wiedzieli, że się boi, i ta wiedza dodawała im sił.

Malaki zorientował się, że jego towarzysze broni również to sobie uprzytomnili. Zaczynali rozumieć, z czym przyjdzie im się mierzyć. Jak mieliby z nimi wygrać? Czy to w ogóle możliwe?

Malaki obrócił się do Symeona, ale stary mag bitewny wydawał się zatopiony w skupieniu. Nagle starzec pochylił głowę, a w sercu kowala zakwitło dziwne wrażenie, jakieś światło, które rozlało się po jego ciele i wypełniło umysł. Poczuł, że strach z niego uchodzi. Zwrócił się twarzą do przeciwnika.



To właśnie była moc maga bitewnego. Symeon zwrócił żołnierzom nadzieję i odwagę, którą wróg chciał im odebrać. A potem gdzieś po swojej prawej stronie młodzieniec usłyszał głos emisariusza:

– Łucznicy, na mój rozkaz...

Malaki wstrzymał oddech. Opętani prawie już dotarli do stóp niskiego klifu. Sunęli naprzód z leniwą, lecz niezachwianą intencją. A potem nagle zerwali się do biegu. Kowal usłyszał, jak Chevalier krzyczy: „Strzelać!”, i grad strzał pomknął na spotkanie wroga.



Bryna Godwin śledziła wzrokiem strzałę, którą właśnie wypuściła

z palców. Trafiła jednego z Opętanych w klatkę piersiową, ale grot nie przebił się przez napierśnik. Drzewce poszło w drzazgi. W sekundę złapała za drugą, ale ręce tak jej się trzęsły, że nie mogła nałożyć jej na cięciwę. Pierwsza salwa spowolniła szturm, ale go nie zatrzymała. Wiele strzał dobiegło celu, groty wżarły się w ręce i nogi, ale Opętani wciąż parli naprzód.

W tym momencie Bryna Godwin nauczyła się dwóch rzeczy.

Po pierwsze, ból i rany to za mało, by powstrzymać Opętanych.

Po drugie, nie była nawet w połowie tak odważna, jak jej się wydawało.

Przez kilka rozpaczliwych sekund próbowała nałożyć strzałę na cięciwę. Kątem oka obserwowała wciąż skracających dystans Opętanych, którzy gramolili się na pochylony klif.

Wreszcie strzała stuknęła cicho, gdy cięciwa wsunęła się w rowek na końcu drzewca, i Bryna uniosła napięty łuk. I zobaczyła grupę Opętanych wspinających się w jej kierunku. Dwaj spadli ze skarpy, najeżeni strzałami, ale trzech nie dało się strącić. To byli skiryeci, lekka piechota ferockiej armii, zdolna przemieszczać się z zatrzważającą szybkością. Podnieśli na młodą dziewczynę wzrok tchnący przeraźliwym głodem. Strzała wymsknęła się Brynie z palców i pomknęła po półkolu w nocne niebo. Sięgnęła szybko po kolejną, ale jeden z Opętanych wpełzł na wąską półkę skalną blisko krawędzi klifu i Bryna zachwiała się w tył, gdy wróg spróbował skokiem pokonać ostatnie kilka stóp, jakie dzieliły go od łuczniczki.

Zza swoich pleców usłyszała sprężysty brzdęk cięciwy i skiryta spadł z klifu ze strzałą sterczącą z czoła. Dziewczyna obejrzała się przez ramię na Starego Reese'a, zasuszonego, jednookiego starca.

– Co tak sapiasz, dziecino? – powiedział głosem, który przywodził na myśl dawno nieoliwione zawiasy. – Wal w gębę albo gardło.

Wypuścił drugą strzałę i kolejny skiryta runął ze skały ze strzałą zanurzoną w krtani po pierzysko. Trzeci przełaził właśnie przez krawędź, gdy młody włócznie rzucił się naprzód i wyprowadził serię pchnięć, by zwalić napastnika w dół. Zadaniem włócznie było bronić strzelców, gdy Opętani zanadto się zbliżą.

– Ich da się zatrzymać, malutka – zaskrzeczał Stary Reese. – Trzeba jeno ciągiem strzelać.

Nie uśmiechał się. Nie wyglądał zbyt przyjaźnie, a mimo to Brynę tak bardzo pokrzepiły jego słowa, że sama się sobie dziwiła. Nadludzkim wysiłkiem uspokoiła oddech i nałożyła kolejną strzałę. Zaczęła szukać celu, gdy usłyszała krzyk młodego włócznika. Dwaj kolejni Opętani rzucili się naprzód i ucapili go za kostki.

Bryna odruchowo rzuciła łuk i pognała mu na pomoc. Złapała pierwsze, co jej się nawinęło pod rękę – ramię kamizelki i garść gęstych czarnych włosów. Znalazłszy się tak blisko Opętanych, czuła, jak przenika ją przerażenie. Wydawało jej się, że jej umysł stara się zdystansować od niebezpieczeństwa, że owija jej myśli miękką wełną. Do jej nozdrzy wdzierał się fetor ich gnijącego ciała. Wzdrygała się przed piekącym żarem, który od nich emanował. Czuła, że świat stacza się w rozdziawioną paszczę piekła.

I to była tylko straż przednia. Prawdziwe zagrożenie miało dopiero nadejść.

Stary Reese wyrósł przy niej jak spod ziemi, wyszarpnął z za pasa długi nóż i zaczął rąbać nim Opętanego. Prawie już odciął mu ramię, gdy ferockie ostrze wbiło się w jego brzuch. Starzec zarzęził i spadł z krzykiem za krawędź klifu. Owładnięta strachem Bryna walczyła z całych sił, by nie puścić włócznika. Jakaś część jej umysłu krzyczała, by to zrobiła, by uciekała, nim ona też poczuje, jak gorące ostrze wsuwa się w jej ciało, ale nie mogła, po prostu nie mogła. Myśl, że Opętany miałby wciągnąć tego człowieka prosto w kłębowisko podobnych istot, zanadto ją przerażała. Słyszała desperackie błaganie włócznika, widziała, jak zawzięcie próbuje się wyrwać.

Bryna szarpnęła z całych sił, lecz właśnie w tym momencie Opętany pociągnął młodzieńca na ziemię i ten zniknął za krawędzią. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła Bryna, był wyraz przerażenia w jego oczach. A potem już go nie było.

Czyjeś ręce odciągnęły dziewczynę znad krawędzi, kolejni włócznicy rzucili się, by odbić ten odcinek klifu z rąk Opętanych, lecz było już za późno. Bryna spojrzała na swoje dłonie. W prawej wciąż ścisnęła krwawą kępkę czarnych włosów. Raptem poczuła się niewyraźnie, jakby była nieobecna. Odpełzła poza zasięg bitwy. Słyszała za sobą gwar i harmider walki, szcęk stali, wycie wrogów i wrzaski bólu. Bitwa dopiero się zaczęła,

ale ona miała już dość.

Bryna Godwin skuliła się w cieniu wielkiego kamienia i zaczęła płakać.



Malaki tak bardzo nie mógł się doczekać bitki, że brało go na mdłości. Po obu stronach widział żołnierzy, którzy próbowali nie dopuścić do wdrapania się wrogów na klif, lecz Opętani wydawali się unikać miejsca, gdzie stał Symeon. Tocząc wzrokiem po linii obrony, Malaki widział miejscami gęste skupiska atakujących masowo Opętanych. Łucznicy po jego prawej stronie mocno dostali w skórę. Malaki wychylił się, mając nadzieję, że uda mu się wypatrzeć w kłębowisku ludzi Brynę Godwin.

– Utrzymać szyk! – zawołał jeden z mężczyzn obok niego i kowal dopiero wówczas zorientował się, że wyszedł z ordynku. Należycie obsztorcowany, łypnął przez ramię na Symeona, ale jego brwi wciąż były ściągnięte w koncentracji, a głowa poruszała się w przód i w tył, jakby wyczuwał jakieś nowe zagrożenie.

Wtedy znienacka Opętani przestali walczyć i wycofali się z klifów, znikając jak zjawy w zimną księżycową noc.

Malaki podążył wzrokiem za nimi i w głębi kotliny dojrzał rozlany po znacznym obszarze cień, w którego sercu trwała skupiona jeszcze czarniejsza, nieprzenikniona ciemność. A więc to tam znajdował się powód, dla którego porzucili swoje domy. To tam czaiło się ucieleśnienie całego zła, które groziło rodzajowi ludzkiemu.

Demon z siódmego kręgu piekła.



Jeszcze zanim ciemność pojawiła się w dolinie, Falko wyczuł, że demon się zbliża. Stał nieco wyżej i dostrzegł rozstawioną po klifach armię, przestępującą z nogi na nogę, oglądającą się za siebie, by sprawdzić, czy czasem nie wydano rozkazu do odwrotu.

Falko uważał, że to żałosne.

Wiedzieli, że ich bliscy stoją twarzą w twarz z wiecznym cierpieniem,

a mimo to nie mieli odwagi, by ich ratować. Może byli godni pożałowania, lecz nie osamotnieni. Po dolinie roztaczało się nieuchwytne lśnienie obecności Symeona. Choć może armia nie zdawała sobie z tego sprawy, cała była w nim skąpana, w nim zanurzona.

Falko wpatrzył się w starego maga bitewnego, człowieka, który był mu zarówno panem, jak i ojcem. Zachodził w głowę, skąd tyle siły w przygiętym do ziemi ciężarem lat, kalekim starcu. Obejrzał się na ludzi za sobą – na chorych i rannych, na kobiety i dzieci. Ich również Symeon otoczył płaszczem wiary. Nie rozumieli, co się właściwie dzieje, a jednak czuli się pokrzepieni.

Mają w swoich szeregach maga bitewnego. A więc jest nadzieja.



Demon zatrzymał się u wlotu doliny. W jego oczach świat człowieka był kruchy i skażony słabością, stanowił jedynie cienką fasadę. Dopiero za nią znajdował się ten prawdziwy świat, z którego on sam się wyrodził. To miejsce należało splugawić, wypełnić je po brzegi cierpieniem i rozpaczą. To była jego misja, proste zadanie do wykonania.

Osiągnięcie celu opóźniała tylko jedna dusza, która nie drżała ze strachu przed jego potęgą. Tam, pośród kłębowiska opancerzonych ciał, znajdował się Przeciwnik. Jedyne w świecie ludzi, który mógł rzucić wyzwanie władcy Opętanych.

Demon zatrzymał się, powściągnął na chwilę szaleńczy apetyt swoich sługusów. Stał, badając siłę wroga. A potem się uśmiechnął.

Przeciwnik był stary i słaby; był zaledwie cieniem swojej minionej potęgi.

Gdy demon się uśmiechnął, jego wykrzywiona diabelska twarz zaczęła przypominać pysk obnażającego kły zwierzęcia, a nie oblicze tchnące przyjemnością. Gdy się uśmiechnął, z jego potężnych szczęk skapnęła kropla czarnej śliny. Gorąca, szorstka skóra odsłoniła kły, które lśniły jak polerowany ołów, choć były twardsze od hartowanej stali.

Gdy się uśmiechnął, jego armia ruszyła naprzód.



Symeon odetchnął z ulgą, gdy poczuł, że demon odwrócił wzrok. Spożytkował całą swoją siłę, by ukryć swą prawdziwą potęgę przed piekielnym umysłem potwora, by pozwolić mu myśleć, że jest stary i słaby. Wkrótce stwór przekona się o swojej pomyłce i kto wie, może ludowi Caer Dour uda się przekuć ją w sukces. Demon był przeraźliwie silny, zarówno fizycznie, jak i mentalnie. Nie dziwne, że przebił się przez illicyjską linię obrony.

Symeona naszła potrzeba, by zwrócić się na zachód, poszukać na szlaku odsieczy, która może przyjdzie, a może nie. Zacisnął zęby, odpędzając pokusę. Musi pogrzebać tę nadzieję. Demon uzna to za słabość i będzie miał rację.

Teraz on był jedyną osobą zdolną uratować swoich ludzi.



Falko patrzył, jak ktoś prowadzi Brynę do chorych i rannych. Czuł się głęboko zasmucony widokiem jej złamanego ducha. Taka dzielna dziewczyna przemieniona w drżący kłębek nerwów. Próbował się nie gapić, gdy Heçamedes sadzała ją z troską przy ogniu.

– Zostań tu – poleciła uzdrowicielka. – Znajdę ci coś do picia.

Falko już miał odwrócić głowę, gdy zobaczył, że podbiega do niej mały Tarran z przyjacielem. Chłopiec, z którym Falko dzielił siodło, trzymał łuk Bryny, a jego kolega – kołczan pełen strzał.

Tarran położył krótki łuk na jej kolanach. Kołczan spoczął przy jej nodze. Bryna spojrzała na broń, jakby widziała ją po raz pierwszy. Przeskoczyła wzrokiem do kołczanu, nim popatrzyła na dwóch chłopców. Miała nieobecny wyraz twarzy, a gdy skupiła spojrzenie na małych towarzyszach, zaczęła płakać.

Młodszy z chłopców nie poradził sobie z tym i uciekł, ale Tarran zrobił krok naprzód i położył Brynie rękę na kolanie.

– Już dobrze, proszę pani – powiedział. – Armia Toulwaru już idzie nam z pomocą.

Płacz Bryny nie ustawał, a przekonanie na zaciętej twarzy Tarrana zaczęło się jakby rozplýwać. Stał niepewnie przy dziewczynie, dopóki nie pojawiła się przy nim Fossetta.

– Idź do mamy – powiedziała, obracając go delikatnie i popychając naprzód. Jeszcze chwilę patrzyła za nim, a potem jej wzrok spoczął na Falku, który wyglądał po prostu strasznie.

– A ty lepiej trochę odpocznij.

Falko kiwnął głową. Czerpał wielką satysfakcję z pomagania innym, ale wciąż był bardzo słaby i dręczył go ból w piersi i ramieniu. Odwróciwszy się od Bryny, spojrzał na zachód. Jego wzrok ślizgał się po zboczu klifu i Falko zapatrzył się w kierunku Toulwaru. Zastanawiał się właśnie, czy Tarran mógł mieć rację, gdy nagle noc rozdarł na strzępy przenikliwy krzyk.

– Mroczny anioł – wyszeptała Fossetta, patrząc w niebo.

Nie widzieli piekielnego pomiotu, ale nic innego nie mogło tak krzyczeć. Z ciemności za linią klifów odpowiedział mu gromki ryk, który zatrzęsł ziemią pod ich stopami. Demon rzucił im wyzwanie. Zaczęła się bitwa o wszystkie dusze Caer Dour.

19

Symeon



Opętani natarli niczym mroczna fala stali i gnijącego mięsa. Na przedzie gnali lekkozbrojni peltaści. Uzbrojeni w krótkie oszczepy i długie noże wojownicy pełnili w ferockiej armii rolę harcowników. Wyroili się jak plaga robactwa, poruszając się po klifach prędkimi zrywami. Tempo ich natarcia zaskoczyło obrońców Caer

Dour, ale nie ustąpili im pola.

Peltaści uderzyli na nich z całą zaciekłością i wielu wojowników zginęło w ciągu sekund, ale szyk wytrzymał. Po nich nadeszli żołnierze stanowiący trzon ferockiej armii, czyli skirycci. Zbliżyli się do przeciwnika z uniesionymi tarczami, broniąc się w ten sposób przed gradem strzał. Opętani zostali wyzuci z człowieczeństwa i ograbieni z wolnej woli, ale nie byli bezmyślni. Kontrolował ich demon, który choć zły do szpiku kości, był też niezwykle przebiegły. Skirycci błyskawicznie pokonali klify i dwie armie zderzyły się z dzikim łoskotem. Walka zaczęła się na poważnie, a Malaki był w samym jej sercu.

Nawet nie pamiętał, kiedy stracił hełm. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać, bo jeden z Opętanych zamierzył się na niego nożem. Malaki okręcił się, unikając ostrza wymierzonego w jego zębra. Zasłonił się tarczą przed drugim uderzeniem, które spadło na niego z góry. Dwaj skirycci naparli na niego z mocą, Malaki potknął się o nierówność skalnego podłoża i zachwiał niebezpiecznie. Odbił kilka ciosów, ale Opętani parli naprzód. Młody kowal stracił równowagę i upadł ciężko na ziemię, a jeden ze skiryków wylądował na nim.

Upuściwszy miecz, Malaki znalazł się w potrzasku pod własną tarczą, która oddzielała go od mierzącego w jego pierś skiryty. Twarz przeciwnika znalazła się zaledwie kilka cali od niego, wykrzywiona morderczo nad okutą krawędzią tarczy. Drugi wojownik, wciąż trzymający się na nogach, zamierzył się na odsłoniętą głowę Malakiego.

Malaki rzucił się na bok. Klinga Opętanego skrzesła iskry na skałach przy jego uchu. Młodzieniec złapał za rękę wciąż leżącego na nim skirytę. Raptem dotarło do niego, jak wielkie ciepło emanuje od przeciwnika. Zorientował się też, że im bardziej rośnie jego strach, tym bardziej narasta żar. Ogarnęła go panika, całe jego doświadczenie bojowe wyparowało z niego w jednej chwili. Wtedy znikąd pojawił się okuty buciur, który jednym celnym ciosem w twarz zrzucił przeciwnika z Malakiego. Kilka osób odepchnęło od niego drugiego Opętanego i kowal podniósł wzrok na stojącego nad nim wielkiego mężczyznę. To był Marcus, człowiek z pierwszej tylnej straży, ten, który pogardzał Falkiem.

– Spróbuj utrzymać się na nogach – doradził mu przyjaciel jego ojca. Potem wcisnął mu miecz z powrotem do ręki i zniknął w bitewnej gęstwinie z dwoma innymi wojownikami u boku.

Dookoła wrzała walka, a Malaki przez chwilę po prostu stał nieruchomo. Nie tak wyobrażał sobie bitwę. To nie był konkurs umiejętności. To był chaos. Brały go mdłości, zbierało mu się na płacz, a przede wszystkim po prostu czuł się jak bezradne dziecko. Jak mały chłopiec w ciele mężczyzny.

Wówczas jednak zobaczył, jak stojący zaledwie kilka jardów dalej żołnierz upada na ziemię z udem rozoranym nożem Opętanego. Wojownik opuścił gardę i już miał rozstać się z życiem, gdy jakimś cudem Malaki pokonał dystans między nimi i uniósł tarczę, by zablokować uderzenie. Nie pamiętał, by w ogóle poruszył nogami, ale szcęk klingi Opętanego o jego tarczę przełamał ośpienie i ściągnął Malakiego z powrotem na ziemię.

Jednym płynnym ruchem odepchnął ostrze tarczą, a mieczem wykonał szerokie poziome cięcie, które zarysowało pancerz skiryty. Ten zamachnął się mieczem, ale Malaki z rozmachu kopnął go w kolano i zmiażdżył mu krtań krawędzią tarczy. Opętany warknął z bulgotem, gdy miecz Malakiego wżarł się w bok jego szyi.

Czarna posoka chlusnęła w powietrze i Malaki w ostatnim momencie zamknął oczy, nim żrący płyn zbryzgał mu twarz. Splunięciem oczyścił

wargi z krwi i spojrzął z góry na mężczyznę, którego właśnie uratował.

Zdumiony wojownik wpatrywał się w niego.

Zimne światło księżyca odbiło się w brązowych oczach Malakiego, gdy spotkały się ich spojrzenia. Bok twarzy kowala spływał ciemną, oleistą krwią. Drugi płonął jasnoczerwonym znamieniem, które kiedyś było jego przekleństwem. Sięgnął do rannego mężczyzny i pomógł mu wstać.

– Idź do uzdrowicieli – polecił.

Wciąż wpatrzony w niego wojownik pokiwał tylko głową i utykając, ruszył we wskazanym kierunku.

Malaki już chciał wrócić do walki, gdy dźwięk rogów wezwał jego oddział do manewru obronnego. Mężczyźni w pierwszej linii z mozołem zamknęli szyk, gdy tymczasem gwardia skupiona wokół Symeona ustawiła się w formację defensywną przed magiem bitewnym. Malaki zauważył, że stoi ramię w ramię z Marcusem.

– Co się dzieje? – spytał starszego mężczyznę.

– Kardakowie – objaśnił Marcus. – Ciężka piechota. Demon próbuje przedrzeć się do Symeona.

Malaki pokiwał głową, zdumiony swoim własnym spokojem, tymczasem Marcus lustrował go wzrokiem. U jego boku nie stał już dobrotliwy chłopak z kuźni.

To był mężczyzna z Caer Dour. I to silny jak byk.



Falko potrzebował odpoczynku, ale nie mógł oderwać oczu od walki. Widział rozmazane błyski błękitnego światła w miejscach, gdzie magowie usiłowali wspomóc wojowników, ale ich czary nie zdały się na wiele w bitwie i równa linia obrony zaczęła się coraz bardziej wyszczerbiać, gdy małe oddziały Opętanych przedzierały się za krawędź klifów.

Widok przejmował go przerażeniem. Mimo to Falko rwał się do bitwy, choć sama myśl o stanięciu oko w oko z Opętanym przyspieszała rytm jego serca. Ogarnęło go jakieś oszołomienie, nogi ugięły się pod nim. Upadłby, gdyby nie podtrzymała go Fossetta.

– Chyba kazałam ci odpocząć – powiedziała, prowadząc go do posłania. – Zostań tu i postaraj się przespać.

Wycieńczenie owładnęło jego ciałem, lecz gdy się kładł, zauważył jakieś poruszające się kształty na klifach nad swoją głową. Podniósł się na łokciu.

– Co tam jest? – spytała Fossetta, podążwszy za jego spojrzeniem.

W świetle księżyca ujrzeni w górze postacie usiłujące wydostać się z doliny. Wspinaczka była zdradliwa, ale znalazłoby się wielu zręcznych młodzieńców, którym mogła się udać. Niektórzy prawie już dotarli do szczytu, wznoszącego się na blisko sto stóp.

– Głupcy – westchnęła Fossetta.

– Trudno ich winić – stanął w ich obronie Falko. – Może choć kilku z nich wdrapie się na samą górę.

Na ich oczach dwie kolejne osoby zaczęły się wspinać. Falko rozpoznał jedną z nich i jak można się było domyślić, Fossetta również.

– Tarran! Tarran Dahoolie! Złaż mi stamtąd, ale już!

Gospodyni pognęła do stóp klifu i złapała chłopca za kostkę, zanim zdążył wzbić się poza zasięg jej ramion.

– Matka wie, co ty tu wyczyniasz?

Tarran zwiesił głowę.

– Tak też myślałam – skonkludowała Fossetta, wciąż trzymając go za rękaw.

– Ale inni już są bezpieczni – wymamrotał gniewnie chłopiec.

Cała trójka spojrzała w górę. Tarran nie kłamał. Czterej chłopcy już prawie stanęli na szczycie. Od wierzchołka dzieliło ich może kilka stóp, gdy Falko poczuł, że na jego serce padł czarny cień.

Chwilę później prawdziwy cień przemknął po skalnym zboczu.

– Anioł! – zawołał ktoś i nagle uwaga wszystkich skupiła się na klifach i na potwornej postaci, która mknęła w ich kierunku.



Bryna usłyszała krzyki, ale zdawało jej się, że dochodzą gdzieś z bardzo daleka. Nie miała pojęcia, jak to się stało, że znalazła się wśród ludzi, którzy rozmawiali przyciszonymi głosami i jęczeli z bólu. Jej łuk i kołczan leżały u jej stóp, a w dłoni wciąż trzymała kępę zakrwawionych włosów. Poczowała przyływ wstrętu i pomyślała o tym, by je wypuścić, ale nie mogła się zebrać.

– Mroczny anioł!

Krzyk podniósł się znowu i Bryna tym razem musiała unieść wzrok. Ludzie wokół zrywali się na równe nogi i pokazywali palcami górujący nad nimi klif. Gdy jej oczy przyzwyczyły się do mroku, dostrzegła wysoko nad ziemią uczepione skały ludzkie sylwetki. A potem jeszcze jedną wiszącą na nocnym niebie, skrzydlatą, mroczną i przerażającą, i żadną miarą nie ludzką.

Niczym we śnie patrzyła, jak mroczny anioł frunął w kierunku klifu i szponami oderwał od ściany jedną postać. Trzymał ją przez moment w powietrzu, a potem puścił i pozwolił opaść ku ziemi. Po drodze chłopiec zahaczył o skały i stoczył się po nich na sam dół, bezwładny i wiotki jak szmaciana lalka.

Martwe ciało piętnastolatka zatrzymało się zaledwie dwadzieścia stóp od Bryny. Jego ubranie było podarte, a ramiona i nogi wygięte pod nienaturalnymi kątami, twarz jednak pozostała nietknięta, jeśli nie liczyć jednej strużki krwi biegnącej ukośnie przez czoło.

Bryna potrzebowała chwili, by się zorientować, że chłopiec nie żyje.

Wtedy rozbrzmiał kolejny krzyk i Bryna poderwała wzrok. Anioł oderwał od skały kolejną osobę, a następnie cisnął nią w dół. Pozostali chłopcy zaczęli się gorączkowo cofać, rozpaczliwie usiłując zejść z klifu, zanim zrzuci ich z niego anioł.

Bryna spojrzała na swoje ręce i niemal z czułością umieściła zakrwawione włosy w kieszeni kamizelki.



– Światłości, broń nas! – łkała Fossetta, która nie wytrzymała widoku mordowanych dzieci. Złapała mocno Tarrana i wcisnęła jego twarz w fartuch, by oszczędzić mu dalszych okropieństw.

Falko zagryzł zęby tak mocno, że zaczęły go boleć mięśnie żuchwy. Choć był słaby, zaciskał z furią bezradne pięści. Tak jak innym, boleśnie doskwierała mu świadomość, że absolutnie nic nie może zrobić. Patrzył, jak mroczny anioł zbliża się do kolejnej ofiary. Młody chłopak schodził z klifu na złamanie karku, ale było jasne, że nie zdoła wymknąć się latającemu potworowi.

Kreatura rozcapierzyła szpony i już miała pochwycić chłopca, gdy nagle coś wbiło się w jej bok, kilka cali poniżej przegubu skrzydeł. Z przeszywającym wrzaskiem stwór odbił od niedoszłej ofiary. Wisząc w powietrzu, anioł obrócił głowę ku ludziom zgromadzonym u podstawy klifu. Jego ślepia skupiły się na czymś – lub na kimś – i stwór zaryczał przeraźliwie. Ten ryk brzmiał jak obietnica bólu i cierpienia, lecz zanim anioł zapikował, kolejna strzała wbiła się w jego pierś.

Stwór zawył, lecz tym razem był to wrzask bólu. Próbował odlecieć, ale następna strzała pokrzyżowała mu plany. A potem jeszcze jedna.

Anioł zwinął się w powietrzu i opadł na ziemię, bezładnie trzepocząc popielatymi skrzydłami.

Zaległa cisza. Falko odwrócił się w stronę stojącej dwa jardy za nim Bryny Godwin, która trzymała łuk w ręku z kolejną strzałą na cięciwie.

Powoli podeszła do nich. Skinęła lekko głową, a potem spojrzała na Tarrana, który wciąż stał z twarzą zatopioną w fartuchu Fossetty. Chłopiec wolno odwrócił głowę, a Bryna dotknęła dłonią jego mokrego od łez policzka.

– Nie martw się – powiedziała. – Armia Toulwaru już idzie nam z pomocą. – W jej głosie próżno było szukać zartobliwego tonu. Było tak, jakby nie pamiętała, że Tarran pocieszył ją wcześniej dokładnie tymi samymi słowami. Spojrzała mu w oczy, zmierzwiła włosy i pobiegła z powrotem, by rzucić się w kocioł bitwy.



Gdy w szyku żołnierzy skupionych wokół Symeona zaświeciły pierwsze wyrwy, do akcji wkroczyła kawaleria. Opętani wbili się klinem w linię wojowników po prawej ręce maga bitewnego, ale dowodzeni przez emisariusza konni znaleźli się w idealnym miejscu, by zaraz pospieszyć im na spotkanie. Z impetem wparowali w szeregi wroga i zepchnęli Opętanych w dół, dając piechocie sposobność na załatanie ubytków w szyku i przegrupowanie. Emisariusz wydał rozkaz do odwrotu, gdy usłyszał ponad zgiełkiem bitwy dźwięk rogu.

Określił konia i wbił wzrok w Symeona. W chłodnej poświacie księżycy ujrzał zbity szwadron mrocznych wojowników, maszerujących prosto na

starego czarodzieja. Byli to kardakowie, brygada szturmowa Ferocji, za nimi zaś widać było górującą nad swoją armią potworną postać odzianą w mrok i palący żar.

Demon włączył się do ataku.

Emisariusz spojrział na masę płynących naprzód czarnych wojowników. Nawet zakuci w zbroje płytowe obrońcy Symeona nie mogli mierzyć się z taką potęgą. Potrzebowali wsparcia konnicy.

– Kawaleria, do mnie! – przekrzyczał tumult Chevalier. – Lansjerzy, formować szyk!

To niesamowite, pomyślał Malaki, jak błyskawicznie zareagowali jeźdźcy, w ułamku chwili utworzyli idealną formację, gotowi do ponownego natarcia. Dowódca poprowadził ich naprzód, ale powoli. Czekał, aż kardakowie wespną się na zbocze. W oddali widział kawalerię pod wodzą lorda Cadella, tworzącą własny szyk na lewej flance. Oni również musieli dostrzec nowe zagrożenie. Emisariusz pozwolił sobie na skrzywienie warg w ponurym uśmiechu.

Jeśli uda im się wziąć kardaków w kleszcze...

Uniósł miecz i dał rozkaz do natarcia. Sto koni ruszyło naprzód, gdy z przeciwnej strony doliny nacierała na wroga druga setka.



Malaki wpił się wzrokiem w kardaków, którzy zajadłe walczyli o każdy jard skalistego zbocza, byle tylko wdrzeć się na szczyt. Dokonawszy tego, puścili się pędem prosto na Symeona. Okuci w czarny pancerz olbrzymi wojownicy przebili się przez lżej opancerzonych żołnierzy w pierwszej linii, ale istniał powód, dla którego do gwardii Symeona powołano takich, a nie innych żołnierzy. Byli najwięksi i najsilniejsi, mieli najlepsze zbroje, jakie wykuto w Caer Dour. Nie dadzą się Opętanym tak łatwo – a Malaki stał wśród nich. Znalazł się w gronie bardziej od niego doświadczonych wojowników. Przełknął ślinę, widząc maszerujących naprzód kardaków. Ścisnął mocno tarczę i miecz. Liczebność i rozmiary wroga nie miały znaczenia. Liczyło się tylko to, że był to wróg. Malaki stawi mu czoła.

Poczuł na plecach podmuch wiatru, jakby wokół Symeona rozkręciło się tornado. Obejrzawszy się, dostrzegł stojącego na swojej pozycji maga

bitewnego z mieczem w lewej ręce i z prawą dłonią zaciśniętą w pięść tak mocno, że aż drżała. Zmarszczył brew, zawarł mocno powieki. Całe jego ciało było napięte. Wiatr burzył włosy, które otaczały jego głowę rozwichrzoną aureolą, jakby wydobywał się spod ziemi u jego stóp. Odwracając wzrok, Malaki raptem zrozumiał, jak niebezpiecznym człowiekiem może być wciąż niepozorny starzec Symeon. Mag gromadził energię, którą planował następnie wykorzystać.

Malaki nie miał już czasu, by podziwiać maga w akcji. Ława kardaków prawie już zetknęła się z jego oddziałem. Ledwie zdążył przygotować się na uderzenie, gdy powietrzem wokoło wstrząsnął dziki łoskot i zgrzyt oręża. Przyjął na tarczę cios masywnego miecza. Drżenie przeszło jego ciało i poraziło nerwy, ale Malaki utrzymał się na nogach. Sekwencja potwornie ciężkich ciosów prawie powaliła go na kolana, lecz zebrał się w sobie i utrzymał równowagę.

Włożył całą swoją siłę w potężny cios od góry.

Miecz trafił kardaka w okrytą hełmem głowę. Malaki nie upuścił krwi przeciwnikowi, ale z pewnością oszołomił go na chwilę, nie tracąc więc czasu, poprawił krawędzią tarczy w przednią część hełmu, a potem trafił mieczem w nogę. Kardak zakołysał się, gdy coś w jego kolanie puściło z chrzęstem, a wówczas Malaki wraził mu klingę w szczelinę między hełmem a kołnierzem napierśnika. Potężny wojownik padł u jego stóp, ale Malaki zaraz musiał odskoczyć do tyłu, gdy w jego miejsce wyrósł jak spod ziemi kolejny olbrzym.

Tymczasem ochroniarze Symeona zaczęli oddawać przeciwnikowi kolejne jardy skalistej ziemi i wyglądało na to, że nie ma sposobu, by temu zapobiec. Pomimo szaleńczej intensywności natarcia kardaków Malaki wciąż bronił się z całych sił, ale w końcu mroczne ostrze przedarło się przez jego gardę i drasnęło boleśnie skroń. Gdy Malaki zachwiał się w tył, wydało mu się, że słyszy rozkaz: „Cofnąć się na flankę!”, ale był zbyt oszołomiony, by mieć pewność. Wątpliwości rozwiały się, gdy czyjaś ręka chwyciła go za zbroję i odholowała na bok.

Walcząc o równowagę, młody kowal okręcił się i zobaczył, jak gwardziści Symeona cofają się od krawędzi klifu i rozchodząc na boki, zajmują pozycje po lewej i prawej stronie odsłoniętego maga. Kardakom udało się do niego przepchnąć i teraz na ich drodze nie stał już ani jeden obrońca. Malaki

wycisnął krew spod powiek i rzucił się naprzód, ale wtedy jakaś ręka złapała go mocno za ramię.

– Utrzymać szyk! – wydarł mu się ktoś do ucha, ale Malaki nie mógł znieść widoku wystawionego na atak starca. Wyrwał się i już miał zaatakować, gdy Symeon wyrzucił przed siebie rękę i w ciżbę Opętanych uderzyła potężna kula energii. Eksplozja rozrzuciła zakutych w stal kardaków po okolicy, jakby nic nie ważyli, a pośród ich szeregów zaświeciła wielka łysina.

– Teraz! – padł rozkaz tuż nad jego uchem i wojownicy jak jeden mąż runęli na Opętanych, oszołomionych atakiem i przetrzebionych magicznym uderzeniem. W tej samej chwili obydwie skrzydła konnicy zamknęły się, uderzając w nich z obu stron.

Malakiego poniósł pęd szarzy, choć nie bardzo miał pojęcie, co się właściwie dzieje. Był wprawnym wojownikiem, ale nigdy jeszcze nie stanął w szeregu armii, nie spędził ani godziny na wojskowych dryblach i nie ćwiczył walki pod kątem bitwy w ścisłości i chaosie. Starsi towarzysze zareagowali natychmiast na rozkazy dowódcy, tymczasem Malaki czuł się tak, jakby tańczył, nie znając kroków.

Mimo to dwustronne natarcie wojowników Caer Dour zatrzymało kardaków i teraz wszystko wskazywało na to, że szale przechyła się na korzyść drugiej strony, lecz Malaki nie miał czasu, by się tym nacieszyć, gdyż raptem uprzytomnił sobie, że ponad klify wznosi się złowroźny cień. Na żołnierzy skupionych przy krawędzi naparła nowa fala strachu. Malaki ujrzał, że coś frunie ponad głowami pogrążonych w bitwie żołnierzy. Pochwyił wzrokiem jedynie rozmazany kształt i potrzebował chwili, by zrozumieć, co właściwie zobaczył. Była to górna połowa mężczyzny, pozbawiony nóg korpus o rozmachanych bezwładnie ramionach, koziółkujący w powietrzu i wlokący za sobą warkocz krwi.



Skoordynowane natarcie kawalerii niemal doprowadziło do podzielenia szwadronu kardaków na dwie części. Emisariusz znajdował się w samym oku cyklonu. Ujrzał kątem oka, jak jeden z jego rycerzy spada na ziemię, gdy jakaś siła dosłownie ścięła z nóg jego wierzchowca. Odnieśli straty, ale

udało się – ofensywa ferockich szturmców załamała się i teraz to lud Caer Dour był górą. Ale radość nie trwała długo. Oto potężna czarna postać weszła na klif i cała nadzieja zgasła jak świeca na wietrze.

Demon mierzył dziesięć stóp wzrostu, stał wyprostowany na dwóch koźlich nogach o wygiętych w drugą stronę kolanach. Jego potężny tors przypominał ludzki, a czerwonawy blask płonącego w nim żaru podkreślił w mroku rysunek naprężonych mięśni. Łeb budził skojarzenie z głową byka o dwóch zakrzywionych ku dołowi rogach, a zęby przypominały wyszczerzone kły wściekłego psa. Srebrzyste ślepie lśniły jak roztopiony ołów.

Owładnięci strachem wojownicy z pierwszej linii przyrośli do ziemi i chłonęli wzrokiem potwora z samych głębi podziemnego świata. Emisariusz wpatrywał się w demona, zmagając się z potężniejącą falą przerażenia. Wprawdzie widział już wcześniej ferockie demony, ale surowa potęga samej ich obecności zawsze wzbudzała szok i zdumienie. Myślał gorączkowo, jak walczyć z tym chodzącym koszmarem. Nigdy nie słyszał, by konnica zmoła demona, ale przecież musieli spróbować. Magiczny atak Symeona okazał się nadspodziewanie potężny, ale mag bitewny był niewidomy i coraz starszy. Nie przedstawiał już takiego zagrożenia jak kiedyś, w sile wieku. W każdym razie musieli chronić go za cenę życia, tak długo, jak tylko okaże się to możliwe. Jeśli oznaczało to otwartą walkę z tym rogatym potworem – trudno.

Dał rozkaz do zaprzestania walki, upewniwszy się, że lord Cadell zrobił to samo. Kawaleria przegrupuje się i ponownie przypuści szturm, lecz tym razem wezmą na cel kogoś innego. Tym razem uderzą prosto na demona.

Wielka Dusza



Armia Caer Dour była w rozsypce. Jedyne obecność Symeona powstrzymywała żołnierzy przed rzucając broni. Ochroniarze maga bitewnego z coraz większym trudem utrzymywali szyk w środku linii, gdzie skupiła się największa liczba atakujących bez wytchnienia kardaków. Pozbawieni wsparcia kawalerii, spychani byli do defensywy przez mrocznych wojowników, zbliżających się coraz bardziej do maga bitewnego. Konnica wciąż stała na pozycjach po obu skrzydłach Symeona. Kardakowie mocno przetrzebili ich liczbę, lecz mimo to jeźdźcy okręcali konie i krążyli po obwodzie pola bitwy, szukając dostępu do stojącego na klifie demona.

Lord Cadell dostrzegł wyłom, który otworzył się na flance i prowadził prosto do ferockiego dowódcy, ale tkwiący na prawym skrzydle emisariusz był odcięty od demona skłębioną masą skirytów. Jeśli w ogóle dojdzie do szarży, będzie ją musiał poprowadzić lord Cadell.

Największe natężenie walk skupiło się wokół demona i człowieka, który stawiał mu czoła. Po prawej stronie doliny mały oddział skirytów przebił się przez linię żołnierzy i pędził w kierunku zgromadzonych na tyłach cywilów. Całe szczęście, że zajęła się nimi stacjonująca w pobliżu jednostka łuczników, która przeorała pędzącą gromadę strzałami, nim ta zanadto się do nich zbliżyła. Ale jeden z Opętanych wpadł do płytkiego żlebu i zniknął z widoku. W jego nodze tkwiła strzała, nie była to jednak rana zdolna go powstrzymać. Łucznicy na powrót poświęcili całą uwagę walce, która gorzała przed nimi, i nikt nie zauważył, że ranny skiryta dźwignął się na

nogi, po czym ruszył zlebem prowadzącym jak po sznurku do miejsca, gdzie Heçamedes i Fossetta doglądały rannych.



Strwożony Falko patrzył, jak pęknięcia w linii obrony zaczynały się raptownie poszerzać. Jego przerażenie wzmogło się, gdy zwrócił wzrok w kierunku ludzi kulących się za plecami Heçamedes i Fossetty. Za nimi znajdowało się kilku żołnierzy, którzy walczyli w pierwszej linii. Wielu rannych połatano i posłano z powrotem do walki, ale ci leżeli na ziemi, milcząc lub jęcząc cicho, i w wyniku odniesionych ran nie mogli nawet usiąść. Leżący przy synu Julius Merryweather oparł się na łokciu, przemawiając do niego spokojnym i równym tonem. Tobias był pobudzony, a Merryweather robił, co mógł, by go uspokoić. Chłopiec za nic nie chciał zamilknąć. Ledwie zdołał usiąść i zaraz zaczął nerwowo gestykulować w kierunku Falka.

– Mamidełko! – wybełkotał, jakby próbował przestrzec go przed czymś.

– Już dobrze – powiedział Merryweather.

– Nie! – upierał się Tobias, wciąż machając rękami w kierunku Falka. – Niedobrze!

Falko aż zmarszczył brwi, słysząc determinację w głosie chłopca.

A potem też to poczuł... Jakąś złą obecność za swoimi plecami, jakby coś, co wstało z grobu, wylaniało się z cienia płytkiego zlebu, którego wlot otwierał się nieopodal. Obrócił się akurat w odpowiednim momencie, by zobaczyć skirytę, od którego nie dzieliło go nawet piętnaście stóp.

Ludzie zachłysnęli się powietrzem, a potem dookoła zakotłowało się od gorączkowej aktywności. Julius Merryweather z mozołem stanął na nogi i złapał za swoją laskę, po czym zasłonił syna ciałem. Fossetta porwała leżącą przy ognisku patelnię. Falko natomiast przysunął się do najbliższego rannego żołnierza i sięgnął po leżący obok niego miecz. Nie odejmował wzroku od skiryty, który spoglądał na niego wzrokiem nacechowanym jakąś osobliwą ostrożnością.

Falko wyprostował się, patrząc w jego oczy, białe niczym wypolerowana kość. Przez moment skiryta tylko spoglądał na niego niepewnie, a potem w jego oczach zapłonęła nienawiść i rzucił się na Falka.

Falko patrzył na biegnącą wprost na niego istotę. Na jej składający się do cięcia od góry nóż. Wiedział, co musi zrobić, ale miecz w jego dłoni wydawał się niemożliwie ciężki. Jako młody chłopiec dorównywał w walce Malakiemu, lecz teraz jego ciało było zbyt słabe, by wykonać rozkaz, który wydał umysł. Ledwie zdążył unieść miecz, gdy ferockie ostrze pomknęło w kierunku jego głowy. Cios spadł na niego z całą mocą i Falko zachwiał się, lecz jakimś cudem nie upadł. Sparował kolejne uderzenie, lecz gdy skiryta przyłożył mu w twarz tarczą, kolana Falka załamały się pod nim, a przeciwnik złożył się do decydującego ciosu.

Wtem na ułamek sekundy w umyśle chłopaka rozbłysła wizja martwego skiryty, powalonego uderzeniem jaśniejącego płomienia, ale potęga tego obrazu przeraziła go bardziej niż myśl o śmierci, klęczał więc tylko, opuściwszy ramiona wzdłuż ciała i gapiąc się przed siebie jak oszołomiony. Widział opadające w swoją stronę ostrze. Raptem jeden z rannych żołnierzy podpełził naprzód i złapał Opętanego za kostkę. Klinga zmyliła lot i zataczając szerokie półkole, nie zrobiła Falkowi krzywdy. Kreatura zabiła żołnierza jednym ciosem w pierś, po chwili jednak od jej hełmu odbił się kamień, a zaraz potem kolejne.

Wyrwawszy się z uścisku martwego żołnierza, skiryta dał nura naprzód, kryjąc się przed kamieniami za uniesioną tarczą. Wciąż klęczący Falko raptem otrzeźwiał i zamachnął się mieczem, celując w nogi przeciwnika, ale Opętany z łatwością przyjął cios na tarczę i zabiłby Falka, gdyby Julius Merryweather nie zdzielił go po hełmie swoją przysadzistą laską. Skiryta okręcił się i nożem rozorał przysadzistemu szlachcicowi brzuch. Merryweather zawył.

Wróg na powrót skupił uwagę na Falku, ale nie zdążył złożyć się do ciosu, bo oberwał od Fossetty wielką patelnią w twarz. Zachwiał się i ciał nożem na odlew. Fossetta upuściła patelnię, gdy ostrze rozcięło jej ramię. Skiryta zabiłby całą trójkę, gdyby inni nie ruszyli na niego. Dwaj mężczyźni i trzy kobiety obleźli Opętanego jak muchy i powalili na ziemię. Walczył szaleńczo i zranił dwie osoby, nim wreszcie zabił go wielki kamień, który zostawił po sobie głębokie wgniecenie w hełmie.

Dyszący Falko wstał z trudem i słaniając się na nogach, podszedł do krwawiącej Fossetty.

– Nic mi nie jest – zarzekała się gospodyni, ściskając ramię, gdy

spomiędzy jej palców sączyła się krew.

Oboje obrócili się do Merryweathera.

– Julius! – sapnęła Fossetta, widząc rozlewającą się po skale ciemną plamę.

Wielki mężczyzna klęczał na jednym kolanie, bezskutecznie próbując zatamować krwotok ręką.

– Heçamedes! – zawołała Fossetta.

Pomogła uzdrowicielce ułożyć go na plecach. Jego zwykle rumiane policzki pokryła trupia bladość, dodatkowo podkreślona blaskiem księżyca.

Falko opadł na ziemię przy Merryweatherze i wlepił wzrok w ziejącą ranę, przecinającą obfity brzuch zaraz nad linią pasa. Omdlały z wysiłku, sięgnął i przyłożył do niej rękę, usiłując zatamować krwawienie.

– Ach, Falko, mój chłopcze – powiedział Merryweather głosem człowieka, który budzi się ze snu. – Tak lepiej, dziękuję ci.

Falko nie wiedział, co powiedzieć. Patrzył na Merryweathera, a potem przeniósł wzrok na siedzącego nieopodal Tobiasa. Głowa chłopca kiwała się na chudej szyi, ale spojrzenie miał klarowne. Falko odwrócił wzrok, gdy ogarnął go żal. Heçamedes wyrosła przy nim jak spod ziemi.

– Odsuń się, Falko – powiedziała uzdrowicielka, pochylając się, by zbadać obrażenia. Zacisnęła usta na ich widok, ale rozpięła torbę i spryskała ranę rozpylaczem, a potem sięgnęła po igłę i nitkę.

Zbyt wykończony, by wstać, Falko odpełził od nich na czworakach. Oddychając z trudem, przysunął się na skraj zaimprovizowanego lazaretu i oparł się o skałę. Czarne chmury poczucia winy ponownie spowiły jego umysł. Patrzył na toczącą się w dolinie bitwę, na sceny przemocy rozgrywające się pod obojętnym spojrzeniem księżyca.

Szyk, choć wciąż się trzymał, zaczynał się sypać. Wróg zdobył niskie klify i stopniowo spychał obrońców w głąb kotliny. W środku linii czubek klina utworzonego przez sieczących na prawo i lewo kardaków prawie już stykał się z Symeonem. Falko zobaczył, jak oddział kawalerii dowodzonej przez emisariusza zatrzymał się, natrafiwszy na ścianę skirytów. A potem ujrzał demona, masakrującego wszystkich, którzy mieli nieszczęście stanąć mu na drodze.

Wtedy do ataku ruszyła konnica lorda Cadella. Czując się, jakby zaraz miał zemdleć, Falko patrzył, jak horda konnych rycerzy mknie

z ogłuszającym tętentem w stronę rogatej bestii.



Lord Cadell przypuścił szturm, gdy oddział emisariusza zaczął wyrzynać sobie drogę przez tłum skirytów. Dowódca armii Caer Dour uformował klin i puścił go pełnym pędem na demona, siejącego popłoch wśród żołnierzy.

Emisariusz przemknął prędko wzrokiem po głównej linii obrony. Widział, że pęka w szwach. Ich jedyną nadzieją było zabić demona, lecz Chevalier wiedział, że nigdy im się to nie uda. Wciąż stawiali opór wrogowi, ale emisariusz w głębi serca czuł, że bitwa jest przegrana.

Przez jego umysł przemknęła twarz kobiety i koński łeb wyrzeźbiony w wosku, pokryty srebrem i wprawiony w skórzany pas. Spodobałby się jej. Płakałaby, ale spodobałby się jej.

Oczyścił umysł i ze ściśniętym sercem sir William Chevalier przygotował się na śmierć.



Kawaleria lorda Cadella przebijała się z mazołem przez rój Opętanych, który oddzielał ją od demona. Większość rycerzy została zatrzymana lub powalona, ale lord Cadell przedarł się jakoś, osłaniany od tyłu przez sir Gerallta Godwina, który znajdował się najwyżej dwie długości za nim. Obydwaj rycerze dźwigali lance i wydawało się, że nic nie zdoła oprzeć się sile ich natarcia, lecz wówczas demon przestał mordować i zwrócił się w ich kierunku. Przekrzywił wielki rogaty łeb, jakby nie spodziewał się tak zuchwałego natarcia, a potem pochylił głowę i rozrzucił ramiona, jakby zapraszał ich do ataku.

Dwaj rycerze runęli na demona, celując lancami prosto w jego serce, lecz potwór nie czekał na nich, tylko zerwał się z miejsca i rzucił naprzód. Jedną ręką złapał wierzchowca lorda Cadella za gardło i podniósł go, zrucając jeźdźca z siodła, a drugą wyprowadził druzgocący cios, który zmiotł sir Gerallta z końskiego grzbietu, miażdżąc mu przy tym klatkę piersiową. Koń zwałił się na ziemię ze skręconym karkiem. Lanca sir

Gerallta dosięgła bestii, ale hartowane ostrze ledwie drasnęło skórę.

Lord Cadell padł ciężko na ziemię i podniósł wzrok na swojego konia, miażdżonego w szponach demona. Zwierzę młóciło powietrze przednimi nogami, tylnymi zaś łomotało o ziemię. Przez chwilę potwór patrzył z góry na lorda Cadella, jakby usiłował zrozumieć, jak takie żalosne stworzenie może w ogóle marzyć o zranieniu jednego z Wiernych. Niemal w roztargnieniu zmiażdżył gardło konia i rzucił truchło na skałę. Jednym tupnięciem potężnego kopyta zabił dowódcę armii Caer Dour, a potem osadził wzrok na sir Gerallcie. Weteran usiłował wyjąć miecz z pochwy, miał jednak połamane żebra, a jego wygięty napierśnik spływał krwią, którą rycerz wykaszlał i wypluł po potężnym uderzeniu nieprzyjaciela. Ledwie cal stali pokazał się między pochwą a jelcem, nim demon stanął nad nim.

Już sięgał do niego szponiastą ręką, gdy niespodziewanie rozpędzony grom energii trafił go z impetem w bok. Olbrzym zachwiał się od uderzenia, gdy magiczny pocisk zdarł mu z żeber ciemne mięso. Wydając z siebie dziki ryk, stwór odnalazł wzrokiem napastnika.

Symeon le Roy nie miał oczu, ale patrzył prosto na niego.



Mag bitewny niemal zachwiał się pod siłą spojrzenia demona. Nieprzyjaciel ujrzał go teraz w pełnej krasie i Symeon zrozumiał, że nie uda mu się go dłużej zwodzić. Demon rozeznał się dobrze w jego prawdziwej sile i choć domyślił się, że starzec udawał bezbronny, odkrył także, że nie jest dość silny, by stanowić dla niego wyzwanie. Potwór przygarbił się, pochylił głowę i ruszył prosto na Symeona.

Potężni kardakowie zostali rozepchnięci na boki, gdy demon naparł naprzód, lecz wówczas Symeon wystrzelił w jego kierunku kolejną kulę oślepiającego błękitnego światła. Bestia zatoczyła się, gdy pocisk trafił w jej ramię, ale ten drugi atak okazał się słabszy od pierwszego. Moce Symeona nie były już tym, czym kiedyś, ale przynajmniej udało mu się zatrzymać potwora. Demon przystanął, rozłożył ramiona i przywołał własną mroczną magię.

– Padnij! – ryknął Symeon, czując potężniejącą w szponach

nieprzyjaciela piekielną energią.

Wojownicy skupieni wokół schylili się i zasłonili tarczami, gdy burza rozgrzanych do czerwoności kolców wystrzeliła z demonich łap. Potok płonących szrapneli z łatwością przebiłby się przez ich pancerze, lecz zamiast tego rozbił się o barierę ochronną, którą otoczył żołnierzy Symeon. Piers demona rozděła się, gdy zaczął przywoływać jeszcze więcej magicznej energii, ale wtedy Symeon dobył miecza. Wykonał nim prędkie cięcie i łuk błękitnej mocy oderwał się od klingi, by pomknąć w kierunku przeciwnika.

Potwór chciał rękami zasłonić się przed atakiem i rzeczywiście, część magicznego łuku rozproszyła się w zetknięciu z gardą, ale mały segment przedarł się, naznaczając bok twarzy bestii raną i odcinając czubek wielkiego, zakrzywionego rogu. Rozwścieczony ponad wyobrażenie demon uniósł nad głowę olbrzymią pięść i przygrzmocił nią w ziemię. Fala uderzeniowa przebiła się przez powietrze, grunt zafalował gwałtownie, a wojownicy broniący Symeona padli na ziemię, sam mag bitewny zaś osunął się na kolana.

Górujący wśród powalonych wojowników demon raz jeszcze ruszył naprzód. Szedł powoli, wiedząc, że nikt nie może go teraz powstrzymać, ale Symeon wstał z klęczek i wyrzucił przed siebie rękę w geście negacji. Potwór zatrzymał się, jakby ktoś osadził go w miejscu przyłożoną do piersi dłoń. Próbował przec naprzód, pochylony, jakby walczył z porywistym wiatrem, ale nie mógł ruszyć z miejsca.

Nie opuszczając ręki, Symeon porwał miecz i dźwignął się z wysiłkiem na nogi. Trud związany z powstrzymaniem demona uwidoczniał się w napięciu każdego mięśnia i ścięgna w ciele starca. Jego wysiłek wzmógł się jeszcze, gdy demon zaczął się wyrywać i orać ziemię kopytami, usiłując zmóc czar.

Wojownicy Symeona leżeli rozrzućeni po polu bitwy potęgą uderzenia nieprzyjaciela. Nikt nie stał teraz między demonem a magiem bitewnym. Na czole maga pulsowały żyły. Raptem opuścił rękę i schwycił miecz oburącz, po czym wbił go z mocą w ziemię u swoich stóp. Był to manifest oporu, nieprzekraczalna linia wyrysowana na piasku.

Demonem zarzuciło, jakby oberwał kolejnym magicznym pociskiem. Cofnął się o dwa kroki, zagrały mięśnie na potężnych koźlich nogach, a gdy odzyskał równowagę, otaksował Symeona spojrzeniem. Tak, nie docenił

przeciwnika, lecz jego trud na nic się nie zda. To już koniec.

Stojąc pośród zwartych w boju wojowników, potwór zawarł powieki i rozłożył ramiona, a ziemia u jego kopyt zajęła się ogniem. Sięgające kolan demona wściekle czerwone i zgniłozielone płomienie zaczęły rozrastać się naprzód, pełzły po ziemi niespieszną falą, zbliżając się niepowstrzymanie do samotnej postaci Symeona.

Leżący dwadzieścia stóp dalej Malaki gapił się na płynącą rzekę ognia z narastającym przerażeniem. Tak jak resztę wojowników powaliło go na ziemię uderzenie demona. Wciąż oszołomiony, próbował zmusić się do wstania, lecz płomienie zdawały się wysysać z niego całą energię. Czuł żar nie tylko na twarzy, lecz także w środku, jakby ogień sięgał do jego duszy, a pod jego wpływem wyparowywały z niego wszystkie siły; penetrował jego ciało i spalał umysł. Chciał pobiec Symeonowi na pomoc, lecz ten toczący się leniwie strumień ognia był ponad jego siły. Wiedział, że wszystko stracone.

Utraciwszy ostatnie strzępy nadziei, Malaki de Vane zaczął łkać.



Emisariusz dźwignął się ze skalistej ziemi. Wypadł z siodła, gdy Tapfer przewrócił się, rażony ciosem demona. Widział, jak perszeron cofa się przed nim, jak w przerażeniu bije w ziemię kopytami. Miecz emisariusza leżał nieopodal, mężczyzna sięgnął po swój oręż, a w tej samej chwili jeden ze skirytów rzucił się na niego. Chevalier prędko uwinął się z Opętanym, a potem zabił jeszcze dwóch, nim mógł wreszcie bez przeszkód odszukać wzrokiem Symeona.

To, co zobaczył, sprawiło, że lodowate szpony strachu zacisnęły się na jego sercu.

Kardakowie wycofywali się, lecz tylko po to, by zgromadzić się po obu stronach swojego pana, a ziemia przed nim płonęła. Wściekle płomienie tańczyły nisko przy gruncie i lały się naprzód, zmierzając ku Symeonowi. Nawet tutaj emisariusz czuł bijący od nich żar. To nie był zwykły ogień.

To był ogień wieczny, ogień z głębi piekielnych, którego nie dało się ugasić ludzką ręką.



Symeon nie potrzebował oczu, by dostrzec płomienie. Czuł na twarzy ich żar. Smoczy ogień wywoływał nieopisany ból, Symeon dobrze go pamiętał, ale ten był jeszcze gorszy. Spalał nie tylko ciało, ale także duszę. Mag bitewny opierał się przerażeniu, ale czuł, że słabnie. A w miarę gdy odchodziła go siła woli, ogień podpełzał coraz bliżej.

Na drodze płomieni leżeli ranni mężczyźni. Gdy dotknął ich ogień, zaczęli potwornie krzyczeć, a ich wrzaski wrzynały się na zawsze w umysł każdego, kto je słyszał. To niewyobrażalne cierpienie czekało wszystkie dusze w dolinie. Młode, stare, chore i zdrowe – jeśli zagarnie je demon, będą płonąć w agonii przez wieczność.

Symeon wiedział o tym, więc utrzymywał pozycję. Utrzymywał ją, nawet gdy czuł, że opuszczają go siły. Ścisnął w garści rękojeść miecza, zdeterminowany, by wywalczyć dla ludzi każdą możliwą sekundę życia... i nadziei.



Emisariusz usłyszał wrzaski ludzi płonących ogniem wiecznym. Wili się w agonii, a płomienie bezlitośnie parły naprzód. Symeon wyciskał z siebie siódme poty, opierając się demonowi, a mentalna tarcza, która chroniła ludzi przed strachem, zaczynała pękać. Stary mag bitewny wciąż stał na nogach, ale nie ustoi długo sam.

Emisariusz poczuł, że strach szarpie mu duszę. Uczepiwszy się najsilniejszych, najcenniejszych wspomnień, ruszył w kierunku Symeona. Jeśli znajdzie w sobie siłę... i wiarę... dotrze do maga bitewnego i wesprze go w jego wysiłkach. Już samo to, że Symeon będzie miał kogoś u swego boku, doda mu sił. Ale obecność demona była sama w sobie fizyczną, odczuwalną siłą. Każdy krok naprzód okupiony był nadzwyczajnym wysiłkiem woli, a płomienie cały czas przysuwały się coraz bliżej.

Emisariusz czuł pot spływający mu po twarzy. Czuł, jak jego dusza kuli się pod obietnicą wiecznego cierpienia, ale parł dalej przed siebie. Mijał rozłożonych na skale ochroniarzy z gwardii Symeona, którzy nie mogli już poruszać się o własnych siłach. Walczył z wycieńczeniem, aż znalazł się

kilka jardów od Symeona, i wówczas nie mógł już walczyć dalej.

Siły i odwaga opuściły go zupełnie. Sir William Chevalier padł na kolana i wcisnął twarz w ziemię.



Falko nie mógł oderwać wzroku od rozlewających się po skale płomieni. Przerazenie ogarniało go tym bardziej, im bardziej słabła tarcza Symeona. Linia obrońców zaczęła kruszeć i Falko wiedział, że to tylko kwestia czasu, nim skruszeje zupełnie. Obrócił się twarzą do ludzi zgromadzonych w dolinie za jego plecami. Stali blisko siebie, sięgali po noże, które ocalały ich dzieci od losu nieskończenie gorszego od śmierci. Wrócił wzrokiem do bitwy i zobaczył siłaczy z gwardii Symeona powalonych mocą demona. Tylko jeden człowiek zachował dość siły, by iść naprzód.

Patrzył, jak emisariusz królowej sunie przed siebie, powłócząc nogami, usiłując dotrzeć do Symeona. I wiedział, że mu się to nie uda. Wiedział, że Symeon będzie musiał samotnie stawić czoła ogniewi wiecznemu. I wiedział też, że Symeon nie ma dość siły, by z nim wygrać. Falko latami wsłuchiwał się w nasycone wątpliwościami słowa, które opuszczały usta jego pana przez sen. Stary mag bitewny był osłabiony zdradą i żalem. Falko wiedział, że ostatecznie jego wiara go zawiedzie i że to go złamie.

Niczym w szponach jakiegoś niewyobrażalnego koszmaru, Falko poczuł, że jego nogi poruszają się, a on sam idzie w dół po pochyłości, tam gdzie tliła się jeszcze bitwa.

Ludzie za nim mogli tylko bezradnie patrzeć, jak broniąca ich armia ulega wrogowi. Patrzyli, jak dumny emisariusz pada na kolana. Patrzyli, jak ogień idzie naprzód, a starzec chyli się ku upadkowi, uczepiony miecza, wiszący na nim, jakby tylko wbita w skałę stal trzymała go jeszcze w pionie. Koniec był bliski, a słowa emisariusza odbijały się echem w ich głowach.

„Jeśli Symeon zginie, zróbcie to szybko, zanim zawiedzie was odwaga”.

Ludzie wstrzymali oddech, gdy naostrzone noże zbliżały się cal po calu do dziecięcych gardeł. Lecz nagle znieruchomiały, bo na dnie doliny ukazała się nowa postać – chudy i chorowity chłopak.

Falko szedł po nierównej ziemi, słaniając się na nogach. Jego głowa

kiwała się na wąskich barkach, bolały go płuca i oparzenia na szyi i ramieniu, był zmordowany wędrówką i strachem, czuł się tak, jakby był nagi. Świat rozmazywał mu się przed oczami, ale chłopak miał niejasną świadomość toczącej się wokoło bitwy, ostatniego desperackiego zrywu uczipionych nadziei wojowników Caer Dour. W środku pola bój już ustał i walka była przegrana. Pełznący po ziemi dywan ognia niemal już lizał Symeona po nogach, a przed pokonaniem ostatnich jardów powstrzymywała płomień już tylko siła woli maga bitewnego. Symeon nie stał już na obu nogach, tylko klęczał na jednym kolanie, uwieszony na jelcu miecza niczym człowiek, który niebawem zginie porwany przez powódź.

Wojownicy, którzy mieli go bronić, nie widzieli kroczącego między nimi Falka. Niektórzy próbowali odpełznąć od łakomych płomieni, ale większość po prostu pochyliła głowy, pogodzona z porażką, zastygłe skorupy niegdysiejszych ludzi. Falko widział gdzieś Malakiego i emisariusza. Obaj wciąż starali się dotrzeć do Symeona, lecz ich wysiłki sprowadzały się do niemrawego drapania rękami po skalistym gruncie.

Nikt nie miał sił dźwignąć się na nogi, nie w przytłaczającej, wgniatającej w ziemię obecności wysłannika piekieł. Nikt poza Falkiem Dantém.

Miejscowym słabeuszem, obiektem kpin, szyderstw, a ostatnio nienawiści całego miasta, ofiarą wyniszczającej choroby, synem szaleńca, lecz również synem maga bitewnego. Jakimś sposobem to właśnie on znalazł w sobie dość siły, by przeciwstawić się fali płomieni. Kroczył chwiejnie naprzód z jedną tylko myślą w głowie: dotrzeć do Symeona i dać mu odczuć, że nie jest sam. Trzymać go w ramionach, gdy będzie umierał. Gdy będzie płonął. Jeśli demon skaże ich na wieczne cierpienie w ogniu piekielnym, przynajmniej będą cierpieć razem.

I to jedno pragnienie sprawiało, że Falko Danté wbrew wszelkiej logice włókł się naprzód. Obecność demona kładła się na dolinie jak niewidzialny klosz energii. Próbowwała go powstrzymać, syczała i warczała jak wściekły pies, drapała i szarpała szponami jego umysł. To nie do pomyślenia, by człowiek mógł wytrzymać całe to zło, całą tę nienawiść – a jednak Falko znosił ją i nie przestawał iść. Parł naprzód, jakby niosły go słowa, które rozbrzmiewały w jego głowie:

„Nie trać wiary... Cokolwiek by się działo, nie trać wiary”.

Przywołując z pamięci słowa opiekuna, Falko stanął za Symeonem i uklęknął, by otoczyć go ramionami. Stary mag bitewny już ledwo trzymał się w pionie. Jego palce ostatkiem sił trzymały się rękocyści.

Falko sięgnął wzdłuż ramion swego pana, ścisnął jego dłonie i złapał mocniej miecz jego palcami. Wcisnął twarz w przepoczone włosy Symeona i wsłuchał się w jego ochrypły oddech, który gasł z każdym uderzeniem serca. A gdy trzymał w ramionach umierającego pana, uprzytomnił sobie, że w jego płytkim oddechu pobrzmiewają słowa. Ciche i zajadłe, będące czymś niewiele więcej niż bezgłośnie myślą, lecz Falko słyszał je wyraźnie:

– Aquila Danté był moim przyjacielem. Aquila Danté był moim przyjacielem.

Serce Falka zaszamotało się boleśnie w jego piersi. Więc taka była natura siły demona. To była wątpliwość, którą zasiał w umyśle starego człowieka, by go złamać. Falko chciał powiedzieć Symeonowi, że nie wini go za śmierć ojca. Chciał mu powiedzieć, że go kocha, ale nie miał już sił, by uformować ustami słowa. Trzymał się Symeona ostatnimi strzępami woli, jakie jeszcze zostały się w jego sercu.

Nie trać wiary. Nie trać wiary.



Lud Caer Dour patrzył w osłupieniu, jak wątła postać Falka Dantégo obejmuje Symeona. Dwaj ludzie, starzec i słabeusz, klęczący przed druzgocącą potęgą demona. Jakimś sposobem udzieliło im się uczucie wyrażone w tym uścisku i przez chwilę zdawało im się, że całun strachu unosi się z ich umysłów.

Czy Symeon odzyskiwał siły?

Czy mając podporę w postaci Falka, Symeon dźwignie się na nogi?

Przez chwilę wydawało się, że płomień się zatrzymał.



Demon odczuł obecność nowego umysłu, który dołączył do Przeciwnika. I w jego własnym umyśle zakiełkowało niezrozumienie. Były tam słabość,

poczucie winy, żal i strach – więcej niż dosyć, by zmiązdyć ludzką duszę, a jednak ona trwała dalej. Taka dusza była niebezpieczna. Nie wolno pozwolić jej żyć. Demon zaczerpnął z najgłębszych pokładów swojej nienawiści i z odnowioną siłą pchnął ogień naprzód.



Ostatni płomyk nadziei zgasł i ludzie ujrzeni, że fala płomieni potężnie i rusza naprzód. Nie zatrzymała się wcale, to gra światła oszukała niedoskonałe zmysły, to powiew złośliwego wichru zakpił sobie z nich w tej ostatniej godzinie.

Fossetta stała przy leżącym na ziemi Merryweatherze i płakała, nie kryjąc łez. Nie zauważyła nieobecności Falka, dopóki ludzie nie zaczęli szeptać i pokazywać go palcami. A gdy go dostrzegła, dwie wielkie siły zderzyły się w jej sercu i choć pragnęła tego z całych sił, nie zdołała pobiec za Falkiem. Oczywiście, że nie zdołała. Ledwie mogła myśleć przez miażdżące przerażenie, które nią owładnęło.

Zapadła upiorna cisza, gdy rodzice za jej plecami przygotowywali się do zatopienia noży w ciałach swoich dzieci. Bohaterski czyn Falka kupił im kilka cennych chwil, lecz teraz koniec zbliżał się wielkimi krokami i Fossetta nie zdołałaby wyobrazić sobie gorszego zwieńczenia bitwy. Ale wtedy odezwał się siedzący obok niej Tobias:

– Mamidełko.

Fossetta nie mogła na niego spojrzeć. Nie mogła oderwać wzroku od żalonych i chwalebnych postaci Symeona i Falka. Merryweather balansował na granicy przytomności, ale przyzwyczajenie, by odpowiedzieć na słowa syna, przebiło się przez barierę otępienia.

– Już dobrze, synku – wymamrotał. – Falko zaraz pójdzie spać. Wszyscy zaraz pójdziemy spać.

– Nie! – wypluł Tobias. – Mamidełko!

Fossetta rzuciła okiem na kalekiego chłopca, który w odróżnieniu od reszty wcale nie patrzył na bitwę, tylko gdzieś w górę.

Powoli uniósł zwiędłe ramię i wskazał krzywym palcem wysoką grań.

– Mamidełko! – powtórzył.

Fossetta powoli przesunęła wzrok we wskazanym przez niego kierunku.

Tam, na zboczach góry, na tle nieba zarysował się jakiś dziwny kształt i gdy Fossetta go zobaczyła, coś odezwało się w jej pamięci czystym, dźwięcznym tonem. Widziała już coś takiego i gdy wreszcie nadała temu imię, oniemiała ze zdumienia.

Smok.

Na zboczach siedział smok.

Spoglądał z wysokości na toczącą się w dole bitwę. A na jego grzbiecie siedział jeździec.

Mag bitewny.

Mamidełko.



Mag bitewny patrzył na lud Caer Dour, ich rozpacz i strach raniły mu serce. Zamknął oczy, otworzył umysł i zgromadził ich strach w swoim wnętrzu. Byli już niemal złamani, prawie się poddali. Prawie, ale jeszcze nie całkiem.

Otworzył oczy i powiódł wzrokiem po wojownikach, którzy wciąż dawali odpór Opętanym. Utkwił spojrzenie w dwóch jaśniejących postaciach klęczących wśród morza płomieni. Przeniósł wzrok na demona, na wroga tego świata i jego mieszkańców. A gdy na niego patrzył, w jego oczach zapłonął ogień. Mag poczuł, jak jego smoczyca porusza się pod nim.

A on jej nie powstrzymywał. Przywarł do niej, gdy odbiła się od skały, i złapał mocno, gdy zaczęła opadać w dół. Obróciła się, złożony skrzydła jak pikujący jastrząb, i pomknęli w dół niczym grom z jasnego nieba.



Falko stracił poczucie czasu, zapomniał o świecie. Wiedział tylko, że ściska w ramionach ciało Symeona. Oddech starca był już tylko cieniem oddechu, ale Falko wciąż go podtrzymywał, wciąż nie pozwalał mu upaść. Czuł całym sercem przytłaczającą potęgę nienawiści demona, która dążyła do tego, by zetrzeć ich z powierzchni ziemi, ale trzymał się. Ogień wieczny zaczął ich z wolna otaczać, a gdy objął ich ognistymi skrzydłami, siła woli

Falka zaczęła wreszcie słabnąć.

Obrazy przemykały przez jego głowę. Wiedział, że traci rozum. Widział, jak płonie jego rodzinny dom. Widział czarne oczy Morgana Sakera, spoglądające na niego przez zasłonę płomieni. Widział wyniosłe piękno czarnego smoka lądującego na Smoczym Kamieniu i Dariusa, który raz po raz miota w niego jaśniejącymi błękitnymi gromami; czuł żal oraz nienawiść promieniujące ze smoczego umysłu i widział, jak spadają razem w otchłań. Słyszał swój krzyk i widział, jak z kłębowiska tego krzyku wynurza się Malaki, trzymając w ramionach wyniszczone ciało ojca.



Falko poluzował uścisk na rękojeści miecza. I wówczas wydarzyła się najdziwniejsza rzecz na świecie. Część jego umysłu wiedziała, że trwa noc,

ze od świtu dzieli ich kilka godzin, a jednak jakimś sposobem poczuł na twarzy blask słońca. Widział je oczami duszy, jak obmywa lśnieniem zbocza gór na zachodzie. Miał wrażenie, jakby sam unosił się ponad kotliną i patrzył na toczącą się w niej bitwę niczym przez szczeliny w stalowym hełmie. Pod nim szemrały lśniące żółte łuski i machały majestatycznie wielkie złote skrzydła. A potem odniósł wrażenie, że spada. Wiatr świszczął mu w uszach, ale chłopak wiedział przecież, że to mami go jego własny umysł, że wyroił się z niego sen człowieka, który zaraz umrze.

Wreszcie z tego chaosu wyłonił się kontur twarzy zamazany łzami. Falko poczuł na policzku chropowatą dłoń, a potem pocałunek na skroni, który w jego sercu trwał jeszcze długo po tym, jak go złożono. Był zbyt młody, by to wówczas wiedzieć, ale był to ostatni pocałunek ojca żegnającego się z synem. Falko czuł delikatną siłę ojcowskiej ręki, drapiącą szorstkość brody i jego mokre łzy spływające po policzku. Wiedział, że jeśli ugnie się pod nienawiścią demona, na zawsze utraci to wspomnienie.

A więc choć Symeon umarł i ciemność zatopiła jego serce, Falko wciąż ścisnął rękojeść miecza.



Demon uradował się, kiedy poczuł, że serce Przeciwnika przestało bić. Odciągnął skórzaste wargi ze złaknionych kłów, gotowy pożreć duszę słabeusza. Lecz wtedy zatrzymał się jak wryty i zwątpienie przeszło jego czarne serce.

Draconis.

Tam z nieba spadał jeden ze znienawidzonych wyrmów, którego dosiadał nieskazitelny Przeciwnik.

Demon wydał z siebie ryk, wkładając weń całą swoją wściekłość i nienawiść. Czyżby w ostatniej chwili siedem tysięcy dusz miało wymknąć mu się z rąk? Skinieniem rozkazał kardakom uformować mur ciężkich kling i ciemnej stali. A potem sprowadził burzę siarki, zdolną zabić nawet wyrma.



Smok zleciał nisko nad ziemię i pomknął przed siebie. Jego łuski miały kolor głębokiej żółci i lśniły jak złoto. Ze złożonymi dla większej szybkości skrzydłami przeleciał nad doliną, obracając się na bok, gdy demon wywołał zabójczy wulkaniczny deszcz. Mordercze pociski rozminęły się z celem, a moment później ogromny żółty smok wpadł z impetem na olbrzymiego demona Opętanych.

Na ułamek sekundy przed zderzeniem mag bitewny zeskoczył z siodła, obrócił się w powietrzu i wylądował wśród kardaków. Wyrwał miecz z pochwy i jednym szerokim cięciem zabił całą grupę wojowników. Obróciwszy się, zarąbał kolejnego, a ostrze jego miecza wydawało się jaśnieć, gdy przerzynało się przez czarny pancerz zwalistych żołnierzy. Kardakowie rzucili się do ataku, lecz raptem otoczyli ich ludzie z gwardii Symeona.

Wszędzie w kotlinie mężczyźni i kobiety poczuli, że opuszcza ich zmęczenie, że strach uchodzi z ich umysłów. Pierwszy raz, odkąd opuścili swoje domy, uwierzyli, że mogą zwyciężyć, a nawet jeśli czeka ich klęska, stawiają jej czoła z mieczem w dłoni.

Uderzenie prawie zważyło demona z nóg, ale był rzeczywiście niezwykle potężny. Nawet chwając się w tył, złapał smoka i potężnym skrętem ciała rzucił nim o ziemię. Grunt zadrżał. Demon górował nad smokiem i choć ciało z jego ramienia było zerwane aż do kości, i tak uniósł pięść do uderzenia, które pogruchotałoby smocze żebra. Nie zdążył go jednak zadać.

Smok momentalnie otrząsnął się, otworzył paszczę i z bliska wypalił demonowi w twarz zbitą kaskadą ognia. Potwór ryknął, gdy jego skóra zaczęła odłazić od ciała. Wyprowadził kopnięcie twardym jak stal kopytem, ale smok odskoczył zwinnie poza jego zasięg. Sięgnął szponami do smoczego gardła, lecz nim go dotknął, mag bitewny uderzeniem miecza przeciął więzadła z tyłu wielkiej końlej nogi.

Demon zatoczył się dziko, obrócił twarzą do Przeciwnika, lecz zanim zdołał zadać cios, smok rzucił się na niego od tyłu, siłą odgiął mu wielki rogaty łeb i zanurzył zęby w jego cielsku u nasady szyi. Wyjący z bólu potwór sięgnął za plecy, chcąc pochwycić napastnika, lecz wówczas mag bitewny trafił go w pierś magicznym gromem, który rozbłyskiem podświetlił od wewnątrz odsłoniętą klatkę piersiową.

Opadający na kolana piekielnik usiłował wzbudzić ostatnią eksplozję

ognia, która pochłonełaby zarówno przeciwników, jak i jego samego, ale wtedy smok zatopił szpony w jego twarzy i odsłonił szyję, a mag bitewny ciał go głęboko po gardle. Wojownik odskoczył, gdy z wyrwy chlusnęła zraça krew. Smok puścił demona i potężny potwór zrodzony w czeluściach piekielnych zwał się na ziemię.

Demon był martwy. Mag bitewny i smok skupili uwagę na jego żołnierzach. Do wschodu słońca nie było w dolinie ani jednego żywego Opętanego. Lud Valencji znalazł się na skraju katastrofy, lecz wreszcie bitwa o dusze Caer Dour zakończyła się ich zwycięstwem.

21

Marchio Dolor



Głęboko w Utraconych Ziemiach Beltane o wiele potężniejszy demon zamknął oczy, gdy poczuł, że jeden z Wiernych rozstał się z tym światem. Pokonany demon był chytry i silny, ale działał pochopnie w tej obcej mu krainie. Zbyt szybko zaszedł zbyt daleko i teraz zapłacił wysoką cenę za swoją ofiarność. Ale to nic. Był tylko jednym z wielu sług podziemnego świata, w odróżnieniu od niego, który władał mocą nieporównanie większą. W królestwie potępienia nie posługiwano się imionami, lecz tutaj, w grobowej krainie, wielkiego demona zwano Marchio Dolor, Markizem Cierpienia.

Nie przeszkadzało mu to imię.

Marchio Dolor zwrócił się na północny zachód. Tak, to gdzieś tam, nieopodal granicy z Clemoncé. Ze wszystkich Siedmiu Królestw Clemoncé było najmniejsze, a jednak zarazem w jakiś nieokreślony sposób najsilniejsze. Przeciwnicy z tego kraju dzielili się nadzieją z innymi, a gdzie królowała nadzieja, trudniej było łamać wiarę pospolitych dusz.

Armie Wiernych przetaczały się przez kontynent. Istniały tylko dwa miejsca, w których ich pochód został zatrzymany. Na północy, wokół illicyjskiego miasta Hoffen, i na południu, gdzie Wiernym krzyżował plany beltański generał Vercincallidus. Marchio Dolor wiódł swoje wojska na południe, by zmiążdżyć dokuczliwego generała.

Potrzebował teraz demona o podobnym poziomie mocy, który stłumiłby opór w północnych krainach.

Marchio zwrócił twarz ku suplikantom, szlochającym w ciemności nocy.

Żałośni głupcy modlili się o śmierć, ale śmierć ich nie ocali. Odda ich tylko w ręce tych, którzy są o wiele okrutniejsi nawet od niego. Istnieli teraz jedynie po to, by cierpieć, a każdy nowy dzień będzie im głosił nowe objawienie cierpienia. Lecz dzisiaj wykorzysta ich do wyższych celów. Wykorzysta ich cierpienie, by sięgnąć do serca piekielnego królestwa i przywołać demona zdolnego rozgromić Przeciwników i ich wyrmy.

Z całkowitą obojętnością potoczył wzrokiem po suplikantach, mężczyznach, kobietach i dzieciach o zaszytych oczach i ustach, co miało za zadanie dodatkowo podsycić ich przerażenie. Płakali, szlochali i łkali urywanymi, poszarpanymi głosami, wiedzieli bowiem, że najgorsze jeszcze przed nimi.

Skrzywił pogardliwie usta. Brzydził się ich słabością. Zamknąwszy oczy, uklęknął na ziemi, aby się pomodlić. Robił to, aż suplikanci unieśli się w powietrze, jakby wszyscy byli zawieszani na wbitych w pierś rzeźniczych hakach. Modlił się, dopóki kamień pod nimi nie rozstał się i nie otoczył ich ogień wieczny, a wówczas ich ciało zaczęło czernieć, a wrzaski wypełniły przestrzeń nocy. Będą więc się w agonii, aż jego modły zostaną wysłuchane, a później ich spopielone dusze trafią do piekieł, gdzie będą cierpieć wieczne katusze.

Zadowolony Marchio Dolor dźwignął się na nogi. Przywołanie tak potężnego demona z najgłębszych otchłani może zająć całe miesiące, ale i tak rozkazał Oświeconym stanąć w gotowości i wykonać wszelkie narzędzia, których może potrzebować ta nowa manifestacja ciemności.

Wiele lat temu Oświeceni wykuli pancerz, który okrył jego własne ciało, zbroję, która potrafiła oprzeć się mocy Przeciwników i stępić szpony wyrmów. Teraz Oświeceni stali niczym duchy wokół płonącej głębi, a blask igrał na ich bladych twarzach i odbijał się w białych jak kość oczach. Jednakże w odróżnieniu od Marchia nie byli oni przyzwyczajeni do krzyku potępionych. Głęboko w ich zamartwych sercach wciąż ostały się resztki człowieczeństwa, a światło płomieni mieniło się w łzach na ich policzkach.

Marchio nie poświęcił im już ani jednej myśli. Cierpienie będzie trwać dalej, dopóki nowy demon nie wyłoni się z głębi, a wówczas Przeciwnicy zapłacą za grzech oporu. Teraz zaś zwrócił swój umysł ku królom i królowym, którzy ośmielili się stanąć przeciwko niemu: zarozumiałemu Ozrikowi, słabeuszowi Ernestowi, ogłupiałemu Vittoriowi oraz Catherine,

królowej suce Clemoncé. Złamie ich i pożywi się ich duszami. A potem ruszy na Acheron i Thraecję. Jakież wzniosłe zadowolenie odczuje, gdy ich upokorzy – tych, którzy mają się za silnych.

Gdyby on sam cechował się czymś w rodzaju człowieczeństwa, mógłby zacisnąć zęby, dając wyraz zniecierpliwieniu, lecz dzisiejszej nocy rozgromiony został jeden z Wiernych, więc w jego sercu nie mieściło się nic poza nienawiścią. Spojrzał w dół, na rozciągający się przed nim szary, ponury łąd. W oddali dostrzegł wąły płomyk pomarańczowego światła. Pochodnie i ogniska tych, którzy przed nim uciekali. Naprężył mięśnie swego śmiertelnego ciała. Jego ślepia zajaśniały jak doły wypełnione płynnym brązem. Dzisiejszej nocy ponieśli klęskę, lecz jutro dokonają zemsty. Narody Furii były podzielone i słabe, a Przeciwników i wyrmów było zbyt mało.

Nic ich teraz nie powstrzyma.



II
część

FURIA

Toulwar



Falka obudził zapach ziół. Wstał już dzień, a on powitał go w łóżku, w czystej lnianej pościeli. Zamrugał oczami i potoczył wzrokiem po ciemnych drewnianych belkach sufitu. Przez chwilę myślał, że znajduje się w willi Symeona, i ogarnęło go uczucie głębokiej ulgi, lecz zaraz zauważył, że nie poznaje tego pomieszczenia. Cała ulga uleciała, gdy przez jego umysł przemknęły wspomnienia niedawnych wydarzeń. Zamknął oczy i zatopił twarz w poduszce.

– Już dobrze. Nic ci nie grozi.

Poczuł na czole chłodną dłoń. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że Fossetta siedzi na skraju jego łóżka.

– Spokojnie – rzekła i uśmiechnęła się, widząc, że ją poznał.

Chciał usiąść, ale był zbyt słaby.

– Masz – powiedziała gospodyni, podając mu poduszkę. Przyniosła mu szklankę wody, ale Falko machnął na nią ręką.

– W głowie mi się kręci – wymamrotał i znowu zamknął oczy.

– To minie. Ostatnie osiem dni spędziłeś na leżaco. Minie trochę czasu, zanim staniesz na nogi.

Chłopak pokiwał głową, choć jego umysł miał trudność z rozszyfrowaniem słów.

Osiem dni?

Pamiętał jak przez mgłę, że ktoś przeniósł go przez góry. Że w końcu niebo ustąpiło miejsca sklepieniu lasu. Pamiętał, że obudził go deszcz, widział wokół siebie doglądające go rozmazane postacie, które karmiły go

i poiły. Przypomniawszy sobie echo odbijające się od kamiennych ścian i płonące w półmroku świece, ludzi siadających na jego łóżku.

Gdy ponownie otworzył oczy, pokój nie zakręcił się dookoła tak mocno jak poprzednio. Falko wrócił spojrzeniem do kobiety, którą znał całe życie.

– Toulwar?

Fossetta potwierdziła skinieniem, ale jej oczy nabiegły smutkiem, jakiego wcześniej Falko u niej nie widział.

– Jesteśmy w cytadeli. A do tego pokoju przyniesiono cię po bitwie.

– Bitwa – powtórzył Falko, który najwidoczniej nie mógł sobie przypomnieć, jak się skończyła.

– Wygraliśmy – wyjaśniła Fossetta, choć Falko nie dostrzegł tryumfu na jej twarzy. – Znalazł nas mag bitewny.

– I dosiadał smoka – wydyszał Falko. Skrzywił się, gdy rozbłysły mu przed oczami dziwne wizje.

– Tak – potwierdziła Fossetta, a Falko rozejrzał się, by zorientować się w pomieszczeniu.

Skromnie umeblowany pokój zbudowany był z bladego kamienia, miękkzonego dywanami i parą ciężkich turkusowych zasłon, wiszących po obu stronach wyjścia na balkon. Falko nie miał pojęcia, gdzie się znajdował, ale światło wpadające przez okno dawało wrażenie znacznej wysokości. Ponownie skupił wzrok na Fossetcie.

– Symeon?

Gospodyni pokręciła głową.

– Pochowaliśmy go w górach. Z innymi poległymi.

Falko kiwnął głową. Wiedział przecież, że Symeon nie żyje. Pamiętał dojmujące uczucie straty, które ogarnęło go, gdy serce starca przestało bić, i mógł tylko żywić nadzieję, że stary mag bitewny spoczywa w pokoju.

– Zabawne – powiedziała Fossetta, wyjmując chustkę z rękawa bluzki. – Czasem wciąż mam wrażenie, że słyszę, jak mnie woła. – Uśmiechnęła się przeproszająco, jak dziecko, które w towarzystwie dorosłych wstydzi się własnej dziecinności.

Falko sięgnął do niej i złapał ją za rękę. Musiał kilkakrotnie przełknąć ślinę, zanim znów się odezwał:

– A Malaki?

– Wszystko z nim dobrze – powiedziała Fossetta, ocierając łzy chustką. –

Poobijany i milczący, ale nic mu nie jest. Ostatnio spędza mnóstwo czasu z Bryną.

Falko uśmiechnął się, ale Fossetta spuściła wzrok.

– Jej ojciec też zginął w bitwie.

Jego uśmiech zmartwiał.

– Ruszył na demona z lordem Cadellem – powiedziała Fossetta. – Wiem na pewno, bo wszystko widziałam.

Milczeli jakiś czas, wróciwszy myślami do strasznej nocy w górach.

– Co z Merryweatherem? Został ranny...

– Tak. Rana nie chciała się goić. Zmarł wkrótce po tym, jak tu przybyliśmy.

Serce Falka ścisnęło się z żalu.

– A co z Tobiasem?

– Lepiej, niż można by przypuszczać. Tutejsi są bardzo życzliwi i emisariusz uważa, że Tobias może jakoś przysłużyć się królowej.

Falko był zbyt zasmucony, by pytać, w jaki sposób.

– Tyłu nas zginęło...

Fossetta złapała go za rękę.

– Posłuchaj mnie – zwróciła się do niego ostrzejszym tonem. – Zginęłoby nas o wiele więcej, gdybyś nie pomógł Symeonowi. – Czekala, aż na nią spojrzy, a twarde rysy jej twarzy przestrzegały go przed uzalaniem się nad sobą.

Falko wyglądał jak skarcony chłopiec, gospodyni nachyliła się więc i go pocałowała.

– Witaj z powrotem, kochany. – Odetchnęła.

Przyłożył czoło do jej miękkiego policzka. Nie pamiętał, czy był taki czas, kiedy nie było jej przy nim, by odpędzić strach i niemoc.

– Dobrze – powiedziała Fossetta po długiej chwili. Wstała i puściła jego dłoń. – Ktoś jeszcze czeka na spotkanie z tobą.

Falko odprowadził ją wzrokiem do drzwi.

– Spał w korytarzu – powiedziała z przyganą w głosie. – Zdaje się, że koniecznie chciał tu być, kiedy się obudzisz.

Wywróciła oczami, sięgając do skobla. Falko usłyszał jeszcze, jak wypowiada jakieś słowa do osoby na zewnątrz, a potem w drzwiach stanął Malaki. Wysoki młodzieniec wsunął się niepewnie do pomieszczenia,

przygarbiony, ze wzrokiem utkwionym w podłódze. Patrzył na wszystko, byle nie na przyjaciela.

Oczy Falka zaczęły szczypać i ból, o którym zapomniał, ponownie ścisnął go w sercu. Fossetta patrzyła na Malakiego i pomimo reprimendy, której wcześniej mu udzieliła, było w jej oczach jakieś zrozumienie. Posłała mu uśmiech i skinęła głową.

Rekonwalescent przerzucił nogi przez krawędź łóżka i wstał ostrożnie, trzymając się ramy, by nie upaść. Zachwiał się lekko i Malaki rzucił się, by go złapać, ale Falko zaraz odzyskał równowagę. Raptem stanęli twarzą w twarz. Cisza ciągnęła się jak smoła, gdy szukali właściwych słów.

– Chyba... – zaczął Falko. – Chyba wciąż wybierasz się do akademii?

Malaki pokiwał głową.

– To dobrze... Głupio by było, gdybyś złamał emisariuszowi nos na próżno.

Malaki prychnął śmiechem, zanim zdołał się powstrzymać.

– Myślałem o tym, czy samemu się tam nie wybrać.

Malaki podniósł wzrok i tym razem to Falko uciekł oczami.

– Jak myślisz, pójdziemy tam jako przyjaciele?

– Nie – odrzekł Malaki. – Pójdziemy tak, jak żyliśmy dotąd... jak bracia.

I zanim Falko zorientował się, co się dzieje, Malaki przygarnął go do siebie w niedźwiedzim uścisku. Tama, która wstrzymywała dotąd ich łzy, w końcu pękła i dwaj chłopcy rozplakali się, ściskając się mocno, jakby witali się po długiej rozłące. Rozchwiane nogi Falka w końcu się poddały i zawisł w objęciach przyjaciela. Zatopił twarz w jego ramieniu.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – powiedział Falko.

Siła uścisku kowala jeszcze się wzmogła.

– A mnie z powodu twojego.

Fossetta patrzyła z radością, jak chłopcy zasypują wyrwę, która ich od siebie oddzieliła. Próbowwała coś powiedzieć, ale nagle zaschło jej w gardle. Dwaj młodzieńcy rozdzielili się, słysząc, jak gospodyni kaszle w pięść.

– Przyślę coś do jedzenia – powiedziała, patrząc na Falka. – Ale lepiej jeszcze nie jedz zbyt dużo.

Falko skinął głową, a twarz Malakiego pojaśniała na wzmiankę o posiłku. Fossetta jeszcze chwilę patrzyła na dwóch młodzieńców, a potem opuściła pokój z uśmiechem, za którym stały łzy radości. Chłopcy

wyszczерzyli się do siebie, a potem Falka dopadły zawroty głowy, więc Malaki pomógł mu wrócić do łóżka.

– A niech mnie – prychnął Malaki. – A ja myślałem, że przed bitwą byłeś chudy jak oskubane pisklę...

– Powiedział, co wiedział! – sapnął z uśmiechem urażony Falko, opadając na poduszki.

Malaki przycupnął na brzegu łóżka, a Falko usadowił się wygodniej.

– Jak się czujesz? – spytał kowal.

– Jakiś taki zmarnowany.

Malaki uśmiechnął się, ale zaraz prześlizgnął się spojrzeniem na oparzenia na szyi i ramieniu przyjaciela.

– Te rany wciąż wyglądają na bolesne.

– Ale nie bolą już tak bardzo – uspokoił go Falko, unosząc dłoń, by dotknąć czerwonej skóry.

– Heçamedes cię doglądała. I inni uzdrowiciele też. Niezli są, trzeba przyznać.

Skóra Falka była pokryta jakąś maścią. Roztarł specyfik między palcami i wyłapał woń żywokostu.

– A jak ci się oddycha?

Falko zdumiał się, że wcześniej tego nie zauważył. Miał wrażenie, że płuca są czyste. Czuł jedynie lekki dyskomfort. Odetchnął z mocą, a Malaki pokiwał głową z uznaniem.

– Heçamedes powiedziała mi, że wyzdrowiejesz. Przez jakiś czas będziesz czuł ucisk w płucach, czasem mogą piec, a jak będziesz oddychał zbyt głęboko i zbyt szybko, może rozboleć cię głowa. Ale poza tym Heçamedes twierdzi, że właściwie jesteś już zdrow.

Falko uniósł brew, słysząc te nadzwyczaj szczegółowe prognozy.

– No, czasem niezbyt dokładnie zamykały drzwi – wyjaśnił Malaki, oblewając się rumieńcem.

– A jak ty się czujesz? I jak się ma Bryna?

Rumieniec Malakiego pogłębił się, ale jego oczy jaśniały ewidentnym zadowoleniem.

– Niezle, zważywszy na wszystko, co się stało. – Utkwił wzrok we własnych dłoniach. – Przycichła. Często płacze. Jak my wszyscy. Nikt nie jest dokładnie taki sam jak przedtem.

Falko rozumiał, co chce powiedzieć jego przyjaciel. To była pierwsza bitwa, w której brali udział, ale też ich pierwsze zetknięcie z Opętanymi. To doświadczenie wstrząsnęło fundamentem ich świata i Malaki miał rację – są teraz innymi ludźmi.

– Ale wciąż się rządzi?

– O, żebyś wiedział! – odparł natychmiast Malaki i obaj chłopcy wybuchnęli śmiechem.

Rozmawiali jakiś czas. Falko dowiedział się o wszystkim, co się wydarzyło od zakończenia bitwy. Malaki opowiedział mu, jak grzebali martwych we wspólnym grobie, a Symeona w osobnej mogile, twarzą do wlotu doliny, by strzegł ich po śmierci, tak jak strzegł za życia. Powiedział, że emisariusz nie chciał pozwolić na spalenie zabitych Opętanych, dopóki nie wypowiedział jakichś słów nad stosami cuchnących trupów.

– Utrzymywał, że Opętani są ofiarami bitwy tak samo jak ludzie.

Relacja kowala pomogła Falkowi uświadomić sobie, jak bliski był śmierci i że ocaliły go jedynie uzdrawiające moce maga bitewnego. Wreszcie Malaki powiedział mu, że toulwarskie wojsko przybyło zaledwie dwa dni później i odeskortowało ich do miasta.

– A co z Belliusem? – przypomniał sobie Falko. – Czy udało mu się dotrzeć do Toulwaru?

– O tak – prychnął Malaki. – Nawet zdążył zrobić z siebie bohatera. Który zaryzykował życie, żeby sprowadzić pomoc.

– Ale on zna prawdę i nie będzie mu teraz łatwo, skoro każdy wie, że dał drapaką, żeby ratować własną skórę.

– Bellius gwizdże na to, co kto o nim myśli – zbył uwagę przyjaciela Malaki. – Pewnie już jest w Furii i włazi w tyłek swoim królewskim kuzynkom.

Potem rozmawiali o mieszkańcach Clemoncé i o Toulwarze, mieście zbudowanym na brzegu wielkiego, otoczonego lasem jeziora. Falko zaczynał drugą rundę pytań, gdy rozległo się pukanie i przez drzwi zajrzał służący.

– Panowie wybaczą. Dwaj goście do pana Dantégo.

Falko posłał mu pytające spojrzenie.

– Sir William Chevalier z Eltz i Dominic Ginola, mag bitewny z południowego miasta Ruaen.

– Oczywiście, poproś ich – odrzekł Falko, starając się usiąść prosto w łóżku. Raptem opadło go zdenerwowanie. Cieszył się na spotkanie z emisariuszem, ale zastanawiał się, co myśli o nim mag bitewny, wiedząc, że jest synem Aquili Dantégo.

Siląc się na pozory godności, wbił wzrok w dwóch mężczyzn, którzy weszli do pokoju.

Znajoma twarz emisariusza była poznaczona kilkoma świeżymi, ale już zabliznionymi szramami. Falko zauważył też, że królewski wysłannik utyka lekko na jedną nogę, ale poza tym wydawał się zdrow i cały. Drugi mężczyzna był wysoki i miał długie ciemne włosy oraz smagłą twarz, zniekształconą złamanym kilkakrotnie nosem.

Emisariusz podszedł prosto do Falka i serdecznie uściskał mu dłoń.

– Wyglądasz lepiej – skonstatował z uśmiechem.

W jego postawie było coś, co przepełniło Falka poczuciem bezpieczeństwa i ciągłości; nabrał przekonania, że ponieważ Chevalier w tak krótkim czasie towarzyszył mu w tylu zupełnie różnych życiowych sytuacjach, będzie w jego życiu już zawsze. To osobliwe przekonanie dało początek wrażeniu błogiej ulgi, która nieomal przywiodła go do łez. Chłopak obdarzył go radosnym uśmiechem, po czym zwrócił się do maga bitewnego, w którego ręce znajdowała się butelka.

– W Clemoncé mamy w zwyczaju obdarowywać rekonwalescentów – mężczyzna przemówił głębkim głosem naznaczonym melodyjną płynnością lokalnego dialektu.

Falko przyjął butelkę i obrócił ją, by obejrzeć etykietę z brązowego papieru. Znajdowała się na niej nazwa „Marceneu” i drzeworyt przedstawiający kiść winogron.

– Specjał z winnic Ruaen – objaśnił mag bitewny. – Dobry na sen.

Zmieszany ponad wyobrażenie Falko wydusił kilka słów podziękowań i podał butelkę Malakiemu, by ten postawił ją na stoliku nocnym po drugiej stronie łóżka.

Nastąpiła krępująca cisza, którą w końcu przerwał Falko:

– Malaki twierdzi, że ocaliłeś mnie po bitwie.

Mag bitewny przekrzywił głowę.

– Zrobiłem, co mogłem. Za to ty dokonałeś wielkiej rzeczy. Niewielu ma dość hartu ducha, żeby chodzić w czasie burzy umysłu demona.

Falko spuścił wzrok.

– Symeon był dla mnie jak ojciec – powiedział po prostu, jakby to wszystko tłumaczyło.

W jego głosie nie pobrzmiwała fałszywa skromność. Falko po prostu nie zdawał sobie sprawy, że dokonał czegoś nadzwyczajnego.

– Co teraz zrobisz? – zapytał emisariusz.

– Pojadę do Furii – odrzekł Falko. – Chciałbym szkolić się na uzdrowiciela. Jeśli mnie zechcą.

Malaki i emisariusz zaśmiali się, ale mag bitewny zrobił grymas, jakby czegoś nie rozumiał.

– To on nie wie?

– Nie wie o czym? – spytał Falko, zmieszany i zawstydzony reakcją na swoje słowa.

– Jeśli pojedziesz do Furii, to nie po to, żeby szkolić się na uzdrowiciela – wyjaśnił emisariusz.

– W takim razie po co?

– Żeby zostać magiem bitewnym – powiedział Malaki, a Falko wwiercił się w niego spojrzeniem, jakby tamten nagle zaczął mówić w obcym języku.

– Wygląda na to, że Tobias ma dar rozpoznawania predyspozycji do tej profesji. I miał go już jako czterolatek.

Falko w dalszym ciągu bił w przyjaciela osłupiałym spojrzeniem.

– Mamidełko – rzekł Malaki.

– Tak mnie nazywa – odrzekł Falko, jakby to niczego nie tłumaczyło. – Zawsze tak mnie nazywał.

– Na mnie też tak mówi – powiedział mag bitewny.

Falko spoważniał.

– Chcecie, żebym został magiem bitewnym? Jak mój ojciec?

Obrzucił kowala spojrzeniem, które mówiło: chyba zwariowałeś.

– Póki co masz potencjał, żeby nim zostać – rzekł emisariusz. – A czy rzeczywiście nim zostaniesz, to się okaże. – Położył Falkowi rękę na ramieniu. – No, a teraz prześpij się trochę. Za kilka dni ruszamy do Furii.

Falko pokiwał głową, a potem dwaj mężczyźni wyszli z pokoju. Przystanęli w drzwiach, by raz jeszcze spojrzeć na chuderlawą postać na łóżku.

– Magowie nigdy nie zgodzą się go trenować – orzekł Dominic.

– Może nie powinni – odparł emisariusz, a mag bitewny posłał mu ostre spojrzenie.

– Wojna nie idzie po naszej myśli. Potrzebny nam kolejny mag bitewny pokroju Aquili Dantégo.

– Nie jeśli zwróci się przeciwko nam.

Mag bitewny wbił się spojrzeniem w Falka.

– A zrobi to?

– Nie wiem – rzekł emisariusz i z tymi słowy zamknął cicho drzwi do pomieszczenia.

– Czy zwróci się przeciwko nam? – dociekał Dominic Ginola.

Królowa spyta emisariusza o to samo, a on udzieli jej tej samej odpowiedzi. William Chevalier posiadał dar rozpoznawania charakteru. Lecz choć potrafił zajrzeć człowiekowi do serca, Falko Danté pozostawał dla niego nieodgadniony. Wiedział tylko tyle, że choć wszyscy inni zostali przytłoczeni mocą demona, ten schorowany chłopak ruszył przez pole walki i pomógł magowi bitewnemu stawić czoła złu, dopóki nie nadeszła pomoc. Jeśli dokonał tego, będąc u kresu sił, do czego będzie zdolny w szczytowej formie?

Chłopak był jak na razie zbyt słaby, by przejść rytuał Assay, zresztą Dominic miał rację, magowie nigdy nie zgodzą się go uczyć, lecz gdyby królowa spytała o zdanie jego, Chevaliera, dałby chłopakowi swoją pełną rekomendację. Emisariusz uważał, że Falko Danté powinien zostać magiem bitewnym. Pytanie tylko, jak do tego doprowadzić.

Spotkanie umysłów



Falko leżał w łóżku. Było już dobrze po północy, ale nie mógł zasnąć. Wkrótce wyruszą do Furii. Próbował wyobrazić sobie stolicę, gdy ktoś zapukał do jego drzwi. Chłopak usiadł na łóżku, a jeden ze służących wszedł do pomieszczenia, trzymając w zgięciu palca mosiężny świecznik.

– Przepraszam, panie Danté – rzekł młody chłopiec. – Jest pan proszony do północnej wieży.

– Przez kogo?

– Przez maga bitewnego Dominica Ginolę.

Zaskoczony i nagle dziwnie nerwowy Falko wyskoczył z łóżka, ubrał się prędko i złapał płaszcz z owczej skóry, przewieszony przez oparcie krzesła. Zarzuciwszy go na ramiona, wyszedł z pokoju. Pięć minut później wspiał się po schodach na szczyt północnej wieży. Mag bitewny stał w środku wielkiej otwartej przestrzeni. W jego ręce migotała pochodnia.

– Wybacz, że kłopotzę cię o tej porze. – Falko czuł się zupełnie nie na miejscu, ale skinął magowi na znak, że to nic takiego. – Ktoś chciałby cię poznać.

– Kto? – spytał Falko, ale mag nie udzielił mu odpowiedzi. Uśmiechnął się tylko i pokrzepiająco osadził dłoń na jego ramieniu. Następnie poprowadził go przez rozległy taras i zszedł opromienioną mętnym światłem klatką schodową.

Zaintrygowany Falko okutał się ciasniej płaszczem, gdy owionął go jesienny chłód. Chmury sunęły po rozgwieżdżonym niebie, a w dole

migotały światła pograżonego we śnie miasta. Rozejrzył się raz jeszcze, by się upewnić, czy są sami. Zachodził w głowę, kto też mógłby chcieć z nim rozmawiać w środku nocy.

Zanim zrobił się niecierpliwy, poczuł gdzieś blisko czyjąś obecność, ale nie w którejś z komnat na dole, tylko w niebie nad swoją głową. Skierował tam wzrok i ujrzał na tle firmamentu opadający szybko ku niemu skrzydlaty kształt.

Falko cofnął się o kilka kroków, gdy na bruku wylądował smok, a właściwie smoczyca. Opadła na taras z zachwycającą gracją, bezszelestnie, a jej przybycie obwieścił tylko wiatr, który wzbity dwa potężne skrzydła. Serce Falka tłukło się w piersi. Nie czuł jednak strachu. Smoczyca miała pięć stóp w kłębie, ale jej głowa wznosiła się na smukłej szyi znacznie wyżej. Spoglądała na Falka z wysokości, a spojrzenie jej czujnych oczu sprawiło, że kompletnie znieruchomiał, jakby ogarnął go paraliż. Nawet w ciemności widział zakreślony światłocieniem wzór połyskliwych złotożółtych łusek. Piękna. Potężna i pełna wdzięku.

Przez chwilę dwie istoty, smoczyca i chłopiec, tylko patrzyły na siebie nawzajem. Falko miał przemożne wrażenie, że nie spogląda wcale na zwierzę, ale na szlachetne, inteligentne, myślące stworzenie. To dziwne, ale czuł się tak, jakby stał przed rycerzem. Było też coś w aurze smoczycy, co zdradzało jakąś nerwowość, i Falka olśniło nagle, że jest podenerwowana jego obecnością.

Gdy patrzyli sobie w oczy, przez umysł chłopca przepłynęła sekwencja obrazów. Widział czarnego smoka w Wichrowej Twierdzy i raz jeszcze odczuł całą jego moc, nienawiść i żal. Przypomniał sobie, z jaką trwogą patrzył na jego upadek z urwiska. I jak bardzo wstydzi się tego, że przyłożył rękę do tego upadku. A potem zajrzał głęboko w oczy istocie stojącej przed nim i zdumiało go, że rozpoznał w jej spojrzeniu te same emocje.

Wstyd i żal.

Smoczyca opłakiwała śmierć swojego brata, ale również dręczył ją wstyd. Nie mogła zrozumieć, jak to jest, że przedstawiciel jej gatunku mógł zniżyć się do tego, by skrzywdzić człowieka. Falkowi zdawało się, że prosi go, by jej to wytłumaczył. Chłopak pokręcił głową. Nie potrafił.

Czując, że zawiódł smoczycę, spuścił wzrok. Przez chwilę stworzenie

spoglądało na niego, a potem przysunęło się bliżej i pochyliło głowę, aż okryte łuskami czoło zetknęło się z czołem chłopca.

Falko czuł, że ponosi go fala emocji. To spotkanie tak bardzo różniło się od tego w Wichrowej Twierdzy. Pomimo rozmiarów smoczyca Falko nie czuł zagrożenia. Jakimś sposobem wiedział, że może jej całkowicie zaufać. Ogarnięty uczuciem błogiej rezygnacji, zamknął oczy i otworzył umysł, gdy woń istoty naparła na jego zmysły. Był to dziwny, skomplikowany zapach świeżo wyprawionej skóry, rozżarzonego metalu i sosen.

Słyszał jej miarowy oddech i utrzymujący się ledwie na granicy słyszalności rytm wygrywany przez potężne serce. Powoli wyciągnął rękę, by jej dotknąć. Łuski były twarde jak emaliowana stal, a mimo to nawet w chłodzie nocy biło od nich ciepło. Przyłożył dłoń do smoczego policzka i poczuł, jak ciało porusza się pod skórą. Smoczyca może i jest okryta pancerzem, ale to ciepłe, żywe stworzenie z krwi i kości.

Wreszcie odjął rękę i smoczyca uniosła głowę. Jeszcze przez minutę spoglądała na niego, a potem cofnęła się i rozłożyła skrzydła. Pożegnawszy się skinieniem, odwróciła się i wzbiła w powietrze. Falko zatoczył się, gdy uderzył w niego podmuch wiatru. Patrzył, jak smoczyca unosi się w mroczne niebo, nieświadomy tego, że nie on jeden obserwował, jak znika pośród gwiazd.



Z wysokiego okna miejskiej wieży magów przyglądały się smoczycy także dwie inne postacie. Jedną był Morgan Saker, drugą wielki veneratu wieży, mistrz toulwarskich magów.

– Czy on wie? – spytał veneratu.

– Nie – odparł Morgan Saker. Jego wzrok skupiony był na północnej wieży cytadeli, gdzie mała postać Falka Dantégo właśnie zniknęła im z oczu. – Był zbyt młody. Nie wie nic.

Veneratu nie był przekonany.

– Smoczyca złożyła mu hołd.

Morgan pokiwał wolno głową, zastanawiając się, co też może znaczyć ten nieoczekiwany wyraz szacunku.

Dwaj mężczyźni stali na balkonie, nie odejmując wzroku od tarasu

cytadeli.

– Nie wolno mu rozpocząć nauki – orzekł veneratu.

– Nie przetrwałby rytuału Assay.

– Ale jeśliby mu się to udało...

– Tak – potwierdził Morgan. – Zdobyłby prawo do przeprowadzenia przywołania.

– Nie możemy pozwolić, żeby do tego doszło.

– Może nie uda mu się nawiązać takiej więzi z jego własnym smokiem – rzekł Morgan. – Jego ojciec wykuwał połączenie przez wiele lat.

– Czy jesteś gotów poważnie się na to ryzyko?

Czarne oczy Morgana zalśniły w ciemności. Nie myślał o tym, co może się stać, ale o tym, co już się stało. Kiedyś, gdy Falko był tylko dzieckiem. Pamiętał dobrze małego chłopca stojącego w płonącym budynku. Pamiętał, jak torował sobie drogę przez płomień, by go uratować. Wówczas uznał to za poryw współczucia. Teraz wiedział, czym tak naprawdę to było – momentem słabości, który może doprowadzić ich wszystkich do zguby.

– Nie – odpowiedział po długiej chwili. – Nie jestem.

– A więc pozwól, żebyśmy wysłali wiadomość do naszych braci w Furii. Syna Dantégo nie wolno szkolić, nieważne, jak bardzo będzie na to naciskać królowa.

Morgan pokiwał głową, choć wciąż błędził myślami gdzie indziej. Przypomniał sobie to, co powiedział na placu Caer Dour szlachcic Bellius Snidesson:

„Niedaleko pada jabłko od jabłoni”.

Zwątpienie ogarnęło serce Sakera. Po cóż ratował to dziecko? O ileż prościej byłoby pozwolić mu umrzeć. O ileż prościej zabić go, tak jak zabili jego ojca. Westchnął głęboko i opuścił balkon wraz z veneratu. Oczywiście natychmiast zwołają kwintet do komnaty narad. Piątce magów wysłanie nawet krótkiej wiadomości do stolicy zajmie kilka godzin, nie mieli więc czasu do stracenia.

Magowie Furii otrzymają ostrzeżenie, nim wstanie słońce. Falko Danté nie może zostać magiem bitewnym.



Meredith Saker poruszył się pośród cieni, gdy jego ojciec i veneratu skierowali się do wyjścia z komnaty narad i korytarzem ruszyli do serca wieży. Stał jakiś czas, wodząc za nimi wzrokiem i zastanawiając się, co to za sprawa, która nie może poczekać do rana, i co to za wiadomość, którą trzeba wysłać do Furii w środku nocy.

Obrócił się do okna i spojrzął na północną wieżę cytadeli. On również widział spotkanie Falka ze smokiem, ale w odróżnieniu od chłopaka jemu nie przyniosło ono satysfakcji. Bił się z myślami i nie mógł pozbyć się wrażenia, że szpieguje własnego ojca.

Ale dlaczego?

Odkąd pamiętał, w jego umyśle mieszkał cień; ziarno wątpliwości, które podpowiadało mu, że nie wszystko jest na świecie tak, jak być powinno. To ziarno wykiełkowało w Wichrowej Twierdzy. Nie miało kształtu i Meredith nie potrafił stosownie go nazwać, ale było ściśle powiązane z Falkiem Dantém i osobliwym porozumieniem, jakie nawiązywał on ze smokami.

Młody mag zamknął oczy i oczyścił umysł. Nie znajdzie pożądanых odpowiedzi, snując mętne podejrzenia. Zamiast tego posłuży się jedną z najstarszych dyscyplin magicznych – kontemplacją.

Potęzną bronią, za pomocą której można zedrzeć maskę z twarzy nawet najbardziej nieprzeniknionego cienia.



Falko nie pamiętał swojego powrotu do pokoju. Ani tego, jak wylądował w łóżku. Potrafił teraz myśleć tylko o dotyku smoczej głowy na swoim czole, o głębokim oddechu i niesamowitym ciepłe bijącym z wnętrza ciała smoczycy. Przez całe życie pragnął zobaczyć smoka, jakby miało mu to pomóc zrozumieć śmierć ojca, a teraz odkrył, że smoki również poszukiwały odpowiedzi. Lecz na razie Falko był zadowolony. Stanął przed stworzeniem tak potężnym i tak czystym. Opętani zagrażali istnieniu jego świata i cień wojny kładł się na każdej chwili pokoju, ale istnieje siła, która stawia im odpór.

Pogrążywszy się w głębokim spokoju, zamknął oczy. Czuł nadchodzący wielkimi krokami sen. Za dwa dni opuszczą Toulwar i ruszą do Furii.

Wielkie Opętanie



Następnego dnia rano Falko rozbudził się i rozpoczął dzień szybciej niż zwykle. Nie pogardziłby co prawda nieco większą ilością czasu na regenerację sił, ale do Toulwaru zaczęły napływać niepokojące wieści o rosnącym poczuciu strachu i gęstniejących atakach wzdłuż wschodniej granicy Clemoncé, gdzie nocami uderzały raz po raz pojawiające się znikąd małe i szybkie oddziały Opętanych. Emisariusz bardzo się strapił, gdy mu o tym doniesiono.

– To znak rosnącego wpływu wroga – powiedział im pewnej nocy, gdy siedzieli razem w komnacie jadalnej cytadeli. – Główny front wciąż znajduje się wiele mil od Clemoncé, ale im bardziej zbliża się cień, tym więcej pojawia się pęknięć, przez które przesączają się wrogowie. Zbyt długo mnie tam nie było – dodał. – A poza tym królowa nie może się doczekać spotkania z tobą.

– Ze mną? – wykrzyknął Falko.

– Z synem Aquili Dantégo? – Emisariusz uniósł brwi. – Ależ jak najbardziej.

Falko wciąż uważał za absurdalną myśl, że miałby zostać magiem bitewnym. Absurdalną i niepokojącą. Ludzie już wiele wycierpieli przez skazy w charakterze jego ojca. Wolał nie przysparzać im cierpienia własnymi. Zwrócił się po wsparcie do Fossetty i Malakiego, ale żadne z nich nie wydawało się zaskoczone słowami emisariusza.

– Masz w sobie ogień swojego ojca i szlachetność matki – wygłosiła Fossetta.

– Ale ja ledwie mogę unieść miecz, a co dopiero walczyć nim w bitwie.

– To prawda, ale przecież wiesz, co masz robić – utrzymywał Malaki. – Gdy byliśmy dziećmi, byłeś co najmniej tak sprawnym fechtmistrem jak ja.

– Ależ to było wieki temu. – Falko dobrze pamiętał moment, w którym musiał podjąć decyzję o zaniechaniu ćwiczeń w związku z pogarszającym się stanem zdrowia.

– Tego się nie zapomina – rzekł Malaki głosem mędrca. – Po prostu musisz nabrać trochę ciała. Wiesz, czego ci potrzeba? Kilku miesięcy przy kowadle.

Na twarzy emisariusza malowało się zamyślenie, ale uśmiechnął się, widząc zaafierowanie Falka, a spotkawszy się z nim wzrokiem, uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: oni widzą najlepiej.

Rozmawiali jeszcze chwilę, a po jakimś czasie emisariusz wstał z miejsca.

– Uprzedzę królową o naszym przybyciu – powiedział, po czym skłonił się i opuścił pomieszczenie.

Falko zrobił się nerwowy. Bardzo chciał pojechać do stolicy, ale im krótszy czas dzielił go od wyjazdu, tym bardziej niechętnie o nim myślał. Zwłaszcza że Fossetta postanowiła zostać w Toulwarze, by opiekować się Tobiasem. Kaleki chłopiec przystał ponadto na osobliwą propozycję emisariusza: korzystając ze swojego „daru”, Tobias miał odbyć podróż po kraju i poszukać młodzieńców podobnych do Falka, którzy nosili w sercach ukryty płomień maga bitewnego.

– Tobias mnie potrzebuje – wyjaśniła Fossetta później tego wieczoru, gdy siedzieli przy kominku w pokoju Falka. – Poza tym już czas, żebyś znalazł własną drogę, a nie zrobisz tego, gdy będę płatać ci się pod nogami.

Żadne z nich nie próbowało kryć łez, gdy ściskali się mocno i czule.

– Gdybyś kiedyś mnie potrzebowała... – zaczął Falko.

– Wiem, kochany. Wiem.

Wszyscy zebrali się na obrzeżach miasta, by się pożegnać. Rodziny i przyjaciele kadetów również się tam zjawili, podobnie jak mały tłumek mieszczan. Heçamedes, tak jak Fossetta, również postanowiła zostać w Toulwarze. Lud Caer Dour potrzebował uzdrowicielki bardziej niż kiedykolwiek.

– Żyj długo i prawdziwie – rzekła, cytując stare thraeckie przysłowie.

– Jeśli tak będzie, to tylko dzięki tobie – odrzekł Falko, obejmując ją serdecznie i starając się zliczyć, ile razy Heçamedes uratowała mu życie.

I był też Tobias, siedzący w swoim wózku obok Fossetty.

– Do zobaczenia, Tobiasie – pożegnał się Falko, kucając i ujmując jego rękę. – Opiekuj się Fossettą, dobrze?

Głowa chłopca zakołysała się na cienkiej szyi, gdy przenosił wzrok na Falka.

– Do bczenia, Mamidełko. Pszwoaj welkego smoka.

Falko zaśmiał się cicho.

– I powodzenia w szukaniu kolejnych mamidełek. Mam nadzieję, że nie będą tacy chudzi jak ja.

Tobias zaśmiał się, jakby nie było na świecie śmiesznieszego żartu. Falko podszedł wreszcie do Fossetty, ale ponieważ pożegnali się już w zaciszu pokoju Falka, teraz ograniczyli się do uścisku i pocałunku w policzek, jakby chłopak wybierał się na biwak z Malakim.

– Opiekujcie się sobą nawzajem – powiedziała mu gospodyni. – I pamiętajcie, gdy staniecie przed obliczem królowej, najpierw zwróćcie się do niej „Wasza Wysokość”, a potem po prostu „pani”.

Dwaj młodzieńcy pokiwali głowami, a potem, raz jeszcze obejrzawszy się za siebie, wyprowadzili konie na drogę, gdzie czekał już na nich emisariusz z pozostałymi kadetami.

– Wolałbym, żeby oni z nami nie jechali – rzekł Malaki, wskazując ruchem głowy małą grupkę magów stojących przy drodze. Był wśród nich Morgan Saker i jego syn Meredith. Oni także zmierzali do stolicy.

Ostatecznie emisariusz dał znak, by wszyscy jeźdźcy dosiedli koni. Następnie grupa pomachała mieszkańcom, którzy przyszli ich pożegnać. Falko oglądał się, dopóki nie minęli zakrętu, za którym nie mógł już zobaczyć Fossetty. Co za dziwne uczucie zostawiać w tyle wszystko, co znało się od urodzenia. Falko był wdzięczny losowi, że ma przy sobie przyjaciela. Rzucił okiem na Malakiego, ale ten śmiał się z czegoś dyskretnie z Bryną.

Dokładnie tak, jak być powinno, pomyślał Falko z uśmiechem.

Ruszyli przez lesiste przestwory Clemoncé, torując sobie drogę wśród dębów, buków, kasztanowców i sosen. Czasem mijali wioski i miasteczka.

Nawet tutaj sen z powiek spędzały ludziom koszmary i narastające poczucie przerażenia.

– Wróg się zbliża – skonkludował emisariusz. – Tak samo było w Illicji, gdy byłem chłopcem.

Ponure wejrzenie jego oczu nie dodawało im otuchy. Nie pozostało nic innego, jak tylko jechać naprzód. W dzień trzymali dobre tempo, a na noc zatrzymywali się blisko rzek, jezior lub czystych leśnych stawów.

Kadeci rozmawiali głównie ze sobą. Magowie rozbijali własny mały obóz na obrzeżach głównego obozowiska. Rozmowy dotyczyły przeważnie nieistotnych drobiazgów, ale w miarę pokonywania kolejnych odcinków drogi podróżnicy zaczęli wspominać niedawne wydarzenia, a ich myśli zwróciły się ku Opętanym. Dopiero o zmroku dziewiątego dnia drogi ktoś zadał pytanie:

– Skąd w ogóle wzięli się Opętani?

– Czy w Valencji nie uczy się już historii? – spytał emisariusz między dwoma łykami grzanego wina, gdy siadali na obalonych pniach wokół ogniska.

– Chyba wolelibyśmy dowiedzieć się tego od ciebie – powiedział Malaki, a pozostali kadeci pokiwali głowami.

Emisariusz milczał chwilę. Jego twarz skryła się za obłoczkiem mgły, gdy pociągnął kolejny łyk.

– Wiemy tylko tyle, że po raz pierwszy widziano ich w Ferocji.

Słońce już zaszło, a w ciemniejącej szarzyźnie zaczęły nawarstwiać się woale szarej mgły. Kadeci skupili się przy ogniu, magowie wciąż trzymali się na uboczu, lecz nawet oni zdawali się czekać na słowa emisariusza. Ten długo zbierał myśli.

– Narody Furii od zawsze toczyły ze sobą wojny – zaczął. – Lecz tylko Ferocjanie zdawali się lubować w rzezi.

Chevalier westchnął, szukając czegoś we własnych wspomnieniach. W końcu przypomniał sobie opowieść, którą usłyszał niegdyś od swojego ojca.

– Ich armie co rusz przedostawały się przez Góry Scytów i siały popłoch w Beltane i Illicji. I nie myślcie sobie, że odleglejsze królestwa były wolne od ich ataków. Ferocja chełpiła się wielką flotą, jej okręty wojenne stale nękały wybrzeża Valencji, Thraecji, Acheronu i Clemoncé. Trudno było

wówczas o bezpieczne miejsce w tej części świata i wszędzie padał na ludzi błąd strach, gdy w oddali załopotana flaga z czarnym ferockim wilkiem.

– Ale walczyliśmy – powiedziała siedząca obok Malakiego Bryna.

– Tak, walczyliśmy – potwierdził Chevalier. – Po raz pierwszy królestwa Furii nie zważały na to, co je dzieli, tylko skupiały się na tym, co je łączy. I walczyły razem. Wypchnęły Ferocjan z powrotem za góry, a potem zagnały ich aż do samej stolicy, miasta Iad. Ale wówczas coś się wydarzyło.

Zaległa cisza.

– Niektórzy twierdzą, że feroccy magowie przywołali na pomoc siły podziemnego świata. Inni, że ich król zawarł pakt z panem ciemności. Na pewno wiadomo tylko tyle, że raptem wolnych żołnierzy Furii ogarnął błąd strach. Ale cóż to miało za znaczenie? Myśleli, że pokonali przeciwnika. Nie przyszło im do głowy, że mogą się mylić. Oni tylko przywiedli Ferocjan na skraj rozpacz, a to jakimś sposobem otworzyło wrota piekieł.

Poza kręgiem ogniska samo powietrze wydawało się smoliste czarne.

– Nie stało się to od razu i przez wiele lat ludzie byli przekonani, że rzeczywiście Ferocjan udało się utemperować. Ale wtedy zaczęły się koszmary.

W tym momencie Falko pochylił bezwiednie głowę. Wiedział, o jakich koszmarach mówi emisariusz.

– Te koszmary śniły się tylko niektórym spośród dzieci – wznowił Chevalier. – Większość z nich traciła przez nie zmysły. Zabijały się, wydrapywały sobie oczy, byle tylko uciec przerażeniu.

Zapadła grobowa cisza. Doświadczenie w boju przynajmniej do pewnego stopnia pozwoliło słuchaczom zrozumieć, z czym musiały mierzyć się te dzieci.

– Owe koszmary okazały się ostrzeżeniem, zwiastunem nadchodzących okropieństw, lecz musiało minąć osiem lat, zanim nowa armia przebyła Góry Scytów. Nie była tak wielka jak poprzednia, ale tym razem feroccy wojownicy nie przypominali samych siebie sprzed lat. Byli odmienieni. Nie czuli bólu ani strachu, wydawało się, że ich umysły przechwyciła jakaś mroczna, zła siła. Ludzie zaczęli nazywać ich Opętanymi. Ci, którzy przeżyli toczony z nimi bitwy, mówili o trupach wracających do życia, o potwornych demonach walczących z nimi ramię w ramię. Niezależnie od

tego, jak niewiarygodne były ich opowieści, jedna rzecz była jasna jak słońce. Tych nowych Ferocjan nie da się zatrzymać. Wśród armii, które wysyłano, by ich zniszczyły, szalało przerażenie. Żołnierze, którzy nie zdołali uciec, kończyli martwi lub byli przemieniani i wcielani do stale rosnących armii wroga.

– A jednak udało nam się ich powstrzymać – nie wytrzymał Malaki.

– Tak. Ostatecznie się udało – potwierdził emisariusz. – Stało się to w Beltane. Pewien młodzieniec poprowadził armię przeciwko Opętanym i wygrał. Nazywał się Telamon Feyn. Był pierwszym magiem bitewnym. Jednym z niewielu dzieci, które przeżyły koszmary. Wyrósł na silnego, milczącego człowieka. Opowieści mówią o lśniącym mieczu i ogniu strzelającym z jego dłoni, ale to jego odwaga...

– Dlaczego to zawsze są mężczyźni? – przerwała mu Bryna z wyraźną irytacją.

Falko i Malaki wymienili niezgrabne spojrzenia, ale emisariusz uśmiechnął się krzywo.

– Nie zawsze – zaprzeczył nieoczekiwanie. – Królowa ma kilku żeńskich magów bitewnych, tak jak zresztą i księżę Ernest z Illicji. Ale masz rację, Bryno, niezaprzeczalnie większość magów bitewnych to mężczyźni.

Patrzył na nią, odnotowując, jak jej twarz wypogadza się na te nowiny, i uprzytamniając sobie, że nie odpowiedział właściwie na jej pytanie.

– Prawda jest taka, że nie wiemy, ale sądzimy, że to zależy od tego, jak dzieci przechodzą fazę koszmarnych snów. Skonfrontowane z traumą dziewczynki mają tendencję do zamykania się w sobie, podczas gdy chłopcy przejawiają skłonność do agresji. Żadna z tych reakcji nie uratuje dotkniętego klątwą koszmarów. Jedynie chłopcy, którzy opanują własną agresję, oraz, o wiele rzadziej, dziewczynki, które nie popadną w stan katatonii, mogą żywić nadzieję na przeżycie fazy koszmarów. I nie wszyscy spośród tych chłopców zostają magami bitewnymi.

– Ale wielu jednak zostało – odezwał się ponownie Malaki, a Falko się uśmiechnął, widząc jego entuzjazm. Przyjaciel od zawsze kochał opowieści o starych wojnach, o chwalebnych bitwach. Zresztą obaj kochali.

– No, może nie znowu tak wielu – skorygował emisariusz. – Ale przynajmniej kilku. Magowie zaczynają ich szkolić, ukierunkowywać ich moc, pomagać zrealizować pełny potencjał. Magowie bitewni przez jakiś

czas dawali odpór Opętany, ale liczba i potęga demonów zaczęły rosnać. Dopiero gdy Telamon udał się na samotną wędrówkę w góry, dowiedzieliśmy się, skąd możemy oczekiwać zbawienia.

Teraz to Falko zapłonął ciekawością.

– Magowie krytykowali go za to, że opuścił pole bitwy, ale Telamon upierał się, że potrzebna im będzie pomoc. Wyruszył więc w góry i przebywał tam przez trzy dni bez jedzenia i bez snu. Wiedział, że ludzie w tym czasie walczą i umierają, a jednak postanowił czekać. – Emisariusz zrobił pauzę. – Powiadają, że przywołać smoka to jak uderzyć w wielki dzwon, który rozbrzmiewa tak głośno, że echo niesie się za Nieskończone Morze. – Trzykrotnie uderzył pięścią w pień, na którym siedział, tak jak robił to jego ojciec przy stole biesiadnym w wielkiej sali w Eltz. – Ciche wołanie posłane w otchłań. I ktoś na to wołanie odpowiedział.

– Smoki – wydyszał Malaki, a emisariusz potwierdził skinieniem.

– Nikt nie wie, skąd dokładnie przybywają i dlaczego, ale jakimś sposobem słyszą i stawiają się na wezwanie maga bitewnego, żeby walczyć z nim ramię w ramię. Z początku tylko Telamon, ale z czasem i inni, zachęceni jego sukcesem, zaczęli z powodzeniem przywoływać kolejne smoki, aż w końcu rytuał stał się ostatnim etapem szkolenia magów bitewnych. W tamtych dniach każde przywołanie kończyło się sukcesem.

– Czy przywołano jakieś czarne smoki? – spytał Falko cichym głosem.

Emisariusz pokręcił głową.

– Nie wiemy. Większość zapisków milczy na temat kolorów przywoływanych smoków. Ale niezależnie od nich smoki okazały się skuteczną bronią przeciw Opętany. Szale się odwróciły. Z magiem bitewnym i smokiem u boku żołnierze Furii mogli oprzeć się armiom demonów.

Zamilkł i słuchacze również milczeli, wiedzieli bowiem, o czym opowie w dalszej kolejności. O największej katastrofie, jaka przydarzyła się temu światu, ostatnim rozpaczliwym zrywie wroga doprowadzonego na skraj zniszczenia, o tragicznym w skutkach wydarzeniu zwanym Wielkim Opętaniem.

Emisariusz opróżnił kubek i pozbył się z niego resztek napoju, a potem podjął:

– Opętani zostali pokonani, a magowie bitewni stali się czempionami

ludzkości. Powzięli zamysł, żeby pilnować odzyskanych ziem i rozprawić się z niedobitkami wrażej armii. – Zaległa cisza. – Zapanował pokój. Mijały lata, a czujność magów bitewnych wydawała się wręcz niepotrzebna, lecz oni nalegali, żeby królestwa Furii utrzymywały swoje wojska w stanie gotowości. Taka nieustanna gotowość wymaga jednak znacznych nakładów finansowych i władcy Furii zaczęli protestować. Również magowie nie byli zadowoleni z tego, że Wielkie Dusze władają tak potężną mocą. W ich przekonaniu magowie bitewni nie byli już potrzebni, ale oni niestrudzenie przekonywali, że Furia musi się mieć na baczności. Narastały napięcia, dopóki przywódca magów nie zaczął mówić o nadchodzącej katastrofie.

Emisariusz zapatrzył się w ogień.

– Miał na imię Syballian, był profetą, wielkim veneratu magów. Zaskoczył wszystkich tym, że opowiedział się po stronie magów bitewnych. Stwierdził, że mają rację, że wróg wcale nie przepadł, lecz tylko czeka z ostatnim aktem swojej zemsty. Raz jeszcze strach złapał ludzi za serca. Obawiali się, czym się okaże ten ostatni zryw. Potem nadeszła noc wizji Syballiana. Wyczuł znaczne nagromadzenie złych mocy w miejscu zwanym Cazan lub Kotłem, w wysoko położonej dolinie w górach, nieopodal odległej magicznej wieży zwanej Ossandą. „Wróg otwiera tam nowe przejście do naszego świata”, powiedział Syballian. „Należy powstrzymać go za wszelką cenę”.

Słuchacze spijali słowa z ust emisariusza, wyobrażając sobie wielką nadzieję, jaką musiała wzbudzić ta ostatnia szansa na powstrzymanie plagi Opętanych.

– W tym czasie – wznowił Chevalier po chwili milczenia – po niebie Furii latało dziewiętnastu magów bitewnych na dziewiętnastu smokach. Wszyscy polecili do Kotła, żeby zniszczyć wszelkie okropieństwa, jakie mogły tam na nich czekać. Towarzyszył im zastęp magów z Ossandy. Któż, myśleli wszyscy, oparłby się takiej sile? Niestety, ktoś się znalazł. W Kotle nie czekały legiony piekielne ani oddziały demonów, tylko sama potęga opętania. Ale tym razem to nie ludzie mieli paść ofiarą zła. Tym razem opętane miały zostać smoki.

Falkowi raptem zrobiło się zimno. Pamiętał wściekłość smoka przywołanego przy Smoczym Kamieniu. Czy to możliwe, by czarne smoki wciąż były podatne na opętanie?

Młodzieniec westchnął, a emisariusz wznowił opowieść.

– Raporty złożone przez magów mówiły o smokach, które popadły w szaleństwo i zaczęły atakować swoich magów bitewnych, zanim ci zdążyli zareagować. Bitwa z miejsca okazała się przegrana. Nawet magowie nie byli w stanie przeważać szali na naszą korzyść. Smoki były zbyt potężne. Zanim zostały zabite, zginęli wszyscy magowie bitewni i wszyscy inni magowie, którzy stawili się w Kotle, żeby ich wspomóc. Była to katastrofa, ale zarazem i koniec. Plugawiąca moc opętania zniknęła z tego świata.

Noc była mroczna i śmiertelnie cicha. Nawet wiatr przestał szemrać w koronach drzew.

– Było to czterysta lat temu – zakończył emisariusz tęsknym, jakby z lekka niedowierzającym tonem.

– A teraz Opętani wrócili – powiedział głos z ciemności.

Wzrok wszystkich skierował się na Mereditha Sakera, stojącego na skraju światła bijącego od ogniska.

– Tak – potwierdził emisariusz, spoglądając na Mereditha, jakby spodziewał się, że ten coś jeszcze powie.

Falko widział niepewność w oczach młodego maga. Wszyscy wiedzieli coś jeszcze, o czym nie wspomniał w swojej opowieści emisariusz. Ostatni oddech wroga ograbił świat z magów bitewnych, a wielu ludzi obwiniało ich za to, że nie domyślili się, iż smoki okażą się podatne na opętanie. Nawet teraz, choć minęło już czterysta lat, niektórzy wciąż krzywo patrzyli na magów. Ale jakie to miało znaczenie? Wróg został pokonany. Ludzie wrócili do zwykłych życiowych spraw, a stosunek mocy pomiędzy magami a władcami Furii powrócił do chwiejnej równowagi.

Przez kilka sekund Meredith utrzymywał spojrzenie emisariusza, lecz zaraz spuścił wzrok i łypnął przez ramię na ojca, siedzącego w grupie pozostałych magów. A potem, nie dobywszy już ani słowa, na powrót skrył się w ciemności.

– Co to miało być? – wyszeptał Malaki.

Falko, który zawiesił wzrok w miejscu, w którym zniknął Meredith, tylko pokręcił głową.

Niezręczna cisza trwała, dopóki emisariusz nie podniósł się z pnia.

– Starczy już tych opowieści – wyrzekł. – Czas na sen. – Rozrzucił nogą kilka żarzących się jeszcze niedopałków. – Jeśli się jutro postaramy, przed

zmrokiem dotrzemy do wybrzeża, a stamtąd pozostaną nam już tylko dwa dni do Furii i do spotkania z królową.

Młodzi kadeci popatrzyli po sobie nerwowo, ale emisariusz uspokoił wszystkich pokrępiającym uśmiechem. Powoli zaczęli przygotowywać obóz na noc.

Falko pomógł posprzątać po kolacji, a potem, gdy Malaki poszedł oporządzić konie, rozłożył ich posłania obok Bryny. Niebo się przejaśniało i Falko spostrzegł światelka gwiazd między rozdartym sklepieniem chmur. Już wracał do przerwanej zadania, gdy jego uwagę przykuli magowie zgromadzeni wokół własnego małego ogniska. Okutani w ciemne szaty, rzucali posępne cienie pośród mroku i Falko poczuł, jak dreszcz zbiega mu po kręgosłupie. Zawsze z bojaźnią odnosił się do mocy magów, ale w postawie Mereditha było coś, co mówiło o zwątpieniu, i Falko odkrył, że to spostrzeżenie mąci jego spokój ducha.

– Na co tak patrzysz, marzycielu?

Falko aż podskoczył, gdy Malaki wrócił od koni.

– A, na nic – odparł, ale kowal podążył za jego wzrokiem.

– Myślisz, że wiedzieli o smokach? – spytał Falko, wskazując głową grupkę czarodziejów.

– Kto to wie? Bardziej martwię się audiencją u królowej! Na pewno palnę coś głupiego.

Falko pokiwał głową zamyślony, a potem ułożył się na posłaniu. Malaki rzucił coś do Bryny, za co ona nagrodziła go ciosem pięścią w ucho. Wciąż się śmiejąc, kowal życzył im obojgu dobrej nocy. Naciągnął koce na szerokie ramiona, a potem, tak jak jego ojciec, momentalnie zasnął. Bryna spojrzała na Falka i podzieliwszy moment rozbawienia, sami ułożyli się do snu.

Falko wsłuchał się w odgłosy milknącego obozowiska, ale sen nie chciał go tej nocy odwiedzić. Chłopak zaczął więc myśleć o opowieści emisariusza.

Czy magowie rzeczywiście wiedzieli, że smoki są podatne na mroczną magię? Czy mogli ostrzec ludzi, lecz z jakiegoś powodu tego zaniechali?

Czy mogli zapobiec Wielkiemu Opętaniu?

Pytania mnożyły się w jego głowie i gdy już zaczął sądzić, że nigdy nie przestaną, zaświtała mu kolejna myśl. Jutro dotrą do wybrzeża i po raz pierwszy w życiu zobaczy morze. Nieskończone Morze, za którym, jak wieść niesie, żyją smoki.

Smoki... Magowie... Opętani... Morze...

Smoki... Magowie... Opętani... Morze...

Taki był rytm jego myśli. Trudno mu było wyobrazić sobie wodę, która ciągnie się w nieskończoność, a jednak wyobraził ją sobie i to sprowadziło na niego głęboki spokój, a wraz z nim – sen.

Koniec podróży



Zachodnie wybrzeże Clemoncé tchnęło dzikim, surowym pięknem. Gęste lasy środkowej części kraju ustąpiły przed wzgórzami porośniętymi trawą, janowcem i paprocią, po których hulał wiatr, wyginający rosnące z rzadka drzewa w fantastyczne kształty. Lecz jeśli wiatr malował ten krajobraz, to morze było tym, co go rzeźbiło. Od stromych klifów i chropowatych skał po szerokie pasma białego piasku – wszystko było ukształtowane przez morze, a Falko chłonał te nowe wspaniałości, jakby nigdy nie miały mu się znudzić. Patrzył na to, prowadząc konia ubitą trawiastą drogą wzdłuż poszarpanej linii urwiska.

Poranne powietrze było świeże i czyste, podobnie jak w górach, z tą istotną różnicą, że bryza niosła od morza zapach soli, który kręcił w nosie i sprawiał, że ślina napływała do ust. Jechali naprzód z Malakim i Bryną. Zbliżali się do celu podróży i zaczęli uporczywie zastanawiać się nad tym, co też spotka ich w Furii. Emisariusz zwolnił nieco, by zrównać się z trójką przyjaciół, a oni wykorzystali okazję, by zasypać go pytaniami.

– Nie wiemy nawet, gdzie się zatrzymamy – powiedziała Bryna.

– Przydzielę wam kwatery w barakach akademii – powiadomił ich emisariusz. – A potem przejdziecie selekcję.

– Myślałem, że już ją przeszliśmy – zmartwił się Malaki, a Falko uśmiechnął się, słysząc zdenerwowanie w jego głosie.

– Istotnie, przeszliście – przyznał emisariusz. – Ale wciąż jeszcze musimy zdecydować, jak najlepiej wykorzystać wasze umiejętności.

– Malaki robi dobrą potrawkę – podsunął Falko. – Na pewno sprawi się

jako kuchcik.

O zdenerwowaniu Malakiego najlepiej świadczyło to, że nie zrewanżował się żadnym równie kąśliwym żartem.

– Co się krzywisz, to ważne zadanie – ciągnął bezlitosny Falko. – Armia daleko nie zajdzie z pustym żołądkiem.

Emisariusz zaśmiał się i nawet Bryna uśmiechnęła się wesoło, słysząc te docinki. Wciąż oswajała się z poczuciem humoru prostych ludzi i czasem jeszcze nie umiała ocenić, kiedy żartują, a kiedy nie. Na początku podróży zareagowała oburzeniem, gdy obśmiali na wszystkie sposoby jednego kadeta za to, że posikał się w czasie bitwy.

– Jak mogą żartować z czegoś takiego? – wyszeptała do emisariusza.

– A dlaczego nie? – odparł rycerz, patrząc z uśmiechem na rumianego młodzieńca, którego zawstydzenie przeminęło w fali serdecznego śmiechu.

Teraz Bryna patrzyła z ukosa na Malakiego, by zobaczyć, jak zareaguje na żarty Falka. Całe szczęście, że z pomocą przybył mu emisariusz.

– Jestem pewien, że pan de Vane jest zdolnym kucharzem, ale wydaje mi się też, że przeznaczenie prowadzi go inną drogą.

Malaki posłał Falkowi mordercze spojrzenie, a potem uśmiechnął się do Bryny, która poczuła się osobliwie poruszona, gdy uświadomiła sobie, że obaj młodzieńcy odnoszą się do niej jak do przyjaciółki.

– W akademii rozpoczniecie szkolenie oficerskie – odpowiedział emisariusz na pytanie Malakiego. – Proces selekcji służy temu, żeby ustalić, jakimi jednostkami będziecie dowodzić. I oczywiście ci, którzy zechcą zostać rycerzami, zostaną zaproszeni do *épreuve du force*.

– Czy to właśnie tą drogą wstąpiłeś do Nieugiętych? – zapytał Falko.

Emisariusz skromnie przekrzywił głowę.

– Zostałem wybrany w Illicji. Ale proces był równie wymagający i nie chciałbym musieć go powtarzać.

Z Falka i Bryny uszło powietrze, ale Malaki zadarł nos, gdyż cieszył się na okazję do przetestowania swojej siły. Chciał chyba zadać kolejne pytanie, ale kadet idący w pierwszej linii zaalarmował kolumnę wołaniem, a wyciągniętym ramieniem wskazał jakiś punkt przed nimi.

Falko stanął w strzemionach i zobaczył, że zza linii wzgórz wyłania się jeździec. Mężczyzna mknął z boczem prosto w kierunku wyłuskanej wrokiem z tłumu postaci emisariusza.

– Sir Williamie – powiedział posłaniec, skłaniając się w siodle po tym, jak wrył konia ostrym szarpnięciem za wodze.

Emisariusz skinął mu głową.

– Kazano mi cię znaleźć, choć nie spodziewałem się, że stanie się to tak szybko.

– Droga była czysta, a pogoda łaskawa – wyjaśnił Chevalier.

Jeździec kiwnął głową i popatrzył po podróżnikach. Zrobił to pobieżnie, ale Falko domyślił się, że właśnie ich wszystkich policzył.

– Czy zmierzacie prosto do stolicy?

– Zgadza się – potwierdził emisariusz. – Czy królowa jest na miejscu?

– Tak jest.

– A więc przekaz Jej Wysokości, że dotrzemy do miasta jutro rano.

Zwiadowca skłonił się płytko i chwycił za wodze, jakby chciał odjechać, ale emisariusz zatrzymał go uniesieniem dłoni.

– Jakie wieści z wojny?

– Niestety, złe, panie. – Twarz posłańca pobladła, jakby był osobiście odpowiedzialny za niepowodzenia na froncie. – Strach padł na wschodnią granicę, a twoje zwycięstwo było pierwszym po długiej serii porażek.

– Czy wróciła Piąta Armia?

– Tydzień temu. Królowa osobiście wyjechała jej na spotkanie, jak nakazuje zwyczaj, ale teraz posłała w bój dwie kolejne.

– Dwie?

– Tak, panie. Trzecia Armia stacjonuje na południowy wschód od Toulwaru.

Emisariusz pokiwał głową. O tym już wiedział.

– A Pierwsza Armia maszeruje teraz do Hoffen, żeby wesprzeć illicyjskie wojsko.

Emisariusz skrzywił się. Jeździec wydawał się zaaferowany.

– Mogę chwilę zostać, jeśli chcesz się, panie, dowiedzieć więcej. Nie mamy wielu wieści z frontu, ale chętnie powiem wszystko, co wiem.

– To nie będzie konieczne – rzekł emisariusz. – Po powrocie zorientuję się w sytuacji, a królowa na pewno chciałaby jak najszybciej wiedzieć, że przybywamy.

Posłaniec przyłożył prawą rękę do piersi i skłonił się nisko w siodle. Emisariusz odwzajemnił gest, a potem mężczyzna odjechał.

Falkowi nie umknął wyraz twarzy jeźdźca. Cieszył się, że może w końcu dostarczyć jakieś dobre wieści, a co więcej – odczuł wyraźną ulgę na widok wracającego emisariusza. Falko łypnął kątem oka na mężczyznę, który był ich przywódcą od opuszczenia Caer Dour.

O tak, pomyślał. Z całą pewnością ten człowiek jest kimś więcej niż tylko zwykłym królewskim emisariuszem.

– To źle, że królowa posyła do boju Pierwszą Armie? – spytał Malaki, gdy jeździec zniknął za wzgórzem.

– Samo w sobie nie – odrzekł emisariusz, myśląc już o czymś innym. Dał znak towarzyszom na czele kolumny, by wznowili marsz. – Ale jestem zaskoczony, że sprawy tak się potoczyły.

– Czy to znaczy, że w Illicji źle się dzieje? – spytała Bryna. Ich zatroskanie selekcją i treningiem nagle wydało im się samolubne i błahe.

Z gardła emisariusza wydobył się ponury śmiech.

– W Illicji źle się dzieje od lat – uświadomił ich. – To znaczy, Bryno, że dzieje się coraz gorzej i zagrożenie coraz bardziej zbliża się do Clemoncé.

– Iloma armiami dysponuje ten kraj? – spytał Malaki.

– Pięcioma. Nie licząc oddziałów rozproszonych po prowincji – odparł emisariusz, gdy schodzili z trawiastego wzgórza. – Poza tym są jeszcze Nieregularni, Légion du Trône i ta nowa armia magów, choć nad nimi królowa nie ma faktycznej władzy.

– A kto ma? – zainteresował się Falko.

– Magowie, oczywiście – wyklarował emisariusz, nie usiłując ukryć przygany w głosie. – A dokładniej: Galen Thrall, wielki veneratu.

– Magowie wojownicy? Walczą magią czy mieczem? – spytał Malaki.

– Jednym i drugim.

– Myślałam, że tylko magowie bitewni władają magią bojową. – Bryna zmarszczyła brew.

Emisariusz prychnął z goryczą.

– Inni magowie chętnie odbiorą im ten monopol.

– Czy są potężni? – indagował Falko.

Emisariusz spojrział na niego z ukosa, jakby odpowiedź sprawiała mu fizyczny ból.

– Co prawda widziałem ich tylko w trakcie ćwiczeń, ale tak, wszystko na to wskazuje.

– Czy nie powinniśmy więc przyklasnąć ich wysiłkom? – pociągnęła Bryna wyniośle. Jako członkini klasy wyższej nie była tak podejrzliwa w stosunku do magów.

– Może powinniśmy – odparł emisariusz z dyplomatycznym uśmiechem.

Falko i Malaki wymienili szybko spojrzenia, ale nie kontynuowali tematu. Nie było sensu się kłócić. Kto wie, może armia magów okaże się właśnie tą siłą, która przechyli szalę korzyści na ich stronę.

– A co to takiego ten Légion du Trône? – zaciekawiał się Falko. – Nigdy o nim nie słyszałem.

Emisariusz kiwnął głową. Nie umknęło mu to, jak gładko chłopak zmienił temat.

– Légion du Trône nie angażuje się w konflikty poza granicami kraju – wyjaśnił. – Jego zadaniem jest obrona stolicy.

– A ci Nieregularni? – pytał Malaki.

Emisariusz przekrzywił głowę, a jego twarz rozpogodził uśmiech tchnący osobliwą czułością.

– Nie każdy żołnierz, który trafia do Furii, nadaje się do Akademii Sztuki Wojennej.

– A więc po prostu nie są zbyt dobrzy? – uśmiechnął się Malaki.

– Gdybym chciał być nieuprzejmy, tak bym to ujął – odparł emisariusz, a Malaki spuścił głowę zawstydzony. – Ale to prawda. – Prychnął śmiechem. – Niestety, nie są zbyt dobrzy.

Uśmiechnięci jechali dalej w ciszy. Wokół pysznił się piękny jesienny dzień, chłodny i jasny. Po błękitnym niebie sunęły gładko białe chmury. Prawie dotarli na szczyt wzgórza, gdy emisariusz stuknął Falka w ramię i pokazał palcem coś wysoko na niebie. Z początku chłopak niczego nie zauważył, ale raptem rzucił mu się w oczy mały ciemny kształt, który wyłonił się zza chmury i pomknął ku widocznym w oddali górcom. Malaki i Bryna też go dostrzegli.

– Smok? – chciał się upewnić Malaki.

Emisariusz potwierdził ruchem głowy.

– Kiedyś wiele ich latało nad stolicą. Teraz większość walczy z Opętanymi poza granicami kraju.

Falko patrzył jak oczarowany na niknący za inną chmurą skrzydlaty kształt.

– A tam – wskazał emisariusz, gdy znaleźli się na szczycie wzgórza – znajduje się miasto portowe Furia.

Przed nimi rozpościerał się widok na szerokie pasmo szarego kamienia, sięgającego w głąb lądu od linii wybrzeża. Falko sądził dotąd, że Toulwar był duży, lecz teraz rozumiał, że ma się nijak do widocznej w dali metropolii.

Całe miasto otoczone było podwójnym murem obronnym, blankowaną linią fortyfikacji upstrzoną strażnicami i barbakanami. Za murami wznosiły się ponad przestwór terakotowych dachówek wieże, iglice i kopuły okryte dachami w kolorze ochry, ocieplającym nieco monumentalne stołeczne fortyfikacje.

– Jak widzicie, mury pociągnięto nieco dalej, żeby osłonić nimi także przystań – powiedział emisariusz, gdy dogonili ich kadeci. – Spójrzcie teraz na środek miasta. Tam ponad dachami wznosi się cytadela.

– A gdzie jest akademia? – spytał któryś z kadetów.

– Na płaskowyżu za miastem. Znajdziecie tam Akademię Sztuki Wojennej, a także poligony i wieże magów.

– A ten bładny budynek na lewo od gmachu? Ten, na którym powiewają flagi?

– To pałac. – Emisariusz pokazał budynek przycupnięty nad samym urwiskiem. – Dwór królowej Catherine.

Chłonęli wzrokiem olbrzymie miasto, stykające się od strony zachodniej z morzem, a od północy i wschodu okolone ośnieżonymi górami. Niemal widzieli oczami wyobraźni jasny błękit i turkus flag Clemoncé, ale byli zbyt daleko, by dostrzec wymalowanego na nich konia oraz insygnia królewskie.

– Jaka ona jest? – zaciekała się Bryna.

Emisariusz powiódł wzrokiem po młodzieży o rozplonionych oczekiwaniem oczach, ale nie udzielił odpowiedzi. Uśmiechnął się tylko.

Królowa Furii



Stojąca na balkonie w swoich prywatnych komnatach Królowa Catherine de Sage spoglądała na rojną metropolię – Furię. Ostatnie kilka dni spędziła poza pałacem, cieszyła się więc, że wreszcie wróciła do siebie, nawet jeśli kolejne problemy do rozwiązania piętrzyły się na jej barkach. Należało zająć się tysiącem pilnych spraw, lecz ona myślała teraz tylko o małym pliczku listów ułożonych równo na jej biurku. Przyniósł je wcześniej tego ranka Cyrano, a wyraz jego twarzy nie pozwalał odgadnąć, jakie emocje się za nią kryją. Choć wiedziała na pewno, że chętnie by je przeczytał.

– Ile odpowiedzi? – spytała swojego doradcę.

– Tyle, ile było listów, Wasza Wysokość.

Królowa uniosła brwi. Nie spodziewała się, że wszyscy monarchowie odpowiedzą, i to tak prędko. To kolejna rzecz świadcząca o tym, jak bardzo źle przedstawia się sytuacja. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Słońce świeciło jasno, ale morska bryza przenikała przez jej lekką suknię. Otoczyła się ramionami, by odpędzić zimno, a potem uniosła dłoń do aksamitki na szyi. Wyszyto na niej surowy wzór, monogram symbolizujący siły, które kształtowały jej życie: powinność, smutek i miłość. Była to pierwsza rzecz, którą zakładała każdego ranka, i ostatnia, którą zdejmowała każdego wieczoru, lecz teraz była już nieco znoszona i królowa zastanawiała się, ile jeszcze czasu minie, nim poluzuje się szew lub puści sprzączka. Był to znak, że nie wolno pozostać w żałobie do końca życia. Prędzej czy później będzie musiała udzielić odpowiedzi księciu Ludovicowi.

Ale nie w tym roku, pomyślała, przywołując na twarz zdeterminowany uśmiech. Ani nie w przyszłym, jeśli los pozwoli.

Westchnąwszy, królowa odsunęła te myśli na bok i zapatrzyła się w panoramę miasta, zbudowanego przez jej przodka ponad sto dwadzieścia lat temu. Robiło wrażenie bezpiecznego, wręcz sennego, ale królowa wiedziała, że to tylko iluzja.

Jej ojciec, król Philip II, nauczył ją, że pokój jest rzeczą przejściową. Plaga, powódź, susza, wojna... na horyzoncie wiecznie czai się cień. Wszystko przemija z czasem. Zadaniem władców jest jak najbardziej ograniczyć czas cienia i jak najbardziej rozciągnąć czas światła. Jej ojciec był najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znała, lecz teraz zaczęła się obawiać, że jednak w tej sprawie się pomylił. Cień Opętanych nie przemija z czasem. Gdyby nie powstrzymał go człowiek, spowiłby świat na zawsze.



Ich jedyną nadzieją w tej wojnie jest jedność. Muszą stanąć zjednoczeni, by wspólnie oprzeć się wrogowi. Illicja i Beltane zostały rzucone na kolana. Valencja chyliła się ku upadkowi pod rządami zidiociałego króla. Acheron jako jedyny pławił się w potędze, podczas gdy król Thraecji został przykuty do łóżka przez udar, jego tron zagarnięty, a syn – pozbawiony dziedzictwa w wyniku machinacji thraeckich magów.

Sytuacja była beznadziejna.

A jednak Catherine nadziei nie traciła.

I to właśnie w tym duchu napisała do pozostałych władców. A oni odpowiedzieli. Czy zjednoczą się, jak zrobili to w przeszłości, czy też będą toczyć własne wojny samotnie, uparcie negując grożącą im wszystkim zgubę? Odpowiedź znajdzie w listach na swoim biurku. Westchnęła

z rezygnacją i odwróciła się od okna. Jej myśli wciąż zajmowały rozliczne kwestie związane z zarządzaniem miastem, lecz jeśli królestwa nie znajdą wspólnego języka i nie zewrą szeregów, to niedobór żywności i obawy przed znaczną liczbą napływających do miasta uchodźców będą najmniejszymi ze wszystkich jej problemów. Usiadła przy biurku i ciężko spojrzała na plik kopert opatrzonych królewskimi pieczęciami.

Który list przeczytać najpierw?

Po chwili wahania podjęła decyzję, by zapoznać się z nimi wedle kolejności, w jakiej napisała własne. Wzięła do ręki pierwszy, rozwiązała karmazynową wstążkę i rozpoznała smoczą pieczęć króla Valencji.

*Od Vittoria Tristisa, króla Valencji
Do Jej Wysokości królowej Catherine z Furii*

Caer Laison pragnie serdecznie podziękować Waszej Wysokości za Jej troskę o lud Valencji, któremu zagroziło niebezpieczeństwo ze strony ferockiej armii po tym, jak przekroczyła północną granicę naszego państwa. Pierwsze raporty rzeczywiście zdawały się sugerować, że liczebność owej armii jest niepokojąco duża i że przewodzi jej demon, lecz niedawno dotarły do nas wieści o dzielnych mieszkańcach Caer Dour, którzy zdołali pokonać demona w górach, zanim ten zagroził królestwu Clemoncé.

W świetle tego faktu pragniemy uspokoić Waszą Wysokość. Na północnych rubieżach znajduje się wiele miasteczek, w których mieszkają ludzie krzepcy i dzielni. Jesteśmy pewni, że gdyby potrzebowali pomocy, pierwsi zgłosiliby się po nią do swojego króla. Mamy w Valencji piękną tradycję gromienia Opętanych, w odróżnieniu od królestwa Waszej Wysokości, które otoczone przez potężniejsze królestwa, nie musiało dotąd mierzyć się z zagrożeniem z ich strony.

Co się zaś tyczy drugiej prośby Waszej Wysokości, pragniemy poinformować, że po otwarciu granicy z Beltane nasze miasta zostały zalane przez falę uchodźców. Jednakże zmuszeni jesteśmy odmówić, jeśli chodzi o wysłanie wojsk za granicę. Uważamy, iż najważniejszą sprawą jest w tej chwili utrzymanie naszych armii i Wielkich Dusz blisko stolicy. Jej obrona jest dla nas sprawą pierwszej

wagi.

Jeśli Wasza Wysokość posiada nadmiar zdolnych żołnierzy, sugerujemy wysłanie ich do Illicji, która pozwoliła wrogowi przełamać swoje linie obrony.

Łączymy wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia,

*Vittorio Tristis,
lord Caer Laison i król suweren Valencji*

Królowa pokręciła głową na ten pisemny festiwal arogancji. Valencja zasługiwała na kogoś lepszego. Choć Chevalier nie rozpisał się przesadnie w swoim raporcie z Toulwaru, królowa nie wątpiła, że przedstawił szczerą prawdę o tym, co wydarzyło się w górach. Wcale nie zamierzała narażać go na niebezpieczeństwo. Dopiero po jego wyjeździe dowiedziała się, że demon wyznaczył swojej armii drogę przez tę konkretną dolinę. A poza tym, pomyślała z uśmiechem królowa, nawet gdyby o tym wiedział, i tak chciałby odwiedzić to miasteczko, które zdawało się wydawać jednego nadzwyczaj silnego wojownika po drugim.

Sir William Chevalier był jej poddanym i wiernym sługą, ale przez lata nauczyła się cenić jego zdanie. Była rada, że wraca wreszcie na dwór. Niecierpliwość skłoniła ją dziś rano do wysłania mu naprzeciw posłańca, którego zadaniem było powiadomić ją, kiedy dokładnie może spodziewać się Chevaliera w stolicy. Raport emisariusza zawierał kilka szczególnie interesujących informacji. Królową zaintrygowało zwłaszcza to, że do Furii zmierza wraz z nim rodzony syn Aquili Dantégo.

Catherine pozwoliła sobie na uśmieszek samozadowolenia. Czegóż by nie oddała, by zobaczyć miny magów, gdy ujrzą, jak wjeżdża on do miasta. Odsunęła tę myśl na bok, odłożyła list z Valencji i sięgnęła po kolejny. Zsuwając wstążkę, dostrzegła płomienistą pieczęć Beltane. Wzięła głęboki wdech, nim zaczęła czytać. Nie sądziła, by zawierał dobre wieści.

Od Ozrika, króla Beltane

Do Jej Wysokości królowej Catherine z Furii

Wasza Wysokość złożyła nam kilka miesięcy temu hojną propozycję udzielenia wsparcia, którą przez naszą arogancję ośmieliliśmy się

odrzuć. Teraz gdy wydarzenia potoczyły się torem przewidzianym przez Waszą Wysokość, arogancja jest luksusem, na który nas nie stać. Nasze wysiłki mające na celu powstrzymanie ofensywy wroga zawiodły i jedynie wielki generał Vercincallidus ocalił nas przed sromotną klęską. Opętani odcięli od świata Port Svart, a nasze siły są podzielone. Nãrothia i Estãnia przepadły, a lud Serthii wycofuje się do miast fortecznych: Aengusu i Agrony. Mamy zamiar bronić się w sercu Veãstu, lecz podupadamy.

Demony rosną w siłę i liczbę, a my nie mamy w naszych szeregach dość magów bitewnych, by powstrzymać ich marsz. Król Vittorio wreszcie otworzył granice i nasi ludzie napływają zwartym strumieniem do Valencji, lecz król się lęka. Dobięły nas słuchy o armii dãmona, która zrównała z ziemią kilka jego północnych miasteczek, a więc, podobnie jak Acheron i Thraecja, Valencja skupia się przede wszystkim na własnej obronie.

Poinformowano nas, że w Illicji nie jest lepiej oraz że pragnie Wasza Wysokość ruszyć Illicjanom z pomocą, lecz jeśli wciąż leży to w zakresie możliwości Waszej Wysokości, z pokorą prosimy o przysłanie nam tylu Wielkich Dusz, ile to tylko możliwe. Bez nich bowiem Płomienie Beltane z pewnością zgasną.

Przesyłamy naszej Przyjaciółce i Sojuszniczce wyrazy głębokiego szacunku,

*Ozrik Goudicca
król Beltane i wódz Dziewięciu Plemion Elduru*

Królowa poczuła ucisk w sercu. Ozrik był wielkim i dumnym królem. Wiedziała, jak wiele musiało go kosztować napisanie takiego listu. Świadczyło o tym, że sytuacja jest tragiczna. Większość jej własnych magów bitewnych walczyła teraz w Illicji, lecz pomówi z marszałkiem Bretonem i sprawdzi, czy nie znajdzie się jakiś, który mógłby wspomóc wojowników Beltane. Wyrzuciła powietrze z płuc i sięgnęła po kolejny list na tacy. Troska nie opuszczała jej oblicza. List przyszedł z Illicji i tak jak w przypadku wiadomości z Beltane jego zawartość okaże się zapewne nie mniej ponura. Babka królowej pochodziła z tego wielkiego królestwa. Catherine uzbroiła się przeciwko złym wieściom, które, jak podejrzewała,

niechybnie wyczyta z królewskiej papeterii.

*Od Ernesta z Festunthronu, koronowanego księcia Illicji
Do Jej Wysokości królowej Catherine z Furii*

Droga Kuzynko,

jak mam Ci dziękować za wystanie do nas (kolejnych) posiłków? Obawiam się, że księżę Friedrich z Ligi Ceratonu nie podziela mojej wdzięczności. Kto wie, może jego duma nigdy nie wyliże się z tak dotkliwych ran, ale jest to w końcu człek pragmatyczny, a Twoje wojska pomagają nam teraz zabezpieczyć ziemię na wschód od Hoffen. Przykro mi, że odrzuciłem Twoją wcześniejszą propozycję pomocy. Gdybym posłuchał Twojej dobrej rady, moglibyśmy zapobiec przełamaniu naszych fortyfikacji na południe od Ambossu.

Nie muszę Ci mówić, że niezbyt dobrze radzimy sobie w tej wojnie, i obawiam się, że w ogóle nie posiadam środków, by należycie ją prowadzić. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mój ojciec zatrzymałby Opętanych pod Coburgiem. Znam Cię i wiem, co byś na to powiedziała, i w chwilach zwątpienia Twoje pokrzepiające słowa są mi wielką pomocą, ale takich wątpliwości niełatwo się pozbyć.

Ale dość o tym, przejdźmy do innych, ważniejszych spraw...

Cieszę się, że jesteś zdrowa i z powodzeniem temperujesz wyśrubowane ambicje magów (Twój ojciec byłby dumny!). Czy to prawda, że ich armia jest już prawie gotowa do bitwy? Galen Thrall pewnie zadziera nosa pod sam sufit.

A jak się miewa Twój przyjaciel? Brakuje mi jego rad, lecz wiem, że potrzebujesz go bardziej niż ja. Nieugięci niezmiennie mają go w wielkiej estymie. Pozdrów go ode mnie, gdy tylko go zobaczysz.

Trzymaj się dzielnie, droga Kuzynko. Świat Furii potrzebuje Cię, nawet jeśli niektórzy jeszcze sobie tego nie uprzytomnili.

Napiszę wkrótce, mam nadzieję, z lepszymi wieściami.

Twój pokorny i kochający sługa

Ernest

Królowej łyzy cisnęły się do oczu. Ernest to taki dobry człowiek. Miał

serce poety, a mimo iż wątpił we własną siłę, Catherine wiedziała, że pod tym względem w niczym nie ustępuje swojemu ojcu. Rzeczywistość zbyt prędko przytłoczyła Ernesta ogromem powinności i choć trudił się pod tym ciężarem, był coraz lepszym władcą dla swoich ludzi. Zresztą nie bardzo miał wybór.

Z westchnieniem odłożyła list od kuzyna i wbiła wzrok w pozostałe dwa. Acheron i Thraecja... Czy dołączą do niej?

Czy zmobilizują swoje armie?

Gdy sięgała po wiadomość z Acheronu, serce przestrzegło ją, by nie spodziewała się zbyt wiele.

*Od Tyramimusa Kthénosa, króla Acheronu
Do Jej Wysokości królowej Catherine z Furii*

Moja Królewienko,

Twoje błaganie o wmieszanie potęgi Acheronu w wojny na wschodzie wywołało w nas niejaki zaskoczenie. Wydawało się nam, iż nasze stanowisko jest jasne, tymczasem wszystko wskazuje na to, że odziedziczyłaś po ojcu klątwę sentymentu. Nasuwa się podejrzenie, iż jest to ta sama słabość, jakiej ofiarą padły Beltane i Illicja, które oddały Opętanym znaczną część swoich ziem. Gdyby wzięły przykład z Acheronu i pozostały silne, z całą pewnością smakowałyby teraz owoców zwycięstwa, zamiast polegać na sile innych narodów, by zrekompensować własne niedostatki.

A więc choć nie lubimy się powtarzać, zrobimy to, by nie pozostawić wątpliwości. Acheron odpowiada tylko przed Acheronem. Nie wyrzemy nacisku na Valencję, by umożliwiła przejście naszych wojsk. Nie poinstruujemy admirała Navarchosa, by rzucił do bitwy achemońską flotę. I nie pozwolimy naszym bitewnym mágos ryzykować życia w obronie innych krajów poza Acheronem (choć z tego, co wiem, niektórzy złamali ten rozkaz, by przystąpić do bitwy z Opętanymi w Beltane).

Jeśli Wasza Wysokość pragnie rady, sugerujemy, by Clemoncé przestało wtykać nos w sprawy innych krajów i zgromadziło siły do obrony swoich terytoriów. Jeśli wierzyć raportom, niebawem będzie ich

bardzo potrzebować.

Bywaj zdrowa,

*Tyramimus,
król i wysoki lord protektor Acheronu*

Królewienko... Coś podobnego!

Królowa Catherine wzięła głęboki wdech i rozluźniła zaciśnięte mięśnie zuchwy. A potem, wbrew własnej irytacji, roześmiała się. Może i była „małą królową” przy niedźwiedziej postury Tyramimusie. Może i był prywatnie czarującym mężczyzną, ale w sprawach państwowych puszył się jak paw. Wybaczyła mu ten komentarz o ojcu. Wiedziała bowiem o głębokim szacunku, jakim się nawzajem darzyli. Ale nie mogła mu wybaczyć upor. Ile ludzi udałoby się ocalić, gdyby Acheron przystąpił do wojny rok temu? Ile miasteczek i miast nie ległoby w gruzach?

Co musiałyby zrobić, by zrozumieli, że w pojedynkę przegrają?

Raz jeszcze ogarnęła ją beznadzieja, lecz zanim dała się jej przytłoczyć, zebrała się w sobie i odepchnęła ją na bok, by przygotować się na list z Thraecji. Ale ledwie przeczytała dwa słowa, zamknęła oczy, dotknięta nagłym przypływem frustracji. Veneratu – tak tytułowano przywódcę wieży magów. Miesiącami bezskutecznie usiłowała skontaktować się z królem Thraecji. Tym razem wysłała list do jego syna, Cleomenesa Młodszego. Ale jej gambit zawiódł. Jej wiadomość została przechwycona przez magów. Westchnęła, dając upust rezygnacji, strzepnięciem dłoni wyprostowała w palcach arkusz papieru i zaczęła czytać.

*Od veneratu Ischyrósa, w imieniu Cleomenesa Variego, króla Thraecji
Do Jej Wysokości królowej Catherine z Furii*

Wasza Wysokość,

niestety, kolejny raz ciężka choroba króla uniemożliwia mu odpowiedzenie na Twój list osobiście, lecz poprosił nas, abyśmy wyrazili jego głębokie ubolewanie nad tym, iż adresujesz korespondencję do jego syna, nie zaś do aktualnie urzędującego monarchy Thraecji. Gdyby nie czujność magów, list mógłby w ogóle do niego nie dotrzeć. Pozwól, Pani, zapewnić się, że stanowisko króla nie

uległo zmianie. Jego głównym celem jest zapewnienie bezpieczeństwa swoim ludziom, dlatego też powierzył władzę mądrości swoich magów. Kto wie, może powinna Wasza Wysokość pójść w jego ślady.

Sądzimy, iż pokładasz zbyt wielką wiarę w swoich bitewnych magos. Jak dowodzi historia, oni sami nie wystarczą, by pokonać Opętanych. Zawiedli w przeszłości i nie ma żadnych przesłanek, by sądzić, że ocalą nas teraz. Ich liczba maleje i niedawno – w zeszłym miesiącu! – zmuszeni byli zabić kolejnego czarnego drákona, który zjawił się w efekcie nieudanego przywołania.

Nie, Wasza Wysokość... Czas magów bojowych dobiegł końca. Czas, by władzę w Furii przejęli czyści magowie. Czas, by to oni poprowadzili jej armie do zwycięstwa. Powiadomiono nas, że armia magów Clemoncé jest już prawie gotowa do walki. Jesteśmy pewni, że gdy już pokażą, co potrafią, przyzna nam Wasza Wysokość rację. Do tego czasu zmuszeni jesteśmy odrzucić Twoją prośbę o wsparcie.

Thraecka armada nie ruszy się z thraeckich wód terytorialnych. Thraeckie włócznie pozostaną na thraeckiej ziemi, a każdy bitewny magos, który zaryzykuje życie w obronie innego kraju, zostanie obwołany zdrajcą.

Sama dźwigasz na swoich barkach bezpieczeństwo swego królestwa, ufamy więc, że zrozumiesz, Królowo, iż nie możemy postąpić inaczej.

Łączymy wyrazy szacunku, wyrażając jednocześnie płomienną nadzieję, iż zwycięży mądrość.

*Veneratu Ischyrós,
czcigodny mistrz i pierwszy sługa magów Thraecji*

Królowa zgmiotła list. Rogi arkusza drżały, gdy trzęsła jej się ręka. Z trudem hamowała furję. Przeklęci niech będą magowie i ich nienasycone ambicje. Dlaczego nie mogli pracować ręka w rękę z władcami, zamiast nieustannie próbować dowodzić swojej nad nimi wyższości? Wróciła myślami do armii wspomnianej w liście – armii magów liczącej tysiące żołnierzy. To jej zmarły mąż przyzwolił na utworzenie takiej jednostki. Biedny Stephan. Był zbyt słaby, aby odmówić ich natarczywym prośbom. Jego wola erodowała przez długie lata niepowodzeń, gdy raz po raz zawodził swych poddanych. A teraz już go nie było. Wyniszczająca choroba

zabiła go w niespełna miesiąc, Catherine zaś ostała się na tronie sama.

Nie, nie całkiem sama. Jej dłoń znów pomknęła do czarnej aksamitki. Nie, nie była sama, lecz nie mogła też władać Clemoncé tak, jak by sobie tego życzyła. Nie mogła wybrać sobie małżonka, na którego skroniach spoczęłaby królewska korona, i nie mogła odmówić magom, gdy oferowali coś, co mogło ich wszystkich ocalić.

Oddział magów wojowników. To brzmiało jak bardzo dobry pomysł, ale nurtowały ją wątpliwości. Magowie byli ludźmi wiedzy i mocy. Nigdy wojownikami. Mimo to Ischyrós miał rację. Magowie bitewni mogą nie wystarczyć. Może odpowiedzią na wszystkie jej pytania jest właśnie armia magów. Jeśli odniosą sukces, będą o krok bliżej urzeczywistnienia swoich ambicji i podkopania jej władzy. Lecz Catherine oddałaby ją bez słowa sprzeciwu, gdyby mogła za tę cenę uratować lud Furii.

Beznadzieja wróciła niczym natarczywy nieproszony gość, nieopuszczający na długo jej progu. Królowa zerwała się z krzesła i wróciła na balkon.

Lud Clemoncé zawsze napełniał ją nadzieją. Zaledwie wczoraj przybyli do stolicy nowi rekruci, by rozpocząć studia w Akademii Sztuki Wojennej. Młodzi ludzie, którzy zapuścili się daleko od domu, by walczyć w jej imieniu. Wyjechała im na spotkanie, jak zawsze. Ta nowa tradycja była pomysłem Chevaliera. Jako młoda królowa Catherine nie rozumiała wagi podobnych gestów, lecz teraz, gdy napatrzyła się już na pogruchotane ciała i złamane bitwą umysły, pojmowała doskonale.

Być królową to nie znaczy być ponad ludem. To znaczy być córką, siostrą i matką ludu. Kochać go i chronić.

I opłakiwać tych, którzy zginęli w jego obronie. Możliwe, że Opętanych nie da się powstrzymać, że nie istnieje człowiek zdolny im się przeciwstawić, lecz ona, królowa Furii, nie podda się rozpacz.

Jej oczy nabiegły łzami, gdy przemknęła wzrokiem po widnokręgu, a potem jej uwagę zwrócił jakiś ruch przy północnej bramie. Wyteżyła wzrok i popatrzyła na daleką ulicę, i... Tak, znowu... Brudny strój podróży zwiadowcy. To ten sam, którego wysłała z miasta dziś rano. Tak prędki powrót mógł oznaczać tylko jedno – Chevalier jest już blisko.

Usiłując nie zdradzić się z tym, jak rozpaczliwie czeka na wieści, przecięła komnatę i zatopiła się w ostatnich doniesieniach miejskiego

administratora. Minęło sześć pełnych minut, w czasie których nieomal odeszła od zmysłów, nim Cyrano zapukał do drzwi, by obwieścić powrót gońca.

– Wasza Wysokość – rzekł doradca królowej, wpuszczając do środka utyłanego błotem jeźdźca – wieści o powrocie Chevaliera.

– Królowo – odezwał się zwiadowca, klękając na jedno kolano i kłaniając się nisko.

– Powstań, mój dobry człowieku – rzekła królowa. – Czy przynosisz wieści o naszym emisariuszu?

– Tak, pani. Natknąłem się na niego kawałek na południe od rzeki Denier. Poprosił, żebym przekazał ci, że powinien dotrzeć do miasta jutro rano.

– Czy jest zdrów?

– Tak jest, pani.

– A ludzie z Caer Dour?

– Oni również. Są w lepszym stanie, niż się spodziewałem – przyznał zwiadowca. – Po opowieściach, które krążą o ich trudach...

Królowa łaskawym skinieniem wyraziła zrozumienie, a potem jej twarz rozpromienił uśmiech.

– Dziękuję...

– John Pierre, pani – przedstawił się zwiadowca, nieposiadający się z radości, że sama królowa chciała poznać jego imię.

– Dziękuję ci, Johnie Pierze. Proszę, abys przekazał wieści Bretonowi i Magnusowi w akademii.

Mężczyzna skinął głową, wykonał dworski ukłon, a potem wycofał się i odwrócił, by opuścić komnatę. Ulga uwidoczniła się na twarzy królowej, a Cyrano obdarzył ją pobłażliwym uśmiechkiem.

– Och, nie patrz tak na mnie – syknęła. – Sam cieszysz się na jego powrót.

– W rzeczy samej, pani – przyznał doradca. – Czwarta Armia jest już prawie gotowa na kolejną zmianę. A przecież nie możemy wysłać jej w bój bez dowódcy.

Królowa zmarszczyła brwi i zaprezentowała doradcy pełnię swojego gniewnego spojrzenia.

– Zamilknij, wieszczu zguby. Minie jeszcze parę miesięcy, zanim

Czwarta będzie gotowa do mobilizacji. A poza tym czytałeś jego raport. Wydaje się, że Chevalier chce na nowo podjąć obowiązki instruktora.

– Czy spełnisz jego życzenie, pani? – spytał Cyrano. On również zdziwił się, usłyszawszy prośbę Chevaliera. W kadetach z Caer Dour musi być coś wyjątkowego, jeśli sir William chce osobiście nadzorować ich szkolenie.

– Sama nie wiem – zamyśliła się królowa. – Najpierw pragnę usłyszeć, co ma do powiedzenia. Na razie dziękujemy losowi za jego bezpieczny powrót.

Cyrano przystał na to skinieniem głowy.

– Czy wyjedziesz mu naprzeciw, pani? – spytał.

– Ma się rozumieć – odparła królowa z godnością.

– Każę stajennym przygotować konia na rano.

– Doskonale – rzekła królowa. – Ile czasu zostało do spotkania z ambasadorem Navarii?

– Konsul powinien wrócić z nim lada chwila. Mamy jeszcze trochę czasu.

– A więc opowiedz mi wszystko, co wiesz, o Aquili Dantém.

– Wedle rozkazu, pani.

– Gdy zaś skończymy z ambasadorem, każ Jarnakowi spotkać się ze mną w pommeraiie. Poinstruuje mnie nieco, nim wysłucham wieczornych petycji.

– Może lepiej byłoby w wielkiej sali...?

– Azaliż jestem jakimś delikatnym kwiatuszkiem, który zwiędnie pod pierwszym dotykem zimowego chłodu?

– Nie, pani. Ja tylko...

– Skoro nie, to rób, co mówię.

– Tak, pani – strapił się królewski doradca.

Rodzina Cyrana służyła koronie od siedmiu pokoleń, ale nigdy jeszcze takiej władczyni jak Catherine. Doradca nie mógł pogodzić się z tym, że królowa pokazuje się publicznie. To jej ojciec, król Philip zwany Plebejuszem, zapoczątkował tę tradycję. Orzekł, iż wrota pałacu mają na zawsze pozostać otwarte i że nikomu nie wolno odmówić wstępu do środka. Za młodu Cyrano spierał się z monarchą, argumentując, że bezpieczniejsi będą za zamkniętymi wrotami, gdzie nie dosięgnie ich żaden zbir. Księżniczka również skłaniała się ku temu pogładowi.

– Zamykając je, oddzielamy tron barierą od ludzi – tłumaczył ojciec

dziesięcioletniej córce. – A zabraniając im wstępu do pałacu, pokazujemy tylko, że nie mamy do nich zaufania. – Król zaśmiał się, dostrzegłszy zwątpienie w oczach księżniczki. – Jeśli odgradzisz się od swojego ludu, lud będzie ci służył z obowiązku – rzekł jej wówczas. – Zaufaj im, a staniesz się jedną z nich.

Słowa ojca brzmiały echem w głowie królowej, gdy gromiła wzrokiem krnąbrnego doradcę, aż wreszcie zmogła ją litość.

– Wrócę do pałacu przed zmierzchem.

Cyrano skłonił głowę, zadowolony z kompromisu. Wiedział, że nawet w najmroczniejszym zaułku miasta nie grozi jej niebezpieczeństwo. Nie była doskonałym człowiekiem ani doskonałą królową. Jak sugerowały listy od innych monarchów: była wścibska, arogancka, sentymentalna i naiwna, ale pokładała zaufanie w swoich poddanych i z tego właśnie powodu kochali ją bardziej niż jakiegokolwiek innego władcę.

Orzeł i sokół



Późnym popołudniem zbliżyli się do Furii na tyle, że olbrzymie miasto zdominowało cały oglądany przez nich krajobraz. Od samej stolicy dzieliły ich jeszcze trzy mile, ale minęli już kilka zapowiadających wielką aglomerację tymczasowych „wiosek”, to jest skupisk namiotów i drewnianych chat, gdzie po prowizorycznych ulicach krzatali się zajęci robotą ludzie.

– Uchodźcy – wyjaśnił emisariusz. – Z każdym miesiącem coraz więcej takich obozów rozbija się wokół miasta.

Falko patrzył na osoby, które, tak jak oni sami, zostały wysiedlone z domów przez zagarniającą coraz większe połacie świata wojnę. W ich oczach znalazł tę samą niepewność, która dręczyła ludzi z Caer Dour. Ich przyszłość była niepewna i wiedli życie pełne obaw o to, co przyniesie jutro.

Choć kadeci byli już bardzo blisko miasta, emisariusz poprowadził ich nieco głębiej w ląd, przekonany, że most na głównej drodze będzie nieprzejezdny. Kiedy jednak napotkani po drodze ludzie poinformowali go, że jest jeszcze co prawda w fazie wykończeń, ale można z niego korzystać, Chevalier zawrócił i poprowadził grupę łagodną skarpą ku rzece.

– Ale przecież powiedziałaś zwiadowcy, że przybędziesz do miasta dopiero jutro. – Malaki zmarszczył brwi.

– To było, zanim dowiedziałem się, że naprawiono most – odparł emisariusz. – Gdy wyruszałem w drogę, główną kładkę zniszczyła fala powodziowa, a bez mostu droga do brodu Garr zajęłaby ze dwie godziny.

Falko chłonał wzrokiem spektakularną budowlę, która przeskakiwała

przez rzekę pięcioma długimi susami.

– Tędy dojedziemy do cytadeli, zanim słońce skryje się za horyzontem. Chyba że chcecie spędzić kolejną zimną noc pod gołym niebem?

– Nie, ja tylko... – zająknął się Malaki.

– Nie obawiaj się – uspokoił go Chevalier. – Królowa jest tak straszna, jak sugeruje jej imię. Chyba że ją kto rozzłości – dodał z uśmiechem.

Robotnicy na moście oczyścili drogę, by pozwolić im przejechać. Wielu zdjęło czapki z miękkiego materiału, by przywitać emisariusza ukłonem, a Falko zwrócił uwagę na to, z jaką łatwością Chevalier reaguje na oznaki szacunku.

Miasto rosło w oczach. Olbrzymi mur rozciągał się w obie strony, a w środku znajdowała się główna brama, przez którą wchodziły i wychodziły tłumy ludzi.

– Myślę, że skorzystamy z bramy portowej i pójdziemy do pałacu drogą przez ogrody – postanowił emisariusz.

– Nie wierzę, że idziemy do pałacu! – wykrzyknął Malaki o oktawę wyższym głosem niż zwykle.

– Królowa lubi osobiście witać przybywających do miasta kadetów – rzekł emisariusz, a Falko uśmiechnął się, widząc, jak na twarzy Malakiego pojawia się zdenerwowanie. – To oznacza, że również i ciebie, panie Danté.

Uśmiech spełził z ust Falka.

– Może i nie zapracowałeś na miejsce w akademii podczas prób – rzekł emisariusz – ale przyszli magowie bitewni studiują na tej samej uczelni co reszta kadetów. A poza tym to ja decyduję, kto zostaje przedstawiony królowej. Pójdiesz z nami. – Jego mina powiedziała Falkowi, że ta kwestia nie podlega dyskusji.

Falko chciał mimo wszystko coś powiedzieć, lecz wtedy zrównał się z nimi Morgan Saker.

– Tutaj się rozstaniemy – rzekł starszy mag, gdy jego czarodzieje ruszyli do głównej bramy.

– Nie jedziecie do pałacu?

– Służymy wielkiemu veneratu. Jemu pierwszemu powinniśmy złożyć raport.

Emisariusz nie krył niesmaku na ten jawny brak szacunku względem królowej, ale zachował godność i pożegnał się, gdy mijała go czereda

zakapturzonych postaci. Pokierował kadetów drogą ku przystani i już miał do nich dołączyć, gdy zauważył, że Meredith przystanął i wpatrzył się w Falka, jakby chciał mu coś powiedzieć. Przez chwilę młody mag wyraźnie się wahał, a potem po prostu pochylił głowę i popędził konia, doganiając ojca na drodze do miasta.

Emisariusz wpatrywał się w jego plecy z głębokim namysłem. Gdy Meredith zniknął w ciżbie, Chevalier lekko skinął głową, a potem odwrócił się i poprowadził kadetów drogą opadającą ku przystani, gdzie na spokojnych wodach laguny kołysały się statki i łodzie wszelkich kształtów i rozmiarów, przycumowane w dokach lub stojące swobodnie na kotwicy za falochronem.

Falko był porażony liczbą obrazów i dźwięków, które napały na jego zmysły w tętniącej życiem miejskiej przystani. Skrzeczenie mew, trzeszczenie desek, dzwonienie dzwonków okrętowych, krzyki i nawoływanie marynarzy, robotników portowych i kupców, a wszystko to kontrapunktowane niejednostajnym rytmem fal rozbijających się o portowy mur. No i zapach – przytłaczająca woń ryb zmieszana z fetorem smoły i potu, z wyczuwalną okazjonalnie nutką egzotycznych przypraw, których Falko nie potrafił nazwać. Nie znalazł przystani nieprzyjemną, ale z wdzięcznością powitał bramę i zostawił port za sobą.

Szli teraz przez cichą dzielnicę wspinających się po łagodnej pochyłości ogrodów i zielonych trawników, rozciągających się ku skalistemu wzgórzu, na którym wznosiły się cytadela oraz sam pałac. Wokół kręcili się ludzie, ale na ulicach nie było tłoczno. Jedni zmiatali liście, inni pracowali w ogrodach. Jeszcze inni skupili się w grupach na ulicy, jakby było to miejsce w sam raz na towarzyskie spotkanie.

Posłyszeli szcęk oręza, a zaraz potem, ku swojemu zaskoczeniu, natknęli się na kilka grup ćwiczących walkę. Niektóre grupki z instruktorami musiały trenować w ramach oficjalnych zajęć akademickich, ale inne sprawiały wrażenie przypadkowej zbieraniny ludzi, którzy z jakiegoś powodu trenowali w parach z mieczami, tarczami i włóczniami, choć nie byli studentami akademii.

– Nie tylko studenci marzą o osiągnięciu doskonałości w walce – objaśnił emisariusz.

W końcu minęli drugą bramę, za którą znajdowała się dalsza część

ogrodów, różniących się nieco od tych usytuowanych niżej. Na południowym zboczu posadzono drzewa gęściej, a Falko zauważył, że większość z nich to drzewa owocowe. Tu i ówdzie widział ludzi na drabinach – zbierali ostatnie jesienne gruszki i pakowali je do skrzynek.

Gdy weszli głębiej w ogrody, usłyszeli stukotanie drewna o drewno i nagle natknęli się na kolejną trenującą parę. Jednym z aspirujących wojowników była na oko trzydziestoletnia kobieta w skórzanych bryczesach i białej bluzce, na którą narzuciła zieloną sukienkę rozciętą na udzie aż do talii i przewiazaną srebrnym sznurkiem. Jej niebieskie oczy tchnęły skupieniem, a kasztanowe włosy falowały dookoła głowy i lepiły się w strąki, dotykając spoconej skóry. Drugim był szczupły, lecz świetnie umięśniony mężczyzna. Jego ciemne włosy były jedwabście gładkie i choć oddychał z mozołem, poruszał się pewnie i zdecydowanie, jak doświadczony wojownik.

Walczyli drewnianymi mieczami i tarczami. Wielkie wrażenie zrobiła na Falku energiczna wymiana zajadłych ciosów. To nie był niezobowiązujący sparing, tylko przygotowanie do śmiertelnego starcia w prawdziwej bitwie. Walka zaniósła mężczyznę i kobietę bliżej ścieżki i raptem kobieta spostrzegła, że nie są sami. Powiodła po przybyszach wzrokiem, nie przerywając sekwencji ataków i bloków, lecz wtedy spostrzegła emisariusza i na krótką chwilę się rozproszyła. Opuściła nieco tarczę, a drewniany miecz mężczyzny chlasnął ją w policzek z taką siłą, że Malaki aż syknął przez zęby.

Kobieta krzyknęła i odskoczyła poza zasięg drewnianej klingi. Gdy zwróciła się ku nim, jej twarz była wykrzywiona w grymasie wściekłości, a po zaczerwienionym policzku ciekła krew. Strzeliła spojrzeniem w przeciwnika, a potem popatrzyła na podróźników. Jej oburzony wzrok zatrzymał się na emisariuszu.

W intensywnie niebieskich oczach kobiety Falko odnalazł również zażenowanie. Bez słowa rzuciła miecz i tarczę, po czym pobiegła między drzewami do czarnego konia, który spokojnie skubał trawę pod jabłonią. Gładko wskoczyła na siodło, wbiła pięty w końskie boki i tyle ją widzieli.

Wszystkie oczy zwróciły się na mężczyznę o jedwabistych włosach. Miał dumne oblicze o poważnych rysach mieszkańca Acheronu lub Thraecji. Na jego twarzy próżno było szukać przeprosin czy wstydu, ale dało się z nich

wyczytać swoistą nerwowość, gdy patrzył w szare oczy emisariusza.

– Dlaczego uderzyłeś damę? – rzucił Chevalier złowróżbnym tonem.

– Dlatego, panie, że rozproszyła się i opuściła gardę.

– Myślisz, że ci wybaczy?

– Prędeż, niż wybaczy tobie, obawiam się. – Mężczyzna niemal się uśmiechnął.

– Coś czuję, że możesz mieć rację, przyjacielu – odparł emisariusz i nieoczekiwanie roześmiał się gromko.

Kadeci wymienili zdezorientowane spojrzenia.

– Znasz tę kobietę? – spytał Falko.

– To była, mój drogi – odparł emisariusz – królowa Furii.

Dziesięć minut później grupka bardziej niż dotychczas podenerwowanych kadetów przeszła z emisariuszem pod wysokim łukiem i wkroczyła na główny pałacowy dziedziniec. Ich końmi zajęli się stajenni, a każdy z podróżników otrzymał ręcznik i miskę różanej wody, by mógł odświeżyć się przed audiencją u królowej. Malaki patrzył na miskę, jakby miał się zaraz rozpląkać. Ta odrobina wody, choćby i różanej, na pewno nie doprowadzi go do należytego porządku.

– Nie frasuj się tak – zaśmiał się emisariusz, widząc jego rozgoryczenie.

– Przybyłeś tutaj, żeby oddać się w jej służbę. Myślisz, że będzie zważać na tę odrobinę brudu i potu?

Malaki nie wydawał się specjalnie pokrzepiony.

Obmyli ręce i twarze, po czym przecięli dziedziniec, gdzie napotkali wysokiego mężczyznę, nieskazitelnie ubranego w dopasowany kaftan z czarnej szenili o dyskretnym połysku srebrnego brokatu. Opięty na jednym ramieniu krótki płaszcz z turkusowego jedwabiu świadczył o tym, że mężczyzna jest służącym korony. Na głowie nosił czapkę z czarnego aksamitu obszytą błękitnym materiałem – kolejną oznakę piastowanego urzędu. Włosy pod tą czapką były krótko ścięte i białe, a gustownie przystrzyżona broda i krzaczaste brwi – zaskakująco czarne. Jastrzębie oczy miały barwę głębokiego brązu i wskazywały na inteligencję. Kadeci odruchowo prostowali się pod tym spojrzeniem.

– Sir Williamie – powiedział mężczyzna, a w tych dwóch słowach zawarł całe bogactwo znaczenia i więcej niż tylko jedną nutę dezaprobaty.

– Panie Cyrano – odparł emisariusz, skłaniając z szacunkiem głowę.

– Czyżby kolejny szczeniacki wybryk?

– Ależ skąd – zaprzeczył emisariusz z uśmiechem. – Po prostu nie spodziewałem się spotkać jej poza pałacem.

– Nigdy nie przeszkadzały ci jej wypady – zauważył doradca królowej, mierząc emisariusza znaczącym spojrzeniem.

Uśmiech Chevaliera zdradzał poczucie winy. Cyrano dał temu spokój i zwrócił się do kadetów:

– Witajcie w Furii. Za kilka minut zostaniecie odeskortowani do baraków Akademii Sztuki Wojennej. – Skinął głową na giermka stojącego pod ścianą pobliskiego budynku. – Jednak królowa lubi osobiście witać wszystkich przybywających do miasta kadetów. – Potoczył bystrym spojrzeniem po zebranych, na krótki moment zatrzymując je na Falku, a zaraz potem kiwnął głową z zadowoleniem, jakby właśnie upewnił się, że wszystko jest w porządku. – Królowa spotka się z wami na zachodnim tarasie. Chevalier zna drogę. – Z tymi słowy obrócił się na pięcie i wspinał po schodach do drzwi wiodących do pałacu.

Kadeci odetchnęli z ulgą.

– Niezbyt przyjazny koleżka, co? – skomentował Malaki.

– Niezbyt – przyznał emisariusz. – Ale całkowicie lojalny.

Chevalier poprowadził kadetów krótkim tunelem w zachodniej części muru okalającego dziedziniec. Doszli nim do porośniętego trawą tarasu, na którym po przekątnej biegła wysypana żwirem dróżka. Po ich prawej stronie wznosił się gmach pałacu, a po lewej po linii klifów biegły mury wyglądające na morze, ponad którym niknęło za kotarą chmur słońce. Było chłodno, ale wieczorne niebo jaśniało nad nimi wolne od chmur.

Szli tarasem, aż dotarli do niewielkiego wzniesienia. Znajdowała się na nim odlana z brązu, pokryta już patyną altana, której nadano kształt trzech drzew o splecionych, tworzących dach koronach. Stała pod nim wysoka kobieta o długich kasztanowych włosach.

Kadeci krocący za emisariuszem wpatrywali się w nią jak zauroczeni.

– Ale piękna – wyszeptwała Bryna.

Malaki potwierdził, Falko milczał.

Czy to możliwe, że była to ta sama kobieta, którą dopiero co widział zdyszana i spocona, z puchnącym sińcem na policzku?

Stała teraz przed nimi wysoka i szczupła, w sukni opadającej pojedynczą

kaskadą turkusowego jedwabiu, obszytej złotą nicią i przewiązaną w pasie cienkim złotym łańcuszkiem. Z jej ramion zwisał bladobłękitny płaszcz z kołnierzem z wilczego futra, chroniący przed wieczornym chłodem szyję, na której miała zapiętą wytartą, prostą w porównaniu z resztą ubioru aksamitkę.

Emisariusz poprowadził ich po obwodzie wzgórza, aż stanęli w szeregu przy murze, skąd patrzyli, jak on sam wspina się na wzniesienie, by klęknąć przed królową. Kontrast między smukłą kobietą i mocnej budowy rycerzem nie mógł chyba być jeszcze bardziej wyrazisty, ale gdyby Falko miał przyrównać siłę ich oddziaływania na otoczenie, nie umiałby wskazać, czyje jest silniejsze.

Królowa obrzuciła spojrzeniem klęczącego przed nią mężczyznę. Zawierała się w tym spojrzeniu cała jej monarsza surowość, a w zaciętej zuchwie i zmrużonych powiekach ostało się coś z gniewu, jakim pałała w czasie pojedynku w ogrodach. Ale zaraz się rozchmurzyła, jakby cała jej złość wyparowała w zetknięciu z pokorą Chevaliera. Wreszcie wyciągnęła przed siebie rękę, a rycerz uniósł głowę, by złożyć na niej pocałunek.

– Przybyłeś o jeden dzień za wcześnie – zauważyła, gdy mężczyzna powstał.

Choć przemawiała cicho, wiatr zaniósł jej słowa do kadetów, którzy nie mogli się nie uśmiechnąć, widząc poczucie winy wymalowane na twarzy emisariusza.

– Zwyczajna pomyłka, Wasza Wysokość – wyjaśnił. – I całkowicie niewinna.

Uprzejme prychnięcie królowej sugerowało, że nie pierwszy raz rycerz prosi ją o wybaczenie „niewinnej pomyłki”. Przez chwilę patrzyli na siebie i przemknęło między nimi coś niewypowiedzianego, a potem Chevalier zwrócił się do czekającej cierpliwie młodzieży.

– Wasza Wysokość – powiedział głośniejszym głosem – pozwól, że przedstawię ci najnowszych rekrutów z miasteczka Caer Dour w Valencji.

Monarchini zwróciła się twarzą w ich stronę i z jej oczu natychmiast zniknęła cała złość.

– Witajcie – wyrzekła dźwięcznym, głębokim głosem, jakiego nie spodziewaliby się po kimś o tak drobnej budowie. – Doniesiono mi o licznych próbach, którym stawiliście czoło w podróży, lecz teraz jesteście bezpieczni. Miasto Furia jest waszym miastem, a lud Clemoncé waszym

ludem.

Młodzi ludzie z Caer Dour poczuli się głęboko poruszeni współczuciem i życzliwością monarchini. Niektórzy pochylili głowy, jakby chcieli ukryć cisnące się do oczu łzy.

Królowa obróciła się przodem do emisariusza i wychodząc z altany, wywołała po imieniu pierwszego kadeta:

– Allyster Mollé.

Młody łucznik wspiął się na wzniesienie z rozanieloną miną. Królowa ujęła jego dłoń i wymienili kilka cichych słów, zanim Allyster zszedł ze wzgórza drugim zboczem i stanął przy pałacowym murze.

Gdy przysła kolej na Brynę, dziewczyna weszła na górę z uniesioną głową i twarzą zastygłą w kamienną maskę. Falko nie słyszał, co powiedziała jej królowa, lecz dostrzegł, że Brynie opadły ramiona. Gdy jednak utkwiała wzrok we własnych stopach, monarchini delikatnie uniosła jej twarz. Słowa po raz kolejny uleciały z wiatrem, ale Falkowi nie umknął uśmiech królowej i łza na policzku Bryny.

Gdy przywołała do siebie Malakiego, kowal wszedł na górę sprężystym krokiem, charakterystycznym dla wprawnych wojowników, ale kłaniając się, postawił prawą stopę za lewą w czymś, co przypominało dygnięcie. Gdy się wyprostował, cała jego twarz była oblana rumieńcem tak jaskrawym, że tonęło w nim znamię na jego policzku. Królowa opromieniła go uprzejmym uśmiechem, ale jej oczy rozsyłały wokoło ogniki rozbawienia.

– Milady – wymamrotał Malaki, kompletnie zapominając, jak należy właściwie zwracać się do królowej.

Monarchini wyciągnęła rękę i Malaki uniósł ją do warg z nabożną czcią.

– Więc to ty złamałeś nos mojemu emisariuszowi?

– Znaczy... tak jest, Wasza Wysokość – przyznał Malaki, tak czerwony, że Falko mógłby przysiąc, że rozświetliłby ciemny pokój jak pochodnia.

– Och, jakże żałuję, że nie było mi dane tego widzieć!

Malaki poderwał wzrok, nie posiadając się ze zdumienia. Królowa miałaby żartować w taki sposób? Zerknęła rozbawiona na emisariusza i nagle Malaki nie czuł się już tak głupio. Pokrzepiony, zajął miejsce obok Bryny. Królowa wzywała po kolei pozostałych kadetów, aż u stóp wzgórza został tylko Falko. Jakże wyraźny kontrast rysował się między krzepkimi młodymi ludźmi powitanymi już przez królową a filigranowym,

zabiedzonym Falkiem.

Był boleśnie świadomy świdrujących go oczu, gdy wchodził na wzniesienie. Kiedy spojrzał na królową, życzliwe ciepło uleciało z jej spojrzenia, a zastąpiła je... nie wrogość, ale szczerą ciekawość. Skłonił się, ucałował jej dłoń, po czym wyprostował się, by spojrzeć jej w oczy.

Królowa uniosła brew, jakby zdumiała ją ta bezpośredniość.

– A w jakim celu ty przybyłeś do Furii, Falko Danté?

Falko długo nic nie mówił. Nie spodziewał się, że królowa rzuci mu coś na kształt wyzwania.

– Żeby pomóc, w miarę możliwości – odrzekł.

– I tylko po to?

Falko zastanawiał się, ile królowa wie o jego ojcu. Zmrużył oczy, gdy zbudziła się w nim podejrzliwość. Owszem, jakaś część jego duszy chciała znaleźć odpowiedzi na nurtujące go pytania, odnaleźć cel w życiu. Ale prawdziwy powód, dla którego przybył do Furii, był inny.

– Będę z tobą szczerą, królowo. Po prostu nie chciałem rozstawać się z przyjacielem.

Królowa wypuściła powietrze z płuc. Czyżby wstrzymywała oddech?

– Nie umiem wyobrazić sobie lepszej przyczyny – rzekła, uśmiechając się wreszcie.

Falko spuścił wzrok i skłonił się ponownie. Nie widział więc, jak królowa przesuwa wzrok w lewo i posyła emisariuszowi ledwie dostrzegalne skinienie. Schodząc ku Malakiemu i Brynie, czuł się jak ogłupiały.

– Niesamowite, jaka ona jest miła! – wyszeptała Bryna, wciąż ocierając łzy.

– Dygnałem przed królową Furii – mamrotał Malaki. – Nie, to być nie może. Dygnałem jak jakaś panienska!

Bryna zaśmiała się serdecznie i ujęła kowala za ramię. Falko słyszał tylko odległe echa ich rozmów. Słowa monarchini wciąż rozbrzmiewały w jego głowie.

„A w jakim celu ty przybyłeś do Furii?”

Spojrzał w górę i zobaczył emisariusza wracającego do altany. Mężczyzna stanął przed piękną kobietą, która była panią i władczynią Furii. Nie słyszeli, jakie padły między nimi słowa, ale Falko zauważył w postawie emisariusza coś, czego nigdy nie spodziewał się u niego

zobaczyć. Chevalier był... spięty.

Chwilę rozmawiali w ciszy, a Falkowi nie umknęło to, że ich spojrzenia nigdy nie spotykały się na długo i pomimo pewnej niezręczności rysowała się między nimi jakaś głęboka intymność. Wszyscy kadeci stali teraz blisko siebie, ze wzrokiem wlepionym w mężczyznę i kobietę na tle zachodniego nieba.

– Oni się kochają – wyrzekła cicho Bryna.

– Tak, to prawda – potwierdził głęboki głos.

Obrócili się i zobaczyli stojącego za nimi doradcę.

– To dlaczego się nie pobiorą? – zapytała Bryna, ośmielona otwartością urzędnika.

– Nie mogą – odrzekł Cyrano. – Względy polityczne i linia sukcesji wskazują na to, że królowa poślubi księcia Ludovica z Góry Króla Michaela. Decyzja o odrzuceniu jego oświadczyn podzieliłaby szlachtę i osłabiła pozycję królowej w stosunku do magów.

– Czy to dlatego wciąż jest w żałobie?

Cyrano pokiwał głową.

– Tak długo, jak nosi czarną aksamitkę, może uchylać się od udzielenia księciu natychmiastowej odpowiedzi, oni zaś – doradca wskazał parę w altanie – mogą utrzymać przy życiu iluzję nadziei.

Patrzyli, jak wymieniają przeznaczone tylko dla siebie słowa. Jeden jedyny raz królowa wyciągnęła ramię, jakby szukała dłoni emisariusza, ale on sięgnął do tuniki, z której wyłowił zawiniątko owinięte w biały materiał. Kadeci wyciągnęli szyje, by lepiej widzieć, co się w nim znajdowało.

– Pas – wyszeptał Malaki.

Królowa patrzyła jaśniejącymi oczami na przedmiot w zgrubiałych dłoniach emisariusza. Pas upleciony ze skórzanych rzemieni i ozdobiony srebrną sprzączką w kształcie końskiego łba. Ten sam deseń widniał na flagach powiewających nad pałacem. Ale to nie sprzączka sprawiła, że oddech uwiązał królowej w gardle, lecz fakt, że rzemienie były czarne.

Wyciągnęła rękę, by ich dotknąć.

– Nie wierzę, że znalazłeś czas – powiedziała głosem nabiegłym uczuciem.

– Kupiłem na straganie przy porcie.

– Przestań! – ofuknęła go królowa, a nawet szturchnęła w ramię.

– Rozgryzłaś mnie – przyznał. – Wcale go nie kupiłem.

– Jest piękny – powiedziała.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem królowa odgarnęła włosy z szyi.

Emisariusz znieruchomiał na moment i nabrał tchu, jakby zbierał się w sobie, a następnie odpiął z szyi królowej aksamitkę, którą zrobił dla niej ponad rok temu. Złożył ją i wsunął do tej samej kieszeni, z której wyciągnął pas. Następnie sięgnął pod jej płaszcz i zapiął pas na smukłej talii. Nie przedłużał chwili zapięcia sprzączki, ale dla przyglądających mu się kadetów wyglądało to jak uścisk.

– Dajmy im nieco prywatności – zarządził Cyrano, przełamując trans, który ogarnął młodych niczym zaklęcie.

Zaprowadził ich drogą do tunelu w pałacowym murze. Na dziedzińcu powierzył świeżo upieczonych studentów giermkowi, który zabrał ich z powrotem do stajni, a potem wyprowadził na rojne ulice stolicy. Tam skierował się do bramy w północnej ścianie, gdzie ścieżka zaczynała mozolną wspinaczkę na płaskowyż i wznoszącą się tam Akademię Sztuki Wojennej.



Królowa i emisariusz stanęli w miejscu, z którego widzieli kadetów odnajdujących wśród ulic drogę ku północnej bramie. Ich wzrok skupiony był na chudej postaci na tyłach.

– Jesteś pewien, że jest w nim dość siły? – spytała królowa.

– Nie – odparł emisariusz.

– Magowie nie zgodzą się go szkolić.

– Może istnieje inny sposób. – Emisariusz przypomniał sobie, jak patrzył na Falka Meredith. – A poza tym Aurelian może mu pomóc.

– Aurelian to zrzędlivy stary drań.

– Prawda. Ale nie mamy nikogo innego.

Władczyni nie dawała się przekonać.

– Ty zaś wciąż chcesz nadzorować ich szkolenie?

– Przynajmniej jakiś czas.

– Marszałkowi Bretonowi się to nie spodoba.

– Breton odetchnie z ulgą – skorygował emisariusz. – Wiesz, że drażni go moja obecność.

– To dlatego, że ludzie garną się do ciebie, a nie do niego.

– Może – przystał emisariusz.

Patrzyli na kadetów wspinających się krętą drogą i znikających za krawędzią płaskowyżu. Przez jakiś czas królowa nic nie mówiła, a potem padło pytanie, którego należało się spodziewać:

– Czy zwróci się przeciwko nam?

– Nie wiem – przyznał, a królowa westchnęła, jakby głupotą było oczekiwać jednoznacznej odpowiedzi.

– A więc niech tak będzie – powiedziała po namyśle. – Niech sokół podzieli los orła. Niech syn szaleńca przystąpi do nauki.



Morgan Saker patrzył z balkonu wieży magów na ostatnich niknących za załamkiem skały kadetów.

– To on? – spytał stojący obok niego mężczyzna, emanujący jeszcze większą mocą i autorytetem niż nawet sam Saker. Nazywał się Galen Thrall i był wielkim veneratu i czcigodnym mistrzem magów Clemoncé.

– Tak, to on.

– A więc nie ma się o co martwić – rzucił Thrall z niezachwianą pewnością.

– Nie było cię tam, gdy stanął twarzą w twarz z demonem.

Thrall zmrużył oczy, pogrążony w myślach.

– To jeszcze dziecko – powiedział. – A poza tym... bez maga prowadzącego nigdy nie zostanie magiem bitewnym. Sprawa zamknięta. Dalej będziemy robić swoje i koncentrować się na budowie armii. Gdy ludzie przekonają się na własne oczy, do czego jest zdolne wojsko magów, nic nie powstrzyma nas przed obaleniem niekompetentnych władców i objęciem rządów nad Furiją.

Z tymi słowy opuścił balkon i wrócił do serca wieży, gdzie zebrała się już rada starszych.

Przeoczony, wręcz niezauważony i pogrążony w głębokiej kontemplacji, Meredith patrzył, jak odchodzą. Wielki veneratu przemawiał z absolutną

pewnością, ale Meredith był zdezorientowany. Dlaczego Falko nie miałby zostać magiem bitewnym? Przecież gdyby został, wszyscy by na tym zyskali. Przeszedł na balkon i spojrzał w dół, na kadetów. Z jakiegoś powodu jego ojciec nienawidził Falka, a wielki veneratu mówił o nim, jakby stanowił zagrożenie. Meredith nic z tego nie rozumiał. Nigdy nie przepadał za tym chłopakiem, ale przecież on ocalił mu życie. Oszczędził mu tortur smoczego ognia. Miał więc wobec niego dług, który młody mag musiał jakoś spłacić.

Zapуścił się w mrok korytarza. Dzisiaj uda się do odosobnionych komnat, by kontemplować dziedziny wiedzy, które staną się fundamentem jego pracy. Zdecydował już, że jedną z nich będzie historia. Ta wieża była centrum potęgi magów. W jej sercu znajdowały się wiedza i zapiski historyczne z dwóch tysięcy lat. Gdzieś w mrocznych archiwach przeszłości leży źródło nienawiści jego ojca. Meredith postanowił je odnaleźć.



Zmierzchało już, gdy kadeci pokonali wiodącą na płaskowyż ścieżkę. Falko był tylko z grubsza świadomy, gdzie się znajduje, gdy dotarli na wzniesienie i ruszyli w kierunku niskich kwadratowych budynków. Wciąż obracał w głowie pytanie, które zadała mu królowa. Nie skłamał, lecz w głębi serca wiedział, że istnieją inne powody jego przybycia do Furii. To miasto było czymś więcej niż tylko miejscem, gdzie znajduje się akademia, więcej niżli tylko stolicą wielkiego królestwa. Było szansą na rozpoczęcie nowego życia i możliwością znalezienia odpowiedzi na pytania, które nurtowały go od lat. Tak więc gdy inni rozmawiali nerwowymi, ale i pełnymi ekscytacji głosami, Falko pochylał głowę w zamyśleniu. Otrzeźwiał dopiero wtedy, gdy podjechali do niego Malaki i Bryna.

– A co tobie powiedziała królowa? – zaciekawiał się kowal.

– Spytała, po co przyjechałem do Furii.

– To proste – zachnął się przyjaciel. – Żeby zostać magiem bitewnym.

Pewność w głosie Malakiego poruszyła jakąś strunę w duszy Falka i nagle doznał olśnienia – właśnie o to mu chodzi.

Niezależnie od wątpliwości i leżących przed nim wyzwania, raptem objawiła mu się prawda. Przybył tutaj, by zostać magiem bitewnym.

Bum!

Pustelnik, uzdrowiciel i rybak



Zapadał zmierzch, gdy w dalekich illicyjskich górach serce chłopca zaczęło bić szybciej w miarę zbliżania się do jaskini. Nie ze względu na stromiznę, lecz ponieważ nigdy wcześniej nie widział pustelnika. Inni chłopcy opowiadali o dzikim człowieku ze zgniłymi zębami i w porwanym ubraniu, o jego szalonym, przenikliwym wejrzeniu i skórze ciemnej od brudu. Opowiadali historię o chłopcu, który upuścił koszyk z jedzeniem, lecz dokończył wspinaczkę, by przeprosić za swój błąd. Nigdy go już później nie widziano i choć pozostali chłopcy nie mówili o nim za wiele, ich sugestie nie pozostawiały wątpliwości, że pustelnik zjadł go zamiast jedzenia, które wioska wysłała w ramach trybutu. Tak więc teraz chłopiec trząsł się ze strachu, chowając się za Wiszącą Skałą, gdy w dali zamajaczyła pośród skalistych klifów czarna paszcza jaskini.

Biorąc się za bary z przerażeniem, przycisnął mocniej do piersi koszyk i ruszył przed siebie po wykutych w skale, zerodowanych stopniach. Jego ręce drżały, gdy stawiał go pod skalnym nawisem i dzwonił mosiężnym dzwoneczkiem, który stał w rozpadlinie.

– Poczekaj, aż się po nie zjawi – przestrzegli go starsi. – W innym wypadku kruki i wrony rozsypią jedzenie po skałach.

Serce chłopca szarpało się w piersi, a świst jego oddechu odbijał się echem od ponurych skał wokoło. Wreszcie złapał kątem oka jakiś ruch. Wbrew woli cofnął się o krok, gdy z jaskini wyszedł mężczyzna. Okłamali go!

W istocie wyglądał jak dzikus: miał splątane siwe włosy, oberwane ubranie i ogorzałą skórę, ale wcale nie czarną od brudu, a jego oczy nie były przenikliwymi ślepiami szaleńca – były po prostu niebieskie. I spokojne. Wypełniał je smutek, którego chłopiec jeszcze długo nie zdoła pojąć. Pustelnik bez słowa przyłożył dłoń do piersi i skłonił się, dziękując za dary. Zmieszany i osobliwie zasmucony chłopiec skinął nerwowo głową i ruszył w drogę powrotną. Jeśli nie będzie zwlekał, wróci do wioski przed zapadnięciem zmroku.

Mężczyzna patrzył na biegnącego górską drogą chłopca. Jego twarz nie wyrażała absolutnie nic. A potem, nie przejawiając większego zainteresowania, niż gdyby kosz podarków wypełniony był suchymi liśćmi, podniósł jedzenie i wrócił do jaskini.

Bum!

Pustelnik zatrzymał się. Okręcił się w miejscu. Obojętność zniknęła z jego oczu, a w jej miejsce pojawił się szok i coś podobnego do strachu. Odstawił kosz z jedzeniem i stanął wyprostowany u wlotu jaskini, patrząc przez ciemniejący ospale krajobraz. Jego serce biło tak samo prędko jak serce chłopca, który przed chwilą przyniósł mu jedzenie.

Czy się pomylił? Czy poczuł to... usłyszał?

Czekał.

Nic.

Oddychając prędko, schylił się po kosz, ale gdy wstał, jego wzrok przykuła ciemna wnęka na tyłach jaskini. Przerazenie narosło w jego umyśle i okrutna żalność wzięła we władanie jego serce. Prawie dwadzieścia lat żył w tej grocie i dotąd tylko raz zapuścił się do tej wnęki. Świdrował wzrokiem nieprzenikniony mrok.

Nie pójdzie tam. Nie może.

Nie ośmieli się.



Zapadał zmierzch, gdy młoda thraecka dziewczynka pędziła ile sił w nogach przez gaj oliwny. Uzdrowiciela nie było w domu, ale jej ojcu bardzo się pogorszyło i po prostu musiała go znaleźć.

– Widziałam, jak idzie w górę stoku – powiedział jej pasterz Phineas. –

W kierunku cmentarza za gajem oliwnym.

Biegła między sędziwymi drzewami, niesiona nadzieją, że uda jej się go odszukać i wrócić do domu, nim ojcu pogorszy się na tyle, że pomoc będzie już niemożliwa. Dziewczynka mknęła po ziemi, wzbijając nogami obłoczki pyłu. Wskoczyła z gaju i wreszcie go zobaczyła. Najlepszy uzdrowiciel w całym dystrykcie kucał przy nieopisanym grobie. Niektórzy twierdzili, że w tej mogile pochował swoją żonę. Inni – że pierwszego pacjenta, którego nie udało mu się uzdrowić. Ktokolwiek tam leżał, jego utrata pozbawiła uzdrowiciela całej radości życia i przemieniła go w pustą skorupę człowieka. Uzdrowiał chorych i opiekował się rannymi, lecz nigdy się nie uśmiechał ani nie odpowiadał na wyrazy wdzięczności inaczej niż tylko zdawkowym skinieniem. Był obiektem ciekawości, ale i smutku miejscowych.

Choć przed chwilą pędziła jak szalona, teraz zawahała się, nim podeszła do mężczyzny, ale on jakby ją wyczuł i podniósł się, by zwrócić się twarzą do niej.

– Mój ojciec – wydyszała dziewczynka, jednak podchodząc. – Mówi, że nigdy nie bolało go bardziej. Nie może oddychać.

Uzdrowiciel sięgnął do torby przewieszanej przez ramię i wyłowił z niej małą sakiewkę, którą podał dziewczynce.

– Szczypta tego i trochę ciepłej wody – rzekł. – Powiedz, żeby postarał się uspokoić. Powiedz mu, że niedługo przyjdę.

Łzy wdzięczności stanęły dziewczynce w oczach. Pokiwała głową i rzuciła się pędem w drogę powrotną.

Uzdrowiciel patrzył na nią, wiedząc, że jest potrzebny, lecz mimo to zwlekał z wyruszeniem. Nie miał pojęcia, co go tu dzisiaj przyciągnęło. Kiedyś przychodził tu codziennie, ale od kilku lat starał się trzymać z daleka. Spojrzał na grób i w jego sercu narósł znajomy smutek. I wstyd, czarny i jadowity jak zwykle. Odwrócił się, by odejść.

Bum!

Uzdrowiciel zamarł.

Jego serce wypełniło się czymś na kształt przerażenia, gdy odwrócił się twarzą do grobu. Serce zerwało się do biegu, jakby spodziewał się, że ujrzy, jak coś wygrzebuje się z mogiły. Popełnił błąd, przychodząc tu dzisiaj. Słusznie robił, że trzymał się z dala przez tyle lat.

Rozejrzał się dookoła... Czekał... Nic.

Nie mogąc dobyć tchu, tak jak ojciec dziewczynki, odwrócił się od grobu i ruszył przed siebie. Mógł pogrzebać przeszłość, ale nie mógł przed nią uciec.



Zapadał zmierzch, gdy mała łódka rybacka opłynęła wysunięty cypel u wybrzeży Beltane. Sieci były już zebrane, zostało tylko kilka koszy do sprawdzenia, zanim ruszą ku bezpiecznej przystani. Rybak siedział przy sterze i z łatwością wynikającą z wieloletniej wprawy kierował łódką, podczas gdy jego dwaj pomocnicy złapali za bosaki, gotowi wyłowić wypełnione powietrzem worki z foczej skóry, które znaczyły położenie koszy. Starszy z chłopców, kiwając energicznie głową, zachęcił młodszego brata do wykonania zadania. Młodszy pierwszy raz wypuścił się na połów i chciał pokazać, ile jest wart.

Gdy dopłynęli do pierwszej boi, rybak pozwolił żaglowi oklapnąć i zwrócił łódź dziobem do fal. To pozwoliło chłopcu sięgnąć do cumy i wyciągnąć koszyk z dna morza.

– Bardzo dobrze – pochwalił młodszego starszy brat, podchodząc, by mu pomóc.

Wysypali homary na pokład, założyli nową przynętę w pułapkach i wrzucili je do morza. Rybak obrócił żagiel, by ten złapał wiatr, i mała łódka ruszyła w dalszą drogę. Chłopcy już skupili uwagę na kolejnych koszach przed nimi.

– Ominęliśmy jeden – zauważył młodszy, pokazując palcem unoszący się na wodzie przy klifach blady worek.

Brat spiorunował go wzrokiem i pokręcił głową.

– Ten zostawiamy – syknął. – Tego nie wolno wybrać.

Łypnął na rybaka, ale mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał uwagi chłopca. Nikt nie wiedział, dlaczego nigdy nie wybierał tamtego kosza i co właściwie się w nim znajduje. Plotka głosiła, że zabił kiedyś człowieka i właśnie tam go zatopił, obciążony kamieniami. Tylko po co miałyby oznaczać miejsce ukrycia zwłok? Inni twierdzili, że stracił kiedyś członka załogi w czasie sztormu i zaznaczył miejsce, gdzie ten utonął. Ale

nikt tak naprawdę nie wiedział na pewno.

Rybak miał świadomość, że chłopcy wwiercają się w niego zciekawionym wzrokiem. Wiedział też o krążących o nim plotkach. Nie obchodziło go to. Pewnego dnia przetnie linę i pozwoli workowi odpłynąć. A potem może zdoła zapomnieć.

Zachowując beznamiętny wyraz twarzy, podprowadził łódkę do kolejnej boi.

Bum!

Rybak obrócił się tak raptownie, że dwaj chłopcy musieli złapać się burt, bo mała łódka zakołysała się na falach. Zdjęci strachem, podnieśli wzrok na stojącego w łodzi mężczyznę, zastanawiając się, co też skłoniło go do tak gwałtownej reakcji.

Rybak zapatrzył się w głębinę. Błady worek unosił się na wodzie.

Czy coś słyszał? Czy poczuł? Czy to tylko echo fali, która zachlupotała w skalnej wnęce?

Czekał. Łódź kiwała się na wodzie jak pijana.

Nic.

Dwaj bracia patrzyli na obracającego się ku nim rybaka. Ponure cienie rysowały się na jego twarzy, a do oczu napłynął głęboki smutek. Nagle poczuli, że prędzej daliby wiarę tym, którzy głosili plotkę, że zabił człowieka i oznaczył jego grób na morskich falach. Nerwowo złapali za bosaki, ale rybak odpuścił pozostałe pułapki i pokierował łódkę prosto do domu. Starczy łowów na dziś.

Mężczyzna polecił chłopcom posortować ryby, a sam opuścił przystań i ruszył brzegiem do miejsca, gdzie dmuchany worek unosił się w ciemności kilka długości łodzi od skał. Z oka rybaka ciekła strużka słonej wody.

Czas i pływy to najwidoczniej za mało.

W rzeczy samej, cały ocean to za mało, by zatopić jego poczucie winy.



W dalekim kraju za Nieskończonym Morzem stworzenie uniosło głowę. A także trzy inne, które wcześniej nigdy jeszcze nie odpowiedziały.

Bum!

Powitanie



Jeśli Falko był zaskoczony intymną naturą audiencji, to znacznie mniej zaskoczyła go ściana ciszy, która powitała ich w sypialni w akademickich barakach. Giermek służący im za przewodnika skłonił się nerwowo i pospiesznie wyszedł, zostawiając nowo przybyłych w towarzystwie trzydziestu patrzących na nich ponuro silnych młodych mężczyzn. Te spojrzenia wyrażały lekceważenie dla rywali z jakiejś prowincjonalnej mieściny w Valencji. Młodzi szlachcice z Caer Dour nie przejęli się tym. Po chwili podeszli po prostu do swoich łóżek, nie zdradzając najmniejszych oznak kompleksów.

Na środku stali więc już tylko Falko, Bryna i Malaki.

Słabeusz, kobieta i wiejski kowal.

Niektórzy kadeci z zainteresowaniem gapili się na Brynę, lecz Falko zauważył, że większość jest skupiona na Malakim, jakby usiłowali oszacować jego siłę z samej tylko postawy. Tak, chłopak z czerwoną plamą na twarzy od razu zwrócił uwagę wszystkich. Falko uśmiechnął się w duchu. Choć raz to nie on będzie w centrum zainteresowania. Ale jego anonimowość nie trwała długo.

– Ha! – zawołał głos gdzieś ze środka długiego pomieszczenia. – Czy to nie zdrajca z Caer Dour? Pewnie przyszedł, żeby polerować koleżce zbroję.

Kadeci obejrzel się. Falkowi serce podskoczyło do gardła, gdy właściciel znajomego głosu wyszedł naprzód. To był Jareg Snidesson.

– A więc przeżyłeś – rzucił oskarżycielskim tonem. – Sprowadziłeś zagładę na rodzinne miasto i śmierć na swoich ludzi, a jednak ze

wszystkich ludzi akurat ty przeżyłeś. – Podszedł bliżej, kołysząc się swobodnie na nogach jak kapitan na własnym okręcie. Za nimi szli trzej jego rośli znajomkowie, a wśród nich potężny Beltańczyk, większy jeszcze nawet od Malakiego.

Pozostali kadeci patrzyli na młodego szlachcica, gdy szedł ku swoim krajanom. Nie wiedzieli, co między nimi zaszło, ale widzieli, kto ma władzę, a kto jej nie ma. Szlachcic, którego los zależał od wyboru jak najsilniejszego sprzymierzeńca, nie zastanawiałby się długo, po której stronie stanąć.

– Przynajmniej nie uciekliśmy – powiedział Malaki, robiąc krok naprzód.

– Ach, syn kowala – wyrzekł Jareg tym samym protekcyjnym tonem, którym tak biegle posługiwał się jego ojciec. – I dziewczyna, która trafiła tu tylko dlatego, że oszukiwała na turnieju.

Falko kątem oka zobaczył, jak Bryna kładzie rękę na ramieniu Malakiego.

– Twierdzisz, że uciekłem? – ciągnął Jareg na tyle głośno, by wszyscy go słyszeli. – Zginęlibyście w górach, gdybym nie sprowadził pomocy wraz z ojcem.

– Wstydz się – wymówił Falko z kamienną maską na twarzy. Nie powiedział słowa o jeźdźcach, którzy oddali życie, by dostarczyć wiadomość. Nie musiał. Ciche przekonanie w jego głosie wystarczyło, by rzucić cień wątpliwości na przechwałki Jarega.

Na sekundę oczy szlachcica zajaśniały żądzą mordy, ale zaraz ułożył wargi w szyderyczy uśmieszek i szybko zmienił temat.

– To wszystko przez niego. Gdyby nie on, nie byłoby nas tutaj. – Zrobił pauzę, by wwiercić się spojrzeniem w Falka. – To ty ostrzegłeś czarnego smoka, który zabił naszego maga bitewnego. Może się mylę?

Falko milczał, ale jego milczenie potwierdzało, że przynajmniej w tej sprawie Jareg nie kłamie. Nastrój w pomieszczeniu zgęstniał. Jareg uśmiechnął się zwycięsko, choć w jego oczach wciąż pełgała obietnica przemocy.

Nagle drzwi do baraków otworzyły się i do środka weszło dwóch mężczyzn w czarnych opończach z motywem końskiej głowy. Instruktorzy. Jeden z nich trzymał w dłoni zwój. Obaj budzili szacunek, który przyćmiewał wszystkie młode książątka w pokoju. Starszy z dwóch

mężczyzn zrobił krok naprzód. Był dobrze zbudowany, a jego łysą głowę znaczyły blizny. Masywna żuchwa porośnięta była przyciętą krótko brodą, a wydatne czoło rzucało cień na osadzone głęboko oczy. Potoczył surowym wzrokiem po pomieszczeniu i widać było, że z miejsca zorientował się, co tu się dzieje. Zawsze było tak samo: młode byczki walczą o dominację w nowym stadzie.

– Akademia wita kadetów z Caer Dour – wyrzekł niespodziewanie łagodnym głosem z silnym akcentem z Clemoncé. – Przyjmijcie moje przeprosiny. Powinienem był powitać was zaraz po waszym przybyciu, ale spodziewaliśmy się was dopiero jutro.

Szybko objął spojrzeniem wszystkich nowo przybyłych, zarówno tych stojących już przy swoich łóżkach, jak i tych przy drzwiach.

– Jestem lanista Magnus – kontynuował. – A to lanista Deloix, zwierzchnik tego baraku.

Wskazał gestem wysokiego, muskularnego mężczyznę o ciemnej skórze, włosach splecionych w warkocz i jasnobrązowych, wilczych oczach. Jego twarz i ramiona również były pokreślone bliznami. Brakowało mu czubka lewego ucha; wyglądało na to, że odcięto mu go jednym ciosem.

– Nie spodziewamy się już dzisiaj nowych kadetów, więc od razu przejdę do rzeczy. Wasz trening rozpocznie się za dwa dni. Teraz przedstawcie się i powiedzcie, jaką wybraliście dyscyplinę.

Lanista rozwinął zwój i przemknął po nim wzrokiem, a potem spojrzał na Jarega.

– Jareg Snidesson – przedstawił się szlachcic. – Szkolenie oficerskie, kawalerzysta.

Lanista przeszedł wzrokiem do kolejnego kadeta.

– Allyster Mollé. Szkolenie oficerskie. Łucznik.

Powoli przeskakiwał wzrokiem po uczniach, aż doszedł do trzech nowo przybyłych, stojących na uboczu. Pierwsza była Bryna.

– Bryna Godwin. Szkolenie oficerskie. Łuczniczka.

Po sali przebiegł szmer. Dwaj kadeci prychnęli śmiechem, gdy powiedział im coś czarnowłosy młodzieniec stojący przy Falku. Chłopak nie dosłyszał w całości treści żartu, ale wiedział, że była mowa o strzałach i pewnych częściach męskiej anatomii, którymi mogłaby się zająć łuczniczka.

Lanista przeszedł do Malakiego.

– Malaki de Vane, szkolenie oficerskie, rycerz – powiedział kowal, wzbudzając nową falę szeptów.

Do uszu Falka dotarło głośnie prychnięcie, które wyszło z ust Jarega, ale kilku wyższych kadetów spojrzało na Malakiego z odnowionym zaciekawieniem. A więc nie tylko oni będą w tym miesiącu próbować swoich sił w *épreuve du force*.

Wreszcie lanista doszedł do Falka. Wielu kadetów zaśmiało się, jakby instruktor sposobił się do jakiegoś okrutnego żartu. Jareg nie silił się nawet, by stłumić szydercze parsknięcie.

– I Falko Danté – przeczytał instruktor. – Ty również będziesz tu spał, dopóki nie zostanie podjęta decyzja o twoim szkoleniu.

– Jaka niby decyzja? – wypalił Jareg. – Chyba nie przyznano miejsca w akademii temu słudze?

Oburzony szlachcic ruszył naprzód, ale lanista osadził go w miejscu spojrzeniem.

– Istnieją kwestie, które wymagają rozwiązania, zanim pan Danté rozpocznie szkolenie na maga bitewnego.

– Że co?! – wykrzyknął Jareg, a po sypialni przeszły okrzyki niedowierzania.

Magnus nie mógł mówić poważnie, a jednak jego spojrzenie było niewzruszone. Po prostu patrzył na Falka, a potem skinął krótko głową, jakby uznał, że wszystko się zgadza. Przynajmniej na razie.

Jareg wybuchnął śmiechem, ale czuło się, że jego rozbawienie jest wymuszone, szybko więc ucichł.

Lanista uniósł dłoń i w pomieszczeniu zapadła cisza.

– Za dwa dni zostaniecie obudzeni o świcie i rozpocznie się wasz trening – rzekł. – Ponadto pragnę was powiadomić o zaszczycie, jaki was spotkał – dodał szczególnie uroczystym tonem. – Właśnie otrzymałem wiadomość z pałacu, że dziś do kadry instruktorskiej dołączy nowy nauczyciel. Czy raczej stary nauczyciel wróci do fachu po przerwie. W tym roku będzie nad wami czuwał sir William Chevalier z Eltz. Przynajmniej do chwili, gdy za kilka miesięcy ruszy do walki Czwarta Armia.

W pokoju czuło się ekscytację. Falko doznał ulgi na myśl, że emisariusz jeszcze przez jakiś czas będzie częścią ich życia.

Lanista ponownie zarządził spokój.

– Wypocznijcie – polecił. – Za dwa dni macie być w pełni sił.

Kadeci zaczęli rozmawiać, choć lanista jeszcze nie skończył. Potężny mężczyzna utorował sobie drogę między nimi i stanął przed czarnowłosym chłopakiem, który żartował z Bryny. Przez moment tylko patrzył na uśmiechającego się nerwowo kadeta, a potem strzelił go otwartą dłonią w głowę. Uderzenie było tak silne, że chłopak upadł twarzą do ziemi. Lanista zwrócił się do reszty:

– Akademia nie będzie tolerować braku szacunku dla kadetów płci żeńskiej – wygłosił, gdy koledzy pomogli towarzyszowi wstać. – Mógłbym spodziewać się takiego zachowania po Nieregularnych, ale nie po kadetach zaprzysiężonych królowej Furii, elicie wśród elit. – Wielu chłopców utkwilo wzrok w podłodze. – Każdy, kto o tym zapomni, zostanie poproszony o opuszczenie akademii. Drugiej szansy nie będzie. Czy wyrażam się jasno?

Młodzi mężczyźni kiwali głowami i mamrotali. Jareg poruszał ustami w taki sposób, jakby zjadł zgniły owoc. Było jasne, że większość tych uprzywilejowanych młodzieńców nie przywykła do wykonywania poleceń.

Lanista zwrócił się do Bryny:

– Tutaj, w barakach, wokół twojego łóżka zostaną rozwieszane zasłony. Otrzymasz również do użytku oddzielną latrynę, ale z pewnością przyjdzie czas, gdy tego typu przywileje znajdą się poza twoim zasięgiem. – Jego spojrzenie było twarde i nieugięte. – Jeśli nie możesz znieść myśli o obnażeniu tyłka i wysikaniu się przed setką napalonych mężczyzn, lepiej od razu opuść akademię.

Bryna zarumieniała się, ale nie spuściła wzroku. Malaki wydawał się zażenowany, ale Falko zorientował się, o co tak naprawdę chodziło instruktorowi. Owszem, udzielał Brynie użytecznej przestrogi, lecz także sprawdzał, czy jego poprzednia wypowiedź dotarła do kadetów. Chciał się przekonać, czy któryś z nich zaśmieje się na wspomnienie o dziewczynie świecącej tyłkiem przed towarzyszami. Wyglądało na to, że chłopcy zrozumieli Magnusa w całej rozciągłości.

Drobny uśmiezek aprobaty przemknął przez usta lanisty. Skinął Brynie głową, a potem obrócił twarz do reszty.

– Jeśli macie jakieś pytania, zadajcie je laniście Deloix, którego znajdziecie w kwaterach instruktorskich. – Pauza. – Za dwa dni

o wschodzie słońca. Dobrej nocy.

Z tymi słowami obaj instruktorzy opuścili pokój. Ale Jareg tylko czekał, aż zamkną się drzwi.

– Ty? Magiem bitewnym? – prychnął. – To musi być jakiś chory żart. – W dwa kroki stanął przed Falkiem. – Po tym, co zrobił twój ojciec, po tym, co ty sam zrobiłeś naszemu miastu? Skąd pomysł, że pozwolą ci nim zostać? Jak to w ogóle byłoby możliwe? Popatrzcie tylko na tego wypłosza... – Tu bez krępacji złapał Falka za ramię, jakby ten był jedynie strachem na wróble. – Skóra i kości – syczał, łypiąc na wszelki wypadek w kierunku Malakiego. – Trudno nazwać go materiałem na wielkiego wojownika. – Odwrócił się do małej kohorty swoich popleczników. – Poczekaj tylko, aż dowie się o tym mój ojciec. Posika się ze śmiechu, a potem poinformuje kuzyna Ludovica o historii twojej rodziny. Wówczas księżę doprowadzi do wyrzucenia cię z akademii, a potem z miasta, okrytego hańbą. – Jareg odszedł z dumnie wypiętą pierśią, a potem zatrzymał się, gdy w powietrzu zadzwonił głos Bryny.

– To królowa, a nie księżę Ludovico podejmuje w Furii takie decyzje – wyrzekła równym i dźwięcznym głosem, choć była już mocno czerwona na twarzy.

Jareg obrócił się powoli. Na jego twarzy widniał znajomy złowróżbny uśmiezek.

– Na razie – wypluł. – Ale poczekajcie tylko, aż armia magów Galena Thralla ruszy do boju. To księżę i szlachta go poparli, podczas gdy królowa bruździła magom na każdym etapie przygotowań. Czas Wielkich Dusz dobiega końca, a magowie nie zapomną, kto tyle czasu krzyżował im plany.

Nowo przybyli z Caer Dour nie orientowali się w tych politycznych machinacjach, ale Bryna nie dawała się zbić z pantałyku. Ona również była wysoko urodzona. Ani myślała pozwolić się zastraszyć takiej szumowinie jak Jareg.

Wreszcie młody szlachcic poszedł w swoją stronę, a dziewczyna obróciła się do dwóch przyjaciół.

– Co za dupek!

Obaj rozdziawili usta, słysząc, jakie słowa spłynęły z jej szlachetnego języka, ale gdy zawstydzona podniosła wzrok, cała trójka roześmiała się cicho. Jedyne puste łóżka były rozproszone po całym pokoju, nie mogli więc

ułożyć się obok siebie.

– Macie, weźcie te dwa – powiedział Owen, przenosząc swoje rzeczy na puste łóżko przy przeciwnej ścianie.

Falko podziękował skinieniem. Czuł na sobie spojrzenia reszty kadetów, z których wielu z przyjemnością słuchało docinków Jarega. Doświadczeni ciemieży podziwiający swojego pobratymca przy pracy. Ale zauważył też, że kadeci z Caer Dour odwrócili oczy. W odróżnieniu od Jarega widzieli, jak Falko ruszył w stronę demona i stanął przy Symeonie. No i przebyli wraz z nim podróż do Furii. Nie połączyły ich jeszcze więzy przyjaźni, ale zapałali do siebie szacunkiem, nawet jeśli nie zechcieliby się do tego przyznać na głos.

Dzięki Owenowi mieli teraz dwa łóżka obok siebie i Falko szukał kolejnego gdzieś w pobliżu, gdy jeden młodzieniec trącił sąsiada łokciem i gestem poprosił go, by przeniósł swoje rzeczy. Falko poznał po ciemnych włosach, niebieskich oczach i kwadratowych zuchwach, że to bracia. Mniejszemu grał w oczach szelmowski błysk, ten większy był spokojny i opanowany. Falko odczekał, aż dryblas zabierze rzeczy, a potem złożył własny tobołek na pościeli.

– Dziękuję.

– Alex Klingemann – przedstawił się młodszy, stając przy łóżku Falka.

Chłopak potrząsnął jego dłonią, nieco zdziwiony tym nieoczekiwanym przyjaznym gestem.

– A to mój brat Quirren – dodał, podając dłoń Malakiemu i Brynie. – On jest tym cichym z nas dwóch – zakończył z szerokim uśmiechem.

Quirren pozostał po drugiej stronie łóżka, ale spokojnie skinął im głową.

– Czy to prawda, że podróżowaliście z Chevalierem? – spytał Alex.

Falko potwierdził ruchem głowy. Zauważając, że kadet mówi z tym samym illicyjskim akcentem co emisariusz.

– I naprawdę widzieliście demona?

Falko znowu pokiwał głową.

– Bryna zestrzeliła jednego na ziemię – pochwalił łuczniczkę Malaki. – No, przynajmniej zestrzeliła mrocznego anioła.

– Schwarzengeła! – Alex spojrzał na nią z podziwem. – Mniejszy demon to wciąż demon.

Falko zwrócił uwagę, że pozostali kadeci przysłuchiwali się rozmowie.

Skakali wzrokiem od Bryny do Jarega z coraz trudniejszymi do odczytania emocjami wypisanymi na twarzach, jakby zaczęli rozumieć, że historia, którą im opowiedziano, może nie być całkiem prawdziwa.

– Jaki on jest? – zaciekawiał się Alex, mając oczywiście na myśli emisariusza.

– Alex, zlituj się! – Quirren zwrócił mu uwagę basowym głosem, zanim Falko zdołał odpowiedzieć.

– No dobrze, już dobrze... – Alex wywrócił oczami i spojrzał wymownie na brata, jakby chciał zganić go za psucie mu zabawy. – No nic, rozgośćcie się – zakończył, zwracając się do Falka. – A jakbyście czegoś potrzebowali...

– Dzięki – powiedział Falko.

Alex odwrócił się, obdarzając ich uśmiechem, ale nie uszedł jednego kroku, nim znowu zwrócił się do Falka:

– W Illicji cieszy się sławą wielkiego wojownika.

Chłopak nie mógł się nie uśmiechnąć. Dostrzegł w oczach Alexa pewną nerwowość, jakby ten obawiał się, że rozmówca zniszczy budowane od lat wyobrazenie.

– Bo nim jest – rzekł Falko, a uśmiech natychmiast powrócił na usta chłopaka. Ucieszył się, że rozmówca potwierdził nieskalaną reputację jego bohatera.

Alex wrócił w końcu do swojego łóżka, a Falko usłyszał jeszcze, jak Quirren dyskretnie go strofuje.

– No co? – bronił się weselszy z dwóch braci. – Zapytałem tylko.

Wciąż nie mogąc przestać się uśmiechać, Falko wrócił wzrokiem do Bryny i Malakiego, którzy jak urzeczeni rozglądali się po koszarach. Dopiero teraz nadarzyła się okazja, by obejrzeć swój nowy dom.

Zajmowali trzy łóżka spośród piętnastu w długim pokoju o kamiennych ścianach, w których umieszczono w równych odstępach małe okna, ale już zapadła noc i jedynym źródłem światła były latarnie wiszące z belek stropowych oraz małe przenośne metalowe paleniska, rozstawione pod ścianami.

Drewnianą podłogę zasłano szorstkimi plecionymi dywanami. Ściany były pobielone, ozdobione gobelinami przedstawiającymi różne style szermiercze oraz formacje wojskowe, ale rzeczą, która naprawdę przykuwała uwagę, była wisząca wśród nich broń. Wydawało się, że każda

nacja i każdy typ żołnierza znalazły swoją reprezentację na kamiennych ścianach kwatery kadetów.

Falko widział włócznie i zakrzywione kopisy z Thraecji, lakonie z Acheronu wyposażone w klingi podobne do liści, ciężkie pałasze i wyprofilowane brodate topory z Beltane, długie miecze z Clemoncé i Illicji. A z Valencji... półtoraręczne „kundle”, zwane też bękartami, czyli miecze uważane przez wielu za broń idealną i o najszerszym zastosowaniu. Ich klingi nie były ani długie, ani krótkie, ani cienkie, ani przesadnie szerokie. Były dostatecznie grube, by zablokować uderzenie, ale na tyle lekkie, by nadawały się do szybkiej walki. Nie miały określonej długości ani kroju. W Valencji miecze dostosowywano do osoby, która miała nimi władać. To właśnie nieokreśloność formy i brak rodowodu sprawiły, że zaczęto nazywać je bękartami. Zwolennicy szlachetnych szkół szermierczych odnosili się do nich z pogardą, ale w ogniu bitwy, gdy los mógł postawić przed wojownikiem wroga posługującego się najróżniejszym rodzajem broni, bękart sprawdzał się jak mało co.

– Słyszałem o każdej z tych broni – mruknął pod nosem Malaki, gdy już obejrzelili sobie całe pomieszczenie. – Ale dotąd nie widziałem na oczy większości z nich. Widziałeś zweihändera, który wisi na tamtej ścianie?

– Absurdalna broń. – Falko się uśmiechnął.

– Tak, ale imponująca – odrzekł Malaki, a Bryna po prostu wywróciła oczami.

– Chłopcy i ich zabawki – skwitowała i zaczęła rozpakowywać torby siodłowe, a zawartość układać na prostej półce, która stała przy łóżku.

Chłopcy wyszczerzyli się do siebie i zaczęli robić to samo. Przy każdym łóżku stał niski stół z jedną szufladą i wysoki drewniany mebel z trzema głębokimi półkami oraz kołkami, na których można było zawiesić broń i zbroję, w nogach łóżka zaś – wielki drewniany kufer. Zadowolony Malaki skinął głową i zaczął rozpakowywać swój niebieski pancerz, Bryna powiesiła na kołkach łuk i kołczan. Karwasz i rękawicę do strzelania wrzuciła do małej szuflady razem z sakwą z zapasowymi grotami, białymi gęsimi piórami i stoperami, którymi zaznaczało się na cięciwie punkt naciągu.

Obserwując ich, Falko nagle zrobił się nerwowy. Obydwoje byli świetnie wytrenowani w swoich dziedzinach. To było ich miejsce na ziemi. A on?

Oczywiście czuł się ściśle związany z bronią i zbrojami, które widział na ścianach koszar, a widok dobrze wykutego miecza zawsze trącał jakąś strunę w jego duszy, ale jeśli miał być szczery, myślał o sobie dokładnie to co Jareg. Spojrzał na swoje chude dłonie i nadgarstki.

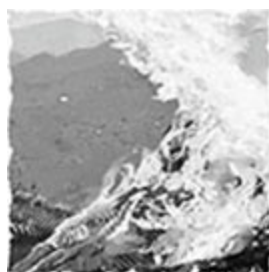
Żaden z niego wojownik.

Mimo to nie pozwoli, by łajdacy pokroju Jarega mówili mu, co może, a czego nie. Zaufa emisariuszowi, skoro ten z jakiegoś powodu zdawał się pokładać wiarę w instynkcie kalekiego chłopca, który nigdy nie nauczył się chodzić. Podniósł wzrok i przyjął na siebie nieufne spojrzenia pozostałych kadetów. Zostanie magiem bitewnym, choćby tylko na złość tym ludziom. W mętym świetle latarni oczy Falka zajaśniały blaskiem, który wypalił całą zaległą w nich słabość. Jeden po drugim przestali na niego zerkać.

Prychnął z zadowoleniem.

– Co za dupki – szepnął pod nosem, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Nadchodzący cień



Utracone Ziemie płonęły. Skała była spękana i skruszona przez rozświetlający ciemność nocy ogień. Nad nim obracały się wolno w powietrzu poczerńiałe ciała dwunastu umęczonych dusz, ohydnie spalone i okaleczone przez płomienie. Ale dusze nie były martwe. Błuzniercza moc Opętanych nigdy nie pozwoliłaby im uciec w błogą śmierć. Jęczały i rzeziły przez spalone gardła. Krople wytopionego tłuszczu ściekały z ich ciał jak łzy. Wokoło stało tyle samo podobnych do zwłok postaci znanych jako Oświeceni, bladych, chudych i pogrążonych w dojmującym smutku. Ich skóra miała woskową, niemalże przezroczystą barwę, a oczy lśniły jak kule z polerowanej kości. Gdyby nie tych kilka porwanych szmat, byłiby zupełnie nadzy, a w rękach trzymali narzędzia do obróbki metalu, szczypce, pilniki i młoty. W poprzednim życiu wykuwali broń i zbroje. Teraz oszczędzono im najgorszych kaźni piekielnych w zamian za użyczenie Opętanym swoich talentów.

Tygodniami Oświeceni czekali przy tej ziejącej ranie w tkance świata, aż wreszcie sługa ciemności przybywał, nadszedł więc czas na rozpoczęcie pracy. W maelstromie piekła stworzenie nie posiadało fizycznej formy, lecz tutaj, w wymarłym świecie, przybierze cielesną postać. Ich zadaniem było wykucie narzędzi, które najlepiej mu się przysłużą.

Powoli Oświeceni zaczęli kształtować dzieło stanowiące odbicie jego natury. Czy stworzenie ma zostać zakute w gruby pancerz? Czy ma być masywną, ciężkozbrojną, niepowstrzymaną machiną zagłady? Czy może zręczną i prędką maszynką do zabijania, wyposażoną w lekki pancerz

i smukłe ostrze?

Oświeceni pochylili się nad okrutnymi płomieniami, zniecierpliwieni wbrew sobie, chcący dowiedzieć się czym prędzej, jaką broń i zbroję mają wykuć dla nowego piekielnego sługi. Wpatrywali się w jaśniejący żar, wyczuwając potrzeby wyłaniającego się z otchłani demona, i jak jeden mąż odchylił się w tył i wypuścili z gardeł westchnienie, gdy przyszłość została przed nimi odsłonięta. Zobaczyli, co wynurza się z płonącej paszczy podziemi, zrozumieli, co muszą zrobić...

Hełm o warstwowym bokach i wysokim, wąskim grzebieniu.

Płytowe naramienniki, napierśnik i karwasze.

I miecze, długie, zakrzywione i straszne.

Ostrza zdatne do rozrzynania smoczych łusek.

W zimnej ciemności ponurej nocy, domeny Opętanych, Oświeceni zabrali się do pracy.

Akademia Sztuki Wojennej



Pomimo zdenerwowania, niegościnnych towarzyszy, chrapania, pierdzenia i nieustannego, zdawałoby się, kaszlu innych kadetów Falko spał nadzwyczaj dobrze. Tylko raz koszmary okazały się na tyle straszne, że zerwał się ze snu. Miał nadzieję, że nie krzyczał lub nie wydał innego dźwięku, który mógł ściągnąć na niego czyjaś

uwagę.

Po chwili zasnął i obudził się dopiero rano. Nowy dzień powitał go mieszanką rozmaitych aromatów: potu, kawy i kamforowej woni maści tygrysiej. Towarzysze gawędzili przyciszonymi głosami, mrużąc oczy w rannym świetle. Zobaczył, że większość kadetów była już na nogach. Tak jak obiecał Magnus, wokół łóżka Bryny zawieszono zasłony. Gdy Falko przerzucił nogi przez krawędź swojego, ujrzał akurat wychodzącą zza nich dziewczynę. Jedną ręką wycierała włosy ręcznikiem, a drugą zasuwiała zasłonę. Jej skóra miała różowawy odcień osoby, która dopiero co się wykąpała.

– Słowo daję, w Caer Dour chlewy pachniały lepiej niż to – wybełkotała, ale Falko wyłapał zadowolenie w jej oczach. Była wyraźnie szczęśliwa, że mogła tu być, nawet jeśli otaczał ją tłum cuchnących mężczyzn.

– Tobie też dzień dobry – odpowiedział, a Bryna błysnęła uśmiechem.

Falka zdumiewały zmiany, jakie zaszły w niej od bitwy. Nie była już wyniosła i nieprzystępna, choć wciąż potrafiła uciszyć człowieka spojrzeniem, które sprawiało, że czuł się wysoki najwyżej na dwa cale.

– O, wstał!

Falko obrócił się i zobaczył Malakiego w nogach łóżka. On również miał na ramieniu ręcznik, a jego gęste brązowe włosy wciąż jeszcze były wilgotne i nieuczesane.

– Mają tu kapitalne łaźnie – rzekł kowal, energicznie wycierając głowę. – Gorąca woda, baseny, cuda-niewidy!

– Dbają o nas, nie ma co.

Alex Klingemann pojawił się u boku Malakiego.

– Dzień dobry towarzystwu – dodał, zaprawiając pozdrowienie swoim zwyczajowym uśmiechem. – Pomyśleliśmy z Quirrenem, że może was oprowadzimy. Po jakimś sutym śniadaniu, ma się rozumieć.

Falko wymienił spojrzenia z Malakim i Bryną. Alex posiadał naturalny dar wzbudzania sympatii, ale wiedzieli też, że chciał wyciągnąć z nich jeszcze jakieś opowieści o emisariuszu i bitwie z Opętanymi. Skoro jednak nadarzała się okazja, by oprowadzić ich po akademii kompetentny przewodnik, należało z niej skorzystać.

– Będziemy ci wdzięczni – rzekł Falko.

Najnowszym dodatkiem do bogatego asortymentu koszarowych zapachów stała się wyraźna woń świeżo upieczonego chleba i smażonego boczku. Falkowi zaburczało w brzuchu i dopiero teraz uświadomił sobie, jaki jest głodny.

Gdy Bryna kończyła toaletę, Falko wygrzebał swoje najczystsze ubranie i poszedł za Malakim do łaźni. W niknącym świetle minionego wieczoru nie docenił należycie budynku, w którym ich zakwaterowano. Widział teraz, że koszary tworzyły zachodni bok wielkiego czworoboku, wzniesionego dookoła odkrytego dziedzińca wysypanego piaskiem, na którym znajdowały się rozliczne przyrządy do ćwiczeń oraz manekiny do walki. Łaźnia znajdowała się po stronie wschodniej, a kuchnie i jadalnie – po północnej. Falko zorientował się w ich położeniu, kiedy przecinał dziedziniec.

Gdy weszli do łaźni, w zdumienie wprowadziło go kilkanaście olbrzymich wanien, wyłożonych płytkami i wprawionych w podłogę; w takie były wyposażone czasem bogatsze domy w Caer Dour.

Malaki uśmiechnął się, widząc rozdziawione usta i wybałuszone oczy przyjaciela.

– Widzimy się w jadalni – powiedział, gdy Falko zaczął się rozbierać.

– Zachowaj dla mnie trochę boczku – rzucił mu na odchodnym Falko,

a potem wydał z siebie westchnienie rozkoszy, gdy zanurzył się w gorącej, parującej wodzie.

Choć czuł się jak w niebie, szybko opuścił łaźnię. Zaraz bowiem wszedł Jareg Snidesson z kilkoma przyjaciółmi i spojrzenia, jakimi go traktowali, w odróżnieniu od tych braci Klingemann, nie należały do przyjaznych. Starając się nadrabiać miną, Falko szybko się ubrał i ruszył do jadalni, gdzie czekali już na niego Malaki i Bryna. Dziewczyna aż pokręciła głową, widząc, jak masakruje cały talerz boczku, jaj i pieczonych pomidorów z kilkoma grubymi pajdami świeżego chleba i opasłą, soczystą gruszką. Popił wszystko wielkim kubkiem wody. Odkąd obudził się w Toulwarze, jego apetyt tak się wzmógł, że teraz Falko mógłby nawet iść w szranki z żarłokiem Malakim.

– Mówiłem ci, że wszystko zje – rzucił kowal do Bryny, a ta zmrużyła oczy na jego tryumfalny wyszczerz.

Gdy już się najedli, posprząтали po sobie i wrócili do koszar, gdzie umówili się z Alexem i Quirrenem. Następnie wyszli z części sypialnej głównym wyjściem w południowej ścianie. Poranek był zimny, ale chmury odrywały się już od gór i zaczęły przepuszczać słońce.

Jak się zaraz okazało, z Alexa był przewodnik pierwszej wody. Dwaj bracia byli w Furii już od kilku tygodni i czekali, aż dotrą ostatni kadeci. Mieli też starszego kuzyna, który szkolił się już w akademii, więc wiedzieli o niej o wiele więcej niż nowo przybyli.

Falko zawsze wyobrażał ją sobie jako swego rodzaju zamek lub uniwersytet, ale wkrótce przekonał się, że Akademia Sztuki Wojennej to nie tyle budynek, ile obóz wojskowy, w którym roiło się od tysięcy żołnierzy z Czwartej Armii, przygotowujących się do następnej kampanii.

– Myślałem, że akademia jest tylko dla kadetów – zdradził się z wątpliwościami Falko, gdy mijali kompleks olbrzymich stajni.

– Praca z żołnierzami głównych armii to przecież część naszego treningu – rzucił Alex, jakby to była powszechna wiedza. – Niektóre manewry konne mogą zostać przeprowadzone na oddziale liczącym nawet pięćset koni.

– Co za formacje mają aż pięćset koni? – zdziwiła się Bryna.

– To zależy od tego, jaką dyscyplinę wybierzesz. Ale wszyscy musimy przerobić manewr trawersowy.

Troje nowo przybyłych wbiło w niego nierozumiejące spojrzenia.

– Tak to nazywają tu, w Clemoncé. – Alex posłał im znaczące spojrzenie.
– My mówimy na to „przeplatanka”. Nigdy go nie wykonaliśmy, ale wygląda cholernie przerażająco.

Zanim zdążyli wypytać go o szczegóły, ktoś zawołał na nich i szybko odskoczyli z drogi przejeżdżającej tamtędy kolumny konnych żołnierzy, którzy wyłonili się z jednej z bramy kompleksu stajennego i wjechali zwawo po krótkiej skarpie na wyższy poziom płaskowyżu. Każdy z konnych miał na sobie zbroję półpłytową i dźwigał lancę – ale nie taką ekstrawagancką, jakimi walczy się na turniejach, tylko prostą włócznię, długą na dziesięć stóp.

– To rycerze z Czwartej Armii – objaśnił Alex. – Jadą na pole turniejowe ćwiczyć walkę lancą.

Wspięli się na górę za ostatnim rycerzem i stamtąd podziwiali lepszy widok na kompleks akademicki. Składał się z wielu budynków: warsztatów, kuźni i spiżarni, a także długich rzędów białych namiotów, z których większość była zamieszкана przez żołnierzy z Czwartej. Za budynkami i namiotami znajdowały się poligony – ogrodzone pola traw lub łupkowego piasku.

– Tam odbywa się większość treningów – rzekł Alex, wskazując leżące pośrodku pole z drewnianymi słupkami i manekinami do walki, podobnymi do tych na dziedzińcu nieopodal baraków. Nawet z tej odległości widać było, że słupki są porąbane i pocięte, ukształtowane latami ćwiczeń.

– A to co? – spytał Falko, wskazując położone dalej pole, na którym grunt zaczął wznosić się w kierunku gór. Tam również powbijano w ziemię paliki, ale w odróżnieniu od pola znajdującego się bliżej, gdzie były one drewniane, te wykonano z jakiegoś czarnego kamienia.

– To jest poligon dla magów.

– Kamienne paliki? – zdziwił się Malaki.

– Odpryski fortissytu – wyjaśnił Alex. – To jedyny surowiec, którego magia nie może zniszczyć.

Falko gapił się na mały las ośmiobocznych słupów. Czarny kamień przypominał mu ciemne skały Mont Noir i Wichrowej Twierdzy.

– Magowie bitewni również z nich korzystają – dodał Alex, łypiąc ostrożnie na Falka.

Nie powiedzieli tego na głos, ale zarówno on, jak i Quirren nie wierzyli

tak naprawdę, że Falko przybył tu, by szkolić się na maga bitewnego.

– Trenują z kadetami? – spytał Malaki. – Znaczą magowie bitewni.

– Tak sądzę – odpowiedział przewodnik. – Ale także w Moździerz. Patrzyli na niego, nie rozumiejąc.

– To arena zanurzona w ziemi jak amfiteatr. Mówią, że uniemożliwia nieudanym zaklęciom zadanie niechcianych obrażeń, ale mnie się wydaje, że magowie chcą po prostu trenować w sekrecie.

– Możemy go zobaczyć? – poprosił Malaki.

– Oj, nie wiem – odrzekł Alex, nagle dziwnie ponury, co zupełnie do niego nie pasowało. – To kawał drogi.

– Nigdy tam nie byliśmy – wyjaśnił Quirren, śmiejąc się z zaaferowania brata. – On się boi magów.

– Wcale się nie boję – zaprzeczył Alex. – Po prostu się przy nich denerwuję.

– Moździerz jest tam. – Quirren wskazał skaliste zbocza za akademią.

Reszta popatrzyła we wskazanym kierunku, ale ich wzrok ściągnęła w prawo mroczna wieża magów Clemoncé, wysoka i imponująca, która przężyła się na tle obsypanych śniegiem gór.

– Możemy tam potem pójść, jeśli macie ochotę.

Malaki i Bryna pokiwali głowami, ale Falko dobrze rozumiał Alexa. On również nie czuł się pewnie w obecności magów.

– Chodźcie. – Alex nagle odzyskał rezon. – Bryna na pewno chciałaby zobaczyć strzelnicę.

Obeszli poligon i dotarli do wydzielonych zagrodami podłużnych pasów gruntu zastawionych wszelkiego rodzaju celami. Były tam zwykle okrągłe tarcze ze słomy, ale również wąskie, obwieszane wypchanymi workami słupki, przypominające z grubsza Opętanych. Grupa około pięćdziesięciu łuczników była akurat w trakcie ćwiczeń. Strzelali do strzepów jaskrawych szmatek zawieszonych w różnych odległościach. Ta ostatnia kwestia zainteresowała Brynę.

– Do jakiej odległości dochodzą? – spytała, wodząc krytycznym spojrzeniem po celach.

– Maksymalnie do trzystu jardów – odrzekł Quirren, który stał obok niej. – Ale tylko najcięższe łuki niosą tak daleko.

– Mówią, że beltański łucznik potrafi dosięgnąć człowieka z trzystu

jardów – rzekł uśmiechnięty niefrasobliwie Alex.

– Bzdura – zgasiła go Bryna.

Chłopak skrzywił się żałośnie, a Falko i Malaki wyszczerzyli zęby w uśmiechu. Co jak co, ale o kwestie związane z łucznictwem lepiej się z Bryną nie kłócić.

Poszli dalej, aż wrócili do pola turniejowego, gdzie żołnierze byli już w zaawansowanej fazie manewrów. Rycerze podzielili się na dwie grupy i po kolei atakowali gruby słomiany cel ustawiony na trzech słupkach.

Alex podprowadził zwiedzających bliżej, gdy konni jeźdźcy galopem objeżdżali pole w dwóch szeregach. Od każdego z nich w regularnych odstępach czasu odłączał się jeden jeździec, który płynnie przechodził do natarcia. Przyglądali się im dwaj instruktorzy znani jako écuyerowie, czyli giermkowie, którzy wykrzykiwanymi głośno poleceniami korygowali przebieg ćwiczeń.

– Nazywają to „en passant” – poinformował ich Quirren, który znalazł się teraz obok Malakiego. – Używają tej taktyki przeciw większym bestiom Opętanych.

Malaki przyglądał się, jak jeźdźcy inicjowali atak tylko po to, by zawrócić konia w ostatnim momencie, gdy padł rozkaz z ust écuyerów.

– Chodzi o to, żeby odciągnąć uwagę bestii, nie odnosząc ran, tak aby drugi żołnierz mógł wyprowadzić atak – powiedział Alex.

– Mierzą czas uderzeniami kopyt o ziemię – dodał Quirren.

Uśmiechnął się lekko i pokiwał głową, gdy Malaki obrzucił go niedowierzającym spojrzeniem. To chyba niemożliwe, by kawaleria osiągnęła ten stopień precyzji. Odmierzać czas uderzeniami kopyt? Niesamowite.

– Takich rzeczy będziemy musieli się nauczyć, jeśli mamy zostać rycerzami.

Falko spojrział na przyjaciela, który odwrócił się, by raz jeszcze przyjrzeć się nadzwyczajnemu pokazowi dokładności. Domyślił się, że Malaki pali się do nauki.

Wreszcie jeden z écuyerów zawołał: „En vérité!”, a dokonujący manewru kawalerzysta wykonał atak i przyspilił słomiany cel do ziemi.

– On powiedział: „Prawdziwy!” – przetłumaczył Quirren.

– Czasami krzyczą po prostu: „Vérité!” – dodał Alex.

Było oczywiste, że obydwaj młodzieńcy są zafascynowani manewrem.

Poranek ciągnął się leniwie i pomimo narastającego zmęczenia Alexa grupa kadetów postanowiła wspiąć się na skały, by obejrzeć Moździerz.

Zostawiwszy za sobą poligon, wdrapali się po skalistym zboczu na kolejną równinę. Wieża magów wznosiła się po ich prawej. Alex co chwila łąpał na nią nerwowo.

– Czy w ogóle wolno nam tu być? – spytał Malaki, gdy już wyszli na równy grunt.

– A czemu nie? Przynajmniej tak sędzę... – odrzekł Quirren.

Mimo to czuło się w powietrzu jakieś napięcie, gdy podchodzili do zanurzonego w skale leja. Grunt raptem otworzył się przed nimi i znaleźli się nad wielkim owalnym dołem o głębokości czterdziestu stóp i średnicy osiemdziesięciu jardów. W ścianach opadających łagodnie ku wysypanemu jasnym żwirem dnu wykuto schody. Całość rzeczywiście przypominała wielki amfiteatr.

– Ten Moździerz musi być strasznie stary – odezwała się Bryna, spoglądając na olbrzymi kamienny lej, który wyglądał, jakby stał tu od początku świata.

Im dłużej chłonęli go wzrokiem, tym bardziej skłaniali się ku temu, co mówił Alex. Wykute w skale stopnie były poobijane i nadpalone. Nietrudno było uwierzyć, że wytrzymały wiele magicznych bitew.

– A to co? – spytał Falko. Jego uwagę zwrócił zacieniony łuk we wschodniej części ściany. Z miejsca, w którym stali, nie widzieli dokładnie, a przejście musiało prowadzić do wieży magów.

– Nie wiem – odszepnął Alex.

– Może zejdziemy rzucić okiem? – zaproponował Malaki, ale Falko pokręcił przecząco głową.

– Nie – powiedział. – Lepiej chodźmy zobaczyć coś innego.

W prowadzącym w głąb ziemi kamiennym tunelu było coś, co budziło intensywny niepokój. Coś, co mówiło o koszmarach i o szepcie, który Falko w nich słyszał.

– Dobra – przystał Alex. – Chodźmy.

Odwrócili się plecami od Moździerza i wrócili nad skraj przepaści.

Słońce wyjrzało zza chmur i niepokój, który na krótką chwilę owładnął Falkiem, jakby roztopił się w jego promieniach. Stanęli na szczycie skały

i powiedli wzrokiem po płaskowyżu. Przed nimi rozciągał się widok na całą akademię, a za nią rosło miasto, niczym wyspa na tle oceanu.

Falko pozwolił swoim oczom opłynąć poszarpaną linię brzegową na południu i wspiąć się na górujące nad światem szczyty, sięgające północnego nieba. Gdy wrócił wzrokiem do płaskowyżu, ujrzał rząd pobudowanych z kamienia farm i gospodarstw. Z małych kominów wzlatywały ku chmurom smugi dymu. W znajdującym się na końcu rzędu warzywniaku stał mężczyzna. Choć dzień był jasny, zimno dawało się Falkowi we znaki, a więc musiało również doskwierać rolnikowi, który miał na sobie tylko lekką koszulę i spodnie. Wydawał się patrzeć na coś w powietrzu za nimi.

Falko obrócił się, wiedziony jego spojrzeniem, i tam, w wyrwach między chmurami, dostrzegł zarysowany na tle nieba kontur smoka. Był o wiele bliżej niż tamten, którego widzieli, gdy wjeżdżali do miasta. Falko wpatrywał się zafascynowany w ruch potężnych skrzydeł, w które stworzenie łapało unoszące go prądy powietrza. Wtem smok zwinął skrzydła i opadł ostro w dół, a potem znowu rozpostarł je szeroko, zatoczył na niebie zgrabne półkole i zniknął im z oczu. Serce Falka szarpnęło się w piersi. Spojrzał w dół, na mężczyznę w ogrodzie warzywnym, wciąż wpatzonego w niebo, jakby mógł jeszcze dostrzec majestatyczne stworzenie. Było coś dziwnego w jego pozie. Coś, co przypominało Falkowi ludzi, którzy wyprawiali się na Opętanych w oddziałach tylnej straży, gdy z Caer Dour uciekali przez góry. Człowiek wydawał się rozkojarzony, odseparowany od świata naokoło.

A potem z budynku obok wyszedł drugi mężczyzna. Poruszał się, wyraźnie utykając, był przygarbiony i Falko widział, że ma tylko jedno ramię. Zbliżył się do towarzysza i położył mu na ramieniu swoją jedyną rękę. Przez moment stali tak razem, a potem mężczyzna w białej koszuli schylił głowę i pozwolił się zaprowadzić w kierunku chaty.

– Zagrodnicy – rzekł Alex, stając obok Falka. – A przynajmniej tak nazywają ich mieszczanie.

Falko odwrócił się częściowo, ale nie mógł oderwać się wzrokiem od dwóch widocznych jeszcze w oddali ludzi. Reszta kadetów podeszła do niego, by zobaczyć, w co się tak wpatruje.

– To magowie bitewni, którzy przeszli na emeryturę – wyjaśnił Alex.

– Ten starszy wydaje się ranny – rzekł Malaki, a przewodnik pokiwał głową.

– To Aurelian Cruz, żyjąca legenda. On i jego smok zostali okaleczeni przez parę demonów na północy Beltane.

Falko odprowadził kalekę wzrokiem aż do wejścia do chaty.

– Zabił jednego z demonów, ale drugi niemal przegryzł go na pół, zanim smok wydobył go z jego paszczy. A nawet wówczas najprawdopodobniej zginąłby w ogniu demona, gdyby smok nie zasłonił go własnym ciałem. Mówią, że stworzenie wzięło na siebie całą siłę ataku piekielnika.

Na oczach Falka mężczyzna zatrzymał się jeszcze i sięgnął ręką do czegoś, co leżało przy drzwiach w cieniu kamiennej chaty, i nagle chłopak uświadomił sobie, że to, co wziął za plamę cienia, było w rzeczywistości smokiem.

– Tam jest smok – podzielił się spostrzeżeniem.

– Tak, to Dwimervane. Smoczyca Aureliana. Okaleczona i na wpół ślepa. Nie może już latać, ale czasem wspina się po skałach.

– Wydaje się czarna – powiedział Malaki.

– Ciemnoniebieska – doprecyzował Quirren. – Mówią, że nie pożyje dość długo, żeby zmienić się w czarną.

Milczeli chwilę. Mężczyzna przy drzwiach wciąż stał, jakby rozmawiał z przyjacielem. A potem nagle wrócił spojrzeniem do kadetów na skale. Nikt nie miał wątpliwości, że patrzy prosto na Falka. Wpatrywał się w niego jeszcze chwilę, a potem schylił się, przeszedł przez drzwi i zniknął.

– Kim był ten drugi człowiek? – zapytała Bryna.

– Nie znam jego imienia – odpowiedział Alex. – Ale też był magiem bitewnym. Smok, którego przyzwał, był czarny, musiał go więc zabić. To go złamało. – Pauza. – Nazywają takich ludzi Odrzuconymi.

Falko poczuł, jak znajomy żal zaciska się zimnym łańcuchem na jego sercu. Pomimo całej tej przemocy, nienawiści i strachu wciąż czuł się głęboko zasmucony, gdy pomyślał o zabitym w Wichrowej Twierdzy czarnym smoku. Falko rozumiał, jak zamordowanie takiego stworzenia może złamać człowieka na zawsze.

– Chodźmy – rzekł Alex. – Zjemy coś na mieście.

Godzinę później siedzieli na murach obronnych i patrzyli na przystań oraz piaszczystą plażę, ciągnącą się do meandrującej na południu rzeki

Denier. Alex grzebał w swoim cieście z wołowiną i ziemniakami, namyślając się, aż w końcu, gdy już nie mógł się dłużej powstrzymać, po prostu wypalił:

– Czyli widzieliście, jak on walczy?

Nie musieli pytać, o kogo mu chodzi.

– Malaki nawet się z nim pojedynkował – rzuciła Bryna, a Alex wybałuszył oczy na kowala. – Na próbach – podjęła. – Bo ktoś – tu spojrzała oskarżycielsko na Falka – zgłosił Malakiego do pojedynku z emisariuszem, a emisariusz wyraził zgodę.

Alex świdrował Malakiego wzrokiem, a jego oczy wyrażały zazdrość.

– Nie wygrałeś chyba? – wydusił, jakby to było nie do pomyślenia.

– Nie – odparł kowal, oblewając się rumieńcem.

– Nie wygrał – powtórzyła Bryna. – Ale złamał mu nos.



Alex i Quirren rozdziawili usta, a troje Valencjan roześmiało się, a potem opowiedziało, jak to naprawdę było. Nie pominęli też przywołania i bitwy w górach. Gdy skończyli, bracia Klingemann siedzieli w ciszy, osłupiali. Rzeczywiście wzięli troje przyjaciół za prostaczków z małego miasta za górami, ale nim popołudnie przeszło w wieczór, uświadomili sobie, że pomimo całej swojej wiedzy o Furii i akademii to oni są nowicjuszami.

Dzień był bardzo pouczający dla obu stron, a wymiana doświadczeń niezwykle owocna. Gdy wrócili do koszar wczesnym wieczorem, nogi mieli jak z ołowiu.

– Ciekawe, co było na kolację – powiedział Alex, gdy zbliżali się do czworobocznego budynku.

– Pachnie jak potrawka – rzucił Quirren, kierując się do części sypialnej.
– Pójdę po przyprawy.

– Nigdy nie dają ich dosyć, więc poprosiliśmy, żeby przysłali nam z domu szczyptę czy dwie – wyjaśnił Alex, doskakując do brata. – Zajmijcie nam stół przy oknie – zawołał jeszcze przez ramię, nim zniknęli w drzwiach.

– Pójdę się przebrać – powiedziała Bryna.

– A ja bym chętnie zrzucił balast...

– Dziękuję za tę informację! – Bryna uniosła rękę i zamknęła oczy. Pokręciła głową. Gdy je otworzyła, spojrzała błagalnie na Falka. – Czy on zawsze ogłasza wszem wobec swoje funkcje życiowe?

– Zawsze był po prostu obrzydliwy, jeśli o to pytasz.

– Ech... chłopcy! – wykrzyknęła, raz jeszcze spojrzała w sufit, a potem poszła się odświeżyć.

Falko i Malaki wymienili rozbawione spojrzenia.

– Widzimy się w jadalni – powiedział kowal, ruszając w stronę latryn.

Wciąż uśmiechnięty Falko przeszedł przez sklezione łukiem drzwi na centralny dziedziniec. Zobaczył na nim grupkę kadetów. Niektórzy wyglądali na wykończonych, mieli obwisłe twarze i przepocone koszule. Najwidoczniej spędzili dzień na treningu, ale na widok Falka zebrali ubrania i poszli do łaźni. Falko nie zwrócił na to uwagi, ale kiedy ruszył dziedzińcem, kilku innych kadetów obróciło się za nim, a on rozpoznał dwóch ponuraków, którzy stali przy Jaregu minionego wieczoru.

– Przynosisz hańbę temu miejscu.

Serce podeszło Falkowi do gardła, gdy zobaczył, że spod zadaszonej części dziedzińca wyłania się Jareg Snidesson. Zupełnie jakby na niego czekał.

– Wiesz, że nie jesteś tu mile widziany. – Jareg stanął Falkowi na drodze. W ręce jak gdyby nigdy nic trzymał miecz treningowy.

– To zależy, kogo spytasz – odparł Falko, patrząc na pięciu dobrze zbudowanych młodzieńców, którzy właśnie go otaczali.

– Może odejść stąd od razu i oszczędź nam wstydu dzielenia rangi kadeta z kimś takim jak ty.

– Nigdzie się nie wybieram – odparł Falko, a jego serce zerwało się do biegu.

Przepchnął się między nimi, ale Jareg skinął na jednego ze swoich

koleżków, potężnego chłopaka o rudych włosach i beltańskiej zuchwie, który bez wysiłku posłał go pchnięciem na jeden z drewnianych manekinów. Falko próbował wyhamować, ale siła pchnięcia zaskoczyła go i uderzył twarzą o twardy drewniany słupek. Rażony bólem i zdumieniem, usiłował się wyprostować, ale zanim odzyskał równowagę, inny kadet kopnięciem wygarnął spod niego nogi i Falko upadł ciężko na bok.

Wiedział od razu, co powinien teraz zrobić, ale jego ciało po prostu mu to uniemożliwiało. Zdołał się tylko skulić, gdy zaczęły spadać na niego ciosy. Jęknął z bólu, a potem zassał z sykiem powietrze, gdy Jareg wpił pięść w jego długie czarne włosy.

– Akademia Sztuki Wojennej to niebezpieczne miejsce – powiedział niskim i groźnym tonem. – Zdarza się, że kadeci giną w trakcie ćwiczeń. A twój wielki koleżka nie zawsze będzie mógł cię pilnować.

Falko skrzywił się, gdy Jareg odgiął mu głowę, by zajrzeć w jego oczy.

– Jeśli jeszcze raz oskarżysz moją rodzinę o tchórzostwo, dopilnuję, żebyś zginął i został pochowany w zbiorowym grobie. – Jego głos przeszedł teraz w napięty szept. – Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Z tymi słowy puścił włosy Falka i się odwrócił.

– Nie powiedziałem, że jesteś tchórzem – odezwał się Falko, podnosząc się na łokciu i plując krwią. – Jedyne zasugerowałem, że popełniasz błąd, przypisując sobie odwagę innych.

Jareg zatrzymał się. Miecz treningowy wisiał luźno w jego ręku. Pochylił głowę, a potem jego palce zacisnęły się na drewnianej rękojeści. Obrócił się i trafił Falka płazem w bok głowy.

Takie uderzenie potrafiło wyrządzić znaczną krzywdę, ale wyglądało na to, że czaszka Falka jest twardsza, niż się wydawało. Lecz i tak zaatakowany zwałił się ciężko na piasek, a krwawa struga zalała mu oko. Oszołomiony zamrugał i podniósł wzrok. Zobaczył, że napastnik odchodzi, ale zanim zniknął, posłał mu jeszcze przez ramię ostatnie spojrzenie. Z jego oczu lała się pogarda, ale Falko dostrzegł w nich coś jeszcze. Coś, co sprawiało, że nienawiść w sercu Jarega zapłonęła jaśniej niż kiedykolwiek wcześniej. Był to wstyd.



– Co ci się stało, do diaska? – spytał Malaki, wchodząc kilka minut później do jadalni.

Bryna opatrywała rozcięcie nad prawym okiem Falka.

– Znaleźliśmy go na dziedzińcu – powiadomił go Alex, gdy Malaki postawił na stole wielki talerz z potrawką i pierogami.

– Potknąłem się na schodach... – zaczął Falko.

– Snidesson! – wycharczał Malaki. – Ten...

Falko gestem kazał mu usiąść, a potem syknął, gdy Bryna przyłożyła mu do czoła zimną szmatkę.

– Trzeba to zaszyć – orzekła.

– Kto mógłby zrobić coś podobnego? – spytał Quirren, którego zwykle spokojna twarz pociemniała od gniewu.

Troje Valencjan popatrzyło po sobie, ale żadne z nich nie odpowiedziało. Trudno byłoby podsumować w kilku zdaniach całą historię animozji pomiędzy Falkiem i szlacheckim rodem Snidessonów.

– Musimy komuś powiedzieć – postanowił Alex. – Może laniście Deloix.

Falko pokręcił głową.

– To tylko pogorszy sprawę.

– Nie mogę się doczekać, aż spotkam go na poligonie – wycedził Malaki.

– A co, nie umie walczyć? – zdziwił się Quirren.

– Umie, umie. Ale i tak skopię mu dupę.

Falko roześmiał się. Dziwiło go, że sam nie był zły na Jarega. Młody szlachcic miał za ojca Belliusa Snidessona, a jego matka bardziej niż o syna troszczyła się o kupioną za pieniądze reputację. A Falko miał Symeona i Fossettę. Nie, nie darzył Jarega nienawiścią. Miał dla niego tylko litość. Odepchnął uprzejmie rękę Bryny i sam przyłożył sobie kompres do czoła, a potem zgarnął z talerza Malakiego opasły pieróg i wepchnął go sobie do ust. Syknął z bólu, gdy gorący sos sparzył jego rozcięte usta.

– Chyba pójde po drugi talerz – rzekł kwaśno Malaki, a Falko pomimo rozcięć i siniaków, które uwidoczniły się brzydko na jego twarzy, rozszerzył usta w uśmiechu.

A więc Jareg i jego totumfaccy znowu go sprali. No i co z tego? Tym bardziej czuł się tu jak w domu.

Dziedziny wiedzy



Wybiła północ. Meredith Saker spędził ostatnie dwadzieścia cztery godziny w wieży magów Clemoncé. Medytował w jednej z odosobnionych komnat przeznaczonych do tego właśnie celu. Teraz nadszedł czas, by wreszcie ją opuścić i wyjawić wielkiemu veneratu dziedziny wiedzy, które staną się podwaliną jego pracy. Meredith czuł niepokój. Podejrzewał, że ojcu nie spodoba się jego wybór. Ale skoro tak – trudno. Taki był cel medytacji: odnaleźć prawdziwą naturę swego powołania. Meredith całe życie tkwił w cieniu ojca. Nadszedł czas, by w końcu rzucił własny.

Drzwi jego celi otworzyły się i w drzwiach stanął mag z pochodnią oliwną w ręku.

– Możesz wejść.

Meredith kiwnął głową i wstał. Klęczał długo i całe ciało miał sztywne, ale nie poskarżył się, tylko gestem kazał magowi pójść przodem.

Pokój otwierał się na długi korytarz z ciemnego kamienia, który wydawał się nie tyle wybudowany, ile wyrzeźbiony w nagiej skale. Po obu stronach znajdowały się rzędy drzwi, każde z nich prowadziło do pokoju podobnego do tego, który właśnie opuścił Meredith – małego, pozbawionego okien pomieszczenia z prostą pryczą i wiadrzem na odchody. Przypominały Meredithowi cele więzienne w głównej twierdzy Caer Dour.

– Tędy – powiedział mag, wskazując prawą odnogę korytarza, oświetloną przez ogień płonący w podobnych do naczyń kinkietach wprawionych w ściany.

Z jakiegoś powodu mężczyzna widocznie się strapił, gdy rzucił okiem na lewą odnogę – nieoświetlony tunel, który ginął w cieniu. Młody mag podążył za jego spojrzeniem i jego również opanowało zdenerwowanie, a po plecach spłynął mu zimny dreszcz. Na samym końcu korytarza dostrzegł skrytą w ciemności kolejną celę i choć w zamkniętych drzwiach nie było kratki ani dziurki od klucza, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ktoś skryty za nimi go obserwuje.

Rozstrojony nagłym uderzeniem strachu, odwrócił się plecami do korytarza i ruszył żwawym krokiem za magiem. Gdy tak szli, Meredith słyszał ciche dźwięki dobiegające z zajętych cel. Szepty, skandowanie, mamrotane pod nosem słowa. Już mieli opuścić korytarz, gdy raptem zatrzęsło się powietrze, jakby ktoś przyłożył w drzwi celi taranem.

Meredith wzdrygnął się, gdy przerażenie żarzące się w jego sercu w krótkiej chwili wybuchło płomieniem. Wtedy trzech inni magowie pojawili się w korytarzu, wszyscy ponurzy i potężnie zbudowani. Na szatach nosili czarne szale strażników. Meredith wyczuł, że są spięci, i zauważył, że wszyscy zaczęli koncentrować energię w dłoniach. Trzymali w pogotowiu potężne zaklęcia, gotowi rzucić je w każdej chwili.

Kolejny huk poniósł się echem przez korytarz i Meredith uświadomił sobie, że ten dźwięk dobiega z celi na końcu przeciwległego korytarza.

– Przeszkadzałeś mu? – spytał jeden ze strażników.

– Nie – odparł przewodnik Mereditha. – Szliśmy cicho.

Strażnicy posłali im podejrzliwe spojrzenia, a potem się odwrócili. Nie zdążyli dobiec do drzwi, gdy owionął ich jakiś głos.

– Eu pot auzi tu, fiul lui Saker – zasyczał niski, złowrózbnny szept. – Pot mirosi tu.

Meredith poczuł mrowienie na twarzy. Nawet pośród magów byli tacy, którzy rozumieli pradawną mowę Ferocji, lecz Meredith poświęcił o wiele więcej czasu na jej studiowanie.

„Słyszę cię, synu Sakera. Czuję twój zapach”.

– Idźcie dalej – nakazał jeden ze strażników. – A my zajrzemy do brata Pacatosa.

Meredith i jego przewodnik już mieli ruszyć dalej, gdy przez rozedrgane powietrze ponownie napłynął do ich uszu głos:

– Am miros trădare în tine.

„Czuję zdradę w twoim sercu”.

Meredith stanął jak wryty. Obrócił się z powrotem i wzdrygnął, gdy korytarzem raz jeszcze wstrząsnął huk. Brzmiał, jakby drzwi celi miały zostać zaraz wyłamane.

– Chodźmy – ponaglił go przewodnik, któremu naraz zaczęło się bardzo spieszyć. – Nie dajmy czekać wielkiemu veneratu.

– Kto tam siedzi? – zapytał Meredith, gdy wchodzili po schodach na wyższe piętro.

Mag zwlekał z odpowiedzią, więc Meredith złapał go za ramię.

– To brat Pacatos – zdradził wreszcie.

– Co z nim jest? To więzień?

– Spędza czas... w odosobnieniu.

– Dlaczego?

– Mówią, że jest niezrównoważony – szepnął mężczyzna. – Że jest potężny, lecz kontrolowanie własnej mocy przychodzi mu z wielkim trudem.

Meredith obejrzał się przez ramię.

– Nie schodź tam. I nie podchodź do jego celi. A już na pewno nie sam! – Podkreśliwszy to, mężczyzna wznowił wspinaczkę.

Głęboko poruszony Meredith potrzebował chwili, by się uspokoić, a potem pospieszył za magiem, obracając w głowie słowa brata Pacatosa, które nie chciały go opuścić.

„Am miros trădare în tine”.

„Czuję zdradę w twoim sercu”.

Dotarli na szczyt i przeszli przez drzwi, nie słyszeli więc okropnego krzyku, który poniósł się echem przez tunel za ich plecami. Kawałek dalej znajdowały się wielkie zamknięte podwójne drzwi.

– Przybył nowicjusz Meredith Saker, żeby obwieścić wybrane przez siebie dziedziny wiedzy – zaanonsował go mag, gdy obaj znaleźli się już w komnacie wielkiego veneratu.

Wciąż wstrząśnięty Meredith rozejrzał się wokół. Stał na środku okrągłego pomieszczenia wyłożonego szarym marmurem. Drzwi z czarnego drewna prowadziły do innych pomieszczeń, a w otwartej jamie łukowego przejścia widniał jedynie mrok. Ruch powietrza powiedział mu, że na końcu tego korytarza musi znajdować się balkon. Po przeciwnej stronie

pokoju znajdowało się biegnące po półkolu wieży podwyższenie. Siedzący na czymś, co mogło być opisane tylko jako tron, czcigodny mistrz i wielki veneratu magów Clemoncé Galen Thrall mierzył go przenikliwym wzrokiem. Tron był wielkim siedziskiem z czarnego marmuru, wyposażonym w wysokie oparcie i podłokietniki wyobrażające dwa wielkie kruki.

To tyle, jeśli idzie o regułę ubóstwa, rzuciło się na myśl Meredithowi.

Na prawo od tronu stał jego ojciec, Morgan Saker, a Meredith zganił siebie za to, iż zdradził się ze swoją reakcją. Może nie potrafią wyczytać szczegółów z jego umysłu, ale z pewnością ogólny ton jego myśli stał się dla nich jasny. Zalecił sobie większą ostrożność i skłonił się nisko wielkiemu veneratu, potem zaś skinął głową ojcu.

– Czy twoja medytacja dobiegła końca? – spytał Thrall. – Czy wybrałeś dziedziny, które będziesz studiował?

– Tak – odrzekł Meredith, po raz pierwszy skupiwszy spojrzenie na Thrallu.

Wielki veneratu miał aparycję szacownego starca, który zachowuje jeszcze pełnię sił. Na pierwszy rzut oka można było uznać go za osobę dobrotliwą, dopóki człowiek nie uświadomił sobie, że uśmiech w jego oczach nie wynika z dobrotliwości, lecz z wyboru, a wąskie wargi dzieli od szyderczego grymasu jedynie drgnienie. Jego pokryte brylantyną długie włosy układały się w delikatne fale i miały barwę płowoszarą. Miał bladą karnację pokrytą patyną zmarszczek i drobnych blizn niewiadomej i nieco niepokojącej natury. A źrenice jego wodnistych, zielonoszarych oczu były nieco zbyt małe, by dało się obwinić za to wrażenie przyćmione światło w pomieszczeniu.

Był to człowiek, który budził u innych niepokój, i Meredith widział, że nawet jego ojciec nie czuł się pewnie w jego obecności. Nagle zwątpił w swój wybór dziedzin. Mierzyć się z niezadowoleniem ojca to jedno, ale wywołać niezadowolenie Galena Thralla to zupełnie coś innego.

– A zatem jakie dziedziny wybrałeś?

Meredith miał wrażenie, że Thrall jakimś sposobem już to wie. A co, jeśli rzeczywiście potrafił czytać w myślach?

– Komunikację... historię i... smokoznawstwo.

– Nonsens! – warknął jego ojciec, ale Galen Thrall tylko kiwnął głową,

jakby były to dziedziny absolutnie godne tego, by je zgłębiać.

– Masz dar ukrywania i przywoływania – ciągnął ojciec. – A polityka jest z pewnością istotniejsza od historii. Myślałem, że chcesz coś zmienić w świecie.

Na te słowa Galen Thrall uniósł brew, jakby uznał je za zabawne, a Meredith spłonął rumieńcem. Pomimo siły jego postanowienia ojciec wciąż potrafił zaledwie kilkoma słowami sprawić, że czuł się jak dziecko. Ale nie, nie wolno mu zapomnieć, że wybór dziedzin to jego święte prawo. Zakończenie studiów uczyni z niego pełnoprawnego maga.

– To moja decyzja – rzekł, przywołując całe swoje opanowanie. – Takie dyscypliny wybrałem.

– Tak, tak – rzekł Galen Thrall. – My zaś wspomozemy cię w nauce. Ale nie w smokoznawstwie. Niewiele można się nauczyć, studiując wyrmy. Czasy tego gatunku dobiegają końca, smoki powoli znikają z tego świata i nie minie wiele czasu, zanim znikną ze szczeniem, obawiam się. Za to historia... Wiedza o tym, co przeminęło, zawsze ma jakąś wartość. Nie sprzeciwiam się obraniu przez ciebie tej ścieżki.

Uśmiechnął się wielkodusznie, ale źrenice jego oczu wyglądały, jakby jeszcze się skurczyły. Thrall z ostrożnością podchodził do takich, którzy chcieli „coś zmienić”.

– Odejdź – podjął, odprawiając Mereditha, nim ten zdążył powiedzieć coś jeszcze. – Przygotowano już dla ciebie komnaty. Gdy wypoczniesz, każę komuś odeskortować cię do archiwów. Oby twoje studia przyniosły oczekiwane owoce.

Brak zgody na studiowanie smokoznawstwa przygiął Mereditha do ziemi.

Nie mógł jednak sprzeciwić się decyzji wielkiego veneratu. Celowo ignorując świdrujące spojrzenie ojca, młody mag skłonił się nisko i opuścił komnatę.



– Historia! – prychnął Morgan, gdy drzwi zamknęły się za jego synem. – Jaka strata czasu!

Thrall przez chwilę nie mówił nic. Opuszczone brwi znamionowały

głębokie zamyślenie.

– Czy możemy zaufać mu na tyle, żeby wyjawić mu prawdę?

– Nie wiem – odparł Morgan. – Od przywołania jest wycofany, zmieszany... Za dużo słabości odziedziczył po matce.

– A więc nie wolno mu przeczytać kronik osiemdziesiątej czwartej dekady.

– Mamy do czynienia ze studentem historii, który przejawia też znaczny talent w sztuce ukrywania. Jeśli je usuniemy lub schowamy, dowie się o tym.

– Ani ich nie ukryjemy, ani nie usuniemy – powiedział Thrall z uśmiechem. – Umieszczę w archiwach brata Seruliana. Jest mistrzem utajniania. Twój syn nie zapamięta ani jednego słowa z kronik osiemdziesiątej czwartej dekady, choćby przeczytał je sto razy.

– Nabierze podejrzeń.

– Ha! – wypluł Thrall i zaśmiał się chrapliwie. – Nawet nie zauważy. Tę wiedzę pochłonie ciemność. Po prostu będzie myślał, że nie nauczył się z nich niczego nowego.

– Niech tak będzie – zgodził się Morgan.

– Niech tak będzie – postanowił Thrall.



Oszalały ze złości i udręczony głodem Meredith poszedł za magiem serią korytarzy i trafił do przeznaczonych mu komnat. Spodziewał się, że sprzeciwienie się ojcu przyniesie mu satysfakcję, ale w jego sercu wrzał gniew spowodowany znajomym brzemieniem rozczarowania. Gdy mężczyzna opuścił pokój, Meredith przysiągł samemu sobie, że nic nie odciągnie go od studiów nad dziedzinami, które wybrał. Nie zważając na perswazje wielkiego veneratu i ojca, odda się nauce historii Furii i jakimś sposobem wydobędzie z niej wiedzę o smokach.

„Am miros trădare în tine”.

Czy to o tej zdradzie mówił brat Pacatos?

Zdjęty grozą Meredith miał nadzieję, że nie.

Początek szkolenia



Drugiej nocy nikt nie spał nawet w połowie tak dobrze jak pierwszej. Wiedząc, że zostaną zbudzeni o świcie, kadeci obracali się niespokojnie na boki, a sen przyszedł dopiero parę godzin po północy. Falko spodziewał się, że zbudzi ich jakiś niehumaniczny jazgot, tak jak w barakach Caer Dour. Zdziwił się więc, gdy o wskazanej porze lanista Deloix po prostu pojawił się w koszarach z młodszym asystentem. Stanął w końcu pomieszczenia, a młodzieniec zadzwonił mosiężnym dzwonkiem, który zawieszono na jednej z belek stropu biegnących środkiem przez całą jego długość.

Ding, ding, ding!

Trzy subtelne dźwięki, raz, a potem drugi raz. To więcej niż dosyć, by wszyscy niespokojni kadeci wstali z łóżek.

– Dzień dobry. Ufam, iż dobrze spaliście – powiedział lanista, patrząc na ich opuchnięte twarze i zaczerwienione oczy. – Macie dwadzieścia minut, żeby się ubrać, pójść do toalety i stawić się na dziedzińcu. Każdemu z was wyłożono buty i ubranie.

Wskazał je ułożone na kufrach w nogach łóżek: spodnie, tunika, buty, kurtka z owczej skóry i nawoskowany bawełniany płaszcz. Lanista zakończył przemówienie kiwnięciem i w barakach zawrzało.

Falko jęknął, wstając z łóżka. Sińce nabrały koloru przez noc, a żebra miały sztywne i obolałe. Przyłożył dłoń do twarzy, przesunął językiem po rankach na ustach, a potem podniósł wzrok na lanistę Magnusa, który stał przy jego kufrze. Starszy instruktor obejrzał twarz i żebra chłopaka.

– Decyzja w sprawie twojego szkolenia zostanie podjęta dziś po południu
– rzekł z nieruchomym, niemożliwym do odczytania wyrazem twarzy. – Do tego czasu będziesz traktowany tak jak inni kadeci.

Falko pokiwał głową i odprowadził lanistę wzrokiem do drzwi. Wyczytał w jego tonie coś niepokojącego. Jakby instruktor nie powiedział mu wszystkiego, co wiedział. Dręczony złym przeczuciem, Falko sięgnął po bawełnianą koszulę i syknął, gdy odezwały się poobijane żebra.

– Żyjesz? – zainteresował się Malaki.

– Jakoś to będzie – odparł Falko.

Widział Jarega i pozostałych napastników po drugiej stronie pomieszczenia. Nie chciał dawać im satysfakcji, zagryzł więc zęby, ubrał się szybko i załatwił, co jest rano do załatwienia.

– Co powiedział ci Magnus? – spytał kowal, gdy opuszczali baraki wraz z Bryną.

– Tylko tyle, że decyzję o moim szkoleniu podejmą po południu.

– Brzmi złowróźnie – skomentował Malaki.

– Na pewno będzie dobrze – zapewniła go Bryna.

Ale Falko nie czuł się tym pokrzepiony. Milczał, gdy szli za resztą kadetów na pole treningowe, gdzie czekał już na nich lanista Deloix. Niebo wciąż było szare, a w powietrzu pachniało deszczem, więc pomimo płaszczy i kurtek drżeli z zimna. Jesień powoli umykała przed zimą.

Lanista Deloix zaprowadził ich do wielkiego białego namiotu z boku dziedzińca. Gdy wchodzili kolejno do środka, asystent odbierał od nich płaszcze i prezentował każdemu wybraną przez nich broń. Bryna otrzymała łuk i kołczan pełen strzał oraz krótki miecz w pochwie na pasku. Malaki i Falko otrzymali po valenckim bękarcie i okrągłej, okutej stalą tarczy.

Zawstydzony Falko ściągnął krócej paski tarczy, by dopasować je do chudych ramion. Poderwawszy wzrok, zauważył, że Jareg i kilku innych słało w jego kierunku szydercze spojrzenia, ale nie przejmował się tym. Raz jeszcze poczuł przyjemne ukłucie zadowolenia wynikające z kontaktu z bronią. Kusilo go, by pomyśleć sobie, że to męska rzecz, ale dostrzegł nabożną cześć, z jaką Bryna zakładała pas z mieczem, przerzucała kołczan przez ramię i łapała za łuk. Nie. To kwestia tego, kim się jest i jak się postrzega samego siebie. Może nie wyglądał na wojownika w tym stopniu

co Malaki, ale gdy złapał za miecz i zapiął tarczę na przedramieniu, poczuł się osobiście na miejscu.

Gdy wszyscy już byli należycie wyekwipowani, wyszli za Deloix na zewnątrz, gdzie czekał już na nich Magnus. Starszy instruktor uniósł ramię i wskazał góry.

– Tam, we mgle – zaczął – znajduje się kamień, który zwą Palcem. To wielki granitowy blok wystający ze zbocza góry. Codziennie rano będziecie wspinać się na Palec, a potem wracać tutaj, żeby zjeść śniadanie i przygotować się do treningu.

Kadeci podnieśli wzrok na zwieszającą się nisko na niebie chmurę, która połykała wierzchołek góry. Widzieli blade zarysy ścieżki wspinającej się wężykiem po stoku.

– Do Palca są dwie mile i tysiąc stóp – ciągnął dalej Magnus. – Powinno wam to zająć jakąś godzinę – dodał, gdy pozostali instruktorzy wrócili do namiotu.

Niektórzy z kadetów przestępowali powoli z nogi na nogę, ale było jasne, że część była zaznajomiona z tym porannym rytuałem – i ci ruszyli truchtem w kierunku ścieżki.

– No, lepiej zaczynajmy – rzekł Alex, każąc Falkowi i reszcie pobiec za sobą. – To wspinaczka co się zowie. I nieco więcej niż dwie mile.

– Odbyłeś ją już? – zapytał Falko, gdy on, Malaki i Bryna ruszyli w drogę za braćmi.

– Tak, niedawno. Kuzyn nam o tym powiedział. Dodał, że to nie wyścig, ale zawsze w końcu robi się z tego wyścig.

Malaki aż błysnął oczami, ale z Falka uleciało powietrze. Dosłownie, bo już trudno mu się oddychało i po kilku minutach zwolnił do chodu.

– Biegnijcie beze mnie – rzekł, gdy dostosowali do niego prędkość.

Alex i Quirren pokiwali głowami, ale Malaki nie chciał zostawiać przyjaciela w tyle.

– No biegnij, głupku jeden. – Falko popchnął go lekko. – Nie pozwolisz chyba, żeby wyprzedził cię ten łajdak Jareg?

Malaki uśmiechnął się wreszcie, skinął Brynie głową i pobiegł sprintem przed siebie. Quirren zaraz zrównał się z kowalem, a Alex i Bryna pobiegli nieco swobodniejszym tempem.

Dla Falka ta dwumilowa przebieżka mogłaby równie dobrze mieć

dziesięć mil, ale biegł twardo naprzód, zwalniając tylko, by wyminęli go ci, którzy już wracali na dół. Jednym z nich był Jareg, który dołożył starań, by zepchnąć Falka z traktu. Chłopak jednak szybko zapomniał o doznany afroncie, gdy zobaczył za plecami szlachcica Malakiego i Quirrena, którzy przyspieszyli kroku i zaczęli go szybko doganiać. Żałował tylko, że sam nie zdążył dobiec na dół na czas, by zobaczyć minę Jarega, gdy kowal wyprzedził go w drodze do namiotu instruktorów.

Pobiegł raźniej naprzód i ostatecznie dotarł do Palca, sterczącego z ziemi skalnego obelisku, który rzeczywiście przypominał nieruchomy palec wskazujący pustkę. Wierzchnia jego krawędź była ścięta na płasko i Falko poświęcił chwilę, by wejść na nią i nie przejmować się opadającym poniżej ostro w dół urwiskiem. Stojąc na czubku, poczuł opływającą go zimną mgłę. Przypomniały mu się góry Caer Dour. Zaczerpnął tchu i uśmiechnął się. Tak, zmachał się ponad wyobrażenie, ale poradził sobie lepiej, niż myślał, a nawet wyciągnął z wysiłku mnóstwo satysfakcji. Obrócił się i dziwnie pokrzepiony, zaczął zbiegać ścieżką w dół.

Godzinna świeca dawno już się wypaliła, kiedy Falko wrócił na dziedziniec. Kadeci kręcili się po okolicy, osłaniając się płaszczami przed bladym, wilgotnym porankiem. Niektórzy z nich kończyli śniadanie, inni rozmawiali w grupach, porównywali broń lub ćwiczyli manewry i techniki. Jeden z asystentów wziął miecz i tarczę Falka, a potem wręczył mu talerz i kubek o zawartości pachnącej rumiankiem.

– A więc udało ci się – powiedział Malaki, gdy przyjaciel usiadł obok na ławce.

Falko pokazał mu swój własny palec, a potem nabrał na pajdę chleba pomarańczowej konserwy i wcisnął sobie do ust.

– Prześcignąłeś go? – zapytał, wskazując Jarega w zwyczajowym wianuszkach swoich zauszników.

– A ty jak myślisz? – Malaki wyszczerzył się do przyjaciela.

Falko odwzajemnił uśmiech i przełknął łyk herbaty, gdy kadetom kazano wyjść z namiotu.

Lanista Deloix zaprowadził ich do ustawionych w półkolu ławek przy wielkim białym namiocie. Gestem rozkazał im zająć miejsca, a sam stanął na środku. Moment później z namiotu wyszło kilkunastu instruktorów, każdy z co najmniej jednym asystentem, a po tłumie kadetów przemknęły

odgłosy podekscytowania.

Falko dał Malakiemu sówkę w bok, gdy ujrzał, kto idzie na czele kadry instruktorskiej. Z lanistą Magnusem u boku wyłoniła się z namiotu niemożliwa do pomylenia z nikim innym sylwetka emisariusza, ubranego w czarną instruktorską oponkę. Nie dał po sobie poznać, że ich zna. Falko poczuł ukłucie rozczarowania, gdy emisariusz potoczył wzrokiem po wszystkich kadetach z jednakową obojętnością.

Kątem oka Falko złapał Alexa i Quirrena, którzy ze wszystkich sił starali się ukryć emocje. Obrócił się, by spojrzeć na siedzącego obok Malakiego. Zdążyli całkiem dobrze poznać się z emisariuszem i denerwowali się tylko na myśl o tym, że mogliby go zawieść. Falko posłał Alexowi pokrzepiający uśmiech, a potem stężał, gdy poczuł, że ktoś się nad nim pochyła.

– No proszę, czyli piesek królowej przyszedł się tobą zaopiekować, co?

Falko zamknął oczy, słysząc szept Jarega.

– No cóż... Książę Ludovico usłyszał już o tej farsie. Wygląda na to, że Czwarta wyjdzie z miasta szybciej, niż zakładano. Niedługo będziesz się cieszył protekcją emisariusza.

Jareg wyprostował się, a Falko obejrzał się na młodzieńców w ostatnim rzędzie. Ich pogardliwe spojrzenia zdradziły mu, że ich zdaniem Falko może liczyć na specjalne traktowanie.

– Co ci znowu powiedział? – spytał Malaki, ale przyjaciel gestem nakazał mu milczenie. Zaczynał się pierwszy dzień treningu.

Asystenci rozstawili stoły, a na nich położyli broń treningową i zbroje. Rozmieścili także kilka manekinów treningowych z drewna i słomy, ubranych w czarne pancerze ferockich kardaków. Na sam ich widok Falko zadrżał.

Gdy wszystko było już gotowe, emisariusz zwrócił się do kadetów:

– Dlaczego tu jesteście?

Pytanie wypowiedziane zostało cicho, jakby Chevalier pytał sam siebie. Z początku nikt nie odpowiedział. A potem odezwał się przysadzisty młodzieniec o śniadej cerze, siedzący po lewej ręce Falka.

– Żeby nauczyć się walczyć. I być tak dobrym, jak to możliwe.

Emisariusz pokiwał głową, jakby była to zupełnie dobra odpowiedź.

– Tak – przyznał. – Ale co ważniejsze, jesteście tutaj, żeby stać się

przywódcami ludzkości. Gdy opuścicie akademię, wróćcie do swoich ludzi i nauczycie ich tego, czego sami się nauczyliście. W ten sposób wiedza akademii rozprzestrzeni się po świecie. Ale dlaczego elitarna uczelnia w Clemoncé miałaby dzielić się swoimi tajemnicami z innymi królestwami, z którymi toczyła w przeszłości niezliczone wojny?

– Żeby pokonać Opętanych.

Falko spojrział w prawo. To powiedział Alex.

– Ale dlaczego to takie ważne? Co czyni ich takimi wyjątkowymi?

– Zagrożają nam wszystkim – powiedział ktoś.

– Bo są okrutni – dodał ktoś inny.

– Okrutni? – Emisariusz roześmiał się gorzko. – Gdy illicyjska armia zdobyła beltańskie miasto Guerthang, zarżnęła wszystkich: mężczyzn, kobiety i dzieci. Moi krajanie zabili tam ponad tysiąc ludzi. – Skrzywił się, jakby sam ledwo wierzył w to, co mówią jego usta. – Czy Opętani są bardziej okrutni od nich?

Kadeci milczeli. Wszyscy znali opowieści o masakrach, torturach i śmierci, które były nieodłączną częścią świata ludzi. Historia Furii była pełna podobnych okropieństw, a niektóre zdarzały się nawet dziś. Czy Opętani rzeczywiście tak się różnili od ludzi? Emisariusz pozwolił im zastanowić się nad tym, a potem kontynuował.

– Jaka jest najgorsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić? – Pytanie skierował do jasnowłosego Illicjanina w pierwszym rzędzie. – Jaka jest najdotkliwsza krzywda, jaką można wyrządzić drugiemu człowiekowi?

– Morderstwo – odpowiedział młodzieniec, a emisariusz prychnął, jakby jego odpowiedź nie była godna tego miana.

– Tortury – rzekł ktoś inny.

– A jaka jest najgorsza tortura?

– Rozżarzone kleszcze...

– Łoże...

– Obdzieranie ze skóry...

Emisariusz wydał usta, wciąż daleki od satysfakcji.

– A co, gdyby ktoś, kogo kochacie, był torturowany w taki sposób, a wy nic nie moglibyście zrobić, żeby mu pomóc? Jaką nadzieję byście wówczas żywili?

Strwożeni kadeci patrzyli na niego.

– Żeby szybko umarł – powiedział ktoś z tylnego rzędu.

Emisariusz przeszył go spojrzeniem zimnym jak skała.

– A gdyby nie mógł umrzeć?

Młody człowiek patrzył na niego, nie obejmując umysłem jego słów.

– Co, gdyby ból i cierpienie nie mogły zostać ukrócone przez śmierć? Co, gdyby ktoś obdzierał go ze skóry i był to dopiero początek jego cierpienia?

Patrzył na nich, nie pozwalając, by któremuś kadetowi umknęło pełne znaczenie jego słów.

– Ci, których zabierają Opętani, nie są zabijani, tylko niewoleni. Nigdy nie zostaną dopuszczeni do luksusu, jakim jest śmierć. Nawet gdy ich ciała zostaną wyniszczone, dusze ich nie opuszczą i będą cierpieć już zawsze. Ludzie zniewoleni przez Opętanych pięćset lat temu wciąż żyją. Wciąż cierpią katusze.

Cisza.

– Czy nie ma dla nich nadziei?

Pytanie wypowiedział ktoś cichym głosem, a emisariusz odczekał chwilę, nim odpowiedział. Wiedział, że bliskich wielu z tych młodych ludzi zabrali Opętani.

– Jeśli zginęli, nie stracisz nadziei, to wróg nie zdołał ich zniewolić. Jeśli demon, który ich zniewolił, został zabity, ich dusze da się uratować. Ale jeśli zostali zniewoleni lub zginęli w rozpacz, wtedy nie. Ich jedyną nadzieją jesteśmy my. Niektórzy wierzą, że gdy pokonamy Opętanych i wypędzimy ciemność z naszego świata, może wówczas ich dusze da się odkupić.

Kadeci świdrowali go wzrokiem. Dotąd myśleli tylko o sobie i o swoim własnym rozwoju. Akademia była dla nich sposobem na podniesienie umiejętności i statusu. A teraz emisariusz mówił im, że los niezliczonych dusz zależy od nich.

Falko pomyślał o wszystkich ludziach, których oni stracili w walce z Opętanymi.

Balthazak... Sir Gerallt... Symeon.

Czy spoczywają w pokoju, czy też ich dusze cierpią męki piekielne? Spojrzał w bok. Malaki i Bryna siedzieli z pochylonymi głowami.

– Pytam więc raz jeszcze. Dlaczego tu jesteście?

Tym razem nikt nie kwapił się do odpowiedzi.

– Jesteście tu, żeby nauczyć się walczyć – odpowiedział emisariusz na własne pytanie. – Żeby być tak dobrymi, jak to tylko możliwe. – Spojrzał na młodzieńca, który właśnie to przed chwilą powiedział, i skinął mu głową. – To wszystko, co każdy z nas może zrobić.

Kadeci wpatrywali się w niego i nawet Jareg Snidesson poddał się mocy aury emisariusza.

– Tak więc – mówił dalej Chevalier, ale tym razem na jego twarzy jaśniał uśmiech – walczmy.



Kadeci podzielili się na małe grupki, którym przydzielono po instruktorze i kilku asystentach.

Falko trafił do grupki lanisty Magnusa z Malakim, Bryną, kilkoma Beltańczykami oraz śniadymi młodzieńcami, którzy mogli pochodzić z Acheronu lub Thraecji.

– Ale ja jestem łuczniczką – powiedziała Bryna, gdy asystent podał jej treningowy miecz i tarczę.

– Każdy z was wybrał dyscyplinę walki – przyznał lanista Magnus. – Ale będziecie też szkolić się w pozostałych. Łucznicy będą walczyć mieczem i tarczą i uczyć się podstaw formacji włóczniczych, włócznicy zaś będą się uczyć strzelania z łuku w szyku bez strzelania towarzyszom w plecy. W ten sposób dowiecie się, jakie są mocne i słabe strony każdej jednostki na polu bitwy. To bezcenne doświadczenie dla kogoś, kto jest przeznaczony na stanowisko dowódcze.

Kadeci popatrzyli po sobie. Dopiero zaczęli szkolenie, a instruktorzy już mówili o dowodzeniu. A potem, nie zwlekając, również wzięli miecze i tarcze i trening zaczął się na poważnie.

Ćwiczyli kilka godzin, przerabiając podstawowe style walki, z którymi większość była zaznajomiona, choć już po dwudziestu minutach ramiona Falka przestały się nadawać do czegokolwiek. Definitywnie od przebudzenia w Toulwarze robił się coraz silniejszy, ale w porównaniu z innymi wciąż był słabeuszem. Biedził się z mieczem i tarczą, dopóki któryś z asystentów nie zadzwonił dzwonkiem. Instruktorzy znowu kazali im usiąść i ponownie dali mówić emisariuszowi.

– Na potrzeby sparingu korzystamy z mieczy drewnianych lub metalowych ze stępionymi ostrzami, z jakimi większość z was jest zaznajomiona.

– Wskazał głową tępe miecze treningowe, które spoczywały w rękach kadetów. – Ale trenujemy też z prawdziwymi. – Pokazał trzymany w ręce zwykły miecz jednoręczny i metalową tarczę. – Czy ktoś z was uczył się już szermierki w stylu wolnym lub czytał Gladiatorię?

Najwyżej połowa kadetów uniosła niepewnie ręce.

Falko spojrzał znacząco na Malakiego. Symeon posiadał bardzo stary egzemplarz Gladiatorii i dwaj chłopcy uwielbiali zakradać się do jego gabinetu i oglądać ryciny, a potem również czytać ten legendarny podręcznik wojownika.

Emisariusz skinął na gładko ogolonego młodzieńca z Clemoncé, o piaskowych, jasnych włosach. Wręczył mu ostry miecz i tarczę, a potem polecił przyjąć pozycję przed manekinami ucharakteryzowanymi na kardaków. Manekiny zostały wyposażone w miecze, z których każdy reprezentował inną dyscyplinę walki.

– Na komendę zaatakujesz przeciwnika – rzekł emisariusz, uspokajając uśmiechem nerwowego kadeta.

Chłopak kiwnął głową i gdy asystent zadzwonił dzwonkiem, rzucił się naprzód. Czubek jego miecza bezbłędnie odnalazł szczelinę między płytami pancerza. Następnie kadet zrobił krok w prawo, odbił miecz drugiego manekina własnym, a potem unieruchomił ramię przeciwnika, by wrazić ostrze w jego odsłoniętą pachę. Kolejnego chlasnął mieczem po gardle i po łokciu, by wreszcie rzucić się w kierunku ostatniego manekina. Przemknął obok niego, przyjmując jego miecz na tarczę, a potem obrócił się błyskawicznie i wyprowadził „ostateczny cios” w miejsce na styku dwóch płyt pancerza.

Staął zdyszany, a manekiny kiwały się i drgały po jego uderzeniach. Każdy został unieszkodliwiony wprawnym, precyzyjnym ciosem. Obserwujący byli pod wrażeniem, a emisariusz nagroził ucznia aprobującym skinieniem. Wskazał młodzieńcowi miejsce na ławie.

– Czy ktoś z was walczył kiedyś z Opętanymi?

Wszyscy poza kadetami z Caer Dour, którzy walczyli z nimi w górach, pokręcili wolno głowami.

Emisariusz w dwa kroki stanął przed Malakim. Kowal miał pochyloną głowę, lecz teraz ją podniósł, a wyraz jego ciemnych oczu zdradzał, że wolałby zapomnieć, że miał kiedyś z nimi do czynienia. Emisariusz wyciągnął miecz rękojeścią do niego, a Malaki z ociąganiem zacisnął na niej palce. Wstał i przytoczył do przedramienia tarczę. Ruszył, by zająć pozycję.

– To są kardakowie, ciężkozbrojni żołnierze Opętanych. Chcę, żebyś ich pokonał.

Malaki spojrział na niego, wciąż zwieszając nisko głowę, a potem zwrócił się przodem do manekinów. Wydawał się poskromiony i wycofany, ale Falko zauważył, że klinga jego miecza uniosła się delikatnie, gdy kowal zacisnął wielką pięść na rękojeści.

Zabrzmiał dzwonek i Malaki natarł na pierwszego przeciwnika. Pierwsze cięcie przedarło się od dołu przez gardę kardaka, podrywając napierśnik i rozrzynając znajdujące się pod spodem słomiane ciało, przywiązane do słupka. Drugi cios był kontynuacją pierwszego. Illicyjskie ostrze wżarło się w ramię manekina, pozbawiając go prawej ręki, w której dzierżył miecz. Następnego Malaki powalił potężnym ciosem tarczy i dobił równie potężnym cięciem od góry. Odrąbany kawał słupka pofrunął w powietrze. Jeszcze dwa... Malaki złamał słupek pierwszego kopniakiem, a ostatniego zmasakrował sekwencją ciosów zarówno mieczem, jak i tarczą. Manekin zwałił się na ziemię w kawałkach, czarny hełm potoczył się po piasku i zastygł.

Malaki stanął nieruchomo, spięty, lecz w pozycji wyrażającej gotowość do dalszej walki, jakby miał w planach powalić jeszcze dzisiaj stu Opętanych. Kadeci wbili w niego zaszokowane spojrzenia. Lanista Deloix kiwnął lekko głową, a na ustach lanisty Magnusa wykwitł mroczny uśmiezek zadowolenia.

Większość kadetów spoglądała teraz na kowala z nowym zasobem szacunku. Tylko Jareg i jego klika nie wydawali się usatysfakcjonowani tą demonstracją siły. Młody szlachcic skwitował pokaz prychnięciem, a wielki Beltańczyk gromił go spojrzeniem, w którym nietrudno było wyczytać wyzwanie.

Emisariusz zwrócił się do uczniów.

– Jedną z najważniejszych rzeczy, której nauczymy was w akademii, jest

różnica między sparingiem a prawdziwą walką. – Poczekał, aż Malaki zajmie miejsce. – Dobrze wymierzony cios może zdobyć wam punkt na turnieju, ale żeby wasz atak odniósł skutek w bitwie, wróg musi zacząć bać się o swoje życie. Przebicie się mieczem przez skórnię lub złamanie ręki przez kolczugę wymaga prawdziwej siły i nie jest łatwo odszukać szczelinę w pancerzu wroga, gdy ten próbuje was zabić.

Podziękował skinieniem, gdy jeden z asystentów podał mu napierśnik pierwszego słomianego kardaka. Podniósł go wysoko, by każdy mógł zobaczyć imponujące wgłębienie po mieczu Malakiego.

– To było uderzenie, które wyrządziłoby wielką krzywdę przeciwnikowi niezależnie od tego, gdzie by trafiło. Ono wręcz domaga się reakcji wroga. Gdy się bronicie, musicie bronić się przed takimi właśnie ciosami. Takimi, za którymi stoi intencja pozbawienia was życia.

Popatrzył na młodzieńca, który w swoim starciu z manekinami postawił na precyzję.

– Nie sugeruję, żebyś porzucił finezję na rzecz brutalnej siły, ale musisz zrozumieć, że finezja to nie wszystko. Do pokonania Opętanych będzie wam potrzebne zarówno jedno, jak i drugie.

Pierwsza lekcja została udzielona, emisariusz przeszedł więc do kolejnej. Asystenci przymocowali elementy pancerza do słupków, żeby pokazać kadetom, jak wielka siła ciosu jest potrzebna, by przebić się przez różne typy pancerza. Wkrótce stało się jasne, że lekkie i finezyjne cięcia i pchnięcia nie są w stanie zranić przeciwnika w pancerzu. Nagle do młodych wojowników dotarło, że ich dotychczasowy trening był tylko dziecięcą igraszką.

Dzień toczył się wolno naprzód, a Falko zauważył, że instruktorzy obserwują ich zachowanie, sposób walki i reakcje na polecenia oraz to, jak odnoszą się do siebie nawzajem – by wyrobić sobie zdanie na ich temat, dokonać oceny wedle siebie tylko znanych kryteriów. Ale trening szybko stał się mordegą ponad jego siły. Choć sesja nie była szczególnie intensywna, ramiona szybko odmówiły Falkowi posłuszeństwa. Ledwie mógł unieść miecz, a od wysiłku ścisnęło go w piersi. Instruktorzy nie strofowali go, po prostu przechodzili do kolejnego kadeta, dając Falkowi czas na regenerację. Doznał obezwładniającej ulgi, gdy wreszcie wrócili na ławki, by oglądać sparingi jeden na jednego. Podziękował skinieniem

asystentowi, który wręczył mu kubek parującej polewki.

Dzień nie ocieplił się do południa, poranna mgła uniosła się z gór. Czując się więcej niż tylko odrobinę zniechęconym, Falko pokręcił głową, patrząc na swoje wychudzone ramiona i nadgarstki, które Malaki bez trudu objąłby dwoma palcami.

– Dobrze walczą.

Obrócił się i zobaczył, że siedzi przy nim emisariusz.

– Tak, to prawda – odpowiedział, pochylając głowę i biorąc łyk polewki. Nie chciał, by Chevalier domyślił się, że uzala się nad sobą.

– Co myślisz o Owenie? – spytał emisariusz. – Jest szybki...

– Tak... – odrzekł Falko, uświadomiwszy sobie, że Chevalier oczekuje odpowiedzi. – Ale reaguje zbyt raptownie. To czyni go podatnym na zmyłki przeciwnika.

– A tamten Acheronczyk walczący z Quirrenem?

Falko przypatrzył się śniademu młodzieńcowi. Poruszał się z gracją urodzonego wojownika pomimo masywnej budowy, z której słynełi Acheronczycy.

– Jest przewidywalny – skomentował chłopak. – Zawsze odbija na lewo, a ułożenie stopy uprzedza wroga o następnym uderzeniu.

Emisariusz wydał usta i pokiwał głową.

– A twój przyjaciel kowal?

Falko łypnął na niego, jakby instruktor żartował. Trudno się chyba przyczepić do sposobu walki Malakiego. Ale w oczach Chevaliera była śmiertelna powaga, a więc zmarszczony w skupieniu Falko poświęcił całą uwagę przyjacielowi. Z początku widział tylko czystą i płynną sprawność, ale po chwili uwidoczniły się przed nim drobiazgi, na które wcześniej nie zwrócił uwagi.

– Za dużo ciężaru dźwiga na barkach. Atakuje zbyt gorliwie. Gdyby nie był taki dobry, odkrywałby się przed przeciwnikiem.

– Nie jest aż taki dobry i odkrywa się przed przeciwnikiem – poprawił emisariusz z uśmiechem.

Przez chwilę milczał.

– Siła wymaga tylko czasu i wysiłku – powiedział, a Falko pochylił głowę zawstydzony, że dał się tak łatwo rozszyfrować. – Ale tego, co jest tutaj... – emisariusz dotknął swojej skroni – i tutaj... – popukał się palcem w pierś –

tego nie da się wytrenować.

– A więc będę się uczył?

Emisariusz zrobił pauzę. Było jasne, że niełatwo mu powiedzieć to, co ma do powiedzenia. Falko czekał.

– Odbędzie się sąd polowy – wyrzucił z siebie w końcu. – Królowa udzieliła pozwolenia na twoje szkolenie, ale jej decyzja jest usilnie kwestionowana.

– Przez kogo?

– Przez lordów Snidessona i Sakera. Oskarżają cię o zdradę za to, co się stało przy Smoczym Kamieniu.

Falko zamknął oczy.

– Kiedy?

– Wkrótce. Doniesiono mi, że konstable już jadą.

– A kto będzie mnie sądził? – spytał Falko, czując, że przyspiesza mu puls.

– W normalnych okolicznościach byłaby to królowa, ale ponieważ to jej decyzja jest kwestionowana, na fotelu sędziowskim zasiądzie książę Ludovico. Snidesson będzie reprezentował Dariusa, a Galen Thrall magów, którzy zginęli w walce ze smokiem.

– Czy będziesz mnie reprezentował? – spytał Falko.

Emisariusz pokręcił głową.

– Zostałem powołany na świadka wraz z lordem Sakerem i jego synem Meredithem. Ale nie martw się – podjął, gdy zobaczył rozpacz na twarzy Falka. – Książę Ludovico nie skaze cię za zdradę. Chcą tylko uniemożliwić ci szkolenie się na maga bitewnego.

– A więc sprawa jest już przesądzona – powiedział Falko. – Galen Thrall za nic nie zgodzi się, żeby pozwolono mi się uczyć. Nie jeśli Saker macza w tym palce.

– Nie byłbym taki pewien. Może decyzja nie będzie należeć do Thralla.

Falko posłał mu ostre spojrzenie. Galen Thrall był czcigodnym mistrzem magów Clemoncé. Nie ma takiej rzeczy związanej z magią, która by nie zależała od niego...

– A poza tym jest jeszcze ktoś, kto może zechcieć ci pomóc.

– Tak?

– Owszem – odrzekł emisariusz, wstając, gdy w dali pojawiła się

kolumna jeźdźców.

– A jeśli nie zechce?

– To może cię zabić – powiedział Chevalier, a chłopak nie potrafił ocenić, czy żartuje, czy nie.

Ogarnięty nudnościami, stanął obok emisariusza, gdy czterej konstable okrążyli poligon i zatrzymali się obok lanisty Magnusa. Zauważył, że przyprowadzili ze sobą wolnego konia.

Kadeci przestali walczyć i zebrali się wokoło.

– Co jest grane? – spytał Malaki, ale nie było czasu na tłumaczenia.

Konstabile skończyli rozmawiać z trenerami. Z malującym się na twarzy wyrazem, który sugerował, że bardzo nie lubi, gdy ktoś przerywa mu w lekcji, lanista Magnus zaprowadził konstabli do miejsca, gdzie Falko stał obok emisariusza.

– Falko Danté – wygłosił dowódca konstabli – zostałeś oskarżony o zdradę w związku ze śmiercią maga bitewnego Dariusa Voltaria. Pójdiesz z nami do Komnaty Rady, gdzie podjęta zostanie decyzja o twoim losie.

Malaki świdrował ich wzrokiem. Bryna wyłoniła się z tłumu, by stanąć obok niego. Pozostali kadeci patrzyli na oskarżonego z zainteresowaniem i podejrzliwością. Alex i Quirren się zatroskali. Jareg Snidesson uśmiechnął się, jakby właśnie pokonał Falka w walce.

– Idź z nimi – polecił przyciszonym głosem emisariusz. – Wkrótce do ciebie dołączę.

Próbując uspokoić rozszalały żołądek, Falko ruszył naprzód i dosiadł konia, którego trzymał dla niego lanista Deloix. Konstabile skłonili się sztywno emisariuszowi, a potem obstawili Falka dookoła i ruszyli naprzód.

Przeciwnik



Komnata Rady była owalnym budynkiem w północnej części miasta, olbrzymim, zadaszonym amfiteatrem, gdzie wygłaszano wykłady, urządzano narady strategiczne oraz przeprowadzano rozprawy sądowe. Imponujące ściany z bladobrązowego kamienia udekorowano reliefami przedstawiającymi wielkie historyczne debaty oraz wielkich mówców. Budynek nakryty był nisko sklepioną, obłą kopułą, trybutem na cześć niezrównanych kamieniarzy i inżynierów Clemoncé.

Do gmachu prowadziły cztery główne wejścia, ale konstable zaprowadzili Falka do małej bramy i kazali iść kamienną klatką schodową do tunelu. Gdy go pokonali, znaleźli się na najniższym poziomie amfiteatru, wielkiego obszaru wyłożonego polerowanym marmurem, o podłodze zaścielonej niesamowitym dywanem przedstawiającym jakąś mapę. Ten centralny punkt pomieszczenia, kolistą areną, otoczony był ze wszystkich stron rozchodzącymi się promieniście trybunami, z których można było bez problemu dostrzec, co dzieje się w środku budynku, gdzie stał teraz Falko, ogarniający wzrokiem ogrom gmachu. Chłopak natychmiast skojarzył Komnatę Rady z Moździerzem i tak samo jak w nim odczuł nagle, że na jego umysł napiera ze wszystkich stron obawa, wynikająca nie z nadchodzącej rozprawy, lecz z aury samego miejsca.

Funkcjonariusze zaprowadzili Falka do drewnianego krzesła przy obrzeżu areny. Dwóch stanęło po obu jego stronach w pozycji wartowników, a tymczasem pozostali udali się do miejsca, gdzie ustawiono dwa stoły – jeden naprzeciwko oskarżonego, a drugi, mniejszy, nieco z boku. Gdy

konstabile zajęli pozycje, jeden z nich skinął w stronę głównego wejścia. Falko podążył wzrokiem w tamtym kierunku i zobaczył, że do środka wchodzi dwaj mężczyźni. Pierwszy musiał być skrybą, drugi – jakimś urzędnikiem. Zajęli miejsca przy mniejszym stole.

Następnie do sali weszli świadkowie: Morgan Saker z synem Meredithem oraz emisariusz. Dwaj magowie przecięli pomieszczenie i usiedli na najniższej trybunie po prawej ręce Falka. Emisariusz zajął miejsce na wprost nich, nieco po lewej. Nie patrzył na Falka, ale chłopak czerpał otuchę z samej jego obecności.

Wreszcie pojawili się trzej mężczyźni, na których czekały miejsca przy dużym stole. Pierwszym był Bellius Snidesson, drugim mógł być tylko Galen Thrall. Sądząc po strojnych szatach, trzecim był sam książę Ludovico z Góry Króla Michaela, wysoki i tchnący szlachetnością mężczyzna w sile wieku, z nosem w kształcie żeleźca topora i długimi czarnymi włosami obficie przetkniętymi siwizną. Tak jak Bellius, miał schludnie przyciętą brodę i wąsy, ale w odróżnieniu od niego nie gromił Falka nienawistnym spojrzeniem. Zamiast tego na jego twarzy malowały się powaga i namysł.

Trzej mężczyźni zajęli miejsca przy głównym stole: Bellius po jednej stronie, Thrall po drugiej, a książę w środku. Galen Thrall powiódł wzrokiem po pomieszczeniu, a następnie utkwiał go w Falku. Chłopak czuł się nagi pod spojrzeniem jodeitowych oczu. Natomiast książę Ludovico patrzył na Falka, jakby nie mógł uwierzyć, że taka mikra postać może być przedmiotem tak wielkiego gniewu.

Skryba ujął pióro, książę skinął głową i urzędnik rozpoczął rozprawę.

Przesłuchanie nie było długie, ale Falko miał wrażenie, że ciągnie się miesiącami. Złożył zeznania w stanie umysłu przypominającym oszołomienie, a przez resztę czasu czuł się odrętwiały i odseparowany od toku sprawy, jakby obserwował jej rozwój z jakiegoś miejsca na trybunach. Gdy wreszcie wysłuchano wszystkich wersji i racji, Falko patrzył na trzech przechylonych do siebie nad stołem mężczyzn, w których rękach znajdował się jego los. Przez to otępienie, które go ogarnęło, ich przyciszone głosy odbijały się w jego głowie osobliwym echem.

– Nie przejmuj się – powiedział cichy głos i Falko zobaczył stojącego nad nim emisariusza. Chevalier popatrzył na konstablów, a potem dał

oskarżonemu kubek wody. – Mówiłeś z sensem, a księżę miłuje prawość. Snidessonowi nie uda się go urobić.

Emisariusz przemawiał cicho, aby nie usłyszał go Bellius, który co rusz strzelał do Falka nienawistnym spojrzeniem. Z kolei Galen Thrall całą uwagę skupiał na księciu, który siedział pośrodku stołu ze skrzywionymi w skupieniu brwiami. Emisariusz zapewnił Falka, że ten człowiek nie poprze oskarżenia o zdradę, ale chłopcu trudno było wyobrazić sobie, że księżę podejmuje decyzję, która jest nie w smak Galenowi Thrallowi.

Falko oderwał się od nich spojrzeniem i napił się wody. Jego ręka drżała tak mocno, że kilka kropel pociekło mu po brodzie.

Gdy kontynuowali dyskusję, Falko skorzystał z okazji, by rozejrzeć się po pomieszczeniu. Po jego prawej stronie Morgan Saker przysłuchiwał się rozmowie, Meredith patrzył na wprost z nieokreślonym wyrazem twarzy. Wraz z emisariuszem zrelacjonował ze szczegółami wydarzenia nad Smoczym Kamieniem.

Falko wrócił spojrzeniem do głównego stołu, gdy uświadomił sobie, że to, co wziął za cień padający na najwyższe trybuny, było w rzeczy samej sylwetką człowieka. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że do komnaty rzeczywiście weszła jeszcze jedna osoba, której nie poświęcił wówczas nawet pół myśli. Cicha, okutana w ciemność figura była obecna od początku rozprawy. Zanim zdołał uważniej jej się przyjrzeć, jego uwagę przykuła uniesiona ręka księcia Ludovica. Najwyraźniej usłyszał już dosyć. Bellius i Thrall odchyliłi się na krzesłach i zamilkli.

– Sąd pragnie podziękować świadkom za ich szczere zeznania dotyczące tego tragicznego wydarzenia – przemówił głębokim głosem z ciężkim akcentem.

Emisariusz skinął głową Falkowi i wrócił na swoje miejsce.

– Sąd nie ma wątpliwości co do tego – mówił dalej księżę – że pan Danté ostrzegł smoka przed atakiem i złamał czar ukrycia, udaremniając próbę zabicia go.

Bellius uśmiechnął się z satysfakcją, a Galen Thrall tylko pokiwał głową, tak jak robią to mędrzy, z cieniem uśmiechu na wąskich wargach.

– Jednak zdrada nie może zaistnieć bez wyraźnej intencji. – Bellius poruszył się na krzesło, a źrenice Thralla nagle się zwężyły. – Nie ma żadnych dowodów na to, że pan Danté zamierzał spowodować śmierć

Dariusza Voltaria. Zeznania sugerują, że był to odruch. Głupi i tragiczny w skutkach, ale nienoszący znamion intencji, żeby postawić w zagrożeniu życie ofiary. – Zamilkł, nim wydał werdykt. – Ogłaszam więc oskarżonego niewinnym zarzucanej mu zdrady.

Falko wypuścił powietrze z płuc, zaskoczony rozsądnym tokiem rozumowania księcia. On sam osądził go na podstawie towarzystwa, w jakim księżę się obracał, czyli magów i szlachciców pokroju Belliusa, którzy ich popierali. Teraz uświadomił sobie, że był względem niego niesprawiedliwy.

– Co się zaś tyczy kwestii szkolenia – ciągnął księżę – nie mam stosownych kwalifikacji, żeby wydać werdykt w tej sprawie. Wysłuchałem raportów o smutnym zdarzeniu, jakim był upadek ojca oskarżonego, który w moim rozumieniu jest dostatecznym argumentem przemawiającym za tym, żeby zastosować daleko idące środki ostrożności. – Zrobił pauzę, a Bellius znów poruszył się na krześle. – W tej sprawie muszę więc poprosić o radę wielkiego veneratu. Z tego, co wiem, magowie bitewni muszą szkolić się pod okiem maga. Pozostawiam decyzję o szkoleniu pana Dantégo Galenowi Thrallowi.

Gdy księżę wydał wyrok, wszystkie oczy skupiły się na przywódcy magów.

– Wasza Księżęca Mość jest jak zwykle pełen zrozumienia i mądrości – zaczął Thrall podejrzanie uprzejmym tonem. – Kwestię pana Dantégo rozstrzygamy, odkąd dowiedzieliśmy się o jego chęci zostania magiem bitewnym. Rola przewodnika przyszłego maga bitewnego nie jest łatwa, pozwoliłem sobie więc przedstawić tę kwestię członkom wieży. Pomimo historii rodzinnej pana Dantégo ja osobiście nie mam nic przeciwko, żeby przeszedł szkolenie.

Jasne, akurat, pomyślał Falko.

– Jednak nie ma wśród moich magów ani jednej osoby, która chciałaby przyjąć na siebie rolę przewodnika pana Dantégo. A skoro tak, ośmielam się zasugerować, żeby usunąć go z Akademii Sztuki Wojennej, tak aby jego fizyczne niedostatki nie odrywały uwagi lanistów od bardziej obiecujących kadetów.

Spojrzał na Falka przepaszająco, jakby nie miał żadnego wpływu na wydany przez siebie werdykt. Bellius zaprezentował Falkowi tryumfalny

uśmiech. Chłopak prawie czuł satysfakcję promieniującą od Morgana Sakera. Choć został oczyszczony z zarzutów o zdradę, żołądek skręcał mu się na myśl, że ci ludzie pozbawili go możliwości nauki w akademii. Zwrócił się na prawo, ale emisariusz nie patrzył na niego. Utkwił wzrok w podłodze, Falko widział jednak napięcie w jego złożonych rękach, jakby Chevalier na coś czekał.

– Dobrze więc – powiedział ksiązę Ludovico. – Pan Danté pozostaje wolnym człowiekiem, ale zostanie usunięty z akademii ze skutkiem natychmiastowym i powróci do...

– Ja będę go trenował.

Słowa wypowiedziano cicho, jakby nie niosły ze sobą żadnej istotnej treści. Falko zobaczył, jak emisariusz podrywa głowę, a w jego oczach jaśnieje zadowolenie. Ale nie patrzył na Falka. Spoglądał na Mereditha Sakera. Wciąż noszący szaty nowicjusza Meredith wstał z miejsca i stanął przed głównym stołem.

– Ja będę przewodnikiem Falka.

Bellius wyglądał, jakby ktoś uderzył go pięścią w żołądek. Bładozielone oczy Galena Thralla nabrały mroźnej ostrości krzemienia. A po prawej ręce Falka furia Morgana Sakera płonęła jasno jak ogień.

Falko ponownie poczuł się odseparowany od toku wydarzeń, jakby z daleka przyglądał się procesowi jakiejś obcej osoby. Meredith Saker jakimś sposobem znalazł w sobie odwagę, by sprzeciwić się najpotężniejszemu magowi w Furii. A co więcej – własnemu ojcu.

Meredith napotkał tchnące niedowierzaniem spojrzenie Falka i wówczas dotarło do niego, co tak naprawdę robi.

– Uratował mi życie – rzekł tylko, a Falko poczuł ucisk w gardle.

Ksiązę Ludovico wodził wzrokiem od ojca do syna. Uniesiona brew nie mąciła nieodgadnionego wyrazu jego twarzy, gdy rozsiadł się na krześle i zwrócił do Galena Thralla, który milczał chwilę, nim się odezwał:

– Oczywiście, to rzecz zupełnie naturalna, wręcz chwalebna, że pan Saker czuje powinność wobec pana Dantégo.

Falko był pełen podziwu dla samokontroli Thralla, nawet w obliczu tak jawnego sprzeciwu ze strony nowicjusza.

– Jednak w tym konkretnym przypadku zmuszony jestem zakazać...

– Nie możesz – rozbrzmiał nagle surowy głos i Falko podniósł wzrok na

postać na tyłach komnaty, która właśnie wstawiała z trybuny. – Decyzja o podjęciu szkolenia należy wyłącznie do nauczyciela i ucznia. Żaden z nich nie potrzebuje zgody wieży.

Postać zeszła po schodach i Falko dopiero teraz zauważył, że jest to przygarbiony, utykający, jednoręki mężczyzna. Aurelian Cruz.

Thrall zmarszczył brwi i po raz pierwszy na jego twarzy pojawiła się złość.

– Ośmielasz się mieszać w sprawy wieży?

– Nie mieszam się – zaprzeczył Cruz, stając u stóp schodów. – Tylko przypominam ci o regułach ustanowionych przez magów większych od ciebie.

Słowa miały zabołec i Falko zauważył, że Thrall robi, co może, by powstrzymać się przed reakcją.

Aurelian potoczył wzrokiem po komnacie. Zatrzymał go dłużej na Falku, po czym skinął na przywitanie emisariuszowi. Musiał być kiedyś wysokim mężczyzną, i pewnie przystojnym, lecz to było dawno temu, zanim naznaczyły go odbyte bitwy. Teraz jego twarz była przedwcześnie postarzała, poznaczona bliznami jak drewniane słupki na polu treningowym. Miał połamane zęby, a skóra po lewej stronie twarzy była napięta w wyniku oparzeń. Włosy miał długie, niesforne i siwe, a jednak była w nim jakaś godność, jakby stawiał czoła najgorszym rzeczom i sprawom, jakie ma do zaoferowania życie, i nie miał już nikomu nic do udowodnienia.

– A więc – podjął – ten młody nowicjusz chce poprowadzić tego oto złotodzioba ku zagładzie, a ty nic nie możesz na to poradzić. Pewnie szlag cię trafia, co? – dodał, nie kryjąc się ze złośliwością.

Cisza aż dzwoniła w uszach. Żrenice Galena Thralla zmniejszyły się do dwóch małych czarnych punkcików. Gdy ponownie się odezwał, jego głos drżał.

– To nie jest kwestia pozwolenia lub zabronienia, ale bezpieczeństwa. Wiesz lepiej niż ktokolwiek, że rytuał Assay to nie przelewki. Pochłonął już życie niejednego obiecującego młodzieńca. A poza tym... nie ma dowodów na to, że pan Danté w ogóle nadaje się na maga bitewnego.

Thrall zrobił pauzę, pewien, że odzyskał kontrolę nad sytuacją.

– Pomijając oczywistą słabość organizmu – ciągnął, mierząc Falka

pogardliwym spojrzeniem – po przyszłym magu bitewnym należałoby się spodziewać jakichś oznak wewnętrznej siły, zwłaszcza w takim wieku, tymczasem...

Przerwał mu w połowie zdania szum ognistej kuli, która nagle wystrzeliła z dłoni Aureliana i przemknęła nad podłogą. Przerażeni konstable odskoczyli na bok, a Falko ledwie miał czas się wzdrygnąć, nim ogarnęły go płomienie. Poczul uderzenie gorąca, a potem ogień zniknął.

– Skandal! – wykrzyknął Bellius, gdy wszyscy porwali się z miejsc, obalając krzesła i przewracając kielichy z wodą.

– Bez paniki – warknął Aurelian. – Nie była taka znowu duża.

Pokuśtykał do Falka, złapał go za ramię i dźwignął na nogi. Jego ubranie dymiło, miał przypalone włosy, a skóra była zaczerwieniona, ale poza tym nie odniósł obrażeń. Za to krzesło, na którym siedział, było spalone na wiór.

– Nie ma dowodów? – powtórzył Aurelian. – Ta kula ognista zabiłaby zwykłego człowieka. No, przynajmniej poważnie poparzyła – dodał, wędrując przepaszającym wzrokiem do emisariusza. – Ten chłopiec przeżył kontakt ze smoczym ogniem i stanął przeciwko demonowi, gdy twoi magowie obsrywali szaty. Jakich dowodów jeszcze potrzebujesz?

Spojrzał na Falka i potrząsnął nim lekko, jakby chciał się przekonać, że ten ustoi o własnych siłach.

– To prawda, że wygląda jak wypłosz, ale nie popełnijcie błędu, panowie. Ten chłopak ma duszę maga bitewnego. I tylko czas pokaże, czy ma dość siły, żeby nim zostać.

– Moglibyśmy odmówić wykonania rytuału – powiedział Thrall.

– Moglibyście – przyznał Aurelian z groźnym błyskiem w lodowato błękitnych oczach. – Ale co by powiedzieli ludzie, gdyby się dowiedzieli, że przeszkodziłeś w wykuciu broni, która mogłaby ich obronić?

Galen Thrall zawahał się. Nawet on nie był na tyle arogancki, by myśleć, że wolno mu zignorować głos ludu. W rzeczy samej, od wielu lat pracował na to, by zmienić zdanie ludzi o magach. Nie mógł sobie na to pozwolić, zwłaszcza teraz, gdy ich armia miała lada moment sprawdzić się w pierwszej bitwie.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Pan Saker zostanie przewodnikiem Dantégo, ale pod warunkiem, że nie będzie to kolidować z jego własnym

szkoleniem. Nie pozwolę zmarnować jego talentu przez głupie poczucie obowiązku.

Aurelian skwitował sprawę niskim warknięciem, a potem przyjrzał się Falkowi, który poruszył się niespokojnie pod jego przenikliwym spojrzeniem. Chłopak miał wrażenie, że te zimne oczy drapią mu skórę jak drucziana szczotka. Stary mag wydawał się być pod wrażeniem tego, co zobaczył. Zmierzył chłopaka wzrokiem i pokiwał głową.

– Rano będziesz trenował z innymi kadetami – zabulgotał Aurelian, wwiercając się wzrokiem w Falka. – A popołudniami będziesz trenował ze mną.

Falko po prostu skinął głową, zastanawiając się, w co też pozwolił się wplątać.

Aurelian ostatni raz potoczył wzrokiem po ludziach zgromadzonych w komnacie. Wreszcie spojrzał na emisariusza, który odpowiedział mu lekkim uśmiechem.

– Ha! – zaśmiał się stary mag bitewny, raz jeszcze potrząsnąwszy głową. A potem, mrużąc pod nosem przekleństwa, ruszył do wyjścia. Wchodząc do tunelu, zatrzymał się i powiódł wzrokiem do jednej z usytuowanych wyżej bram za plecami Falka. – Wasza Wysokość – rzekł i skłonił głowę.

Wszyscy podnieśli wzrok. W cieniu bramy nikogo nie było widać, lecz nie ulegało wątpliwości, że na sali obecny był jeszcze jeden świadek procesu Falka.

– O pierwszej godzinie popołudnia, panie Danté – chrapliwy głos Aureliana odbił się echem w tunelu – widzę pana w Moździerzu.

Z tymi słowy zniknął.



– Meredith? – wykrzyknął Malaki, gdy wraz z Bryną i braćmi Klingemann siedzieli z Falkiem przy stole w mesie. – Ostrza i obuchy, ma facet jaja.

– A co powiedział jego ojciec? – chciała wiedzieć Bryna.

– Nic nie powiedział – odrzekł Falko. – Ale widać było, że dostał szału.

– Kim jest ten cały Meredith? – zapytał Alex.

– To syn Morgana Sakera, starszego maga z naszego miasta – wyjaśniła

Bryna.

– Oni też cię nienawidzą jak Snidessonowie?

Malaki i Bryna wymienili spojrzenia.

– Morgan Saker był świadkiem śmierci mojego ojca – rzekł Falko. – Ale wydaje mi się, że Meredith nie jest taki jak on.

Bracia Klingemann oczywiście domyślili się, że jest w tej historii coś więcej, ale Quirren kiwnął lekko głową i Alex przynajmniej raz powściągnął swoją nienasyconą ciekawość.

– No cóż, to bez znaczenia – skonkludowała Bryna. – Klamka zapadła. Będą cię trenować.

– Jutro! W Moździerz! Z Aurelianem Cruzem! – wykrzyknął nieposiadający się ze zdumienia Alex.

– Odprowadzimy cię tam jutro – zapowiedział Malaki – w czasie przerwy obiadowej. Wrócimy, zanim zacznie się popołudniowy trening.

Falko odpowiedział uśmiechem. Co jak co, ale przyda mu się moralne wsparcie. Z przeciwnej strony pokoju Jareg posłał mu jadowite spojrzenie. Młody szlachcic jak zwykle siedział w obstawie swoich zauszniaków i Falko nie wątpił, że wszyscy poznali już szczegóły rozprawy. Uśmiech nie spłynął z ust Falka, zrobił się tylko bardziej ponury i zdecydowany. Wyglądało na to, że on również zapracował na swoje miejsce w akademii, ale coś mu mówiło, że może jeszcze tego pożałować.



– Nie doceniłeś go. – Galen Thrall spojrzał na Morgana Sakera z zimną obojętnością węża.

– Nie wiedziałem, że poprze go mag bitewny – bronił się Saker, chodząc w kółko po wypolerowanej podłodze komnaty wielkiego veneratu.

– Nie mówię o Dantém, ale o twoim synu.

Morgan Saker warknął, z trudem hamując wściekłość.

– To ten emisariusz – wysyczał szeptem. – To on za tym stoi. Napchał mu głowę bzdurami, zaraził go jakąś szczeniacką szlachetnością.

– No cóż, co się stało, to się nie odstanie – westchnął Thrall. – Nie gryź się tym za bardzo. Aurelian Cruz może jest na początku szkolenia Dantégo, ale na końcu będziemy my.

Morgan Saker zatrzymał się w pół kroku.

– Tak – powiedział z nagłym przekonaniem. – Daj mi wolną rękę w czasie rytuału Assay. Złamię tego szczeniaka jak suchą gałązkę.

Thrall zgodził się, kiwając wolno głową.

– Jest w wieży wielu takich, którzy mogliby złamać tego chłystka. – Na jego wargi wypłynął tajemniczy, mroczny uśmiech. – I jeden taki, który wydrąży jego umysł jak dynię.



Główny lekarz szpitala w wieży magów pochylił się, by przyjrzeć się rannemu strażnikowi.

– Przeżyje?

– Jest za wcześnie, żeby coś powiedzieć – odparł chirurg. – Popszywaliśmy mu twarz, ale oka nie udało się uratować.

Lekarz przyjrzał się poszarpanej linii szwu otaczającej prawy oczodół strażnika.

– Jak Pacatos go dosięgnął? Myślałem, że mają zakaz wchodzenia do jego celi.

– To nie jest dzieło brata Pacatosa – powiedział chirurg. – On sam to sobie zrobił.



Głęboko w trzewiach magicznej wieży w Clemoncé umęczona dusza kołysała się w przód i w tył w najciemniejszym kącie celi.

– *Vino la mine micul meu soim* – powiedział brat Pacatos z oczami zaszłymi mgłą Opętania. – *Cei frații și toate deliciile lor sunt în așteptare pentru tine.*

„Chodź do mnie, mój mały sokole. Bracia i wszelkie ich rozkosze czekają już na ciebie”.

Moździerz



Drugi dzień treningu dobrze się zaczął dla Falka. Kadetów obudził odgłos deszczu chłoszczącego terakotowe dachówki baraków, ale zanim wyszli na dziedziniec, deszcz ustał i ciepłe światło wstającego słońca namalowało nieskazitelny obraz gór. Ponownie przydzielono im broń i kazano wspiać się na Palec. Tym razem Falko wytrzymał pół mili biegiem. Dopiero gdy grunt uniósł się stromo, musiał puścić przodem Malakiego i resztę. Znowu zakończył bieg długo po ostatnim kadecie, ale gdy wpadł wykończony do namiotu, część uczniów nie skończyła jeszcze śniadania.

Malaki klepnął go w plecy i wręczył miskę gorącej owsianki, gdy Falko zwałił się ciężko na ławę. Ten podziękował przyjacielowi i odczekał, aż uspokoi mu się oddech, nim zaczął jeść.

– Zakładam, że dzisiaj też pokonaliście Jarega – powiedział, przyjmując od Quirrena kubek gorącej herbaty.

– Niestety, dzisiaj nie – odpowiedział wielki Illicjanin, zajmując miejsce obok Falka.

Chłopak podniósł głowę. Quirren nie wydawał się zasmucony, właściwie to się uśmiechał. Alex i Bryna także. Wszyscy zdawali się cieszyć z poniesionej porażki.

– Pierwszy ukończył bieg – rzekła Bryna, wskazując głową wejście do namiotu, gdzie Falko dostrzegł Jarega.

Stał na zewnątrz i trzymał się poły namiotu, by się nie przewrócić. Jeden z jego znajomków poszedł z nim pomówić, ale Jareg odpędził go ruchem

dłoni.

– Chyba zaszкодziła mu owsianka – powiedziała Bryna i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Jareg co prawda wygrał wyścig, ale ponieważ wycisnął z siebie siódme poty, płacił teraz za to dumą. Może to przez to był tego dnia szczególnie wredny podczas sparingów.

Po kilku godzinach normalnego treningu kazano im usiąść na ławach, a potem pojawił się lanista Deloix z torbą pełną małych drewnianych tabliczek z imionami kadetów. Następnie każdy losował swojego przeciwnika.

Ku nieskrywanej radości Jarega Falko dwukrotnie zebrał solidne baty.

Najpierw od młodzieńca z Clemoncé, który świetnie radził sobie z mieczem, a potem od przysadzistego Acheronczyka imieniem Kleitos.

Bryna trafiła na wysokiego Illicjanina Kurta Voglera, ale ten walczył na pół gwizdka. Nie obeszło się bez interwencji emisariusza.

– Czy myślisz, że Opętani będą obchodzić się delikatniej z panią Godwin, bo jest kobietą?

Vogler pokręcił głową.

– Więc nie obrażaj jej w ten sposób.

Wznowili walkę i w ciągu kilku sekund Bryna wylądowała na plecach z krwawiącą wargą i mieczem Voglera przy krtani.

– Tak lepiej – rzekł emisariusz.

Zawstydzony Vogler wyciągnął rękę, by pomóc Brynie się podnieść. Dziewczyna przesunęła językiem po spuchniętej wardze.

– Dopadnę cię następnym razem – szepnęła i Vogler się uśmiechnął.

Jareg stanął przeciw thraeckiemu włócznikowi imieniem Arakios. W odróżnieniu od większości kadetów przedkładał włócznie nad miecz i tarczę, więc Jareg szybko się z nim uporał. Ale nie poprzestał na pokonaniu go. Uniknąwszy wszystkich jego ataków, Jareg wykończył Arakiosa serią ciosów, z których każdy kończył się głośnym klaśnięciem, gdy drewniany miecz uderzał w jego ciało z przesadną siłą.

Laniści skrzywili się na ten „brak samokontroli”, ale nie powiedzieli ani słowa, gdy Arakiosa odprowadzono do szpitala z podejrzeniem złamania.

Pozornie nie zdając sobie sprawy z niezadowolenia instruktorów, Jareg wrócił na miejsce. Rozegrano jeszcze dwa pojedynki, nim wywołano go

ponownie. Z rysującym się na wargach aroganckim uśmiechem wyszedł na czoło grupy i czekał, aż wylosowane zostanie nazwisko jego przeciwnika.

– Malaki de Vane.

Uśmiezek wyparował, gdy Malaki stanął naprzeciwko.

Serce Falka nagle zabiło szybciej. Spojrzał na Brynę i zauważył, że dziewczyna zagryzła wargę, a jej zaciśnięte na rękojeści miecza palce są nienaturalnie białe. Tłum kadetów zaszemrał z ekscytacją. Wszyscy wiedzieli, że ci dwaj się nie lubią.

Lanista Deloix dał znak do rozpoczęcia potyczki.

Jareg przejął inicjatywę i wyprowadził serię skomplikowanych ciosów, ale Malaki uniknął wszystkich. Dwa razy wymanewrował Jarega z taką łatwością, że spokojnie mógłby zadać cios, ale powstrzymał się przed tym. Każdy, kto oglądał walkę, widział, że Malaki kontroluje sytuację, lecz zanim starcie zrobiło się upokarzające dla Jarega, kowal zwabił go luką w gardzie, a gdy szlachcic rzucił się naprzód, Malaki zasłonił się tarczą i pozwolił mu się minąć, a potem lekko dotknął karku Jarega mieczem.

Zawiedziony Alex jęknął przeciągle, jakby nie mógł się doczekać, aż Jareg zbierze bęcki, na jakie zasłużył. Bryna również wydawała się rozczarowana i tylko Quirren uśmiechał się z zadowoleniem.

Falko pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Pamiętasz chyba, że sprzął mnie do nieprzytomności? – wycedził, gdy Malaki usiadł między nim a Bryną.

– Nigdy nie odbieraj człowiekowi godności – odparł Malaki, cytując pierwszą część powiedzonka swojego ojca.

– Tak, wiem – rzekł Falko. – I nigdy nie pozwól mu odebrać godności sobie.

Powiedział to tonem znudzonego lekcją ucznia, ale gdy podniósł wzrok na przyjaciela, w jego spojrzeniu jaśniała duma. Jedną z rzeczy, które Falko uwielbiał u Malakiego, było to, że nigdy nie nadużywał swojej siły. Prawda, wygrał niejedną walkę, ale nigdy nie posuwał się dalej, niż musiał, by powiedzieć, co miał do powiedzenia.

Trening trwał dalej, a Falko odkrył, że im bliżej południa, tym robi się coraz bardziej nerwowy. Był głodny jak wilk, ale nie sądził, by zdołał coś przełknąć. Był szczęśliwy, że przyjaciele zaproponowali, iż odprowadzą go do Moździerza. Wspomnienie Aureliana i jego kuli ognia było wciąż

boleśnie świeże w jego pamięci i nielekkko mu było z myślą o samotnym wkraczaniu do jaskini lwa. Jednakże na krótko przed ogłoszeniem przerwy obiadowej laniści zwołali kadetów. Podzielili ich na dwie grupy: tych, którzy mieli być szkoleni na oficerów, jak Bryna i Alex, oraz pozostałych trzynastu, którzy mieli nadzieję zostać rycerzami, jak Malaki i Quirren.

Lanista Magnus zwrócił się do potencjalnych oficerów.

– Dzisiaj zjecie obiad w mesie oficerskiej z dowódcami głównych armii – rzekł. – Chcą was poznać, zanim zdecydują, jakie jednostki wam przydzielić.

– Będziemy dowodzić? Tak szybko? – wykrzyknął Alex, a lanista Magnus zaśmiał się.

– A jak inaczej mielibyście się tego nauczyć?

Nagle Alex i Bryna nie wyglądali wcale na mniej zdenerwowanych od Falka. Pożegnali się, a potem wrócili do baraków, by umyć się i przebrać.

– Nie wiedziałem, że tak szybko zaczną szkolenie z dowodzenia – zdziwił się Malaki, gdy on, Falko i Quirren zasiedli do posiłku w namiocie przy polu treningowym.

– Ja też nie – rzekł Quirren. – Może muszą przyspieszyć trening, skoro Opętani są tak blisko?

Falko nie mówił wiele. Przełknął tylko kilka kęsów chleba i połowę jabłka, gdy Malaki klepnął go w plecy.

– No chodź – rzekł. – Już po dwunastej. Nie dajmy czekać Aurelianowi Cruzowi. Następna kula ognia może już nie być taka mała!

Quirren zaśmiał się, Falkowi jednak zrobiło się słabo, gdy podniósł się z miejsca. Wciąż mieli mnóstwo czasu, ale Malaki miał rację – wolał być za wcześnie niż za późno. Razem wyszli z namiotu. Ruszyli w kierunku zbocza, gdy drogę zastąpił im emisariusz.



– A wy dokąd?

– Idziemy do Moździerza z Falkiem – odpowiedział Malaki. – Wrócimy, zanim zacznie się popołudniowa sesja.

Emisariusz pokręcił głową i wskazał poligon. Trzej młodzieńcy obejrżeli się i zobaczyli nadjeżdżający szwadron ciężkiej kawalerii. Na pięciu pierwszych wierzchowcach siedzieli rycerze. Pozostałe nie miały jeźdźców, ale mimo to karnie podążały za czołem kawalkady. Każdy rycerz miał opończę w innym kolorze i długą lancę, z której zwisał proporzec o tej samej barwie. Ze wszystkich łopoczących na wietrze emblematów Falko rozpoznał tylko jeden. Lśniąca biel i czarne pole. Góry Nieugiętych.

Kawaleria zatrzymała się i jeden z dowódców wyjechał koniem dwie długości przed resztą. Bez wątplenia był to najbardziej imponujący pod

względem fizycznym mężczyzna, jakiego Falko widział w życiu. Wysoki, muskularny, o długich czarnych włosach, dosiadający wspaniałego gniadego ogiera. Miał wyraźnie zarysowane brwi i wydatną zuchwę, porośniętą gęstą czarną brodą. Jego opończa miała barwę bladego srebrzystego błękitu, a końska głowa wyobrażona na jego piersi była czarna. Z wysokości swojego wierzchowca powiódł wzrokiem po kadetach, jakby byli dziećmi, którymi rzeczywiście byli przy takich mężczyznach jak rycerz.

– Fraternité rycerzy zwraca się do tych, którzy chcą wziąć udział w épreuve du force, żeby wystąpili naprzód – zawarczał surowym głosem.

Malaki i Quirren popatrzyli po sobie, a potem spojrzeli na Falka. Wygląda na to, że wszystkich czekają dzisiaj wyzwania.

– A nie moglibyśmy po prostu... – zaczął Malaki, ale emisariusz już kręcił głową.

– Teraz albo nigdy.

– Idźcie – powiedział Falko. – Poradzę sobie.

Malaki zrobił się blady jak ściana. Czerwone znamię na twarzy uwidoczniło się wyraźniej niż kiedykolwiek.

– A co, jeśli dam ciała? – powiedział, a Falko zdumiał się, widząc prawdziwy strach w oczach przyjaciela.

– Ty też sobie poradzisz – powiedział głosem wyrażającym niezachwiane przekonanie.

Malaki uśmiechnął się niemrawo, a po chwili już szczerzył się jak zwykle.

– Nie daj się pobić, gdy nas nie będzie, jak ostatnim razem.

– Postaram się – odparł Falko i zwrócił się do Quirrena: – Połamania nóg.

– Wzajemnie – rzekł olbrzym, stojąc jak słup soli.

– No idźcie, czekają na was.

Malaki i Quirren z jedenastoma pozostałymi kadetami wyszli naprzód. Był wśród nich wielki Beltańczyk, który, jak się dowiedzieli, miał na imię Huthgarl. Kadeci wskoczyli na siodła i dowódcy zaczęli się zbierać do drogi powrotnej. Skinęli z szacunkiem instruktorom, a potem mężczyzna w czarnej opończy Nieugiętych podążył wzrokiem do emisariusza i zasalutował mu lancą. Zwalisty rycerz w niebieskiej opończy podążył za

jego spojrzeniem. Nie zasalutował, ale skinieniem pozdrowił rycerza, a emisariusz zrewanżował się tym samym.

– Kto to? – zaciekawiał się Falko, gdy pięciu rycerzy odjechało wraz z czeredą studentów.

– Sébastien Cabal – odrzekł Chevalier. – Lord dowódca rycerzy Furii.

Falko nagle zaczął się bać o przyjaciół, a emisariusz zauważył to i zrozumiał, jak chłopak się czuje. On sam zmierzył się z Sébastienem Cabalem na ubitej ziemi. Był to jeden z zaledwie kilku przegranych przez niego pojedynków. Uśmiechając się do wspomnień z tego epickiego turnieju, zwrócił się ku Falkowi.

– Powinieneś już iść – powiedział, gdy wychowankowie zniknęli z widoku. – Pan Cruz nie lubi niepunktualnych uczniów.

Obdarzywszy Falka niewyraźnym uśmiechem, wrócił do namiotu.

Falko wydał z siebie zrezygnowane westchnienie. Wyglądało na to, że musi sobie poradzić bez wsparcia moralnego.

Wejdzie do Moździerza samotnie.

Niebo było czyste i świeciło słońce, gdy chłopak zbliżył się do zakrzywionej krawędzi skalnego amfiteatru. Z łomoczącym w piersi sercem spojrzał w dół, na wielki, zatopiony w ziemi lej, ale nikogo w nim nie dostrzegł. Moździerz był pusty.

Falko zaczął się zastanawiać, czy może Aurelian zapomniał o spotkaniu lub się rozmyślił, ale doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej po prostu się spóźni. Do momentu obwieszczenia przez miejskie dzwony pierwszej godziny popołudnia brakowało jeszcze paru minut.

Uzbroiwszy się w cierpliwość, Falko zszedł po schodach i wyszedł na piaszczystą arenę. Wciąż nikt się nie pojawił. Podszedł do jednego z czterech pionowych filarów i przesunął dłonią po lśniącym czarnym kamieniu. Różniły się od odrapanych, poobijanych i nadpalonych ścian. Zbudowane na podstawie pięcioboku kolumny były prawie zupełnie gładkie. Nosiły jedynie drobne zarysowania i tylko czasem ubytki po odłupanych drobinkach.

Rozejrzawszy się po wznoszących się dookoła ścianach, Falko poczuł się bezpieczny. Lecz wtedy jego wzrok padł na zacienioną, sklepioną łukiem bramę po przeciwnej stronie areny i pokrzepiające wrażenie zniknęło. Ziejący portal zdawał się go przyciągać i Falko uprzytomnił sobie, że idzie

w jego kierunku. Zatrzymał się może dziesięć jardów przed progiem, a jego umysł niespodziewanie wypełnił się szeptem, jakby przejście wiodło do wszystkich koszmarów, które śniły mu się, gdy był dzieckiem. Poczuł potrzebę, by się cofnąć, uciec, ale Falko nauczył się dawno temu, że przed snami nie ma ucieczki. Koszmary siedzą w człowieku i są jego częścią, czekają tylko na odpowiedni moment, by wypłynąć na powierzchnię, gdy człowiek zaśnie.

„Myśl o miłych rzeczach” – radziła mu zawsze Fossetta. Ale myślenie o miłych rzeczach nigdy nie działało, Falko z przekory zaczynał więc myśleć o ich przeciwieństwie. Wyobraził sobie najgorsze ze wszystkich koszmarów, a potem myślał o sposobach na ich zwyciężenie. Tylko wyobrażając sobie, że wznosi wysoko trzymany w dłoni lśniący miecz, mógł zamknąć oczy i stawić czoła nocnym strachom. A więc nie cofnął się. Jego zielone oczy płonęły, a wargi uformowały coś, co przypominało coraz bardziej szyderczy uśmiech. Koszmary nie pochłonęły go, gdy był dzieckiem, nie pochłoną go teraz.

– Niewielu ludzi ma odwagę stanąć tam, gdzie ty teraz stoisz.

Falko wzdrygnął się, słysząc głos. Obrócił się do Aureliana Cruza, który stał za nim z poczerniałym od ognia mieczem zwisającym mu u pasa. Stary mag bitewny skrzywił się, patrząc z namysłem na chłopca. Gestem jedynej ręki kazał Falkowi odsunąć się od portalu, jakby był potencjalnym samobójcą na skraju przepaści.

Raz jeszcze zerknąwszy w ciemność, Falko się cofnął.

– Co to za miejsce? – spytał. – I dokąd prowadzi?

Aurelian zwlekał z odpowiedzią. Odciągnął Falka jeszcze na parę kroków, jakby on również nie czuł się zbyt pewnie, stojąc tak blisko tunelu.

– Ludzie z Clemoncé nazywają to L'obscurité, czyli Ciemnością. Inni Labiryntem albo Oubliette. To tunel, który wiedzie człowieka do jego przeznaczenia.

Zaprowadził Falka na północny skraj Moździerza, gdzie na najniższym poziomie schodów leżały miecz i tarcza.

– To tam odbędziesz rytuał Assay.

Falko wrócił wzrokiem do ciemnego portalu. Pomimo jego postanowienia strach go obleciał na myśl o wejściu w ten nieprzenikniony mrok.

– A więc to ty jesteś synem Aquili – rzekł Aurelian, taksując go

wzrokiem.

Falko kiwnął głową.

– Niebiosa litościwe! – wymamrotał okaleczony mag, potrząsając głową i śmiejąc się cicho.

Falko się zawstydził.

– Ależ nie, nie frasuj się tak – rzucił Aurelian, gdy dostrzegł wyraz jego twarzy. – Masz wzrost ojca i nawet wyglądasz trochę jak on. – Wielką, zrogowaciałą dłonią ujął Falka za podbródek i zmusił go, by stanął prosto. Pokiwał głową, jakby wyprostowany chłopak robił lepsze wrażenie. – A poza tym Chevalier dobrze o tobie mówił i jego słowo mi wystarczy.

Falko nie wiedział, co powiedzieć. Oto miał przed sobą kolejną osobę, która знаła jego ojca.

– Tylko będziemy musieli go trochę zaprawić, no nie? Dwim? – podjął Aurelian, patrząc gdzieś na prawo od Falka.

Chłopak obrócił głowę w tamtym kierunku i zobaczył siedzącego na trybunach mężczyznę oraz rozłożonego na szerokich stopniach smoka o łuskach koloru opalizującego błękitu. Falko rozpoznał tego człowieka. To był zagrodnik, którego widzieli podczas pierwszej wycieczki nad Moździerz. Po chwili przypomniał sobie też imię smoka Aureliana – Dwimervane.

Bestia spojrzała na Falka z ostrożną ciekawością. Chłopak przestąpił z nogi na nogę pod tym badawczym spojrzeniem, ale nie odwrócił wzroku.

– No to powiedz mi, co potrafisz.

Falko obrzucił Aureliana nierozumiejącym spojrzeniem. Nie miał pojęcia, o czym mag mówi.

– Co potrafisz? – powtórzył Aurelian. – Umiesz tworzyć żar lub ogień, przesuwać przedmioty lub niszczyć je bez dotykania?

Falko pokręcił głową, wciąż niewiele mądrzejszy.

– Ale posiadasz jakieś umiejętności obronne? – indagował Aurelian. – Nie przeżyłbyś tej kuli ognistej, gdybyś nie potrafił się bronić.

Falko ponownie pokręcił głową.

– Knurze jajca! – zaklął mag bitewny. – Czyli otaczasz się tarczą ochronną, nawet sobie tego nie uświadamiając?

Falko wzruszył ramionami.

– Stań tam! – nakazał rozeźlony Aurelian.

Nie wiedząc, co niby zrobił źle, Falko usłuchał i stanął jakieś dziesięć

stóp od maga. Aurelian wziął z ziemi garść żwiru i bez ostrzeżenia cisnął nim mocno w Falka. Chłopak zamknął oczy, gdy twarde kamyki zakłuły go w twarz i ręce.

– Broń się – warknął mag, zamierzając się kolejną garścią żwiru.

Falko zasłonił się rękami i próbował uchylać się przed pociskami, którymi raz po raz miotał w niego Aurelian. Nagle zamiast piachu i kamieni mag cisnął w niego kulą ognistą, która ogarnęła go i wybuchła. Falko raz jeszcze poczuł na skórze intensywny żar, a potem ogień rozwiął się, zostawiając po sobie tylko gryzący zapach nadpalonych włosów i ubrań.

– Ha! – zawołał Aurelian, jakby wszystko to było tylko niezbyt śmiesznym żartem. – Instynkt! Nic więcej. – Odwrócił wzrok i przemknął nim po Moździerz, jakby czegoś szukał. – Gdzie, u diabła, jest ten mag? Ma tyle roboty, a już się spóźnia!

– Nie spóźniam się – odpowiedział mu głos. – Patrzę tylko.

Podnieśli wzrok na Mereditha Sakera, który niespodziewanie pojawił się na schodach. Skinął Falkowi głową, a potem skłonił się dwóm weteranom.

– Panie Cruz. Panie Dusaule.

Dusaule, pomyślał Falko, wbijając wzrok w mężczyznę siedzącego przy smoku. Więc tak brzmiało imię zagrodnika. Był wysokim mężczyzną, szerokim w barach, o sięgających ramion brązowych włosach. Mag bitewny skłonił się z rezerwą, mierząc przybyłego podejrzliwym wzrokiem.

Meredith pokłonił się następnie smokowi, który lekko przechylił głowę, jakby był zaskoczony tą oznaką szacunku ze strony jednego z magów.

– Patrzysz sobie, he? – sarknął Aurelian, rzucając Dusaule'owi znaczące spojrzenie. – Chevalier wspominał, że masz talent do czarów ukrywających.

Meredith puścił jego słowa mimo uszu. Usiłował zachować godną postawę, co nie było proste w towarzystwie dwóch magów bitewnych i smoka.

– Powiedz mi więc, dlaczego ten wypłosz rzuca czar ochronny tylko wtedy, gdy myśli, że jego życie jest w niebezpieczeństwie?

Meredith przeskoczył wzrokiem do Falka, który jakby nie zauważył obraźliwego tonu weterana.

– Tak jak powiedziałaś, instynkt – odrzekł Meredith. – Falko nigdy nie nauczył się kanalizować swojej mocy. Uwidoczniała się ona tylko za sprawą

podświadomości.

Młody czarodziej całą noc ślęczał nad podręcznikami magów bitewnych. Wynikało z nich, że określenie nauczyciela jako „przewodnika” miało wiele sensu. Jego rolą było bowiem nie tyle uczenie przyszłego maga bitewnego, ile udzielenie mu pomocy w odkryciu już posiadanych przez niego umiejętności, a więc jedynie wskazanie, a nie wytyczenie mu drogi. Meredith przyglądał się bacznie obrzucanemu żwirem Falkowi, ale przede wszystkim obserwował umysł chłopca. Z początku Falko czuł zdumienie, ból i rosnącą irytację, ale gdy Aurelian uderzył w niego kulą ognistą, coś poruszyło się w jego umyśle, zbudziła się do życia uszpięta energia, jakby to pogrążona w letargu bestia otworzyła oko, czując zagrożenie. Moc zapłonęła jasno i błyskawicznie otoczyła Falka, a potem zniknęła, gdy tylko rozwiały się płomienie.

– Ja potrafiłem rzucać czary ochronne, gdy miałem siedem lat – powiedział Aurelian. – Gdy skończyłem dziewięć, potrafiłem już myśleć miądzyc kamienie i łamać drewno.

– Ale Falko chorował od dziecka – rzekł Meredith. – Zawsze uważał się za słabego. – Spojrzał pytająco na Falka, który potwierdził skinieniem prawdziwość tych słów. – Rzucenie czaru wymaga wiary w siebie. Chyba że zachodzi za sprawą instynktu.

Aurelian pokiwał wolno głową, jakby zaczynał rozumieć.

– Ale czemu tylko czary defensywne? – spytał.

– Przywoływawcze i wzmacniające wymagają wyraźnej intencji.

– O czym wy mówicie? – przerwał Falko, który nigdy nie słyszał podobnych określeń.

Spojrzeli na niego, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak mało ich uczeń wie o sztuce magicznej i mocach maga bitewnego.

– To terminologia magiczna – wyjaśnił Meredith. – Kategorie, którymi określamy różne sposoby manifestacji magicznej energii. – Spojrzał na Falka z niespodziewaną intensywnością.

Komunikacja.

Falko wzdrygnął się, gdy słowo rozbłysło w jego głowie. Nie usłyszał go, przynajmniej nie za pośrednictwem uszu.

Raczej myśl pojawiła się znikąd i zabrzmiała w jego umyśle.

– Kula ognia to czar przywoływawczy – mówił dalej Meredith, już za

pośrednictwem ust. – Ale termin odnosi się też do każdej dostrzegalnej formy energii, którą mag tworzy poza swoim ciałem. Przemienianie to modyfikacja przedmiotów bez ich fizycznego dotykania.

Falko pokiwał głową, przypominając sobie wszystkie magiczne ataki, jakie zastosował Darius w walce z czarnym smokiem.

– Wzmocnienie to rodzaj czarów, które wzmacniają ciało. Mag może skorzystać z czarów tej kategorii, żeby osłonić się przed uderzeniem lub zniwelować siłę uderzenia o grunt po skoku z dużej wysokości. Czary woli to te, które pomagają odpędzić strach i obronić się przed atakiem na umysł.

Aurelian zaczął się niecierpliwić.

– Mag bitewny nie myśli w takich kategoriach – rzekł. – W pewnym sensie wszystko, co robimy, jest instynktowne. Tyle że robimy to na zawołanie. – Machnął ręką i przez Moździerz pomknął łuk błękitnawej energii, który zostawił po sobie głębokie wcięcie w przeciwległej ścianie areny. – Jeśli masz zostać magiem bitewnym, musisz nauczyć się robić to wszystko samą myślą. To wymaga wysiłku, a jak przedobrzysz, to opadniesz z sił, ale nie ma czasu na kategoryzowanie i reguły, gdy walczysz z Opętanymi.

Aurelian wydawał się zniecierpliwiony. Podszedł do najniższego stopnia i podniósł leżące tam miecz i tarczę.

– Jak więc chcesz mu pomóc? – zapytał wprost Mereditha, Falkowi zaś wręczył broń. – Jak przeniesiesz ośrodek decyzyjny z podświadomości do świadomości? Jak uchronisz go przed pewną śmiercią?

Falko niemal bezwiednie złapał za miecz i osadził tarczę na przedramieniu, gdy Meredith łypnął na niego z niepokojem. Nie spodziewał się, że jego rola „przewodnika” tak szybko zostanie poddana testowi.

– Gdy pierwszy raz cisnąłeś w niego kulą ognistą – odpowiedział – moc zbudziła się w jego umyśle. Właśnie na tym bym się skupił.

Aurelian puścił jego słowa mimo uszu i dobył własnego miecza. Ostrze było porysowane i odbarwione przez ogień, ale wciąż ostre jak brzytwa.

– Broń się – polecił stary mag bitewny lodowatym tonem.

Falko poczuł, że ogarnia go niepokój. Nawet jednoręki, przygarbiony i utykający Aurelian był śmiertelnie groźnym przeciwnikiem. Meredith odsunął się na kilka kroków, nie bardzo wiedząc, o co chodzi Aurelianowi. Raptem stary mag dał nura naprzód i wyprowadził cios, który niechybnie

zabiłby Falka, gdyby ten nie zasłonił się tarczą. Chłopak zachwiał się pod uderzeniem rozpędzonej klingi i z trudem utrzymał równowagę.

– I co teraz zrobisz, magu? – szydził Aurelian, zmuszając Falka do cofnięcia się przed serią szaleńczych uderzeń.

Falko walczył o życie, a Meredith był sparalizowany rozpaczliwym poczuciem odpowiedzialności.

– On zaraz umrze, magu – wydyszał Aurelian. – Opętani rozedrą go na strzępy i zgwałcą jego duszę. – Zaszarżował na Falka i obalił go na ziemię, przydeptał jego tarczę i wykopał mu miecz ze zdrętwiałych palców. – A co ty masz zamiar zrobić, do cholery?

Miecz Aureliana pomknął w dół i Meredith był pewien, że Falko jest już martwy. Ale w ostatnim momencie jakaś niewidzialna siła wybiła broń z ręki weterana. Miecz pofrunął w powietrze i wylądował z brzękiem jakieś dwadzieścia stóp dalej. Arenę wypełniła napięta cisza.

Dusaule stał wyprostowany i patrzył w dół, na arenę. Milczący mag bitewny wydawał się nieporuszony tym, że uratował Falkowi życie. Meredith drżał. Falko leżał na arenie, zasłaniając się tarczą przed dyszącym ze złości Aurelianem Cruzem. Ten podszedł do Mereditha i zatrzymał swoją twarz dwa cale od twarzy nowicjusza.

– Rytuał Assay to nie jest przechadzka po parku – wysyczał. – To próba złamania człowieka w nadziei, że stanie się niezłomny.

Meredith próbował się cofnąć, ale Aurelian złapał go za szaty.

– Magowie zapuszczają się do samych piekieł, żeby sprawdzić mężczyzn i kobiety, którzy mają stawić czoła demonom Opętanych. A możesz być pewien, że Thrall i twój ojciec nie poskąpią różgi, poddając rytuałowi pana Dantégo. Zapytam więc jeszcze raz... Jak masz zamiar go na to przygotować?

– Nie wiem – powiedział Meredith cicho.

Jeszcze przez chwilę Aurelian trzymał go za ubranie, a potem w jego zaciętej twarzy pojawiło się pęknięcie uśmiechu.

– Wreszcie choć trochę pokory – rzekł, puszczając go. – Może jest dla was jakaś nadzieja, chłopcy. – Odwrócił się i skinieniem podziękował Dusaule'owi, który ponownie zajął miejsce obok Dwimervane. Pokuśtykał do leżącego na piasku miecza i starł z niego kurz, nim schował go w pochwie.

Wciąż roztrzęsiony Meredith podszedł do podnoszącego się Falka. Z racji wieku obu uważano już za mężczyzn, ale tutaj, w Moździerz, czuli się jak wystraszeni chłopcy.

Aurelian podszedł do schodów, gdzie dźwignęli się z miejsc Dusaule i Dwimervane.

– Jutro o tej samej porze – powiedział, mijając Falka i Mereditha. – I może tym razem się przygotujcie.

Z tymi słowami zachęty mag bitewny opuścił arenę, a smok i Dusaule ruszyli za nim.

Falko i Meredith odprowadzili ich wzrokiem za krawędź Moździerza. Popatrzyli po sobie niespokojnie, jakby zaczęli rozumieć, w co się wpakowali.

– Nie musisz... – zaczął Falko, ale Meredith uciszył go uniesioną dłonią.

– To dziwne uczucie, które pojawiło się u ciebie, gdy Aurelian przywołał kulę ognia...

– To nic – rzekł Falko. – To tylko nerwy. Czuję to samo, gdy słyszę muzykę lub opowieść, która mnie porusza. Gęsia skórka, ot i tyle.

– Nie – rzekł Meredith z pewnością w głosie. – Ten błysk. Ten przyływ energii. Od tego zaczniemy.

Falko nie wiedział, co na to powiedzieć. Meredith skłonił się i ruszył do wyjścia z areny, po czym skierował się do wieży magów. Falko stał oszołomiony wszystkim, co się wydarzyło. Ręce bolały go po blokowaniu ciosów Aureliana, nogi miał jak z waty. Ostatni raz powiódł wzrokiem po wielkiej arenie, a potem sam również zaczął wchodzić po schodach. Ruszył ścieżką w kierunku akademii. Wciąż było wcześniej i zastanawiał się, czy nie powinien wracać na pole treningowe, ale był wykończony i musiał pomyśleć o tym, co powiedział mu Meredith.

„Ten błysk. Ten przyływ energii. Od tego zaczniemy”.

Falko znał uczucie, o którym mówił Meredith, to mrowienie gdzieś za oczami, które spływało w dół ciała; maleńka śmierć, która podnosiła mu włoski na rękach i przynosiła wrażenie oczyszczenia.

Przystanął na zboczu, skąd widział przed sobą Akademię Sztuki Wojennej. Zamknął oczy i zmarszczył brwi, chcąc przywołać to uczucie.

Czy to naprawdę może być ziarno, z którego wykiełkuje jego moc?

Otworzył oczy i spojrzał na swoje mrowiące ręce, jakby widział je

pierwszy raz w życiu. Tak, pomyślał. Może.

W całym stworzeniu



Dzień potoczył się dalej, a Falko zaczynał nabierać przekonania, że miejsce w Akademii było nie tyle nagrodą, ile bardzo bolesną karą. Wciąż przegrywał każdy sparing, do którego stanął, a serie ćwiczeń na wytrzymałość, które instruktorzy nazywali kondycyjnymi, przyprawiały go o drżenie i mdłości. A to zaczęło się, jeszcze zanim wszedł do Moździerza z Aurelianem, gdzie weteran rzucał nim od ściany do ściany, aż Falko mdlał z wyczerpania i był obolały od stóp do głów. Jednak notował postępy. Może sobie tego nie uświadamiał, ale powoli zbliżał się do reszty wytrenowanych lepiej od niego kadetów. Zaczynał też rozpoznawać wrażenia w swojej głowie, które były tak czytelne dla Mereditha.

– O, właśnie! – powiedział jego przewodnik pewnego popołudnia w Moździerzu, gdy Falko usiłował odeprzeć grot włóczni, który Aurelian przyciskał do jego piersi. – Teraz skup się na ostrzu, spróbuj je odepchnąć.

Było chłodne, ponure popołudnie, w powietrzu ćmiła zapowiedź śniegu. Trenowali od jakichś dwóch godzin, gdy Meredith zasugerował, że powinni sprawdzić, czy Falko zdoła „wzmocnić” swoje ciało przed stałym naciskiem na jeden jego punkt.

– To może być łatwiejsze od próby osłonięcia się przed latającym zwirem – skomentował.

Aurelian nie wydawał się przekonany, ale posłusznie dotknął go końcem włóczni. Przyniósł ją, by sprawdzić, czy Falko zdoła ją odbić mocą umysłu, ale Meredith obawiał się, że chłopak nie jest gotowy na ten sprawdzian.

Weteran stał więc z wciśniętą pod pachę włócznią, której koniec opierał się boleśnie o pierś ucznia.

Falko zamknął oczy i skoncentrował się, pewien, że niedługo ostry grot wbije się w jego ciało. Nie widział, jak Aurelian zaciska szczęki, napierając na niego coraz mocniej i ślizgając się na żwirze.

Meredith czuł zadowolenie, widząc, jak moc Falka zaczyna się wreszcie ujawniać.

– Aj! – krzyknął chłopak, wykręcając się spod włóczni, gdy poczuł, że grot przenika przez koszulę i nacina mu skórę ramienia. – Nie dam rady. Nie umiem.

Aurelian zaklął i poleciał do przodu, ale zaraz odzyskał równowagę.

Falko usunął się z jego drogi i przyłożył rękę do krwawiącego ramienia. Nie rozumiał satysfakcji malującej się na twarzy przewodnika. Z kolei Aurelian gromił Falka wzrokiem, jakby był najgorszym ze wszystkich uczniów, jakich miał nieszczęście szkolić.

– Rzuć okiem na jego ramię, Nicolasiu – powiedział do Dusaule'a, idąc w kierunku schodów. – Zrobiłbym to sam, ale chyba nie oparłbym się pokusie, żeby trochę go potarmosić. – Trzęsąc w niedowierzaniu głową, pomasażował kikut ramienia, jakby doskwierało mu zimno. – To jakiś cud, że ten chłopak przeżył tak długo!

Dusaule podniósł się z miejsca z nikłym uśmiechem na twarzy i zaczął płynnie schodzić po schodach.

Nie rozumiejąc poirytowania Aureliana, Falko pozwolił się odprowadzić na bok, gdzie Dusaule odsłonił ranę i wytarł ją kawałkiem szmatki, a potem przyłożył do niej rękę. Falko syknął, a potem westchnął, gdy intensywne mrowienie przebiegło po rozcięciu i otoczyło ramię głębokim wrażeniem ciepła. Ból przeszedł jak ręką odjął, a Falko przypomniał sobie lecznicze zabiegi Symeona. Gdy Dusaule odjął rękę, z ranki przestała sączyć się krew. Właściwie to wyglądała, jakby już zaczynała się goić.

– Dziękuję – rzekł Falko, ruszając ostrożnie ramieniem.

Dusaule skłonił się i kiwnął lekko głową do Aureliana, a potem wrócił na trybunę kilka stopni ponad poziomem areny. Ale nastrój Aureliana wcale się nie polepszył. Siedział sam i mamrotał coś pod nosem, dopóki Dwimervane nie podeszła do niego, powłócząc łapami, i nie usiadła obok.

– Pierwszy raz spotykam kogoś, kto nie ma bladego pojęcia o własnym

potencjale – powiedział cicho Aurelian, gdy siedzieli sami.

Smoczyca obróciła rogatą głowę, by spojrzeć mu w oczy, a Aurelian poprawił się na trybunie, jakby nagle poczuł wyrzuty sumienia.

– Wiem, wiem. To nie jego wina – zrejterował w końcu. – To po prostu cholernie frustrujące, i tyle.

Głowa Dwimervane na moment spoczęła na jego ramieniu. Smoczyca uważała, by nie poszarpać ubrania zakrzywionymi, długimi na stopę rogami. A potem zaczęła sztywnym krokiem schodzić po schodach, zahaczając Aureliana skrzydłem w tył głowy. Mag zaklął cicho, a Dusaule się uśmiechnął. To nie było przypadkowe.

Falko patrzył na idące w jego kierunku stworzenie, podziwiał grę światła na jego niebieskich łuskach, połyskujących w przygaszonym blasku słońca. Z jakiegoś powodu smoczyca nie mogła wyprostować się na całą wysokość i szła przygarbiona, wyraźnie utykając, tak jak sam Aurelian. Jej skrzydła były zdeformowane i zwiędłe, obkurczone przez poparzenia, pokryte lśniącymi plamami tkanki bliznowatej. Łuski po prawej stronie ciała wydawały się nadtopione i zrośnięte. Falko podejrzewał, że to właśnie źle zabliźniona tkanka krępuje jej ruchy. Mimo to Dwimervane miała ramię na wysokości czterech stóp, a jej wielka niebieska głowa wznosiła się wysoko nad Falkiem.

Popatrzyła na niego z góry zaciekawionym, intensywnym spojrzeniem, jakby chciała zgłębić jego serce. Jej żółte, kojarzące się z drzemiącym płomieniem oczy prześlizgnęły się po poparzonej szyi Falka. Unosząc przednią nogę, odsunęła kołnierz koszuli ostrym adamantytowym szponem. Smoczyca obejrzała rany Falka i wróciła spojrzeniem do jego twarzy, a chłopak wyczytał niewypowiedziane pytanie w jej oczach: „Czy to naprawdę zrobił smok?”

Falko pochylił głowę w przyływie poczucia winy. Wiedział, że prawda tylko zasmuci smoczycę.

Po chwili jednak Dwimervane opuściła głowę i tak jak żółty smok w Toulwarze przyłożyła czoło do jego czoła. Falko zamknął oczy i raz jeszcze ogarnęło go uczucie całkowitego zaufania, zmaconego jedynie krążącymi po jego głowie pytaniami, na które nie miał odpowiedzi.

Powoli Dwimervane odjęła głowę i rzuciwszy Falkowi ostatnie badawcze spojrzenie, zbliżyła się do Meredith, który cofnął się przed bestią o dwa

kroki. Wreszcie zatrzymał się i pozwolił smoczycy, by mu się przyjrzała. Jej wzrok sięgnął głęboko w jego duszę. A potem Dwimervane raz jeszcze pochyliła głowę.

Kątem oka Falko zauważył, że Aurelian łypnął z ukosa na Dusaule'a. Najwidoczniej nigdy nie zaobserwował u smoczycy podobnego zachowania wobec magów.

– Przyłóż czoło do jej czoła – poradził mu Falko. – One tak się witają.

Nie miał pojęcia, skąd to wie, ale nie miał cienia wątpliwości, że tak właśnie jest.

Wyraźnie zaniepokojony Meredith powoli pochylił głowę, aż chłodna skóra jego czoła zetknęła się z ciepłymi łuskami smoczycy. Falko widział, że ciało ma spięte, ale po chwili Meredith wypuścił z płuc długie, tchnące spokojem westchnienie. Smok odsunął głowę i Falka wcale nie zdziwiły łzy w oczach maga. On sam wydawał się zażenowany, lecz Falko pokrzepił go skinieniem. Dobrze pamiętał to wszechogarniające uczucie, gdy człowiek pierwszy raz staje oko w oko ze smokiem.

– No dobra – rzekł Aurelian, wstając. – Skoro już zostaliście sobie należycie przedstawieni, pogadajmy chwilę o smokach. – Podszedł do smoczycy i położył jej rękę na grzbiecie. – Spotkaliście już kiedyś smoka? Tamten przywołany się nie liczy – dodał prędko.

Meredith pokręcił głową.

– Ja spotkałem smocycę Dominica Ginoli w Toulwarze – powiedział Falko.

– I co myślisz?

– Jest piękna.

Aurelian się uśmiechnął.

– Tak – przyznał. – Jest.

Dwimervane popatrzyła na nich, zupełnie zadowolona, że jest w centrum uwagi.

– Czy wszystkie smoki są płci żeńskiej? – zainteresował się Meredith.

– Nie – odpowiedział Aurelian. – Wiele tak, ale ich płć nie ma znaczenia. Wszystkie walczą jak szatany.

Falko raz jeszcze doznał przyjemnego uczucia transu. Nie zważał na rany Dwimervane. Widział tylko jej piękno. Wiotką szyję, zabójczy kolec na końcu ogona, pancerne łuski na piersi i ramionach, i te mniejsze wokół

oczu. Jej szpony miały długość palców, a jej białe zęby lśniły jak polerowany metal.

– Czy to prawda, że ich łuski są twardsze od stali? – spytał.

– Tak – potwierdził Aurelian. – Ale też spowija je coś na kształt czaru wzmacniającego. Bardzo trudno zranić smoka u szczytu potęgi, ale gdy są wyczerpane lub przestraszone, stają się bardziej podatne na rany. W porządku, możesz jej dotknąć – dodał, widząc, jak wyciągnięta przez Falka ręka zastygła w powietrzu.

Gdy dłoń chłopca zetknęła się z łuskami na ramieniu smoczy, Falko poczuł na skórze ciepło, jakby dotknął schładzającego się dopiero obrobionego metalu. Przez środek każdej łuski biegło małe wgłębienie, a krawędzie były niemalże ostre. Gdy przycisnął dłoń, łuski się poruszyły.

– Dosiądź jej – powiedział Aurelian. – Nie martw się, nie gryzie – dodał z uśmiechem, widząc wahanie na twarzy Falka.

Poinstruowany przez Aureliana, oparł nogę na ramieniu Dwimervane.

– Drugą po prostu przerzucić, jakbyś dosiadał konia.

– Myślałem, że używacie siodeł – powiedział Meredith, wciąż na wszelki wypadek oddzielony od smoczy kilkanaście krokami.

– Bo używamy – potwierdził Aurelian. – Choć jest to raczej rodzaj uprzęży. Ale można też jeździć bez siodła. Popatrz...

Gdy Falko usadowił się na smoczym grzbiecie, poczuł, że łuski pod nim się poruszają, jakby dostosowywały się do kształtu jego ciała. Mało tego, ujmowały go delikatnie, jakby chciały uchronić go przed upadkiem.

– Zaufaj mi – rzekł Aurelian. – Gdy pierwszy raz zapikujesz na atakującym smoku, to poczucie, że jesteś wczepiony w grzbiet, będzie jedyną rzeczą, dzięki której nie wypełnisz własnych portek.

– Więc po co wam jeszcze uprzęż? – spytał Meredith.

– To nie działa zbyt dobrze, gdy masz na sobie pancerz – wyjaśnił Aurelian.

Dwimervane obejrzała się na Falka, jakby chciała się upewnić, że siedzi bezpiecznie, a potem wspięła się na tylne nogi i zamachała zniekształconymi skrzydłami.

Serce podskoczyło Falkowi do gardła. Uczucie drzemiącej pod nim mocy musiało być o wiele bardziej intensywne niż choćby na największym bojowym rumaku. Falko nie doznał jeszcze niczego podobnego, choć jakieś

nienazwane wrażenie zaczęło toczyć jego pamięć, niejasne déjà vu, sugerujące, że to się już kiedyś wydarzyło. Ale uczucie zaraz się rozwiało, gdy Dwimervane wspięła się na całą wysokość i wydała z siebie ryk, który całkowicie przeczył jej wyniszczonemu ciału. A później z jej paszczy buchnął ogień i rozbił się na kamiennych stopniach, a echo potoczyło się po Moździerzcu i wypełniło go drzeniem.

Meredith odskoczył i zachwiał się w tył, unosząc ramiona w geście obronnym, ale Aurelian tylko się zaśmiał.

– Tęskni za bitwą – objaśnił z dumą w głosie. Podszedł do smoczyca od przodu i położył sobie jej głowę na ramieniu. – Popisujesz się, co, staruszek?

Smoczyca trąciła go pyskiem, aż zachwiał się na nogach, ale to tylko wzbudziło w nim kolejną salwę śmiechu.

– Jak one to robią? – zaciekawiał się Meredith, powoli zapanowując nad swoim zdumieniem. Pokaz Dwimervane przywołał wciąż zbyt wyraźne wspomnienie czarnego smoka w Wichrowej Twierdzy. – Jak to się dzieje, że akurat one są zdolne stanąć przeciwko demonowi, gdy wszystkie inne zwierzęta uciekają w przerażeniu?

Aurelian spojrział na niego, a Falko zląkł ze smoczego grzbietu.

– Wszystko sprowadza się do duszy – odpowiedział weteran. Przeskoczył wzrokiem do Dusaule'a, łypnął na Dwimervane, a potem dobył miecza i stanął przed Falkiem i Meredithem. – Istnieją tylko trzy rzeczy obdarzone duszą: człowiek, smok i miecz maga bitewnego.

Pokazał im ostrze.

– To właśnie siła duszy pozwala smokom rzucić wyzwanie wielkiemu złu, duszy wykutej w ogniu lub zmienionej koszmarami dziecka. Nikt nie wie, jakim sposobem smoki opierają się strachowi, ale coś przygotowało je do walki z demonami piekieł, a możecie być pewni, że to niełatwe.

Stary mag bitewny raz jeszcze ogarnął wzrokiem Dwimervane, a smoczyca odwzajemniła jego spojrzenie, jakby rozumiała wypowiedziane przez niego słowa.

– Smoki to nasi bracia i siostry, nasze zbawienie i nasza nadzieja. Bez nich jesteśmy zgubieni.

Falko dosłyszał w głosie Aureliana prawdę, miłość i smutek. Pochwycił wzrokiem spoglądającego na niego Dusaule'a. Przystojna twarz mężczyzny

była nadszarpnięta poczuciem winy i smutkiem.

Nasze zbawienie i nasza nadzieja, pomyślał Falko, odwzajemniając spojrzenie Dusaule'a. A ciebie zmuszono, żebyś jednego zabił.

– Ale wszystkiego tego nauczysz się w swoim czasie – powiedział Aurelian, mrugając, jakby coś wpadło mu do oka. – To znaczy jeśli w ogóle zdołasz się czegoś nauczyć – dorzucił z cieniem niedawnej irytacji.

– Kto wykuł twój miecz? – spytał Meredith.

Czytając o magach bitewnych, dowiedział się, że ich miecze wykonywane są przez najzdolniejszych zbrojmistrzów, ale wykuwa się je nie w ogniu kuźni, lecz w ogniu wyczarowanym przez samego maga bitewnego.

– Ta sama osoba, która wykuła je wszystkie na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat – rzekł Aurelian. – Antonio Missaglias. Zwróć uwagę, że gdy wykuł ten, sam był jeszcze prawie nowicjuszem.

Raz jeszcze podniósł miecz, by chłopcy mogli mu się bliżej przyjrzeć. Całe ostrze pokryte było pięknym wzorem, przywodzącym na myśl spływającą kaskadę wody. Wzór zwano węzami w mieczu i był to efekt bardzo trudny do osiągnięcia nawet na zwykłej broni, a co dopiero na magicznym mieczu takim jak ten.

– Zawsze był rozwinięty ponad miarę, drań jeden. Niektórzy nawet mówią o nim „geniusz”. Nie kłamią. Moje przywoływanie zawsze było nieco chaotyczne, że tak powiem. Aż dziwne, że metal po prostu nie eksplodował.

– Nie rozumiem – odezwał się Falko.

– Mag bitewny za pomocą swojej magii rozgrzewa go do temperatury nieosiągalnej w zwykłym palenisku – rzekł Meredith. – Ale musi też kontrolować przyrost temperatury, bo w przeciwnym razie zniszczy miecz. Tylko w ten sposób można wyprodukować ostrze zdolne wytrzymać siły, które przez nie przepuszcza mag bitewny. Zwykle ostrze uległoby zniszczeniu.

Falko kiwnął głową.

– Nam pomogło to, że znamy się, od kiedy byliśmy szczeniakami, takimi jak wy teraz – powiedział Aurelian. – Pomogłem mu odczytać metal i dopasować osobowość broni do kaprysów mojej mocy.

Falko był zaintrygowany. Weteran opowiadał o swoim mieczu, jakby to była żywa osoba. Sięgnął ręką, by go dotknąć, a gdy to nastąpiło, wysoka, dźwięczna nuta zadźwięczała w jego umyśle, jakby miecz śpiewał.

Zaskoczony zabrał rękę.

– Ha! – wykrzyknął Aurelian. – Nawet mój miecz wie, że jesteś magiem bitewnym. – Szturchnął Falka, uśmiechając się z nieoczekiwaną serdecznością. – No, popracujemy jeszcze trochę nad nogami, a potem kończymy na dzisiaj.

Meredith usiadł na najniższym stopniu z boku areny, by popatrzeć. Falko przeszedł daleką drogę, odkąd był schorowanym sługą w Caer Dour. I nawet jeśli sam nie zdaje sobie z tego sprawy, Meredith wyczuwał rosnącą w nim moc. A co więcej, rzuciło mu się na myśl, gdy obserwował sparing między weteranem a nowicjuszem, Falko zaczynał w końcu wyglądać jak wojownik.

Gdy nauczyciel i uczeń wymieniali ciosy, spojrzenie Mereditha samo z siebie powędrowało tam, skąd krytycznym okiem przyglądała się lekcji Dwimervane. Poznał smoka. Pierwszy raz doświadczył czegoś takiego. Było to przytłaczające i wszechogarniające doznanie, uczące pokory i jakże odmienne od ślepego strachu, które ogarnęło go w obecności czarnego smoka.

Jego studia w wieży dobrze się rozpoczęły i znalazł też czas, by dowiedzieć się nieco o szkoleniu magów bitewnych. Ale dzisiejszej nocy, pomyślał, gdy Akademia Sztuki Wojennej będzie pogrążona we śnie, on odwiedzi piątą komnatę repozytorium, gdzie są przechowywane archiwa dotyczące smokoznawstwa. Bo gdzieś tam musi znajdować się odpowiedź na pytanie, dlaczego czarne smoki są szalone.

Urwipolcie, „druga skóra” i épreuve du force



Nie tylko Meredith dostrzegł zmiany w Falku. Inni kadeci także zaczęli je zauważać. Po trzydziestu dniach treningu Falko niemal dogonił jednego z nich podczas porannej przebieżki do Palca. Przysadzisty Acheronczyk był raczej z tych grubokościstych i zwykle zamykał grupę, ale gdy na ostatniej prostej do namiotu dojrzał za sobą Falka, przyspieszył gwałtownie, by nie dać się pokonać. Falko spędził całe śniadanie, wymiotując z pustego żołądka, ale twarze towarzyszy mówiły wszystko.

Chuderlawy Valencjanin zaczynał być siłą, z którą będzie trzeba się odtąd liczyć.

Wciąż był najslabszym ogniwnem grupy i miał więcej siniaków i ran niż pozostali razem wzięci, ale był wytrwały i nigdy się nie zrażał. Pomimo ciągłego lania, jakie obrywał na poligonie, każdego dnia zdawał się prostować nieco bardziej, sięgać głową nieco wyżej. Mocniej ścisnął miecz i przyjmował poprawną pozycję, nie jak ktoś, kto uczy się walki, lecz jak ktoś, kto przypominał sobie, że może walczyć.

Minęło blisko pięć tygodni od rozpoczęcia treningu i kadeci zaczęli zastanawiać się nad tym, kiedy wrócą kandydaci na rycerzy.

– Épreuve du force trwa zwykle cztery tygodnie – powiedział Alex, gdy pewnego dnia wstali z łóżek. – Powinni wrócić lada dzień.

Alex i Bryna szczególnie nie mogli się doczekać powrotu przyszłych rycerzy. Przez te kilka tygodni jedynie czasem chwyтали ich wzrokiem, biegających po górach lub wykonujących wyczerpujące ćwiczenia

odpornościowe na wyżej położonych obszarach poligonu, podczas gdy reszta kadetów wracała już do baraków na obiad. Jeden z kucharzy zdradził uczniom, że widział ich kilka mil dalej na brzegu. Podobno mocowali się z wozami pełnymi kamieniami, ciągnąc je po błotnistej ziemi.

– Byli mokrzy, zziębnięci i potwornie zmęczeni – brzmiał sugestywny opis.

Ostatnio kadeci mieli okazję zobaczyć przyszłych rycerzy cztery noce temu, gdy zajechali do stajni na zmordowanych koniach. Sami uczniowie wyglądali na równie zmęczonych, ale nie dano im ani chwili na odpoczynek. Świeże konie już na nich czekały i gdy tylko przeniesiono siodła z jednych na drugie, kadeci ruszyli z powrotem w ciemniejącą noc. Malaki mignął tylko Falkowi, ale widać było dokładnie, że jego lewe przedramię jest owinięte zakrwawionym bandażem.

Martwili się więc o przyjaciół, choć nie był to jedyny wiszący nad Alexem i Bryną frasunek. Któregoś ranka powiadomiono ich, że dokonano już pierwszej oceny kadetów i właśnie tego dnia przyszli oficerowie mieli dowiedzieć się, nad którymi jednostkami obejmą dowodzenie. Niektóre z nich miały być regularnymi oddziałami wojskowymi, gotowymi do powrotu na front, a pozostałe – niewytrenowanymi grupami Nieregularnych, stacjonującymi w Furii.

– Mam nadzieję, że dostanę piechotę – rzekł Alex, zdejmując buty.

Falko jęknął, również sięgając do swoich.

– Wszystko w porządku? – spytała Bryna.

– Tak, nic mi nie jest. – Czuł się nieco poobijany i zeszywniały z rana, ale jak już się rozrusza, będzie mu lżej. – A ty, Bryno? Kogo byś chciała dostać?

– Bez różnicy – odparła. – Byle nie początkujących.

– A to czemu? – dociekał Alex.

– Powinieneś zobaczyć, czego mamy ich nauczyć – odparła Bryna, gdy wychodzili z baraków i kierowali się na poligon. – Nie tylko szacowania odległości i salw naprzemiennych. Istnieje manewr zwany „suivez”. To oznacza „podążać” – dodała na widok ich pustych spojrzeń. – Jest „suivez cinq” i „suivez dix”, czyli kolejno „pięć” i „dziesięć”. Korzysta się z niego przeciw znanemu skracającym odległość ciężkozbrojnym oddziałom.

Falko i Alex wciąż nie umieli sobie tego wyobrazić.

– Chodzi o to, że trzeba pracować w grupach pięciu lub dziesięciu żołnierzy z określonym „punktem”. Ten punkt wybiera cel, a reszta grupy musi trafić w ten cel w tym samym czasie.

– To brzmi jak przepis na katastrofę – rzekł Alex.

– Bo tak jest – odparła Bryna. – Próbowaliśmy tego niedawno i prawie odstrzeliłam Allysterowi ucho.

Falko i Alex roześmiali się.

– Ja nie żartuję! – krzyknęła rozpaczliwie Bryna. – Wszędzie było pełno krwi i w ogóle!

Weszli do namiotu przy polu treningowym, w którym wrzało jak w ulu. Mała grupka kadetów zgromadziła się wokół Jarega, stojącego przy ostatnim stole z bronią.

– Nie zazdroszczę jednostce, którą on będzie dowodził – wybełkotał Alex, przygotowując się na codzienny bieg do Palca. – On nikogo nie słucha.

Falko rzucił okiem na Jarega, który tryskał przesadnym entuzjazmem. Najwidoczniej on też denerwował się dzisiejszym ćwiczeniem dowódczym.

Niebo na wschodzie zaczęło się z wolna rozjaśniać, gdy ruszyli w kierunku Palca, ale Falko postanowił biec spokojnie. Chciał zachować nieco sił na sparingi. Zdecydował, że dzisiaj zaliczy jedno celne trafienie. Ale nawet nie przemęczając się, wrócił do namiotu, gdy reszta kadetów była w połowie śniadania. Siadł obok Bryny i Alexa, zjadł swoją porcję chleba, boczku i jajek, a potem we trójkę opuścili namiot i zajęli miejsca na ławach.

– Dzisiaj w południe ogłosimy przydział jednostek – oznajmił emisariusz.
– Ale w międzyczasie – podjął głośniejszym głosem, by przekrzyczeć szepty – spróbujemy czegoś zupełnie nowego.

Na pustych stołach kawałek dalej asystenci rozkładali właśnie ciężkie skórzane pancerze.

– Dzisiejsze sparingi będą szybkie i o wiele bardziej kontaktowe.

Kadeci wymienili nerwowe spojrzenia. Ci bardziej pewni siebie wydawali się podekscytowani nowym wyzwaniem, ale Falko opuścił głowę, zdając się na wolę nieba. Emisariusz wziął ze stołu parę masywnych naramienników i hełm. Przypominały te, których używali na co dzień, ale były większe i miały więcej wypełnienia amortyzującego.

– Skóra została wygotowana, co czyni ją twardszą – rzekł, stukając

palcami o nieplastyczną powierzchnię. – W dodatku maska hełmu również jest pokryta warstwą sztywnej skóry. Nie przejdzie przez nią nawet czubek miecza.

Obrócił hełm w palcach, by kadeci mogli dobrze przyjrzeć się jego przedniej części, a potem wybrał z tłumu jedną osobę. Asystenci błyskawicznie ubrali ją w pancerz.

– W większości szkół walki ten trening nazywa się po prostu walką w ciężkim pancerzu – mówił dalej emisariusz. – Ale my tę zbroję nazywamy „drugą skórą”.

Kadeci zaśmiali się, a młodzieniec na przedzie zatoczył koła rękami, by pokazać, że ma zupełną swobodę ruchu.

– Do tego ćwiczenia będziemy używać drewnianych mieczy. Nie obawiajcie się, pancerz jest tak pomyślany, żeby całkowicie was chronić.

Chevalier zilustrował to, trafiając kadeta w ramię i nie wyrządzając mu najmniejszej krzywdy.

Każdy z uczniów otrzymał pełny zestaw i zaczęła się rozgrzewka.

Kadeci dostali nieco czasu, by przyzwyczaić się do poruszania w nowym pancerzu. Choć wciąż było chłodno, Falko szybko zaczął się pocić. Zdjął karwasze i hełm, gdy pierwsza para sparingowa została wybrana w tradycyjny sposób – poprzez losowanie tabliczek z imionami.

Bardzo ciekawie się oglądało te pojedynki. Były dynamiczne i nie trzeba było się krygować przed pełną siłą ciosu. Różniły się od kontrolowanych potyczek, które uskutecznił do dzisiaj. Kadeci aż syczeli, patrząc, jak dwóch wojowników pierze się nawzajem na kwaśne jabłko. Nawet w „drugiej skórze” wciąż zebrali całe mnóstwo siniaków i obaj zaliczyli obfite krwawienie z nosa.

Serce Falka zabiło szybciej. W worku było coraz mniej imion, ale jego jak dotąd nie padło. Bryna siedziała obok niego z rudymi włosami przyklepionymi do twarzy i dumą jaśniejącą w oczach. Świetnie poradziła sobie z o wiele większym przeciwnikiem.

– Falko Danté – ogłosił lanista Deloix, podnosząc małą tabliczkę. – I Jareg Snidesson.

Po tłumie przemknęły szepty. Ci dwaj natrafili na siebie po raz pierwszy. Wielu kadetów śmiało się, kilku poklepało Jarega po opancerzonym ramieniu, gdy zakładał hełm i wychodził naprzód.

– Skop mu dupę – szepnął Alex, gdy Falko zakładał swój hełm.

Wsunął rękawice, założył tarczę i złapał za obciążony drewniany miecz.

Bryna posłała Falkowi uśmiech i wojownicze spojrzenie. Gdy przyjaciel szedł na spotkanie Jarega, nagle zwróciła uwagę na to, że Falko jakby urósł. Przygarbiony słabeusz z Caer Dour zniknął, a w jego miejsce pojawił się kadet Akademii Sztuki Wojennej.

Falko szedł, licząc na jedno czyste trafienie, ale miał świadomość, że Jareg nie przepuści okazji, by mu dokopać. Gdy instruktorzy dali znak do rozpoczęcia walki, szlachcic od razu ruszył naprzód, wyciągając przed siebie tarczę i zmuszając Falka do cofnięcia się. Jareg dołożył do szarzy sekwencję silnych ciosów wymierzonych w głowę i szyję przeciwnika. Falko jakoś zdołał je sparować i nawet poważił się wyprowadzić cios w wysuniętą do przodu nogę Jarega, zanim ten chlasnął go mieczem w tylną część uda. Falko sklął się w myślach za to, że pozwolił przeciwnikowi przemknąć się pod gardą, i potrząsnął nogą, by odpędzić pulsujący ból. W „drugiej skórze” może i był chroniony przed poważnymi uszkodzeniami, ale taki cios potrafił sprawić ból.

Jareg cofnął się, gdy instruktorzy policzyli mu punkt, i dwaj kadeci przyjęli pozycje bojowe.

Pojedynek wygrywał ten, kto pierwszy zdobył pięć punktów. Wyglądało na to, że Jareg chce zakończyć starcie jak najszybciej. Ale gdy zaszarżował ponownie, Falko był gotów. Odskoczył zwinnie na bok, zmuszając przeciwnika do błyskawicznego i niezręcznego okręcenia się na pięcie, jeśli ten nie chciał zarobić ciosu w plecy. Gdy się obracał, wykorzystał całą siłę i zamachnął się na odlew, celując w głowę Falka, ale cios odbił się od tarczy i Jareg spudłował o pół cala.

– Ooo! – zawyli kadeci, gdy Jareg potrzebował chwili, by odzyskać kontenans.

Falko, nie tracąc czasu, zaprezentował sekwencję ciosów, ale Jareg odbił wszystkie z łatwością, a następnie opadł nisko na ugiętych kolanach i rzucił się na Falka przy samej ziemi, tak że ten nie zdążył opuścić tarczy.

– Punkt! – zawołał lanista Magnus, gdy mocny cios ześlizgnął się po napierśniku i trafił Falka w kość udową.

Nie zważając na ból, kadet przyjął pozycję bojową.

Gdy rozpoczęła się kolejna runda, Jareg zamarkował niski sztych,

a potem uderzył od góry, omijając podniesioną tarczę przeciwnika. Ale Falko, zamiast się cofnąć, przyskoczył do Jarega i sparował cięcie nad głową, po czym wbił mu miecz w pierś.

– Punkt! – zawołał lanista Magnus.

Śledzący walkę kadeci zachłysnęli się powietrzem.

– Dajesz go! – wrzasnął podekscytowany Alex.

Jareg skrył twarz za maską hełmu, ale wszyscy widzieli, że był wściekły. Jego opuszczona głowa i przygarbione ramiona nie były wyrazem pokory, ale znamionowały zemstę.

Nie przebrzmiał jeszcze sygnał rozpoczęcia kolejnej rundy, gdy dał nura naprzód. Falko uniósł nogę, by uniknąć sunącego nisko nad ziemią miecza, a potem zwinął się błyskawicznie i złapał na tarczę dwa prędkie ciosy. Odczytał pierwszy zwód Jarega, ale za drugim kryły się jeszcze dwa potężne pchnięcia. Falko jednak wydawał się powoli rozpracowywać przeciwnika i uniknąwszy kilku kolejnych cięć i sztychów, zaczął dostrzegać frustrację w ruchach Jarega.

Zawirował raz jeszcze na nogach i prawie zapunktował, ale Jareg w porę sam się obrócił i teraz to Falko musiał dać nura pod rozpędzonym mieczem. Poświęcił mu zbyt wiele uwagi i nie zauważył tarczy Jarega. Jej krawędź wbiła się boleśnie w bok głowy Falka, strącając hełm. Atak powalił go na kolana. Kątem oka zobaczył, że lanista Magnus wybiega naprzód z uniesionymi ramionami, by zakończyć walkę, ale było za późno. Miecz Jarega już pędził w kierunku gołej głowy Falka i wszyscy na trybunach zrozumieli, że jego czaszka zaraz pęknie na dwoje. Nie było czasu, by zasłonić się mieczem ani skryć za uniesioną tarczą.

Ale to nie oznaczało, że Falko nie miał dość czasu, by go zatrzymać.

W okamgnieniu skupił energię w swoim umyśle. Rozległ się trzask, jakby gdzieś zagrzmiał piorun, i nagle miecz Jarega rozprysnął się w chmurze drzazg. Drewniane drobinki spadły na głowę i ramiona Falka, podczas gdy Jareg zatoczył się w tył, nie wiedząc, co się dzieje. W panice sam zdjął hełm i wlepił wzrok w rywala, jakby ten był jakimś potworem. Ale Falko nie był potworem. Był magiem bitewnym, a jego moc wreszcie zaczynała się budzić.

Kadeci mogli tylko patrzeć na niego wybałuszonymi oczami i nawet instruktorzy byli zszokowani. Jedynie emisariusz wydawał się spokojny,

kiedy wchodził między Falka i Jarega. Położył Snidessonowi rękę na ramieniu i spojrzał na niego uważnie, by się upewnić, że nie jest ranny, ale ten strącił ją i odtoczył się na bok.

Emisariusz zwrócił się w stronę Falka.

– Już dobrze – powiedział, wyciągając rękę, by pomóc mu wstać. – Nikt nie jest ranny. Wszystko w porządku.

Falko drżał, dźwigając się wolno na nogi. W jego jasnozielonych oczach widniało niedowierzanie i strach.

– Ja tylko zatrzymałem miecz – tłumaczył. – Chciałem go tylko zatrzymać.

– I to właśnie zrobiłeś – powiedział emisariusz. Widział łzy nabiegające Falkowi do oczu i nagle pojął, skąd u niego to roztrzęsienie.

– Nie będę jak mój ojciec – wydusił Falko niskim głosem. – Nie będę zabijał.

Emisariusz osadził mu rękę na ramieniu.

– Jasne, że nie – rzekł, choć nie był najlepszą osobą, by dawać mu podobne gwarancje.

Falko wypuścił z płuc rozedrgane tchnienie. Bryna i Alex wyrośli jak spod ziemi.

– Nic mu nie jest?

– Wszystko gra – odparł emisariusz, pokrzepiając Falka uśmiechem. – Aurelian czekał na coś w tym stylu. Chodźmy – powiedział, kierując młodego kadeta w stronę namiotu. – Zjemy coś, a potem ogłosimy przydziały.

Bryna i Alex odprowadzili Falka do namiotu, a emisariusz poszedł rozmówić się z pozostałymi instruktorami. Przyjaciele posadzili go na ławie i pomogli wyłuskać się ze sztywnego skórzanego pancerza.

– Dzięki – wykrztusił Falko, gdy podali mu kubek wody. Sącząc zimny płyn, podążył wzrokiem do kadetów zgromadzonych po przeciwnej stronie namiotu. Rozmawiali przyciszonymi głosami i posyłali mu nerwowe spojrzenia.

– Boją się – zrozumiał Falko.

Bryna tylko pokiwała głową. Alex wydawał się zdenerwowany bardziej niż tylko trochę, gdy przywoływał na twarz niefrasobliwy uśmiech.

– Słowo daję, Jareg prawie się zesrał – powiedział.

Napięcie zeszło z nich momentalnie i zaczęli się śmiać.

Zobaczyli, że Owen, Allyster i kilku innych Valencjan odłączyło się od grupy i szło teraz do miejsca, w którym siedział Falko. Przez moment tylko stali w kupie, jakby zapomnieli, po co przyszli.

– Wiedzieliśmy, że to zrobisz – rzekł w końcu Owen w imieniu grupy. – Od bitwy w górach... Po prostu wiedzieliśmy.

Falko dopadły raptowne i silne emocje. Kiwnął głową na znak wdzięczności.

– To było niezłe uderzenie – pochwalił go Owen, gdy zaczęli wracać do pozostałych. – To nad tarczą Jarega.

Falko uśmiechnął się i zostali sami we trójkę.

Podano jedzenie, ale choć Falko umierał z głodu, nie miał ochoty jeść. Właśnie powstrzymał spadający na niego cios niczym więcej jak tylko siłą umysłu. Po raz pierwszy od rozpoczęcia treningu nie mógł się doczekać, aż wróci do Moździerza i Aureliana. Ludzie wciąż posyłali mu ukradkowe spojrzenia. Falko poczuł ulgę, gdy laniści Magnus i Deloix pojawili się w namiocie z dwoma arkuszami papieru, które przybili do poprzecznej belki na środku namiotu.

Kadeci zgromadzili się wokół nich, by zobaczyć, jakimi jednostkami będą dowodzić przez następne pół roku.

Falko został tam, gdzie siedział. Po kilku chwilach Alex przepchnął się z powrotem na tyły i klapnął obok.

– No i? Dostałeś piechocińców?

Alex tylko pokiwał głową. Falko nigdy nie widział go tak poważnego.

– Dali mi Die Verbannten – wymówił grobowym tonem. – Wygnańców – wyjaśnił, ale ta nazwa wciąż nic Falkowi nie mówiła. – To zbieranina illicyjskich uchodźców ze wszystkich lig. To ludzie, którzy nie mają już nic do stracenia.

Falko niemal widział, jak poczucie odpowiedzialności spada na barki przyjaciela niczym płaszcz z ołowiu. Podejrzewał, że nie bez powodu ten konkretny oddział dostał się młodemu człowiekowi, który witał uśmiechem każdy nowy dzień.

– A on? – spytał Falko, widząc, że Jareg odchodzi od list z uniesioną tryumfalnie pięścią.

– Dali mu królewskich husarzy – powiedział Alex nieobecny głosem.

– Trochę to nieuczciwe – skomentował Falko. – Niby za co miałyby zostać nagrodzony takim oddziałem?

– Nie rozumiesz. Nasz kuzyn powiedział, że dają najtrudniejsze jednostki najsprawniejszym dowódcom. Królewska Husaria to świetnie wyszkolona jednostka. Daliby ją tylko kiepskiemu dowódcy.

Falko pokiwał głową. Jareg najwyraźniej tego nie wiedział. Nie posiadał się z radości, obejmując dowodzenie nad doborowym oddziałem lekkiej kawalerii.

Przestali patrzeć na Jarega, gdy z tłumu wyłoniła się Bryna. Podeszła do nich z dziwnym wyrazem twarzy. Kilku kadetów wciąż spoglądało na nią, śmiejąc się, jakby sobie z niej dworowali.

– A ty kogo masz? – spytał Falko, gdy Bryna usiadła przy stole.

– Nie wiem, ale wszyscy uważają, że to prześmieszne – powiedziała, spoglądając na kadetów, którzy popatrywali w jej kierunku, wciąż nie przestając rechotać.

– Czy ta tajemnicza jednostka ma jakąś nazwę? – indagował Alex.

– Napisali tylko: Bryna Godwin, Urwipołcie – powiedziała Bryna i skrzywiła się, gdy Alex wwiercił się w nią niedowierzającym spojrzeniem.

– Dali ci Urwipołciów?!

Bryna tylko pokiwała głową.

– To źle? – zaciekał się Falko. – Kim oni są?

– To kompania łuczników wchodząca w skład Nieregularnych – wyjaśnił Alex, z trudem powstrzymując śmiech. – Wyobraź sobie dwustu kłusowników, wyrzutków, dezertów i złodziei, wszystkich pijanych w sztok i szukających guza.

Bryna otrzymała zadanie przemienienia bandy nieprzystosowanych zbirów w efektywną i zdyscyplinowaną jednostkę wojskową. Namysławiając się, dziewczyna przekrzywiła głowę, bo coś sobie uprzytomniła.

– Właściwie to szkolił mnie kłusownik – powiedziała, a dwaj chłopcy mogli tylko prychnąć śmiechem.

Dyskusja o przydzielonych jednostkach wkrótce ustąpiła miejsca poważniejszej rozmowie o tym, czego właściwie wymaga się od nowo mianowanych dowódców. Emisariusz wyjaśnił, że wszystkie jednostki przydzielone kadetom utworzą podstawę armii treningowej, zredukowanego wariantu prawdziwego wojska, a celem ćwiczenia jest

wyszkolenie indywidualnych dowódców w pracy nie tylko z żołnierzami, lecz także z innymi dowódcami i ich jednostkami.

– Gdy stopnieją śniegi, zostaniecie wysłani na kampanię treningową do innego miasta – powiedział im. – Będziecie uczyć się o wszystkich aspektach prowadzenia armii, nie tylko o taktyce wojskowej, ale też o zaopatrzeniu i logistyce, o ocenie stanu rannego na polu bitwy oraz urządzeniu szpitala polowego. Nauczycie się organizować jednostki zwiadowcze, budować sieć komunikacyjną, czytać mapy, nie pominiecie kwestii temp marszowych, strategicznego rozłokowywania sił, a nawet przerobicie podstawy politycznej etykiety i zarządzania uchodźcami. No co? – Emisariusz uśmiechnął się, widząc ścianę przerażonych twarzy. – Myśleliście, że przez okrągły rok będziemy was uczyć machania mieczem?

Kadeci nie mieli innego wyjścia, jak tylko pogodzić się ze swoimi nowymi pozycjami i odpowiedzialnościami. Falko niepostrzeżenie wyslizgnął się z namiotu i poszedł do Moździerza. Rozpaczliwie pragnął porozmawiać z kimś, kto będzie rozumiał, czego dzisiaj dokonał, lecz zarazem dręczył go niepokój. Gdy spojrzął za krawędź wielkiej areny, ujrzał czekających już na niego Aureliana, Dusaule'a, Mereditha i Dwimervane. Ruszył ku nim po schodach, skrępowany i zawstydzony. Zorientował się, że dotarli do nich wieści o jego wyczynie.

Dwimervane i Dusaule siedzieli na swoich zwykłych miejscach, kilka stopni od areny, a Meredith wstał z trybuny i spotkał się z Falkiem na piaszczystej arenie. Aurelian ruszył w jego kierunku. Falko zebrał się w sobie i podniósł na niego wzrok. Przez chwilę okaleczony mag bitewny tylko na niego patrzył. Chłopak był pewien, że czeka go bura, lecz wtedy Aurelian zrobił jeszcze jeden krok naprzód, osadził wielką dłoń na jego karku i przyciągnął go do siebie, by objąć sękatym ramieniem.

Serdeczność to ostatnie, czego Falko spodziewał się po nauczycielu, a jednak uścisk to właśnie wyrażał.

– Nic się nie martw, chłopcze – wycharczał basem Aurelian. – Miecz to tylko miecz. Liczy się to, jak z niego korzystamy.

Falko poczuł ucisk w gardle. Zachodził w głowę, jak wyjaśnić to, co czuł. Jak wyrazić słowami ten strach wynikający z wiedzy, że posiada się moc zdolną zabić. Ale nie musiał niczego tłumaczyć, bo Aurelian go rozumiał. Tak jak każdy mag bitewny przed nim... po prostu rozumiał.

Aurelian rozerwał uścisk i mocno klepnął Falka w bok głowy, aż gwiazdki zatańczyły mu przed oczami.

– A teraz pokaż mi, co umiesz.

Stary mag cofnął się i naprzód wystąpił Meredith. Najwidoczniej miał zbadać umysłem to, czego nauczył się Falko.

– Nie jestem pewien, czy zdołam to powtórzyć – powiedział Falko, a Aurelian schylił się i nabrał garść żwiru. – To się po prostu...

Nie zdążył dokończyć, bo Aurelian cisnął w niego kamykami. Falko wzdrygnął się, przygotowany na dawkę bólu, ale w tym samym czasie podjął decyzję: nie. Małe drobinki zapłonęły ognikami, uderzywszy o niewidzialną barierę, która roztoczyła się kilka cali od jego ciała. Piaskowa mgiełka wypełniła powietrze, a potem opadła leniwie na arenę.

– Ha! – wykrzyknął Aurelian. – No, wreszcie!

Weteran był szczerze uradowany, a Meredith szczerze zdumiony. Z kolei siedzący na trybunach Nicolas Dusaule spoglądał na Falka z ledwie zarysowanym smutnym uśmiechem.

– Złapałeś to? – rzucił Aurelian do Mereditha. – Można na tym pracować?

Meredith mógł tylko pokiwać głową. Magowi stworzenie takiej bariery zajęłoby kilka godzin, a Falko postawił ją spontanicznie. Mag przyglądał mu się bacznie i choć nie umiał ubrać tego w słowa, miał jakieś pojęcie o tym, czego właściwie dokonał Falko. Wiedział, że jeśli tę moc nieco się utemperuje, uda się ją kontrolować i z niej korzystać.

Następne dwie godziny badali ograniczenia nowej umiejętności Falka.

– Kolejnym krokiem jest kształtowanie tarcz obronnych i tworzenie ich w taki sposób, żeby można było otaczać nimi innych – wyłożył Aurelian.

Pole obronne, które wyprodukował Falko, zdawało się mieć kształt jego ciała. Była to niewidzialna powłoka, otaczająca go niczym druga skóra. Meredith odkrył, jak Falko mógłby manipulować kształtem tej energetycznej zasłony, ale niełatwo mu było wyjaśnić drobne zmiany w umyśle, które miałyby do tego doprowadzić.

– Wyobraź sobie kulę – rzekł. – Sfera to naturalny kształt spotykany w przyrodzie. Gdy już to zrobisz, będziemy mogli popracować nad stworzeniem takiej energetycznej kuli w pewnej odległości od ciebie.

Falko pokiwał głową, ale był zbyt zmęczony, by próbować teraz czegoś

nowego. Do fizycznego zmęczenia był przyzwyczajony, ale zmęczenie psychiczne było dla niego czymś nowym.

– Umysł jest jak mięsień – rzekł Aurelian. – Jak się go ćwiczy, rośnie w siłę.

Poklepał go po plecach, a Falko zdumiał się, jak wielką czuł satysfakcję, że mógł w końcu zadowolić stetryczałego weterana.

– Starczy na dzisiaj. Wypocznij i wyśpij się porządnie. Wrócimy do tematu jutro. Nicolas pomoże ci wrócić do baraków – dodał, widząc, że chłopak pada z nóg.

Dusaule pojawił się u boku Falka. Chłopak skinął mu głową, gdy wysoki zagrodnik wyprowadził go z Moździerza. Potykając się ze zmęczenia, Falko mozolił się w dół stoku. Był oszołomiony, jakby odurzony zmęczeniem. Miał mętne wrażenie, że potykał się na drodze, ale Dusaule zawsze w porę go łapał. Gdy zmęczenie w końcu wzięło nad nim górę i Falko zasnął na stojąco, Dusaule wziął go na ręce i ostatnie dwieście kroków po prostu niósł. Potem złożył go w łóżku. Falko spał twardo, dopóki reszta kadetów nie wróciła do koszar po popołudniowym treningu. Kiedy otworzył oczy, wciąż czuł się zmęczony, ale zarazem wypoczęty.

Wraz z powrotem kadetów w barakach podniósł się gwar, który musi towarzyszyć grupie podekscytowanych młodzieńców szykujących się do snu. Falko podniósł się i usiadł na brzegu łóżka.

– Aleś ty zmarnowany – powiedziała Bryna, gdy wróciła wraz z Alexem.

– Nic mi nie jest – wymamrotał chłopak, choć najchętniej wróciłby do snu.

– Umieram z głodu – sapnął Alex. – Zobaczmy, co tam mają na kolację.

Falko zgodził się skinieniem i ziewając, dźwignął się na nogi.

– Zjadłbym konia z kopytami...

– I dwie świnie, i kurczaka – Alex dokończył znane wśród kadetów powiedzenie. Wszyscy zauważyli, że jedzą coraz więcej.

Przeszli do jadalni i zasiedli do stołu. Falko oparł głowę na łokciu, powoli wypełniając usta gotowanymi ziemniakami, pieczonym pasternakiem i duszoną jagnięciną, podczas gdy Bryna i Alex rozmawiali o wydawaniu rozkazów w czasie bitwy i o łańcuchu dowódczym w armii. Gwar ekscytacji ucichł i w jadalni niósł się tylko bezgłośny pomruk rozmów, wszyscy podskoczyli więc, gdy nagle drzwi wyrznęły o framugę i do środka wpadł

podekscytowany kadet.

– Rycerze wrócili! – wrzeszczał. – Épreuve du force się skończyło!

Jadalnia opustoszała w mgnieniu oka, gdy kadeci wybiegli z niej jak spłoszone stado, by zebrać się przy wiodącej na czworoboczny dziedziniec bramie. W rozświetlonej pochodniami ciemności widzieli już grupki powracających towarzyszy. Byli brudni, przygarbieni i całkowicie wykończeni. Padał deszcz i robiło się naprawdę zimno. Przemoczeni i ubłoceni rycerze wyglądali, jakby myśleli już tylko o jednym – jak doczołgać się do baraków i wtoczyć do łóżek.

Kadeci zaczęli rozpoznawać przyjaciół, podbiegali, by pomóc im wejść do budynku. Gdy przybysze znaleźli się w barakach, pozostali okutali ich w koce i posadzili przy kominku, nalali do kubków gorącej herbaty i kręcili się nieopodal z nadzieją, że usłyszą jakieś opowieści o tym, co tamci przeszli. Ale przyszli rycerze nie byli w stanie zaspokoić ich ciekawości. Niektórzy od razu, w ubraniach, zwalili się na posłania i zapadli w sen, gdy tylko ich głowy dotknęły poduszek.

Falko, Alex i Bryna szukali wśród powracających Malakiego i Quirrena, ale nie dostrzegli ich, nawet gdy cała kolumna znalazła się już na dziedzińcu. Gdy już mieli poszukać lanistę Deloix, z ciemności wyłoniła się kolejna figura. Był to wielki Beltańczyk Huthgarl. Zaraz za nim szedł Quirren, ale nie sam. Razem z przysadzistym Acheronczykiem pomagał iść rozpiętej między nimi postaci. Ramiona potężnego mężczyzny były zarzucone na ich szyjach, głowa pochylona, a bezwładne nogi ciągnęły się z tyłu i grzęzły w błotnistej ziemi. Długie brązowe włosy opadły nieszczęśnikowi na twarz, ale gdy Falko zauważył owinięte brudnym bandażem przedramię, wiedział już, że wleczony do baraków człowiek to Malaki.

Bryna musiała dojść do tego samego wniosku, bo wyrwała z miejsca i podbiegła, by pomóc go nieść. Alex także.

Gdy do nich dołączyli, siły opuściły Quirrena i teraz Bryna pomagała Acheronczykowi prowadzić Malakiego, niknąc niemal pod jego potężnymi ramionami. Pomimo własnego wycieńczenia Falko pomógł Alexowi z bratem. Wielki Illicjanin spojrzał na nich swoim spokojnym, wyważonym spojrzeniem, mimo że twarz obwisła mu z wysiłku.

– Udało nam się – wybełkotał tylko.

Falko i Alex zarzucili sobie jego ramiona na kark i dźwignęli go na nogi. Wspólnymi siłami, potykając się na rozmiękłym gruncie, dołączyli do reszty w barakach. Bryna i Acheronczyk ułożyli Malakiego w łóżku, a potem pobiegli do Quirrena.

– Udało się – powtórzył mężczyzna, gdy Falko narzucał mu na ramiona suchy koc.

– No... pewnie... że... tak! – rzekł Alex, zapierając się mocno nogami, by zdjąć bratu buty.

Quirren położył mu rękę na ramieniu i przywołał gestem jego spojrzenie.

– Wybrali mnie do funkcji Orden des Schwarzen Adlers – powiedział głosem napęczniałym od emocji i niedowierzania.

Alex przestał szamotać się z butami i wstał, by uściskać brata.

– Ojciec wie – usłyszał Falko jego słowa, wydyszane stłumionym głosem. – Wie to i jest z ciebie dumny.

Falko odwrócił się, gdy Quirren zaczął płakać, wciśnięty w ramię Alexa. Nie wiedział, czym jest Orden des Schwarzen Adlers. Kojarzył tylko tyle, że „schwartz” to illicyjskie słowo oznaczające „ciemny” lub „czarny”.

Zwrócił się do Bryny, która opiekowała się Malakim. Pomógł jej zdjąć z niego mokre ubranie i poszedł przygotować mu coś do picia, ona tymczasem ręcznikiem osuszała włosy Malakiego. Ze wszystkich uczestników szkolenia to kowal był w najgorszym stanie. Wydawał się ledwie przytomny, gdy Falko stawiał na jego stoliku nocnym kubek z kawą. Bryna okryła go ciepłym kocem i głaskała po głowie. Próbowali dociec, czy wszystko z nim w porządku.

– Zmęczony – wymamrotał Malaki jak człowiek na granicy snu. – Jestem tylko zmęczony.

W nogach jego łóżka stał Huthgarl. Wielki Beltańczyk patrzył na kompana z nieczytelną miną na srogiej twarzy. Nagle pojawiła się przy nim mniejsza postać.

– No jasne! – wypluł Jareg Snidesson z wrednym uśmieszkiem na twarzy. – Oczywiście, że épreuve du force to za dużo dla wiejskiego kowala.

Falko zjeżył się, widząc, jak młodzieniec kręci pogardliwie głową.

– Spójrzcie tylko na niego. Nasza Truskaweczka wyciśnięta z ostatnich soków. Tak to jest, jak komuś roją się w głowie pomysły sięgające poza jego miejsce na świecie...

Falko zobaczył, jak Bryna podrywa się z łóżka, lecz zanim zdążyła zrobić cokolwiek, Huthgarl warknął jak dzikie zwierzę i okręcił się błyskawicznie, a potem zacisnął potężną łapę na gardle Jarega i przyłożył nim o jeden z grubych drewnianych filarów. Jareg wydał z siebie zduszony krzyk i zaczął się szarpać, ale nie miał szans wydostać się z tak mocnego uścisku. Przez moment Huthgarl tylko świdrował go wzrokiem, a Falko zaczął się obawiać, że zaraz poważnie go zrani. Ale olbrzym poluzował uścisk.

– Dość – powiedział tylko, pozwalając charczącemu Jaregowi osunąć się na ziemię. Zwrócił się do Falka i Bryny, popatrzył na nich, wrócił spojrzeniem do Malakiego. A potem odszedł bez słowa.

Falko chwilę patrzył za nim, zastanawiając się, co zaszło w czasie *épreuve du force*, że spowodowało taką radykalną zmianę u Beltańczyka. Spuścił wzrok na Jarega, który powoli się podnosił, odpędzając dwóch zauszników schylających się, by mu pomóc. Ciemne oczy Jarega nabiegły nienawiścią, o tyle większą, że to już drugie poniżenie, jakie spotkało go tego dnia. Falko poczuł coś na kształt współczucia, ale zarazem czuł jego jałowość i własną bezsilę. Uraza rodziła swoje własne gorzkie owoce.

Westchnąwszy żałościwie, obrócił się twarzą do przyjaciela.

Bryna mamrotała coś pod nosem, unosząc kubek do ust Malakiego. Sącył ospale kawę. Ciemna strużka spłynęła mu po brodzie. Twarz miał bladą z wyziębienia i zmęczenia, kilka siarczystych sińców wyłaziło mu spod skóry, ale powoli zaczął chyba wracać do siebie. Sięgnął do kubka w dłoni Bryny i złapał mocniej, by wypić trochę więcej.

– Dziękuję – powiedział.

Falko stanął obok łuczniczki, a Malaki usiłował skupić wzrok na ich twarzach. Uśmiechnął się, jakby właśnie obudził się ze złego snu. Ślad rumieńca pojawił się na jego poblądłych policzkach.

– A więc przeżyłeś – uśmiechnął się Falko.

– A jak – odpowiedział tym samym Malaki.

Bryna westchnęła z irytacją, słysząc ten lekki ton, a potem uniosła dłoń Malakiego do ust, ewidentnie ogarnięta ulgą, że nic poważnego mu się nie stało. Malaki sięgnął ręką do jej ramienia i przyciągnął ją do siebie, a ona pocałowała go jak należy.

– Wystraszyłeś mnie na śmierć – zrugła go szeptem, a Malaki się roześmiał.

– I co? Zdałeś? – spytał Falko, a Malaki kiwnął głową.

– Tylko czterech odpadło. Instruktorzy mówią, że zwykle jest ich więcej.

Bryna wsunęła mu za plecy kolejną poduszkę, gdy dźwignął się z mozołem, by usiąść.

– A zatem który zakon okazał się na tyle zdesperowany, żeby cię przyjąć? – spytał Falko, gdy Malaki upił kolejny łyk kawy i zagryzł owocowym ciastem, które magicznie pojawiło się przy jego łóżku. – Zakon Łabędzia? – podsunął. – A może Order du Croissant?

Malaki zaśmiał się i pokręcił głową. Niezgrabna wymowa Falka zniekształciła słowo i zamiast „półksiężycy” wyszedł „rogalik”. Ale wtedy twarz kowala spoważniała.

– No chyba nie do Pancерnej Konnej? – zdziwił się Falko. – To beltańska jednostka, Huthgarl nigdy by na to nie pozwolił.

Malaki znowu pokręcił głową, a Falko wlepił w niego niedowierzające spojrzenie.

– Nie mów mi, że zostałeś wybrany przez Nieugiętych!

– Nie – odrzekł Malaki, a w jego oczach również pełgało niedowierzenie.

– Przez Rycerzy Furii.

Archiwa



Później tej nocy rozpętała się pierwsza w tym roku śnieżycy. Obłoki śniegu wirowały wokół wieży magów, ale głęboko w jej trzewiach nie było słycać wycia wiatru ani łomotania gradu. Tak jak w głębinach bezdennego jeziora panował tu niezmacony spokój.

Meredith Saker wziął kolejny łyk krwistoczerwonego wina i odstawił kielich na bok, uważając, by nie zachlapać pradawnych ksiąg i zwojów rozłożonych na stole z czarnego kamienia. Było już dobrze po północy i nie licząc monotonnego pomruku odległego skandowania, repozytorium było pogrążone w ciszy. Mroczne, sklepione łukowo katakumby były oświetlone nie pochodniami, lecz małymi, nieregularnymi płytkami bladofioletowego onyksu, przymocowanego do ścian żelaznymi ćwiekami. Magiczne urządzenia wydzielały mętny blask, zapewniając akurat dość światła, by dało się czytać.

Meredith ostatnie kilka tygodni spędził właśnie tutaj, w mrocznym łonie archiwum, badając szczegółowo wybrane przez siebie dziedziny wiedzy. Wpadł na ciekawy pomysł z dziedziny komunikacji – chciał połączyć magiczne wieże siatką przekaźników umożliwiającą natychmiastowe porozumiewanie się. To prawda, że kwintet wykwalifikowanych magów potrafił przesłać prostą wiadomość z wieży do wieży, ale to nie to samo co normalna rozmowa. Meredith był przekonany, że jego pomysł będzie miał niesłychane znaczenie strategiczne w wojnie z Opętanymi.

Jeśli chodzi o historię, znalazł wiele zagadnień, którym z radością poświęciłby lata pracy, ale na razie postanowił ograniczyć się do kwestii

powstania i powrotu Opętanych.

I wreszcie, pomimo wyraźnego zakazu ze strony Galena Thralla, postanowił dowiedzieć się więcej o smokach. Mało tego, że od dawien dawna fascynowały go te zagadkowe stworzenia – był przekonany, że szaleństwo czarnych smoków miało ścisły związek z Wielkim Opętaniem. Gdyby tylko odkrył, co dokładnie czyni smoki podatnymi na opętanie, może zdołałby zrozumieć, dlaczego traciły zmysły. Dwa pytania nieustannie rozbrzmiewały w jego głowie.

Po pierwsze, czy magowie wiedzieli o podatności smoków na opętanie? I po drugie, jeśli tak, to dlaczego nie ostrzegli ludu Furii?

Wiedział, że zadawanie takich pytań ściągnęłoby na jego głowę liczne kontrowersje, ale przysiągł sobie, że nie spocznie, dopóki nie znajdzie odpowiedzi.

Meredith podniósł głowę i podziękował skinieniem jednemu z archiwistów, który położył na stole kolejny zwój.

– Czy potrzebujesz czegoś jeszcze? – spytał łysy mężczyzna.

– Nie, dziękuję. Chcę tylko porównać dekadowy porządek chronologiczny z kronikami z innych królestw.

Archiwista kiwnął głową bez specjalnego zainteresowania i już miał odejść, gdy wzrok Mereditha padł na jedyną poza nim osobę przy biurku. Mężczyzna był tam od pierwszego pojawienia się maga w katakumbach cztery tygodnie temu.

Starzec siedział na krześle obok prostej pryczy zawieszanej blisko wejścia do komnat. Jego twarz była pomarszczona jak u małpy, a poznaczoną wątrobowymi plamami łysinę na czubku głowy otaczały rzadkie siwe włosy. Małe, załzawione oczka zawiesił w przestrzeni, marszcząc brwi, jakby usiłował coś z niej wyczytać.

Ktoś mógłby pomyśleć, że mężczyzna był w trakcie przywoływania, w magicznym transie, w czasie którego skupiał całą swoją uwagę na stworzeniu specyficznej aury lub stanu umysłu, z tym że nikt nie mógł pozostawać w tym stanie tak długo, no i Meredith nie wyczuł, by starzec rzucał jakieś zaklęcie.

– Czy on tu mieszka? – spytał, wskazując głową drobną, przygarbioną postać.

– Czasem pomieszkuje – rzekł archiwista. – Brat Serulian był swego

czasu wielkim uczonym.

Meredith pokiwał z namysłem głową. Nie wiedzieć czemu, brat Serulian sprawiał, że Meredith czuł się wysoce niekomfortowo. Stary mag nigdy nawet na niego nie spojrzał, nigdy nie skinął głową na powitanie, lecz mimo to Meredith wiedział, że jest bacznie obserwowany. Może to ojciec kazał starcowi mieć na niego oko, w razie gdyby postanowił sięgnąć w swoich badaniach zbyt daleko albo podjąć temat, którego Morgan Saker nie pochwalał. Cóż, dowie się o tym dzisiejszej nocy, gdy przejdzie do piątej komnaty. Jeśli ojciec zrobi mu jutro aferę o studiowanie smokoznawstwa, Meredith będzie wiedział, że brat Serulian jest podstawionym szpiegiem.

– Czy to wszystko?

Meredith spojrzał na archiwistę, który wisiał nad nim, oczekując odpowiedzi.

– Tak, dziękuję.

Mężczyzna zniknął w szerokich drzwiach do komnaty. Meredith jeszcze chwilę obserwował brata Seruliana, a potem chwycił zwój i rozwinął go na blacie. Przemknął wzrokiem po datach na osi czasu i porównał je ze swoimi notatkami. Zaczął od brzemiennej w skutki bitwy pod Erlangaen w osiemset dwudziestym siódmym i doszedł aż do Inkwizycji Ossandy w czterdziestym piątym, gdy magowie zostali oczyszczeni z zarzutu zatajenia informacji przed Wielkim Opętaniem, do którego doszło dwa lata później.

Minęło dwadzieścia minut, nim Meredith rozparł się na krześle, wydając z siebie westchnienie zaskoczenia. Puszczony zwój zwinął się samoistnie. Oś czasu potwierdziła, że nie pominął niczego istotnego. Wielkie Opętanie miało miejsce w roku osiemset czterdziestym trzecim Anno Ira, czyli roku Furii. Zwykle kroniki osiemdziesiątej czwartej dekady były pierwszymi, do których zaglądał, a mimo to nie nauczył się z nich niczego istotnego, niczego, czego już by nie wiedział.

Prychnięciem dał upust frustracji i odłożył zwój. A może się mylił? Może wiedział już wszystko o Wielkim Opętaniu? Może nie ma już nic, czego mógłby się o nim dowiedzieć? Wstał i opróżnił kielich. A potem, sprawdzając, czy w repozytorium nie ma nikogo innego, odepchnął się od stołu i poszedł do piątej komnaty, gdzie przetrzymywano zwoje i księgi dotyczące smoków. Zadrżał lekko, przechodząc przez strumień nieobecnego

spojrzenia brata Seruliana, ale stary mag wydawał się nie zauważać jego obecności. Wciąż patrzył w przestrzeń przez katarakty w wilgotnych oczach, ale w jego umyśle ostało się echo rozkazu wielkiego veneratu.

Syn Sakera nie może poznać szczegółów osiemdziesiątej czwartej dekady. Nie może dowiedzieć się prawdy.

Doznawszy niewyraźnego wrażenia niepokoju, Meredith Saker minął próg piątej komnaty.

Narodziny



Głęboko na Utraconych Ziemiach obszar umęczonych skał zaczął drgać i się wybrzuszać, jakby coś usiłowało wydostać się na powierzchnię. Oświeceni odłożyli narzędzia i zebrali się wokół dołu, gotowi przyodziać nowo przybyłego w regalia wojenne. Skała pękła i wyłonił się spod niej kształt – postać o potężnych ramionach i potwornej głowie, pochylonej w trudzie narodzin na ten nowy i nieprzyjazny świat. Demon wsparł się rękami po obu stronach dołu i wy dobył się z masy płynnej magmy. Jego oczy płonęły krwistą czerwienią, gdy usiłował dźwignąć się na okadzone dymem, wygięte w tył nogi.

Wokół niego wisiały w powietrzu poczerniałe ciała suplikantów, które zaczęły opadać jedno po drugim, aż wszystkie zanurzyły się w rozoranej ziemi. Spełniły swoje zadanie, przywiodły demona na powierzchnię, wskazując mu drogę swoją agonią. Teraz przez tę samą szczelinę opuszczają świat ludzi, by zapuścić się do wspanialszego królestwa podziemi.

Gdy ostatni z suplikantów zniknął pod poruszającą się skorupą skał, przekształcenie się dokonało. Pogromca był teraz mieszkańcem tego świata. Niemal natychmiast ziemia zaczęła stygnąć i twardnieć, aż nie zostało się nic poza rysunkiem jaśniejących pęknięć i zapachem płynnej skały i płonącego mięsa. Ale suplikanci zniknęli. Nie zostali pogrzebani w ziemi. Zniknęli. Nikt, kto wykopałby tutaj dół głęboki na tysiąc stóp, nie znalazłby ich kości. Byli teraz w innym miejscu, w krainie cierpienia, z której nigdy nie uciekną. A przynajmniej dopóki Marchio Dolor we własnej osobie nie zostanie rozgromiony, a nie było na świecie nikogo tak

silnego, by zdołał tego dokonać.

Mierzący osiem stóp Pogromca spojrział w dół, na Oświeconych, którzy krzętałi się wokół niego. Na czarnej, skopanej skale położyli dwa miecze o szerokich, zakrzywionych klingach i ostrych czubkach. Pogromca przez chwilę przyglądał się broni, jakby nie potrzebował tak prymitywnych narzędzi, lecz nagle wyczuł zawartą w nich moc oraz oddanie, z jaką je wykuto.

Uklęknął i wolno ujął oba miecze w potężne dłonie. Gdy był pochylony, Oświeceni nałożyli mu płyty pancerza na ramiona, pierś i ręce. Wreszcie jeden z nich podniósł wielki hełm i osadził go na głowie demona. Gdy się cofnęli, Pogromca pochylił niżej głowę i zamknął oczy, a jego czarne ciało zajaśniało piekielnym blaskiem. Płonęło żywym ogniem, podsycalo temperaturę, aż zaczarowana stal zespoliła się z diabelskim ciałem.

Demon i jego zbroja byli jednym.

Pogromca wolno podniósł się na nogi. Jego potężna pierś rozděła się, gdy nabrał w płuca powietrza, którym oddychali ludzie. Zamknął oczy. Idealnie wyważone miecze wisiały u jego boków. Stanowiły teraz przedłużenie jego czarnego umysłu zabójcy. Został tu przyzwany w jednym jedynym celu.

By zabijać.

By mordować Przeciwników i ich przeklęte wyrmy. I to właśnie będzie robić.

Dobra rada



Po powrocie z *épreuve du force* kandydaci na rycerzy spali przez prawie dwa dni, a nawet po ich upływie instruktorzy nalegali, by wzięli jeszcze kilka dni wolnego, które pomogą im wrócić do pełnej sprawności. Żaden z nich nie miał ochoty rozmawiać o odbytej próbie, co rodziło frustrację u innych kadetów i otaczało słynny proces selekcji tajemniczą aurą.

– Byłem zbyt powolny i dostałem w rękę – odpowiedział Malaki na pytanie o ranę na ramieniu.

Było jasne, że cokolwiek wydarzyło się podczas próby, zaowocowało zawiązaniem więzi wśród przyszłych rycerzy. Falkowi co rusz udawało się zaobserwować, jak „rycerze” wymieniają skinienia i ściskają sobie dłonie, a nawet śmieją się razem. Ku własnemu zdziwieniu poczuł ukłucie zazdrości na myśl o tym, że Malaki przeżył coś tak doniosłego bez udziału przyjaciela, lecz przecież Falko miał swoją własną historię do opowiedzenia.

– Och, żałuję, że tego nie widziałem... – westchnął Malaki, gdy usłyszał o walce przyjaciela z Jaregiem.

Z początku Malaki był zbyt wyczerpany, by zauważyć cokolwiek, ale gdy doszedł do siebie, spostrzegł zmiany, jakie zaszły w koszarach pod jego nieobecność. Kilku kadetów śmiało się teraz i żartowało z Bryną, jakby w tym krótkim czasie połączyły ich więzy przyjaźni.

– Dzisiaj będzie trzy zero dla mnie, Godwin – zaczepił Brynę Kurt Vogler, mijając grupkę przyjaciół w barakach.

– Będziesz potrzebował większego miecza – zaripostowała Bryna, rzucając mu znaczące spojrzenie i wzbudzając salwę śmiechu kadetów, Voglera nie wyłączając.

Falko uśmiechnął się, ale zaskoczony Malaki tylko uniósł brwi.

– Kiedyś go dostanę – powiedziała Bryna, a potem westchnęła, gdy brwi Malakiego powędrowały jeszcze wyżej. – W pojedynku – wyklarowała i trzepnęła go w głowę rękawicami.

Ale największą zauważoną przez Malakiego zmianą była ta, która zaszła w Falku.

– Czy ja widzę mięśnie? – spytał niedowierzającym tonem, zgrywając się, gdy Falko zdjął koszulę, w której spał.

– Raczej opuchlizny od tych wszystkich siniaków – zbył go zawstydzony przyjaciel. Wciąż był najchudszy ze wszystkich kadetów, ale mimo to czerpał niemałą satysfakcję, widząc, że jego ramiona i pierś nie są już tak patykowate jak wcześniej.

– Słowo daję, Falko, ty urosłeś – dodał kowal, zastępując mu drogę, gdy przyjaciel wstał z łóżka.

Falko wciąż nie dorównywał imponującym sześciu stopom i dwóm calom Malakiego, ale niewiele mu brakowało.

– Uff!

Malaki zgiął się, gdy Falko trzepnął go w splot słoneczny.

– Z drogi, giermku – powiedział, używając terminu, jaki stosowano wobec kadetów szkolących się na rycerzy.

Malaki zamachnął się na niego, ale Falko odskoczył zwinnie poza jego zasięg. Alex i Quirren zaśmiali się, a Bryna pokręciła głową i rzuciła swój zwyczajowy tekst:

– Chłopcy, zachowujcie się! Byle jak, ale się zachowujcie.

Idąc pod prysznic, Falko obejrzał się z uśmiechem na Malakiego i stanął jak wryty, gdy jak spod ziemi wyrósł przed nim lanista Deloix. Śniadoskóry instruktor lustrował go wzrokiem i chłopak przez moment myślał, że ma kłopoty, ale wtedy mężczyzna podał mu list.

– Z Lavandier – rzucił tonem wyjaśnienia.

Falko popatrzył na złożoną kartkę związaną sznurkiem i zapieczętowaną czerwonym woskiem. Przeczytał adres na froncie.

Falko Danté
Akademia Sztuki Wojennej
Furia

Kadeci zgromadzili się wokół niego, gdy lanista Deloix wyszedł.

– Od kogo to? – spytała Bryna.

– Od Fossetty – odparł Falko, odczytawszy adres zwrotny po drugiej stronie.

– Na co czekasz? Otwieraj! – niecierpliwił się Malaki.

Falko usiadł na skrzyni w nogach swojego łóżka, przełamał pieczęć i zdjął sznurek. Ręce drżały mu ledwie dostrzegalnie, gdy zaczął czytać:

Najdroższy Falko,

mam nadzieję, że ten list znajdzie cię w dobrym zdrowiu. Właściwie to mam nadzieję, że w ogóle cię znajdzie. Nie wiedziałam, jak dokładnie go zaadresować. I wybacz mi, że nie napisałam szybciej, ale podróżowaliśmy na złamanie karku, usiłując dotrzeć do małego miasteczka zwanego Lavandier, zanim śnieg złapie nas na szlaku. Plotki mówią o jakimś miejscowym chłopcu, który śni koszmary, i o tym, że rzeczy „niszczą się”, kiedy dopadają go gwałtowne emocje. Od opuszczenia Toulwaru odwiedziliśmy już troje dzieci. To będzie czwarte. Jak dotąd Tobiasz tylko do jednego powiedział „Mamidelko”.

Oboje jesteśmy zdrowi i cieszymy się, że możemy zwiedzić ten piękny kraj. Chłopiec robi to, o co prosił go emisariusz, i muszę powiedzieć, że świetnie sobie radzi. Po twoim wyjeździe do naszej drużyny dołączyła Heçamedes. W wielu z tych odległych wiosek nie ma uzdrowicieli i jesteśmy bardzo wdzięczni za jej towarzystwo.

Z Lavandier (jeśli pogoda pozwoli) ruszymy na wschód, ku illicyjskiej granicy. Chyba nie ma co się dziwić, że większość „dzieci z problemami” pochodzi z tego rejonu. Nawet tutaj, do Clemoncé, sięgają długie cienie Opętanych. Nie umiem sobie wyobrazić, jak musi być bliżej frontu. Och, a może jednak umiem?

W każdym razie dość już o naszych przygodach. Co u ciebie?

Heçamedes bardzo ucieszyły wieści o twoim wyzdrowieniu w Toulwarze. Mam wielką nadzieję, że czujesz się coraz lepiej. Jak

twoje płuca? Mam nadzieję, że infekcja nie wraca. Heçamedes radzi, byś dobrze jadł i głęboko oddychał. Wiem, że Furia leży na wybrzeżu, ale z tego, co mi mówiono, nawet tam bywa chłodno. Nie chcę słyszeć, że chodzisz na zewnątrz w samej koszuli! Pamiętaj...

Nie rozdiewaj się z kapoty, gdy wiosenne trwają słoty.

Czy podjęto już decyzję w sprawie twojego szkolenia? Nie bądź rozczarowany, jeśli nie uda ci się podążyć śladami ojca. Masz dobre serce i prędkie umysł. Jest wiele innych sposobów, byś przysłużył się potrzebującym.

Ojej. Jest tyle rzeczy, o które chciałabym cię zapytać. Jaka jest Furia? A morze? Czy widziałeś królową? Czy Malaki i Bryna też ją poznali? Czy wciąż jest z tobą emisariusz? Czy Bellius rzeczywiście ma koneksje na dworze królewskim?

Tak bym chciała usłyszeć od ciebie jakieś wieści, ale obawiam się, że mój adres zwrotny może być mylący. Rzadko siedzimy długo w jednym miejscu, ale jak się gdzieś zasiedzimy, niezwłocznie dam ci znać.

Pozdrów ode mnie gorąco Malakiego i Brynę. Nie ma godziny, żeby o was nie myślała.

Do zobaczenia, mój kochany. Niech ci się wiedzie. Napiszę jakoś na wiosnę.

I pamiętaj: cokolwiek by się działo, zawsze będziesz w moim sercu.

*Całuję gorąco, Fossetta
(I Tobias) (i Heçamedes)*

PS Nie martw się o nasze bezpieczeństwo. Towarzyszą nam dwaj żołnierze z Toulwarskich Szaserów Królewskich – kapitan Roche i jeszcze jeden człowiek, który zna las, jakby to była ścieżka ogrodowa. Nie jestem pewna jego szarży. Zwracamy się do niego per Francois.

Podróżuje się z nimi przyjemnie, nawet jeśli nie mówią zbyt wiele. W odróżnieniu od dwóch mężczyzn, którzy powożą. Nieustannie się kłócą (ale trzeba przyznać, że zrywamy boki z ich wzajemnych docinków). Zwłaszcza Tobias polubił ich towarzystwo. Myślę, że ich poczucie humoru przypomina mu ojca.

A teraz to już naprawdę wszystko, przynajmniej do wiosny. Trzymaj się dzielnie.

Malaki i Bryna zaglądali Falkowi przez ramię. Mimo to podał im list, by mogli go przeczytać jak należy.

– Wszystko dobrze? – zatroskał się Malaki, gdy Falko wstał ze skrzyni.

– Tak – odparł przyjaciel, wkładając świeżą koszulę i spodnie. – Po prostu dotarło do mnie, jak bardzo za nią tęsknię.

Malaki kiwnął głową i Bryna złapała jego rękę. Falko posłał im mętny uśmiech i ścisnął jej dłoń, a potem poszedł umyć się przed śniadaniem.

Ona jest w porządku, pomyślał, przecinając zmrożony dziedziniec. I nawet znalazła czas, żeby pozrzedzić!

Przed opuszczeniem Caer Dour Falko nie zdołałby wyobrazić sobie Fossetty na wozie, przemierzającej wieś w obstawie żołnierzy. Choć właściwie czemu nie? Była jednym z najsilniejszych ludzi, jakich znał, i wiedział, że to doświadczenie bardzo przypadnie jej do gustu. Nagle pomyślał, że to niesłychanie pocieszające wiedzieć, że są na świecie ludzie tacy jak ona. Zimna mgła wisiała nad dziedzińcem i Falko uśmiechnął się, wkraczając w parujące gorąco łaźni.

Cień na powierzchni ziemi



Na Utraconych Ziemiach Illicji Pogromca patrzył na słońce, które wschodziło ponad zamglonymi wzgórzami. Ludzie uważali wschód słońca za symbol nadziei. Jak w takim razie wytłumaczą sobie obecność demona? Zabił już kilka żywych stworzeń, ale tylko ludzie dawali mu jakąś satysfakcję. Zwierzęta były po prostu iskrami życia, które łatwo było zdmuchnąć, ale ludzi mógł torturować dalece dotkliwiej niżli tylko w przelotnej chwili śmierci. Było coś niemalże boskiego w ilości bólu, jaką można było im zadać. Pogromca pławił się w ich cierpieniu, ale wezwany został po znacznie więcej. Kazano mu ruszyć na południe i zabić Przeciwników oraz wyrmy, które tam walczyły, dusze tak aroganckie, że wierzyły, iż mogą rzucić wyzwanie Wiernym. Demon przeciągnął się, a w jego mieczach przejrzało się wstające słońce. Światłem się nie przejmował, choć po stokroć wolał ciemność. Skryje się więc pod powierzchnią ziemi, by zawitać na chwilę do krainy piekieł. Zaniósł modły i otworzył wrota, a potem zniknął. Gdyby ktoś na niego patrzył, zobaczyłby idącego przed siebie demona, który wolno zapuszcza się w ciemność, zostawiającą po sobie poczerniałą bliznę na obliczu świata.

I wszystko, co ostało się po jego przejściu, to tylko cień, który przemknął po powierzchni ziemi.

Ukryty przed ciekawskimi oczami, kontynuował swoją podróż. Daleko na północy czuł jedną z owych Wielkich Dusz. Pragnął ją osiąść. Jego wyczułone zmysły powiedziały mu, że Przeciwnik jest sam, że nie ma z nim wyrma, który podzieliłby jego wyrok śmierci. Ale to nic.

Na razie ograniczy się do zabicia Przeciwnika. Przyjemność zabicia wyrma będzie musiała poczekać.

Paddy Feck



Akademia Sztuki Wojennej znalazła się w bezlitosnym uścisku zimy, a płaskowyz okryła szczelnie biała pierzyna śniegu, który skrzypiał pod butami kadetów, gdy w ciemności torowali sobie drogę na poligon.

– Czyli umiesz już korzystać z magii obronnej? – spytał Malaki, gdy weszli do namiotu.

– Na razie mogę osłonić nią tylko siebie – dookreślił Falko. – Ale tak.

Malaki pokiwał z uznaniem głową. Jego oczy miały jakiś dziwny wyraz, którego Falko nie potrafił rozszyfrować. A potem przypomniał sobie, że tak samo patrzył na Malakiego Balthazak, gdy młody kowal pierwszy raz pokonał starego w walce. Mieszanka dumy i obawy, uprzytomnienie sobie, że niezachwiana dotąd równowaga mocy w końcu drgnęła.

Tego ranka biegli razem jako grupa. Malaki wciąż wracał do sił, a Falko robił się coraz silniejszy, więc spokojne tempo umożliwiała wszystkim trzymanie się razem. A poza tym poranki były teraz tak ciemne, że nikt nie miał ochoty rozwijać pełnej prędkości w trakcie pokonywania wąskiej skalistej ścieżki. Zaczynało świtać, gdy wrócili do namiotu na śniadanie. Kadeci skończyli jeść i zwrócili uwagę na większy niż zwykle gwar na zewnątrz. Brzmiało to tak, jakby namiot mijala cała Czwarta Armia. Miny instruktorów wskazywały, że są oni jedynymi osobami w namiocie, które wiedzą, co się dzieje. Kadeci rzucili się do wyjścia i wybiegli na zewnątrz.

Falko i pozostali wyłonili się z namiotu i zobaczyli tłum żołnierzy formujący szyk na polu treningowym: równiutkie kwadraty i prostokąty kawalerii, włóczników i piechoty uzbrojonej w miecze i tarcze, a także kilka

jednostek łuczniczych. Prawie dwa tysiące mężczyzn oraz garstka kobiet – wszyscy oni patrzyli na kadetów stojących z rozdziawionymi ustami i wybałuszonymi oczami. Emisariusz odczekał, aż ostatni uczniowie wyjdą na dwór, a potem poprowadził ich na poligon.

– Kadeci Akademii Sztuki Wojennej! – powiedział i zatoczył ramieniem szeroki półokrąg. – Oto armia na wasz rozkaz!

Zgromadzeni żołnierze zakrzyknęli gromko. Efekt był imponujący, psuli go tylko wciąż budujący szereg łucznicy po drugiej stronie pola. Ich niemrawy okrzyk ucichł długo po tym, jak wybrzmiało pięknie skoordynowane zawołanie pozostałych oddziałów. Strzelcy nie wyglądali jednak na zawstydzonych brakiem dyscypliny.

Mało tego, członkowie niejednolitej gromady bez skrępowania rozmawiali między sobą i śmiali się, a potem zmrożone powietrze poranka rozdarte zostało przez dźwięczne pierdnięcie, z całą pewnością efekt znacznych i celowych wysiłków któregoś z łuczników.

W uśmiechu emisariusza było coś z przeprosin, gdy grupa huknęła śmiechem. Wszyscy kadeci spojrzeli współczująco na Brynę, która miała okropne przecucie, że to właśnie przedstawił się jej oddział – owi Urwipolcie, o których tyle słyszała.

Gdy dramatyczne zapoznanie dobiegło końca, lanista Magnus wyszedł naprzód z listą w ręku. Każdy z wywołanych kadetów szedł następnie z emisariuszem na poligon, gdzie ten przedstawiał go nowym podkomendnym. Wszyscy byli nerwowi, ale nikt bardziej od Alexa Klingemanna. Chłopak był chorobliwie blady. Falko bał się, że może nawet zwymiotować. Kiedy lanista wywołał jego imię, Alex ruszył za emisariuszem na drżących nogach, a po chwili stanął przed oddziałem piechocińców w czarnych opończach, na których widniał znak jednej z siedmiu illicyjskich Lig.

Najstarszy członek Die Verbannten wyszedł naprzód, by powitać tego „nowego dowódcę”. Jego oczy, tak jak pozostałych Wygnańców, były naznaczone piętnem cierpienia i mężczyzna spoglądał na Alexa z całkowitą obojętnością, jakby nie miało to znaczenia, że będzie dowodziło nimi dziecko.

Emisariusz otworzył usta, by go przedstawić, lecz Alex nie pozwolił mu na to. Sam zrobił dwa kroki naprzód i stanął przed swoimi ludźmi. Przez

chwilę patrzył w puste oczy starszego żołnierza, a potem położył się na ziemi, wcisnął twarz w grunt i rozłożył ramiona na podobieństwo krzyża.

– Co on wyrabia? – szepnęła Bryna do Quirrena. Nawet jak na Alexa, ten gest był nieco zbyt melodramatyczny.

– Okazuje pokorę – rzekł Quirren z nutą zaskoczenia w głosie. – Wie, że nie jest godzien nimi dowodzić. Obejmie stanowisko dowódcy, tylko jeśli mu na to pozwolą.

Starszy żołnierz patrzył na leżącego na ziemi Alexa, jakby nie wiedział, co ma zrobić. Gest najwidoczniej sprawił go w zakłopotanie. Podniósł wzrok na emisariusza, ale nieugięte spojrzenie tamtego niczego mu nie doradziło. Wtedy obejrzał się na pozostałych Wygnańców i znowu jego wzrok spoczął na Aleksie. Uklęknął wreszcie i położył dłoń na potylicy kadeta. Zamknął oczy, a jego usta zaczęły się poruszać, gdy wypowiedział kilka słów, których nikt poza Alexem nie słyszał, a potem cofnął się o krok, a nowy dowódca dźwignął się na nogi.

– Czas najwyższy – powiedział, pocierając czubek nosa. – Już myślałem, że każesz mi tak leżeć, aż zamarznę.

Emisariusz uśmiechnął się, a żołnierz uniósł brew.

A potem przyłożył pięść do klatki piersiowej i skłonił się Alexowi. Pozostali członkowie oddziału poszli w jego ślady. Wygnańcy zaakceptowali swojego młodego dowódcę. Quirren roześmiał się cicho.

– Będą się uczyć nawzajem – powiedział tylko.

Chwilę później za emisariuszem ruszyła Bryna. Wszyscy kadeci odprowadzali ją wzrokiem i nie było wśród nich nikogo, kto by jej zazdrościł. Gdy zbliżała się do Urwipołciów, towarzyszyła jej kakofonia śmiechów, gwizdów i jednoznacznych okrzyków.

Gdy emisariusz zatrzymał się przed oddziałem, pierwszy rząd zaczął przepychać się i trącać łokciami, jakby nie postanowiono jeszcze, kto będzie reprezentować ich przed dowódczynią. Wreszcie wysoki, ciemnowłosy mężczyzna wynurzył się z tłumu i zbliżył do niej roztańczonym krokiem. Jego twarz była poznaczona śladami po ospie, a włosy wyglądały, jakby ktoś uciął je piłą. Uśmiechnął się kpiarsko do emisariusza, raz po raz oglądając się na swoich towarzyszy i zadzierając podbródek na ich prostackie komentarze i wyrazy poparcia.

– To nie na niego musisz patrzeć – powiedział emisariusz cicho, gdy

mężczyzna się zbliżał.

Wskazał głową jasnowłosego mężczyznę o szerokich barach, z dwoma warkoczykami zaplecionymi na lewej skroni, który wwiercał się wzrokiem w Brynę. Jego ogorzała twarz świadczyła o burzliwym życiu, ale w głęboko osadzonych oczach błyskały iskierki inteligencji.

– Patrick Feckler – szepnął Chevalier. – Znany też jako Paddy Feck.

Zanim zdołał coś dodać, stanął przed nimi dziobaty mężczyzna.

– Kadet Bryna Godwin – przedstawił ją emisariusz. – Pełniąca obecnie funkcję dowódczyni królewskiego oddziału Nieregularnych, Piątej Kompanii Łuczników.

– Dedric Sayer, do usług – zakpił mężczyzna, mierząc Brynę wzrokiem od stóp do głów z wyraźnym zadowoleniem.

– Do usług, pani kapitan – poprawił emisariusz nieco ostrzej.

– Do usług, pani kapitan – powtórzył Dedric, czerwieniąc się i rzucając przez ramię wymowne spojrzenie szydzącym z jego kapitulacji towarzyszom.

Zanim się odwrócił i odszedł do swoich, Bryna zauważyła, że zerknął na Paddy'ego Fecka, jakby pytał go o pozwolenie. Feckler łypnął na Brynę i kiwnął lekko głową. Dedric zwrócił się twarzą do niej, a potem uniósł rękę i zawołał głośno:

– Hip, hip, hura dla pani kapitan! Hip, hip!

– Hura! – zagrzmiała odpowiedź.

– Hip, hip!

– Hura!

– Hip, hip!

– Hura, hura, hura!

Emisariusz uśmiechnął się rozbawiony, a Bryna przełknęła ślinę. Wyglądała na dokumentnie przerażoną.

Ostatnie „hura!” przebrzmiało i przeszło płynnie w chór śmiechów. Falko łypnął na Malakiego.

– Boisz się o nią?

– Nie – rzekł Malaki. – To tylko mężczyźni. Może trochę jej to zajmie, ale w końcu owinie ich sobie wokół palca.

Falko był pełen podziwu dla jego niezachwianej wiary w partnerkę.

– A poza tym – podjął Malaki – osobiście ukatrupię każdego, kto dotknie

jej choćby palcem.

Te słowa, odniósł wrażenie Falko, były o wiele bardziej szczerze.

Po zapoznaniu oficerów przyszedł czas na rycerzy. Emisariusz wrócił i stanął obok Falka. Wszyscy patrzyli na reprezentantów sześciu zakonów rycerskich, którzy torowali sobie drogę przez śnieg. Ubrani w kolczugi i opończe, dosiadający potężnych rumaków bojowych wojownicy wyglądali imponująco i nawet Urwipołcie ucichli nieco na ich widok.

Falko rozpoznał pięć insygniów, które ujrzał pierwszy raz, kiedy rycerze zjawili się po kadetów przed *épreuve du force*, lecz teraz dostrzegł wśród nich nowy znak – czarnego orła w czerwonym polu. Domyślił się, że to illicyjskie insygnia, a po chwili zrozumiał, do kogo należą.

Der Orden des Schwarzen Adlers.

– Zakon Czarnego Orła – wydyszał.

– Nasz ojciec do nich należał – powiedział cicho Quirren, patrząc na formujących szyk konnych. Z chrap olbrzymich rumaków buchały chmurki pary.

Każda grupa reprezentantów składała się z dwóch rycerzy oraz giermka, który dźwigał miecz w pochwie, owinięty pasem. Jeden z wojowników z każdej pary prezentował barwy swojego zakonu. Falko natychmiast rozpoznał mężczyznę z proporcem Rycerzy Furii. Sébastien Cabal, lord dowódca zakonu.

Rycerze z proporcami pozostali w siodle, a ich towarzysze zsiadli z koni. Wyraźnie nerwowi paziowie również. Stanęli przy swoich rycerzach, a tymczasem lanista Magnus dał znak kadetom, by zrobili krok naprzód.

Quirren podszedł do rycerza z Zakonu Czarnego Orła. Huthgarl i inny kadet imieniem Blaevar – do wojownika z beltańskiej Pancерnej Konnej, a dwaj młodzieńcy z Illicji stanęli przed Nieugiętym.

Malaki jako jedyny podszedł do Rycerza Furii.

Kadeci stanęli w równym rzędzie, giermkowie bez ceregieli podali miecze swoim rycerzom, by ci następnie wręczyli je kadetom.

Falko spodziewał się jakichś podniosłych, ceremonialnych słów lub uroczystego zaprzysiężenia. Zwrócił się do stojącego obok emisariusza.

– Czy to oznacza, że już są rycerzami?

– Nie – odrzekł Chevalier. – Na razie tylko czeladnikami przyrzeczonymi zakonowi, który zgodził się wcielić ich w swoje szeregi. Gdy ukończą

szkolenie, ruszą do boju pod ich sztandarami. Dopiero po pierwszej bitwie zostaną uznani za rycerzy.

Falko pokiwał głową i utkwiał wzrok w Malakim. Stojący przed kowalem rycerz wydawał się zadowolony z tego, że to akurat Malaki trafi do Czarnych Orłów, ale Sébastien Cabal wydawał się płonąć gniewem.

– A temu co? – zdziwił się Falko, wskazując podbródkiem lorda dowódcę.

– Z Malakim jest nieco inaczej – powiedział emisariusz. – On już dowiódł męstwa w boju. Teraz ma status „rycerza oczekującego”. Wciąż musi ukończyć szkolenie w akademii, ale jeśli Rycerze Furii sobie tego zażyczą, może iść w bój choćby jutro.

– Czemu to złości lorda Cabala?

– Uważa, że Malaki jest zbyt młody i w odróżnieniu od innych młodych szlachciców nie odebrał formalnego wykształcenia.

– Więc dlaczego go zaakceptowali?

– Och, lord dowódca nie ma wątpliwości co do jego potencjału. Po prostu nie wierzy, że Malaki jest gotów iść na wojnę.

– A jest?

Emisariusz wydał wargi.

– Przekonamy się.

Falko wrócił wzrokiem do Malakiego, a potem powiódł nim wzdłuż granicy poligonu. Był ostatnim kadetem i czuł się dziwnie, stojąc tu jako jedyny.

– A co ze mną? – spytał.

– To zależy – powiedział emisariusz. – Przeciw bestiom i Opętanym wystarczą mięśnie i miecze. Ale jeśli przystąpią do walki z demonem, to kto wie czy nie będziesz jedyną rzeczą dzielącą ich od wieczności w piekle.

Falko utkwiał w emisariuszu spojrzenie szarych oczu. Stojący przed nimi młodzi oficerowie byli onieśmieleni perspektywą dowodzenia setkami żołnierzy, ale czymże było ich zdenerwowanie w porównaniu z brzemieniem, jakie będzie musiał dźwigać Falko? Już sama myśl o tym przejmowała go przerażeniem.

Gdy przekazanie mieczy dobiegło końca, wydano komendę „spocznij” i armia kadetów się rozpierzchła. Uczniowie zebrali się w grupie i rozbrzmiał gwar podekscytowanych rozmów. Oficerowie również otrzymali podarunki. Alex dostał piękny illicyjski długi miecz, Jareg

pięknego, zwinnego wierzchowca o pstrokatej, szaro-białej maści, większość włóczników dumnie dzierżyła thraeckie włócznie o długich drzewcach i smukłych grotach, tarcze, xiphosy o krótkich oraz kopisy o zakrzywionych klingach. Łucznicy pokazywali towarzyszom nowe łuki i skórzane kołczany. Natomiast Bryna wróciła do namiotu z małą czarką o dwóch uchwytach.

– Nazywają to „quaich” – objaśnił emisariusz. – To czarka powitalna.

Bryna przyjrzała się drewnianemu naczyniu o srebrnych zrębach, które przy dobrych chęciach można nawet było nazwać eleganckim.

– Spodziewają się po tobie, że będziesz z nimi piła – dodał Alex. – To tradycja.

– Co piła? – spytała Bryna.

– Nie jestem pewien – zamyślił się Alex. – Nie dzielą się tym z nikim. Ale mówi się, że to najlepszy trunek we wszystkich Siedmiu Królestwach.

– Hmm – mruknęła Bryna z nadzieją w oczach. – Picie mi nie przeszkadza.

Roześmiali się, a Falko spojrzał na Malakiego, który wpatrywał się w miecz leżący na jego kolanach. Kilka cali ostrza pokazało się między jelcem a pochwą. W stali wytrawiony był „nieujarzmiony rumak” Rycerzy Furii.

– Nie mogę w to uwierzyć – wydyszał Malaki.

– A ja owszem – sparował Falko.

Kowal spojrzał na przyjaciół rozognionymi oczami. Wszyscy kiwali z uznaniem głowami i uśmiechali się do niego. Zdaje się, że Falko mówił nie tylko w swoim imieniu.

Tego ranka nie trenowali zbyt wiele. Instruktorzy zasiedli razem z kadetami i rozpoczął się długi strumień pytań i odpowiedzi. Tak, wciąż będą szkolili się w swoich dziedzinach, ale ich nowe jednostki będą grały coraz większą rolę w ich treningu, aż do momentu, gdy armia kadetów będzie gotowa do wojny.

– Jako oficerowie – zaczął emisariusz – będziecie musieli brać udział w publicznych spotkaniach strategicznych w Komnacie Rady. Ty także – dodał, znajdując wzrokiem Falka. – Magowie bitewni stanowią integralną część armii.

Falko podniósł wzrok, zebrani obrócili się, by na niego spojrzeć. Nikt już nie wątpił w słowa emisariusza, że Falko był magiem bitewnym. Szok

i strach, które padły na kadetów po tym, jak zniszczył miecz Jarega, zaczęły się z wolna rozwiewać. Wydawało się, że uświadomili sobie w końcu, iż Falko jest po ich stronie. Może i mamrotał dziwne i niepokojące rzeczy przez sen, może dysponował przerażającymi mocami, których nie rozumieli, ale to właśnie te moce mogą pewnego dnia ocalić im życie. To nowe uznanie wywołało w Falku obce dotąd uczucie, które jeszcze zwiększało rosnące poczucie odpowiedzialności.

Rozmawiali przez resztę poranka, a gdy asystenci rozstawili na stołach jedzenie, Falko skorzystał z zamieszania i dyskretnie opuścił namiot. Złapał po drodze zapiekane w cieście mięso, trochę chleba i garść owoców, a potem poszedł do Moździerza. Zdjął płaszcz i przewiesił go sobie przez ramię, gdy jasne zimowe słońce wypaliło z powietrza chłód.

– A więc dostali w prezencie od armii nowych koleżków, co? – zaśmiał się Aurelian, gdy Falko usiadł na schodach areny i pociągnął długi łyk wody z miedzianego kubka. – Słyszałem, że twojej znajomej łuczniczce dostali się Urwipolcie? – Prychnął śmiechem. – Co prawda, to prawda, niezła zbieranina łajdaków, ale to zarazem jedni z najlepszych łuczników, jakich kiedykolwiek zobaczysz.

Osadził wzrok na Falku i nie umknął jego uwadze kiepski humor chłopaka.

– Gdzie Meredith? – spytał Falko.

– Poprosiłem go, żeby dziś nie przychodził.

Chłopak spojrział na Dwimervane i Dusaule'a, siedzących na zwykłych miejscach. Stary mag bitewny miał na sobie gruby wełniany płaszcz, a ciemnoniebieskie łuski smoczycy kontrastowały z bielą śniegu zalegającego na stopniach i trybunach wokoło.

– Czujesz się pominięty, co? – rzucił z pozorną niefrasobliwością Aurelian po chwili ciszy.

Zastanawiając się, o co chodzi, Falko rozejrzał się po arenie. Zaprzeczył niemrawym ruchem głowy, ale właściwie była to prawda – czuł się pominięty, a jego umysł poczęła spowijać aura osamotnienia.

– Nie przejmuj się – podjął Aurelian. – To zupełnie normalne. Bycie magiem bitewnym to samotnicza robota. Ale są rzeczy, które to wynagradzają – dorzucił z błyskiem rozbawienia w oczach. – Dlatego właśnie zaaranżowałem na dzisiaj coś specjalnego.

Podęjrzliwość Falka tylko się wzmogła. Zwykle, gdy Aurelian chciał „spróbować czegoś nowego”, skutkowało to dla ucznia znaczną ilością bólu i niewygody.

Patrzył, jak weteran idzie na przeciwny kraniec areny. A potem, gdy stary mag bitewny skinął głową w niebo, Falko poczuł, że coś spada w dół. Okręcił się akurat w porę, by zobaczyć lecącego w jego stronę smoka. Nie zastanawiając się ani chwili, otoczył się magiczną osłoną, by oprzeć się nieuniknionej kolizji, ale bestia w ostatniej chwili złamała tor lotu i przefrunęła nad jego głową. Gdy to zrobiła, postać w zbroi zeskoczyła z jej grzbietu i wylądowała na ziemi przed Falkiem, przetaczając się w celu zamortyzowania uderzenia, a następnie poderwała się na nogi. Mężczyzna w zbroi dobył miecza i przybrał postawę bojową.

Falko nie miał przy sobie broni, ale również przybrał odpowiednią postawę. Skupił się.

– Popatrz tylko! – zawołał radośnie Aurelian. – Mówiłem ci, że robi postępy.

Postać w pancerzu wyprostowała się, włożyła miecz do pochwy i zdjęła hełm. Długie czarne włosy wysypały jej się na ramiona i plecy.

To nie mężczyzna, uprzytomnił sobie Falko, tylko kobieta!

Obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu, a potem podeszła, położyła wolną rękę na jego ramieniu i ucałowała go w oba policzki. Nie spieszyła się z tym drugim pocałunkiem. Jej policzek długo stykał się z jego twarzą. Ostatecznie objęła go i uściskała, a Falko czuł się coraz bardziej rozbrojony.

– Bienvenue petit frère – powiedziała.

Na wargach kobiety zajaśniał uśmiech. Raz jeszcze ścisnęła jego ramię, a potem obróciła się twarzą do Aureliana. Zrobiła kilka kroków i rzuciła się w jego objęcia. Weteran zachwiał się i złapał ją mocno swoją jedyną ręką.

– Ostrożnie, dziewczyno! Potniesz mnie na sztuki tym pancerzem – zaśmiał się, gdy ostra krawędź naramiennika wpiła się w jego zarośnięty policzek.

Gdy go wreszcie puściła, pobiegła do Dusaule'a i Dwimervane, by powtórzyć rytuał obściskiwania.

Falko dopiero zaczynał przetwarzać w głowie tę serdeczność oraz bliskość między gościem, magami i smoczyką, gdy nagle poczuł gdzieś nad

sobą jakąś nową obecność. Zawiał wiatr i buchnął śnieg, a obok niego wylądował piękny smok o bursztynowych łuskach. Bestia złożyła skrzydła i objęła Falka wnikliwym spojrzeniem, a potem podeszła do Aureliana, który zetknął się ze smokiem czołem. Weteran podniósł rękę i objął czule smoczą szyję, a wówczas Falko zauważył rany na ciele stworzenia. Mnóstwo starych blizn, ale też pewną liczbę świeżych.

Ślady poparzeń, porwana błona skrzydeł, głęboko zarysowane rany po ostrzu, które przebiło się przez pancerz łusek. Lecz mimo tych pamiątek z rozlicznych bitew smoczyca nie wydawała się cierpieć ani potrzebować pomocy.

– Jak się miewasz, moja piękna? – powiedział Aurelian.

W odpowiedzi stworzenie trąciło go serdecznie pokrytym łuskami długim pyskiem. A potem dotknęło głową jego pokrytego bliznami boku pod kikutem ręki.

– Jest w porządku – powiedział Aurelian. – Tylko trochę mi sztywno w ten ziąb.

Smoczyca przyglądała mu się przez chwilę. Odwróciła głowę, by popatrzeć na Dusaule'a i Dwimervane, a potem podeszła do Falka, który pochylił czoło, by się przywitać.

– Pozwól, że przedstawię ci Nathalie Saigal – rzekł Aurelian. – Oraz jej smoczycę Ciel.

Falko skłonił się każdej z nich z osobna.

– Jesteś wyższy, niż się spodziewałam – powiedziała Nathalie, znowu podchodząc do chłopaka.

Zmieszany Falko spuścił wzrok, choć zdziwiło go to, jak swobodnie czuje się w jej towarzystwie. Gdy podniósł oczy, opromieniła go uśmiechem.

Nathalie Saigal mogła mieć około trzydziestu pięciu lat, miała wysportowaną sylwetkę i wyrazistą twarz o wydatnych kościach policzkowych, a oczy tak ciemne, że prawie czarne. Wydawała się osobą energiczną i najwyraźniej była szczerze uradowana spotkaniem z Falkiem. Było też w niej jakieś zmęczenie, jakby długo borykała się z jakimś trudnym i niewdzięcznym zadaniem. Biała blizna biegła od nasady jej nosa przez policzek do ucha, ale, tak jak jej smoczyca, kobieta nosiła też ślady po świeżych ranach. Jej twarz i ręce pokrywała siatka drobnych draśnień i obtarć. Prawa ręka była zabandażowana, a wielki siniec zaczynający się

u podstawy zuchwy i nękający pod napierśnikiem zwracał szczególną uwagę. Uniosła brew, widząc, jak Falko się jej przypatruje, a potem się uśmiechnęła.

– Miło cię poznać – powiedziała z płynnym akcentem z Clemoncé. – Nigdy nie było mi dane poznać twojego ojca, ale nie wierzę w to, co się o nim mówi. Znaczący mam na myśli sam koniec.

– To prawda – rzekł Falko. – Naprawdę zabił tych wszystkich ludzi.

– Och, ależ wiem – powiedziała Nathalie, a coś w jej głosie zadźwięczało jak stal. – Po prostu w to nie wierzę.

Falko przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem kiwnął głową na znak, że rozumie.

– To co? – Uśmiechnęła się wyzywająco. – Chciałbyś przelecieć się na smoku?

– Co... Znaczący... Nie! – zająknął się chłopak, skacząc wzrokiem od Nathalie do Ciel.

Obie zwróciły się do Aureliana, który nagle poświęcił całą uwagę płynącym po niebie chmurom.

– Nawet mu nie powiedziałaś? – rzuciła oskarżycielskim tonem Nathalie, a potem odwróciła się twarzą do Falka. – On jest po prostu niemożliwy – rzekła, krzywiąc się z dezaprobatą.

– Nie chciałem go martwić – tłumaczył się weteran.

Nathalie obrzuciła go spojrzeniem półprzymkniętych oczu, a następnie utkwiała wzrok w Falku.

– To chcesz polatać czy nie?

Z dawna zapomniany sen



Falko ścisnął kolanami grzbiet smoczycy i wczepił się palcami w jej łuski.

– Właśnie tak – powiedziała Nathalie, gdy złapał za kolce na karku Ciel i wsparł łokcie po obu stronach kręgosłupa. – Latałeś już, co?

– Nie, nigdy.

Nathalie skrzywiła się i popatrzyła na Aureliana, ale Falko tego nie zauważył. Jego serce łomotało na samą myśl o tym, co się zaraz stanie. Aurelian i Nathalie dostosowali uprzęż do jego wzrostu. Falko czuł, jak łuski Ciel obejmują jego przedramiona.

– Nie ma jakiegoś pasa albo strzemion? – zapytał i oblał się rumieńcem, gdy Aurelian i Nathalie wybuchnęli śmiechem. – A co będzie, jak spadnę?

– Nie spadniesz – zapewniła go Nathalie.

Stała bliżej głowy smoczycy.

– Potraktuj go delikatnie, proszę – powiedziała do Ciel, gdy smocze rogi zaskrobały o jej pancerz.

– Jak mam jej mówić, dokąd ma lecieć? – spytał Falko, znowu wzbudzając falę śmiechu.

– Wcale nie masz – odpowiedziała Nathalie. – Decydujecie o tym razem.

Falko rzucił jej strwożone spojrzenie. Co to w ogóle za rada?

– Sam się zaraz przekonasz – zapewniła go Nathalie. – Najważniejsze to zaufać smoczycy.

Falko przełknął nerwowo ślinę.

– Spróbuj się rozluźnić – powiedział Aurelian. – Kto wie, może ci się

spodoba?

Odsunęli się od Ciel, a Falko zebrał się w sobie i odetchnął głęboko. Wówczas zauważył, że Dusaule znika za krawędzią Moździerza.

Aurelian podążył za spojrzeniem chłopaka.

– Są rzeczy, na które nie może patrzeć, bo sprawiają mu zbyt wielki ból – wyjaśnił i wymienił spojrzenia z Nathalie. – Nie kłopotz się tym – podjął. – To nie ma nic wspólnego z tobą. – Odczekał chwilę, by upewnić się, że Falko zrozumiał, a potem się uśmiechnął. – To jak, gotowy?

Falko kiwnął sztywno głową.

Ciel wygięła długą szyję, by na niego popatrzeć. W głębokim spojrzeniu czerwonych oczu było coś, co ukoilo zdenerwowanie chłopaka. Smoczyca kiwnęła wielką głową, a potem rzuciła się do biegu. Trzema wielkimi susami dotarła do ściany areny, wybiła się z ostatnich szerokich stopni i rozłożyła skrzydła.

Falko miał wrażenie, że zostawił żołądek na piasku areny. Wzlecieli szybko w powietrze, raptownie zwiększając wysokość. Była to najbardziej emocjonująca, przerażająca i wspaniała rzecz, jakiej Falko doświadczył w życiu. Zaciskał powieki i trzymał się mocno smoczych kolców, bał się poruszyć, aż wreszcie zaczął stopniowo wynurzać się z głębi oszołomienia i na jego zmysły naparła cała gama wrażeń. Wściekły, zimny wiatr. Pokrzepiające ciepło smoczycy. Nieprawdopodobne wrażenie wolności. Zrywy powodowane machnięciami olbrzymich skrzydeł, które niosły go coraz wyżej.

Gdy wreszcie udało mu się otworzyć oczy, odkrył ku własnemu osłupieniu, że wcale się nie boi. Na północy i wschodzie rosły pod niebo okryte śniegiem szczyty gór, a za nimi, o czym przekonał się, gdy wzlecieli wyżej, kryły się kolejne i kolejne. Zaczął rozglądać się niepewnie. Za jego plecami rozciągało się szare zimowe morze, poznaczone wzdłuż brzegu pręgami turkusowego. Popatrzył w dół, na rozłożoną u jego stóp Furie, śmiesznie małą z tej perspektywy. Wyraźnie widział zarys podwójnych murów obronnych i upstrzone statkami wody przystani. Pałac lśnił w popołudniowym słońcu, ludzie przemykali ulicami, mali jak mrówki.



Wciąż wzbijali się wyżej. Falko wzmocnił uścisk, gdy Ciel odbiła mocno na prawo. Okręcili się w powietrzu i chłopak zorientował się, że patrzy na akademię. Widział jak na dłoni czworoboczny budynek baraków, długie linie stajni i liczne pozostałe budynki oraz poligon. Obok stał wielki biały namiot i Falko ujrzał poruszające się przy nim maleńkie postacie. Obejrzał się na góry.

W ten sposób dotarłbym do Palca raz-dwa, rzuciło mu się na myśl i raptem wspomnienie sterczącej skalnej kolumny rozbłysło w jego umyśle.

– Tak – wydyszał i poczuł, jak Ciel zmienia kierunek, by pomknąć w stronę gór.

Przez chwilę skaliste zbocza wydawały się bardzo daleko, ale zaraz potem zyskały na ostrości i zaczęły się szybko zbliżać. Falko był pewien, że

się rozbijają, ale w ostatnim momencie Ciel rozrzuciła skrzydła na boki i wykonała coś na kształt podniebnego piruetu, a potem wylądowała z gracją na skalnym obelisku.

Falka zdumiało to, jak delikatnie jej nogi zetknęły się ze skałą. Nie zarzuciło nim, nie szarpnęło, po prostu opadł wraz ze smoczycą lekko jak piórko. Siedzieli tam razem, a chłodny wiatr burzył mu włosy.

Czuł pod sobą smoczycę. Czuł rytm jej oddechu i głębokie bicie wielkiego serca. Poruszyła głową, podziwiając widok, a Falko nabrał osobliwego wrażenia, że wie, na co dokładnie patrzy: flagi powiewające na wieżach pałacu, grupka żołnierzy ujeżdżających konie w zagrodzie przy stajniach, mroczniejąca w dali wieża magów, wznosząca się na tle ośnieżonych gór niczym ułamany obsydianowy filar, pozostałość po jakiejś olbrzymiej świątyni z zapomnianych dni.

Ciel utkwiała spojrzenie na wieży i Falko również. Bardziej niż jakikolwiek inny budynek robiła wrażenie zamkniętej i groźnej. Skrywała wielkie tajemnice i wielką moc.

Chłopiec w końcu oderwał od niej wzrok, a Ciel poszła w jego ślady, jakby teraz to ona wiedziała, na co patrzy Falko. Sięgnął spojrzeniem poza miasto, gdzie wypływał w morze trójmasztowy statek handlowy. Falko nigdy nie pływał po morzu. Myśl, że mógłby to zrobić, wydała mu się podniecająca i straszna. Zastanawiał się, jak by to było ujeżdżać fale i czuć na twarzy słoną wodną mgiełkę. Z uśmiechem skupił spojrzenie na statku i ponaglił Ciel do lotu. Wydawała się dokładnie wiedzieć, dokąd Falko chce polecieć. Zeskoczyła lekko z Palca i rozłożyła skrzydła, spłynęła w dół stoku niemal po linii skał, a potem wzbijała się ponad płaskowyż. Mknęli nad miastem z oszałamiającą prędkością, a potem przebrnęli nad murem przystani. Szybko dogonili szkuner i Falko zobaczył marynarzy na linowych drabinkach, wpatrzonych w kołującego na niebie w pełnej krasie smoka, władcę wiatru, który oni łapali w żagle i na którego łasce płynęli teraz w stronę horyzontu.

Ostatnie ślady niepokoju i obaw dawno już wywietrzały Falkowi z głowy. Przycisnął pierś do ciepłego grzbietu Ciel, ramion używając raczej do utrzymania równowagi niż do kurczowego trzymania się życia.

Wyżej, pomyślał. Polećmy jeszcze wyżej i jeszcze szybciej.

Ciel jakby pojęła treść jego myśli, raptem zwróciła się ku słońcu

i odskoczyła na znaczną odległość od morskiej tafli. Z każdym machnięciem skrzydeł Falko czuł niesamowity przyływ mocy, zdolnej wynieść smoka i człowieka wysoko w niebo. Statek był teraz mały jak dziecinna zabawka, zagubiona wśród szaroniebieskiego przestworu wody. Szum wiatru i zimna mgła na twarzy dotknęły czegoś zagrzebanego w umyśle chłopca, wspomnienia, które tkwiło tam zduszone od lat.

Jesteśmy w chmurach, pomyślał, i wtedy dotarło do niego, że miał już kiedyś taką myśl, dawno temu, zanim jeszcze nauczył się formułować słowa.

Jesteśmy w chmurach, pomyślał znowu, a w jego głowie rozbrzmiał śmiech, głęboki i cichy, przeznaczony tylko dla niego. Poczł kogoś za sobą, kto obejmował go ramionami, tulił do piersi, budził poczucie bezpieczeństwa. Żadnych słów, żadnej twarzy, po prostu obecność – ojciec pokazujący synowi nieporównywalny z niczym innym cud dzielenia nieba ze smokiem.

Robiłem to już wcześniej, dotarło do Falka. Gdzieś w odległej przeszłości, przed chorobą, przed nieszczęściem i utratą. Był tu już, widział to już kiedyś.

Wypadli z chmur i Falko poczuł na twarzy ciepło bladego zimowego słońca. Puścił szyję Ciel i siadł prosto, smakował niewyobrażalne uczucie swobody, gdy przecinali mroźne powietrze. Jego twarz była odrętwiała, ręce zaczynały sztywnieć od zimna, ale on trwał z zamkniętymi oczami, zatraciwszy się w zaufaniu. Na tej wysokości prawie nic nie dzieliło go od pewnej śmierci, a jednak nigdy w życiu nie czuł się taki bezpieczny. Spojrzał w dół, na świat Furii, rozwinięty przed nim jak mapa. A potem usłyszał w umyśle dalekie echo głosu ojca.

„A teraz złap się mocno” – powiedział, a Falko usłuchał.

Przywarł do smoczego ciała, złapał kolce na karku i omyło go pokrzepiające uczucie bezpieczeństwa, gdy łuski poruszyły się i wczepiły w jego ramiona. A potem wielki smok odbił mocno w prawo, nieomal odwracając się do góry nogami, a Falko zamknął oczy, gdy spadali razem ku ziemi, szybciej niż drapieźny ptak, po którym otrzymał imię.

Oto chwała, pomyślał Falko, którego duszę przepełniała świetlista obecność smoczycy. Jak to możliwe, aby było w tym zło?



Daleko w dole, na arenie Moździerza, Aurelian i Nathalie ujrzeni, jak smoczyca i jeździec przebijają się przez chmurę i pikują w dół w pełnej prędkości bojowej.

– On już latał – powiedziała Nathalie. – Ciel nie fruwałaby tak z nowicjuszem.

Stojący obok Aurelian mógł tylko pokiwać głową.

Ale nie tylko oni byli świadkami lotu Falka.



Stojący na poligonie emisariusz wywołał kadetów z namiotu.

– Czy to jest Falko? – wyrzekła z niedowierzaniem Bryna.

Chevalier pokiwał wolno głową, gdy wielki bursztynowy smok przecinał powietrze nad nimi. Malaki stanął obok, popatrzył w niebo i się uśmiechnął. Reszta kadetów nie posiadała się ze zdumienia, widząc Falka latającego na smoku, ale Malaki znał go całe życie i wcale nie czuł zdziwienia. Wcale a wcale.



Przez obszerne pałacowe okno królowa przypatrywała się mknącemu nad miastem smokowi, który fruwał w stronę morza. Zdziwiła się, gdy Aurelian poprosił ją o pozwolenie na pierwszy lot Falka. Stary zgryźliwiec nie był tak nieczuły, na jakiego pozował. Wiedział o napiętych stosunkach między koroną a magami. Jeśli niedostatecznie kryła się przed nimi ze swoim poparciem dla smoków, magowie przywoływali w ramach wymierzonego w nią kontrargumentu ogarnięte szaleństwem czarne smoki. Ale królowa nie mogła znieść myśli o tym, że miałyby odwrócić się plecami do Wielkich Duszy, które dały światu tak wiele.

– Świetnie sobie radzi – rzekł Cyrano, stojący przy jej boku. – Może Chevalier miał nosa, sprowadzając chłopaka do Furii.

Tak, pomyślała królowa. Na to wygląda.



Z wysokiego balkonu komnaty wielkiego veneratu Galen Thrall obserwował wzbijającego się ku chmurom smoka, w którego łuskach koloru palonej pomarańczy lśniło słońce.

– A więc wątpliwości się rozwiały – orzekł.

– Tak – potwierdził stojący obok Morgan Saker. – Syn Dantégo jest magiem bitewnym.

– Kiedy będzie gotowy do rytuału?

– To zależy od tego, jak szybko będzie się uczył. Zwykle zajmuje to rok lub więcej, ale w jego przypadku? Trudno ocenić.

– Powiedz więc braciom, żeby natychmiast rozpoczęli przygotowania – rzekł Thrall, gdy patrzyli na wynurzającego się z chmur smoka, który zbliżał się ku ziemi jak spadająca gwiazda. – Coś mi mówi, że syn Aquili Dantégo okaże się pojętny, a my nie możemy pozwolić sobie na to, żebyśmy spotkali się z nim nieprzygotowani.



Falko otworzył oczy i zobaczył, że spada. Szybkość dławiała go, ale nie czuł strachu. Widział rosnący szybko w dole owalny lej Moździerza, ale w momencie gdy smok i jeździec zrównali się z jego poziomem, Ciel rozłożyła skrzydła, by spowolnić opad. Falko poczuł, jak siła odśrodkowa wciska jego ciało w grzbiet smoczyca, a potem nacisk łagodnieje, gdy bestia ląduje z gracją kilka jardów od Aureliana i Nathalie. Dwoje magów bitewnych zasłoniło się przed gradem śnieżnych drobinek, które Ciel wbiła w powietrze uderzeniami skrzydeł.

Piękna bursztynowa smoczyca znieruchomiała, a Falko wcisnął policzek w ciepłe, połyskliwe łuski. Wiedział teraz, że to nie był jego pierwszy lot. Latał przecież z ojcem, tak dawno temu, że prawie nie pamiętał. W jego umyśle łuski, na których opierał dłonie, lśniły najgłębszym odcieniem krwi – były niemal czarne.

Falko wiedział, że powinien się poruszyć, ale odkrył, że nie może. Czuł, że jeśli to zrobi, umknie mu to bezcenne wspomnienie, tak jak sen umyka temu, kto się budzi; wspomnienie ostatniego ojcowskiego pocałunku, które

pozwoili mu przetrwać natarcie demona. Łzy spłynęły po jego policzkach i zniknęły między łuskami na grzbiecie Ciel. Intensywne uczucie zaczęło się rozwiewać, ale wspomnienie trwało w jego głowie. Powróciwszy do rzeczywistości, zawstydził się, że tak zdradził się z emocjami, ale potem poczuł na ramieniu delikatną dłoń i otworzył oczy. Zobaczył, że Nathalie też płacze, że w oczach stojącego za nią Cruza również zbierają się łzy.

Nie znali szczegółów przeżycia Falka, ale wiedzieli, jak silna więź może połączyć człowieka ze smokiem. A ponad nimi, spoglądając na arenę przez szczelinę w ścianie Moździerza, stał Nicolas Dusaule. Jego policzki były suche, ale serce również płakało. Nikt w Moździerzu nie płakał tak bardzo jak on.

Komnata Rady



W ciągu następnych kilku tygodni Falko latał z Ciel jeszcze trzykrotnie, za każdym razem nieco dalej, za każdym razem próbując sięgnąć głębiej w swoją przeszłość w nadziei, że wydobędzie z niej inne pogrzebane wspomnienia. Ale wyglądało na to, że Falka nie czekały już żadne nowe olśnienia. Nie czuł zawodu, wystarczyło mu, że wiedział na pewno, iż sensne wizje w jego umyśle nie były wytworem jego wyobraźni, tylko najprawdziwszą prawdą. Chętnie latałby częściej, ale Aurelian wyjaśnił mu, że Nathalie i Ciel będą niebawem musiały wrócić do illicyjskiego fortu.

– Przyleciały tu tylko na krótko, żeby odpocząć i wrócić do sił – powiedział Falko przyjaciołom, gdy siedzieli przy przenośnym palenisku w barakach. – Nathalie nie mówi o tym za wiele, ale coś mi się widzi, że sytuacja na froncie nie jest za wesoła.

– Może dowiemy się więcej dziś w nocy – powiedział Malaki.

Pozostali kadeci pokiwali wolno głowami. Dzisiejszej nocy mieli po raz pierwszy wziąć udział w spotkaniu strategicznym w Komnacie Rady. Lanista Magnus powiedział im również, że poznają szczegóły kampanii ćwiczebnej, która odbędzie się wiosną.

– Ciekawe, dokąd nas wyślą – namyślał się Alex.

– Mnie chyba donikąd – rzekła Bryna z rozpaczą.

Falko i pozostali wymienili niezręczne spojrzenia. Instruktorzy wyjaśnili im jasno i przejrzyście, że uzyskają pozwolenie wzięcia udziału w kampanii tylko wtedy, gdy ich jednostki wykonają wymagane manewry na polu

bitwy, włącznie z niesławnym manewrem trawersowym.

Pozostali kadeci notowali postępy i tylko Bryna wciąż miała kłopot z Urwipółciami. Pomimo jej wyteżonych starań udawali tylko, że wypełniają jej rozkazy. Dopiero gdy Patrick Feckler skinął głową, robili, co im kazała, a wieści o znikomej kontroli Bryny nad przydzieloną jej jednostką zaczynały powoli docierać do uszu instruktorów. Przyjaciele nie mogli jednak dalej o tym rozmawiać, gdyż właśnie zjawił się lanista Magnus, by zabrać ich do miasta na spotkanie.

– Każdy może zabrać głos – powiedział. – Ale zalecałbym trzymać język za zębami, chyba że macie do powiedzenia coś sensownego. Marszałek Breton nie lubi, gdy włącza się do dyskusji ktoś źle poinformowany.

Kadeci mruzcili między sobą, nie mogli bowiem doczekać się spotkania.

Rozmowy nie ustawały, gdy schodząc z płaskowyzu, zapuścili się w ulice miasta, opromienione mętnym światłem latarni. Zamilkli dopiero wtedy, gdy wyłonili się na szeroki brukowany plac otaczający Komnatę Rady i zaczęli chłonąć wzrokiem niesamowity, przykryty imponującą kopułą gmach, do którego napływały szeroką bramą tłumy ludzi.

Lanista Magnus poprowadził ich w tym właśnie kierunku. Minęli łuk i znaleźli się w obszernym korytarzu, bardzo różnym od ciemnego tunelu, którym Falko zmierzał na rozprawę. Doszli nim na balkon wielkiej sali zastawionej krzesłami, gdzie momentalnie uderzył ich gwar ludzkich głosów, dobywających się z setek gardeł.

Kadeci wypełnili kilka rzędów, gdy głosy wokoło zaczęły cichnąć, a uczestnicy spotkania – zajmować miejsca. Falko usiadł z przyjaciółmi, a lanista Magnus zaraz za ich plecami. Po drugiej stronie pomieszczenia Falko wypatrzył Nathalie w towarzystwie dwóch mężczyzn w mundurach. Kilka rzędów od niej siedziała grupa magów, a wśród nich Morgan Saker i Galen Thrall.

Falko przestał na nich patrzeć i rozejrzał się po okazałej komnacie, oświetlonej kilkudziesięcioma mosiężnymi lampami oliwnymi, które albo przymocowano do ścian, albo spuszczone z sufitu na łańcuchach.

Podłoga była pusta, jeśli nie liczyć pojedynczego rzędu krzeseł po jednej stronie. Wydzielona na środku sali owalna przestrzeń zasłana była wielkim dywanem, długim na trzysta stóp, a szerokim na dwadzieścia stóp. Falko pamiętał ten dywan ze swojej pierwszej wizyty, ale nie docenił go wówczas

należycie. Z miejsca, w którym siedział, widział dokładnie, że przedstawiał mapę, i to nie tylko Clemoncé, ale całego świata Furii. Gdy wodził po nim wzrokiem, kilku asystentów podeszło i zaczęło go zwijać. Wówczas Falko zorientował się, że ten dywan stanowił tylko pokrycie prawdziwej, leżącej pod spodem mapy – wykonanej z tak wielkim przywiązaniem do szczegółów, że na jej widok dosłownie zaparło mu dech w piersi.

– Spójrz tylko na to! – szepnął do Bryny nabożnym tonem i potrząsnął głową. W najpiękniejszych snach nie mógłby wyobrazić sobie takiej mapy.

Miejsce przykryte dywanem zajmował wielki prostokątny intarsjowany panel. Kartografowie użyli kamieni w różnych kolorach, by odróżnić ląd od morza. Ziemię zaznaczyli ciepłymi, ziemistymi odcieniami ochry, a wodę – bladą, połyskliwą szarością. Rama otaczająca mapę ozdobiona została eleganckim plecionym wzorem wyłożonym srebrem i brązem. Powierzchnię wypolerowano na połysk, który uwydatnił bogactwo kolorowych kamieni, nie zacierając jednocześnie niesamowitej ilości detali.

Kadeci patrzyli jak oczarowani, a Falko poczuł się tak, jakby znów leciał na grzbiecie Ciel wysoko ponad światem.

– Patrz – powiedział Malaki, wytrącając Falka z zachwyty. – Tam jest Caer Dour.

Falko podążył wzrokiem po linii wytyczonej jego palcem, aż ujrzał małą kropkę oznaczającą położenie ich rodzinnego miasteczka w północnej Valencji.

– A tam jest Reiherstadt, skąd pochodzimy my – powiedział Alex. – O tam, wzgórza na północ od jeziora Viegal.

Falko znalazł miejsce, o które chodziło Alexowi, ale zaraz zauważył też, że Reiherstadt leży w części mapy pomalowanej jakimś czerwonym lakierem. Czerwona plama rozciągała się na całą Ferocję i pokrywała większość Illicji i Beltane. Chłopak uprzytomnił sobie, że zaznaczono tak obszar nazywany Utraconymi Ziemiami – było to terytorium zagarnięte przez Opętanych.

Dywan wreszcie usunięto i asystenci wyszli przez tunel, którym zaraz wkroczyli do środka skrybowie i kartografowie. Nieśli ze sobą zwoje papieru i pojemniki z przyborami do pisania. Ich zadaniem było notowanie najważniejszych punktów spotkania. Dwaj z nich nieśli tace wypełnione małymi metalowymi ozdobami, podobnymi do bierek szachowych, podczas

gdy kolejny dźwigał długie mosiężne pręty, które musiały służyć za wskaźniki. Gdy ustawili się wzdłuż boku mapy, tym samym korytarzem wszedł do komnaty mężczyzna, w którym Falko rozpoznał Cyrana, doradcę królowej.

Ubrany jak zwykle w czarny szenilowy dublet i turkusowy płaszcz, zatrzymał się i omiół salę jastrzębim spojrzeniem. Gdy uznał, że wszystko jest jak należy, odsłonił wejście, a zebrani wstali z miejsc. Na rozkaz lanisty Magnusa kadeci uczynili to samo.

Królowa Catherine weszła do sali wraz z księciem Ludovikiem przy boku. Falko przypomniał sobie, jak uderzającą była kobietą – wysoką i smukłą, o długich czarnych włosach i twarzy tchnącej jednocześnie pięknem i siłą.

Za nimi szedł mężczyzna, którego Falko widział po raz pierwszy.

– To marszałek Breton – wyszeptał Alex, wskazując głową mężczyznę o surowej minie i długich siwych włosach, schludnie przystrzyżonej brodzie i wąsach.

Następnie w komnacie pojawił się ciemnowłosy mężczyzna z wąsami i brodą przystrzyżonymi w tym samym stylu co zarost marszałka.

– To generał Renucci z Czwartej – rzekł Alex. – Pierwszy dowódca po Chevalierze.

Falko spoglądał chwilę na generała, ale zaraz jego wzrok przyciągnął emisariusz. Wyglądał niemal elegancko w tunice z szarego aksamitu. Miał umyte i uczesane włosy, a Falko nigdy nie widział go tak wystrojonego. Dziwił go więc siwy cień zarostu na jego żuchwie.

Gdy dygnitarze usiedli, kartografowie skłonili się królowej, a potem podeszli do mapy. Dwóch z nich uklękło i zaczęło usuwać linię wyznaczającą granicę Utraconych Ziem. A potem, posiłkując się kilkoma mniejszymi mapami, narysowali nową linię i wypełnili czerwienią nowy obszar. Karmazynowy płyn nie wnikał w polerowany marmur, ale schnął z czasem, zostawiając po sobie wypłowiały osad i sprawiając wrażenie, jakby pomalowany nim obszar płonął. Widok zamalowywanego terenu dawał pojęcie o tym, jak szybko Opętani zagarniali nowe tereny, i działał jak kubał zimnej wody wylanej prosto na głowę. Tylko na dwóch obszarach sojusznicy wciąż bronili się przed wrogiem: na północy, w okolicy illicyjskiego miasta Hoffen, i na południu, w pobliżu beltańskich miast

Aengus i Dziewicy.

– I to wszystko w raptem parę miesięcy – rzekł Alex. – Za rok nic nie zostanie z Illicji i Beltane.

Falko rzucił okiem na dwóch braci. Byli Illicjanami, ale wydawało się jasne, że nawet oni nie byli świadomi, jak źle toczą się sprawy.

Narysowawszy nową linię frontu, kartografowie rozstawili na mapie niewielkie metalowe pionki. Małe brązowe tarcze reprezentowały sojusznicze armie, a miniaturowe zamki oznaczały położenie ufortyfikowanych miast.

– Bierki z mieczami to magowie bitewni – wyjaśnił lanista Magnus. – Opętani oznaczeni są sztandarami, a demony figurkami w kształcie demonów.

– A tamten demon w Beltane? – zaciekawiała się Bryna. – Wygląda inaczej niż pozostałe.

– Sądzymy, że to dowódca wroga – odrzekł lanista. – Ten, którego zważ Marchio Dolor.

Na dźwięk jego imienia Falka ogarnął niepokój. Światło w komnacie jakby przygasło, a w umyśle chłopaka zabrzmiał basowy, demoniczny głos z jego koszmarów.

„Nigdy byś się nie odważył. Nigdy nie znalazłbyś w sobie siły”.

Pole widzenia Falka zawężało się, tak że nie widział nic poza małą brązową figurką Marchia Dolora. Lecz wtedy jego spojrzenie powędrowało na północ i Falko zmarszczył brwi, jakby spodziewał się ujrzeć na mapie jeszcze jedną charakterystyczną bierkę. Jakiś dźwięk zaczął pulsować w jego uszach, ale chłopak nie potrafił powiedzieć, czy to warczenie demona, czy może szum krwi płynącej w jego żyłach.

– Wszystko w porządku?

Głos Malakiego przywołał go z powrotem na ziemię. Falko rozejrzał się po komnacie.

Kartografowie skończyli rozstawiać znaczniki i teraz stało się jasne dla wszystkich, że wróg ma miazdzącą przewagę liczebną. Odstąpiwszy od mapy, kartografowie skłonili się królowej, która następnie dała znak marszałkowi Bretonowi.

Podchodząc do boku mapy, mężczyzna wziął od jednego z kartografów długi mosiężny pręt i nie siląc się na grzecznościowy wstęp, w kilkunastu

związłych zdaniach podsumował obecną sytuację na froncie.

Falko przyglądał się z perwersyjną przyjemnością, jak marszałek tłumaczy zebranym rozpaczliwe położenie Furii. Kadet pierwszy raz widział taką mapę, ale nawet dla jego niewprawnego oka i ucha sytuacja była tragiczna. Jediną rzeczą, którą uznał za dziwną, było rzucające się w oczy puste pole wśród wojsk Opętanych, jakby kartografowie zapomnieli postawić tam jeszcze jedną figurkę. Był pewien, że marszałek zaraz to wyjaśni, ale mężczyzna zdawał się konkludować swoją przemowę.

– Jeśli Opętani będą posuwać się naprzód w tym samym tempie, w ciągu roku znajdą się na naszej granicy.

– A co z Acheronem i Thraecją? – spytał ktoś z końca sali. – Czy wciąż odmawiają przyłączenia się do nas?

Marszałek Breton potwierdził skinieniem.

– A Valencja? – padło pytanie. – Czy będzie walczyć z Opętanymi, gdy ci dotrą do jej granic?

– Obawiamy się, że nie – odrzekł Breton. – Mamy powody sądzić, że król Vittorio wycofa swoje siły, żeby bronić Caer Laison.

– Ale w ten sposób zostawi przesmyk Amaethon bez obrony – zauważył generał Renucci. – Opętani będą wówczas mogli zignorować Caer Laison i ruszyć prosto na Navarię.

– Owszem, istnieje takie zagrożenie – przyznał Breton.

– A to z kolei pozostawi naszą południową granicę bez obrony – ciągnął dalej generał. – Może czas rozważyć wysłanie dodatkowych sił do Navarii?

– Nie możemy – uciął marszałek. – Traktat z Acheronem zabrania nam wysłania tam wojsk.

– Ale Navaria nie ma własnej armii. Tyramimus na pewno zorientował się już, że są bezbronni.

– Oczywiście, że tak – powiedziała królowa, stając obok marszałka. – Po to właśnie powstała Navaria. Miała być buforem między dwoma walczącymi narodami.

– Ale jeśli Opętani się przedrą, Navarianie nie mają szans.

– Miejmy więc nadzieję, że się nie przedrą – rzekła królowa, uśmiechając się do wzburzonego generała Renucciego.

Demonstrując anielski spokój, ona również przyjęła wskaźnik od jednego z kartografów i zaczęła podsumowywać to, co powiedział dotąd marszałek.

– A więc Pierwsza Armia stacjonuje obecnie w Hoffen. – Wskazała miasto w północnej Illicji. – Druga i Trzecia są na południu, a Piąta zbiera siły i zaciąga żołnierzy.

– A Czwarta jest już gotowa do walki – dodał marszałek Breton. – Podobnie zresztą jak armia magów.

Królowa pokiwała głową w zamyśleniu.

– Zostają Nieregularni i Légion du Trône.

– Którzy muszą zostać, żeby bronić stolicy – zaripostował marszałek, jakby podejrzewał, co chodzi po głowie władczyni.

– Oczywiście – odrzekła królowa takim głosem, jakby się przed czymś broniła.

– Nie znosi tego – skomentował cicho lanista Magnus. – Nie znosi wysyłać ludzi do walki, gdy sama zostaje w stolicy.

Za pomocą wskaźnika królowa narysowała dwie linie biegnące od Clemoncé do Illicji.

– Tak więc zamierzamy wysłać do Hoffen posiłki w postaci Czwartej Armii, gdy tylko będzie gotowa do walki, a Piątą chcemy przemieścić na południe, żeby obsadziła obszar wokół Ambossu.

– Ale to oznacza, że wszystkie armie będą w polu jednocześnie – zauważył książe Ludovico. – Czy to nie lekkomyślne zostawiać królestwo bez obrony?

– Przeciwnie – odparł emisariusz, również wychodząc z szeregu. – Wysłanie armii poza granice Clemoncé to najlepszy sposób, żeby obronić królestwo. Naszym nadrzędnym celem jest powstrzymać pochód Opętanych. I musimy jakoś przekonać Acheron i Thraecję, żeby się z nami sprzymierzyły. Bez ich wsparcia porażka jest tylko kwestią czasu.

– Acheronczycy są zbyt arogancy – rzekł generał Renucci. – A Thraecy nigdy się do nas nie przyłączą. A przynajmniej nie zrobią tego, dopóki magowie będą więzić króla Cleomenesa na jego łożu śmierci.

Na te słowa podniósł się z miejsca Galen Thrall.

– Jestem całkiem pewien, że Thraecja sprzymierzy się z nami, gdy tylko nasza armia magów sprawdzi się w bitwie. Oni szkolą w tej chwili własne wojsko złożone wyłącznie z magów. Jestem pewien, że odniosą sukces tam, gdzie zawiodły konwencjonalne armie.

Dowódcy wojskowi zjeżyli się na sugestię, jakoby ich ludzie „zawiedli”,

ale twarz królowej nie zdradzała oznak irytacji.

– Armia magów wkrótce będzie miała szansę się wykazać – powiedziała tylko. – W międzyczasie będziemy kontynuować wspieranie Illicji i Beltane. – Zwróciła się do emisariusza: – Kiedy Czwarta Armia będzie gotowa do wymarszu?

– Za dwa lub trzy tygodnie, Wasza Wysokość – odparł emisariusz. – Czekamy tylko na nowe raporty. Jeśli w dolinach nie zalega zbyt wiele śniegu, będziemy mogli pójść prosto na front.

– Dobrze – powiedziała królowa, choć Falko doszukał się w jej głosie niepokoju na myśl o tym, że emisariusz ma wrócić na wojnę. – A czy kadeci będą wówczas mogli bezpiecznie toczyć kampanię treningową?

– Sądzę, że tak – powiedział emisariusz. – Docierają do nas wieści o drobnych napaściach i nocnych potyczkach, ale jeśli sytuacja nie zmieni się dramatycznie w ciągu najbliższych kilku miesięcy, powinno im się udać zakończyć ćwiczenie zgodnie z planem.

– Czy wytyczono już cele ich kampanii?

– Dostarczą żywność i posiłki do miasta Le Matres. Następnie pomogą zbudować dwa nowe mosty na rzece Naern, a potem odeskortują rannych i uchodźców z powrotem do stolicy. Powinno im to zająć jakieś dwa miesiące.

– Świetnie – ucieszyła się królowa. – Przejdźmy więc do wypisywania rozkazów.

Skrybowie ujęli pióra i zaczęli zapisywać rozkazy, które zostaną wysłane na front.

Falko usłyszał, że Bryna powiedziała coś do Malakiego o kampanii treningowej, ale właściwie jej nie słuchał. Wciąż czekał, aż ktoś odniesie się do pustego pola na południe od Hoffen, ale najwyraźniej nikt nie miał takiego zamiaru.

Gdy nabrał pewności, że spotkanie dobiega końca, bezwiednie podniósł się z krzesła. Kartografowie wzięli się do sprząwania mapy. Skrybowie przygotowywali rozkazy. A Falko stał. Ludzie zaczęli szeptać i pokazywać go palcami. Ktoś z nich zaczął się śmiać. Lanista Magnus spojrział na Falka z uniesionymi brwiami, ale nie kazał mu usiąść.

– Masz coś do dodania, kadecie?

Wzrok Falka powędrował do marszałka Bretona, który patrzył teraz

prosto na niego. Reszta zgromadzonych również skupiła na nim wzrok. Marszałek był wyraźnie poirytowany. Thrall mierzył Falka pogardliwym spojrzeniem. Pozostali wydawali się po prostu ciekawi, co też chłopak może mieć do powiedzenia.

– No, panie Danté? – odezwała się królowa. – Czy ma pan coś do dodania?

Falkowi zaschło w ustach, gdy uświadomił sobie, że patrzy na niego cała sala. Zwilżył wargi językiem.

– Zastanawia mnie to puste pole w Illicji.

– Jakie pole? – nie zrozumiał marszałek Breton. Spojrzał na metalowe figury, które sprząтали kartografowie.

– Puste miejsce w wojskach Opętanych – tłumaczył Falko. – Na południe od Hoffen.

Marszałek skrzywił się, jakby Falko bredził bez sensu, ale emisariusz podszedł do wskazanego przez chłopca miejsca.

– Pokaż nam – powiedziała królowa.

Zawstydzony do tego stopnia, że było to niemal ponad jego siły, Falko wyszedł z rzędu i zszedł z balkonu po schodach na parter. Starając się ignorować kamienne spojrzenia Thralla i Bretona, podszedł do marmurowej mapy.

– Tutaj. – Pokazał palcem. – Puste miejsce pośród wojsk Opętanych.

– To nie jest żadne puste miejsce – włączył się generał Renucci. – Spójrz... Ferocka armia jest tu i tam. I ma w okolicy przynajmniej dwa demony.

– Tak – zgodził się Falko. – Ale to jeden z niewielu obszarów frontu, gdzie odnieśliśmy jakiś sukces. Dowódca Opętanych z pewnością chciałby się za to zemścić. Więc powinno coś tu być.

Wszyscy patrzyli na niego i nawet emisariusz stracił pewność siebie.

Twarc Bretona wyrażała irytację i zniecierpliwienie.

– Jak długo uczysz się w akademii? – spytał.

– Około trzech miesięcy, panie.

– A od jak dawna badasz strategię Opętanych?

Falko spuścił wzrok i marszałek Breton prychnął z wyższością. Królowa jednak podniosła wzrok na krzesła po drugiej stronie komnaty.

– Magu bitewny Saigal – powiedziała, zwracając się do Nathalie jej

oficjalnym tytułem – czy widzisz coś niezwykłego w szeregach wroga?

Nathalie spojrzała przelotnie na Falka, nim utkwiała wzrok w mapie. Zmrużyła oczy w zamyśleniu. Wreszcie potrząsnęła głową.

– Sama bym tego nie zauważyła, ale gdy teraz o tym myślę, czuję zaskoczenie, że nasz sukces na północy nie spotkał się z zajadlejszą kontrą.

Królowa zwróciła się twarzą do Falka. Galen Thrall mroził chłopaka pogardliwym spojrzeniem.

– Chyba nie będziemy radzić się chłopca, który nawet nie skończył jeszcze szkolenia na maga bitewnego – rzekł.

– Falko nie zabrałby głosu bez przyczyny – powiedział emisariusz, ale Thrall skwitował jego słowa lekceważącym wyduńciem warg.

– A poza tym – odezwała się królowa – czy to nie sam Syballian powiedział, że magiem bitewnym się nie zostaje, ale się nim rodzi?

Źrenice rozeźlonego Thralla skurczyły się groźnie. Królowa rzuciła mu w twarz słowa najpotężniejszego veneratu wszech czasów. Ale dobrze ukrył swoje emocje, bez słowa skłonił się władczyni i odwrócił, jakby obserwacje Falka nie miały większego znaczenia.

– Cóż – wróciła do tematu królowa – ilicyjscy magowie bitewni Wildegraf Feuerson i Jürgen Focke stacjonują nieopodal tego obszaru. Jeśli jest tam coś dziwnego, z pewnością to odkryją. A poza tym – dodała – Czwarta Armia wkrótce wyruszy w tamtym kierunku. Nie popadajmy jednak w zgubne samozadowolenie. – Zwróciła się do skrybów: – Zawrzyjcie w protokole, że nieregularność w liniach wroga została zaobserwowana przez kadeta Falka Dantégo, szkolącego się na maga bitewnego.

Falko z wysiłkiem przełknął ślinę, gdy jego mętne podejrzenia trafiły do oficjalnego protokołu spotkania. Tylko czas pokaże, czy są one ukorzenione w rzeczywistości. Rozejrzawszy się, pochwycił skrzące dezaprobatą spojrzenie marszałka Bretona i Galena Thralla, ale napotkał też wzrok emisariusza i choć ten się nie uśmiechnął, skinął Falkowi głową, jakby chciał powiedzieć „dobra robota”.

– Czy ktoś jeszcze chciałby coś dodać? – zapytała królowa i zawiesiła głos. Spojrzała na ludzi stojących przy mapie, ale wyglądało na to, że nikt nie ma już nic do powiedzenia. – Zatem dziękuję za wasz czas. Niniejszym uznaję to publiczne spotkanie strategiczne za zakończone.

Wszyscy wstali z miejsc i zaszalutowali, przykładając prawą rękę do piersi, a następnie królowa, skłoniwszy się swoim poddanym, opuściła wraz z dygnitarzami komnatę.

Falko zwrócił się ku przyjaciółom, gdy asystenci ponownie nakryli mapę dywanem. Kadeci patrzyli na niego, jakby nie mogli uwierzyć, że odważył się zabrać głos. Lanista Magnus z początku nic nie mówił, choć jego brwi zastygły w krzywym grymasie.

– Przepraszam – odezwał się Falko. – Po prostu czułem, że muszę to powiedzieć.

– Nie przepraszaj – rzekł lanista. – Skoro masz dowodzić, potrzebna ci będzie moc twojego przekonania. Myślałem, że Galen Thrall urodzi kamień żółciowy, gdy królowa zacytowała mu Syballiana.

Kadeci prychnęli śmiechem i dołączyli do strumienia ludzi wypływającego z Komnaty Rady. Kadeci byli pogrążeni w rozmowie. Alex i Quirren zrobili się milkliwi, co było zrozumiałe, ale Malaki długo rozmawiał z Bryną o jej problemach z Urwipołciami.

– Po prostu pokaż im, kto tu rządzi – radził kowal.

– W tym właśnie sęk! – Bryna załamała ręce. – Oni dokładnie wiedzą, kto tu rządzi. Patrick Feckler, niech go diabli porwą.

– A może wyzwij go na pojedynek? – podsunął Malaki, gdy wyszli na plac. – Gdy go pokonasz, może postawi ich to do pionu.

– Jasne, już to widzę. A poza tym nie wiem, czy zdołałabym go pokonać. Jest świetnym łucznikiem. Jak oni wszyscy. Po prostu mnie nie słuchają. Za dwa dni mam zaprezentować *suivez cinq*, a jeśli nie wykonamy manewru trawersowego, nie zostaniemy w ogóle dopuszczeni do kampanii treningowej.

Malaki złapał ją za ramiona i ucałował w czubek głowy.

– Poradzisz sobie z nimi – powiedział.

Falko uśmiechnął się, choć myślami był już gdzie indziej. Rozwazał to, co powiedział Magnus o nim w roli przywódcy. Nigdy nie myślał o sobie w ten sposób. Ta myśl go przeraziła. Ludzie mieliby ryzykować życie, by wykonać jego rozkazy? Nie miał pojęcia, jak królowa znosi taką odpowiedzialność.

Zabrał głos tylko dlatego, że uznał, iż postąpiłby źle, gdyby tego nie zrobił. Nie uświadamiał sobie, że postanowienie, by zrobić krok naprzód i przyjąć na siebie odpowiedzialność, to właśnie to, co czyni człowieka

przywódcą. Gdyby dotarło to do niego wcześniej, pewnie ugryzłby się w język.

Blokada umysłu



Magowie powrócili do wieży w ponurych nastrojach. Szczególnie grymas na twarzy Galena Thralla budził skojarzenie z chmurą burzową. Pomimo jego prób przejęcia kontroli nad spotkaniem królowa utrzymała swoją pozycję i nie pozwoliła mu opowiedzieć o zaletach armii magów. Dla mężczyzny formatu Thralla była to zniewaga domagająca się krwawej pomsty. A wisienką na tym wyjątkowo wstrętnym torcie było to, że pozwolono mówić Falkowi Dantému. Gdy wrócili do sali przedsiódkowej, Thrall zebrał wokół siebie wszystkich magów.

– Jak wszyscy wiemy, piesek kanapowy królowej za kilka tygodni wyrusza na wojnę – usłyszał jego słowa Meredith. – Musimy być natenczas gotowi, żeby dać mu lekcję sztuki wojennej.

Meredith uniósł brwi na ten pokaz arogancji, ale słowa nie były skierowane do niego, a więc zachował milczenie. Pochylił głowę i ruszył w kierunku schodów wiodących w dół, do archiwów. Prawie dotarł już do pierwszego stopnia, gdy wrył go w ziemię głos Thralla:

– Panie Saker, pan pozwoli. Jeśli ma pan chwilę.

Meredith obrócił się i napotkał niepokojąco wnikliwe spojrzenie wielkiego veneratu. Pozostali magowie zaczęli odchodzić, a Meredith przełknął ślinę na myśl, że będzie musiał stanąć przed czcigodnym mistrzem w samotności.

– Ten Danté... – zaczął Thrall, spoglądając na Mereditha, jakby znał wszystkie sekrety jego serca. – Czy jest pojętny?

– Nie, mistrzu. – Meredith pokręcił głową. – Nauka przebiega opornie.

Ale szybko osiąga doskonałość w tym, czego już zdoła się nauczyć.

Thrall mruknął, jakby nie to chciał usłyszeć.

– I wciąż nie poczynił żadnych postępów w czarach ofensywnych?

Meredith z trudem krył swoje zdumienie. Wielki veneratu najwidoczniej obserwował ich treningi.

– Nie – powiedział. – Jest silny, ale na razie przejawia zdolności jedynie w magii defensywnej. Jeśli chodzi o magię ofensywną, zmaga się z jakąś blokadą umysłu.

– Czy zidentyfikowałeś źródło tej blokady?

Meredith kiwnął głową.

– Poczucie winy, wstyd i strach.

– O, doprawdy?

– Czuje się winny i wstydzi się czynów ojca.

– I obawia się wroga – podsunął Thrall, ale Meredith pokręcił głową.

– Nie, mistrzu. Falko oczywiście boi się Opętanych, ale to nie ten strach blokuje jego myśli.

– A jaki?

– Strach przed szaleństwem i mordem. Obawia się, że stanie się taki jak jego ojciec.

Teraz to Thrall kiwnął głową.

– A czy go przełamie?

– Tego nie wiem. Nie może zmienić tego, co wydarzyło się w przeszłości.

– Prawda. – W wodniście zielonych oczach Thralla załśnił lód.

– Czy to wszystko, mistrzu?

– Tak. Nie chciałbym odciągać cię od studiów.

Niezadowolenie Thralla przyniosło Meredithowi satysfakcję, nowicjusz wiedział bowiem, że stary mag skrycie darzy go niechęcią. Młodzieniec skłonił się i ruszył w stronę archiwów. Schodząc długą i krętą klatką schodową, zaczął się zastanawiać nad tą antypatią magów wobec Falka. W którymś momencie, i to zupełnie niedługo, magowie będą próbowali złamać jego ducha w czasie rytuału Assay. Do jego, Mereditha, obowiązków należało przygotowanie go na to. Lecz jeśli Falko nie zdoła opanować magii ofensywnej, szanse na pomyślne przejście próby będą bardzo małe. Nawet jeśli się ich nie używa, sama wiedza o tym, że ma się do dyspozycji niszczycielskie zaklęcia ofensywne, jest dla poddanego rytuałowi młodego

maga znaczną psychiczną podporą. Meredith był pewien, że bez niej Falko upadnie.

Resztę nocy spędził na wertowaniu rozmaitych tekstów o historii Furii i fizjologii smoków, ale jego koncentrację psuła wpływająca co rusz na powierzchnię jego umysłu myśl. Obawa przed tym, że zawiedzie swojego ucznia.

Szacunek



Następnego ranka kadeci byli w wyjątkowym nastroju do refleksji. Nie dość, że spotkanie strategiczne zmusiło ich do przemyślenia wielu spraw, to jeszcze emisariusz ogłosił, że w związku z rychłym wyruszeniem Czwartej Armii dzisiejsze zajęcia będą ostatnimi z nim w roli instruktora. Pozostali laniści zebrali się tego dnia na zamkniętym spotkaniu i poranna sesja treningowa zakończyła się szybciej niż zwykle. Większość kadetów skorzystała z okazji i udała się na szybszy obiad. Z kolei Quirren w towarzystwie kilku innych kadetów szkolących się na rycerzy poszedł do zagrody, gdzie ujeżdżało się konie, by przygotować się na popołudniowe ćwiczenia.

Malaki poszedłby z nimi, ale Bryna wybierała się na strzelnicę, by po raz kolejny spróbować ulepić coś z niepokornych Urwipołciów, postanowił więc szybko coś przekąsić i pójść z nią. Falko najchętniej od razu pobiegłby do Moździerza, ale wiedział, że Brynie przyda się moralne wsparcie, a więc on i Alex także ruszyli razem z nią. Kiedy dotarli do niskiego wzniesienia, skąd rozciągał się widok na strzelnicę, rozłożyli płaszcze na zimnej ziemi i wyjęli przyniesione z sobą jedzenie.

– Próbowałam wszystkiego – powiedziała Bryna. – Nimi się po prostu nie da dowodzić.

– Ależ oczywiście, że się da – odrzekł Alex.

– Na pewno nie, chyba że jest się zimnokrwistym mordercą, takim jak Paddy Feck.

Malaki i Falko wymienili zmartwione spojrzenia. Nigdy jeszcze nie

widzieli Bryny w takim dołku.

– No cóż, dzisiaj przyszedł tu wcześniej niż zwykle – powiedział Malaki.
– Może po prostu zejdź na dół i zacznij strzelać. Może któryś się do ciebie przyłączy.

– Mowy nie ma – zarzekała się Bryna. – Oni nie robią nic, czego nie rozkaże im Paddy.

Chłopcy skrzywili się dziwnie, ale nic nie powiedzieli. Wreszcie Bryna westchnęła z rezygnacją, wzięła łuk i zeszła ze wzniesienia, kierując się do strzelnicy. Nawet siedząc tak daleko, słyszeli gwizdy i śmiechy, którymi Urwipołcie powitali swoją dowódczynię.

– Chyba wolałbym raczej zmierzyć się z hordą kardaków – wymamrotał Alex.

Falko zaśmiał się lekko, ale Malaki nie odrywał wzroku od Bryny. Niełatwo było mu patrzeć, jak traktują ją w ten sposób. Kadeci patrzyli, jak dowódczyni bezskutecznie próbuje nawiązać rozmowę ze swoimi żołnierzami. Wreszcie dała za wygraną, podeszła do stanowisk łuczniczych i zaczęła strzelać.

Urwipołcie spoglądali na nią z rozbawieniem, obojętnością i pożądlivością. Nieco z boku chłopcy widzieli zwalistą postać Patricka Fecklera, otoczonego tuzinem podobnych do niego zbirów. To byli ludzie, którzy wyrzeźbili swoje życie w ciemnych zaułkach tego świata: kłusownicy, najemnicy, wymuszacze i jeszcze gorsi. Nie będzie im jakaś panienczka mówiła, co mają robić, choćby nie wiem jak była ładna i jak dobrze radziła sobie z łukiem.

– Jak jej idzie?

Chłopcy odwrócili się i zobaczyli emisariusza, prowadzącego w ich stronę za uzdę swojego konia, Tapfera.

– Nie najlepiej – odpowiedział Falko.

Bryna właśnie wypuściła ostatnią strzałę. Zebrała je, a potem wróciła do przyjaciół. Gdy była blisko, wstali z ziemi, a Malaki zaproponował jej chustkę pełną jedzenia. Bryna odmówiła ruchem głowy i obróciła się, by spojrzeć na kompanię łuczników, która spędzała jej sen z powiek. Teraz gdy się oddaliła, Urwipołcie zaczęli ćwiczyć, ponieważ Paddy podszedł do stanowisk strzelniczych.

– Robią mi to na złość – rzekła Bryna, a Falko widział, że jest bliska łez.

Malaki usiłował otoczyć ją ramieniem, ale Bryna strąciła jego rękę.

– Udało ci się wykonać *suivez cinq* albo *dix*? – spytał emisariusz.

Bryna pokręciła głową.

– Zakładam więc, że nawet nie ruszyliście trawersowego.

Potaknęła. Chłopcy popatrzyli po sobie. Krępująca cisza również im dawała się we znaki. Z dołu dobiegła ich fala śmiechu, gdy Patrick Feckler podniósł wzrok na małą grupkę na wzniesieniu, spoglądającą na jego Urwipolciów.

– Po prostu nie mają dla mnie ani krztyny szacunku – stwierdziła Bryna.

– A dlaczego mieliby mieć? – spytał emisariusz, a Falko aż podskoczył, słysząc surową nutę w jego głosie.

– No... – zaczęła Bryna, ale emisariusz wszedł jej w słowo:

– Jesteś tylko dziewczynką z jakiejś zapadłej miejsciny. Niektórzy z nich utrzymywali się ze stręczenia panienek takich jak ty. Naprawdę spodziewasz się, że zaczną cię szanować tylko dlatego, że umiesz prosto strzelić z łuku?

Bryna pokręciła głową, a po jej policzku spłynęła łza. Falko spojrział na emisariusza. Potrafił być surowy, ale okrucieństwo nie leżało w jego naturze. Musiał mieć jakiś powód, by tak przygadać Brynie.

– Urwipolcie nie muszą szanować ciebie, Bryno Godwin. Ale muszą uszanować twoją rangę.

Bryna spojrzała na emisariusza, ale jego spojrzenie było nieustępliwe. Przez chwilę po prostu wpatrywała się w niego. A potem jej usta rozszerzyły się w uśmiechu. Złapawszy Malakiego, cmoknęła go lekko w usta, by przeprosić za to, że strząsnęła z siebie jego rękę. A potem założyła sobie łuk ukosem przez plecy i zeszła po stoku.

Urwipolcie nagrodzili jej powrót nową falą śmiechów i gwizdów. Jej przyjaciele na wzgórzu patrzyli, jak Bryna toruje sobie drogę przez tłum mężczyzn, który rozstępował się przed nią, gdy kierowała się prościutko do stojącego nieruchomo olbrzyma Patricka Fecklera.

– Ostrza i obuchy... – zaklął Malaki pod nosem. – Co ona znowu wymyśliła?

Falko pomyślał, że też chciałby wiedzieć. Z miejsca, w którym stali, nie mogli dosłyszeć ich rozmowy.

Serce Bryny tłuło się w piersi, gdy maszerowała ku człowiekowi, który jako jedyny na świecie miał posłuch wśród Urwipołciów. Paddy Feck obrócił się i utkwiał w niej spojrzenie. W jego głęboko osadzonych oczach nakrytych zwałami brwi połyskiwało szczere rozbawienie. Bryna maszerowała tak długo, aż stanęła krok przed nim. Wielu mężczyzn prychnęło śmiechem, widząc jej mikrą postać przy potężnym Paddym.

– Dziś opanujemy manewr znany jako *suivez cinq* – oświadczyła Bryna.
– A jutro...

– Wybacz, panienczko – przerwał jej Paddy przepraszającym tonem. – Ale akurat mamy inne pla...

Chlast!

Bryna strzeliła go w twarz płaską dłonią. Wielki mężczyzna zachwiał się po niespodziewanym ciosie, ale gdy wrócił do niej wzrokiem z ustami skrzywionymi we wrednym uśmiechu...

Chlast!

Kolejny policzek, co najmniej tak siarczysty jak ten pierwszy. Tym razem Paddy syknął z bólu, a rozbawienie zniknęło z jego oczu.

– Ty mała...

Chlast!

Urwipołcie kolektywnie nie posiadali się ze zdumienia, gdy Bryna po raz trzeci prasnęła ich dowódcę w twarz. Zamachnęła się i czwarty, ale tym razem Paddy złapał jej szczupłe ramię w swoje sękatę łapsko. Uniósł drugą rękę do ciosu, pięść pomknęła szybko ku twarzy Bryny, ale ta zadarła chwacko podbródek, jakby rzucała mu wyzwanie.

Przez moment spojrzenie Paddy'ego wżerało się morderczo w oblicze młodej dziewczyny, ale jego pięść zamarła w powietrzu, a na zaciętą gniewnie twarz wypłynął grymas zmieszania. Wiedział, jaka kara grozi za uderzenie oficera, a czy chciał czy nie, Bryna była wyższa stopniem.

Pełna napięcia cisza zmroziła wszystkich wokoło. Paddy stał jak słup soli. A potem Dedric Sayer zerwał się z miejsca i ruszył w kierunku Bryny, błyskając z oczu obietnicą przemocy. On także wiedział, co grozi żołnierzowi za naruszenie nietykalności oficera, ale nie miał zamiaru patrzeć, jak ta szczeniara okłada jego przywódcę po twarzy. Był gotów dać się wychłostać za Paddy'ego. W ten sposób podreperuje swoją reputację wśród Urwipołciów.

Rozpędziwszy się, złożył się do uderzenia, a Bryna wzdrygnęła się w oczekiwaniu na cios, ale w ostatniej chwili Paddy puścił jej rękę, a sam przygrzmocił Sayerowi pięścią w bok twarzy. Mężczyzna złożył się jak scyzoryk i znieruchomiał na ziemi. Atmosfera tak się zagęściła, że powietrze można było kroić nożem.

W dzwoniącej w uszach ciszy głos Bryny zabrzmiał donośnie i dźwięcznie.

– Jak już mówiłam – podjęła, patrząc we wlepione w nią oczy – dzisiaj opanujemy *suivez cinq*. A jutro – dodała, przenosząc wyzywające spojrzenie na Patricka Fecklera – opanujemy *suivez dix*.

Dobytując łuku, obróciła się ku czterem mężczyznom stojącym na stanowiskach strzelniczych z łukami opartymi niedbale o buty.

– Wy czterej – powiedziała, gdy brała strzałę z kołczanu i nakładała ją na cięciwę – na komendę „*suivez cinq*” strzelicie do wyznaczonego przeze mnie celu.

Jeden z mężczyzn odruchowo powędrował wzrokiem do Paddy’ego, ale wtedy Bryna błyskawicznie przestrzeliła mu strzałą prawy but.

– Co się gapisz na niego, ty durniu? – ryknęła. – Ja jestem twoją dowódczynią i jak mi gwiazdy na niebie miłe, na mnie będziesz odtąd patrzeć!

Mężczyzna syknął z bólu, bo grot zaciął go w łydkę, ale Bryna już miała drugą strzałę na cięciwie i tylko najodważniejszy lub najgłupszy z Urwipółciów oderwałby teraz od niej wzrok. Z furją w oczach minęła czterech mężczyzn i zajęła miejsce na stanowisku.

– *Suivez cinq!* – zawołała, trafiając strzałą w drugi cel od lewej.

Za nią zadźwięczały cztery cięciwy i cztery strzały wbiły się w ten sam cel.

– *Suivez cinq!* – powtórzyła, tym razem trafiając cel najdalej po prawej.

Zza jej pleców rozległ się dźwięk cięciw, ale tym razem tylko trzy strzały trafiły w cel. Czwarty mężczyzna spudłował, no ale w końcu utykał na jedną nogę, a z jego buta sterczała strzała.

– Dobrze! – krzyknęła Bryna, obracając się twarzą do Urwipółciów. – Reszta, podzielić się na grupy po pięciu i stanąć na stanowiskach. Zanim zajdzie słońce, każdy jeden z was ma umieć wykonać manewr.

Urwipółcie gapili się na nią, zbyt oszołomieni, by się ruszyć. A wtedy...

– Na co czekacie, dupki żołądne? – zawył Paddy Feck. – Słyszeliście panią kapitan. Grupy po pięciu, na stanowiska i strzelać!

Urwipolcie porwali się do wykonania rozkazu, zakotłowali, powpadali na siebie, ale wreszcie podzielili się na pięcioosobowe grupy i zaczęli ćwiczyć *suivez cinq*.

Wśród całego tego zamieszania i sprężystego brzdękania cięciw Bryna zwróciła się ku Patrickowi Fecklerowi, który stał naprzeciwko. Wielki mężczyzna patrzył na nią z nieodgadniętym wyrazem zaciętych oczu.

Bryna była zaskoczona, gdy poparł jej rozkaz, ale wiedziała, że Paddy to człowiek praktyczny. Wiedział, że zagrała kartą, na którą nie miał odpowiedzi. W tym momencie stracił pozycję pierwszego pośród Urwipolców. Jednakże instynkt ocalańca powiedział mu, że wciąż może objąć pozycję drugiego, nawet jeśli pierwszym jest teraz kobieta.

Czerwona na twarzy i chwiejąca się z nerwów na nogach dziewczyna czekała, aż coś do niej powie.

– Niech cię cholera, dziewczyno – charknął Paddy – twój stary musi być z ciebie dumny.

Bryna poczuła, jak gula rośnie jej w gardle.

– Mojego ojca zabił demon w górach – odparła. – Ale owszem, był ze mnie dumny.

Paddy zawiesił na niej wzrok, a potem pokiwał głową.

– Masz jeszcze ten kubek, cośmy ci go dali?

Bryna potwierdziła skinieniem.

– To przynieś go dzisiaj do mesy Nieregularnych, a my ci wyprawimy porządne urwipolciowe powitanie.

Bryna kiwnęła głową, a Paddy odstąpił o krok, by pozwolić jej przejść.

A niech to... – pomyślała, kiedy opuściła strzelnicę i zaczęła rozglądać się za jakimś miejscem, gdzie mogłaby zwymiotować. Teraz jeszcze muszę z nimi pić. Odchodząc, słyszała jeszcze, jak Paddy gromkim głosem obsztorcowuje tego, który prawie strzelił towarzyszowi w plecy.

– Nie tak, Harper, ty kozojebco zatracony! W portki się zwalisz, jak przesuniesz tę nogę dalej, czy jak?



Przypatrujący się całej scenie przyjaciele Bryny odetchnęli z ulgą, gdy wreszcie okazało się, że Urwipołcie nie stłuką jej na kwaśne jabłko. Falko łypnął z ukosa na Malakiego, który patrzył z góry na Brynę z przeraźliwą intensywnością w oczach. W jednym momencie prawie już zbiegł na dół, by rzucić się na nich z gołymi rękami, ale emisariusz go powstrzymał.

– Daj jej chwilę! – polecił, gdy Bryna uderzyła Paddy’ego po raz drugi.

Teraz patrzyli, jak gromada łuczników zajmuje pozycje strzelnicze, a Bryna rozmawia chwilę z Paddym, a potem znika za rogiem warsztatu łuczarza.

– Sam mówiłeś, że sobie poradzi – przypomniał mu Falko.

Malaki popatrzył na niego i potrząsnął głową. Jego twarz przyozdobił uśmiech, gdy zeszło z niego zdenerwowanie.

– A ja myślałem, że to Paddy Feck jest straszny – powiedział Alex.

Cała trójka huknęła śmiechem, a emisariusz śmiał się razem z nimi. Może i zdradził Brynie sekret, jak okiełznać Urwipołciów, ale to Bryna rzuciła wyzwanie ich przerażającemu dowódcy i stojącym za nim murem dwustu mężczyznom. Pokazała, że w byciu dowódcą nie chodzi o fizyczną siłę, ale o siłę charakteru. Bo tylko siłą charakteru można zaskarbić sobie szacunek.

Jedno dotknięcie



Trzy tygodnie później w mroźny zimowy poranek Czwarta Armia opuściła bezpieczne mury Furii i wyglądało na to, że całe miasto przyszło ją pożegnać. Ulice były wypełnione cywilami, gdy żołnierze schodzili z płaskowyżu i płynęli szeroką ulicą ku bramie. Ludzie przyglądali im się w pełnej szacunku ciszy oraz wpatrywali z fascynacją w kolumnę magów wojowników, którzy maszerowali wraz z nimi. Dwie siły dojdą razem aż do Skweru Bezimiennego Rycerza. Tam zaczekają na dowódców, którzy dołączą do nich po ostatniej audiencji u królowej, przypominającej, że idą na wojnę w jej imieniu.

Ale zanim dowódcy Czwartej Armii poszli porozmawiać z królową, dopilnowali, by wojska zatrzymały się przy akademickich barakach i pożegnały osobiście z kadetami. Emisariusz powiedział kilka pogrzipających słów Malakiemu, Brynie, Alexowi i Quirrenowi oraz pozostałym, ale nie Falkowi, gdyż ten był wówczas gdzie indziej. On również został poproszony o stawienie się u królowej. Stał teraz przy niej, gdy władczyni odprowadzała wzrokiem ku bramie kolumnę wojowników.

– Ten widok zawsze wywołuje we mnie sprzeczne emocje – zwierzyła mu się, patrząc wraz z nim z wysokiego, zawieszzonego nad miastem tarasu. – Jest piękny, ale i budzi smutek.

Zwróciła się do Falka, nie próbując wcale ukryć targających nią uczuć. Pod błękitnym płaszczem i kołnierzem z wilczego futra nosiła pancerz, a czarny pas ze sprzączką w kształcie końskiej głowy obciążał miecz. Było jasne na pierwszy rzut oka, że to nie jest ceremonialna zbroja, lecz pancerz

przeznaczony do bitwy.

– Absurd, czyż nie? – podjęła królowa, widząc, gdzie zawędrował wzrokiem. – Tradycja nakazuje, żebym jako naczelna dowódczyni ubierała się stosownie, pomimo że ta zbroja nigdy nie widziała bitwy.

– Walczyć można na wiele sposobów, Wasza Wysokość – powiedział Falko, a królowa zaśmiała się drwiąco.

– Zaczynasz mówić jak on. – Kiwnęła głową na jednego z jeźdźców jadących w kierunku pałacu; rycerza w zbroi, dosiadającego pięknego siwego perszerona.

Przy emisariuszu jechał kapitan armii magów, mężczyzna imieniem Dagoran Sorn. Emisariusz miał na sobie opończę i płaszcz w kolorach bladego błękitu i turkusu – barwach królowej. Mag wojownik nosił purpurowe szaty oraz gęsto plecioną kolczugę.

Falko i królowa patrzyli na jeźdźców, którzy wspinali się pochyłą ulicą ku pałacowej bramie. Oderwali od nich wzrok, dopiero gdy zniknęli w tunelu prowadzącym pod murami, a potem spojrzenie władczyni spoczęło na maszerujących żołnierzach.

– Ruszają za Le Matres – powiedziała. – Ku mieście Hoffen.

Nie patrzyła na niego, ale Falko zrozumiał napięcie w jej głosie. To dlatego chciała się z nim zobaczyć. Emisariusz wyruszał tam, gdzie Falko dostrzegł przerwę w siłach Opętanych. Clemoncé zawsze szczyliło się swoim wywiadem, a królową dręczyła myśl, że coś przegapiła, że może wysłała ludzi w paszczę jakiegoś nieznanego zagrożenia.

– Czy jest coś jeszcze, co mógłbyś powiedzieć mi o tym, co poczułeś podczas spotkania?

Falko pokręcił głową.

– To było ulotne wrażenie – rzekł, czując się tak, jakby sprawiał jej wielki zawód. – Właściwie prawie nic nie powiedziałem.

Królowa milczała przez chwilę, a potem westchnęła, uśmiechając się niewyraźnie, jakby czuła, że to nieuczciwe prosić Falka o wyjaśnienia.

– Czy dotarły jakieś wiadomości od illicyjskich magów bitewnych? – zapytał Falko.

– Nie. Ale to nic niezwykłego. Nathalie potrzebuje czasu, żeby ich odszukać, a nawet wówczas mogą być zbyt zajęci, żeby zbadać sprawę od razu. Nawet nasze Wielkie Dusze nie mogą być w kilku miejscach

jednocześnie.

Falko dyskretnie zerknął na królową, która znowu patrzyła w dół, na miasto. Słyszał zmęczenie w jej głosie, trud związany z prowadzeniem wojny, która zdaniem wielu była już przegrana. Prześlizgnął się wzrokiem po nieskazitelnej linii jej zuchwy i bladych policzkach i zauważył kontrast pomiędzy miękką skórą szyi i ostrymi kątami napierśnika. Powiew wiatru zsunął z jej twarzy kosmyk ciemnych włosów i przez chwilę ujrzał ją nie jako królową, lecz kobietę – silną i piękną, ale dręczoną wątpliwościami i nieznośną obawą przed sprawieniem zawodu swoim ludziom.

Falka ogarnęła fala miłości i w tym momencie wiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by jej pomóc.

– Od takich spojrzeń damy się rumieniać, panie Danté – rzekła królowa.

Falko odwrócił wzrok, ale gdy królowa popatrzyła na niego, to nie ona się rumieniła, tylko Danté. Uśmiechnęła się, a Falka uchronił od wstydu i zażenowania Cyrano, który pojawił się za ich plecami.

– Mag wojownik Dagoran Sorn oraz dowódca Czwartej Armii proszą o audiencję i błogosławieństwo Jej Wysokości królowej Furii.

Królowa wyprostowała się i uniosła twarz. Falko widział, jak nabiera głęboko tchu i zamyka oczy, gromadząc odwagę. Stawić czoła legionom piekielnym to jedno, ale pożegnać ukochanego mężczyznę, wiedząc, że być może widzi się go po raz ostatni – to zupełnie co innego.

– Dziękuję, Cyrano – powiedziała po chwili.

Doradca skłonił głowę i samym spojrzeniem powiadomił Falka, że jego audiencja dobiegła końca.

Falko zwrócił się do królowej i ukłonił.

– Wasza Wysokość – powiedział, czekając, aż królowa zezwoli mu na opuszczenie komnaty.

– Może niebawem znów będzie nam dane porozmawiać. Jeśli, ma się rozumieć, zdołasz oderwać się na chwilę od treningu.

– Będę zaszczycony – odrzekł Falko, czerwieniąc się ponownie.

– A więc do zobaczenia – pożegnała się królowa, a Falko wiedział, że teraz powinien już iść.

Podszedł do łukowych drzwi, przy których czekał Cyrano. Za nimi stało dwóch mężczyzn. Pierwszym był emisariusz, a drugim stosunkowo niewysoki mężczyzna o wyrazistych, jastrzębich rysach i ciemnych,

penetrujących oczach. To jego Galen Thrall uczynił dowódcą swojej bezcennej magicznej armii, którą posyłał w pierwszy bój.

– Lordzie Sorn – rzekł Cyrano, zapraszając maga wojownika do środka.

Dagoran Sorn skłonił się sztywno i pozwolił doradcy zaprowadzić się przed oblicze królowej.

Falko i emisariusz patrzyli na obu mężczyzn zmierzających ku monarchini, która stała teraz na progu tarasu, gdzie widzieli ją ludzie zgromadzeni na ulicy poniżej.

– Pytała cię o Opętanych?

Falko spojrzał na emisariusza i pokiwał głową.

– Nie frasuj się tym – rzekł Chevalier. – Każdy zwiadowca i każdy kapitan, który kiedykolwiek składał raport, chciałby móc powiedzieć więcej. Cokolwiek, byle tylko choć trochę jej ulżyć.

Falko przyjrzał mu się, raz jeszcze zadziwiony tym, jak dobrze emisariusz rozumiał trudy władców.

– Czy pożegnałeś się z resztą? – spytał, a emisariusz potwierdził skinieniem. – To dobrze – rzekł Falko. – Alex był pewien, że odejdziesz bez pożegnania.

Chevalier się roześmiał.

– Aurelian powiedział mi, że poczyniłeś postępy.

– W pewnym sensie.

Emisariusz przywołał na twarz uśmiech zrozumienia.

– Mówi, że masz kłopot z magią ofensywną.

– Jeśli tak można określić całkowitą nieumiejętność korzystania z niej – doprecyzował Falko, a frustracja i żal odbiły się w jego głosie. Trapiło go to, że nie potrafi wyprowadzić nawet słabego magicznego ataku. – To po prostu nie ma sensu – pociągnął. – Mając miecz w ręku, zaatakowałbym od razu i nawet bym się nie obejrzał.

– Może to dlatego, że miecz nie kojarzy ci się z zabijaniem.

Falko poderwał głowę. Emisariusz znowu ujął nieuchwytną prawdę w kilku prostych słowach.

Milczeli przez chwilę, a tymczasem audyencja Dagorana Sorna dobiegła końca.

– Musiałem kiedyś stracić służącego pode mną żołnierza – zwierzył się emisariusz. – Przyjaciela, który w ataku szaleństwa dopuścił się mordu na

przyjacielu. – Przerwał na chwilę. – Wiesz, co mi powiedział, gdy założyli mu pętlę na szyję?

Falko wlepił w niego spojrzenie.

– Że łatwiej umrzeć, niż odebrać życie i samemu żyć dalej.

Oczy Falka zaszyły łzami. Strach przed zrobieniem czegoś złego był większy od strachu przed samym złem.

– Nie jesteś swoim ojcem, Falko – powiedział mu emisariusz. – Jego przeznaczenie nie jest twoim przeznaczeniem.

Falko mrugnął i łzy spłynęły mu po policzkach. Wtedy zorientował się, że stoi nad nimi Cyrano. Audiencja Sorna się skończyła i królowa czekała teraz na dowódcę swojej Czwartej Armii. Emisariusz skinął władczyni głową.

– No, to do rychłego – rzekł, podając Falkowi dłoń.

– Myślisz, że spotkamy się jeszcze?

– Któż to może wiedzieć? W końcu trwa wojna – powiedział emisariusz. – Ale dobrze jest żywić nadzieję.

Przyciągnął Falka do siebie i uściskał go mocno, a potem, obdarzywszy go ostatnim uśmiechem, poszedł pożegnać się ze swoją królową.

Falko odprowadził go wzrokiem aż przed jej oblicze. Uniesiona głowa, proste ramiona – któż by się domyślił, jak wielki strach wpija się szponami w jej umęczone serce. Emisariusz stanął przed nią, uklęknął i czekał, aż poczuje na czole delikatny dotyk jej dłoni.

Ludzie na ulicy patrzyli na królową przyjmującą dowódcę Czwartej Armii. Widzieli, jak wyciąga rękę, by pobłogosławić jego i wszystkich mężczyzn i kobiety, których poprowadzi on do walki.

Wreszcie odjęła rękę i emisariusz stanął przed nią. Falko nie mógł słyszeć, o czym mówili, ale rozmowa trwała długo.



Gdy sir William Chevalier stanął przed swoją królową, bardziej niż kiedykolwiek przygniótł go do ziemi ciężar zbroi i oręża. Jego siła woli o mało co nie skruszała, gdy podniósł na nią wzrok i ujrzał jej twarz. Wiedział jednak, że każde z nich polega na sile drugiego, a więc jego spojrzenie było spokojne i pokrzepiające, gdy zgłębiał nim niebieskie oczy

kobiety, którą kochał.



Przez kilka długich minut królowa nic nie mówiła, tylko omiatała wzrokiem każdy szczegół znajomego oblicza swojego emisariusza: silną i ogorzałą twarz, wzbogacaną stale o nowe blizny, twardą zuchwę pokrytą niezmiennie kilkudniowym zarostem, szpakowatym już, tak jak sięgające ramion włosy. Złamany nos, dumną linię brwi i oczy... piękne, szare jak morski kamień.

W pełni świadoma, że patrzy na nią całe miasto, królowa upajała się jego widokiem. Nie mogła strząsnąć z siebie okropnego przeczucia, że być może widzi go po raz ostatni. Że jej ukochany jedzie w ciemność, z której może nigdy nie wrócić. Ta myśl była niemal nie do zniesienia i królowa czuła, że jej siła woli słabnie, lecz jak zawsze on był tam, by ją podtrzymać.

– Czwarta Armia Clemoncé prosi o błogosławieństwo tronu, wyruszając na wojnę z jego wrogami.

Sztywna formułka ściągnęła królową na ziemię. Uniosła twarz i przywołała całą swoją królewską dumę.

– Tron błogosławi Czwartą Armie w drodze do zwycięstwa. Jedźcie, wypełniwszy serca światłem naszej miłości.

Emisariusz skłonił się, a królowa wyrzekła cichszym, intymniejszym tonem:

– Jak myślisz, czy przyjdzie kiedyś taki dzień, gdy zerwiemy kajdany obowiązku i honoru?

– Obowiązek i honor mogą wytyczać tok naszego życia – powiedział emisariusz. – Ale mojego serca nikt nie zakuje w kajdany.

Królowa posłała mu smutny uśmiech, a w duchu przeklęła siły, które uniemożliwiały im urzeczywistnienie ich wzajemnej miłości. Niemalże bezwiednie jej ręka uniosła się ku jego ręce, ale w ostatniej chwili powściągnęła ją, choć jej serce rwało się, by dotknąć go po raz ostatni. Był dowódcą Czwartej Armii, kapitanem Nieugiętych, Chevalierem. Nie ośmieszy go tak otwartym wyrazem uczucia.

– Wróć do nas, Chevalierze.

– Choćby wszystkie hordy piekielne stanęły mi na drodze.

Królowa uśmiechnęła się, słysząc pewność w jego głosie, choć wiedziała, że w tych czasach nikt nie może być pewien swojej przyszłości.

– Tak mało czasu dostaliśmy od losu – powiedziała głosem, który w końcu zmogły emocje. – Za mało, żeby dzielić przemijające życie.

Spuściła wzrok i pojedyncza łza spłynęła po jej policzku.

Przez chwilę emisariusz po prostu stał nieruchomo; stoicki, niewzruszony rycerz. Lecz wtedy wyciągnął rękę, by odnaleźć jej dłoń, a jego chropowate palce zamknęły się na jej delikatnych palcach. Przyciągnął ją blisko, zajrzał głęboko w oczy, a potem, choć patrzył księżę Ludovico i wszyscy mieszkańcy Furii, pocałował ją, delikatnie dotykając jej ust swoimi, drapiąc jej skórę ostrym zarostem, zapisując się na zawsze w jej sercu i stając się bezcennym wspomnieniem.

– Całe moje życie jest w tym jednym dotyku – wyszeptał, gdy jego policzek dzieliło od jej twarzy jedynie tchnienie.

Przez sekundę czuł, jak jej palce zaciskają się na jego dłoni, a potem dowódca Czwartej Armii odwrócił się i odszedł, zabierając ze sobą błogosławieństwo, by przynieść je wojownikom, których prowadził na wojnę.

Na miasto spadła cisza, cisza mówiąca o dwudziestu tysiącach równie bolesnych pożegnań: kochanków z kochankami, matek z synami, ojców z wystraszonymi, niczego nierozumiejącymi dziećmi. Obiecali, że będą ostrożni. I że wrócą. Ale żołnierz nie może zawsze dotrzymać takiej przysięgi. Może tylko mieć nadzieję, że ona się ziści.

Postępy



Wyruszenie Czwartej Armii na wojnę wpłynęło na kadetów. Uprzytomniło im, że ledwie za kilka miesięcy przyjdzie ich kolej na to, by stawić czoła niepewności wojny. Może przeżyją pierwszą bitwę, ale z każdą kolejną prawdopodobieństwo przeżycia drastycznie malało. Ile czasu upłynie, nim zostaną porąbani na kawałki lub schwytani przez wroga, który ześle na nich wieczne cierpienie, przemieniając ich w Opętanych?

Okropna perspektywa, a jednak wiedzieli, że taki los czeka niektórych z nich. Uświadamiali sobie również, że wyteżony trening zmniejszy prawdopodobieństwo takiego obrotu spraw, wyciskali więc z siebie ostatnie poty. Rankami dalej trenowali razem, pracując nad kondycją i szlifując umiejętności, a po południu – ze swoimi żołnierzami, powtarzając ćwiczenia i manewry oraz studiując rozmaite zagadnienia związane z prowadzeniem kampanii.

Poskromiwszy Paddy’ego, Bryna szybko poczyniła znaczne postępy z Urwipółciami i była już prawie gotowa przystąpić z kawalerią do manewru trawersowego. Lecz nie tylko ona świetnie sobie radziła. Malaki i Quirren przejawiali cechy o wiele starszych i bardziej zaprawionych w bojach wojowników. Robili niesamowite wrażenie w pojedynkach. Dosiadając koni, które podarowały im ich zakony, zaczęli budzić respekt i trwogę.

Zgodnie z tradycją Czarnych Orłów Quirren otrzymał karego freyzyjańskiego ogiera, a Malaki wspaniałego konia bojowego, olbrzyma

szkolonego do walki od urodzenia, będącego efektem lat ostrożnej i przemyślanej hodowli. W ciągu minionego tygodnia dostarczono im również zbroje, płytowe pancerze robione na zamówienie. Quirren potrzebował pełnej zbroi, od pancernych butów po charakterystyczny illicyjski hełm typu salet, o przyłbicy zaopatrzonej w dwie szczeliny na oczy, wzmocniony na czole dodatkową warstwą stali. Niebieski pancerz Malakiego dorównywał jakością zbrojom wyrabianym w Furii, a więc ograniczono się do dostosowania go do wzorca zakonnego i wzbogacenia o potężny hełm garnczkowy zwany „heaume”, z którego słynęli Rycerze Furii.

Prawdę powiedziawszy, wszyscy kadeci radzili sobie świetnie, ale żaden tak dobrze jak Falko. Przyjechał do akademii jako wysoki i chudy chłopiec, który wciąż wylizywał się z ran, choroby i traumy. Teraz stał prosto, sztywno, obrósł w siłę i choć nie był masywny jak Malaki, nie był też wychudzony ani słaby, ale szczupły i silny. Płuca mu jeszcze dokuczały, gdy przedobrzył z ćwiczeniami kondycyjnymi, a oparzeliny na szyi i ramionach wciąż były wrażliwe i czerwone, ale wszelkie oznaki słabości i kruchości już dawno zniknęły.

Falko czuł się osamotniony po wyjeździe emisariusza, ale też miał wrażenie, że przejaśniło mu się w głowie. Rozumiał, że tylko od niego zależy, czy wpłynie jakoś na wynik wojny. Nieobecność emisariusza sprawiła, że zaczął w większym zakresie polegać na sobie i uczył się stać pewniej na własnych nogach. Gdy inni szli na poligon musztrować swoich podkomendnych, Falko wspinał się górską ścieżką do Moździerza. Wciąż nie umiał przywołać żadnej ofensywnej mocy, ale jego repertuar umiejętności stale się powiększał i chłopak z każdym dniem był coraz silniejszy.

– Nie przejmuj się – powiedział mu Aurelian pewnego popołudnia, gdy znowu nie udało mu się zniszczyć glinianego dzbana postawionego na schodach areny. – Jeśli dziesięć tysięcy wojowników zdoła stawić czoła Opętanym, bo ty będziesz z nimi, to wierz mi... zrobi to znaczną różnicę.

Falko pamiętał, jak obecność Symeona krzepiła żołnierzy Caer Dour w górach, umożliwiając im kontynuowanie walki, podczas gdy bez niego dawno porzuciliby broń i salwowali się ucieczką. Lecz nawet wiedząc to, nie potrafił wyrzucić z głowy poczucia porażki.

– No, dalej – powiedział Aurelian. – Spróbujemy połączenia fizycznej i magicznej obrony. Nie chcę smarować ci tyłka sadłem, ale twoja postawa obronna faktycznie zaczyna mieć ręce i nogi.

Falko uśmiechnął się na ten obosieczny komplement. Wiedział dobrze, że stary mag bitewny jest pod wrażeniem jego możliwości obronnych. Odepchnął więc wątpliwości na bok i podniósł miecz i tarczę, które wcale mu już tak bardzo nie ciążyły. W walce na miecze dawno przegonił już Aureliana i dopiero gdy na arenę schodził Dusaule, Falko musiał się bardziej postarać. Drugi mag bitewny nigdy się nie odzywał i nie wykazywał zamiłowania do przemocy, ale nie ulegało wątpliwości, że jest bardzo zdolnym fechtmistrem.

Czasem Dwimervane przyjmowała na siebie rolę demona i Aurelian pokazywał Falkowi, jak należy walczyć z o wiele większym od siebie przeciwnikiem, by nie dać się zabić. Falko wiedział już, że bronić się przed człowiekiem normalnych rozmiarów posługującym się mieczem i tarczą to zupełnie co innego, niż walczyć z olbrzymem wyposażonym w kły i szpony, który może dodatkowo zionąć ogniem zdolnym zabić człowieka z pięćdziesięciu stóp. Z początku Dwimervane miotała Falkiem po arenie niczym kot zabawiający się z niezgrabną myszą, ale umiejętności przyszłego maga bitewnego rozwijały się zatrwającą szybko, a jego reakcje, wreszcie nieograniczone niedoskonałością ciała, dorównywały szybkości jego umysłu.

– Właśnie tak – pochwalił go Aurelian, gdy Falko przyjął cios wielkiej łapy na tarczę i odczył się, by zneutralizować siłę uderzenia.

Użył magicznej osłony, by sparować kolejny atak smoczy, a potem tarczą zablokował uderzenie ogonem, następnie zaś dał nura naprzód i zamierzył się mieczem na jej lewą nogę. Ale Dwimervane błyskawicznie okręciła głowę i odepchnęła go z mocą na bok.

– Wzmocnienie! – powiedział Aurelian, śmiejąc się, gdy Falko wił się na zimnej i mokrej ziemi. – Nie możesz pozwolić sobie na to, by zbliżyć się na tak małą odległość bez jakiegoś magicznego wzmocnienia.

– Mogłabyś przynajmniej dać mi jakąś szansę – powiedział Falko, rzucając Dwimervane gorzkie spojrzenie, gdy dźwigał się na nogi, ale smoczyca zupełnie się tym nie przejęła. Ani myślała oddawać mu punkty za darmo. Była na to zbyt dumna.

Falko poczynił też znaczne postępy w zakresie czarów obronnych. Potrafił teraz osłonić się przed większością zwykłych ataków i uczył się wzmacniać swoje ciało, tak że nawet Dwimervane nie mogła przycisnąć go do ziemi potężną łapą.

– Pamiętaj, to nie tylko siła fizyczna – wykladał mu nieustannie Aurelian, gdy Falko usiłował stanąć prosto pod masywną smoczą łapą. – To umysł, serce i dusza. Jeśli zaczniesz wątpić, twoja siła skruszeje i przegrasz.

Falko przypomniał sobie moment, w którym Symeon zaczął uginać się przed umysłowym atakiem demona. Ale przynajmniej teraz wiedział, jakim sposobem Dariusowi udawało się trzymać poza zasięgiem szczęk czarnego smoka w Wichrowej Twierdzy. Falko nawet nieźle radził sobie w pojedynkach ze smoczycą, ale wiedział też, że nie pójdzie mu tak łatwo ze smokiem lub demonem, który będzie uderzał, żeby zabić.

Korzystając z magii wzmacniającej, potrafił już lądować bezpiecznie po skoku z biegnącego konia, choć i tak miało się to nijak do zeskakiwania z grzbietu lecącego smoka. Dodatkowo nauczył się wreszcie rzucać magiczne osłony na odległość. Przełom nastąpił, gdy Meredith wymyślił nowy sposób na to, jak przedstawić Falkowi zadanie tak, by zrozumiał.

– Nie próbuj otoczyć celu – powiedział. – Skup się na jednym punkcie, który następnie rozwiniesz na cały obiekt.

Początkowo Falko nie potrafił wyobrazić sobie tego jednego punktu, ale Meredith cierpliwie obserwował ruchome kształty w jego głowie, aż wreszcie dostrzegł to, czego szukał.

– O, właśnie – rzekł pewnego popołudnia. – To prawie jak dźwięk, jak pierwsza chwila uderzenia w dzwon. Skup się na tym, a potem rozszerz to, by objęło cały cel.

Ćwiczyli na hełmie postawionym na jednej z kolumn areny w odległości dwudziestu stóp. Zadanie polegało na tym, że Falko miał bronić hełmu, tak by Aurelian nie zdołał strącić go włócznią. Z początku Falko tylko przesuwiał go mocą umysłu. Aurelian przypomniał mu, że to jego robota. Z czasem zaczął w końcu łapać, o co chodziło Meredithowi.

Wybrać punkt. Rozszerzyć go do kształtu sfery.

– Spróbuj teraz – powiedział Meredith do Aureliana, gdy wyczuł subtelną wariację w koncentracji Falka.

Weteran z całych sił pchnął włócznią, a ta pomknęła prościutko w kierunku hełmu i trafiłaby z pewnością, gdyby nie odbiła się od niewidzialnej bariery cał od niego. Zanim broń opadła na ziemię, Aurelian cisnął w stronę hełmu kulą ognia. Płomienie owionęły kolumnę, ale hełm pozostał nietknięty na jej szczycie i wszyscy obecni na arenie widzieli, jak ogień opłynął niewidoczną sferę energii otaczającą cel, tak jak woda w rzece opływa zalegający na dnie otoczek.

– Dobrze – pochwalił go Aurelian. – Bardzo dobrze.

Dni były coraz dłuższe, zima z wolna wypuszczała ziemię z lodowatych objęć i gdy w powietrzu zapachniało wiosną, umiejętności Falka zrobiły się jeszcze bardziej imponujące. Któregoś popołudnia Meredith przyglądał się z uwagą, jak Falko mierzy się jednocześnie z Dusaule'em i Dwimervane – wywijał mieczem z taką szybkością, że klinga rozmazywała się w powietrzu, szybko i zwinnie pracował nogami, wkładając serce i przekonanie w każdy ruch, i zaczynał wreszcie wyłaniać się z niego rasowy wojownik, uwięziony od tak dawna w ciele słabego, chorowitego dziecka. Pojedyńki przynosiły im radość; Aurelian śmiał się głośno, gdy Falko zwałił się z nóg tylko po to, by przekoziółkować i błyskawicznie złożyć się do kontry. Od czasu do czasu stary mag bitewny ciskał w niego zaklęciem niespodzianką, a Mereditha zdumiewała prędkość, z jaką Falko odbijał kule ogniste i zasłaniał się przed łukami błękitnego światła, nie zaburzając płynności ruchów i nie dając się wybić z rytmu.

– Na niego, Dwim! – ryknął Aurelian, gdy okaleczona smoczyca powaliła Falka na jedno kolano uderzeniem wielkiej łapy. Tymczasem jej druga łapa pomknęła przy samej ziemi, chcąc podciąć Falka, ale kadet przewidział to i zmienił ułożenie tarczy, by zablokować zdradziecki cios. Siła uderzenia odrzuciła go w bok, aż wrył się nogami w żwir, ale ramię wytrzymało, wzmocnione siłą umysłu. Falko sparował cios Dusaule'a, przetoczył się pod kolejnym poziomym uderzeniem ogona Dwimervane i zdołał jeszcze po drodze uchronić Mereditha przed spłonieniem, gdy Aurelian posłał w jego kierunku gorejący ognisty pocisk.

Meredith odchylił się zaskoczony, gdy płomienie rozlały się po przezroczystej sferze, roztoczonej wokół niego przez Falka. Popatrzył zdumiony na Aureliana, ale weteran tylko uśmiechnął się zawadiacko.

– No nic, kontynuujemy – rzekł, nie zważając na oburzony grymas

Mereditha. – Wprawdzie nie byłem całkiem pewien, czy wyłapie tę kulę ognia, ale na szczęście nic się nie stało.

Wyprowadzony z równowagi Meredith obrzucił spojrzeniem Falka, którego spychał ku przeciwległej ścianie Moździerza Dusaule z wydatną pomocą Dwimervane. Falko wciąż musiał pracować nad kondycją. Dyszał i wyglądał na wykończonego. Sparował potężne cięcie Dusaule'a od góry, ale nie zdążył zablokować ciosu na odlew wyprowadzonego przez Dwimervane. Knykcie smoczej łapy wryły się w bok Falka i odepchnęły go z mocą, aż potoczył się po ziemi. Miecz wyleciał mu z ręki, a poobijana tarcza wisiała z przedramienia na jednym pasku. Meredith patrzył, jak jego uczeń nieruchomieje na ziemi zaledwie kilka stóp od mrocznego łuku L'obscurité.

Wszyscy znieruchomieli, jakby Falko wylądował u stóp jakiejś groźnej bestii. Poruszył się i zaczął wstawać, a Meredith zdumiał się, widząc, że Dusaule staje między nim a bramą, jakby chciał obronić Falka przed czymś, co mogłoby czyhać na niego pośród cieni. Jakiś strach zawisł nad Meredithem, gdy od strony ciemnego portalu dobiegła go plątanina złowieszczych szeptów.

Falko i Dusaule nie poruszyli się. Dwimervane stała jak wryta, jakby ona także wyczuwała jakąś przyczajoną w ciemności obecność. Meredithowi zaschło w ustach. Nagle zapragnął odwrócić się od ziejącego tunelu. Aurelian powoli podszedł do Falka i stanął przy nim. Dopiero wówczas Dusaule odstąpił na bok.



– Chcę to zrobić – rzekł Falko, dysząc ciężko po wysiłku. – Chcę tam wejść.

Sama myśl o wejściu w ciemny korytarz przejęła Mereditha zwierzęcym strachem.

– Nie jesteś gotowy – powiedział Aurelian.

– Ale wróg rośnie w siłę z każdym dniem. Muszę coś zrobić.

– Wiem. Ale nic nie wskórasz, rzucając się na oślep w paszczę niebezpieczeństwa.

– Poradzę sobie – upierał się Falko.

– Nie! – zaprzeczył Aurelian, a Mereditha zaszokował jego nieustępliwy ton.

Przez chwilę stali, mierząc się wzrokiem, a potem Aurelian westchnął.

Biorąc Falka za ramię, odciągnął go od tunelu ku schodom. Reszta poszła za nimi.

– Nie możesz mnie powstrzymać – odezwał się Falko, gdy usiedli na niskich stopniach. – Decyzja o przystąpieniu do rytuału należy do mnie.

Aurelian zaśmiał się, ale w tym śmiechu nie było kpiny. Wyrażał raczej szacunek i sympatię.

– Owszem, decyzja należy do ciebie – przystał. – Ale musisz ją podjąć, gdy będziesz gotowy. A nie dlatego, że rozpaczliwie chcesz „coś zrobić”.

– Ale moje czary obronne są potężne. Przecież sam to powiedziałeś.

Aurelianem znowu wstrząsnął śmiech.

– Ale próba nie ogranicza się tylko do obrony. Żeby przejść rytuał Assay, będziesz potrzebował każdego dostępnego narzędzia, a jak dotąd nie rzuciłeś jeszcze żadnego czaru ofensywnego.

To nie było krytykanctwo. Aurelian próbował po prostu wytłumaczyć tę kwestię Falkowi.

– Ale przecież nie będę chyba walczył z magami podczas rytuału?

– Nie – rzekł Aurelian. – Ale ich zadaniem będzie stanąć przeciwko tobie, a ty będziesz musiał pokonać manifestacje, które rzucą do walki z tobą. – Zrobił pauzę. – Nie musisz atakować, ale sama świadomość, że w razie czego możesz, to już siła, która pomoże ci w czasie rytuału.

Falko westchnął.

– A co, jeśli nigdy nie nauczę się atakować?

– Wówczas rytuał będzie dla ciebie bardzo, bardzo trudny.

Aurelian łypnął zatroskany na Dusaule'a. Milczący zagrodnik złożył przysięgę, że nigdy już nie użyje czaru ofensywnego, lecz żaden z nich nie potrafił wyobrazić sobie, by młody mag bitewny miał przystąpić do próby z zerowymi umiejętnościami ofensywnymi.

– Myślisz, że przejdę próbę? – spytał Falko i tym razem Aurelian się uśmiechnął.

– Nie marnowałbym czasu na ciebie, chudzielcu, gdybym tak nie myślał. – Poczekał, aż Falko na niego spojrzy, i wówczas skinął mu głową. – Posłuchaj mnie – rzekł. – Jutro pójdziemy zobaczyć się z Antoniem w królewskiej zbrojowni. Najwyższy czas wziąć miarę i sprawić ci zbroję. Jeśli się postara, pancerz będzie skończony, gdy wrócisz z kampanii treningowej.

– Ale to raptem dziesięć tygodni – zdziwił się Falko. – Przecież chyba nie wykuje pełnej zbroi w lekko ponad dwa miesiące?

– Ba! Ponad dwudziestu mistrzów kowalskich zbija bąki w jego warsztacie. A poza tym – dodał, mrugnawszy do Falka – porozmawiam z królową. Jedno słóweczko Jej Królewskiej Mości i Antonio wyczaruje zbroję pstryknięciem palców.

– A co z mieczem? – spytał Falko. – Jak ma go wykuć, skoro nie umiem wyczarować ognia?

Uśmiech spełził z ust Aureliana. Znowu spojrzął na Dusaule'a, ale mężczyzna pokręcił lekko głową, jakby nie zgadzał się z pomysłem, którym weteran zaraz podzielił się z Falkiem.

– Zastanawiałem się nad tym. – Aurelian podrapał pokryty kilkudniowym zarostem podbródek. – Myślałem, że może ja wyczarowałbym ogień, a Antonio odwaliłby całą brudną robotę.

– Czy to zadziała? Myślałem, że powiedziałaś, że twoje przywołania są nieco chaotyczne.

Aurelian wzruszył ramionami.

– Warto spróbować.

Dusaule raz jeszcze pokręcił głową, a Meredith skrzywił się, dręczony wątpliwościami. Wszystkie teksty o wykuwaniu miecza maga bitewnego mówiły, że proces jest bardzo trudny i wymaga ręki zdolnego rzemieślnika. Mag bitewny i zbrojmistrz pracowali razem, by stworzyć miecz, który będzie pasował nie tylko do warunków fizycznych i zdolności magicznych czarodzieja, lecz także do jego osobowości. Próba wykucia go przez osobę trzecią przy wsparciu nieprzewidywalnych mocy Aureliana nie mogła skończyć się inaczej jak tylko tragicznie.

Co innego zbroja. To magowie opracowywali zwykle wzory, które zostaną naniesione na stalowe płyty, magiczne znaki, które pozwolą na rozproszenie energii maga bojowego bez uszkodzenia stali.

Po przeczytaniu kilku prac na ten temat Meredith z powodzeniem wziął się do opracowywania ciągów symboli. Sądził, że zdoła pokierować ręką rzemieślnika, który będzie wykonywał grawerunek. Meredith pracował z Falkiem od czterech miesięcy. Od dawna obserwował jego umysł i zaznajomił się już ze zmienną dynamiką myśli chłopaka. Istniała możliwość, że Falko nigdy nie wykształci umiejętności ofensywnych, ale

Meredith był zdeterminowany, by opracować jego zbroję w taki sposób, aby nie zawiodła go również wówczas, gdy tego dokona.

– No, zatem ustalone – skonkludował Aurelian, zacierając ręce. – Jutro weźmiemy miarę i Antonio zacznie wykuwać twój pancerz maga bitewnego.

Ostatni żyjący świadek



Wczesne godziny poranka zastały Mereditha w archiwach wieży magów. Tekst, oświetlony ametystowym blaskiem kryształowych lamp zawieszonych na ścianach, zaczął pływać mu przed oczami. Wstał więc od kamiennego stołu i przeciągnął się, a potem zaczął rozmasowywać spięte mięśnie ramion i zeszywniały kark.

Pracował od wielu godzin i nadszedł już czas, by poukładać sobie w głowie przyswojone informacje.

W pierwszej kolejności zapoznał się z serią ilustrowanych książek, w których skatalogowano wzory nanoszone na zbroje magów bitewnych. Meredith spędził kilka godzin, pracując nad swoim własnym wzorem, a potem, wiedziony impulsem, poszukał w księgach tego, który znajdował się na zbroi ojca Falka. Znalazł pełne cztery strony poświęcone pancierzowi Aquili Dantégo. Meredith powiódł palcem po zawiłych rysunkach, kiwając głową za każdym razem, gdy doszukał się podobieństw między nimi a tymi przygotowanymi dla Falka. Wiry były wyrysowane nieco ciaśniej, a splatające się z nimi linie miały trochę bardziej skomplikowaną strukturę, ale – owszem – coś zbliżonego do tego wzoru z pewnością dobrze posłuży mocom Falka.

W dalszej kolejności zagłębił się w księdze, w której znalazł kilka teorii o budowie i działaniu smoczych umysłów. Autor wykazywał, że smoki łączą swoista świadomość zbiorowa. Nie potrafiły rozmawiać ze sobą tak, jak robili to ludzie, ale istniało między nimi jakieś połączenie. Ale najciekawszy fragment dotyczył czegoś, co autor nazywał „pamięcią

rasową”.

Twierdził, że smoki pamiętają wydarzenia, które miały miejsce przed ich narodzeniem, i że owa pamięć rasowa sięga z wiekiem coraz dalej. Innymi słowy, im smok był starszy, tym więcej pamiętał z przeszłości. Pisarz wysunął nawet hipotezę, że to właśnie z tego powodu czarne smoki popadają w szaleństwo. Że samo wspomnienie Opętania w jakiś sposób odtwarzało jego efekt na smoczym umyśle. Meredith postanowił wnikliwiej zbadać ten temat w nieodległej przyszłości.

Później uporządkował notatki dotyczące komunikacji na odległość. W czasie gdy Falko wraz z innymi kadetami rozpocznie kampanię treningową, Meredith zamierzał wypróbować swoje pomysły na połączenie wież magów magicznymi przewodami komunikacyjnymi. Meredith pracował nad tym z pięcioma innymi magami, z których dwaj mieli odbyć wraz z nim podróż do wieży w nadbrzeżnym mieście Tempête Havre, pięćdziesiąt mil na południe. Pozostała trójka miała zostać w Furii, aby ustanowić połączenie mentalne, tak by drużyna Mereditha mogła sprawdzić, na jaką odległość zdoła oddalić się od stolicy, nim to się zerwie. Meredith był przekonany, że jeśli tylko uda im się utrzymać koncentrację, połączenie powinno zadziałać. Trudności mogą zacząć się w momencie przekazania połączenia między magami celem jego wydłużenia, a potem utworzenia sieci, której węzłkami będą poszczególni rozproszeni na znacznym obszarze magowie pełniący funkcję przekaźników. Łatwo nie będzie, pomyślał. Ale sukces jest najzupełniej możliwy.

Wreszcie sięgnął po pradawny manuskrypt zawierający wywiady z tymi, którzy ocaleli z Wielkiego Opętania. Niestety, po raz kolejny doszedł do wniosku, że nie nauczy się z niego niczego nowego. Ostatni rozdział poświęcony został człowiekowi, który miał być „ostatnim żyjącym świadkiem Wielkiego Opętania”. Sęk w tym, że księga nie wymieniała go z nazwiska i nie zawierała informacji o tym, co dokładnie ten człowiek zobaczył. Całkowicie zniechęcony Meredith już zamykał manuskrypt, gdy jego uwagę zwrócił jeden akapit dotyczący owego świadka, który został przesłuchany podczas Inkwizycji Ossandy w roku osiemset pięćdziesiątym pierwszym Anno Ira.

...po bliższym zapoznaniu się z zeznaniami świadka badacz może

zwrócić uwagę na pewne niejasności, które zakradły się do jego świadectwa. Jednakowoż, jak wiadomo powszechnie, mężczyzna został przez Inkwizycję zwolniony i umieszczony w wieży lepiej wyposażonej pod kątem leczenia osób zdradzających symptomy dręczącej go choroby. W rozkazie przeniesienia czytamy, iż świadek przebywa w odosobnieniu, a zatem najwyraźniej jego psychika ucierpiała wskutek okropności, których doświadczył, gdy smoki zaczęły mordować ludzi. Bardziej szczegółowy zapis jego świadectwa oraz analiza jego stanu psychicznego znajdują się w księdze Sennicia Verdego „Ostatni żyjący świadek”.

Meredith wlepił wzrok w tytuł. To dziwne, że nigdy nie słyszał o tej księdze. Zajrzawszy do bibliografii, przesunął palcem po wyliczonych pozycjach, z których korzystał autor. Jeśli okaże się, że ten egzemplarz znajdował się w Furii, to księga musiała zaginąć dawno temu, bo w całym toku studiów nie znalazł o niej ani jednej wzmianki. Ale istniała szansa, że jej kopie da się znaleźć w innych magicznych wieżach. Wreszcie jego palec zatrzymał się i Meredith mógł tylko wwiercić się wzrokiem w stronicę. Znalazł tytuł pracy, nazwisko autora i listę miejsc, w których przechowywano kopie.

Ostatni żyjący świadek: Sennicio Verde: Furia, Le Matres

Le Matres. Miasto, które Falko i pozostali kadeci mieli odwiedzić w czasie swojej kampanii. Serce Mereditha zabiło szybciej. Oto relacja z Wielkiego Opętania przekazana przez kogoś, kto był tam i doświadczył go na własnej skórze. Egzemplarz z Furii najwidoczniej zaginął, ale może została się jeszcze księga z Le Matres.

Umysł Mereditha zerwał się do biegu. Mag zastanawiał się, czy jest możliwe, żeby dołączył do kadetów w czasie ich wyprawy. Le Matres było o wiele dalej niż Tempête Havre, ale odległość nie stanowiła problemu. Jego wynalazek powinien zadziałać zarówno przy dwustu, jak i pięćdziesięciu milach, poza tym będzie mógł kontynuować szkolenie Falka.

Już któryś raz tego dnia łypnął na brata Seruliana, przycupniętego na

krawędzi krzesła niczym wielki, pomarszczony człekokształtny ptak. Otrząsając się ze znajomego uczucia niepokoju, Meredith odłożył manuskrypt na stosik tych, które archiwiści mogą już odstawić na półkę. Dzięki talentowi brata Seruliana już wyleciał mu z głowy tytuł książki, którą właśnie odłożył. Zapomniał też większość tego, co z niej wyczytał, ale nie zapomniał tytułu książki, która może znajdować się w wieży w Le Matres.

Mag zebrał swoje notatki i szkice wzorów na zbroję Falka. Było już późno, a jutro będzie musiał omówić zmianę planów z magami, z którymi współpracował. Nie sądził, aby byli uradowani perspektywą podróży, ale wiedział, że pochłonęła ich praca nad jego projektem.

Opuściwszy komnatę, Meredith przeciął linię wzroku brata Seruliana, ale jak zwykle starzec wydawał się zupełnie nie zauważać jego obecności. Treść rozkazu brzmiała: upewnić się, że podczas pobytu w archiwach Furii Meredith nie zachowa w pamięci żadnej informacji dotyczącej osiemdziesiątej czwartej dekady. Ale nie było mowy o dekadzie osiemdziesiątej piątej ani o dziełach, które mogą znajdować się w archiwach w Le Matres, gdzie Meredith Saker w końcu dojdzie do prawdy.

Zbroja maga bitewnego



Warsztaty Antonia Missagliasa leżały w północno-wschodniej dzielnicy miasta, skąd wiejące często wiatry unosiły wyziewy z kuźni w kierunku gór. Falko i Meredith próbowali nie przeszkadzać rzemieślnikom, gdy czekali, aż Aurelian powróci do nich ze zbrojmistrzem.

– Malakiemu by się tu spodobało – rzekł Falko, chłonąc wzrokiem olbrzymie królewskie kuźnie.

– Trochę za gorąco, jak na mój gust – odetchnął Meredith, ocierając czoło, a Falko nie mógł się nie zgodzić.

Rozgrzane powietrze napierało na jego twarz, niosąc ze sobą uderzającą do głowy mieszankę zapachów, których smak Falko czuł na języku: ziemistą woń palonego drewna i rudy zmieszaną z ostrzejszą metalową nutą, wyraźny zapach skóry i słodkawą woń oleju hartowniczego. Rozmaite miechy i pompy sprawiały wrażenie, że cały gmach dyszy, a dźwięk kowalskich młotów wypełniał każdy skrawek przestrzeni. Doniosły łomot tych wielkich, służących do kształtowania ostrzy kontrapunktowało podzwanianie tych mniejszych, za pomocą których spajano ze sobą płyty pancerza.

Falko czuł się tutaj pokrzepiony, jakby wrócił do domu. Odetchnął powietrzem kuźni i otarł pot z czoła, gdy dostrzegł Aureliana, lawirującego między opasłymi piecami, kanciastymi kowadłami, stojakami na broń i narzędziami. Za nim szedł drugi mężczyzna, który wyglądał zupełnie inaczej, niż Falko się spodziewał. Oczekiwał wysokiego, muskularnego rzemieślnika, a w miarę zbliżania się mężczyzny coraz dobitniej

przekonywał się, że mistrz Missaglias był garbusem, choć Falko nie umiał stwierdzić, czy był to efekt wielu lat ślęczenia nad kowadłem, czy też nieszczęśnik już się taki urodził. Był niski, wręcz podobny do karła, lecz posiadał potężne bary, a jego skóra była brudna od sadzy, co charakteryzowało ludzi spędzających całe swoje życie w kuźni. Jego nagie ramiona były zgrubiałe od blizn, podobnie jak czerwonawa skóra twarzy, lecz ciemne oczy skrzyły inteligencją.

– Przedstawiam wam mistrza Antonia Missagliasa. Mistrzu, oto dwaj twoi rodacy, Falko Danté i Meredith Saker.

Antonio skłonił się i uśmiechnął na widok Falka, wpatzonego w rzucające się w oczy szramy, które wyglądały, jakby kopnął go w twarz koń podkuty rozgrzanymi do czerwoności podkowami.

– Zrobiła mi to jedna klacz – powiedział tonem wyjaśnienia z neutralnym, valenckim akcentem. – Chyba nie spodobały jej się moje końskie zaloty.

Falko się wzdrygnął.

– Żartuję, przywołała mnie tylko do porządku. – Mistrz wzruszył niefrasobliwie ramionami. – Gdyby chciała, z miejsca by mnie wykończyła. – Antonio prychnął śmiechem i zmierzył Falka od stóp do głów. – Podobno potrzebujesz zbroi, chłopcze.

Falko skłonił głowę, raptem zawstydzony.

Mistrz ośmielił go życzliwym uśmiechem. Wypowiedział to, jakby wpadli po drodze, by zamówić zwykłe karwasze. Raz jeszcze przyjrzał się kadetowi badawczym wzrokiem, a potem spojrział na Mereditha.

– Ty opracowałeś wzór, jak mniemam?

Meredith potwierdził skinieniem. Jego dłoń sama z siebie powędrowała do skórzanego tubusu na zwoje, który nosił przy boku. Przyniósł w nim szkice i notatki, nad którymi pracował minionej nocy.

– I na kiedy potrzebujesz tego pancerza? – spytał Antonio, biorąc się pod boki.

– Falko niebawem wyrusza z resztą kadetów na kampanię treningową – powiedział Aurelian, stając za nim. – Szacuję więc, że do jego powrotu zostało mniej więcej dziesięć lub jedenaście tygodni.

Zbrojmistrz prychnął, słysząc, jak wielką wiarę pokłada Aurelian w jego możliwości.

– Wiem, że mówimy o zbroi maga bitewnego – nie ustępował weteran – ale jestem pewien, że przy wytężonej pracy... – urwał, wiedząc, że prosi o zbyt wiele.

Antonio obrócił się i poprowadził gości środkiem długiego budynku ze stanowiskami kowalskimi po obu stronach. Falko wyczuł ostrą woń kwasu i zobaczył, że kowale po prawej stronie przygotowują się do wytrawienia czegoś w elementach pancerza. Zgiełk i harmider warsztatu zaczęły cichnąć, gdy przechodzili do kolejnego pomieszczenia, którym okazała się przymierzalnia.

– Co myślisz, Antonio? – spytał Aurelian, już bez zwyczajowej pewności siebie, która ustąpiła miejsca zwątpieniu. Krótka wycieczka po kuźniach przypominała mu, ile pracy wymaga wykucie pełnej zbroi. – Mógłbyś przynajmniej zacząć. Minie jeszcze sporo czasu, zanim Falko będzie mógł przystąpić do rytuału Assay.

Antonio zatrzymał się i spojrzał na Falka, a potem posłał Aurelianowi spojrzenie przesycone dezaprobatą. Wyglądało na to, że wątpi, by Falko był gotów podejść do próby. Zaczepił przechodzącego obok pracownika przymierzalni.

– Ten młody człowiek potrzebuje zbroi – rzekł. – Zbroi maga bitewnego, żebyśmy mieli jasność – dodał. – Jak sądzisz, jak szybko możemy spełnić jego prośbę?

Mężczyzna skłonił się i uśmiechnął uprzejmie. Wziął w ręce zawieszoną na szyi miarkę.

– Za mną, młodzieńcze.

Falko spojrzał na Aureliana, który skinął przyzwalająco głową, po czym czując się wybitnie nieswojo w centrum uwagi, poszedł za mężczyzną do pokoju w rogu budynku. Wejście zasłonięte było kotarą. Gdy mężczyzna ją odsunął, Falko stanął jak wryty.

Na środku pomieszczenia stała na drewnianym stojaku wykuta z ciemnej stali zbroja półpłytowa z kolczugą. Napierśnik, naramienniki i karwasze, nabiodrki, nagolenniki i pancerne buty. Osobny stojak, na którym zawieszono okrągłą metalową tarczę, zwieńczono barbutą z charakterystycznym wycięciem w kształcie litery T, która zdawała się mierzyć Falka groźnym wzrokiem. Zbroja nie była jeszcze ukończona, ale wszystkie jej fragmenty były już gotowe.

– Trzymaliśmy się stylu valenckiego – rzekł mistrz Missaglias, jakby nie mógł doczekać się od Falka pochwały.

Oczy chłopaka zatrzymały się na dodatkowym elemencie na części zbroi okrywającej prawe ramię, którym trzymało się miecz, oraz lewą nogę, wysuniętą zwykle do przodu w pozycji bojowej. Były to typowe cechy zbroi noszonych w Valencji. Falko był tak oszołomiony, że nie mógł dobyć słowa. Za jego plecami Aurelian śmiał się półgębkiem.

– Jak to możliwe? – zapytał starego maga bitewnego.

– Królowa spotkała się ze mną u schyłku jesieni – odpowiedział za niego Antonio. – Powiedziała, że emisariusz sprowadzi do stolicy nowego maga bitewnego, i spytała, czy mógłbym zacząć pracę nad pełną zbroją dla niego.

– A niech mnie – wybąkał Aurelian, kręcąc głową i podchodząc, by dokonać szczegółowej inspekcji zbroi.

– Trochę czasu strawiliśmy na przygotowanie metalu i wyżarzanie – mówił dalej Antonio. – A potem, gdy przybył pan Danté, wzięliśmy miarę z pancerza treningowego, którego używał w akademii. Wreszcie poprosiliśmy o radę lanistę Magnusa, który powiedział nam, jak rozwinie się pod wpływem treningu ciało młodego kadeta. – Tutaj spojrzał na Falka, jakby chciał ocenić, czy instruktor się nie pomylił. – Ma się rozumieć, wykonamy wszelkie wymagane poprawki, ale myślę, że trafiliśmy bez pudła.

Za plecami Falka Meredith był w równej mierze zdumiony fortem królowej, ale i podziwiał w duchu jej zdolność przewidywania. Zbroja wymagała ostatnich szlifów, ale była już prawie gotowa. Nagle pożałował, że sam nie spędził więcej czasu nad wzorami, które trzeba będzie w finalnym stadium przygotowań nanieść na stal.

– I co myślisz? – spytał Aurelian, ale Falko tylko się gapił.

Mistrz Missaglias przywołał gestem dwóch czekających w pobliżu pracowników. Mereditha i Aureliana poproszono unizienie o opuszczenie przymierzalni, gdy dwaj siwowłosi mężczyźni weszli do pomieszczenia i zasunęli kotary. Zdjęli z Falka płaszcz i kamizelkę z owczej skóry, a potem w ruch poszły miarki. Jeden mężczyzna przykładał długi skórzany pasek z podziałką do różnych części ciała Falka, a drugi zapisywał wartości liczbowe w notesie, i tak już wypełnionym po brzegi liczbami. Potem, rozebrawszy Falka do koszuli i bielizny, zaczęli nakładać mu różne

elementy pancerza, gdy on mógł tylko stać jak słup soli, zawstydzony i zażenowany, czując się jak rasowy byk przygotowywany na dzień targowy.

Zaczęli od lekkiej pikowanej kolczugi i pary skórzanych spodni z jedwabną podszewką. Na to nałożyli kolczą koszulkę, obmyśloną tak, by wzmocnić newralgiczne, nieprzykryte płytą miejsca, nie zwiększając zanedo jej ciężaru. Następnie pomogli Falkowi z opancerzonymi butami, przytwierdzili nagolenniki i nabiodrki. Zapięli napierśnik i jego odpowiednik na plecy, wyposażony w dwa główne połączenia przegubowe, by uchronić Falka przed wciskającymi się w krtań metalowymi elementami. W dalszej kolejności nałożyli naramienniki i wsunęli na dłonie rękawice ze skóry i zmyślnie połączonych drobnych płytek, a na przedramionach znalazły się karwasze, przez królewskich zbrojmistrzów zwane również „mniejszymi rurami”.

Ostatecznie zdjęli ze stojaka barbutę i w tym momencie mistrz Missaglias wydał krytycznie usta, jak gdyby dopasowanie hełmu świadczyło najdobitniej o trafności jego mierniczych szacunków. Dwaj siwi mężczyźni nie nałożyli Falkowi hełmu, lecz wręczyli mu go, by mógł zrobić to własnoręcznie.

– Nie jesteś w końcu królem – wytłumaczył Antonio. – Tradycja nakazuje, żeby rycerz sam zakładał na głowę hełm.

Falko utkwiał wzrok w stalowym dzwonie w swoich rękach. Akt nakładania hełmu nabrał raptem uroczystych cech, jakby stanowił symboliczny moment powzięcia całej odpowiedzialności związanej z pancerzem maga bitewnego. Uniósł go więc wolno i zamknąwszy oczy, osadził na głowie. Dwaj mężczyźni cofnęli się o krok, gdy mistrz Missaglias stanął przed Falkiem.

– Potrząśnij i pokręć głową – powiedział, a Falko wykonał polecenie.

Zbrojmistrz przyglądał się bacznie sposobowi, w jaki hełm poruszał się na głowie. Mruknął pod nosem, wyraźnie niezadowolony ze stopnia dopasowania.

– Mam wrażenie, że pasuje jak ulał – stwierdził Falko. – Na pewno lepiej niż wszystko, co dotąd nosiłem.

Ale mistrz nie dał się przekonać.

– Nie – rzekł. – Część brwiowa leży dobrze, ale musimy trochę podnieść

grzebień, żeby zacieśnić część policzkową i poprawić zakrzywienie na potylicy, zanim dokonamy ostatecznego hartowania – rzucił prędkimi słowami do pomocnika, który zapisał to wszystko w notesie. – Teraz weź tarczę – zwrócił się do Falka, robiąc miejsce pomocnikowi, który podsunął tarczę kadetowi tak, by ten mógł bez przeszkód wsunąć ramię w skórzane pasy.

Tarcza była doskonale wyważona i Falko poczuł głęboką satysfakcję, gdy zacisnął palce na uchwycie. Nigdy wcześniej nie widział tej zbroi i z całą pewnością nie uważał się za godnego, by ją nosić, a jednak czuł się w niej świetnie. Na miejscu. Jakby była zrobiona specjalnie dla niego, co było rzeczywiście prawdą.

Pracownicy przymierzalni obrócili Falka twarzą do wielkiego lustra, a chłopak ledwie rozpoznał stojącą naprzeciw postać. Wreszcie zamaszystym gestem odsłonili kotarę, by pokazać Falka Aurelianowi i Meredithowi.

Spojrzenie Aureliana wypełniała osobliwa satysfakcja, a Meredith po prostu wwierał się wzrokiem w ucznia.

– A nie mówiłem? – Aurelian uśmiechnął się szeroko. – Pstryknięciem palców!

– Niesamowita – wykrztusił Falko, poruszając na próbę rękami i nogami. – Chyba lżejsza niż „druga skóra”.

Aurelian prychnął śmiechem, a mistrz Missaglias uniósł brew, udając obrażonego. Nikt dotąd nie porównał dzieła jego rąk do skórzanej kapoty, po której okładali się drewnianymi mieczami kadeci. Skinąwszy ostatni raz głową, zostawił Falka w kompetentnych rękach swoich pracowników, którzy sporządzali właśnie listę wymaganych poprawek. Falko zarzekł się, że żadne nie są konieczne, ale mężczyźni wiedzieli, że niedopasowana zbroja może zranić noszącego w równej mierze co wróg, zwłaszcza jeśli noszącym jest mag bitewny, który musi zachować na polu bitwy całą swoją zwinność, szybkość i siłę. Za pomocą kawałka czarnego wosku, którego używali w taki sam sposób, jak krawiec używa kredy, zaznaczyli miejsca wymagające modyfikacji. Wszystko, ma się rozumieć, zostało opisane w notesie.

Gdy przymierzalnicy kończyli pracę, Antonio podszedł do Mereditha, który wciąż nie mógł odzepić się wzrokiem od Falka.

– Wygląda jak moc, którą czuję w jego wnętrzu – odetchnął Meredith.

– To chyba najlepszy komplement na świecie – rzekł Antonio, wywołując rumieniec na obliczu maga, który wcale nie chciał dzielić się swoimi myślami. – Tu masz chyba rysunki, nie mylę się?

Meredith pokiwał głową i nakrył dłonią tubus. Antonio zawołał młodego czeladnika, który wykładał elementy pancerza w przymierzalni obok.

– Znajdź mistrza Doriana w wytrawialni. Poproś, żeby poświęcił nam kilka minut.

– Tak, mistrzu.

Antonio zaprowadził Mereditha do pomieszczenia zastawionego stołami kreślarskimi, na których piętrzyły się arkusze papieru pokryte szkicami pancerzy w różnym stopniu wykończenia. Oczyszczył jeden ze stołów i poprosił, by Meredith pokazał rysunki, nad którymi pracował. Ogarnięty zdenerwowaniem Meredith otworzył tubus i zaczął wykładać przygotowane projekty. Zwoje zwijały się, dopóki Antonio nie obciążył ich w rogach przyciskami.

– Hmm... – mruknął, przyglądając się krytycznie zawilym rysunkom. – Ach, jesteś już, Dorianie – rzekł, gdy wysoki i chudy mężczyzna pojawił się za ich plecami. – To jest Meredith Saker, mag, który zaprojektował wzór na pancerz pana Dantégo.

– Jestem tylko nowicjuszem – poprawił Meredith.

Spojrzenie mistrza Doriana mówiło: jak śmiesz go poprawiać? Mrugnął małymi, świdrującymi oczkami i przesunął dłonią po przyciętej w szpic brodzie na wąskim podbródku.

– Czy mogę?

– Oczywiście – rzekł Meredith, dopuszczając do stołu wytrawialnika.

– Hmm – mruknął mistrz Dorian, dokładnie tak samo jak wcześniej Antonio. Wyłowił z kieszeni koszuli monokl w mosiężnej oprawce i zbliżył głowę do stołu, obwodząc szkice długim i szczupłym palcem.

– Interesujące – powiedział po dokładnych oględzinach. – Bardzo podobne do znaków ojca.

Meredith uznał, że to niesamowite, iż ten człowiek potrafi z pamięci dostrzec podobieństwo.

– Tak – potwierdził, nie zdradzając się z zaskoczeniem. – Przy czym wcale nie skopiowałem rysunku z pancerza Aquili Dantégo. Zauważyłem

podobieństwa już po tym, jak narysowałem te wzory.

– Nie uprawiam krytykanctwa, młody człowieku – zarzekł się mistrz Dorian. – Twoje rysunki wyglądają bardzo dobrze, choć widzę, że to twój debiut.

Meredith nie był pewien, czy to komplement.

Antonio uśmiechnął się i podziękował skinieniem Dorianowi, a ten oddalił się do przerwanych obowiązków.

– Skoro więc mamy rysunek wzoru i listę poprawek, nie trzeba nam już nic więcej, żeby dokończyć zbroję. Będzie gotowa, gdy Falko wróci z kampanii. Pozostaje więc już tylko kwestia miecza.

– Ach... – zaczął Aurelian i tym razem to na jego twarz wypłynął wstydlivy grymas. – Tak... Właśnie miałem ci o tym powiedzieć.

Mistrz Missaglias raz jeszcze uniósł brwi. Znał Aureliana dość dobrze, by wiedzieć, że nie spodoba mu się to, co stary mag bitewny ma do powiedzenia. Aurelian otoczył ramieniem garbate plecy mistrza i wyprowadził go z pokoju.

Meredith prawie nie zauważył, jak zniknęli. Obserwował stojącego po drugiej stronie kotary Falka w otoczeniu przymierzalników. Ujrzawszy go w zbroi, doznał wrażenia, jakby zobaczył go po raz pierwszy. I wówczas zaczął rozumieć obawy Galena Thralla i swojego ojca. Pancerz zdawał się idealnie pasować do Falka. Jego ciężar, styl i krój były doskonale dopasowane do jego ciała. Mało tego, Falko rzeczywiście wyglądał w nim groźnie i Meredith raptem zwątpił w to, czy chce pomóc mu uwolnić pełnię jego mocy.

Czy to naprawdę dobry pomysł?

A co, jeśli rzeczywiście pójdzie w ślady ojca i zwróci się przeciw nim?

Dwaj siwowłosi mężczyźni zabrali notatki, odsunęli zasłonę i wyszli z przymierzalni, zostawiając Falka samego na kilka minut. Usiłując zdusić falę wątpliwości, Meredith przypomniał sam sobie o instynkcie, który pchnął go do tego, by pomógł chłopakowi. Rozsądek zalecał ostrożność, ale przecucie mówiło, że powinien zaufać uczniowi. Na razie odda głos przecuciu.



Wreszcie został sam. Falko wpatrywał się w opancerzoną postać w lustrze, człowieka, który wyglądał na silnego i niebezpiecznego. Doznał przedziwnego uczucia, jakby nie patrzył wcale na siebie, ale na swojego ojca. Smutek i żal ścisnęły go za gardło. Przez chwilę jeszcze spoglądał na swoje odbicie, a potem spuścił wzrok na pustą prawą dłoń. Mistrz Missaglias miał rację. Falko miał na sobie zbroję, o której niewielu mogło marzyć.

I brakowało już tylko miecza.

Trawersowanie



Nie wierzę, że mnie nie zaprosiłeś! – powiedział Malaki po raz piąty, odkąd usłyszał o wizycie Falka w warsztatach słynnego Antonia Missagliasia.

– Myślałem, że tylko tam zajrzemy – bronił się Falko, gdy brali prysznic po porannej sesji treningowej. – A tak w ogóle to ty nie myśl o Missagliasie, tylko przyłóż się lepiej do jazdy konnej.

– Tylko raz uderzyłem w słupek – fuknął Malaki, wycierając twarz ręcznikiem.

– Ale pękł na pół, z tego, co słyszałem – zaripostował Falko, widząc, że Quirren i Alex próbują zdusić napad śmiechu. Nawet Bryna spojrzała na chłopaków przez oddzielającą ich zasłonę.

– To wina Fidelisa – tłumaczył się Malaki, mając na myśli swojego konia. – Słowo daję, ma cztery lewe kopyta!

– No pewnie. Obwiń konia – prychnął Falko, jakby miał już dość wymówek.

Wszyscy buchnęli śmiechem, a Falko wzdrygnął się, gdy mokry ręcznik trafił go w twarz.

– En passant nie jest łatwy – stwierdził Quirren, klepiąc mijającego go Malakiego po plecach. – Zwłaszcza teraz, gdy wykonujemy go przy pełnej szybkości.

– Otóż to – potwierdził Malaki. – Wszystko jest trudniejsze, jak się to robi szybko... – Umilkł, gdy zza zasłony wyszła Bryna, wycierając włosy ręcznikiem.

Reszta spojrzała na nią dziwnie, ale Bryna tylko potrząsnęła głową i wrzuciła ręcznik do pobliskiego wiadra. Tego popołudnia Urwipółcie pierwszy raz wykonają manewr trawersowy z kawalerią, i to przy pełnej prędkości. Bryna bała się, że im się nie uda i nie będzie mogła wyruszyć na kampanię treningową.

Wciskając koszulę w spodnie, nałożyła drugą ręką kurtkę i wyszła na zewnątrz. Malaki złapał koszulę i wybiegł za nią, a za nim Falko i bracia Klingemann.

– Będzie dobrze – powiedział Malaki, narzucając koszulę na wilgotne ramiona. – Trawersowałaś już z piechotą i konnicą w zwykłym tempie.

– Wiem – odrzekła dziewczyna, biorąc bułkę z talerza stojącego na stole. – Ale Połcie to łucznicy... Spinają się przy konnych. Niektórzy z młodszych chłopaków po prostu boją się koni.

Bryna ugryzła bułkę. Z wnętrza świeżego pieczywa wydobyła się para. Był piękny wiosenny dzień.

– Musisz im jakoś dodać otuchy – doradził Malaki, gdy Falko, Alex i Quirren zasiadali do stołu.

– Manewr nie trwa długo. Szast-prast i będzie po wszystkim – rzekł Alex. – Musisz tylko utrzymać szyk w prostej linii i pilnować odstępów.

Spojrzenie Bryny mówiło: łatwo powiedzieć. Wygnańcy wykonali manewr poprawnie kilka razy, ale byli starszymi i bardziej doświadczonymi żołnierzami. Urwipółcie stanowili mieszaninę wszystkich grup wiekowych i dominowali wśród nich ludzie nieprzewidywalni i wybuchowi, skłonni do działania pod wpływem impulsów. Widziała oczami wyobraźni, jak wyłamują się z szyku i giną pod końskimi kopytami.

– A może zakazałabyś to robić tym nerwowym? – powiedział Falko.

– Ja sama jestem nerwowa. Nie jest łatwo odwrócić się plecami do stada galopujących koni. A poza tym ci ludzie prędzej zginą, niż stracą twarz.

– Poradzisz sobie – powiedział Malaki z przekonaniem. – Od wyruszenia na kampanię wciąż dzielą nas prawie trzy tygodnie. Jeśli nie uda ci się dziś, uda się jutro.

Bryna oderwała zębami kolejny kęs bułki i popiła wodą. Wtedy zobaczyli, że na płaskowyż wjeżdża kolumna żołnierzy Légion du Trône. A od strony strzelnic nadeszła zbieranina dwustu roześmianych, poszturchujących się łuczników.

Z namiotów wychodzili kolejni kadeci, a asystenci zaczęli przygotowywać poligon do ćwiczeń.

– Lepiej do nich pójść – powiedziała Bryna, przełykając ostatni kęs. Malaki wstał z miejsca, by ją pocałować.

– Powodzenia – rzekł, wzbudzając wśród przyjaciół falę najlepszych życzeń, skinieć i niezręcznych uśmiechów.

Błada i nerwowa Bryna złapała łuk i kołczan, a potem ruszyła na spotkanie Urwipółciów. Nie witali jej już gwizdami i okrzykami. Połcie wiedzieli, ile znaczy dla Bryny dzisiejszy dzień, i żaden nie chciał wyjść na głupka przed instruktorami i kadetami.

– Poradzi sobie – rzucił Falko do Malakiego, gdy patrzyli na konnych formujących szyk na poligonie przylegającym do ich własnego. – Jeśli ktokolwiek potrafi jechać prosto, to właśnie żołnierze z Légion du Trône.

Rozkojarzony Malaki pokiwał głową. Razem oparli się o ogrodzenie wydzielonego obszaru poligonu, by popatrzeć. Po chwili dołączyli do nich laniści. Urwipółcie uformowali szyk we wskazanym miejscu.

– Uda jej się – rzekł lanista Magnus. – Wykonała kawał dobrej roboty z najbardziej niesubordynowaną jednostką w całej armii.

Malaki był wdzięczny laniście za słowa otuchy, choć nawet on wydawał się z niepokojem oczekiwać wyników manewru. Trawers był, krótko mówiąc, manewrem niebezpiecznym. Opracowano go po to, by umożliwić jednemu oddziałowi przejście przez drugi bez kolizji i zamieszania. Księgi historyczne były pełne bitew, które zakończyły się sromotną klęską, bo poszczególne jednostki nie potrafiły dotrzeć na wyznaczone pozycje, bo armie dawały się złapać wrogowi w kleszcze, bo konnica nie mogła dosięgnąć wroga, gdy na jej drodze stanęły zbite kwadraty jej własnej piechoty. Był to manewr trudny, a od jego wykonania mogły zależeć losy bitwy, Brynie zależało więc na tym, by wykonać go poprawnie.

Czując na sobie wzrok gapiów, ruszyła przez pole, by spotkać się z widoczną w oddali figurą Patricka Fecklera.

– Jak się mają?

– Nieźle – odparł Paddy. – Śmieją się, żartują, nakręcają nawzajem. Czyli jak nic robią w majty.

Bryna kiwnęła głową, mieląc językiem w zaschniętych ustach. Urwipółciom udało się wykonać manewr w tempie marszowym wraz

z piechotą i konnicą. Trawers w pełnym galopie przedstawiał zupełnie nową skalę niebezpieczeństwa. Ziemia dosłownie drżała od łomotu kopyt. Odgłos nadciągającej konnicy potrafił przerazić największych twardzieli.

Na rozkaz dowódcy jednostka przetrawersowywana musiała rozproszyć szyk celem przepuszczenia jednostki mającej się przez nią przedostać. Szyk musiał więc być równy i idealnie wykreślony, bo w przeciwnym razie dochodziło do tragedii, zwłaszcza gdy przetrawersowywała się konnica z piechotą. Ciężko pracowali, by zrobić to jak należy, ale bardzo wiele zależało w tym manewrze od tego, czy żołnierze zachowają zimną krew. Widząc zbliżającą się konnicę, mieli odwrócić się i kucnąć, opierając głowy o plecy osoby z przodu, by zredukować profil i zminimalizować ryzyko odniesienia ran.

– Jak się trzymają Alnwick i Daniel? – spytała Bryna.

– Mają nawet pełniejsze gacie niż reszta – odrzekł Paddy. – Ale są zdeterminowani, żeby zrobić to dobrze.

– Może powinnam nalegać, żeby wyłączono ich z manewru – powiedziała Bryna, patrząc na dwóch chłopców, którzy nie mogli mieć więcej niż siedemnaście lat. O jednym z nich, Danielu, mówiło się, że jest „ułomny”, ale Urwipółcie uznali go za swojego. Podeszła do nich.

– Jak tam, chłopaki? – rzuciła do dwóch młodzieńców z łukami opartymi o buty.

– Wszystko gra i buczy, pani kapitan – odparł Alnwick, nie zdradzając się z przypadłością, o której wspomniał Paddy.

– Ja to się trochę boję – przyznał Daniel, odgarniając z oczu długie jasne włosy.

– Wiecie, nie musicie tego robić – powiedziała Bryna. – Wiecie o tym, nie?

Chłopcy oblali się rumieńcem i odwrócili oczy. Alnwick chyba chciał coś powiedzieć, ale w końcu ugryzł się w język.

– Odrobinka strachu jeszcze nikogo nie zabiła – powiedział Daniel, jakby usłyszał te słowa od jakiegoś starszego żołnierza.

Bryna posłała im uśmiech i odwróciła się, zanim ten samorzutnie spełził z jej ust.

– Miej na nich oko – szepnęła do Paddy’ego. – Jeśli Alnwick się podłamię, wyłącz go z manewru. Zwiąż go, jeśli będziesz musiał, nie dbam

o to.

Paddy łypnął na dwóch młodzianów, zanim odpowiedział:

– Są tu z własnej woli. Albo dadzą radę, albo nie dadzą.

Bryna spojrzała przelotnie na niedźwiedzią postać Patricka i zastanawiała się, co by się musiało stać, żeby i ją ogarnęła podobna obojętność. Była od tych chłopców tylko kilka lat starsza, ale nawet w jej oczach byli jeszcze dziećmi.

– Rozstaw szyk – rozkazała. – Zaraz zaczynamy.

Paddy kiwnął głową i zaczął formować z podkomendnych formację wyjściową, gotową do oddania strzału. W tym czasie Bryna podeszła do jednego z marszałków trzymających pieczę nad manewrami.

– Salwa z dwustu jardów. Na mój rozkaz wykonać trawers – powiedział, patrząc na nią surowym wzrokiem. – Kawaleria ruszy na sygnał trąbki. Flaga będzie wskazywać linię podejścia. – Podniósł czerwoną flagę, którą trzymał w ręku. – Jeśli wystąpią problemy, dowódca ma czas do drugiego sygnału trąbki, by odwołać ćwiczenie. Potem będzie już za późno.

Bryna pokiwała głową. Jeśli nie będzie zadowolona z utworzonej formacji, zostanie jej dosłownie chwila, by zakończyć manewr. Wówczas marszałkowie wydadzą konnym rozkaz rozproszenia się w dwóch grupach ku przeciwległym krańcom pola. Odwróciwszy się od marszałka, omiotła wzrokiem Urwipołciów stojących w równiutkim szyku. Po jednej stronie pola znajdował się rząd celów oznaczonych białymi, łopocącymi na wietrze flagami. Po drugiej ryły ziemię kopytami konie Légion du Trône, stojące w słońcu i czekające na komendę do trawersu w galopie. Stała na tyłach Urwipołciów, najbliższej kawalerii. Jej pozycja wyznaczała linię, na podstawie której jej ludzie uformują szyk trawersowy – był to tak zwany la point.

Bryna, nie patrząc na Malakiego i innych, zajęła pozycję za Paddym.

– Nie wygląda to źle – przełamał ciszę Alex z nutą zaskoczenia.

Falko kiwnął głową. Urwipołcie szybko uformowali szyk. Rzucił okiem na Malakiego, ale on patrzył wyłącznie na Brynę. Wreszcie marszałek wkroczył na pole i uniósł czerwoną flagę. Urwipołcie jak jeden mąż nałożyli strzały na cięciwy.

– Napiąć!

Żołnierze wykonali polecenie, łapiąc cięciwę trzema silnymi palcami, by

wytrzymać napięcie. Nawet z tak daleka kadeci słyszeli wyraźnie donośny głos Bryny. W odróżnieniu od wielu kobiet, których głosy w krzyku robiły się piskliwe, jej ton był głęboki i dźwięczny.

– Strzelać! – wrzasnęła.

Brzęknęło dwieście cięciw. Strzały przecięły powietrze i wbiły się w ziemię wzdłuż linii słupków dwieście jardów dalej. Może i denerwowali się przy konnicy, ale wciąż strzelali jak szatany.

Oddawali salwę za salwą w równym tempie, aż marszałek opuścił flagę i zabrzmiała pierwsza trąbka.

– Traverser, sur moi! – zawołała Bryna.

– Traverser, sur la point! – potwierdził jej rozkaz Paddy Feck.

Urwipolcie jednocześnie opuścili łuki i obrócili się, by sprawdzić pozycję Bryny. Stała na tyłach oddziału z rozłożonymi rękami. Sprawdziła położenie flagi marszałka, odwrócona teraz tyłem do kawalerii, która wyrwała z kopyta i ruszyła prosto na nich. Urwipolcie mieli tylko kilka sekund, by rozstawić się w odpowiednim szyku, słysząc niosący się po polu, narastający tętent.

Rząd najbliżej Bryny dostosował się do linii wyznaczonej jej ramionami i zaczął się poszerzać, zwiększając dwukrotnie odstęp między poszczególnymi żołnierzami. Na tej podstawie kolejne rzędy ustawiły się jeden po drugim, w tych samych odstępach, formując rozproszony kwadrat. Bryna poczuła ukłucie dumy, widząc, jak szybko zmienili szyk.

– W tył zwrot! – zawołała.

Urwipolcie obrócili się plecami do zbliżającej się szybko kawalerii.

– Na dół i blisko! – zawołała.

Cała formacja opadła na jedno kolano, złożyła łuki płasko na ziemi i oparła głowy o osoby z przodu, łapiąc jedną ręką za ich ubranie.

Bryna miała dosłownie chwilę, by sprawdzić, czy wszystko jest jak należy. Formacja była idealnie rozstawiona, kanały szerokie i czyste. Kiwnęła z uznaniem głową i wtedy usłyszała drugi dźwięk trąbki.

– Na dół! – powiedział Paddy i Bryna poczuła na karku wielką rękę, przyginającą ją do ziemi, gdy mężczyzna zasłonił ją swoim ciałem.

Bryna przycisnęła czoło do pleców mężczyzny przed nią, a czas stanął w miejscu, gdy za ich plecami potężniał huk kopyt. Czowała zapach skóry i potu, i raptowny oddech mężczyzny przed sobą. Podniosła wzrok

i zobaczyła Alnwicka po swojej lewej i Daniela po prawej. Obaj chłopcy klęczeli jak na szpilkach, zmagając się z przerażeniem potęgowanym przez dudniący w uszach tętent.

Nagle Alnwick porwał się z miejsca, chcąc uciec z pola, ale Dedric Sayer złapał go mocno za kołnierz i wciągnął z powrotem do szyku, a potem przygwoździł do ziemi własnym ciałem.

Po jej prawej stronie Daniel wiercił się nerwowo w miejscu. Mężczyzna za jego plecami usiłował uspokoić go silnym dotykiem ręki.

Trzymajcie się, chłopcy, pomyślała Bryna, gdy ziemia pod jej nogami zaczęła się trząść. Jeszcze tylko kilka sekund.

Bryna zagryzła zęby i wcisnęła głowę w plecy żołnierza przed sobą, gdy pierwszy koń przebiegł obok niej. Żdźbła trawy pofrunęły w powietrze, ziemia spryskała jej twarz. Narosła w niej panika, ale wiedziała, że zaraz będzie po wszystkim. Zaryzykowała kolejne spojrzenie na chłopców. Między rozmazanymi kształtami koni i przez płataninę łomoczących kopyt dostrzegła ich, zastygłych nieruchomo w swoich rzędach. Mężczyzna za Danielem robił, co mógł, by go uspokoić.

Akurat mijał go ostatni koń, gdy chłopak wyrwał się mężczyźnie i obejrzał, by sprawdzić, ilu jeszcze zostało jeźdźców. Ledwie złamał szyk, wysunął głowę tylko na kilka cali, ale to wystarczyło. Kopyto trafiło go w skroń i Bryna syknęła, gdy w powietrze trysnęła krew. Mężczyzna nakrył Daniela swoim ciałem, przycisnął do ziemi, ale było już za późno. Gdy minęli ją ostatni jeźdźcy, Bryna wyrwała się Paddy'emu i podpełzła na czworakach, by zobaczyć, co z Danielem.

Leżący na nim mężczyzna podniósł się wolno i obrócił chłopca na plecy. Jego jasne włosy były mokre od krwi. Wstrząsały nim drgawki, gdy leżał na skopanej ziemi. Bryna uklękła przy nim, położyła mu rękę na policzku.

– Daniel. Słyszysz mnie? – spytała zmienionym głosem.

Daniel rozwarł powieki.

– Trochę się bałem – powiedział niewyraźnym głosem, jakby spał. – Konie – dodał, a jedna strona jego twarzy obwisała nieruchomo. – Wielkie i silne. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, póki ich nie zobaczy z bliska.

Bryna poczuła, że coś łapie ją za gardło, gdy jego lewe oko zamknęło się, poruszane mięśniami, które już nie chciały go słuchać. Usta chłopaka rozwarły się i zaczęła toczyć się z nich piana. Próbował coś jeszcze

powiedzieć, ale wtedy twarz skurczyła mu się w grymasie bólu i zapłakał. Jego ciało jakby stężało, podbródek wcisnął się w szyję, nadając nienaturalny kształt otwartym, płaczącym ustom. Skurcz targnął nim raz, potem drugi, a potem Daniel znieruchomiał. Krew wsiąkała w błotnistą ziemię wokół jego głowy.

Bryna patrzyła na niego przez łzy. Jak to się mogło stać?

Już było prawie po wszystkim. Wykonali manewr, poszło jak po maśle. Było już prawie po wszystkim.

Jak jedno szybkie spojrzenie mogło się tak skończyć?

Beznadzieja i bezsens tego, co się stało, sprawiły, że wnętrzości wywróciły jej się do góry nogami i dopiero gdy Paddy próbował odciągnąć ją od Daniela, uprzytomniła sobie, że ściska w pięściach jego ubranie. Reszta Urwipołciów podniosła się na nogi. Uśmiechy satysfakcji spelzły z ich ust, gdy dotarło do nich, że coś poszło nie tak.

– Daniel – Bryna usłyszała ich głosy. – Mały Daniel nie żyje. Mały Daniel nie żyje.

Łucznicy złamali szyk i skupili się wokół leżącego na ziemi Daniela. Marszałkowie przybiegli wraz z dwoma asystentami z noszami. Pilność wyparowała z ich kroków, gdy uświadomili sobie, że chłopak zmarł.

Bryna wolno wstała, Paddy odprowadził ją na bok.

– Powinam była ich wyrzucić – powiedziała pustym tonem. – Wyrzucić obu z pola.

– To nie jest twoja wina – odparł Paddy ponurym, ale pewnym głosem. – Mówiłem ci. Albo dadzą radę, albo nie dadzą.

Bryna wlepiła w niego nierozumiejące spojrzenie. Gdzieś w jego słowach była ukryta jałowa mądrość. Usiłowała ją pojąć, ale odkryła, że nie potrafi. Łzy spłynęły jej po policzkach, ale Paddy tylko na nią patrzył.

– Przejmowanie się nic nie daje – rzekł. – Tylko zżera cię od środka.

Patrzyli, jak asystenci wynoszą Daniela na noszach. Krew przesączała się przez białe płótno.

– Wypijemy dziś za niego – mówił dalej Paddy. – I wtedy będzie po wszystkim.

Z tymi słowy odszedł od niej i zaczął zaganiać Urwipołciów w kierunku baraków Nieregularnych. Gdy zaczęli schodzić z poligonu, Bryna spostrzegła, że biegną do niej Malaki i Falko. Pierwszym uczuciem, które

zrodziło się w jej sercu, była ulga, ale zaraz przyszło poczucie winy. Może Paddy miał rację, może niedobrze jest się przejmować, ale Bryna nic nie mogła na to poradzić.

Przejmowała się.

I zżerało ją to od środka.



Pomimo najlepszych intencji nic, co mówili, nie złagodziło jej poczucia winy. Później tej nocy w mętym świetle palenisk Falko patrzył, jak Malaki i Alex próbują ją pocieszać. On sam stał w nogach łóżka Bryny i milczał. Quirren podszedł i stanął u jego boku.

– Cholera, że też nie ma tutaj emisariusza – powiedział wielki Illicjanin.

– On by wiedział, co powiedzieć.

Falko kiwnął głową.

Quirren powiedział to cicho, ale Bryna go usłyszała.

– I co by powiedział? – rzuciła, po czym zerwała się z łóżka i podeszła do nich.

Zmieszany Quirren odwrócił wzrok, ale Falko tylko się skrzywił.

– To by zależało od twojego postanowienia – powiedział.

Bryna zadarła podbródek, czekając na ciąg dalszy.

– Gdybyś postanowiła wrócić do spokojnego życia szlachcianki, powiedziałaby ci, że to słuszna rzecz opłakiwać śmierć kogoś tak młodego. – Falko nie drgnął nawet pod jej rozognionym spojrzeniem. – Ale gdybyś postanowiła zostać w akademii – podjął, przywołując surowe spojrzenie, jakie często gościło na twarzy emisariusza – powiedziałaby ci, żebyś przestała zachowywać się jak matrona w sierocińcu, a zaczęła jak dowódca w armii.

Przez chwilę miała taki wyraz twarzy, jakby chciała go uderzyć. A potem jej oczy nabiegły łzami i opuściła głowę. Porwała kurtkę z oparcia łóżka, minęła Falka i ruszyła do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – spytał Malaki, też wstając.

– Idę upić się z Urwipołciami. A potem będzie po wszystkim.

W niełatwej ciszy, jaka zaległa w koszarach po jej wyjściu, Malaki nie podniósł wzroku na Falka. Może i powiedział prawdę, ale Malaki czuł złość,

ze Falko przysporzył jej cierpienia. Wziął własną kurtkę, przepchnął się między przyjaciółmi i ruszył w ślad za Bryną. Jeśli rzeczywiście się dzisiaj upije, to nie Urwipolcie pomogą jej dotrzeć do domu.

Gdy Malaki wyszedł, Alex posłał Falkowi niezręczny uśmiech, a Quirren położył mu rękę na ramieniu. Bywa tak, że powiedzenie tego, co należy powiedzieć, wymaga nie lada odwagi.

Falko trwał pogrążony w myślach, gdy dwaj bracia poszli na kolację. Wcale nie znalazł przyjemności w ciężkich słowach, które skierował do Bryny, ale czuł, że to właśnie powinien powiedzieć. Emisariusz może i opuścił akademię, ale jego obecność i jego mądrość wciąż odbijały się echem w ich sercach.

W najbliższych dniach Bryna prezentowała tę samą siłę charakteru, która pozwoliła jej obłaskawić Urwipolciów. Szybko stała się dawną, władczą i energiczną sobą. W jakiś dziwny sposób śmierć Daniela jeszcze mocniej zbliżyła do siebie kadetów. Prędzej czy później wszyscy będą musieli zmierzyć się ze śmiercią ludzi, którymi dowodzą. Bryna po prostu musiała zmierzyć się z nią szybciej. Marszałkowie orzekli, że kapitan nie ponosi winy za ten wypadek. Co więcej, stwierdzili, że Urwipolcie wykonali manewr sprawnie i dokładnie oraz że zostaną dopuszczeni do kampanii treningowej.

Zima umknęła przed wiosną i ziemia z wolna budziła się do życia. Trawa na płaskowyżu wydawała się zieleniejsza i nawet góry przystroiły się w cieplejszy odcień szarości. W ogrodach wokół pałacu zaczęły puchnąć pąki kwiatów, a spomiędzy źdźbeł trawy w sadach strzelały dzikie krokusy i drobne, małeńkie narcyzy. Czas rozpoczęcia kampanii zbliżał się wielkimi krokami. W akademii wrzało.

Podczas gdy kadeci kontynuowali trening, w warsztatach szła pełną parą produkcja broni. Kadeci dowodzący musieli także przyjąć na siebie rolę kwatermistrzów i przygotować listy sprzętu i zapasów, jakie będą potrzebne ich jednostkom.

– Myślałem, że będziemy się tu uczyć walki – powiedział Alex, patrząc na pęk papierów w swojej ręce. – W życiu bym nie pomyślał, że będę rachował, ile mąki zeżre w miesiąc oddział dwustu żołnierzy.

Uśmiechnęli się na te słowa, a potem spoważnieli, widząc, że Falko wychodzi na trening w Moździerz.

- Do zobaczenia później – powiedział.
- Powodzenia – rzekła Bryna.
- Po prostu wyobraź sobie, że to gęba Snidessona – rzucił Malaki.

Falko zaśmiał się i pomachał im na pożegnanie. Wiedzieli dobrze, że wciąż próbuje wycisnąć z siebie czary ofensywne. Mimo to Aurelian utrzymywał, że najważniejszą rzeczą jest obrona ludzi przed strachem. Tylko co z tego, że ich obroni, jeśli nie zdoła powstrzymać demona przed sianiem zniszczenia na polu bitwy?

Zatrzymał się nad krawędzią Moździerza i zaśmiał się gorzko. Powstrzymać demona... Ha!

Falko nie przypominał już w niczym wątlęgo młodzieńca, który obudził się w szpitalu w Toulwarze. Ale myśl, jakoby miał kiedyś powstrzymać demona przed zrobieniem czegokolwiek, wciąż wydawała mu się absurdalna. Przypomniawszy sobie, jak zatrwającą potęgą władał stwór, który stratował w górach szeregi wojowników z Caer Dour. Jak niby ktokolwiek mógłby powstrzymać coś takiego?

– Złazisz czy nie?!

Poirytowany głos odbił się echem od ścian areny. Falko spojrział w dół, na Aureliana, Mereditha, Dusaule'a i leżącą nieopodal Dwimervane. Na szerokich stopniach stało kilka dużych glinianych urn. Wyglądało na to, że Aurelian prędej szcześnie, niż puści go do walki bez czarów ofensywnych.

Odrzuciwszy wątpliwości, Falko zszedł po schodach na arenę. Podczas pobytu w Furii Malaki, Bryna i Meredith zademonstrowali mu głębię swoich charakterów. Czas, by Falko zrobił to samo.

Słabość stali



W części Utraconych Ziemi, która była kiedyś Illicją, grupa jeźdźców pierzchła przed przerażającą aurą demona. Pogromca nie poświęcił ani jednej myśli ludziom uciekającym między drzewami. Spojrzał głęboko w oczy Przeciwnika, który wisiał w powietrzu, przebity wielkim, zakrzywionym mieczem demona. Nawet teraz mężczyzna nie zdradzał oznak strachu, tylko ból i żal spowodowane zawodem.

Pogromca wpełchnął klingę głębiej. Przeciwnik charknął krwią i zassał powietrze, gdy czubek miecza wynurzył się z jego pleców. Z początku metal opierał się jego uderzeniom i Pogromca był zdumiony potęgą wiary, która opierała się jego broni, ale gdy Przeciwnik słabł, słabł też jego stalowy pancerz, który nie mógł oprzeć się klindze wykutej przez Oświeconych.

Nawet teraz, gdy tkwił w szponach bolesnej śmierci, Przeciwnik odmawiał poddania się i Pogromca zaczynał się zastanawiać, ile czasu minie, nim złamie tak silną wiarę i zdobędzie jego duszę. Lecz to nie należało do celów jego misji. Pogromca miał tylko zabijać i to mu wystarczyło. Mógłby odrąbać Przeciwnikowi głowę lub pchnąć mieczem wyżej, by przebić jego serce, lecz zamiast tego demon po prostu trzymał mężczyznę nad ziemią i patrzył, jak umiera. Gdy ostatni oddech opuścił jego ciało, Pogromca cisnął Wielką Duszę tam, gdzie leżał jego rozplątany od obojczyka po łęk siodła koń, dwa ochłapy mięsa, nieprzypominające żywego stworzenia.

Krew Przeciwnika wciąż plamiła klingę Pogromcy. Demon zwrócił się na północny zachód, gdzie drugi Przeciwnik wkroczył w obszar jego

świadomości. Wniknąwszy ponownie w cień, zanurzył się w ziemi tego świata i ruszył przed siebie.



Daleko na południu, w części Utraconych Ziemi, która była niegdyś Beltane, Marchio Dolor zamknął oczy. Czuł głębokie zadowolenie ze stworzenia, które przyzwały jego modły. Rzadko zdarzało się, by demon pokonał maga bitewnego w otwartej walce, ale taki właśnie demon przemierzał teraz północne ziemie. Teraz Marchio Dolor mógł skupić całą swoją energię na Vercincallidusie, człowieku, którego zwał Serthiańskim Wilkiem. Beltański generał nie stanowił dla niego wyzwania, ale któż nie czerpał satysfakcji z tego, że zmusił człowieka przepełnionego dumą, by pełzał w pyle jak najmarniejszy robak?

KONIEC KSIĘGI PIERWSZEJ





Podziękowania

Z głębi serca dziękuję mojej żonie Julie, która wyłapuje wiele moich błędów i życzliwie daje mi znać, gdy zaczynam lać wodę. Moje książki wiele zyskują dzięki Twojej pracy.

Dziękuję Kevinowi Armsowi, Judith Coulson, Fionie Seaton, Lisie Smith i Megan Nagle (autorce powieści *Azurite*) za to, że byli na tyle mili, by zgodzić się przeczytać niniejszą książkę, zanim została wydana, i na tyle odważni, by podzielić się ze mną swoimi przemyśleniami.

Dziękuję Robowi Millerowi, Zbrojmistrzowi ze Skye.

Mam nadzieję, że swój oręż wykułem jak trzeba.

Obejrzyjcie jego wspaniałe miecze na

www.castlekeep.co.uk





STEELHOG.PL



**NAJLEPSZE DODATKI
DO FABRYCZNYCH LEKTUR**

COPYRIGHT © PETER A. FLANNERY 2017
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2020

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-532-9

TYTUŁ ORYGINAŁU: Battle Mage

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE
Azbooka-Atticus Publishing Group LLC

PROJEKT OKŁADKI ORAZ ILUSTRACJE
black gear Paweł Zaręba

TŁUMACZENIE
Maciej Pawlak

REDAKCJA
Gabriela Niemiec

KOREKTA
Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow

Kawaleria lorda Cadella przebijała się z mazołem przez rój Opętanych, który oddzielał ją od demona. Większość rycerzy została zatrzymana lub powalona, ale lord Cadell przedarł się jakoś, osłaniany od tyłu przez sir Gerallta Godwina, który znajdował się najwyżej dwie długości za nim. Obydwaj rycerze dźwignęli lance i wydawało się, że nic nie zdoła oprzeć się sile ich natarcia, lecz wówczas demon przestał mordować i zwrócił się w ich kierunku. Przekrzywił wielki rogaty łeb, jakby nie spodziewał się tak zuchwałego natarcia, a potem pochylił głowę i rozrzucił ramiona, jakby zapraszał ich do ataku.

Dwaj rycerze runęli na demona, celując lancami prosto w jego serce, lecz potwór nie czekał na nich, tylko zerwał się z miejsca i rzucił naprzód. Jedną ręką złapał wierzchowca lorda Cadella za gardło i podniósł go, zrzucając jeźdźca z siodła, a drugą wyprowadził druzgocący cios, który zmiotł sir Gerallta z końskiego grzbietu, miażdżąc mu przy tym klatkę piersiową. Koń zwałił się na ziemię ze skrzyconym karkiem. Lanca sir Gerallta dosięgła bestii, ale hartowane ostrze ledwie drasnęło skórę.

Mag bitewny. Księga I – fragment

PETER A. FLANNERY MAG BITEWNY

Nie ma uczucia silniejszego od smoczego smutku.
Chyba tylko smocza wściekłość.

Armia nieumarłych pod wodzą demona zalewa królestwo Furii. Kolejne armie obrońców uginają się przed nieujarzmioną potęgą wroga. Ludzie zamieniają się w Opętanych i ruszają mordować własne rodziny. Świat pogrąży się w mroku, rozpaczy i dzikim przerażeniu.

Jedyną nadzieją na przetrwanie jest walka u boku magów bitewnych i ich smoków. Tych jednak jest zbyt mało. Od czasu Wielkiego Opętania tylko nieliczni mają odwagę przywoływać smoki. Niektóre z nich, szalone i nieobliczalne, stanowią śmiertelne zagrożenie dla ludzi. Potrzeba wyjątkowego człowieka, by okiełznać ich moc...

Falko Dante – słabeusz w świecie wojowników, umierający na tajemniczą chorobę syn szaleńca i zdrajcy. Nie tak wyglądają bohaterowie tej wojny. A jednak to na jego barki spadnie ciężar odpowiedzialności i jemu przypadnie do odegrania rola, która zaważy na losach tysięcy ludzi.



NASTĘPNA KSIĘGA



fabryka słów
WYDAWNICTWO

 /fabryka

 /fabrykaslow

fabrykaslow.com.pl